

Regr



Natalis Sulerzyski
**PAMIĘTNIK
BYŁEGO POSŁA
ZIEMI PRUSKIEJ**



PAX

Natalis Sulerzyski (1801—1878), ziemianin z okolic Kwidzyna, poseł na sejm berliński, działacz społeczny, patriota, przystąpił pod koniec swego burzliwego życia do spisania pamiętników. Uczynił to przede wszystkim z myślą o własnych dzieciach, do których zwraca się we Wstępie, ale także z myślą o wszystkich Polakach. Autor opisując swe własne losy wiele uwagi poświęcił zagadnieniom politycznym, gospodarczym i społecznym. Powstał w ten sposób niezwykle barwny i sugestywny obraz codziennego życia ziemiaństwa polskiego w Prusach Zachodnich.

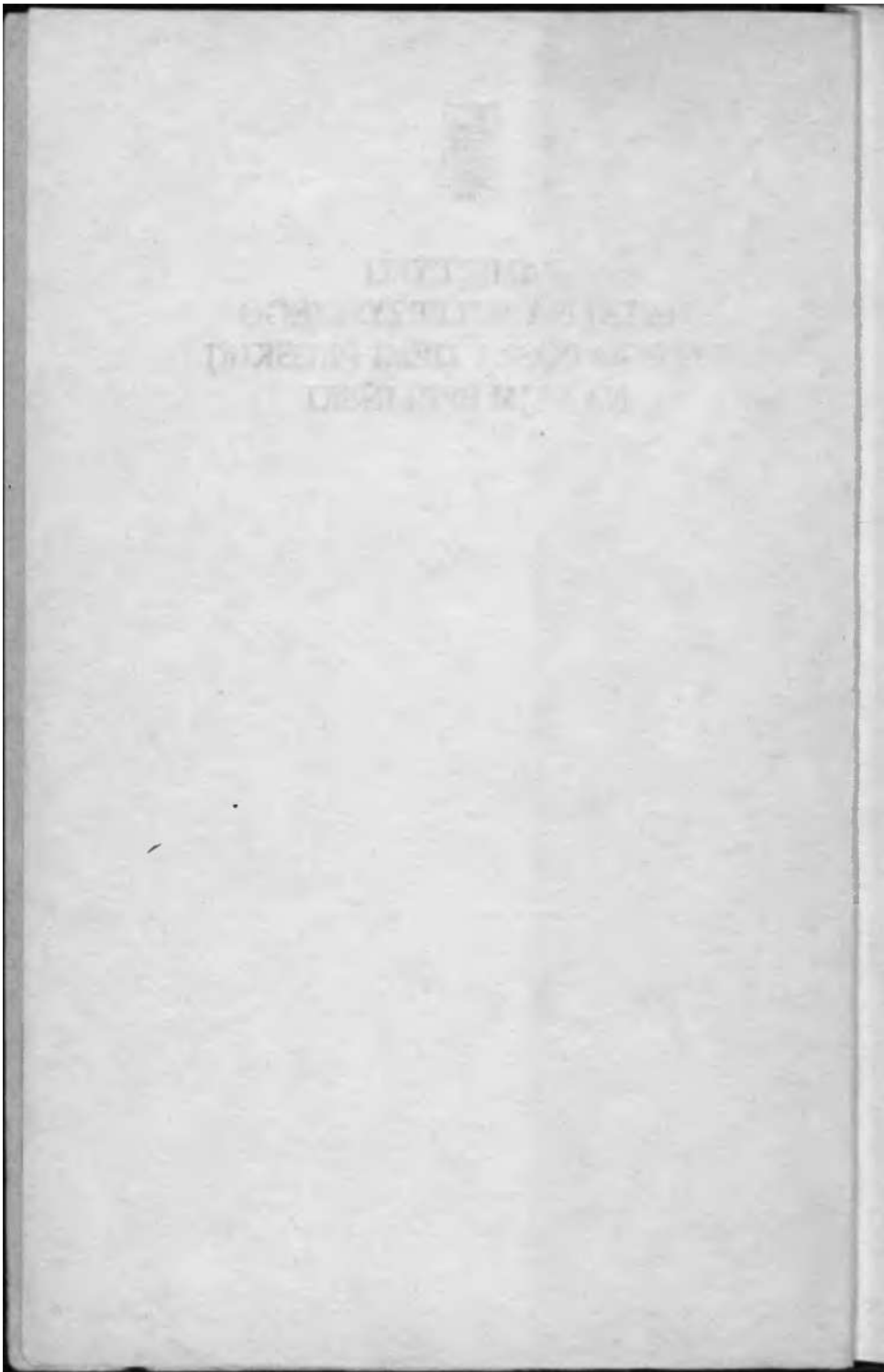
Życie Sulerzyskiego było nieustanną walką z przeciwnościami, których nie szczędził mu los ani też ludzie i to zarówno zaborcy jak i sami rodacy. We Wstępie do *Pamiętników* napisał: „Bóg dał mi siłę ducha do znoszenia przeciwności” i dlatego właśnie nawet w najtrudniejszych chwilach Sulerzyski nie załamał się. Stary i schorowany, musiał udać się na emigrację, aby uniknąć pobytu w berlińskim więzieniu. Wtedy zaczął pisać *Pamiętniki*. Trudno dziś ustalić, czy miały one być oskarżeniem, czy raczej rodzajem spowiedzi, w której przyznaje się do popełnionych błędów. Jedno jest pewne — stanowią one bezcenny portret własny XIX-wiecznego szlachcica polskiego, rodem z „Piątkowa w Polsce”.



III - 3100



PAMIĘTNIKI
NATALISA SULERZYSKIEGO
BYŁEGO POSŁA ZIEMI PRUSKIEJ
NA SEJM BERLIŃSKI



192930 (H)

**PAMIĘTNIKI
NATALISA SULERZYSKIEGO
BYŁEGO POSŁA ZIEMI PRUSKIEJ
NA SEJM BERLIŃSKI**

**Wstęp, opracowanie i przypisy
Sławomir Kalembka**



Instytut Wydawniczy Pax, Warszawa 1985

D

© Copyright by Instytut Wydawniczy Pax, Warszawa 1985

Obwolotę, okładkę projektowała
Teresa Wierusz

Redaktor
Halina Guzowska

Redaktor techniczny
Ewa Marszał



ISBN 83-211-0562-9

586859

INSTYTUT WYDAWNICZY PAX, WARSZAWA 1985.

Wydanie I. Nakład 10 000+350 egz. Ark. wyd. 22,4;
ark. druk. 22,75 /16. Papier druk. mat. kl. III, 71 g,
82×104. Oddano do składania w sierpniu 1983 r. Pod-
pisano do druku i druk ukończono w maju 1985 r.
Zam. nr 1408. N-51.

Printed in Poland by
ZAKŁADY GRAFICZNE
Toruń, ul. Katarzyny 4

E. 1353/85

NATALIS SULERZYSKI I JEGO PAMIĘTNIKI

„Mój kolor nie jest ani czerwony, ani biały — tylko czerwono-biały, tj. narodowy.”¹ Wbrew jednak tej deklaracji, złożonej pod koniec życia, jej autor — choć zamożny ziemianin — był człowiekiem o poglądach demokratycznych, oczywiście w sensie dziewiętnastowiecznym, w których splatały się koncepcje ideowe demokratów wychodźstwa listopadowego, z tradycyjnym, jeszcze przedrozbiorowym, antyarystokratyzmem i egalitaryzmem średnioszlacheckim. Nie przeszkadzało mu to, na co dzień, prowadzić działalność iście organicznikowską, bez ozdabiania jej frazeologią, charakterystyczną później dla pozytywistów warszawskich. Natalis Sulerzyski jest dzisiaj postacią raczej zapomnianą, poza wąskim kręgiem historyków pomorskich. A wart jest przypomnienia, bo niedawno minęło sto lat od jego śmierci i sto pięćdziesiąt od wybuchu powstania listopadowego. Właśnie pod jego bezpośrednim wpływem zaangażował się po raz pierwszy w prace niepodległościowe. Ale przede wszystkim dlatego, że przy całej oryginalności biografii tego szlachcica, jest ona bardzo pomocna dla zrozumienia ewolucji świadomości politycznej znacznej części polskiego ziemianstwa na Pomorzu Gdańskim, a w jakiejś mierze, w późniejszym czasie, i niższych warstw społecznych tego regionu.

Natalis Sulerzyski urodził się 28 września 1801 r. we dworze rodzinnym w Piątkowie, wsi położonej we wschodniej części Ziemi Chełmińskiej, na północ od Kowalewa, a na południe od Wąbrzeźna. Ojcem jego był Wincenty Sulerzyski (zm. w 1821 lub 1822 r.), a matką Anna z Mieroszewskich (1772—1861). Dziadkiem po mieczu Natalisa był Franciszek Sulerzyski, żonaty z Anną, z domu Szeliską. Miał pięcioro rodzeństwa: starszych braci Atanazego (1798—1834), Heliodora (ur. w 1799, zm. ok. 1822), młodszego Gustawa (ur. po 1807, zm. 1871) oraz siostry — Leokadię, wydaną później za Tadeusza Wilczewskiego i Alodię, zamężną z Ignacym Rutkowskim².

Sulerzyscy, w XIX w., zwani też często Sulerzyckimi, byli

rodziną, która wywodziła się najprawdopodobniej z Mazowsza. Gniazdem rodzinnym miał być Sulerzysz w Ciechanowskim. Była to gałąź rodu Wantuchów vel Wańtochów, której to nazwy mieli również później używać czasami jako przydomka. Jedni Sulerzyscy byli herbu Trzy Gwiazdy czyli Księżyc, inni herbu Junosza. Natalis i jego przodkowie byli Junoszami. Rodzina ta z czasem rozrosła się i rozprzestrzeniła po różnych województwach Rzeczypospolitej, od Podola po Wielkopolskę. Jedno z odgałęzień osiadło w województwie chełmińskim, aby stać się od 1772 r. poddany pruskimi, w nowej prowincji — Prusach Zachodnich².

Dziad Natalisa, Franciszek Sulerzyski był typowym „jednowioskowym” szlachcicem polskim. Mieszkał w Karczewie, w dworku krytym słomą. Chadzał ubrany „z polska”. Takim chował też swego syna Wincentego i niczego tu nie zmieniły przedłużające się rządy pruskie. Pewien przełom nastąpił dopiero, gdy ojciec Natalisa poszedł, chyba w 1788 r., w konkury o rękę panny Anny Mieroszewskiej, posażnej jedynaczki, której ojciec, właściciel Zajączkowa, zaliczał się do zamożniejszych ziemian chełmińskich, a matka miała bardziej światowe ambicje i wymagania. Najpierw trzeba było „wasy ogolić i kapotę zrzucić”, następnie kupić majątek Piątkowo⁴, który stał się, po zbudowaniu obszernego, choć jeszcze drewnianego, dworu, gniazdem rodzinnym, następnie odebrać, już z inicjatywy energicznej małżonki, majątek Zegartowice, zdaje się wiano babki Natalisa — Anny z domu Szeliskiej, wreszcie w 1801 r. zaokrąglić posiadłość piątkowską o pobliskie Dylewo. Później przyszyły i dalsze nabytki. Stał się więc Wincenty Sulerzyski ziemianinem zamożnym i dosyć światowym w stylu oświeceniowym⁵. Nie zmieniło to jednak pewnych jego poglądów, które przejął chyba po swym ojcu, a przekazał dzieciom, w każdym razie Natalisowi. Otóż było to głębokie poczucie równości, oczywiście w ramach stanu szlacheckiego, i ściśle z nim związana nieufność do arystokracji, jako warstwy najbardziej tej równości zagrażającej. Syn Wincentego nie przypadkiem zapamiętał ojcowską maksymę życiową co do zasad zawierania znajomości, że „z panami rzadko, z kpami nigdy”⁶. Ta postawa Sulerzyskich, charakterystyczna raczej nie tylko dla nich, budzi dwie refleksje. Z jednej strony pokazuje, jak ciągle żywe, mimo przemian epoki saskiej, czasów stanisławowskich, a nawet rządów królów Prus i wstrząsów napoleońskich, były wśród średniej szlachty polskiej hasła „republikańskie”. Z drugiej tłumaczy, czemu idee demokra-

tyczne i republikańskie XIX w. tak łatwo, w dobie powstań narodowych, zyskiwały wśród Polaków, przede wszystkim szlacheckiego pochodzenia, popularność. Widać przy tym, jak podobna była postawa, przynajmniej w stosunku do niektórych spraw, ziemiaństwa na Ziemi Chełmińskiej, do zachowań tejże warstwy w innych prowincjach i zaborach, co najmniej do lat sześćdziesiątych XIX w. Swoją rolę odgrywało i to, że mimo różnych zabiegów władz pruskich, ziemiaństwo polskie na Ziemi Chełmińskiej utrzymywało mocniejszą niż na innych ziemiach pomorskich pozycję materialną⁷.

Owe tradycje szlacheckich zasad równościowych nie szły w parze, początkowo, z jakimś szczególniejszym patriotyzmem. Nie przeszkadzały większości szlachty chełmińskiej być, do czasu, lojalnymi poddanymi Królestwa Pruskiego. Wreszcie jednak uznała się ona za dyskryminowaną w stosunku do niemieckiego junkierstwa, a już zwłaszcza do przybyszów z głębi Niemiec, kupców lub przedsiębiorców, przemieniających się w posiadaczy ziemskich drogą wykupu polskich majątków. Tak zresztą było i w rodzinie Sulerzyskich. Wincenty utrzymywał dobre stosunki z urzędnikami kamery, a później rejencji kwidzyńskiej, i doczekał się przed śmiercią odznaczenia pruskim Orderem Zasługi „Czerwonego Orła”. Gwałtowne zmiany polityczno-państwowe lat 1806—1807 i 1813—1815 traktował, zdaje się, jako zmiany kolejnych, dalekich i nieco przez to abstrakcyjnych władców i rządów, a nie decydujące dla przyszłych losów polskiej ludności zmiany przynależności państwowej. Młodszy od niego zapewne o kilkanaście lat, ale teje formacji umysłowej i światopoglądowej, jeden z sąsiadów, najbogatszy z ziemian w Brodnickiem — Jan Wybicki⁸, późniejszy teść pana Natalisa, pełnił najpierw w czasach Księstwa Warszawskiego obowiązki podprefekta powiatu michałowskiego. Potem, niejako automatycznie, został landratem brodnickim, z której to funkcji złożył dymisję dopiero w 1839 r., u schyłku rządów Fryderyka Wilhelma III, w latach represyjnej i germanizacyjnej polityki po powstaniu listopadowym. Nic więc dziwnego, że Sulerzyscy posłali trójkę swych synów w 1811 r. do Gimnazjum Toruńskiego, jako szkoły polskiej. Co prawda dwunarodowej (uczniowie Polacy stanowili około 45⁰/₀) i, w zasadzie, dwuwyznaniowej (luteranie do 60⁰/₀), i wcale nie przejęli się zmianą jej charakteru w 1817 r. na typowe, klasyczne gimnazjum pruskie. Natalis Sulerzyski szczerze przyznaje, że cieszył się, iż w końcowych klasach,

już po zmianach, miał lepszych nauczycieli Niemców. Nie przejmował się mniejszymi postępami, w porównaniu do innych przedmiotów, w opanowywaniu arkanów języka polskiego i cieszył się z zapewnienia nowego rektora Gimnazjum, Karola Brohma, u którego zresztą miał stancję, że go, przy takiej pilności „ambasadorstwo pruskie [...] minąć nie może”⁹. Nie przypadkiem też do końca życia smutne wydarzenia głośnego tumultu toruńskiego z 1724 r. interpretował w duchu tradycji protestanckiej, kultywowanej przez część profesury Gimnazjum Toruńskiego¹⁰, choć przecież sam był katolikiem, a szlachta chełmińska, w większości, w wiekach poprzednich, ale i w XIX w. odznaczała się raczej klerykalnym nastawieniem.

Natalis Sulerzyski, wraz ze starszymi braćmi: Atanazym i Heliodorem, po kilku latach dosyć solidnej nauki w domu, 30 października 1811 r. zapisani zostali do VI („trzeciej z góry”) klasy Gimnazjum Toruńskiego. Uczelnia ta, pod rządami rektora Karola Wilhelma Schirmera, którego Sulerzyski (pod wpływem opinii jego następcy Brohma) oceniał ujemnie, przechodziła okres odbudowy kadr i doskonalenia dydaktyki. Miała właśnie stać się z wydziałowej departamentalną, co nastąpiło w 1812 r. i było świadectwem odbudowania jej prestiżu. Do 1817 r. Gimnazjum było szkołą polską, przynajmniej co do programu, a po części podręczników, kadry i języka nauczania¹¹. Natalis uczył się początkowo dosyć przeciętnie, powtarzał też jedną z klas, z czasem był jednak uczniem coraz lepszym. Naukę zakończył najpewniej jesienią 1818 r.¹², a może w roku następnym, w każdym razie wspominał, że cały 1819 r., przesiedział w domu rodzinnym.

Przekonawszy rodziców, aby zgodzili się na naukę trzeciego syna, dwaj starsi, ukończywszy wcześniej Gimnazjum Toruńskie, podjęli studia na Uniwersytecie w Berlinie. Najstarszy, Atanazy przeniósł się następnie do Wyższej Szkoły Rolniczej w Möglin. Natalis, najwcześniej jesienią 1820 r. rozpoczął trzyletnie studia. Podjął je z wyraźnym zamiarem, aby się „na jakiego prezydenta pruskiego wykierować”¹³. Toteż po naradach z braćmi zrezygnował ze studiów na Uniwersytecie w Berlinie, gdzie korporacyjne życie kwitło również wśród studentów Polaków i działały polskie młodzieżowe związki patriotyczne, a nie było czasu na solidną naukę. Udał się więc Natalis do Lipska i na tamtejszym, starym Uniwersytecie starał się pilnie słuchać wykładów potrzebnych dla przyszłego urzędnika pruskie-

go, a więc przede wszystkim prawa i ekonomii, uzupełnianych historią i filozofią. Jego roczne wydatki w okresie studiów pochłaniały 400 talarów. Uczęszczał wówczas m.in. na wykłady profesora Krystiana Haubolda (1766—1824), znanego szczególnie z jego dorobku w dziedzinie prawa rzymskiego. Zaczął też zgłębiać filozofię, słuchając prelekcji kantysty, profesora Wilhelma Kunga (1777—1842), autora prac publicystycznych o Polsce. Zresztą zajęcia te wkrótce go znudziły. W czasie studiów w Lipsku zaprzyjaźnił się z Jędrzejem Moraczewskim, czynnym następnie w powstaniu listopadowym na polu dyplomatycznym i wojskowym, w późniejszych zaś latach znanym działaczem społecznym, publicystą i historykiem wielkopolskim¹⁴. Wiosną 1823 r. obaj postanowili zmienić uczelnię, co było powszechnym wówczas na uniwersytetach niemieckich zwyczajem, i wyruszyli pieszo na zachód. Zamierzali kontynuować studia w Bonn. Rodzinne miasto Beethovena wybrali dlatego, że od 1815 r. leżało ono w granicach Prus, a jeśli ktoś wówczas w monarchii Hohenzollernów ubiegał się o urząd państwowy, to musiał wykazać się co najmniej rocznym stażem na którejsz z uczelni pruskich. Doszedłszy przez Jenę do Frankfurtu nad Menem dowiedzieli się o zatargu między senatem Uniwersytetu w Bonn a tamtejszą społecznością studencką, wszyscy słuchacze opuścili to miasto i solidarność wymagała, aby tam się nie immatrykulować. W tej sytuacji obaj powędrowali do Heidelbergu (Wielkie Księstwo Badenii) i tam kontynuowali studia. Słuchali wykładów znanego historyka, Fryderyka Schössera (1776—1861), liberała, który potępiał rozbiory Polski, starał się wprowadzić lud na karty historii i dla niego pisać.

W latach studiów lipskich, które miały przecież otworzyć bramę do kariery urzędniczej, obudził się w młodym Natalisie polski patriot. Zaczęło się to zapewne od poczucia odrębności w otoczeniu wyłącznie niemieckim, a do tego nie pruskim. Dochodziło do konfliktów, a mała grupka studentów polskich tym bardziej się spajała. Zewnętrznym tego wyrazem były ich czerwone rogatywki, obszyte białym barankiem. Mieli na to swój wpływ bardziej politycznie i narodowo wyrobieni przyjaciele Natalisa: Antoni Waga z Królestwa i Jędrzej Moraczewski. W Lipsku nasz bohater wziął się za gramatykę polską, bo ją gorzej znał od niemieckiej. W rozmowach z przyjaciółmi uprawiał się w eleganckim posługiwaniu się polszczyzną, a gdy przybył do Heidelbergu, 17 kwietnia 1823 r., wpisał się do metryki uniwersyteckiej ja-

ko student kameraliów, czyli studiów administracyjnych, pochodzący z Piątkowa w Polsce, a nie w Prusach lub choćby w Prusach Zachodnich! Nawet Jędrzej Moraczewski podał, iż wywodzi się z Wielkiego Księstwa Poznańskiego¹⁵.

Prawdopodobnie wiosną 1824 r. Sulerzyski zakończył swą edukację uniwersytecką, oczywiście bez napisania rozprawy doktorskiej. Jednak przed powrotem do domu zapadł na zdrowiu i poddał się kuracjom u wód mineralnych w dwóch miejscowościach Wiesbaden, Františkovy Lázně (Franzensbad), a także leczeniu homeopatycznemu w Lipsku. Powróciwszy, nie zastał już przy życiu ojca i starszego brata Heliodora. Wygasała ochota do kariery urzędniczej i sytuacja rodzinna skierowały absolwenta Heidelbergu na drogę przodków, ku gospodarowaniu na ziemi. Krótco pomagał owdowiałej matce w Piątkowie, która po śmierci babki Mieroszewskiej oddała mu w gospodarowanie znaczny, choć bardzo zapuszczony majątek Mierzynek w Lubawskim. Tak koło jesieni 1824 r. zaczęła się ziemiańska kariera Natalisa Sulerzyskiego. Nie mając żadnego przygotowania w tym kierunku uczył się gospodarowania z pierwszych podręczników agronomicznych, a także od praktyków ekonomów, do sąsiadów Niemców i Polaków. To wówczas budziło wśród polskiego ziemiaństwa co najmniej zdziwienie. Brak rutyny i przesądów, inteligencja, dosyć wysoki poziom ogólnego wykształcenia, a także pracowitość i upór zaczęły dosyć szybko przynosić rezultaty. Wprowadził nowe metody uprawy, stosując głębszą orkę i jako jeden z pierwszych Polaków na Ziemi Chełmińskiej wprowadził płodozmian w miejsce ciągle dominującej trójpolówki. Prędko zauważył współzależność między rozwojem hodowli i pożytkami z zapewnionej przez nią możliwości lepszego nawożenia. Osuszał liczne jeszcze wówczas tereny podmokłe, meliorował, nawoził pola szlamem ze stawów rybnych i torfem, a gdy się dorobił, kupował ulepszone narzędzia rolnicze. Z powodzeniem uprawiał na dużej skale ziemniaki, gdy ojciec traktował je jako warzywa ogrodowe¹⁶.

Była jeszcze jedna i to bardzo ważna przyczyna powodzeń gospodarczych Sulerzyskiego. Starał się on w miarę możliwości o poprawę sytuacji materialnej ludności wiejskiej, pracującej w jego majątkach. Pewną rolę odegrały tu zasady wolnościowe z lat edukacji, wrodzone skłonności ku patriarchalistycznej sprawiedliwości, rozwinięte lekturą *Pana Podstolego* Ignacego Krasickiego, ale i zdrowy rozsądek, nie

obciążony widać zbyt uprzedzeniami stanowymi. Rzeczywistość szybko zweryfikowała słusność postępowania Sulerzyskiego. Z czasem, gdy zapoznał się z publicystyką i programami demokracji emigracyjnej, doszła motywacja ideologiczna. Wypracował nowy układ stosunków z pracującymi, traktując ich jak robotników najemnych, układ przeciwny, dosyć powszechnym jeszcze wówczas, próbom stwarzania zastępczych systemów uzależnień wsi od dworu, mających być substytutem pańszczyzny. Szerzej rozwinął te inicjatywy, gdy w 1834 r. objął w posiadanie majątek piątkowski. Darował pracownikom zadłużenie, przez innych właścicieli specjalnie podtrzymywane, dla zapobieżenia częstym przenosinom tychże osób do innych majątków, gdzie spodziewać się mogły nieco lepszych warunków¹⁷. Tępił natomiast kradzieże. Dbał o dobre wyżywienie przy pracy w polu, pomagał młodożęcom, a z czasem zaczął wznosić nowe, solidne, murowane domy wg projektu architekta z Warszawy — Aleksandra Galle, z których kilka jeszcze w Piątkowie stoi. Interesował się losem swoich ludzi, poziomem ich oświaty, umiał też z nimi nawiązywać kontakty osobiste¹⁸. Takie postępowanie przynosiło uchwytne rezultaty: stabilizację załogi roboczej, zresztą prawie wyłącznie polskiej, zwiększoną wydajność, a z czasem i korzyści polityczne. Już w 1847 r., przy wyborach do Stanów Prowincjonalnych, połączonych następnie w pierwszy sejm pruski, ludzie Sulerzyskiego głosowali na kandydata przezeń wskazanego. Gdzie indziej wotowano często wbrew zaleceniom panów¹⁹.

Kierując się złożonymi motywami, w czym odpowiednią rolę grał interes własny, Natalis Sulerzyski od lat trzydziestych prowadził na Ziemi Chełmińskiej działania, które — wiele lat później — nazywano solidaryzmem narodowym. Jego działania służyły umacnianiu polskiej siły oporu wobec zaborcy, poprzez przyspieszanie samouświadczenia narodo-politycznego ludu wiejskiego; przyczyniały się do unowocześniania i rozwoju gospodarki rolnej, do likwidacji przeżytków feudalnych w sferze stosunków społecznych. Paternalizm Sulerzyskiego miał chyba jeszcze jeden aspekt — pogłębiał ową ukrytą, często nie do końca uświadcianą, a przecież przez stulecia istniejącą więź wsi ze dworem jako wzorcem kultury, estetyki, a także moralności.

Natalis łączył skutecznie ekonomiczne gospodarowanie w nowych warunkach z realizacją skromnej, ale pozytywnej polityki socjalnej wobec wieśniaków, i z równoczesnym, ro-

snącym z latami, poważnym zaangażowaniem się w działalność narodową i niepodległościową. Może to być przyczynek do odżywiającej co pewien czas, dyskusji na temat postaw Polaków w epoce zaborów i ich skutków dla współczesności.

Zarząd majątkiem w Mierzynku okazał się tylko wstępem do kariery ziemiańskiej Sulerzyskiego. Bodajże w 1827 r. jego matka, Anna z Mieroszewskich, postanowiła z młodszym synem Gustawem i córkami Leokadią i Alodią przenieść się do Mierzynka, majątku odziedziczonego po jej rodzicach. Natalisowi przypadł folwark Karczewo, spadek po dziadkach Sulerzyskich, mocno zresztą wyeksploatowany i zapuszczony przez dzierżawcę Niemca. Wymagał on niemałych zabiegów agrotechnicznych, aby w przyszłości mógł przynosić poważniejsze dochody. Udało się to młodemu gospodarzowi, który jeszcze zaokrąglił obszar majątku zakupując przyległe grunty. Formalnie został jego właścicielem zdaje się dopiero w 1833 r., a w 1861 r. sprzedał go Ferdynandowi Chamskiemu. W 1834 r., a więc w kilka lat po przenosinach Natalisa do Karczewa, zmarł w wieku trzydziestu sześciu lat najstarszy z braci Sulerzyskich — Atanazy, zostawiając dwójkę nieletnich dzieci z pierwszego małżeństwa i gniazdo rodzinne — majątek piątkowski. Mimo nie najlepszego stanu Piątkowa, Natalis, namawiany przez matkę, zdecydował się kupić go, początkowo płacąc tylko procenty od ustalonej sumy. Wszedł wówczas również w posiadanie sąsiedniego Dylewa i, najprawdopodobniej, Zegartowic. W Piątkowie podjął na szeroką skalę prace agronomiczne podnosząc wydajność ziemi i zwiększając jej obszar przez zakupy. Po kilkunastu latach przyszedł czas na bardziej prestiżowe inwestycje: park dworski, a przede wszystkim wystawienie nowego, murowanego dworu. Do tego ostatniego zmusiły go okoliczności, gwałtowna burza, która w czerwcu 1848 r. zniszczyła istniejące dotychczas zabudowania. Kiedy jednak postanowił już tę budowlę wznieść, dokonał tego z rozmachem. Projekt budynku opracował wspomniany już Galle, warszawski architekt, który wyjechawszy z Królestwa w 1835 r. pozostał za granicą. Dwór ten, czy raczej zameczek o fasadach z czerwonej cegły, z czterema narożnymi wieżyczkami schodnymi, szczytem nad wejściem głównym, wzniesiony w latach 1850—1852, mimo pożaru i prób podpaleń, stoi do dziś. Sam Sulerzyski określił go jako „w guście renaissance”. W rzeczywistości jest to jednak budowla neogotycka²⁰.

Dotychczasowe powodzenia w pomnażaniu majątku, a zdaje się i pewna żyłka spekulacyjna, skłaniały Sulerzyskiego do podejmowania zakupów dalszych folwarków. Tłumaczył on to przede wszystkim chęcią niedopuszczenia do zawładnięcia przez Niemców polską ziemią, ale motyw ten nie był chyba jednak najważniejszy, a w każdym razie nie jedyny. W 1854 r. zakupił majątek Komorowo, leżący przy granicy, w pobliżu Brodnicy, z którym zresztą później miał niemało kłopotów. W siedem lat później, po dosyć skomplikowanej grze, nabył Radowiska Małe, a w 1860 r. stał się właścicielem Małego Pułkowa, uzupełnionego jeszcze sąsiednimi gospodarstwami. Przez kilka lat posiadał także majątek Świerczyny, ale w 1860 r. sprzedał go Niemcowi, Ernstowi Braunowi. Nie przyniosło mu to zresztą popularności. W kilka lat po powstaniu styczniowym, będąc już na wygnaniu, Sulerzyski obliczał swe włości, po sprzedaniu kilku folwarków, na siedem majątków i około piętnaście tysięcy morgów pruskich, tzn. na prawie trzy i pół tysiąca hektarów! W potrzebie uzupełniał swe kapitały dochodami z tak nietypowych dla ziemianina przedsięwzięć, jak zbudowanie w latach 1858—1860, za stosowną opłatą, nowej, szutrowej nawierzchni drogi z Torunia do Brodnicy na szesnastokilometrowym odcinku (Kowalewo-Karczewo)²¹.

Powodzenie w gospodarowaniu, śmiałe podejmowanie inwestycji, a jeszcze śmielsze operowanie kapitałami, czego rezultatem było wielokrotne pomnożenie pierwotnego majątku, początkowo wywoływały podziw u sąsiadów. Z czasem jednak obudziła się zawiść, podejrzliwość, które nawet przyczyniły się do jego częściowej izolacji. Tym bardziej ze sukcesy w pomnażaniu majątku zbiegły się z postępującą krystalizacją jego poglądów polityczno-społecznych i ich radykalizacją. Inna sprawa, że, jak się wydaje, dla Natalisa Sulerzyskiego mocne angażowanie się w gospodarowanie było też, w jakimś stopniu — przynajmniej w pewnych okresach jego życia — ucieczką przed dolegliwościami niezbyt mocnego zdrowia, przed nieśmiałością i samotnością, niechęcią ze strony otoczenia, i nieszczęściami rodzinnymi. A tych mu los nie oszczędzał. Z dwóch żon i siedmiorga potomstwa przeżyło go tylko dwoje — syn Waclaw i córka Helena, zamężna od 1865 r. z Michałem Wybickim²².

Pomnażanie majątku nie przeszkadzało mu w ciągu czterdziestoletniego bezpośredniego gospodarowania, angażować się w różnorodną działalność narodowo-społeczną i polityczną, w której utopił poważne środki materialne. Z czasem

owo zaangażowanie rosło, a postawa radykalizowała się, gdy na ogół z wiekiem następuje raczej zwrot ku konserwatyzmowi. Inna sprawa, że z latami wzrost aktywności polityczno-społecznej Sulerzyskiego był w dużym stopniu spowodowany narastającym mnożeniem się napięć między państwem pruskim a jego polskimi poddanymi.

Jak już wspomniano, początek przełomu w świadomości narodowo-politycznej pamiętnikarza zaczął się w okresie studiów na uniwersytetach niemieckich. Wówczas to poczucie przynależności narodowej bierne, „inercyjne”, wynikające tylko z urodzenia oraz znajomości języka, zwyczajów i pewnej tradycji rodzinnej zaczęło ewoluować w kierunku bardziej nowoczesnym, takim, który wywołuje potrzebę refleksji nad postawą własną, sytuacją wspólnoty narodowej, skłania ku działaniu. Te przemiany świadomości najprawdopodobniej były w tamtej epoce dosyć typowe dla polskiego ziemiaństwa na Pomorzu i na Ziemi Chełmińskiej. Na Powiślu malborskim proces ten wystąpił nieco później.

Gdy wybuchło powstanie listopadowe Sulerzyski, choć młody i kawaler, nie poszedł na ochotnika. Po latach, w *Pamiętnikach* usprawiedliwiał się stanem zdrowia, a pośrednio, domyślnie, także postawą otoczenia — całej polskiej młodzieży ziemiańskiej z Prus Zachodnich, z której miało wg niego pójść za Drwęcę ledwo czterech ochotników²³. Wiadomo, że tak nie było. Tylko spośród uczniów gimnazjum chojnickiego poszło do powstania co najmniej siedmiu, jeśli nie jedenastu uczniów. Także tamtejszy landrat Hiacenty Kosowski²⁴ złożył w kwietniu 1831 r. dymisję, a w końcu czerwca dosłużył się już stopnia podporucznika wojsk polskich. Z imienia można wymienić tylko dwudziestu kilku ochotników pomorskich. Literatura przedmiotu szacuje ich liczbę na sto do dwustu osób²⁵. Wydaje się jednak, że było około stu ochotników.

Ta słaba reakcja społeczeństwa polskiego na powstanie listopadowe jest niewątpliwie świadectwem braku rozwiniętej świadomości narodowej i wynikających z niej obowiązków, nawet w warstwach oświeconych — ziemiaństwie i zaczątkach inteligencji. Właśnie rok 1831 przyspiesza ten proces. W drobnomieszczaństwie i wśród ludu wiejskiego rozpocznie się on w latach 1848—1850. Złożyło się na to, jak to zwykle bywa w dziejach, kilka przyczyn. Najpierw dramatyczne zmagania nad Wisłą w czasie wojny polsko-rosyjskiej 1831 r., skupiające na sobie uwagę całej Europy, w końcu przyciągnęły i podnieciły wyobraźnię, a z nią i sentyment-

ty, wielu z oświeconych Polaków na Pomorzu i na Ziemi Chełmińskiej. Później przyszedł 5 października 1831 r. — przejście granicy pruskiej pod Brodnicą przez resztki sił głównych armii powstańczej, a wcześniej także licznych uciekinierów cywilnych. Wprawdzie władze pruskie robiły wszystko, aby izolować internowane wojska od ludności polskiej — trzymano je w najbardziej zniemczonych powiatach Powiśla²⁶ — ale i tak niewiele to pomogło. Dostyć liczni uciekinierzy, zwłaszcza mający powiązania rodzinne i osobiste, byli przechowywani miesiącami po dworach polskich. Krótsze kontakty, w czasie przemarszów, też swą rolę odegrały. Skutkiem był wzrost zainteresowań sprawami ogólnonarodowymi, odkrywanie nowszej romantycznej literatury polskiej z jej bogactwem treści ideowych, zainteresowanie się publicystyką. Na to wszystko nałożył się, pośrednio wywoływany też przez powstanie listopadowe, nowy, represyjny i germanizacyjny kurs polityki pruskiej wobec Polaków w ostatniej dekadzie rządów Fryderyka Wilhelma III. Zamykanie Polakom drogi do kariery administracyjnej mocno uderzało w ambicje ziemian i ich synów. Skutkiem tego było przyspieszenie integracji górnych warstw społecznośc polskiej. Oto obserwacja Sulerzyskiego dotycząca nieco późniejszego okresu, ale mająca zastosowanie i do lat trzydziestych: „Wielu obywateli polskich, osobliwie na Ziemi Malborskiej [tj. przede wszystkim w Sztumskim] dotąd zniemczonych [...], przekonawszy się, że dla polskich nazwisk od wszelkich urzędów odsuwani bywają, głośno oświadczyli, że gorliwymi zostaną popieraczami narodowych usiłowań i szczerze dotrzymali słowa”²⁷.

Dawniej już wykazano pierwszorzędną rolę powstania listopadowego, a zwłaszcza powrotu i pobytu jego uczestników w Galicji, dla rozbudzenia patriotycznego tej prowincji, uśpionej politycznie od czasów I rozbioru²⁸. Do pewnego stopnia analogiczne zjawisko wystąpiło na Ziemi Chełmińskiej i na Pomorzu. Oczywiście, tutaj, na północy rezonans niedawnego zrywu narodowego w zaborze rosyjskim był o tyle słabszy niż w Galicji, o ile sytuacja ludności polskiej była trudniejsza w porównaniu z zaborem austriackim, gdzie funkcjonował wprawdzie wówczas bezwzględny metternichowski aparat biurokratyczny i policyjny, ale Polacy nie byli tak zagrożeni przez żywioł niemiecki jak w Prusach Zachodnich.

Natalis Sulerzyski w dniach, gdy resztki armii powstańczej zbliżały się ku granicy zaborów, codziennie jeździł do

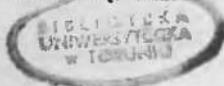
Brodnicy, był obecny przy wejściu do tej miejscowości głównych sił polskich. Zawarł też lub odnowił znajomości z oficerami powstańczymi, których spora grupka zatrzymała się na dłużej u Wilkxyckich w Ryńsku. Trzech z nich przygarwał w swym Karczewie, a do służby przyjął też jednego żołnierza. Podobnie postępowano w wielu dworach polskich, tak że do końca 1832 r. w prawobrzeżnych powiatach obwodu rejencyjnego kwidzyńskiego co najmniej tysiąc czterystu piętnastu wiarusów osiedliło się i znalazło pracę. Mimo wysiłków władz pruskich, aby ich się pozbyć, a przynajmniej przesiedlić na Pomorze Zachodnie, w końcu 1835 r. było ich nadal około tysiąca²⁰.

Pierwsza próba sprawdzenia szczerości i siły rozrosłych w 1831 r. nastrojów patriotycznych przydarzyła się Natalisowi, podobnie jak jeszcze kilku lub raczej kilkunastu ziemianom Ziemi Chełmińskiej, niespodziewanie prędko. Oto, w któryś z kwietniowych dni 1833 r. zastukał do drzwi karczewskiego dworu Kalikst Borzewski, młodszy kolega szkolny Natalisa z Gimnazjum Toruńskiego i towarzysz ze wspólnej stancji. Borzewski, właściciel wsi Chojno na Ziemi Dobrzyńskiej, a więc w Królestwie Polskim, gdy wybuchło powstanie listopadowe, 10 stycznia 1831 r. ogłosił swym poddanym, że który z nich pójdzie do armii polskiej na ochotnika, ten otrzyma na własność dziesięć morgów ziemi. Sam też poszedł walczyć, a po upadku powstania udał się na emigrację do Francji. Tam związał się ze sprzysiężeniem organizowanym przez tajną „Zemstę Ludu”, które przygotowywało wznowienie walki niepodległościowej w Polsce, tym razem w formie działań partyzanckich. Miały one zapoczątkować, a zarazem osłaniać rewolucje karbonarskie na zachodzie Europy. Na czele tej wyprawy stanął głośny w powstaniu, choć nie całkiem odpowiedzialny za swe pomysły i czyny, pułkownik Józef Zaliwski. Uczestnicy wyprawy, werbując ochotników, mieli w różnych punktach przekroczyć granicę zaboru rosyjskiego 19 marca 1833 r., co się jednak udało tylko nielicznym.

Borzewski, wyznaczony przez Zaliwskiego okręgowym płocko-lipnowskim, dotarł do Torunia dopiero gdzieś w pierwszym tygodniu kwietnia 1833 r. Znacznie go wyprzedził okręgowy warszawsko-sochaczewski, człowiek mocnego charakteru i zasad ideowych, członek Towarzystwa Demokratycznego Polskiego, Artur Zawisza. Już 10 marca przybył on do Turzna pod Toruniem, do gniazda spokrewnionych z nim Działowskich i nie doczekawszy się towarzy-

sza, w chlopskim przebraniu przeszedł i rozpoznał politycznie i wojskowo znaczną część województwa płockiego. Wynik tego rekonesansu, co do szans wznowienia walki powstańczej był zdecydowanie negatywny, lecz, w końcu przybyły, Borzewski nastawał na podjęcie działań. Zawisza ustąpił, aby stopniowo, już w czasie wyprawy, przejąć w swe ręce całość dowodzenia i odpowiedzialności. Borzewski przybył do Sulerzyskiego po pomoc przy przeprawie przez graniczną Drwęcę. Natalis pojechał z nim następnie do lasów pod Ryńskiem, gdzie znajdował się Zawisza, w towarzystwie miejscowego gorącego radykała, Niemca Riesenbecka, który dostarczył im broń. Pan Natalis podjął się też wobec Zawiszy werbowania ochotników do wyprawy, choć na początku lojalnie ostrzegał Borzewskiego, że jego zdaniem jest ona bez szans wobec defetystycznych nastrojów, dominujących w Królestwie. Wiedząc, że w twierdzy grudziądzkiej Prusacy trzymają kilkuset żołnierzy i podoficerów z armii polskiej, odmawiających skorzystania z amnestii rosyjskiej i powrotu do Królestwa (część z nich w półtora roku później, po wyekspediowaniu morzem na zachód, znalazła się w utopijno-socjalistycznej Gromadzie Grudziąż Ludu Polskiego), dotarł do nich i próbował, bezskutecznie, nakłonić do przyłączenia się do tej wyprawy. Ostatecznie jednak znalazł sześciu ochotników i ze szwagrem, Tadeuszem Wilczewskim, nocą podprowadził ich do Drwęcy. Pierwsza próba przeprawy nie powiodła się, ale ostatecznie, pod Słoszewami, przeprawili się łodzią, aby tegoż dnia stoczyć pierwszą drobną, ale krwawą potyczkę w Radzikach Małych z załogą pogranicznej, kozackiej strażnicy. Wydarzenie to miało miejsce nocą z 1 na 2 maja 1833 r. Później ruszyli dalej. Ostatecznie Borzewski ponownie zbiegł na emigrację, a Zawisza został stracony w Warszawie. O tym, że Sulerzyski udzielał im pomocy, dowiedziały się lokalne władze pruskie. Został więc on poddany przeciągającemu się śledztwu, a następnie postawiony przed sądem w Toruniu. Mimo różnych wybiegów skazano go wówczas na rok więzienia. Tym razem jednak minęło go ono i to bez odwołań sądowych, gdyż w 1840 r., po objęciu tronu przez nowego władcę, ogłoszona została ogólna amnestia. Tak więc w 1833 r. nastąpił debiut Natalisa jako czynnego patrioty polskiego, zdaje się też, że w tym czasie obudziło się w nim zainteresowanie działaniami emigracji politycznej i jej dorobkiem ideowym⁸⁰.

Zaangażowanie się grupki ziemian z Ziemi Chełmińskiej w pomoc uczestnikom wyprawy Zaliwskiego i następnie wy-



toczone przeciw nim postępowanie dochodzeniowe przez miejscowych i specjalnie przysłanych urzędników, pozostających w ścisłym kontakcie z władzami śledczymi w Warszawie, było jednak epizodem, nie mającym bezpośredniego wpływu na ogół miejscowej szlachty polskiej, choć z pewnością uważnie obserwowano przebieg wypadków.

O zamykaniu dostępu do kariery administracyjnej była już mowa. Lecz nie mniej, jeśli nie więcej, złej krwi robiły głośne deklaracje urzędników pruskich o zamierzonym przez nich germanizowaniu Wielkopolski i Pomorza w przyspieszonym tempie. Po 1815 r. wykorzystano narosłe u części szlachty polskiej zaległości w spłacie zaciągniętych wcześniej kredytów dla zlicytowania majątków, których właściciele, zwłaszcza przy ogólnym zastoju gospodarczym, nie byli w stanie szybko, jak tego żądano, uregulować długów. Aż po lata trzydzieste ziemia tu była wyjątkowo tania, co przyciągało kupców z głębi Niemiec. Niejeden nuworysz, dorobiwszy się nieco grosza w swych stronach rodzinnych, tu szybko zdobywał duże majątkości, nie bez przychylności i pomocy aparatu państwowego²¹. Z tychże powodów, z większym trudem i nie bez konfliktów z włościanami, postępowano przestawianiem się ziemiaństwa polskiego na nowy, kapitalistyczny już system gospodarowania.

Wspomnienia powstania listopadowego i impulsy idące z emigracji odgrywały zapewne wówczas pewną rolę w postępującym krystalizowaniu się bardziej zdecydowanych postaw narodowych. O wiele ważniejszy był jednak przykład, a także bezpośrednie inspiracje, idące od bardziej politycznie wyrobionego ziemiaństwa i inteligencji polskiej w Wielkim Księstwie Poznańskim. Demonstrowanie opozycji polskiej wobec państwa pruskiego i miejscowej ludności niemieckiej zaczęło się bardzo niewinnie — organizacją balów polskich. Łączono je z różnymi wyraźnie patriotycznymi wystąpieniami i manifestacjami. Pierwsze trzy takie bale odbyły się na Ziemi Chełmińskiej już w 1836 r. Zorganizowano je w pięknym pałacu w Nawrze, należącym do Władysława Kruszyńskiego. Patronował im, cieszący się dużym autorytetem, Karol Kalkstein z Pluskowęs koło Chełmży. Charakterystyczne, że w balach tych uczestniczyli goście z Poznańskiego, ale i zza kordonu, z Królestwa Polskiego. Natalis Sulerzyski zaangażował się i w tę formę działalności patriotycznej. W 1840 r. zorganizował z rozmachem bal polski w Grudziądzu, na którym byli też goście z Wielkiego

Księstwa Poznańskiego. Bal ów, według wspomnień inicjatora, mocno wystraszył Niemców grudziądzkich, a garnizon całą noc był w stanie pogotowia. Nie jest to wykluczone, gdyż podobne zaniepokojenie i napięcie wywołał wśród niemieckich mieszkańców Bydgoszczy, urządzony w pierwszą z sobót listopadowych 1845 r. w tamtejszym teatrze wielki bal zorganizowany przez powstałe niecały rok wcześniej Kasyno Polskie⁸². Tego rodzaju manifestacje spajały lokalną społeczność polską, podnosiły poziom jej uświadomienia politycznego, a także pogłębiały nieufność i podejrzliwość Niemców. Wszystko to sprzyjało polaryzacji postaw narodowych pod koniec drugiego ćwierćwiecza XIX stulecia.

Nie miał natomiast Natalis Sulerzyski bezpośredniego udziału w innym nurcie budzącego się polskiego ruchu narodowego na Ziemi Chełmińskiej i na Pomorzu, tj. bliższych powiązań z organizacjami uczniowskimi, zajmującymi się samokształceniem, przede wszystkim w zakresie języka i literatury polskiej, ale też dziejów narodowych i zagadnień społecznych⁸³.

Przygotowania do powszechnego powstania, rozwinięte w połowie lat czterdziestych XIX w., sterowane z emigracji przez Centralizację Towarzystwa Demokratycznego Polskiego, przynaglana przez radykalnych spiskowców krajowych, ogarnęły również Pomorze⁸⁴. Odegrały one poważną rolę w ożywieniu postaw patriotycznych, zwłaszcza wśród ziemiaństwa i młodzieży. Wbiły klin nieufności między Niemców i Polaków, a w pierwszych miesiącach 1846 r. dały okazję władzom pruskim do przeprowadzenia licznych aresztowań i innych represji, również w stosunku do Polaków niezaangażowanych w ruch spiskowy. Przy okazji nie zatwierdzono w Kwidzynie Stowarzyszenia Rolniczego, założonego przez polskich właścicieli ziemskich 9 grudnia 1845 r. na zjeździe w Wąbrzeźnie — pierwszego tego rodzaju przedsięwzięcia organizacyjnego na tym terenie.

Na początku stycznia 1846 r. przybył z Hawy do Brodnicy szwadron huzarów, z którego dwudziestu kawalerzystów odkomenderowano do Golubia. Do Chełmna natomiast 21 lutego wjechał szwadron pułku dragonów z Torunia. 11 stycznia przyjechał z Królewca prezes policji, Lauterbach, dawniejszy burmistrz, a następnie landrat chełmiński, a 14 utworzono komisję śledczą. Od tego momentu podjęta została energiczna akcja śledcza i represyjna. Przy emisariuszu, pochwyconym w powiecie lubawskim przez policję pruską znaleziono spis majątków w Brodnickiem, z których ewen-

tualnie będzie można zmobilizować ludzi i konie. To wystarczyło do aresztowania ich właścicieli, choć w istocie byli oni dalecy od angażowania się w jakieś demokratyczne spiski. Aresztowano też kilku ziemian przebywających właśnie w Hotelu Berlińskim w Chełmnie. Za murami twierdzy grudziądzkiej znalazło się ponad sto osób, wśród których byli uciekinierzy z Królestwa i emigranci. Większość stanowili właściciele ziemscy, którym policja pruska niczego nie była w stanie udowodnić. W pierwszej połowie stycznia pozbawiono wolności wielu Polaków także w Toruniu i Chełmnie, gdzie byli wśród rzemieślników członkowie Związku Plebejuszy Walentego Stefańskiego (denuncjowanego i aresztowanego jeszcze w listopadzie 1845 r.). Niezależnie od tego, podobno jednak, wielu ze szlachty chełmińskiej w przededniu planowanego terminu wybuchu powstania miało zgromadzić się we dworze Wilkxyckich w Ryńsku⁸⁵.

Natalis Sulerzyski utrzymywał kontakty z emisariuszami sprzysiężenia i pomagał im. Znał też już wówczas i przyjmował u siebie Seweryna Elżanowskiego a także Ludwika Ostaszewskiego, który zbiegł z Królestwa na Pomorze jeszcze w styczniu 1844 r. i był głównym organizatorem powstańczym na Prusy Zachodnie. Znał też Stanisława Radkiewicza, jednego z nielicznych ziemian pomorskich mocno związanych z konspiracją, jednakże do spisku nie należał, a nawet w pełni nie aprobował jego programu, być może wówczas jeszcze dlań zbyt radykalnego. Mimo tego, w drugiej połowie stycznia 1846 r. został aresztowany i, choć był obłożnie chory, przewieziono go pod eskortą z Piątkowa do fortecy grudziądzkiej. Tam więziono go, w znośnych zresztą warunkach, przez dwa miesiące, aby po przesłuchaniach, które nie dały spodziewanych rezultatów, bo ich dać nie mogły, ostatecznie, gdzieś pod koniec marca 1846 r., wypuścić na wolność. To bezprawne, na bardzo ogólnych podejrzeniach oparte, uwięzienie Sulerzyskiego, ostatecznie zakończyło jego samoedukację polityczną. Od tego czasu, chyba właśnie pod wpływem przeżyć wywołanych represjami pruskimi, jeszcze bardziej czynnie zaangażował się w ryzykowne nawet działania patriotyczne. Przeczytał w gazecie, w czasie pobytu w twierdzy grudziądzkiej, tekst krakowskiego Manifestu Rządu Narodowego z 22 lutego 1846 r. uznał jego zasady za swoje. A półtora roku później z entuzjazmem przyjął „świetną mowę” Ludwika Mierosławskiego, wygłoszoną 3 sierpnia 1847 r. na berlińskim procesie uczestników konspiracji powstańczej⁸⁶.

Sulerzyskiemu nie przywrócono, odebranego w czasie are-
sztu, urzędu radcy okręgu Towarzystwa Kredytowego. A kie-
dy wybrano go — również głosami chłopów — na posła do
połączonych sejmów prowincjonalnych (Vereinigten Land-
tag), czyli pierwszego sejmiku ogólnopruskiego, to zawieszono
go w czynnościach i do Berlina pojechał, wybrany jako
zastępca, inny ziemianin, Józef Kossowski. Nic więc dziw-
nego, że Sulerzyski należał do tych osób, które w Prusach
Zachodnich ze szczególną satysfakcją dowiedziały się o wy-
buchu rewolucji w Berlinie w marcu 1848 r. i z całym za-
palem zaangażowały się w działalność polityczną. Początko-
wo zresztą wszystko mogło wskazywać na to, że istnieje
znaczną zbieżność interesów Polaków i Niemców, co zdawało
się gwarantować możliwość harmonijnego, a zarazem bar-
dziej zgodnego z interesami polskimi ułożenia stosunków
między tymi dwiema grupami narodowymi również na Zie-
mi Chełmińskiej i na Pomorzu. W marcu i kwietniu 1848 r.
działaczom polskim z tych ziem, jak i bardziej doświad-
czonym od nich politykom emigracyjnym, zdawało się, że
rewolucja marcowa gwarantuje stałe rządy liberalne i wiel-
kie reformy konstytucyjne w państwie pruskim. To zaś mu-
si doprowadzić do konfliktu zbrojnego z reakcyjną Rosją
Mikołaja I i zmusi Prusy do szukania sojusznika w Pola-
kach, a więc i do daleko idących ustępstw wobec ich dążeń nie-
podległościowych. W rzeczywistości jednak Petersburg, miast
interweniować zbrojnie w ogarniętych rewolucją Niem-
czech, zrobił wiele, aby nie dopuścić do konfliktów gra-
nicznych i wojny. Dopomógł mu w tym Rząd Tymczasowy
II Republiki Francuskiej, a zwłaszcza kierujący polityką
zagraniczną Alfons de Lamartine, który uzyskania stabilizacji
wewnętrznej i uznania zewnętrznego odciął się od
realnego popierania dążeń polskich. Najważniejsze było to,
że na dłuższą metę siły konserwatywne, w tym aparat ad-
ministracyjny i wojsko, okazały się w Prusach przeważa-
jące. W zaborze pruskim większość ludności niemieckiej
była zdecydowana je popierać. Wynikało to z interesu kla-
sowego i powiązań z aparatem władzy, a także chęci przy-
wrócenia konserwatywnego ładu w imię umocnienia niem-
czyzny, w imię pozostania tu jako warstwa dominująca pań-
stwowo. W polskich prowincjach państwa pruskiego w cza-
sie Wiosny Ludów pruski interes państwowy, tzn. sprawa
utrzymania tych obszarów w granicach państwa Hohenzol-
lernów, stawiany był na miejscu pierwszym przed progra-
mem reform, szybko też ujawniło się karne podporządko-

wanie się lokalnych działaczy niemieckich decyzjom podejmowanym w kręgach kamaryli dworskiej i regionalnych ośrodków administracyjnych. Lekcja 1848 r. nie pozostała bez wpływu na postawy działaczy polskich z kręgów ziemiaństwa i inteligencji, wpłynęła też w pewnej mierze na przemiany w postawie narodowej drobnomieszczaństwa, a nawet włościan polskich. Do 1848 r. na Pomorzu dominował, w pełni zrozumiały, wobec zastosowanych w imię interesów junkierstwa metod uwłaszczenia, konflikt klasowy między wsią a dworem, również wówczas, gdy był to dwór polski. Ostatecznie jednak zakończenie do 1850 r. tego procesu, zademonstrowana bezwzględność realizacji własnych celów narodowych przez Niemców, posunięcia antyreligijne i skierowane przeciw klerowi katolickiemu, a także początki polskich akcji oświatowych, przede wszystkim poprzez literaturę i prasę „dla ludu”, zaczęły zmieniać nastawienie wsi w kierunku bardziej narodowym, choć był to proces powolny i zróżnicowany⁸⁷.

Natalis Sulerzyski w pierwszej fazie wydarzeń rewolucyjnych na Ziemi Chełmińskiej, tj. w ostatniej dekadzie marca i w pierwszych dniach kwietnia 1848 r., odgrywał rolę pierwszorzędną. Zwany był nawet, i to bardziej przez Niemców jak Polaków, nie bez pewnej, ale przecież wymownej, złośliwości — „królem Prus Zachodnich”⁸⁸. 21 lub 22 marca 1848 r. wyruszył on z Piątkowa do Torunia dla lepszego zorientowania się w sytuacji politycznej. Po drodze spotkał wypuszczonych, przez lud berliński, z moabickiego więzienia Seweryna Elżanowskiego i księdza Jana Tułodzieckiego. Ci, już w czasie podróży powrotnej z Berlina, występowali z agitacyjnymi przemówieniami. W Toruniu przekonał się o ogólnym poruszeniu umysłów, o objawach sympatii dla Polski wśród wielu Niemców i o potrzebie nadania kształtu organizacyjnego temu spontanicznemu ruchowi. W Toruniu dotarł też do Sulerzyskiego posłaniec, utworzonego 20 marca, poznańskiego Komitetu Narodowego z jego odezwą, którą ziemianin z Piątkowa miał rozpowszechnić w obu językach, a która m.in. zawierała deklarację przeciw włączaniu Polaków z zaboru pruskiego do przyszłej, zjednoczonej Rzeszy niemieckiej. Dla odczytania tego dokumentu politycznego miało być zwołane 23 marca wielkie zgromadzenie w sali mieszczańskiej Ratusza Toruńskiego. Lecz zaniepokojone miejscowe osobistości niemieckie, obawiając się gwałtownych wystąpień polskiego plebsu toruńskiego i ludu z okolic miasta, rozpoczęły zabiegi, aby Sulerzyski ograniczył się

tylko do wydrukowania i rozpowszechnienia kilkuset egzemplarzy odezwy poznańskiej. Owe obawy z pewnością nie były bezpodstawne. Wiadomo bowiem, że dzień wcześniej, 22 marca, w Chełmnie doszło do wielkiego zbiegowiska wygłodzonej biedoty polskiej (rok 1847 był wyjątkowo nieurodzajny), zrabowano część straganów z chlebem i dopiero pod wieczór zorganizowana ad hoc mieszczańska straż obywatelska, z profesorem gimnazjum, Wesenerem na czele, zaprowadziła porządek. W Toruniu 23 marca Sulerzyski nie wystąpił publicznie, był już w drodze do Piątkowa. Podobno jednak doszło do skutku zgromadzenie w wielkiej sali ratuszowej, tyle że odezwę odczytał Dąmbski z Kaczkowa³⁹.

W Piątkowie, 25 marca zebrała się grupa działaczy patriotycznych, a wśród nich i wysłannik Komitetu poznańskiego. Wówczas też, w sposób spontaniczny, uformował się pierwszy skład Komitetu Tymczasowego Polskiego dla Prus Zachodnich. Przygotowano, przepisana po polsku i niemiecku w kilkunastu egzemplarzach i zaraz rozesłaną przez konnych posłańców, krótką odezwę, zredagowaną przez Sulerzyskiego, wzywającą na wielki zjazd do Wąbrzeźna, gdzie miano radzić nad współdziałaniem polsko-niemieckim w spodziewanym konflikcie zbrojnym Prus z Rosją. 28 marca 1848 r. doszło w Wąbrzeźnie do zgromadzenia, ze znacznym udziałem Niemców, choć część z nich od początku z rezerwą odnosiła się do polskich inicjatyw. Tam właśnie dotarła do Sulerzyskiego oficjalna nominacja Komitetu Narodowego w Poznaniu na organizatora Prus Zachodnich, podobne zresztą otrzymali Kossowski (zapewne Józef) i Kucharski, ale przywództwo przejął Natalis. W istocie działał on w duchu radykalniejszych koncepcji Komitetu Rewolucyjnego, zawiązanego w Berlinie 21 marca, z Mierosławskim i Libeltem na czele, a nie umiarkowanego Komitetu poznańskiego. Bo też trzeba pamiętać, iż najbliższymi jego współpracownikami byli wówczas niedawni moabitczycy⁴⁰.

Na zjeździe wąbrzeskim, 28 marca, który strona polska zaczęła w duchu pojednawczym, podnosząc potrzebę przygotowania się do spodziewanego konfliktu z Rosją, doszło jednak do wyizolowania się Niemców, gdy na porządku dziennym stanęła sprawa ewentualnego powrotu Prus Zachodnich w granice odbudowanego państwa polskiego, a w trakcie obrad zjawił się na sali wysłannik prezydenta obwodu kwidzyńskiego, radca rejencyjny, Heinrich von Anz, występujący przeciw zbrojeniu się w broń palną. Już po wyco-

faniu się Niemców ostatecznie powołano Tymczasowy Komitet Narodowy Prus Polskich, który za swą siedzibę uznał Chełmno. Powołano do niego, poza Sulerzyskim, księdza Jana Tułodzieckiego, Seweryna Elżanowskiego, byłego majora wojsk polskich Korewę, oraz szypa z Grudziądza Michała Feliksa Zakrockiego. Wówczas też obrano Ignacego Łyskowskiego wysłannikiem do parlamentu frankfurckiego, gdzie miał, wspólnie z Władysławem Niegolewskim z Wielkiego Księstwa, bronić polskich praw narodowych na Pomorzu. Dotarł on nad Men już 1 kwietnia i tam różni politycy niemieccy zapewnili go o pełnej praworządności działań i zgromadzeń polskich w Prusach Zachodnich. Nie miało to jednak żadnego praktycznego wpływu na postawę miejscowych władz i środowisk niemieckich⁴¹.

Członkowie Komitetu następnego dnia po zjeździe wąbrzeskim, tj. 29 marca, zredagowali w Piątkowie, a ogłosili drukiem w Chełmnie odezwę do *Braci Polaków tu zamieszkałych*. Otwierały ją hasła wielkiej rewolucji francuskiej — zrównanie prawne ludzi, likwidacja różnic stanowych, ale całość była utrzymana w umiarkowanym tonie, wzywano do pojednania społecznego i pojednania narodów, przerzucając odpowiedzialność za waśnie między nimi na „matactwa kilkorga samolubów i ludzi złej woli”. Przede wszystkim jednak znalazło się tam wezwanie do zbrojenia się przeciw Moskwie, wobec jej „możliwej napaści [...] na wolność naszych braci Niemców”, ale też „aby ujarzmionym naszym braciom w tak zwanym Królestwie Polskim silną a zbrojną dać pomoc ku wywalczeniu niepodległości Polski”⁴². Wy-mowniejsza — i dla Polaków, i dla miejscowych Niemców — była inna odezwa, skierowana do *Braci Polaków ziem polskich pod nazwiskiem Prus Zachodnich*, nie datowana⁴³, a drukowana w Bydgoszczy. W tym dokumencie programowym na plan pierwszy wysunięto kwestię przyszłego losu Pomorza. Jego autorzy, także występujący jako Tymczasowy Komitet Narodowy Prus Zachodnich (wśród nich Natalia Sulerzyski) stwierdziwszy, iż Poznańskie oddane zostało z „sympatii” przez lud niemiecki Polakom, podkreślali że Prusy Zachodnie też „należą do wspólnej naszej Ojczyzny — Polski”, ale nie jest to prawda dla Niemców oczywista. I dlatego trzeba zrobić wszystko, aby dowieść polskości tej prowincji. Tym zajmie się właśnie Tymczasowy Komitet Narodowy i wysłany przezeń do Frankfurtu deputowany, Ignacy Łyskowski. W dalszej części odezwy wzywano do scalenia polskich szeregów i głoszone równocześnie wiarę w dobrą

wolę ludu niemieckiego, który teraz, jako „wolny wymierzy swym braciom sprawiedliwość i pokaże, że nie rozległość granic szczęście narodu stanowi, ale wolność i instytucje oparte na zasadzie braterstwa”. W tejże odezwie znalazło się wezwanie na wielkie zgromadzenie Polaków, które, przed południem 5 kwietnia, w Chełmnie, miało powołać stały Komitet Narodowy dla tych ziem. Zaproszono na to zgromadzenie i Niemców, wątpliwe jednak, aby zachętą do współdziałania dla nich mogła być zapowiedź odezwy, że zaraz po powołaniu tego stałego Komitetu „rozpocznem dalsze kroki do ocalenia całej naszej Ojczyzny i do uzbrojenia się ogólnego przeciw grożącym nam Moskałom”⁴⁴.

Sulerzyski, w tych gorących dniach, nie ograniczał się tylko do redagowania odezw i wygłaszania przemówień. Po sformowaniu się Komitetu Tymczasowego, z Elżanowskim i Tułodzieckim przystąpili do opracowania założeń polskiej siatki organizacyjnej. Przewidywano powołanie w powiatach komisarzy wojskowych, dla organizacji i wyposażania oddziałów zbrojnych, oraz cywilnych dla gromadzenia pieniędzy i neutralizowania przeciwdziałań administracji pruskiej. Plany te zaczęto wcielać w czyn. W okolicach Wąbrzeźna major Korewa organizował pierwsze oddziały zbrojne. Podjął też Sulerzyski, zrezygnowawszy, jako poseł z wyborów 1847 r., z wyjazdu do Berlina na sejm (wysłał tam swego zastępcę — Kossowskiego), bezpośrednie działania w terenie, zmierzające do stworzenia spójnej polskiej siatki organizacyjnej. 29 marca przybył z grupą szlachty konno do Gołubia, dla sprawdzenia, czy w areszcie nie ma połączonych uciekinierów z Królestwa, których miejscowe władze pruskie wydawały Rosjanom, oraz dla zorganizowania uzbrojenia ochotników. Ostro pertraktowano z burmistrzem i zarządcą majątków państwowych. Wyprawa ta szybko urosła — w rozpowszechnianych przez Niemców plotkach — do swoistego najazdu na miasteczko, w trakcie którego miano zerwać herb państwa pruskiego z urzędowego budynku, a zawiesić na nim białego orła oraz ogłosić polską władzę. Od tego czasu, wśród zaniepokojonych i czujących się w stanie zagrożenia i niepewności jutra niemieckich mieszkańców południowej części Prus Zachodnich, krążyły plotki i przesadne wieści o działaniach i wpływach Sulerzyskiego i jego najbliższych towarzyszy. W czasie powstania styczniowego powtórzyło się to z jeszcze większym nasileniem.

Nie przypadkiem więc rosła siła działania niemieckiego przeciw akcjom patriotów polskich (mimo ciągle głoszonej

przez Sulerzyskiego i jego towarzyszy potrzeby współdziałania), w której zgodnie współpracowały lokalne władze, zdecydowana większość miejscowej ludności niemieckiej, również tej społecznie niżej postawionej, oraz armia. Działania te z czasem, po opadnięciu fali rewolucyjnej w stolicy, zostały też zaaprobowane faktycznie przez centralne ośrodki władzy w Berlinie. Gdy Sulerzyski przybył z dwoma towarzyszami do Brodnicy, 30 marca, i podjął rozmowy z miejscowym burmistrzem i innymi osobistościami w hotelu Dopatki, podniecony tłum Niemców o mało ich nie zaatakował. Z tego względu musieli więc pośpiesznie opuścić miasto. Sulerzyski wydał wówczas ostrzegawczą odezwę, w rezultacie której Polacy m.in. bojkotowali ten hotel. Następnie udał się on jeszcze w okolice Nowego Miasta w Lubawskie. W tymże czasie aresztowano i uwięziono w kazamatach twierdzy grudziądzkiej miejscowego szypra i zamożnego mieszczanina, Michała Zakrockiego, członka Komitetu, patriotę, aktywnego politycznie już w poprzednich latach. W odpowiedzi na zgromadzenie wąbrzeskie, 30 marca 1848 r. odbyła się demonstracja niemiecka w Chełmży, a 3 kwietnia wielkie zgromadzenie w Chełmnie, na którym domagano się pozostawienia tej prowincji w państwie pruskim. 2 kwietnia ogłoszono dwujęzyczne obwieszczenie władz rejencyjnych kwidzyńskich, m.in. kategorycznie zakazujące zbrojenia ludności. Równolegle podjęto też działania wojskowo-policyjne, wydawszy z Królewca 31 marca stosowną odezwę. Do poszczególnych miejscowości, będących ośrodkami ruchu polskiego, lub w których ludność niemiecka czuła się zagrożona, wkroczyły oddziały jazdy, a za nimi piechoty pruskiej. Dwa szwadrony 5. pułku kirasjerów przybyły do Chełmna w przeddzień zapowiedzianego na 5 kwietnia w tym mieście wielkiego zgromadzenia polskiego. Sulerzyski i ksiądz Tułodziecki, przebywający już od 2 kwietnia w Chełmnie i oczekujący, wobec zmieniającej się sytuacji, nowych instrukcji z Poznania, zostali 4 kwietnia aresztowani (rozkaz ich uwięzienia wydano już 1 kwietnia) i potajemnie przewiezieni do fortecy grudziądzkiej. Jedynie Elżanowskiemu, który właśnie powrócił z Poznania, w ostatniej chwili udało się uciec. Zbierając uzbrojony lud, głównie kosynierów, rozpoczął on, podobno w Borach Tucholskich, formowanie partii zbrojnej i przeszedł z nią do Wielkiego Księstwa Poznańskiego⁴⁵. Uwięzienie przywódców, rozbicie Komitetu, a przede wszystkim obecność wojska w Chełmnie przekreśliły możliwość odbycia tam wielkiego zgromadzenia polskiego. Był to moc-

ny cios, zadany ruchowi polskiemu na Pomorzu już w początkach Wiosny Ludów.

Sulerzyskiego z towarzyszami (znalazł się wśród nich również jeszcze jeden członek Komitetu — major Korewa) więziono w Grudziądzu przez długie miesiące 1848 r. Poddawano ich przesłuchaniom i kwalifikowano niedawną działalność polityczną jako zdradę stanu. Nawet wówczas, gdy ogłoszono amnestię dla uczestników wydarzeń rewolucyjnych w Wielkim Księstwie, początkowo nie objęto nią uwięzionych działaczy polskich z Ziemi Chełmińskiej. Dopiero po wystąpieniach, 11 października i dwakroć później, w sejmie berlińskim posła księdza Karola Richtera, Niemca z Westfalii, ale związanego z Pomorzem jako dyrektora Gimnazjum Chełmińskiego, a następnie kanonika pelplińskiego, zostali oni zwolnieni w początkach listopada 1848 r. Na tym jednak działalność publiczna Sulerzyskiego w owym gorącym czasie się nie skończyła. Działał także w Lidze Polskiej, a już 9 lutego 1849 r. wybrano go posłem do drugiej izby sejmku pruskiego, co miejscowe władze uznały za „bolesny” fakt. Na wiosennej sesji sejmku w Berlinie występował jako jeden ze śmielszych i radykalniejszych posłów polskich. Wkrótce zresztą, w atmosferze zwycięstw reakcji w Europie i krajach niemieckich, rozwiązano sejm. W następnych wyborach, z inicjatywy Sulerzyskiego, jeszcze w tymże 1849 r. wybrano z okręgu brodnicko-lubawskiego do nowego składu sejmku — chłopca Elminowskiego. Sulerzyski był też aktywistą (kasjerem powiatowym), założonego 30 października 1848 r. w Chełmnie, po kilkuletnich przygotowaniach, Towarzystwa Naukowej Pomocy, mającego wielkie zasługi dla kształtowania się inteligencji polskiej na Pomorzu i to również spośród uboższej młodzieży⁴⁶.

Koniec lat czterdziestych XIX w. to okres szczytowej aktywności społecznej i politycznej Natalisa Sulerzyskiego, czego ukoronowaniem były działania prowadzone między 21 marca a 4 kwietnia 1848 r. Inne, dramatyczne wydarzenia tamtego gorącego roku, o większym zasięgu terytorialnym, lub bliższe wielkich centrów politycznych, jak choćby wypadki rozgrywające się w Wielkopolsce w kwietniu i maju, zepchnęły w niepamięć pełne napięcie i konfliktów konfrontacje rewolucyjne i narodowe na Ziemi Chełmińskiej, na Pomorzu, a także i Prusach Wschodnich. Lecz o tym, że kilkunastodniowa działalność Tymczasowego Komitetu Narodowego Prus Zachodnich i jego przewodniczącego nie ograniczyła się tylko do przemówień i odezw, świadczą zaawan-

sowane próby sformowania polskich oddziałów zbrojnych na terenach między Drwęcą a Wisłą i dalej na zachód. Odbywało się to w sposób dość żywiołowy. Na teren ten przedostawały się pojedyncze osoby i grupy młodych ludzi z Królestwa, licząc na bliski konflikt zbrojny między Prusami a Rosją i polski w nim udział. Łączyli się oni z miejscową młodzieżą w małe oddziały, a następnie, gdy spodziewana wojna nie rozpoczęła się, starali się przejść do Wielkiego Księstwa, do założonych tam polskich obozów wojskowych. Dnia 5 kwietnia 1848 r. pod Łabiszynom został zaatakowany przez pruskich huzarów mały oddział kawalerzystów, jadących zresztą bez broni, złożony głównie z ochotników z Płockiego, a prowadzony przez sąsiada Sulerzyskiego — Aleksandra Wysockiego. Został on zabity, a wszyscy żołnierze, wśród których było dziewięciu rannych, dostali się do niewoli. O partii Elżanowskiego wspomniano już wcześniej. Wieczorem 24 kwietnia podeszła pod Brodnicę, od strony komory celnej, duża grupa ochotników polskich, która gdy brodniczanie nie chcieli jej przepuścić przez swoje miasto, w innym miejscu przepawiła się przez Drwęcę. Przez Kowalewo również przeciągnął mały oddział pieszych i konnych (dwudziestu-czterdziestu), a mówiło się nawet o pięciuset zbrojnych w okolicy. Drobniejszych incydentów tego rodzaju zapewne było więcej. W połowie kwietnia 1848 r. w Brodnicy i Golubiu przetrzymywano około ośmiuset uciekinierów z Królestwa. Nic więc dziwnego, że wśród zaniepokojonej ludności niemieckiej, a trzeba pamiętać, iż było to w dwa lata po głośniejszej w całej Europie rzezi galicyjskiej, błyskawicznie rozchodziły się różne alarmujące wieści, po części zresztą zapewne świadomie rozpuszczane przez niektórych urzędników i junkrów pruskich dla wzmocnienia nastrojów antypolskich i antyrewolucyjnych. I tak, 17 kwietnia 1848 r., rozeszła się pogłoska o przygotowywanym przez Polaków mordowaniu Niemców, a jeszcze 14 maja mówiono o zamierzonym polskim ataku na Świecie⁴⁷. Nic więc dziwnego, że pogłębiała się obustronna nieufność, którą wzmocnić miały jeszcze represje pruskiego aparatu władzy i policji.

Sulerzyski z lekcji 1848 r. wyciągnął jednoznaczny wniosek — o harmonijnym współżyciu między Polakami, a lokalnymi władzami i większością ludności niemieckiej w Prusach Zachodnich nie może być mowy. Tę ocenę umocniły w nim jeszcze różnego rodzaju szykany administracyjne, jakie nań spadły od 1849 r.: procesy o ziemię i dzier-

żawy, denuncjowanie i wydalanie pracujących u niego, w charakterze oficjalistów, emigrantów lub zbiegów z Królestwa, a nawet powtarzające się próby groźnych podpałów jego nowej rezydencji, zbiorów i zabudowań gospodarczych, o co, zasadnie chyba, podejrzewał niemieckich sąsiadów. Tak więc konflikty sąsiedzkie, pogłębiane nierównością stron w stosunkach z władzami, spletały się coraz bardziej z konfliktami narodowościowymi, co będzie na tych ziemiach trwać aż po II wojnę światową, wywołując z czasem, trudne do wytłumaczenia na gruncie stosunków wyłącznie narodowych, natężenie wrogości. Mimo tego jednak, Sulerzyski dopiero w czasie powstania styczniowego i kolejnych represji jakie na niego wówczas spadały, zrozumiał, że jakiegokolwiek bardzo nawet ograniczone, aspiracje narodowe Polaków lub też próby pomocy braciom z innego zaboru, skierowane nie bezpośrednio przeciw państwu pruskiemu, będą zwalczane przez cały aparat rządzący i przemocą tego państwa, i to w sposób bezwzględny. Jak sam po latach wspominał, jeszcze w 1860 r., gdy wybrano go jednym z kandydatów na landrata brodnickiego, zdecydował się, podobnie jak Ignacy Łyskowski, na spisanie po niemiecku życiorysu, obszernego i bardzo krytycznego w ocenie polityki lokalnej administracji, będąc przekonanym: „iż tylko rząd naszej prowincji pozwala sobie nadużyć bez wiedzy i woli najwyższych władz berlińskich” swych kompetencji, i że jego pismo spowoduje odgórną interwencję⁴⁸.

W przeciwieństwie do wielu ziemian z zaboru pruskiego, którzy w latach reakcji po rewolucjach 1848 i 1849 r. starali się ograniczać współpracę z emigracją polityczną, Sulerzyski nadal nie przerywał z nią kontaktów. Zatrudniał jako administratorów i nauczycieli domowych uciekinierów politycznych z Królestwa oraz osoby powracające z Zachodu (był wśród nich Włodzimierz D. Wolski, autor libretta do *Halki* S. Moniuszki). Władze policyjne i sądowe pruskie doliczyły się kilkunastu takich osób, sam Sulerzyski przyznaje się do kilkudziesięciu. Docierały doń czasopisma i druki ulotne emigracyjne (m.in. organ Centralizacji Towarzystwa Demokratycznego Polskiego, wydawany wówczas w Londynie — „Demokrata Polski”), ale także nielegalne wydawnictwa krajowe, publikowane w okresie poprzedzającym bezpośrednio wybuch powstania styczniowego. Osoba Natalisa Sulerzyskiego była dobrze znana działaczom emigracyjnym o orientacji umiarkowanej demokratycznej, związanym zwłaszcza z Ludwikiem Mierosławskim. Do Piątkowa wysyłano

różne odezwy, listy polecające ludzi jadących z emigracji, a także apele o wsparcie finansowe. Sulerzyski nie pozostawał na nie głuchy. Wiadomo, dzięki policji pruskiej, że 16 grudnia 1861 r. przesłał na utrzymanie polskiej szkoły wojskowej w Cuneo w Piemoncie 1050 talarów zebranych po okolicznych dworach polskich. Również i w bardziej jawny sposób manifestował on swą aktywność patriotyczną. Angażował się w akcje przedwyborcze, mające zapewnić wybór do sejmu berlińskiego większej liczby posłów polskich. 11 września 1860 r. był w Żerkowie w Wielkopolsce, występując w składzie trzyosobowej delegacji Prus Zachodnich, która przybyła z okazji ponownego zgłoszenia kandydatury Władysława Niegolewskiego. Podpisał także odezwę ogłoszoną w chełmińskim „Nadwiślaninie” w sprawie konieczności ścisłej współpracy w sejmie berlińskim posłów polskich w sprawach narodowych. A kiedy i ziemie pomorskie ogarnęła fala nabożeństw i obchodów rocznicowych, mających charakter manifestacji patriotycznych, także i w nich Sulerzyski zaznaczył swoją obecność. W rocznicę odsieczy wiedeńskiej 12 września 1861 r. siedł z krzyżem na czele procesji, udającej się z Nowego Miasta Lubawskiego do klasztoru w Łąkach, gdzie po patriotycznym kazaniu księdza Ignacego Knasta odśpiewano *Boże coś Polskę*. W tymże roku, 13 września, wspólnie z Ignacym Łyskowskim, założył w Brodnicy Towarzystwo Agronomiczne. Była to pierwsza z szeregu tego rodzaju organizacji w Prusach Zachodnich, której znaczenie społeczne, a nawet narodowe, daleko wybiegało poza sprawy gospodarowania na roli. Zarówno to, jak i następne, szybko powstające w poszczególnych powiatach stowarzyszenia, stawiały przed sobą podobne zadania jak Towarzystwo Rolnicze w Królestwie, tyle że ich członkowie byli w latach przedpowstaniowych bardziej demokratycznie nastawieni niż mieszkańcy Kongresówki i Wielkopolski⁴⁹.

Ówczesne nastroje i poglądy Sulerzyskiego dobrze ilustruje mowa żałobna, wygłoszona przezeń 4 lutego 1862 r. w Pluskowęsach, nad grobem przyjaciela i znanego patrioty, Karola Kalksteina. W niej to jawnie nawiązał do tragicznych wydarzeń warszawskich i stwierdził, że „naród cały w żałobie postanowił nie zdejmować jej prędeży, aż ją zamieni na godowe szaty wolności”. Zalecał też jedność narodową, realizowaną przede wszystkim poprzez zbliżenie i jednanie się ziemiaństwa z ludem, „który tak szczerze pracuje na polskiej ziemi i nie da się z niej wyrugować”⁵⁰.

Trudno jest precyzyjnie określić miejsce, rolę i działania

Natalisa Sulerzyskiego w formującej się od 1861 r. tajnej organizacji narodowej na Ziemi Chełmińskiej i na Pomorzu. Wynika to zarówno z faktu, iż niewiele o tej organizacji, a zwłaszcza o jej składzie osobowym wiadomo, jak i z milczenia samego Sulerzyskiego, który spisując swe *Pamiętniki* w siedem lat po powstaniu styczniowym zapewne świadomie, ze względu na bezpieczeństwo ludzi zaangażowanych w ruch, ominął sprawy, których nie udało się rozwikłać do końca policji i prokuraturze pruskiej. Julian Łukaszewski — organizator powstańczy zaboru pruskiego — kamuflując, z tychże powodów, nieco nazwiska, stwierdził we wspomnieniach, że „w Prusach Zachodnich było jawne przychylenie się na stronę ruchu i żywsze stosunki z Królestwem [...]. Z obywateli tamecznych najczynniejszymi byli, bez zaprzeczenia, w robotach przedpowstańczych: I [łowecki] Józef i S[ulerzyski] Natalis”⁶¹.

Zaczątki podziemnej organizacji narodowej na Ziemi Chełmińskiej, jak już wspomniano, sięgają jesieni 1861 r. Najprawdopodobniej na jej czele stanął Mieczysław Łyskowski. Był on o ćwierć wieku młodszy od Sulerzyskiego i być może dlatego funkcję tę powierzono jemu, a nie sześćdziesięcioletniemu właścicielowi Piątkowa. Sulerzyski był zresztą przeciwny podejmowaniu w tamtym czasie walki zbrojnej, która jego zdaniem — jak to często powtarzał młodym konspiratorom przybywającym z Warszawy — jest z góry skazana na klęskę. Przed styczniem 1863 r., jak zresztą i wcześniej, uważał, że Polacy winni czekać na wielki konflikt europejski, który nadejść musi, i wówczas dopiero przejść do czynu, wykorzystując koniunkturę międzynarodową. Te zastrzeżenia programowe w niczym mu jednak nie przeszkadzały w udzielaniu pomocy sprzysiężeniu. Jego domostwo w Piątkowie stało się jednym z głównych punktów przerzutu ludzi i oparcia dla agentów Komitetu Ruchu, a następnie Komitetu Centralnego Narodowego, operujących w Prusach Zachodnich i w całym zaborze pruskim. Przebywali tam, m.in. Józef Demontowicz i Leon Martwell (czyli faktycznie Heilpern). Kiedy zaś już powstanie wybuchło, Sulerzyski, mimo swego sceptycyzmu co do szans jego powodzenia, konsekwentnie stał na stanowisku, że gdy już się zaczęło, trzeba je wspierać. Nie był to pogląd odosobniony wśród polskiego ziemiaństwa Prus Zachodnich, nie przypadkiem głosił go też chełmiński „Nadwiślanin”. I tym różnili się Pomorzanie od szlachty wielkopolskiej, nieufnej wobec ludzi dążących do walki w Warszawie. Ta odmien-

ność postaw ziemiaństwa pomorskiego dopiero niedawno została uwypuklona przez historyków — znawców dziejów 1863 r.⁵² Wydaje się, że właśnie doświadczenia publiczne Natalisa Sulerzyskiego od 1830 po 1864 r. jasno to tłumaczą. Przy pogłębiającym się nacisku germanizacyjnym, przy wyraźnym wyrywaniu ziemi z rąk polskich, atakach na język polski w szkolnictwie, zamknięciu drogi do lokalnych urzędów, obojętnej lub wrogiej postawie znacznej części duchowieństwa katolickiego niemieckiego pochodzenia wobec wiernych polskich, coraz dotkliwszych represjach administracyjnych, narastało poczucie zagrożenia narodowego, silniejsze niż gdzie indziej. To zaś prowadziło do przekonania o konieczności solidarności ponadregionalnej i ponadstanowej oraz potrzebie stosowania zdecydowanych form walki, nawet kosztem poważnych wyrzeczeń majątkowych i osobistych.

Kiedy w niedalekim Królestwie zaczęły się powstańcze działania zbrojne, Piątkowo stało się ważnym punktem oparcia i pomocy dla ochotników z emigracji i z głębi zaboru pruskiego, przekradających się na pole walki. Sprzyjała temu stosunkowo niewielka odległość od granicznej Drwęcy, bliskość ważnych szlaków komunikacyjnych, przy równoczesnej pewnej dyskretności położenia, ale przede wszystkim gościnność, poświęcenie i odwaga gospodarza. Już w lutym 1863 r. Sulerzyski odegrał pewną rolę przy przygotowaniu wkroczenia do Królestwa dyktatora Ludwika Mierosławskiego.

Umowy podpisane w Paryżu 30 stycznia 1863 r. między pełnomocnikami Komitetu Centralnego Narodowego jako Rządu Tymczasowego Narodowego przewidywały m.in., że demokratyczny generał w ciągu trzech tygodni przekroczy granicę między zaborem pruskim a Królestwem. Jako najwłaściwszy punkt przyjęto północno-zachodni kraniec guberni płockiej, gdzie miały po obu stronach granicy czekać zbrojne partie. Najprawdopodobniej w związku z tym Paweł Suzin, były porucznik armii rosyjskiej i wykładowca artylerii w szkole wojskowej w Cuneo, wraz z towarzyszami (m.in. Demontowiczem) w początkach lutego rozpoczął w Lubawskim formowanie oddziału. Policja pruska szybko wykryła jednak te działania i do 11 lutego wyłapała organizatorów. Sulerzyskiemu po pewnym czasie udało się wydobyć Suzina z więzienia brodnickiego. Poszedł on potem walczyć na rodziną Litwę, gdzie poległ w boju pod Serejami. Tymczasem dyktator Mierosławski około 13 lutego przybył do Byd-

goszczy. Zmiana okoliczności spowodowała podjęcie przezeń decyzji wkroczenia do Królestwa przez Kujawy. Dla wyjaśnienia złożonej sytuacji i zyskania pomocy przybył do Piątkowa z Paryża, gdzie około 8 lutego, jeden z bliskich współpracowników dyktatora — Jan Kurzyna. Sulerzyski z Kurzyną udali się na spotkanie spóźniającego się Mierosławskiego do Bydgoszczy i — tak przynajmniej wynika z jego *Pamiętników* — towarzyszyli mu w dalszej przeprawie, aż do granicy zaborów, którą dyktator przekroczył na południowy wschód od Inowrocławia, koło wsi Konary, nocą z 16 na 17 lutego 1863 r., skąd udał się do Krzywosądzka. Niemalże był udział Sulerzyskiego w formowaniu i ekspedycji do Królestwa oddziału dowodzonego przez majora Szermętowskiego (używał tego pseudonimu Henryk Łowiński). Grupa ta, po skoncentrowaniu się koło Wielkiej Łąki, nocą z 21 na 22 kwietnia przeszła w bród Drwęcę i tegoż dnia została rozbita w potyczce pod Nietrzebą na Ziemi Dobrzyńskiej. Różnorodnych, epizodycznych, ale wcale przez to nie mniej ryzykownych prób ochrony i pomocy powstańcom, w tym i rannym, wracającym z Królestwa, było więcej. Opiekowano się nimi w Piątkowie i po aresztowaniu Sulerzyskiego. Toteż landrat brodnicki, von Young, informowany przez niemieckich sąsiadów Sulerzyskiego o znaczeniu Piątkowa dla przerzutów powstańców, skierował do jego dworu, dla zapewnienia stałego nadzoru, żandarma, a następnie jeszcze załogę, złożoną z oficera i trzydziestu huzarów. Niezależnie od tego, przeprowadzano wielokrotnie uciążliwe rewizje we dworze. Pierwsza z nich odbyła się jeszcze przed wybuchem powstania, 17 grudnia 1862 r., ale powtarzano je także i po aresztowaniu Sulerzyskiego. Ostatnia miała miejsce 6 lutego 1864 r.⁵⁸

Swoista przezorność, a może jeszcze bardziej naiwny tupet, wierna służba we dworze, idące w czas ostrzeżenia od sąsiadów, do czasu chroniły Sulerzyskiego przed poważniejszymi represjami pruskimi. Może trochę pomagało i to, że nie pozwolił iść do powstania swemu dziewiętnastoletniemu synowi, Wacławowi. Ta „bezkarność” coraz bardziej drażniła i wrogich mu niemieckich sąsiadów, i lokalny aparat władzy. Posłużono się więc fałszywym zeznaniem — złożonym w Kowalewie przez niemieckiego wyrobnika przed miejscowym żandarmem i dowódcą stacjonującego tam oddziału wojsk pruskich — jakoby Sulerzyski nakłaniał go do pójścia za zapłatą do powstania. Tak to aparat policyjny i sądowy monarchii Hohenzollernów, zachowując zewnę-

trzenie cały sztafaż praworządności i poprawności formalnej, skorzystał z niewątpliwie dwuznacznej moralnie metody, aby wyłączyć z działalności politycznej i organizacyjnej niewygodnego przedstawiciela polskiej grupy przywódczej.

Sulerzyskiego aresztowano 4 czerwca 1863 r. na drodze między Kowalewem a Piątkowem. Przewieziono go następnie do Brodnicy, a stamtąd przez Toruń do twierdzy poznańskiej na Winiarach. Po pewnym czasie przeniesiony został wraz z innymi współwięźniami, głównie z Wielkopolski, do Berlina. 10 sierpnia 1863 r. za kaucją wypuszczono go na kurację do uzdrowisk w Kissingen, Ostendzie i Dürkheim, a po powrocie, 13 listopada znów zamknięto w berlińskim Hausvogtei. Wraz ze stu kilkudziesięciu współoskarżonymi, po wcześniejszych przesłuchaniach, w trakcie których coraz ostrzej kwalifikowano jego działalność patriotyczną, stanął przed berlińskim Kammergerichtem, 9 lipca 1864 r., w procesie o zdradę stanu, tj. „za usiłowania dążące do przywrócenia Polski w granicach, jakie miała przed rokiem 1772, a zatem do oderwania części przez podział do Prus przypadłej”. Gigantyczny ten proces trwał do 23 grudnia i nie dowiódł słuszności tez ogólnych, jak i większości zarzutów szczegółowych prokuratury. Sulerzyski, po przeszło szesnastu miesiącach, od dnia prewencyjnego aresztowania, mając na liście oskarżonych numer 125 i jedno z obszerniejszych *dossier*, składał wyjaśnienia i bronił się przed zarzutami 22 i 23 października 1864 r. Zgodnie ze swoim charakterem i przekonaniem występował śmiało i zaczepnie, co nie przeszkodziło mu ukryć starannie części swej działalności związanej z pomocą dla powstania. Raz jeszcze wystąpił z mocnym atakiem na tezy i metody prokuratury w końcu listopada — w ostatnim słowie. Na stu czterdziestu dziewięciu oskarżonych (zresztą nie wszyscy z nich dali się schwytać) w procesie berlińskim, ostatecznie wyroki skazujące zapadły w trzydziestu ośmiu sprawach, w tym na dwudziestu siedmiu obecnych na sali. Między tą „mniejszością” znalazł się i Natalis Sulerzyski. Skazano go na rok więzienia, choć na polu walki nie występował, a i niezbitcie wykazanych działań przeciw państwu pruskiemu mu nie udowodniono. Jest to pośredni, ale niewątpliwym dowód jego zasług patriotycznych, wystawiony przez przeciwnika⁵⁴.

Proces berliński ostatecznie zakończył „edukację” patriotyczną Natalisa Sulerzyskiego. Zrozumiał on i dał temu wyraz publiczny w swym ostatnim wystąpieniu przed sądem twierdząc, iż wedle rządzących państwem pruskim jego pod-

dani polscy winni się zniemczyć. Nie powinni nawet marzyć o odbudowaniu własnego państwa, a tych, którzy z tym się nie zechcą pogodzić, czekają prześladowania i konieczność toczenia upartej i długiej walki o swą tożsamość narodową. Wówczas to Sulerzyski stwierdził, odsłaniając istotne cele polityki Prus, wchodzących właśnie w erę bismarckowską, iż: „widocznym było, że nasze aresztowania tylko nastąpiły, abyśmy walczącym braciom nieszczęśliwym nie mogli broni dostarczyć, aby bezbronni prędzej upadli, aby przez przedłużoną, rozpaczliwą walkę, w której kwiat młodzieży polskiej się poświęcał, sumienie cywilizowanego świata się nie obudziło, na odwet zbrodni dokonanej przy końcu wieku przeszedłoby przez rozbiór Polski. Musieliśmy iść do więzienia, bo jak wiadomo siła idzie przed prawem”. A dalej, rozwijając swe więzienne przemyślenia, proroczo przepowiadał iż: „z całego przebiegu procesu naszego pokazuje się, że mieszkańcy Księstwa Poznańskiego i Prus Zachodnich mają być podzieleni na depczących i deptanych — w takim razie uważam położenie ostatnich jako korzystniejsze, bo zostajemy zbici w jedną ścisłą masę, która się lepiej ostoi, gdy burza nadejdzie. Ci zaś co dziś są górą i nas depczą to biada im, a niejeden z nich będzie się zaklinał, że nie należał do depczących”⁶⁵.

Z pobytem w więzieniach pruskich w czasie powstania styczniowego wiąże się ostatni z epizodów działań parlamentarnych Sulerzyskiego. Jesienią 1863 r., w czasie, gdy zezwolono mu kurować się w uzdrowiskach, odbywały się wybory do drugiej izby sejmku pruskiego ósmej kadencji. Sulerzyskiego zgłoszono i, co ważniejsze, wybrano posłem z okręgu wyborczego lubawskiego. Wbrew nadziejom przyjaciół nie umożliwiło mu to choćby krótkich odwiedzin w domu i stronach ojczystych, a nawet, zgodnie zresztą z decyzją sejmowego Koła Polskiego, zmierzającego do wyprowadzenia zza krat równocześnie wszystkich polskich deputowanych — więźniów, powrócił do celi w berlińskim Hausvogtei. Dopiero dwa miesiące później udało się posłom polskim, z pomocą liberalnych deputowanych niemieckich, wydobyć kolegów z więzienia. 19 stycznia 1864 r. prezes Koła, August Cieszkowski witał na posiedzeniu trzech czasowo zwolnionych kolegów, a wśród nich i Sulerzyskiego. I tu doszło do różnicy zdań między nim a większością kolegów, którzy byli za umiarkowaniem i ostrożnymi wystąpieniami w sejmie, gdy Sulerzyski uważał, iż trzeba zdecydowanie domagać się uwolnienia rodaków więzionych za

pomoc powstaniu. Ostatecznie skończyło się na indywidualnym wystąpieniu Sulerzyskiego w ostatnim dniu sesji, po czym wrócił za kratki⁵⁶.

Epizod z „zaocznym” wyborem Sulerzyskiego na posła ma pewien szerszy aspekt. Jak on sam podkreślał, obrano go, aby ewentualnie ułatwić wyrwanie się z więzienia. Oczywiście też wybór ten, w czasie gdy trwało powstanie, a na działaczy polskich w zaborze pruskim spadały represje, był również demonstracją patriotyczną. Dowodził on jednak i tego, wbrew późniejszym narzekaniom Sulerzyskiego w *Pamiętnikach* na jego ziemiańskie otoczenie, że jesienią 1863 r. cieszyć się on musiał wśród polskich wyborców na południu Prus Zachodnich znaczną popularnością, a jego aktywne zaangażowanie się w pomoc powstaniu, również wówczas, gdy kierowali nim czerwoni, było aprobowane. Nic dziwnego, iż nad dolną Wisłą nie żałowano składkowych pieniędzy na pokrycie kosztów obrony współrodaków pomorskich, oskarżonych w procesie berlińskim.

Po wysłuchaniu wyroku powrócił Sulerzyski, po półtorarocznej nieobecności, do Piątkowa. Wzywany do solidarności z resztą skazanych, choć niechętnie, zgodził się nie apelować od wyroku. Przed natychmiastowym zamknięciem w twierdzy grudziądzkiej bronił się zaświadczeniami lekarskimi o złym stanie zdrowia. Kiedy jednak zapowiedziano, że dostawią go tam siłą, jeśli do 1 lipca 1865 r. nie stawi się sam, zdecydował się zostawić bez opieki majątki, aby po raz czwarty nie iść do pruskiego więzienia. Starając się zachować pozory legalności wyjechał na kurację do znanej mu miejscowości kuracyjnej, Františkovy Lázně, następnie, przybywszy do zdrojowisk saskich wyprawił w Dreźnie ślub córce Helenie i Michałowi Wybickiemu, a późną jesienią 1865 r. udał się do nie znanego mu dotąd Krakowa. Ten krok był decydujący. Wprawdzie pogarszające się stosunki Austrii z Prusami chroniły go przed wydaniem, ale stał się odtąd emigrantem politycznym. W Krakowie żył z pieniędzy nadsyłanych mu przez rodzinę z Ziemi Chełmińskiej. W tym mieście zbliżył się do, nielicznych zresztą, kręgów umiarkowanie demokratycznych, starał się uczestniczyć w manifestacjach patriotycznych, m.in. na Śląsku Cieszyńskim, zyskał nowy krąg znajomych. Krytycznie oceniał, ospałe narodowo i konserwatywne społeczeństwo, stosunki panujące wówczas w Krakowie i Galicji⁵⁷. Zamieszkał w kamienicy przy ulicy Floriańskiej, niedaleko domu Jana Matejki, a ten, podobno, wykorzystał charakterystyczną fizjonomię i sylwetkę Sulerzy-

skiego jako pierwowzór głównej postaci w namalowanym w 1866 r. obrazie *Rejtan*.

W wieku siedemdziesięciu lat Sulerzyski dokonał swego ostatniego poważniejszego czynu publicznego — szybko spisał i wydał własnym nakładem w Krakowie w latach 1871—1872 trzy tomiki *Pamiętników*. Te, napisane z pasją, skierowaną tak przeciw przemocy pruskiej, jak i nielojalności niektórych współziomków ze stron rodzinnych, mocno subiektywne wspomnienia mają jednak poważne znaczenie jako źródło historyczne.

Pamiętniki są też głównym świadectwem poglądów politycznych i społecznych ich autora, choć oczywiście, ze względu na późne ich spisanie, nie w pełni oddają ich kształtowanie się i ewolucję.

W sferze zjawisk gospodarczo-społecznych Natalis Sulerzyski jawi się jako liberał, aprobujący nowe, powłaszczeniowe stosunki na wsi, liberał będący za swobodą dla inicjatyw gospodarczych, śmiałym korzystaniem z kredytów, ale też za stałym unowocześnianiem warsztatu rolnego. Był on zwolennikiem rozwoju oświaty ludowej, podnoszenia poziomu kultury wsi, zwalczania złodziejstwa i pijaństwa. Miało to służyć większej wydajności i jakości pracy, rozbudzaniu i rozwijaniu świadomości narodowej, nadaniu sprawie jedności narodowej naczelnej pozycji, z zachowaniem przywództwa ziemiaństwa i inteligencji — co zresztą wszystko razem obiektywnie nie było sprzeczne z rzeczywistym interesem narodowym w warunkach niewoli. Odzywały się w nim nuty swoistego patriarchalizmu i solidaryzmu narodowego. Przy tym wszystkim trudno byłoby go zaliczyć do klasycznych reprezentantów „pracy organicznej”, gdyż zbyt silnie angażował się w czysto polityczne prace niepodległościowe.

Jeśli chodzi o fundamenty ideowe myśli politycznej Sulerzyskiego, to został on wychowany w tradycji oświeceniowej, z którą, z czasem nie do końca świadomie, połączył elementy romantycznej myśli politycznej. Nie było to czymś wyjątkowym w pokoleniu Polaków dojrzewających politycznie w drugiej ćwierci XIX stulecia. Stąd np. Sulerzyski odnosił się z pewnym dystansem do spraw Kościoła i religii, aby z czasem aprobować tych duchownych katolickich i ich działania, które umacniały polskość, a przynajmniej zagrażały drogę wynarodowieniu. Rozbiory Polski uważał za bezprawie i zbrodnię dokonane na narodzie. Był za odbudową Rzeczypospolitej jako scentralizowanego, ale nie centrali-

stycznego państwa. Miało ono mieć ustrój republikański i parlamentarny, agrarną strukturę społeczną, granice z 1771 r., ewentualnie na zachodzie zaokrąglone jeszcze o ziemie etnicznie polskie (np. o Górny Śląsk). Drogę do niepodległości widział przede wszystkim poprzez wykorzystanie przez Polaków nadciągającego i nieuniknionego, ogólnoeuropejskiego konfliktu zbrojnego, który mógł mieć znamiona nie tylko wojny między mocarstwami, ale i wstrząsów narodowych i społecznych. Był więc przeciwny nie powiązanym z sytuacją międzynarodową powstaniom w Polsce, jako mającym zbyt małe szanse powodzenia wobec potęgi wrogów. Równocześnie jednak stał na stanowisku, że jeśli już doszło do walki lub innych podobnych działań w którejś z części Polski, to wszyscy winni je bezwzględnie popierać. Był zwolennikiem pluralizmu ideologicznego i politycznego, jako gwarantem postępu w krajach wolnych i suwerennych, równocześnie jednak, jeśli idzie o Polaków, uważał, że do czasu wybicia się na niepodległość winna ich obowiązywać jedność narodu, zwłaszcza we wszystkich działaniach służących wyzwoleniu. Bardzo krytycznie odnosił się do wszelkich lojalistów i konserwatystów, będąc za śmiałym eksponowaniem symboli swej tożsamości narodowej i występowaniem w obronie choćby resztek praw narodowych. Po 1863 i 1870 r., po trosze zapewne i dla pocieszenia siebie i bliskich, ale i z przesłanek racjonalnych, bardzo krytycznie oceniał Bismarcka i jego politykę i to nie tylko z pozycji moralnych. Uważał, że dokonane przez tego pruskiego polityka odgórne zjednoczenie Niemiec i będące tego skutkiem zachwianie równowagi sił w Europie muszą doprowadzić do konfliktu międzynarodowego. W tym zderzeniu potęg głównym, zwyciężskim przeciwnikiem II Rzeszy będzie III Republika. Owa wiara we Francję była częsta u tamtego pokolenia Polaków, które jeszcze nie dostrzegało nadciągającego sojuszu francusko-rosyjskiego i jego konsekwencji dla aspiracji polskich, a konfliktu powszechnego spodziewało się zbyt szybko. Sulerzyski był więc optymistą co do szans narodu polskiego na ostateczne zwycięstwo w drodze do wolności i odrodzenia państwowego, licząc przy tym na wybitną rolę uświadamiającego się narodowo chłopstwa. W całości koncepcji politycznych był on dosyć bliski bardziej umiarkowanemu kierunkowi obozu demokratycznego Wielkiej Emigracji, którego publicystyka odegrała pewną rolę w jego samoedukacji obywatelskiej.

Przy całej oryginalności jego osoby i względnego, wśród

ziemiaństwa polskiego Prus Zachodnich, „radykalizmu”, nie można Sulerzyskiego uważać za postać oderwaną od środowiska i czasu. Zdarzali się zresztą tutaj i inni, podobni mu ze śmiałych poglądów i metod działania, jak choćby, należący wprawdzie do następnego pokolenia, Zygmunt Działowski, współoskarżony w procesie berlińskim, późniejszy założyciel Towarzystwa Naukowego w Toruniu. Sulerzyski, właśnie, poprzez pewną skrajność niektórych swych działań i wypowiedzi, po prostu bardziej wyraziście oddaje ogólny kierunek przemian świadomości patriotycznej klasy społecznej, której był członkiem⁵⁸. Kiedy po 1815 r. coraz wyraziściej okazywało się, iż państwo pruskie, mimo że sterowane przez junkierstwo, odsuwa, ogranicza i osłabia gospodarczo ziemiaństwo polskie na Pomorzu, z wielkim trudem przedstawiające się na nowe tory gospodarowania, to wówczas aktywniejsza jego część zrozumiała, że musi się zdobyć na czynniejszą obronę. Przyjęła najróżniejsze legalne formy życia społecznego i politycznego, od walki o ziemię i słowo poczynając, na wyborach do parlamentu kończąc. Gdy zaszła potrzeba, ocierała się nawet o konspiracyjną działalność polityczno-organizacyjną.

Spędzając ostatnie lata życia w Krakowie w oczekiwaniu na wielki konflikt międzynarodowy, który da Polakom szansę zdobycia niepodległości, dożył Sulerzyski lat prawie siedemdziesięciu siedmiu. Dnia 7 sierpnia 1878 r. udał się, jak czynił to często, na ulubioną przezeń kurację wodną do północnomorawskiego uzdrowiska Lázne Jeseník. Tam nagle zasłabł, ale zdążył jeszcze wezwać do siebie syna i córkę. Zmarł 24 sierpnia 1878 r. Trumnę ze zwłokami przewieziono do Pluskowęs, do rodzinnego kościoła parafialnego i tam pochowano przy wieży, obok małżonek i dzieci. Pogrzeb był uroczysty, odbył się przy tym „liczny zjazd duchowieństwa, obywatelstwa i ludu z okolicy”. Nad mogiłą przemówił Ignacy Danielewski, wówczas redaktor „Gazety Toruńskiej”, obszerną mowę, którą opublikował potem drukiem syn zmarłego⁵⁹, wygłosił także ksiądz Władysław Chotkowski. Zabrakło natomiast rodzinie energii, aby utrwalić wspomnienia o nim kamiennym pomnikiem. Trwalszą od materialnych śladów okazała się pamięć okolicznego ludu, a także... *Pamiętniki*, coraz częściej wykorzystywane przez historyków piszących o Pomorzu w wieku XIX.

* * *

„[...] Sulerzyski za wcześnie oddał swoje pamiętniki pod prasę [...]”, bo „[...] dla współczesnych niewiele mieszczą rzeczy nieznanymi, nowych, stają się jakby rekapitulacją wiadomych powszechnie wydarzeń”, a nie dość, że im nie dostaje waloru literackiego, to jeszcze autor „[...] wtajemnicza czytelników w szczegóły swoich spraw finansowych [...]”. Obok tego poucza agronomów orki, siewu, hodowli inwentarza, przedmioty nie spływające się z zadaniem pamiętników, odpowiedniejsze zapiskom, dawnym *silva rerum*”. Tak to surowo ocenił na łamach poznańskiego „Tygodnika Wielkopolskiego” wspomnienia Natalisa Sulerzyskiego, zaraz po ich wydaniu w Krakowie, jedyny bodajże ich ówczesny, a do tego anonimowy recenzent. Mógł być nim zresztą nawet sam Michał Bałucki⁶⁰.

Dzisiejszy czytelnik *Pamiętników* chyba jednak tych zastrzeżeń nie zaaprobuje i bliższy mu będzie, choć z istoty swej panegiryczny, fragment mowy żałobnej księdza Chotkowskiego, wygłoszonej nad trumną Sulerzyskiego. Kaznodzieja podkreślał tam m.in., że: „istny to typ ziemianina polskiego, który kord zawiesiwszy, zabiera się w późne lata do pisania pamiętników, ale najciekawszych wydarzeń, tok opowiadania przerywa, aby wpleść spostrzeżenia jakiegoś gospodarskie lub doświadczenia w roli”⁶¹. Właśnie obfitość szczegółów z działalności gospodarskiej i gospodarczej, a także życia codziennego ziemianstwa chełmińskiego i jego obyczajowości podnoszą walor tych wspomnień, jako że polskich pamiętników z wieku XIX jest bardzo dużo, ale zdecydowana ich większość opisuje przede wszystkim wydarzenia polityczne, wojskowe i wojenne, wreszcie życie salonów i wypadki towarzyskie, lecz na ogół niewiele uwagi poświęca codzienności życia ziemianstwa na prowincji, zwłaszcza na kresach północno-zachodnich. Oddzielnej analizy warte byłoby, rozrzucone po tych wspomnieniach, wiadomości o metodach leczenia i odbywania modnych kuracji w uzdrowiskach Europy Środkowej. Podobnie pouczające mogłoby się okazać, dla niektórych szefów wielkich gospodarstw rolnych, zapoznanie się z doświadczeniami gospodarskimi Sulerzyskiego. Inna całkiem sprawa to fakt, że *Pamiętniki* należą do nielicznych obszerniejszych, pełnowartościowych wspomnień pisanych przez Polaków z ziem pomorskich, zwanych wówczas w języku administracyjnym Prusami Zachodnimi. Są przy tym wspomnieniami obejmującymi prawie trzy pierwsze kwartały XIX wieku, a jeśli uwzględnić tradycję rodzinną, to i całe stulecie od I rozbioru Polski po powstanie

styczniowe i zjednoczenie Niemiec w II Rzeszę. I to jest drugi zasadniczy walor tych *Pamiętników*, wręcz nakazujący ich ponowne udostępnienie współczesnemu czytelnikowi. Informują one bowiem, z polskiego punktu widzenia, o sprawach, o których monopol pisania miała raczej strona niemiecka. Przy tym czytelnik polski, a już zwłaszcza spoza Pomorza, nawet z wykształceniem historycznym, miał i ma nadal o tych sprawach nader mgliste pojęcie. Z *Pamiętników* poznać można w sposób niejako namacalny, jak wyglądała na co dzień w zaborze pruskim, jeszcze przed Komisją Kolonizacyjną i Hakatą, walka o ziemię i o świadomość narodową ludu.

Wszystkie właściwie pamiętniki spisywane są z chęci pozostawienia potomności pozytywnego konterfektu ich autora, a przynajmniej zinterpretowania wydarzeń, w których piszący uczestniczył lub je oglądał, oraz ocenienia osób, z którymi się stykał, w sposób przezeń uznany za najwłaściwszy. Część takich wspomnień spisywana jest w celu zaatakowania spraw i ludzi znieawidzonych lub obrony zagrożonych, co jeszcze zwiększa ich subiektywność. Żaden zresztą pamiętnik nie jest od niej wolny, i to właśnie często podnosi ich walor jako lektury.

Natalis Sulerzyski przystąpił do spisywania swych wspomnień pod wpływem trosk i wzburzenia, jakie wywoływały w nim wieści o stopniowym upadku majątków, których dorobił się w trakcie swego pracowitego życia, a także nieprzychylnych opinii rozsiewanych o nim przez dawnych znajomych. Może tę jego pasję pogłębiały wątpliwości co do słuszności decyzji o udaniu się na dobrowolną emigrację do Krakowa, na co pośrednio wskazywałyby zbyt częste zapewnienia w tekście *Pamiętników* o tym, jak to się dobrze czuje na owym wygnaniu. Niewątpliwie motywem spisania wspomnień była u niego chęć pozostawienia świadectwa prawdzie o dyskryminacji Polaków i polskości na Pomorzu oraz o budzeniu się tam i umacnianiu ducha narodowego. Należał przy tym Sulerzyski do tej mniejszości wśród polskiego ziemiaństwa, która trzeźwo oceniając politykę zaborców wobec ich polskich poddanych, uważała, iż jest „fałszywą maksyma obywateli polskich, cierpliwie znosić krzywdy”, bo „walczyć z odwiecznymi wrogami naszymi, to nasze dziejowe przeznaczenie i zakończyć się musi ta walka straszną katastrofą, po której dopiero zbratanie ludów nastąpi”⁸².

Sulerzyski pisał swe wspomnienia z pasją, szybko. Nie

zawsze był ścisły w chronologii, bezpardonowo włączał do nich inne, własne i cudze, wcześniej publikowane teksty. Jak we wprowadzeniu zapewnia, od dosyć dawna, zwłaszcza po przejściach związanych z powstaniem styczniowym, nosił się z zamiarem skreślenia wspomnień, ale *Pamiętniki* zaczął spisywać dopiero 1 maja 1871 r., jak na to wskazują podane przezeń w tekście daty, zakończył zaś, prawdopodobnie, dokładnie w rok później. Pracę tę znacznie mu ułatwiało *curriculum vitae*⁶³ spisane wcześniej, w pierwszych dniach sierpnia 1860 r., w Piątkowie. Był to rodzaj życiorysu, przeznaczony dla władz pruskich, gdy wraz z Ignacym Łyskowskim i Leonem Czarlińskim wybrano go jako jednego z kandydatów na landrata brodnickiego. Natomiast przy opisie swego udziału w procesie moabickim Sulerzyski po prostu większą część, zresztą najobszerniejszego w całych *Pamiętnikach* rozdziału XVI wypełnił dosłownie przedrukowanym stenogramem swych wystąpień przed berlińskim Kammergerichtem⁶⁴.

Podstawą obecnego, nowego wydania *Pamiętników* jest ich pierwotne, trzytomowe wydanie z 1871 r. (tom III, być może, faktycznie został wydrukowany w 1872 r.) Wydawcy nie udało się odnaleźć → mimo prób podejmowanych przede wszystkim w bibliotekach krakowskich — rękopisu wspomnień, ani ustalić żadnego szczegółu co do jego losu. To jednak nie wyklucza całkowicie możliwości jego przetrwania po czasy współczesne. Wydanie pierwsze opublikowane zostało nakładem własnym autora. Nakład musiał być mały, zapewne nie przekraczał dwustu lub trzystu egzemplarzy każdego z tomów. Sulerzyski między przyjaciółmi i znajomymi rozpiął rodzaj prenumeraty, co mu zapewne zwróciło część kosztów wydania. Zgłosiło się w sumie tylko dziewięćdziesięciu pięciu prenumeratorów, którzy zakupili sto dziewięć egzemplarzy *Pamiętnika*. Byli wśród nich syn i córka, daleki krewny — Walery Sulerzyski z Górek Zagajnych, Aleksander Sulerzyski z Bydgoszczy, Seweryn Mielżyński, Aleksander Guttry, nieco obywateli z Ziemi Chełmińskiej — dawnych przyjaciół autora lub ich dzieci, ale przede wszystkim nowi znajomi krakowscy i galicyjscy⁶⁵.

Pierwszy tom *Pamiętników* Sulerzyski drukował w krakowskim domu wydawniczym Władysława Jaworskiego, który był kontynuacją Księgarni i Wydawnictwa Dzieł Katolickich, Naukowych i Rolniczych Walerego Wielogłowskiego. Natomiast tomy drugi i trzeci odbił w krakowskiej drukarni Wincentego Korneckiego i Spółki. Kornecki nabył tę

drukarnię na rok przed publikacją *Pamiętników*⁶⁶. Jaki był powód zmiany drukarni w trakcie wydawania książki, trudno dzisiaj wyjaśnić. Mogły to być również względy natury ideowej, gdyż firma Jaworskiego miała, jeśli idzie o profil wydawniczy, charakter klerykalny i zachowawczy, natomiast Kornecki, powstaniec z 1863 r., był człowiekiem postępowym i śmiało drukował wydawnictwa niechętnie widziane przez konserwatywne władze galicyjskie. Jednakże mogły tu wchodzić w rachubę bardziej prozaiczne czynniki, jak choćby niższe koszty druku u Korneckiego lub też równoczesne tłoczenie kolejnych tomików w dwóch drukarniach.

Zamiana drukarni w trakcie publikowania dzieła spowodowała na granicy tomów pierwszego i drugiego pomylenie numeracji rozdziałów, w rezultacie czego w wydaniu pierwotnym są dwa rozdziały VIII. Jest tam w ogóle dużo błędów ortograficznych i korektorskich. Świadczy to o dosyć pośpiesznym i opartym na nie dopracowanym rękopisie druku, a także o niezbyt uważnej korekcie. Te braki edytorskie wpłynęły na formę obecnego wydania *Pamiętników*. Starając się trzymać przyjętych zasad publikowania polskich tekstów nowożytnych, decydowano się niejednokrotnie na uwspółcześnienie formy zapisu tekstu. Zmodernizowano interpunkcję, ale starano się, w miarę możliwości, zachować specyficzne cechy języka Sulerzyskiego, jeśli idzie o słownictwo, w części nawet ortografię i składnię. Cytaty niemieckie i łacińskie rozwiązano w przypisach objaśniających. W nich też i w indeksie starano się dać krótkie informacje co do miejsc i osób występujących w *Pamiętnikach*.

O ile osoba Natalisa Sulerzyskiego, jak dotąd, nie budziła szczególniejszego zainteresowania historyków⁶⁷, o tyle *Pamiętniki* jego od dawna były wykorzystywane przez badaczy, a ich fragmenty dwukrotnie przedrukowywano⁶⁸. Obecnie są one jednak wielką rzadkością, nie ma ich w wielu poważnych bibliotekach i to również zachęciło Wydawnictwo i wydawcę do ich wznowienia. W obecnym, drugim z kolei wydaniu, dokonano kilku skrótów w stosunku do edycji krakowskiej. Opuszczono mianowicie te fragmenty, w których Sulerzyski po prostu przedrukował dosłownie współczesne mu, publikowane już wówczas, dokumenty polityczne, nie mające bezpośredniego związku z jego działalnością. A więc pominięto w obecnym wydaniu:

1) tekst krakowskiego Manifestu Rządu Narodowego z 22 lutego 1846 r. (t. 1, s. 173—176);

2) słynną mowę Ludwika Mierosławskiego, wygłoszoną 3 i 5 sierpnia 1847 r. w Moabicy (t. 1, s. 185—203);

3) *curriculum vitae* spisane przez Sulerzyskiego po niemiecku w końcu lipca i na początku sierpnia 1860 r. (t. 2, s. 181—233);

4) protokoły zeznań i wypowiedzi na procesie berlińskim 1864 r. czterech współoskarżonych: Teodora Jackowskiego, Edmunda Calliera, Bolesława Chotomskiego i Walentego Połczyńskiego (t. 3, s. 126—151), oraz

5) wykazy prenumeratorów (t. 2, s. I—IV, s. 1 nrb — na końcu woluminu). Opuszczenia te odnotowano w przypisach⁶⁹.

W wydaniu niniejszym odstąpiono od niektórych zasad przyjętych przy wydawaniu tekstów historycznych w publikacjach naukowych dostosowując je do charakteru serii, w ramach której dzieło to ukazuje się.

Pamiętniki, wznawiane w ponad sto lat od ich pierwszego wydania, mimo ich subiektywności, a czasami nawet zacietrzewienia, po konfrontacji z innymi źródłami oraz wynikami badań historyków ocenione być muszą jako prawdziwe świadectwo życia Natalisa Sulerzyskiego — człowieka przedsiębiorczego, ale przede wszystkim dobrego Polaka, jednego z tych, którzy bronili w najtrudniejszych czasach polskości ziem pomorskich.

PRZYPISY

¹ N. Sulerzyski: *Pamiętniki..., byłego posła ziemi pruskiej na sejm berliński t. 1*, Kraków 1871, s. XIV.

² Dokładne odtworzenie genealogii rodziny Sulerzyskich nie jest, jak się wydaje, możliwe. O zachowanych materiałach rodzinnych nic autorowi tych uwag nie wiadomo. Źródło najpewniejsze — księgi metrykalne parafii w Pluskowężach koło Kowalewa, gdzie od XVIII w. wpisywano Sulerzyskich, zostały w czasie II wojny światowej zabrane przez okupantów niemieckich i powróciły tylko ich szczątki. Z wydawnictwa: *Diecezja chełmińska. Zarys historyczno-statystyczny Pelplin 1928*, s. 301, wynika, iż zachowane były księgi chrztów od 1759 r., a małżeństw i zgonów od 1801; natomiast wg relacji obecnego proboszcza parafii pluskowężskiej, ks. Franciszka Wojnowskiego, złożonej autorowi w dniu 4 sierpnia 1979 r., po wojnie powróciły tylko księgi zawierające zapisy od 1884 r. Toteż rekonstrukcja genealogii rodziny Natalisa możliwa jest jedynie w oparciu o nie zawsze ściśle wiadomości, zawarte w jego *Pamiętnikach*, uzupełnione nieco fragmentarycznymi informacjami innego pochodzenia, głównie z opracowań dotyczących spraw majątkowych.

³ I. K. Milewski: *Herbarz* Kraków 1870, s. 401; E. Zernicki-Szeliga: *Der polnische Adel und die demselben hinzugetretenen anderständischen Adelsfamilien. General-Verzeichniss, von... t. 2*, Hamburg 1900, s. 398; J. Krzepela: *Rody ziem pruskich, zesta-wił...* Kraków 1927, s. 72, 208; *Polska Encyklopedia Szlachecka* t. 11 i 12, Warszawa 1938.

⁴ Piątkowo, folwark i wieś, położone na północny wschód od Kowalewa, nieco na uboczu głównych dróg, należy do parafii w Pluskowężach. Pierwsza wzmianka o tej miejscowości pochodzi z 1409 r., choć mogła istnieć ona już wcześniej. W średnio-wieczu Piątkowo stało się własnością rycerską. Przez większą część XVIII w. należało do Pawłowskich. Od braci Andrzeja i Wincentego Pawłowskich odkupili te dobra, kolejno w dwóch częściach: Franciszek, a następnie jego syn, Wincenty Sulerzyscy w latach 1787, względnie 1788 i 1789. Liczyły one wówczas 10 dymów (zagród). W 1801 r. do Piątkowa przyłączono sąsiadują-cy majątek Dylewo (wzmiankowany już w 1310 r.), liczący 5 dymów oraz przysiółek Poddylewo. W 1867 r. majątek piątkow-ski, łącznie z dylewskim odkupiła za 185 tys. talarów Klotylda Działowska, z domu hrabianka Sierakowska. Majątek ten miał wówczas, po kolejnych zaakrągleniach, 925,66 ha (943 ha u schył-ku stulecia) ziemi, w tym 768 ha gruntów ornych. W 1868 r. było w Piątkowie 16 dymów, 48 budynków, 243 mieszkańców, wyłącznie katolików — Polaków. W 1882 r. właścicielką Piątko-wa została Lucja Katarzyna Antonina Gajewska, z domu Dzia-łowska, następnie, w 1895 r. Maria Potocka z domu Gajewska (1875—1927) z Turzna, zamężna z hrabią Oswaldem Potockim (1866—1920). Po Potockiej odziedziczyła Piątkowo pułkownikowa

Iwanowska, z domu Gajewska, mająca jedyną córkę. W 1939 r. majątek ten zabrali Niemcy (księgozbiór spalono w 1945 r.). Obecnie znajduje się w nim PGR. Do dzisiaj, dzięki solidnej budowie, zachowały się w Piątkowie w niezłym stanie: park dworski, domy mieszkalne inne zabudowania.

Por.: *Słownik geograficzny Królestwa Polskiego i innych krajów słowiańskich* t. 2 i 8, Warszawa 1881—1887; H. Plehn: *Ortsgeschichte des Kreises Strassburg in Westpreussen, von... Königsberg* 1900, s. 91—92; *Słownik geograficzny państwa polskiego i ziem historycznie z Polską związanych* t. 1, Warszawa 1938, s. 1261; *Słownik historyczno-geograficzny Ziemi Chełmińskiej w średniowieczu* Wrocław 1971, s. 30, 96; oraz relacja organisty w Pluskowężach od 1918 r. Władysława Piątkowskiego złożona 4 sierpnia 1979 r. i inskrypcje nagrobne na cmentarzu pluskowężskim.

⁵ Wincenty Sulerzyski przedstawiony jest w *Pamiętnikach* syna jako sympatyczny, nieco konserwatywny flegmatyk, zdominowany przez energiczną małżonkę. Zdaje się jednak, że nie tylko „zeuropeizował” on — pod naciskiem teściowej Mieroszewskiej — swój strój, ale i poglądy, i postawę. Nie jest wykluczone, że był libertynem, może też masonem. W każdym razie do dzisiaj mieszkańcy Pluskowęż opowiadają, że Wincenty, ze względu na dwuznaczną przeszłość, po pochowaniu jego zwłok pod posadzką kościoła parafialnego, po prawej stronie prezbiterium, miał „straszyć”. Ostatecznie, któryś z kolejnych proboszczów z kościelnym mieli wyjąć spod posadzki trumnę z prochami Wincentego, zawieźć do lasu dylewskiego i tam pochować, być może w miejscu, gdzie dziś stoi ogrodzony krzyż przy szosie brodnickiej. Pewne w tym jest tylko to, że taka opinia o ojcu Natalisa jest przekazywana. Dodać jeszcze można, że skromne, owalne, marmurowe epitafium z napisem: „Za duszę Wincentego Sulerzyskiego proszę o Zdrowaś Maria”, umieszczone na południowej ścianie wewnątrz prezbiterium gotyckiego kościoła w Pluskowężach, do niedawna było zastawione przez klasycystyczną ławę kolatorską i chyba zamalowane.

⁶ N. Sulerzyski: dz. cyt., t. 1, s. 22.

⁷ H. Plehn: dz. cyt., s. 304, podaje, że w 1838 r. — 3/4, a w 1848 r. — 5/8 dóbr ziemiańskich należało w ówczesnym, dużym powiecie brodnickim do szlachty polskiej.

⁸ Do Jana Wybickiego (1782—1852) i jego rodziny miało w latach trzydziestych-czterdziestych XIX w. należeć w Brodnickim dziewięć dużych majątków, tj. łącznie około 5960 ha ziemi.

R. Łazęga [A. Chudziński]: *Brodnica między r. 1819 a 1863. Szkic kulturalno-historyczny, według opowiadania żyjącego jeszcze świadka spisał...*, „Roczniki Towarzystwa Naukowego w Toruniu” 1898 R. 5, s. 95.

⁹ N. Sulerzyski: dz. cyt., t. 1, s. 40.

¹⁰ Tamże, t. 1, s. 42—44.

¹¹ Matrikel des Gymnasiums zu Thorn von 1600 bis 1817. Rękopis. Książnica Miejska w Toruniu; S. Salmonowicz: *Toruńskie Gimnazjum Akademickie w latach 1681—1817. Studium z dziejów nauki i oświaty* Warszawa—Poznań 1973, s. 351—379.

¹² S. Salmonowicz: dz. cyt., s. 379, podaje, że Natalis Sulerzyski ukończył szkołę toruńską jako prymus dopiero w 1820 r.,

ale zaprzecza temu sam bohater. Wyliczenie kolejnych lat jego edukacji wskazywałoby raczej na koniec 1818 lub 1819 r. Być może w 1820 r., po przerwie, uzyskawszy zgodę ojca na studia, złożył maturę w Toruniu, jeśli ją w ogóle (zgodnie z przepisami z 1788 i 1812 r., z których pierwsze próbowano wykonywać jeszcze przed 1807 r.) w tych latach odbywano. Generalnie chronologia życia Sulerzyskiego trudna jest do ścisłego odtworzenia, bo i jego *Pamiętniki* wiele pod tym względem pozostawiają do życzenia, a innych źródeł jest niedużo.

¹⁸ N. Sulerzyski: dz. cyt., t. 1. s. 48.

¹⁴ K. Libelt: *Żywot Jędrzeja Moraczewskiego i zdanie Joachima Lelewela o Dziejach Rzeczypospolitej Polskiej Jędrzeja Moraczewskiego* Poznań 1855; *Polski Słownik Biograficzny* t. 21, Warszawa 1976, s. 682—684.

¹⁵ *Die Matrikel der Universität Heidelberg. Fünfter Teil von 1807 bis 1904...* Heidelberg 1904, s. 242.

¹⁶ N. Sulerzyski: dz. cyt., t. 1.

¹⁷ O tym, jak układały się stosunki między ziemiaństwem, a ludnością wiejską na Ziemi Chełmińskiej w latach trzydziestych XIX w. może świadczyć następujący, dosyć chyba charakterystyczny incydent, do którego doszło pod koniec czwartego dziesiątka lat w Piecenie, w powiecie brodnickim. Otóż ziemia w tej wsi (ponad 400 ha) należała do chłopów, ale gdy ci nie chcieli płacić czynszów, ówczesny wieloletni landrat brodnicki, najbogatszy ziemianin w powiecie, wkrótce później teść Natalisa — Jan Wybicki, kazał ich po prostu przepędzić. Chłopi — przyczyną ich oporu była zapewne odmowa uwłaszczenia — dowiedziawszy się, że właśnie będzie przez tę okolice przejeżdżał pruski następca tronu, książę Fryderyk Wilhelm, strajający się w piórka liberała, zebrali się i złożyli na jego ręce prośbę o cofnięcie tej eksmisji. Niczego jednak to nie dało, może poza poderwaniem w tamtej okolicy dosyć powszechnej na tym terenie, aż po Wiosnę Ludów, wiary polskiej ludności chłopskiej w przychylność Hohenzollernów.

Por.: R. Łazęga: dz. cyt., s. 94.

O skomplikowanym i przeprowadzanym kosztem chłopów procesie przechodzenia wsi pomorskiej i chełmińskiej na tory gospodarki kapitalistycznej piszą: J. Wojtowicz, S. Wolański: *Uwłaszczenie chłopów na Pomorzu Gdańskim*. W: *Szkice z dziejów Pomorza* t. 3, Warszawa 1961, s. 5—28.

¹⁸ W Pluskowęсах opowiadał 4 sierpnia 1979 r. Anastazy Gorzka, dawniej kowal w Piątkowie, że jeszcze w okresie międzywojennym pamiętano o Natalisie Sulerzyskim. Gorzka, jako młody człowiek słyszał, bodajże w 1932 r., od sędziwego wówczas Bartkiewicza, iż gdy Sulerzyski przychodził doglądać budowy wielkiej stodoły stawianej koło Radowisk Wielkich (nabył on majątek w Radowiskach Małych w 1952 r.), przez cieślów Królikowskich z Torunia, częstując wszystkich obecnych tabaką, a trzymając otwartą tabakierkę wołał: „Do kościółka, do kościółka”. W ogóle budował wiele i to nie tylko na własny użytek. Do dzisiaj np. „na plebance” w Pluskowęсах stoi duża obora, przezeń wzniesiona. Obecnie znajduje się ona w posiadaniu Państwowego Funduszu Ziemi.

¹⁹ N. Sulerzyski: dz. cyt., t. 1.

²⁰ Dwór, któremu obecni gospodarze zdeformowali nieco sylwetkę kryjąc eternitem dachy, i park w Piątkowie, nie są wzmiankowane w ogóle ani w *Katalogu zabytków sztuki w Polsce* t. 11, z. 19, Warszawa 1967, ani w *Zabytkach architektury województwa bydgoskiego* Bydgoszcz 1974, co pokazuje, jak ciągle zapóźnione i niewłaściwe są kryteria stosowane przy inwentaryzacji zabytków sztuki XIX w.

²¹ H. Plehn: dz. cyt., s. 91—92, 61, 97, 100.

²² Natalis Sulerzyski po raz pierwszy ożenił się dopiero w trzydziestym szóstym roku życia, a więc gdzieś w 1836 r. z Izbellą z Czapskich z Sumowa, córką Tomasza, urodzoną 1 maja 1815 r. Urodziła ona mu córkę, ale niemowlę zmarło na zapalenie mózgu. 6 grudnia 1837 r. zmarła i matka „po ciężkiej piersiowej chorobie”. Po raz wtóry ożenił się Natalis w 1840 r. z Leonardą z Wybickich, córką Jana, urodzoną 6 lutego 1821 r. Zmarła ona 14 maja 1860 r. Dane dotyczące żon Natalisa pochodzą z marmurowych krzyżów nagrobnych, stojących na grobowcu rodzinnym przy południowej ścianie kościoła w Pluskowesach. Sulerzyski miał z Leonardą sześcioro dzieci, które nawet nie wszystkie znamy z imienia. Pierworodny, ukochany syn urodził się w 1841 r. i gdzieś z początkiem 1846 r. zmarł na odrę. Następne dzieci, o których coś wiadomo, to: córka Helena — późniejsza żona Michała Wybickiego, syn Wacław ur. w 1844 r., który do 1875 r. gospodarzył w Pułkowie Małym, później zaś, ożeniwszy się z panną z Królestwa, tam się przeniósł i zmarł 8 stycznia 1903 r. w Szydłowie.

Por. „Gazeta Codzienna”. „Gazeta Toruńska” 1903 R. 39, nr 9.

W 1846 r. przyszła na świat Wanda, która zmarła pod koniec listopada 1862 r., a w marcu 1848 r. urodziła się Wiktorja, tak nazwana na cześć spodziewanego zwycięstwa rewolucji, zesłała ona z tego świata jeszcze przed 1860 r.

²³ N. Sulerzyski: dz. cyt., t. 1.

²⁴ W. Look: *Gimnazjum chojnickie w czasach zaboru pruskiego w XIX i na początku XX w.* W: *Księga pamiątkowa 400-lecia toruńskiego Gimnazjum Akademickiego* t. 3, Toruń 1974, s. 157.

²⁵ A. Mańkowski: *Odrodzenie narodowe Pomorza*. W: *Ruch niepodległościowy na Pomorzu* Toruń 1935, s. 46; *Pomorze Gdańskie 1807—1850. Wybór źródeł* Wrocław 1956, s. LXV; P. Böhm: *Die nationalpolnische Bewegung in Westpreussen 1815—1871. Ein Beitrag zum Integrationsprozess der polnische Nation, von....* Marburg n. Lahnem 1973, s. 29.

²⁶ O pobycie internowanych wojsk polskich na przełomie 1831 i 1832 r. na Powiślu napisano już wiele. Wymienić tu można: S. Mikos: *Uczestnicy powstania listopadowego internowani na terenie Pomorza Gdańskiego w latach 1831—1833* „Rocznik Gdański” 1963 R. 22, s. 157—192; R. Morcinek: *Uczestnicy powstania listopadowego 1831 r. w Elblągu i na Powiślu*. „Rocznik Elbląski” 1963 R. 2, s. 185—215; H. Kocój: *Losy żołnierzy z oddziałów Chłapowskiego, Rolanda i Rybińskiego po przekroczeniu granicy pruskiej w 1831 r.* „Studia i Materiały do Historii Woj-

skowości" 1968 R. 14, s. 183—191; H. Kocój: *Niemcy a powstanie listopadowe. Sprawa powstania listopadowego w niemieckiej opinii publicznej i w polityce pruskiej 1830—1831*. Warszawa 1970, s. 149.

²⁷ N. Sulerzyski: dz. cyt., t. 1.

²⁸ S. Kieniewicz: *Konspiracje galicyjskie 1831—1845* Warszawa 1950; *Pamiętniki spiskowców i więźniów galicyjskich w latach 1832—1846* Wrocław 1954, s. X.

²⁹ P. Böhning: dz. cyt., s. 33—34.

³⁰ N. Sulerzyski: dz. cyt., t. 1, s. 98—107 oraz A. Barszczewska, J. Smiałowski: *Z dziejów partyzantki Józefa Zaliwskiego w roku 1833 w Królestwie Polskim* „Studia i Materiały do Historii Wojkowości” 1961 R. 7, s. 225—305; S. Kalembka: *Z tradycji walk narodowo- i społeczno-wyzwoleńczych Ziemi Dobrzyńskiej (1793—1945)*. W: *Z dziejów Ziemi Dobrzyńskiej* Toruń 1966, s. 27—29; W. Dżakow, A. Nagajew: *Partyzantka Zaliwskiego i jej pogłosy (1832—1835)* Warszawa 1979, s. 37—40; *Spoleczeństwo polskie i próby wznowienia walki zbrojnej w 1833 roku* Wrocław 1984, s. 326—329, nn.

³¹ Tylko w 1826 r. wystawiono w Prusach Zachodnich na przymusową wyprzedaz 138 majątków (najwięcej, bo 147 licytacji sądowych było w 1827 r., ale i w 1835 r. było 35 takich przypadków). A kiedy w 1828 r. z woli króla otwarto specjalne kredyty dla wsparcia gospodarki junkierskiej w Prowincji Prusy, w ogólnej wysokości 1430 tys. talarów, to z tego ok. 1200 tys. spłynęło na Prusy Wschodnie, gdzie, jak wiadomo, polskiego ziemiaństwa nie było, a z pozostałych na Prusy Zachodnie 230 tys., Polacy uzyskali około 45 tys., choć stanowili więcej niż połowę ogółu tamtejszych właścicieli majątków ziemskich.

Por. P. Böhning: dz. cyt., s. 55.

³² T. Esman: *Bydgoszcz na tle wypadków 1846 roku* „Arkona” 1947 R. 2, nr 5/6, s. 10—11; nr 7/8, s. 19; A. Bukowski: *Rok na Pomorzu* „Jantar” 1948 R. 6, s. 117.

³³ O organizacjach patriotyczno-samokształceniowych młodzieży pomorskiej wiele napisano, ale ich początków w pełni nie wyjaśniono. Pisali m.in. — J. Karnowski: *Filomaci pomorscy* Toruń 1926; tenże: *Pogląd historyczny na genezę i rozwój kółek filomackich* „Mestwin” 1926, nr 16, s. 127—129. Najtrafniej rzecz ujął P. Chmielecki: *Gimnazjum chełmińskie w okresie zaboru 1837—1920* Bydgoszcz 1970. Wykazał on, iż pierwsza polska organizacja patriotyczna w szkole chełmińskiej nazywała się „Polonia” i przenoszenie na nią nazwy Towarzystwa Filomatów jest ahistoryczne (s. 51—61). Por. także W. Look: dz. cyt., s. 256.

³⁴ Pełnego i pewnego obrazu przygotowań powstańczych i wypadków z przełomu 1845—1846 w Prusach Zachodnich dotąd nie ma, choć pisali o tym m.in. — A. Bukowski we wstępie do: *Pomorze Gdańskie 1807—1850*, s. LXVII—LXXIII oraz T. Cieślak: *Walka chłopów pomorskich o wyzwolenie społeczne i narodowe w latach 1845—1848* Warszawa 1955.

³⁵ H. Plehn: dz. cyt., s. 314; W. M. [W. Madejski]: *Lata 1846—48 w Chełmnie* „Mestwin”. 1927 R. 3, nr 11, s. 86; M. Laubert: *Das Ergebnis der polnischen Aufstandsversuche im Regierungs-Bezirk Marienverder 1846* „Weichselland” 1938 R. 37, s. 7—9; S. Kieniewicz: *Spoleczeństwo polskie w powstaniu po-*

znańskim 1848 roku Warszawa 1960, s. 79, 85; P. Böhning; dz. cyt., s. 65—69.

³⁶ N. Sulerzyski: dz. cyt., t. 1, s. 185—203.

³⁷ Bardzo wymowna jest tu opinia osoby dobrze w tych kwestiach poinformowanej — prezydenta obwodu rejencyjnego kwidzyńskiego — von Nordenflychta, zawarta w jego raporcie z 13 maja 1848 r. do ministra spraw wewnętrznych Prus von Auerswalda: „während bis dahin die Sympathie für Wiederherstellung eines Polenreiches fast ausschliesslich nur auf den Adel und auf die unmittelbar von diesem abhängenden Personen, sowie auf einem Teil der Bürgerschaft der kleinen Städte sich beschränkte, die grosse Masse der ländlichen Besitzer (tj. chłopów gospodarzy) sich hingegen davon fern hielt, kann man heute annehmen, dass alles was sich zum polnischen Stamme zählt, von der Idee des Polenthumes durchdrungen und die Erreichung dieses Ziels mit Gut und Blut zu erringen entschlossen ist”.

Cytowane za P. Böhningiem: dz. cyt., s. 75. Por. także S. Gierszewski: *Das bäurliche Problem im Gebiet Pomorze-Gdańsk am Vorabend und in der Zeit des Völkerfrühlings*. „Nordharzer Jahrbuch” 1978, s. 81—86.

³⁸ B. Heym: *Geschichte des Kreises Briesen und seiner Ortschaften Briesen* 1902, s. 159.

³⁹ W. M. W. Madejski: dz. cyt., s. 87; I. Koberdowa: *Polska Wiosna Ludów* Warszawa 1967, s. 97.

⁴⁰ Chronologia i przebieg wydarzeń politycznych na Ziemi Chełmińskiej między 20 marca a 4 kwietnia 1848 r. nie są do końca ściśle ustalone. Wynika to z jednej strony z niedostatku lub ogólnikowości dostępnych źródeł, a z drugiej strony z dużej dynamiki i złożoności wydarzeń.

Por.: S. Kieniewicz: dz. cyt., s. 196—198; P. Böhning, dz. cyt., s. 70—72; W. J. Orr (jr.): *Westpreussen und die Revolution von 1848*. „Beiträge zur Geschichte Westpreussens” 1980, nr 6, s. 168—171.

⁴¹ *Pomorze Gdańskie*, s. LXXVII, 377, 381—382.

⁴² Druk ulotny z tekstem tej odezwy znajduje się w zbiorach Towarzystwa Naukowego w Toruniu, przechowywanych w Książnicy Miejskiej. Odezwę tę przedrukowała też poznańska „Gazeta Polska” 1948 nr 11, s. 40—41 i na niej oparto się przy wydaniu *Wyboru tekstów źródłowych z historii Polski w latach 1795—1864* Warszawa 1956, s. 609—610. Por. także *Pomorze Gdańskie*, s. 375—377.

⁴³ Część publikacji domyślnie kwalifikuje tę odezwę jako nieco późniejszą od poprzednio wymienionej. Natomiast P. Böhning: dz. cyt., s. 70, redakcję tego tekstu łączy z uformowaniem się pierwotnego składu Tymczasowego Komitetu Narodowego Prus Zachodnich, co nastąpić miało już 25 marca. Faktem jest, że z podpisanych pod tym dokumentem programowym ośmiu osób, będących swego rodzaju reprezentacją wszystkich warstw społeczeństwa polskiego Prus Zachodnich, pod odezwą z 29 marca znalazło się tylko nazwisko Sulerzyskiego, a zabrakło innych, wybranych na zjeździe w Wąbrzeźnie, co przemawiałoby raczej za jej wcześniejszym powstaniem. Równocześnie jednak jest w niej mowa o zebraniu, na którym wybrano I. Łyskowskiego

wysłannikiem do parlamentu frankfurckiego, a także ogłasza się w nim wielkie zgromadzenie w Chełmnie w dniu 5 kwietnia, którego koncepcję wypracowano także prawdopodobnie na spotkaniu wąbrzeskim. Toteż chyba najbliższy prawdy jest pastor B. Heym: dz. cyt., s. 159—160, który, choć często wikłający się w swych ustaleniach faktograficznych, korzystał z dosyć licznych wówczas źródeł lokalnych i datował tę proklamację na 28 marca, pierwotne ukonstytuowanie się komitetu też ustalając na 25 tm. Tak samo podaje I. Łyskowski w swych uwagach na łamach „Szkółki Narodowej” 1848, nr 4 s. 14.

⁴⁴ N. Sulerzyski: dz. cyt., t. 1.

⁴⁵ R. Łazęga (A. Chudziński): dz. cyt., s. 88; W. M. [W. Madejski]: dz. cyt., s. 87; H. Plehn: dz. cyt., s. 316—318; P. Böhring: dz. cyt., s. 72—73.

⁴⁶ R. Komierowski: *Koło Polskie w Berlinie 1847—1860* Poznań 1910 s. 5; Z. Grot: *Działalność posłów polskich w sejmie pruskim (1848—1850)* Poznań 1961, s. 123, 161—163, 169—170; B. Osmólska-Piskorska: *Pomorskie Towarzystwo Pomocy Naukowej. Pół wieku istnienia i działalności 1848—1898* Toruń 1948, s. 74—75.

⁴⁷ R. Łazęga (A. Chudziński): dz. cyt., s. 86—87; W. M. [W. Madejski]: dz. cyt., s. 87; H. Plehn: dz. cyt., s. 320; P. Böhring: dz. cyt., s. 73—74.

Inna sprawa, że informacje o tych grupach ochotników są niejasne i czasami wzajemnie sprzeczne.

⁴⁸ N. Sulerzyski: dz. cyt., t. 3, Kraków 1872, s. 65.

⁴⁹ Tamże, t. 3, s. 70 oraz S. Myśliborski-Wołowski: *Udział Prus Zachodnich w powstaniu styczniowym* Warszawa 1968, s. 41, 43—44, 56; S. Wierchosławski: *Natalis Sulerzyski (1801—1878), ziemianin, aktywny działacz polskiego ruchu narodowego*. W: *Zastużeni ludzie Pomorza Nadwiślańskiego z okresu zaboru pruskiego. Szkice biograficzne*. Gdańsk 1979, s. 215—216.

⁵⁰ *Mowa Natalisa Sulerzyskiego [!] z Piątkowa na pogrzebie śp. Karola Kalksteina, dnia 4 lutego 1862 roku w Pluskowęšach (Chełmno 1862)*, s. 2 i 3.

⁵¹ J. Łukaszewski: *Pamiętniki z lat 1862—1864* wyd. 2, Warszawa 1973, s. 45.

⁵² *Zabór pruski w powstaniu styczniowym* Wrocław—Warszawa—Kraków 1968, s. 4, 16, 185; S. Myśliborski-Wołowski: dz. cyt., s. 61—62, 63, 98; S. Kieniewicz: *Powstanie styczniowe* Warszawa 1972, s. 305—307.

⁵³ M. Zychowski: *Ludwik Mierosławski 1814—1878* Warszawa 1963, s. 541—549; S. Myśliborski-Wołowski: dz. cyt., s. 142.

O walkach toczonych przez ochotników z Prus Zachodnich na wschód od Drwęcy najszczegółowiej, choć nie zawsze dość krytycznie, pisał C. Lissowski: *Powstanie styczniowe w Ziemi Dobrzyńskiej* Płock 1938.

⁵⁴ Szczegółowy opis procesu berlińskiego daje Z. Grot: *Rok 1863 w zaborze pruskim. Udział społeczeństwa polskiego w powstaniu styczniowym* Poznań 1963, s. 178—200.

⁵⁵ N. Sulerzyski: dz. cyt., t. 3.

⁵⁶ Tamże, s. 46—54 oraz R. Komierowski: *Koło Polskie w Berlinie 1861—1866* Poznań 1913, s. 207 i inne.

⁵⁷ N. Sulerzyski: dz. cyt., t. 3.

⁵⁸ B. Serczykowa: *Zygmunt Działowski 1843—1878*. W: *Działacze Towarzystwa Naukowego w Toruniu 1875—1975* Warszawa—Poznań—Toruń 1975, s. 9—44. Szerzej sprawami tymi, zwłaszcza w rozdziale I, zajmuje się praca S. Wierchosławskiego: *Polski ruch narodowy w Prusach Zachodnich w latach 1860—1914* Wrocław 1980.

⁵⁹ W. Chotkowski: *Mowa żałobna powiedziana na pogrzebie śp. Natalisa Junoszy Sulerzyskiego w kościele parafialnym w Pluskowcach na Ziemi Michałowskiej, dnia 3 września 1878 przez ks. ...* Poznań 1878, s. 19—21, 24; „Gazeta Toruńska” 1878 nr 199 s. 4 [nekrolog] i 1878 nr 204, s. 3; „Tygodnik Powozeczny” 1878, nr 36/88, s. 571 [z błędami].

⁶⁰ „Tygodnik Wielkopolski” 1872, nr 40, s. 539—540. W spisie rzeczy drugiego rocznika (s. II) tę recenzję, podpisaną krzyżkiem, opatrzone literami „B.M.”, a w tym czasie sporo pisywał w „Tygodniku” Michał Bałucki, mieszkający w Krakowie, gdzie *Pamiętniki* zostały wydrukowane.

⁶¹ W. Chotkowski: dz. cyt., s. 16.

⁶² N. Sulerzyski; dz. cyt., t. 3.

⁶³ Pełny tekst tego *curriculum vitae* przedrukował Sulerzyski po niemiecku jako rozdz. XIII (faktycznie XIV) swych *Pamiętników* t. 2, s. 180—233.

⁶⁴ N. Sulerzyski dz. cyt., t. 3, s. 68—82, 83—126, 127—132, 133—144, 145—147, 148—151, 162—169. Informacje odnośnie do wcześniej drukowanych źródeł tych tekstów zawiera przypis 9 do rozdz. XIV obecnego wydania *Pamiętników*.

⁶⁵ N. Sulerzyski: dz. cyt., t. 2, Kraków 1871, s. I—IV [na końcu tomu] — Tymczasowy wykaz prenumeratorów; t. 3, [ostatnia nie paginowana stronica] — Dalszy wykaz prenumeratorów — tylko nazwiska.

⁶⁶ *Słownik pracowników książki polskiej* Warszawa—Łódź 1972, s. 372—373, 443—444.

⁶⁷ Poza dorywczymi wzmiankami o Sulerzyskim, rozrzuconymi po różnych pracach, wymienić trzeba krótki jego biogram w aneksie do książki P. Böhninga: dz. cyt., s. 211; wzmiankowany szkic S. Wierchosławskiego: dz. cyt., s. 212—217 oraz S. Kalemki: *Przemiany postaw narodowych ziemiaństwa chełmińskiego w dobie powstań XIX wieku — casus Natalisa Sulerzyskiego (1801—1878)* „Zapiski Historyczne” 1981 R. 46, z. 3 i z. 4. Ta ostatnia publikacja jest w dużej części zbieżna z tekstem tego wstępu do *Pamiętników*.

⁶⁸ Część rozdziału II *Pamiętników*, zatytułowana *Pobył w szkołach toruńskich od roku 1810 [1811!] do 1819 Natalisa Sulerzyskiego [!]* ogłoszono w „Tygodniku Toruńskim” 1925 R. 2, nr 14—17 (we wszystkich numerach s. 1—2). Natomiast w wydawnictwie: *Pomorze Gdańskie 1807—1850* na s. 384—390 zamieszczone zostały fragmenty rozdz. VIII, zatytułowane *Przebieg pierwszych dni rewolucyjnych 1848 r. na Ziemi Chełmińskiej*.

⁶⁹ Por. przypisy: 1 i 8 do rozdz. VIII, 1 do rozdz. XII, 31 do rozdz. XVI.

WPROWADZENIE ¹

Skazany na rok więzienia przez Kammergericht berliński ², wolałem w roku 1864 opuścić mój majątek, chyłący się prześladowaniami wrogów naszych do upadku, jak narazić przy podeszłym wieku moim w wilgotnych kazamatach grudziądzkich, znanych mi z roku 46 i 48 po półtorarocznym więzieniu w Berlinie — nie tylko zdrowie, ale i życie swoje i schroniłem się do Krakowa, z tym dobrze Wam znanym przekonaniem, że tu wkrótce doczekam się zbawienia ojczyzny. A kiedy tu rok po roku schodzi na oczekiwaniu, nosiłem się od dawna z myślą napisania pamiętników moich, które by dzieciom moim i przyjaciółom mogły wykryć przyczyny dzisiejszego upadku majątku, a razem i dla badaczy historii naszej podały niemało materiałów do ocenienia rządów pruskich w mojej prowincji.

Powstrzymywała mnie jednak dotąd uwaga, że za świeża jest boleść moja, z przyczyny udziału kilku, a niestety znacznych z patriotyzmu rodaków ³, w tej niecznej spółce z Niemcami, co dla odmiennych zdań politycznych z wielkich przyjaciół moich, powoli przy rozbudzonym życiu narodowym, do tak głośnego prześladowania przeszli, że samych Niemców upoważnili i odwagi im dodali do prześladowania na zabój. Wstrzymywała dalej pisanie tych pamiętników głównie pamięć na zacne Polki, żony tych moich prześladowców, co jak wszystkie w moich stronach poczciwe patriotki, zawsze były i pewny jestem, że i dotąd są, moimi przyjaciółkami.

Ale kiedy od świeżo z moich stron przybyłych dowiaduję się, że ci panowie — a na szczęście jest ich tylko kilku — nie wstydzą się głosić, że: „Koniecznie trzeba było mnie upokorzyć”, abym jak się jeden z nich wyraził: „ich wszystkim za łeb nie wziął”; a przez to za zasługę narodową sobie mają, że: „tak szkodliwego człowieka się pozbyli” — teraz zdaje mi się, że winien to jestem dzieciom moim, przyjaciółom moim nie tylko z moich stron, ale i kochanym towarzyszom moim więziennym z Wielkopolski, nie mniej zacnym przyjaciółom moim tu w Krakowie i Galicji, wre-

szcie pocziwemu ludowi naszemu, który wiem, że tęskni za mną, abym się odezwał z obroną. Dla Was zatem wszystkich, przyjaciele moi w ojczyźnie i w tułactwie, zabieram się pisać *Pamiętniki* moje, które mają mnie obronić od dalszych oszczerstw, a które wiarę znaleźć mogą u takich, co mnie nie znają.

Co do upokorzenia, którym przeciwnicy moi się szczycą, że im się za pomocą Niemców udało, to im muszę oświadczyć, że się bardzo mylą, jeżeli sądzą, że się czują upokorzonym, bo kto może tak jak ja się poszczycić, że (z wyjątkiem pewnych sfer) nie tylko tu w Krakowie, ale i w Galicji tyle dowodów szczerzej życzliwości doznaje, ten śmiało głowę w górę podnieść może, ten nie potrzebuje zwątpić o swojej przyszłości.

Losy moje są zrośnięte z losem Polski, a ponieważ ona z kataklizmu europejskiego obecnego wyjść musi odrodzona, stanę może niezadługo w oczy przeciwnikom moim, a da Bóg, będę w położeniu i usposobieniu, że im jako rodakom zapomnę krzywdy doznane.

Dziwne bo losy moje! Ja co przez czterdzieści lat życia obywatelskiego doznawałem najwyższego dla siebie szczęścia, bo miłości moich rodaków, kiedy przy rozbudzonym życiu narodowym w Prusach Zachodnich, dawniej tak uspio-nym, spodziewałem się z pomocą współobywateli znakomitych, walkę przeciw gwałtownym dążnościom germanizacyjnym skuteczniej toczyć — a kiedy prześladowania Niemców mnie samego tylko, jako posądzonego o główne przywództwo, trafiały i więzieniami na majątku i zdrowiu niszczyły — zamiast współczucia od owych współpracowników, zawiści zamieniającej się z czasem w formalną nienawiść doznałem. Nie tu koniec mojej niedoli! Kiedy zostałem zmuszony opuścić mój, tylu klęskami dotknięty majątek, by przynajmniej ocalić życie, wściekłością niemiecką zagrożone, przeciwnicy moi, a na ich czele człowiek, który dobił się stanowiska, na którym obywatele od jego względów i łaski zawiśli, okazali tego, że różnymi intrygami udało im się wyrwać z rąk moich i dzieci moich główny mój majątek, gniazdo rodzinne⁴, głosząc, że: „Tak stać się musiało, aby mnie upokorzyć”.

Tu już nie pozostaje mi nic więcej, jak zawołać z rzymskim patriotą: *Quousque tandem, Catilina, abutere patientia nostra!* (Dopókiż, Katylino, będziesz nadużywał naszej cierpliwości!)

Przyznacie więc, moi przyjaciele, że taki stan rzeczy na-

kazuje mi przyspieszyć dawny mój zamiar spisania dla Was i dzieci moich pamiętników życia, tylu burzami skołatanego, które by okazały, czy byłem szkodliwym obywatelem.

Oprócz historycznego poglądu na rozwój życia narodowego w Prusach Zachodnich i na rządy pruskie, znajdzie młodzież polska zasady mojego gospodarstwa, które bym chciał, żeby jej posłużyły do naśladowania, ponieważ mnie doprowadziły do świetnych rezultatów.

Pisałem w Krakowie 1 maja 1871
Natalis Sulerzyski

Wstęp
DO MOICH DZIECI

Pod dobrą wróżbą zaczynam pisanie pamiętników moich, bo w dniu 3 maja, dniu wiekopomnej sławy dla narodu polskiego, którego pamięć dziś tu w Krakowie obchodzić będę w Towarzystwie Postępu skromną ucztą.

Dla was głównie, kochane dzieci moje, piszę te pamiętniki, aby was w dzisiejszej waszej niedoli pokrzepić wiarą moją w lepszą a bliską przyszłość. Do Ciebie naprzód, kochana Heleno, się zwracam i proszę, abyś twoim poczciwym sercem nie ubolewała nad losem ojca twojego, bo wiesz przecież, że Bóg dał mi siłę ducha do znoszenia przeciwności. Dla Ciebie samej znikły marzenia twoje, jeżeliś jakie miała, kiedyś była młodą panią, o świetnym losie twoim, ale Bóg ci dał troje pięknych dzieci, któreś mi niedawno tak ładnie opisała. Spodziewam się, że mi je wkrótce przywieziesz, żebym się przekonał, czy prawda. Prócz tego słyszę, że jesteś kochaną od wszystkich dokoła, jak śp. matka twoja — cóż Ci więcej potrzeba? Chyba środków pomagania biedniejszym, jakieś to zwykła w lepszych czasach. Sądzę, że to sobie jeszcze wymodlisz od Boga.

Tobie, mój synu Wacławie, któryś tu kilka miesięcy w Krakowie u mnie zabawił, a teraz wróciłeś do domu, gdzie Ciebie nic pociesznego nie czeka, powtarzam, co ci nieraz opowiadałem, że początek mojego zawodu gospodarczego był o wiele kłopotliwszy od twego, jak to później obszernie opiszę. Wystaw więc sobie, że ci, co mnie, a zatem i tobie wyrwali majątek, dla twojego dobra to zrobili, żebyś nie poszedł drogą, jaką dziś wielka część młodzieży majątnej idzie, że w krótkim czasie roztrwonią ojcowską spuściznę, ale żebyś pracą usiłną jak ja dobijał się majątku, którym byś skuteczniej mógł służyć ojczyźnie i narodowi, jak będąc ubogim.

DO MOICH PRZYJACIÓŁ I NIEPRZYJACIÓŁ

Winienem to przyjaciołom moim, nie tylko licznym, ale i serdecznym, wykryć tę dziwną zagadkę, dlaczego ja, co przez czterdzieści lat życia obywatelskiego byłem kochanym od wszystkich, dzisiaj wystąpić muszę w obronie mojej, aby liczba nieprzyjaciół moich, podżegana kłamliwymi o mnie wieściami, bardziej nie wzrastała. Walczyć z odwiecznymi wrogami naszymi, to nasze dziejowe przeznaczenie i zakończyć się musi ta walka straszną katastrofą, po której dopiero zbratanie ludów nastąpi. Ale doczekać się tego, że dawni moi współnicy walki, dziś jawnie przeciw mnie występując, stają się obrońcami tychże wrogów, to bolesne, bo zmusza mnie do walki z rodakami, a nam jedność tak potrzebna.

Pamiętniki moje wyjaśniają powody tego przejścia z przyjaźni do nienawiści i prześladowania; tu w tym miejscu tylko wspomnieć mi wypada, jakimi oszczerstwami przeciwnicy moi gonią za mną, nawet w tułactwie. Widząc od samego początku przybycia mego do Krakowa w pewnych sferach społeczeństwa niechęć do mnie jawną, dowiedziałem się, jaka temu przyczyna. Oto ogłoszono, że jestem czerwonym w najwyższym stopniu, tak dalece, że jako mirosławszczyk¹ twierdzą, iż czaszkami arystokracji musi być Polska wybrukowana. Na to przede wszystkim odpowiadam, że żadnym szczykiem nie jestem. Mój kolor nie jest ani czerwony, ani biały, tylko czerwono-biały, tj. narodowy.

Co do wiary mojej politycznej, to od dawna taką objawiam, że jestem przeciwnym wszelkim partiom w narodzie polskim.

Innym narodom, co mają byt polityczny, nie tylko wolno, ale powinny się dzielić na partie, aby przez walkę tę dobić się wolności; my Polacy powinniśmy do jednego wielkiego obozu należeć, aby tą jednością zaimponować wrogom naszym, bo tylko jednością silni jesteśmy. *Concordia res parvae crescent*².

Przekonany jestem, że kiedy się urzeczywistni przepowiednia Napoleona I na Świętej Helenie: po pięćdziesięciu latach Europa będzie albo republikańską, albo kozacką, a

pierwsze jest tylko możebne, bo ludom się sprzykrzyły te mordy z łaski Bożej; u nas Polaków, jednych, nie będzie bratobójczej walki, bo my po stuletniej niewoli i cierpieniach zostawszy wolnym narodem, zapomnimy o dawnych rozdwojeniach i w uściskach bratnich wszystkich stanów do wspólnej pracy się weźmiemy. Wtenczas i ja nieprzyjaciółom moim, którzy odwiecznym naszym wrogom tak szczerze pomagali i pomagają dotąd, będę, da Bóg, w stanie zapomnieć, com od nich ucierpiał.

Rozdział I

OD URODZENIA DO WEJŚCIA DO SZKÓŁ PUBLICZNYCH

Treść: Kiedy i gdzie się urodziłem. — Bracia i siostry. — Stan majątkowy rodziców. — Budowa dworu szlacheckiego. — Pierwsze nauki w domu rodzicielskim. — System szczególny nauczycieli, których było pięciu po sobie. — Tylko dwom ostatnim wdzięczność się należy. — Rejterada spod Jeny. — Zachowanie się wojsk francuskich. — Zły sąsiad Niemiec ukarany. — Moja sympatia dla Francuzów od lat dziecińczych, potwierdzona przez świętego Jana à Capistrano.

Urodziłem się w Piątkowie w Prusach Zachodnich, powiecie brodnickim 28 września 1801 roku. Było nas czterech braci i dwie siostry z ojca Wincentego i matki Anny z Mieroszewskich. Babka moja Mieroszewska, która rej prowadziła w rodzinie, nadawała wnuczkom swoim niepospolite imiona na chrzcie świętym. I tak braciom: Atanazy, Heliodor, Gustaw. Siostrom: Leokadia, Alodia. Mnie dostało się najosobliwsze imię: Natalis i dlatego to pewnie jestem tak osobliwym człowiekiem. Matka moja była jedynaczką, a przyczynę tego opowiadał nam, wnukom, dziadek Mieroszewski, że przy urodzeniu matki naszej, żona wotum¹ zrobiła, i choć pod jednym dachem, w separacji, oprócz wspólnego stołu, żyli ze sobą pięćdziesiąt pięć lat, naturalnie nie w czułym małżeństwie.

Ojciec mój urodzony w Karczewie² pod słomianą strzechą, nosił się jak wszystka szlachta po polsku. Panowie mieszkający w pałacach (to jest w domach pod dachówką i z dwoma kominami) będąc po części szambelanami jego królewsko-pruskiej mości przybrali ubiór francuski. Ale starając się o matkę moją musiał ojciec z woli babki, jako Mieroszewskiej i mieszkającej w pałacu w Zajączkowie³,

wąsy ogolić i kapotę zrzucić, bo to nieprzyzwoicie. Po zaręczynach ojca rodzice jego kupili mu Piątkowo, a że tam dworu nie było, trzeba było stawiać nowy dla posażnej, w pałacu wychowanej synowej. Zjechał zatem dziadek ze synem i cieślą i tam taki plan dworu nakazał: dom osiemdziesiąt stóp długości, po prawej stronie dwa wielkie pokoje, każdy po trzydzieści pięć stóp i tylko po jednym oknie, na drugiej kuchnia z izbą czeladnią i spiżarnią. Odjechawszy dziadek, wziął się ojciec do budowy. Od ojca swego dostał drzewo budowlane z boru karczewskiego (który później rząd pruski procesem odebrał), ale z cieślą nadrobił, że po każdej stronie był jeden pokój duży i gabinet z trzema razem oknami, do tego wystawa z altaną przy wejściu do sieni. Dom naturalnie słomą przykryty i o jednym kominie. Skończywszy budowę, zaprosił ojca swego, żeby zobaczył, czy dobrze. Ten widząc, że to nie dom szlachecki, ale pałac, zdejmując czapkę przed synem, prosi, aby wszedł naprzód, bo on jako chudy pacholek nie może. Nareszcie udobruchany przez syna, że żonę z pałacu wprowadza, pyta: „Ale na co tyle pokoi, na co te jakieś gabinety?” — „Dla dzieci, kochany ojcze” — i pocałował go w rękę, i zgoda nastąpiła.

Szczegóły te często słyszałem od matki mojej, a że mi zostały w pamięci, dlatego je, dla was dzieci moje, przytaczam, pewny, że ten obrazek życia i stosunków ówczesnego polskiego obywatelstwa was zainteresuje.

Matka moja objąwszy wnet rzędy samowładne w domu, dowiaduje się, że do ojca męża należy jeszcze piękny majątek w Ziemi Chełmińskiej, Zegartowice⁴, pyta, czemu go nie bierze w posiadłość. Na to dostaje odpowiedź: „Na co to się zdało, kiedy tam lasu nie ma, nawet różgi na dziecko”. Nieustraszona tą uwagą, bo chrustu było dosyć w Piątkowie na różgi dla dzieci, tyle dokazała, że Zegartowice odebrano nieprawnym posiadaczom.

Piękne to było ówczesne zamięłowanie polskich obywateli do lasów i ich szanowanie, które dopiero przybysze niemieccy później, w pień wycinając, nawet na czystych piaskach, przykładem swoim wyrwali z serc polskich, tak że te ozdoby i skarby majątków prawie zupełnie zniknęły.

Do Piątkowa kupił ojciec, posagiem żony, folwark Dylewo⁵, tak że rodzice do majątniejszych liczyć się mogli, rachując do czterech majątków, jeszcze piąty Mierzynek⁶, po sprzedaży Zajączkowa, do matki należący.

Nadszedł czas nauki dla mnie z dwoma starszymi braćmi. Pierwszym domowym nauczycielem był Polak Gudewicz, po

nim Niemiec, Happe. Szczególny miał system uczenia, bo zadawszy nam odpowiednią lekcję, wychodził ze strzelbą, niby na polowanie, ale wchodził na górę i tam przez dziurkę przyglądał się, co robimy. My zaś korzystając z niebytności jego zamiast pilnować zadania, w najlepsze kozły przewracaliśmy. Wtenczas on wpadał, nuż jednego po drugim okładać batogiem, tak że matka, litując się nad nami, pocieszała się tym, że ponieważ jezuici takim samym sposobem młodzież na dobrych obywateli kierują, inaczej z chłopcami postępować nie można, jeżeli się chce mieć z nich pociechę.

W owym to czasie zaszła bitwa pod Jeną⁷. Pierwsza wiadomość o niej, ponieważ gazet wówczas u nas nie znano, doszła przez trzech oficerów pruskich, którzy w czasie wielkiej rejterady przybyli do Piątkowa. Kiedy w najlepsze się bawią opowiadając swoje przygody — wpada nasz kochany guwerner i mówi do oficerów: „Panowie, umykajcie, bo słychać bębny francuskie od strony Torunia” — „To nie podobna, to muszą być nasi, jakże by się dostali przez Wiśle”. Na to ojciec: „Siądźże, panie Happe, na konia, i przekonaj się, kto to”. Niebawem też wpada z powrotem, wołając: „Ratujcie się, bo Francuzi tuż za mną”. Ledwo zdążyli dopaść koni, zostawiwszy dużo rzeczy swoich, umknęli, a Francuzi wpadają do Piątkowa.

Pozbyliśmy się narazie guwenera Niemca systemu jezuickiego i dostaliśmy młodego kandydata teologii, Kwiatkowskiego.

Ten miał inny system karania, bo wówczas zdaje się zachodziła kwestia, nie czy karać uczni, tylko jak karać. Otóż on, jako przyszły pasterz, nie bił nas swoją ręką, ale kazał nam bić jeden drugiego prętami przez nas samych urzniętymi w lesie, przy czym pilnował, żeby mocno uderzać. Toteż tą swoją metodą tyle dokazał, żeśmy później w szkołach, aż do ukończenia nauk, z byle jakiej przyczyny porządnie się czubili.

Na szczęście nasze, z utworzeniem Księstwa Warszawskiego rozwiązano pruski korpus kadetów w Chełmnie i dostał nam się profesor tego korpusu Gabler, późniejszy rektor przy Gimnazjum w Chojnicach⁸. Ten, jako rozsądny nauczyciel, taką ambicję w naukach o lepsze potrafił w nas wpoić, że się obyło zupełnie bez plag, a postępowaliśmy znacznie w naukach. Raz tylko kazał mi wyjść ze szkoły i stać całą godzinę przed drzwiami, mówiąc: „Nie jesteś godzinę z braćmi twoimi się uczyć”. Stoję więc za drzwiami zanosząc się od płaczu, wtem matka przechodzi — nowy

postrach, bo pewny jestem, że klapse będą, których nie szczeniła, ale omyliłem się tym razem, bo wprowadza mnie do szkoły i zaręcza, że się poprawię.

Kochanemu Gablerowi winienem szczególnie doskonale poznanie historii starożytnej, po całe wieczory zimowe czytaliśmy, w przytomności rodziców, zajmującą historię Beckera⁹, która mi dotąd jeszcze została w pamięci, a której podobno jeszcze nie mamy w polskim tłumaczeniu.

Ponieważ tylko rok mógł u nas zostać, polecił rodzicom przyjaciela swego, Hackmanna na swego następcę, zalecając, żeby nie szczeniła na naukę dla nas, ponieważ na dobrej drodze jesteśmy.

Hackmann dwa lata u nas przebywszy doprowadził nas w naukach tak daleko, że wszyscy trzej, ja 10 lat mając, w toruńskim Gimnazjum do trzeciej z góry klasy przyjęci zostaliśmy.

Nim zakończę ten pierwszy period życia mego, wspomnieć muszę o francuskim wojsku, które po bitwach pod Jeną i Friedlandem¹⁰ długi czas w naszych stronach przebywało.

Chociaż rekwizycje wojskowe dużo kosztowały rodziców moich, to w ogóle nie mieli powodu narzekać na postępowanie ich, i nieraz ochraniali jedni od zbytanych wymagań innych oddziałów, i to czasem w dowcipny sposób. Raz np. bawił w Piątkowie oficer-rekonwalescent, wtem ciągnie znaczny oddział wojska z mnóstwem podwód przez wieś pod sam wieczór; oczywiście będą nocować i trzeba żywić tyle ludzi i koni. Na prośbę rodziców, oficer wpada na concept i każe co żywo żołnierzowi swemu, służbowemu, dążyć za bramę podwórzową i tam z dobytym pałaszem się przechadzać. Rodzice i my dzieci, wraz z oficerem, patrzymy przez parkan ogrodu, co stąd wyniknie, ale widzimy z przestrawchem, że cała karawana skręca pod górę ku podwórzowi. Dopatrzwszy jednak wartę przechodzącą się przed bramą, zatrzymują się przekonani, że tu już sztab stać musi i ciągną dalej gościć. Pocziwe Francuzisko, uradowane, że się udał manewr, uściskaliśmy wszyscy serdecznie.

Najbardziej dokuczał rodzicom sąsiad Niemiec nazwiskiem Keck — Szwab szkaradny z postaci i postępowania. Nie dość, że przechodzące wojska same trafiały do Piątkowa, ale on przybywających do niego odsyłał do nas, mówiąc, że to majątek do niego należący. Ojciec mój odgrażał się, że mu to kiedy zapłaci, ale zabawna kara skądinąd go spotkała. Jednego dnia, o świcie zjawia się piechotą w Piątkowie, w

ślafroku, pantoflach i z fajką. Rodzice dowiedziawszy się, jakiego niespodziewanego gościa mają w domu, już siedzącego przed kominkiem i fajkę palącego, wychodzą z sypialni do niego i pytają, co im taką wizytę sprowadza, on odpowiada, że obudziwszy się zobaczył Francuza, dzielącego jako trzeci jego łożo małżeńskie — „Cóż miałem robić, do was kochani sąsiedzi uciekłem”. Niedługo potem wchodzi posłaniec z Pluskowęs donoszący mu, że jejmość przysłała furmankę po niego. — „Powiedz jejmości, niech weźmie flintę i w łeb sobie strzeli”. Żeby jednak pozbyć się niemiłego gościa wyperswadowali mu rodzice, że w tych wojennych czasach na takie małe awantury trzeba być przygotowanym i odjechał sobie do domu.

Mnie, najmłodszego z trzech braci, bo czwarty Gustaw, który w tym roku zmarł, później się urodził — Francuzi najbardziej lubili — musiałem z nimi jadać, tylko się dziwili, że mnie ich ulubiona sałata nie smakuje i nazywali: *le petit Français*. Toteż, podobno z przyczyny tej wzajemnej sympatii z Francuzami od lat dzieciennych, dotąd mam przekonanie, że tylko od nich zbawienia ojczyzny naszej spodziewać się należy, pomimo okropnego położenia, w jakim się obecnie znajdują, i to przekonanie dzielę z poczciwym ludem naszym, który od dawna spodziewa się zbawienia od Francji, a mianowicie przy ostatnim powstaniu odzywał się: „Czekajcie Panowie, aż Francuz przyjdzie” — a głos ludu jest głosem Bożym! I w tym przekonaniu potwierdza mnie prorocstwo świętego Jana à Capistrano, które polecam tym wszystkim, którzy twierdzą, że tylko przez oświatę i pracę Polska powstanie, i polecam tym wszystkim, którzy twierdzą, że Francja obecnie ostatni cios sobie zadaje — bo Francja jest nieśmiertelną — i przy takim zwątpieniu w jedyną możliwość zbawienia naszego nie widzą potrzeby łączenia się z narodem do wielkiej a bliskiej walki — tylko sięją rozdwojenie, jak tego codzienne widzimy dowody — polecam wreszcie tym wszystkim, którzy w nieomyślność papieża wierzą, która nam w niczym pomóc nie może, a nie wierzą w nieomyślność świętego Jana à Capistrano, którego prorocтва wszystkie się spełniły, a ostatnie zapowiada nam zbawienie Polski. Prorocstwo to jest następujące:

„Gdy kogut raz trzeci pieje, (trzecia francuska republika)
Wiatr wolności za nim wieje,
Turek Moskwę konfunduje, (wojna krymska)
Włoch się z kajdan wywiązuje, (wojna włoska)

Na Germani wnet się rzuci,
Polskę z grobu wraz ocuci
Wtenczas Prusak trząść się będzie
Wiarę starą znów zdobędzie.
Bogu odda chwałę”.

[Toż po łacinie]

*Quando Gallus bis ter cantabit,
Moscus per Turcos confundabit,
Italiam regenerabit,
Germaniam occupabit,
Poloniam evindicabit
Tandem Brandeburgus tremens stabit
Sectam abnegabit.
Deo laudem dabit.*

Mam ja jeszcze więcej prorocत्व, które przepowiadają bliższe nasze zbawienie, ale je zachowam na później, jeżeli tego będzie potrzeba; bo sądzę, że wypadki, które dziś światem wstrząsają, same do takiej potęgi się wzniosą, że nie będzie trzeba więcej prorocत्व, a ludzie uwierzą, że kiedy świat do góry nogami się wywraca, to i zupełnie się przewróci, a my wtenczas nie będziemy jak dotąd deptani przez wrogów naszych, ale rozszerzy się przestrzeń świata i narody obok siebie mieszkać będą w pokoju i zgodzie.

Rozdział II

POBYT W SZKOŁACH TORUŃSKICH OD 1810 DO 1819

Treść: Profesorowie polscy i niemieccy. — Wojczyński komendant Torunia. — Austriacy nie wpuszczeni do miasta. — Napoleon na drodze do Moskwy w Toruniu. — Obleżenie przez Moskali. — Pułtoracki pułkownik. — Bal. — Moja przygoda na balu. — Paź pułkownika. — Zaproszenie do obozu moskiewskiego. — Kapitulacja Torunia. — Powrót do szkoły. — Ksiądz Giełażewski, nędzny profesor, awantury z nim wyprawiane. — Stary Gernar, niemiecki profesor dziwak. — Wizyta Niemcewicza. — Na pensji u profesora Dziekońskiego. — Kruszyński z Nawry, kurator na egzaminach. — Reforma gimnazjum, sami Niemcy profesorowie, ale dobrzy. — Rektor Brohm. — Zniesienie pomnika jezuickiego i jego historia. — Dom Kopernika — ratusz — romanse studenckie — teatr amatorski. — Awantura z kuzynem. — Order ojcu przysłany. — Nieszczęście z kartoflami.

Po utworzeniu Księstwa Warszawskiego Gimnazjum Toruńskie¹ miało do połowy niemieckich, do połowy polskich profesorów. Rząd polski, nie tak, jak to robi pruski, uwzględnił, że uczniowie są do połowy Niemcami. Sam rektor Szyrmer² był Niemcem. Polscy profesorowie byli: Paweł Czajkowski³ — który tylko rok u nas bawił jako profesor literatury i historii polskiej, po nim Dziekoński Tomasz⁴, Radomiński⁵, ksiądz Giełażewski⁶ i ksiądz karmelita Dziembiński⁷. Oddano nas na pensję do Dziembińskiego, gdzie nam nie bardzo dobrze było, zwłaszcza że siostra jego, stara panna Brygitta bardzo lichy nas karmiła, a tym więcej zrzedziła.

Komendantem miasta był wówczas, powszechnie lubiany, generał Wojczyński⁸. Powiadano o nim, że kiedy Austria-

cy z tamtej strony Wisły, idąc, wezwali miasto do poddania się, mieszkańcy błagali go, aby poddał, ponieważ obrona była trudna, mając tylko nie wyćwiczone wojsko w załodze, ale Wojczyński odpowiedział: „Nie poddam prędzej, aż mi chustka w kieszeni palić nie będzie” — bo kule austriackie już padały do miasta. Nieprzyjaciel szturmu przypuszcza do mostu, nasi w nieładzie się cofają i byłoby pewnie źle z Toruniem, gdyby nie nadzwyczajny wypadek. Na kępie bowiem, łączącej mosty, stała armata nabita, do której jeden z ostatnich uciekających lont przykłada. Ta jedna kula zabija dowódcę austriackiego, pułkownika Bruscha; po czym wojsko całe się cofnęło stanąwszy obozem za Wisłą, a z czasu korzystając wystawili skromny pomnik swemu dowódcy, dotąd jeszcze istniejący⁹.

W tym czasie spotkała Toruń niespodziewana wizyta Napoleona¹⁰, idącego na Moskwę. Całe miasto wyległo nad Wisłę, czekając na jego przybycie. Niebawem slysze okrzyk: „Patrzcie, jak Cesarz z tamtej strony rzeki pędzi na swoim białym arabszym tak, że gwardia polska zdążyć za nim nie może”. Przez most i miasto na Rynek już jechał stępa i stanął kwaterą w domu pocztowym, gdzie mu przygotowano mieszkanie. Powiadano, że niekontent był z tego i pytał, czemu nie w ratuszu. Gmach to starożytny, pełen pamiątek historycznych, o których później. Kwadrans ledwo upłynął, jak stanął w kwaterze, już wychodzi na miasto oglądać znakomitości, a naprzód do domu Kopernika...¹¹ Tuż przy mnie przechodził. Nazajutrz rano, kiedy wszystko dąży przed jego mieszkanie, już go nie było. Za nim ciągnęły wszystkimi szlakami wojska wszystkich narodów i chociaż tylko w przechodzie, dużo ucierpiał kraj nasz, bo wszystko zabierali, czego było potrzeba. Najwięcej rodzice moi narzekali na Niemców, mianowicie Hessów i Bawarów, którzy niemiłosiernie rabowali i bardzo rodziców zniszczyli, zabrawszy ze sobą wszystkie fornalki. Inszy był powrót tej wielkiej armii w następnej zimie, a po nim Moskale oblegli Toruń¹², co nas zmusiło opuścić szkoły i wrócić do domu.

Tu zastaliśmy zmianę dekoracji, bo zamiast Niemców i Francuzów, Moskale pełno było w okolicy. Z początku obawiano ich się bardzo; osobliwie objawiała tę obawę guwernantka Niemka do siostr moich, panna Regin, twierdząc, że dla kobiet są bardzo natarczywi. Już pierwszy oficer, który się zjawił, osłabił tę obawę, bo był przystojny i koperczaki do niej palił, a gdy po nim kapitan stanął na dłuższy czas kwaterą, tak się w nim rozromansowała, że

była zdecydowaną iść za niego, ale na nieszczęście znalazła się żona kapitana, która wszystko popsowała.

W Pluskowęsach, u znanego z przygody nocnej sąsiada Kecka, był na kwaterze pułkownik moskiewski Pułtoracki, który oddawszy wizytę rodzicom, zaprosił ich do siebie na wielki bal. Trudno było odmówić przybycia do domu nie bardzo godnego sąsiedztwa, bo „nastajaszczy”, a bardzo grzeczny Moskał nalegał gwałtownie. Pojechali więc rodzice i wzięli nas wszystkich trzech chłopców ze sobą, bo matka bez nas nigdzie się nie ruszyła. W szczupłym domku trudno było pomieścić tyle gości, zwłaszcza że muzyka sama z ogromnym bębniem, kotłami, trąbami itd. znaczną część pokoju zajęła. Niebawem pułkownik znak daje muzyce. Różną poloneza, aż szyby brzęczą, matka w zielono-aksamitnej sukni z Pułtorackim sumie w pierwszą parę, za nimi całe towarzystwo i bracia moi. Ja jakoś nie dobrawszy pary i głodny strasznie, bo o mnie przy częstacjach zapomniano, siadłem pomiędzy muzyką, gdzie indziej bowiem miejsca nie było, ale dziś jeszcze pamiętam, co wycierpiałem, bo próżne wnętrzności moje tak w takt muzyki niemiłosiernej podrygały, że cały skulony brzuch ścisnąć musiałem.

Bal trwał noc całą; w pauzach śliczny paż podawał pułkownikowi paradną fajkę z tureckim tytoniem, a że był piękny, słyszałem sprzeczkę niemieckich pańienek z córką gospodarza, czy to chłopiec, czy dziewczyna. Tamte twierdziły, że dziewczyna, ale córka domu, tęga Szwabka, zapewniała najuroczyściej, że to chłopiec, bo go całego widziała.

Dla was, dzieci moje, spisuję, żeby was w dzisiejszym położeniu rozweselić, te fraszki, pamiętne mi dotąd z dziecinnych lat moich, przez co równocześnie chcę wam dać dowód, że wszystkie przeciwności, które doznałem, nie potrafiły mi zniszczyć dobrego humoru, jakim mnie natura obdarzyła, a który ma główne swe źródło w głębokiej wierze, że dożyję zbawienia ojczyzny, i dlatego pojąć nie mogę tych wszystkich, a niestety jest ich dużo, co bez tej wiary są najpiękniejszego humoru.

Tymczasem oblężenie Torunia powołało pułkownika naszego do obozu przed fortecą, dokąd zaprosił ojca z nami do swojego namiotu. Jenerałowie Langeron i Barclay de Tolly kierowali oblężeniem. Kilka dni tu bawiąc, doczekaliśmy się tego, że po ostrym bombardowaniu miasta ze strony Moskali, Francuzi nad wieczorem wywiesili białą chorągiew; wjechaliśmy zatem nazajutrz rano razem z Moskałami do miasta, a Francuzi wyszli z bronią w rękę inną bramą.

Po tej pauzie w naukach wróciliśmy znowu do szkoły, ale już nie do panny Brygitty, tylko do malarza Jakobiego, u którego i pensja tańsza była i lepiej o wiele nas żywiono. Przysłowie, nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło, tu się potwierdziło, bo zawdzięczalim tę zmianę wielkim stratom w gospodarstwie, a mianowicie, że i zaraza na bydło nawiedziła Piątkowo, tak że rodzice musieli przeprosić księdza Dziembińskiego, że nie mogą na jego pensją na nowo oddać trzech synów.

Wielkim szczęściem dla nas było, że w owym czasie przybył nam profesor, Tomasz Dziekoński, którego w przeszłym roku miałem przyjemność tu w Krakowie, jako jeszcze czerstwego starca powitać, wracającego z wnukiem swoim ze Szczawnicy do Warszawy.

Bracia moi wyprzedzili mnie pilnością swoją w naukach, bo kiedy przeszli do drugiej klasy, ja jeszcze rok zostałem w trzeciej, a kiedy przeszli do pierwszej, ja dopiero do drugiej doszedłem. Nędznie bo szły nam nauki w Toruniu, bo prócz Dziekońskiego, który nam historią i literaturę polską z wielkim naszym zajęciem wykladał, niczego prawie od innych profesorów nauczyć się nie było można. Z wielkim dobrem dla nas było, żeśmy się dostali na pensją do Dziekońskiego, którego miłe z nami obejście, a pouczające zawsze rozmowy w niezatartej, wdzięcznej zachowują pamięci.

Z polskich profesorów najnędzniejszym był ksiądz Gielażewski, z Wilna do Torunia przystany. Toteż dokazywaliśmy z nim awantury, jakie trudno, żeby swawolni uczniowie z nauczycielem, którego pozbadli, gdziekolwiek robili. Na przykład wmówiliśmy w niego, że *Pontus Euxinus*¹⁸ się spalił i będzie wielka składka na odbudowanie tego miasta, co nie zaniedbał kolegom swoim powtórzyć. Wykladał nam chemią, mineralogią i fizykę, ale tak nędznie, że żadnej stąd nie mieliśmy korzyści. Toteż całym naszym zatrudnieniem było coraz inne figle mu płać. Ja z dwoma braćmi Charchowskimi byliśmy naczelnikami w tym względzie w klasie naszej. Jednego razu, starszy Charchowski — Tadeusz — takie wykoncypował przyjęcie profesora do klasy. Ja Tadeuszowi wsiadłem na barki i czekamy, aż wejdzie. Wtenczas uderzam na niego niby z konia, ale młodszy Charchowski woła: „Nie bój się księżo profesorze”, wskakuje mu na barki i nuż rąbać się ze mną. Ksiądz wrzeszczy: „Co robicie?” Wtem drzwi się otwierają i wchodzi rektor. My z koni w wielkim przestachu, co z tego będzie, bo był bardzo

gwałtowny, jednakowoż widząc, co się dzieje, nie mógł wstrzymać się od śmiechu i wyszedł czym prędzej.

Ale i pomiędzy niemieckimi profesorami był rzadki oryginał, Germar¹⁴. Przeszło siedemdziesiąt lat stary, nie przychodził do Gimnazjum, tylko uczniowie dwóch wyższych klas do niego chodzili, i to na dwie godziny dziennie, od dziesiątej do dwunastej; ale że zwykle od pół do dwunastej schodził w szlafroku, szlafmocy, żółtych spodniach do kolan, pończochach i trzewikach do klasy, więc my te półtorej godziny w zimie na ślizgawce, w lecie grą w piłkę za miastem przepędzaliśmy. Wróciwszy do klasy nie obyło się bez jakichś conceptów, żeby i tę resztę godziny zmarnować, i to albo smarowaniem gorącego pieca, żeby był swąd, albo dokuczając jego starej gospodyni, która nas drapaką po schodach goniła.

Podczas tak nędznego urzędzenia szkoły toruńskiej przybył, od rządu przysłany, wizytator w osobie Niemcewicza¹⁵, ale krótko bardzo bawiąc nie mógł się przekonać, jak wielka jest potrzeba reformy. Wszedłszy do mojej klasy podczas lekcji profesora niemieckiego Bormanna¹⁶, obrócił się do uczniów i w te odezwał się słowa: „Niemcy uczcie się po polsku, bo ta ziemia zawsze polską zostanie”, uklonił się profesorowi i wyszedł. Temu nie bardzo się ta przemowa podobała, bo rzekł: „Spodziewałem się, że nam coś lepszego powie”.

Główna wina nędznego stanu naszego gimnazjum ciążyła na samym rektorze, który tylko przez protekcję jakiegoś magnata polskiego, u którego był guwernerem do dzieci, dostał tak ważną posadę. Kuratorem szkoły był powszechnie szanowany obywatel Kruszyński z Nawry¹⁷, dziedzic pięknego majątku z wspaniałym pałacem na Ziemi Chełmińskiej; zjeżdżał zwykle na egzaminy nasze do Torunia, które jednak tak starano się urządzać, że kurator był przekonany, że uczniowie doskonale się uczą.

Tylko od naszego, powszechnie kochanego, Dziekońskiego korzystaliśmy nie tylko w szkole, ale i z opowiadań jego na pensji. Będąc zawsze łagodnym i miłym, raz tylko bardzo mnie zmartwił, bo kiedy bracia moi przeszedłszy do najwyższej klasy w domu zwykle uczyli się pilnie, jednego wieczora, nie widząc potrzeby przygotować się do dnia następnego, już o ósmej położyłem się w łóżko. Wtem wchodzi Dziekoński, przystępuje do braci, pyta czym się zatrudniają i krótko z nimi rozmówiwszy się, powracając koło mnie, który ze wstydu płakać zacząłem, rzekł: „Nie płacz

panie Natalisie — Sewryn Płaskowski też już śpi” — i odszedł. Takie zawstydzenie mnie było skuteczniejsze, jak gdyby mnie był złażał, toteż odtąd pilniej zacząłem się brać do nauki.

Tymczasem Prusy na nowo objęły swoje dawne zabory, polscy profesorowie musieli wszyscy ustąpić, prócz księdza Dziembińskiego, który religią wykładał, a nowa organizacja nastąpiła. Bracia moi jeszcze przedtem ukończywszy szkoły, poszli do Berlina na uniwersytet, mnie przesadzono do pierwszej klasy. Dostaliśmy z rektorem Brohmem¹⁶ doskonałych profesorów Niemców, u których we wszystkich naukach prócz języka polskiego znaczne postępy robiłem, ale zdawało mi się, że ten nie będzie mi potrzebnym, ponieważ rektor, u którego stałem na pensji, polubiwszy mnie, widząc pilność moją, zapewniał mnie, że ambasadorstwo pruskie mnie minąć nie może. Ucieszony tym, pospieszyłem o tym donieść braciom do Berlina, ale zamiast pochwały dostałem ogromną burę od Heliodora z napomnieniem, żebym nie zapomniał, że jestem Polakiem.

Do pierwszych czynów rządu pruskiego w Toruniu należało zniesienie pomnika na cmentarzu przy kościele Panny Marii, wystawionego na pamiątkę ścięcia burmistrza Rösnera i dziewięciu radnych, obwinionych o dopuszczenie burd ulicznych podczas procesji maokoło kościoła świętego Jakuba, na uroczystość Najświętszej Panny Szkaplerznej. Było to 16 lipca 1724 roku i zaczęło się od tego, że student jezuicki, Lisiecki, wezwał ewangelika, ażeby przed monstrancją uklęknął, a gdy ten nie chciał, okładał go pięścią. Wtenczas pospółstwo luterskie rzuciło się na kościół jezuicki, rabując i burząc wszystko, co napotkali. Zjechała komisja śledcza z dwudziestu osób, na koszt Torunia, przez Augusta II mianowana, pomiędzy nimi: Krzysztof Szembek, biskup pomorski, Stanisław Załuski, biskup płocki, Zygmunt Rybiński, wojewoda chełmiński, Jan Działyński, wojewoda pomorski, Adam Poniński, kasztelan gnieźnieński, Piotr Czapski, kasztelan kujawski, Jerzy książę Lubomirski, podkomorzy koronny, Dominik Siemieński, dziekan gnieźnieński, Jakub Dunin, regent kancelarii królewskiej, Michał Wężyk, oficjał warszawski, Jerzy Kczewski, podkomorzy malborski. Jezuici stawiali na karę śmierci na burmistrza i innych radnych, fałszywymi świadkami dowodząc im winę. Jerzy Lubomirski wywarł najzgubniejszy wpływ na tę sprawę. On na swe sumienie wziął całą zgrozę krwawej sceny, uwiedziony obietnicami jezuitów, iż za okazaną o honor boski gorliwość

odzyszcze swój wzrok prawie utracony — jak powiada Adrian Krzyżanowski. Biskup Załuski i wojewoda Rybiński, nie mogąc kolegów na drogę prawości i sumienia naprowadzić, wyjechali z Torunia. Legat papieski umyślnego posłańca wysłał do Torunia, upominając jezuitów, żeby się chronili od krzywoprzysięstwa. Posłaniec o kilka godzin za późno przybył. Wyrok był już wykonany, 7 grudnia 1724 r.¹⁹

Pomnik nosił na sobie dziesięć ogromnych kul, tyleż głów wyobrażających, nic słusniejszego jak to, że został zniesiony. Do znakomitych pamiątek należał wówczas skromny domek Mikołaja Kopernika, w którym się urodził 19 lutego 1473; w stylu gotyckim. Dziś ta pamiątka prawie zginęła, bo został tylko jego pokój, w którym cały sprzęt stanowi łóżko, czarną kotarą pokryte, nad nim zaczerniały od starości portret astronoma, dwa stolki, szafa i stolik. Stary domek zginął, bo z przykupionego sąsiedniego domu wybudował dzisiejszy właściciel jeden dom zielono pomalowany. Warto by było przywrócić pierwotny dom wielkiego naszego astronoma.

Zasługuje także na zwiedzenie ratusz, gmach rady miejskiej, w gotycko-renesansowym stylu. Budowa jego rozpoczęta w roku 1393, skończona dopiero 1602. Znajduje się w niej sala sądowa z portretami królów polskich od Wacława Czeskiego do Stanisława Poniatowskiego. Kiedy nieboszczyk król pruski²⁰ przybył do Torunia, a ratusz zwiedzał, przeproszono go, że nie usunięto owe portrety, ale on odpowiedział: „A to po co? Wszak to portrety moich przodków”. Izba rady miejskiej ozdobiona wielkim obrazem, przedstawiającym Gustawa Adolfa wjeżdżającego konno po schodach na posiedzenie senatu toruńskiego. Obok zaślepionego dumą zwycięzcy wisi wizerunek nieszczęśliwej ofiary fanatyzmu religijnego, burmistrza Rösnera, a w bibliotece magistratu zachowany jest miecz, którym go wraz z dziewięcioma członkami radnymi ścięto. Drzwi, stoły i szafy we wspomnianych salach odznaczają się wytworną rzeźbą i inkrustacjami.

Archiwum miejskie liczy pięćset sztuk znakomitej wartości dyplomów, wśród których znajduje się opis bitwy pod Tannenbergiem, pieczęcie miejskie, stemple do wybijania monety, formy przysięg na wierność królom i inne szacowne z tak dawnych zabytki, zasługują na uwagę archeologów i dziejopisarzy.

Nie mogę zakończyć pobytu mego w szkole bez opisu małych romansików, które podobno każdy młodzieniec prze-

być powinien. Będąc jeszcze u księdza Dziembińskiego na pensji, wychodziliśmy zwykle na spacer koło piątej godziny pod jego dozorem, a było nas pewnie dziesięciu. W tej samej ulicy była pensja panien pod dyrekcją pana Havelki²¹ i żony jego, między którymi ulokował landrat Grąbczewski swego bardzo młodego syna Ignasia. Ten musiał z rozkazu panien pilnować, kiedy będziemy wychodzić. Wtenczas on wpadał na górę wołając: „Pensja idzie!” Na to wszystkie na gwałt ze schodów i przed ganek, a my się pięknie kłaniamy, bo było między nimi kilka dorosłych, ładnych panienek, mianowicie dwie siostry Dzimińskie. Cóż, kiedy nie było sposobu zbliżenia się; ale i tu nam los dopomógł, bo zjawił się metr tańców²² Damze z Warszawy; i tak się urządziło, żeśmy na pensję pana Havelki na lekcje chodzili, gdzie już można było z bliska spojrzeć w śliczne oczy starszej panny Dziemińskiej, což dopiero, kiedy muzyka zagrała i wolno było panienkę wziąć za rękę i objąć jej czarowną kibić. Ale to niestety wnet minęło, bo panny wróciły do domu, żeby iść za mąż, a my musieli zostać i uczyć się.

Ponieważ nam jednak te bliższe stosunki z pannami przy tańcach bardzo się podobały, wymyśliśmy inny legalny sposób, bo udało nam się nakłonić rektora, żeby nam pozwolił teatr amatorski urządzić. Wtenczas rozwinęliśmy ogromną czynność, żeby uskutecznić ten projekt. Kiedy już i lokal, i wszystkie rekwizyta teatralne były przysposobione, udało nam się dwie ładne panny do naszego towarzystwa namówić, pannę Jurską, córkę sędziego, i Kobellę. Już pierwsza sztuka jest nauczona, już schodzimy się do improwizowanego teatru. Ja miałem rolę służącego, a kiedy się chcę ubierać, panna Jurska mówi mi: „Siadaj pan, ja pana ustroję”. I nuż mi włosy czesać, pomadować, nareszcie różować policzki, a kiedy skończyła, mówi: „Jaki pan piękny” — i pocałowała mnie. Ale okropnie zostaliśmy przestraszeni, bo słyszemy głos księdza Dziembińskiego: „A to pięknie! Bardzo pięknie!”

Swoją drogą sztuka się rozpoczyna, a kiedy w pierwszym akcie brat mój, Atanazy, mający pierwszorzędną rolę amanta, ku końcowi aktu ma jakąś rozprawę z psem na scenie, zasłona ma spadać, ale maszynieria nie dopisała i tylko mało co się zniżywszy zostawia brata z psem na scenie — on nie traci kontenansu i do psa się odzywa: „Psina, psina!” — co publiczność jako wielki dowód przytomności tak młodego chłopca uznaje.

W tej samej sztuce jeden z kolegów, Kazimierz Dąbski,

miał rolę diabła, prosi więc profesora Niemca, u którego stał na pensji, aby mu pożyczył fraka, bo ma przedstawiać diabła, który koniecznie we fraku niemieckim wystąpić musi. Nie podobało się to porównanie diabła z Niemcem profesorowi i musiał Dąbski skądinąd frak sobie zdobyć.

Książdz Dziembiński nie omieszkał na konferencji profesorów niewinne moje zajście z panną Jurską w czarnych kolorach wystawić, tak że nam dalsze przedstawienia zabroniono, a pewnie i ów frak do tego się przyczynił.

Złożywszy wreszcie egzamin dojrzałości opuściłem szkoły i wróciłem do domu, gdzie zastałem już braci po powrocie z uniwersytetu, upominając się rodzicom, aby i mnie wysłali. Ci jednak byli temu przeciwni, bo Heliodor wrócił chory z powodu nadzwyczajnego oddania się filozofii Hegła, którego chciał koniecznie pojąć i dlatego wszystkie inne nauki zaniedbał, utrzymując, że tylko jeden Hegel mądry na świecie. Ale czy nie trzeba zwariować, chcąc na przykład zrozumieć definicję czasu Hegła, który mówi: „Czas jest to, co gdy jest — nie jest, a gdy nie jest — jest”. Prędzej bym zatanazył, gdyby kto tak zdefiniował „Czas” krakowski²³. Atanazy zaś był porzucił Berlin i udał się do Möglinga, szkoły agronomicznej, sławnego wówczas Thaera²⁴. A że w owym czasie utrzymywano powszechnie u nas, że głupstwem jest z książki gospodarować, zdawało się rodzicom, że koszt na edukację dwóch starszych braci był stracony i dlatego stanowczo oświadczyli, że mnie nie posła, zwłaszcza że czasy ciężkie dla gospodarzy nastąpiły z przyczyny nadzwyczaj niskich cen produktów.

Rok cały 1819 musiałem w domu przepędzić, ciągle się naprzykrzając rodzicom, że nie mogę być gorszym od braci, i że kwituję z majątku na mnie przypadającego, byle mi dali fundusz na trzyletni pobyt na uniwersytecie. Tym sposobem zwalczyłem opór rodziców, kontentując się 400 talarami rocznie, kiedy bracia przeszło 600 każdy kosztował, i szło teraz tylko o to, dokąd się udać. Brat Heliodor był za Berlinem dla Hegła, Atanazy za Lipskiem, ponieważ w Berlinie Polacy, a prawie wszyscy z Poznańskiego na dwie partie byli podzieleni, jedna mała, pilna tylko Hegła słuchała, nic a nic go nie rozumiejąc, znacznie większa z Niemcami burszowskie życie²⁵ pędziła — usłuchałem więc starszego brata i zdecydowałem się za Lipskiem.

Wspomnieć jeszcze muszę o jednym wypadku przed odjazdem moim zdarzonym. Pewnego dnia przynoszę matce z poczty jakąś paczkę z wielkimi pieczęciami, którą otwo-

rzywszy zobaczyła Order Czerwonego Orła²⁰ przysłany dla ojca z Berlina. Uradowana taką niespodzianką, woła mnie i przypinając ojcu śpiącemu po obiedzie w krześle do surduta, mówi po cichu: „Jesteś teraz synem orderowego pana”. Ojciec obudzony się i spojrzawszy sobie na piersi tak przystrojone, uśmiechnął się i rzekł: „Skądże taka łaska dla mnie”. Powiedziano mu potem, że to za to, że trzech synów na uniwersytet wysyła, co wówczas nie praktykowaną rzeczą było u polskich obywateli w Prusach Zachodnich.

Co do ojca mojego, winienem to jego pamięci wspomnieć, że dla zacności charakteru swego powszechnie miał poważanie, nawet u urzędników niemieckich, tak że wszystkie sprawy, które się zdarzyły, pomyślny obrót brały. Tej przychylności winien był ojciec ocalenie swego majątku w następującym wypadku.

Parę lat po pobraniu się rodziców przybywa z Poznańskiego niejaki Nowowiejski, przedstawiając się jako bliiski kuzyn ojca, do Piątkowa. Młody, bardzo przystojny, elegancko zawsze ubrany, paradnym ekwipażem przybyły, był miłym gościem. Powiada, że sprzedawszy swój majątek, chciałby się osiedlić tu blisko kochanych kuzynów, tym bardziej że tu w okolicy jest posażna panna, kasztelanka Zakrzewska, z którą prosił ojca, aby go swatał. Jeździli zatem do niej i widząc dobre przyjęcie, pewny jest, że ją dostanie. Wkradłszy się w zaufanie rodziców, proponuje kupienie całego majątku, to jest Piątkowa, Karczewa i Zegartowic, ażeby być bliżej swojej bogdanki. Podaje bardzo wysoką na owe czasy cenę, bo 100 000 talarów, tak że rodzice przystają. Ciotka mojej matki, bawiąca wówczas w Piątkowie, słysząc te układy, rozplakała się mówiąc: „Gdzież ja się podzięję, kiedy wy sprzedacie?”. Na to elegancki kuzynek wydobywa sto dukatów: „Przyjmij to ode mnie kochana ciociu, a nie psuj mi interesu”. Pojechawszy z ojcem do sądu, dla spisania kontraktu, potrafił dobrodusznego i łatwowiernego ojca nakłonić, ponieważ pieniądze ma gdzieś umieszczone i dopiero za kilka miesięcy podnieść je może, aby zakwitował go z odebranej waluty, co gdy będzie mógł okazać pannie kasztelance, to mu ułatwi uzyskanie jej ręki.

Ojciec mój podpisał wszystko, a kuzynek ruszył w Poznańskie po pieniądze.

Niedługo po jego odejździe dostaje ojciec pocztą list z Księstwa, anonim, następującej treści: „Jesteś ofiarą szkaradnego oszustwa, bo Nowowiejski nie ma żadnego majątku,

a zaciągnawszy 50 000 talarów na kupiony od ciebie, jest już w drodze do Rosji, trzeba będzie się spieszyć, żeby go dogonić, jedzie na Warszawę”.

Ojciec mój, z temperamentu flegmatyk, dający się zwykle powodować pełnej życia żonie, kiedy było potrzeba, dawał dowody rzadkiej energii, jak to w obecnym wypadku pokazał. Bo jedzie ośm mil do Kwidzyna, w dwóch godzinach wyrabia w głównym sądzie upoważnienie aresztowania zbiega, z wezwaniem władz zagranicznych udzielenia pomocy. Wraca, dostawszy dwóch żandarmów do asystencji, do Piątkowa i natychmiast czterema świeżymi, dzielnymi końmi pędzi w pogoń. Już na granicy rosyjskiej dogania szczęśliwie panicza i pakując go do swojej bryki, wraca z nim do domu. Łatwo sobie wystawić radość mojej matki, że tak się szczęśliwie udało zbiega z pieniędzmi złapać, które, ponieważ były w srebrze, niemało ciężaru dla koni dodały, tak że to wraz z szybką jazdą sprawiło, że wszystkie cztery konie padły. Trzeba było pięknego kuzyna zawieźć do Kwidzyna i pod sąd oddać. Tak, jak już w Piątkowie Nowowiejski się przyznał, że go obywatel M. namówił i nauczył, jak ma sobie postąpić, potwierdził to wszystko w sądzie. To pociągnęło za sobą aresztowanie pana M. i przywiezienie do Kwidzyna, gdzie w odosobnionych więzieniach siedzieli. M. się przyznał do wszystkiego i ofiarując ojcu 3000 talarów prosił, aby mu wyjednał uwolnienie z więzienia. Względem, jakie miał ojciec u władz pruskich, winni byli obydwaj, że ich puszczono na wolność.

Podczas pobytu mego w Piątkowie przed odjazdem do Lipska, brat Atanazy, jako uczeń sławnego Thaera, obejmuje gospodarstwo, wspierany przez matkę, której był faworytem. Ojciec pozwolił, z niedowierzaniem w te książkowe gospodarstwo; a więc brat najprzód dowodzi, że trzeba dużo kartofli sadzić w polu, żeby było czym paść inwentarz. Dotąd bowiem wszędzie sadzono tylko w ogrodzie rok w rok w tym samym miejscu i to pomiędzy drzewami owocowymi, tak że rzadko gdzie więcej jak dwadzieścia korcy wysadzono, co ledwo starczyło na kuchnię.

Długa i żwawa była w tym względzie rozprawa. Ojciec oponował, że w polu wszystko wykradną, a kiedy aż sto korcy mają być wysadzone, jak to tyle kartofli wykopać i gdzie je zachować, kiedy sklep mały. Brat zapewnia, że temu wszystkiemu poradzi. Skupują zatem kartofle po sąsiedztwach i sadzą w pola, z zadziwieniem powszechnym, sto korcy berlińskich. Nadchodzą zniwa, kartofle dobrze

obradłone na nową modę obiecują dobry plon i kiedy całą forszą²⁷ się wzięto do wykopania tej ogromnej przestrzeni, odmierzone siedemset korcy. Tryumf matki i brata był wielki — ojciec zamilkł.

Gdzież zachować na zimę tyle kartofli? Brat daje w podwórzu odkopać na dwie stopy głęboko kawał kwadratowy ziemi, każe tam sypać cały sprzęt i cały kopiec słomą i ziemią przykryć. Musiało tam być przy tym coś schybione, bo na początku zimy dają bratu znać, że kopiec się zniża, o czym przekonawszy się, daje czym prędzej zaprzęgać i wyjeżdża na kilka dni z domu. Ten wypadek i kilka innych niepowodzeń z braku doświadczenia wynikłych, spowodowało ojca, że powiedział bratu: „Weź Zegartowice i gospodaruj tam po nowomodnemu, ja jeszcze po staremu będę gospodarował w Piątkowie”.

Rozdział III

POBYT MÓJ NA UNIWERSYTECIE W LIPSKU I HEIDELBERGU OD ROKU 1820 DO 1823

Treść: Książę Jabłonowski i Tytus Breza. — Wizyta w Berlinie. — Antoni Waga. — Jędrzej Moraczewski. — Spacer do Pragi. — Wojciech Lipski. — Tyc. — Moskał Sergiejew. — Kurlandczycy. — Awantury z Niemcami. — Opuszczam z Moraczewskim Lipsk i udajemy się piechotą do Heidelberga. — Jena. — Zaborowski Alojzy, Godebski, Adam Gurowski. — Spacer z Gajewskim do Baden-Baden. — Ruleta. — Zapadam na zdrowiu. — Opuszczam Heidelberg. — Wiesbaden. — Franzensbad. — Doktor Góra w Lipsku. — Homeopatia. — Powrót do domu.

Pierwszy rok pobytu mego w Lipsku niezbyt dla mnie był przyjemnym, bo nie znalazłem rodaków, z którymi bym mógł obcować. Był tam książę Jabłonowski¹, ale że mi dotąd są pamiętne słowa ojca: „Z panami rzadko, z kpami nigdy”, czekałem, aż może on mnie zaczepi, jeżeli w nim polskie serce bije, żeby nieśmiałego, młodszego wiele rodaka z Prus Zachodnich do swego towarzystwa pociągnąć. Ale ponieważ spotykając się, tylko w oczy sobie spojrzeliśmy, nie przyszło do bliższego poznania. Drugi Polak był tam Tytus Breza z Poznańskiego, ale ponieważ go często z Jabłonowskim widywałem, sądziłem, że to też jakiś paniczek niezbyt serdeczny i tylko oddawszy mu wizytę, kłanialiśmy się sobie przy spotkaniu. Dopiero później, kiedy przybyło więcej Polaków, wciągnęliśmy go do naszego kółka i znaleźli w nim miłego towarzysza.

Nie mając więc Polaków do obcowania, kontent byłem, że Kurlandczycy², których dużo było w Lipsku, sami mnie zaczepili i okazując wielką sympatię dla Polaków, do swe-

go towarzystwa wciągnęli. Marząc wtenczas jeszcze, że muszę się na jakiego prezydenta pruskiego wykierować, ucześnie pilnie na kolegia prawnicze, ekonomiczne, historyczne i filozoficzne. Sławny wówczas jurysta Haubold³ wykładał rzymskie prawo. Filozofii dałem pokój, znudzony zimnym wykładem profesora Kruga⁴.

Z domu odebrałem smutne wiadomości, najprzód o śmierci brata Heliodora, nieco później o śmierci ojca.

Miłą niespodzianką miałem z odwiedzin akademików polskich z Berlina, dawnych znajomych moich braci, którzy widząc mnie osamotnionego w Lipsku zaprosili na nadchodzące wakacje do siebie, które w miłym ich towarzystwie wesoło przepędziłem.

Dalszy pobyt mój w Lipsku ożywiony został przybyciem Antoniego Wagi. Poznawszy się z nim przypadkowo przy obiedzie w hotelu, poszedłem do jego stacji. Niebawem wchodzi kelner z rachunkiem tygodniowym, żądając zapłaty, inaczej gospodarz dłużej kredytować nie chce. Lichy stan ubioru był powodem nieufności w możność zapłacenia. Widząc ambaras Wagi, płacę rachunek i zabieram do mego mieszkania. Tu mi opowiada swoje przykre położenie, że wysłany kosztem rządu z Warszawy do Berlina, dla wykształcenia się w naukach przyrodzonych, z rodakami głównie z Poznańskiego, tam licznie bawiącymi, w przykre wszedł zatargi, bo żądali od niego, żeby się uczył bić na rapiery, aby, jak go jaki Niemiec obrazi, im wstydu nie zrobił. Na próżno im przedstawiał, że rząd nie na to go wysłał, aby się tu z Niemcami pojedynkował, tylko żeby się uczył. Tamci obstawali koniecznie przy swoim, a ponieważ na próżno, puścili go w ferszys, to jest wyzuli go z praw honorowych, musiał zatem Berlin opuścić. Najgorsze przy tym, że nie wie, co się dzieje w Warszawie, bo mu żadnych pieniędzy nie przysyłają. Tak blisko pół roku ze sobą mieszkaliśmy, a pensyjka moja 400 talarowa musiała wystarczyć dla nas obydwóch, bo z Warszawy, dla zmian zaszyłych w urzędach, nic mu nie przysyłano.

Dla mnie to ciągle obcowanie z tak wykształconym i miłym kolegą z wielką było korzyścią, osobliwie co do wprawy w ojczystym języku, który w ostatnich latach w szkołach toruńskich zupełnie zaniedbałem. Raz z nim obiad jedząc, uważam, że jakiś młody człowiek bardzo nam się przypatruje, mówię o tem Wadze, który mi odpowiada, że to jeden z kolegów berlińskich, a kiedy wychodzimy, przystępuje ten mój nieznanomy do mnie i prosi, abym mu to-

warzyszył do jego stacji, bo mi ważną rzecz ma udzielić. Tam mi odkrywa niebezpieczeństwo, na jakie się narażam obcując z człowiekiem odsuniętym od praw honorowych, bo przez to sam narażam się na banicję. Odpowiadam na to, że wiem o wszystkim, ale powody, które ściągnęły na niego wyrok kolegów nie uważam jako słuszne i nic mnie nie spowoduje, abym opuścił rodaka będącego bez środków utrzymania. Tak żyliśmy w spokoju, aż dostał od matki pieniądze do powrotu do kraju.

Po odjeździe Wagi zostałem znowu osamotniony, ale Bóg czuwający nad losem moim, zesłał mi innego kolegę rodaka, Jędrzeja Moraczewskiego⁵, późniejszego historyka znakomitego, z którym do końca pobytu mego na uniwersytecie ciągle na jednej stacji mieszkalem, szczerą przyjaźnią połączony.

Na wakacje wielkanocne zrobiliśmy, przybrawszy sobie dwóch Niemców, kolegów z Torunia, na towarzyszy, podróż na piechotę do Pragi. Wówczas bowiem takie podróżowanie było upowszechnione i przyznać trzeba, że i przyjemniejsze i pożyteczniejsze, jak dzisiejsze leczenie kolejami.

Czas był piękny, drzewa już w pełnym kwiecie i szło nam dobrze i wesoło po pięknej Saksonii, aż przybyliśmy na granicę czeską. Tu nas bieda spotkała: w Górach Kruszcowych⁶ spadł ogromny śnieg, tak że po kolana brnąć musieliśmy. Moraczewskiemu najbardziej to dokuczyło, bo dostał reumatyzmu w kolanie tak, że owiązawszy je sobie koszulami, ze sztywną nogą, męczony nieznośnym bólem, dalej podróż odbywał.

Przybywszy na nocleg już w Czechach, kiedy się rozgrzewamy przy ogniu kominkowym, wchodzi policjant Niemiec, żądając paszportu, a czytając, że cel podróży jest: *Zum Vergnügen*, odezwał się mój biedny Jędrus: *Verfluchte Vergnügungsreise*⁷, co nas naturalnie rozśmieszyć musiało. Prosiłem go, aby pocztą lub furmanką dalej jechał, ale nie chciał, tylko całą drogę do Pragi i na powrót do Lipska ze swoim reumatyzmem szedł na przekór, często powtarzając: *Verfluchte Vergnügungsreise!*

Przybywszy wreszcie do Pragi i obejrzawszy wszystkie znakomitości, które się ograniczały głównie na takie, co je po kościołach pokazują, najbardziej w pamięci mi został obraz wystawiający dziewczicę, której od Boga wymodlona broda cudem przez noc urosła, aby się ojcu obrzydzić, okazującemu dla niej grzeszne zamiary, za co świętą została. Staraliśmy się przede wszystkim przekonać, czy niemczyzna

jeszcze ślady ducha narodowego zostawiła, ale niestety małośmy go znaleźli i tylko między młodzieżą akademicką. Byliśmy z nimi na balu, ale tam już tylko po niemiecku mówiono, tłumacząc się tem, że po czesku nie wypada. Co za różnica do dziś! Germanizm tak samo w Czechach, jak i u nas, nie kontentując się naszą przychylnością do języka, zaczął zmuszać, abyśmy porzucili mowę ojczystą, a z nią i mrzonki o przywróceniu bytu politycznego i szczęśliwie doczekał się tu i tam zupełnie przeciwnych skutków.

Wracając z Pragi, Moraczewski zwykł był prędzej wychodzić z kwatery lub wypoczynku, ponieważ wolniej od nas iść musiał, ale dobry humor, towarzyszący mu całe życie, nie opuszczał go, pomimo reumatyzmowej swej biedy. Raz kiedy idziemy z daleka za nim, widzimy, że dwoje dziewcząt, obok niego idąc, z nim rozmawiają, ale kiedy go minęły, on stanął czekając na nas, żeby nam udzielić rozmowę, otóż śmiejąc się powiada, że go pytały, jakiej on profesji, jedna mówi: *Sie sind wohl ein Drucker!*

Na to on: *Ja, aber ein Mädchendrucker* ⁸.

Wróciwszy na Drezno do Lipska zastaliśmy nowo przybyłych rodaków, Wojciecha Lipskiego i Tyca, tak że z Brezą i dwoma, których nazwiska zapomniałem, było nas siedmiu Polaków, i odznaczając się przez czerwone rogatywki z białym barankiem, reprezentowaliśmy Polonią lipską niezgorzej. Raz, idąc jak zwykle razem na spacer, spotkaliśmy znajomych nam Niemców, którzy w rozmowę z nami się wdają. Ponieważ koledzy moi słabo po niemiecku mówili, ja najwięcej do nich się odzywam. Niemcy chwalą moją doskonałą niemieczną, ale dodaje jeden z nich niemiłosierdzie: „Pan pewnie prawdziwym Polakiem nie jesteś”. „A to czemu” — odpowiadam z oburzeniem. — „Bo pan tak doskonale mówisz po niemiecku”. Dawniej byłbym się może cieszył, gdyby mnie tak pochwalono, ale wtenczas, jeszcze jak koledzy głośno się śmiać zaczęli, zawstydzilem się mocno, bo czułem, że po części prawdę mówił. Kupiłem zatem sobie *Gramatykę Kopczyńskiego* ⁹ i tak dopiero na uniwersytecie niemieckim i obcując ciągle z rodakami nabrałem z językiem i ducha polskiego.

Znalazł się w Lipsku i Moskał Sergiejew, okrutnie głupi, który niemało nas ubawił, tylko nas się trzymając. Mówił, że się na profesora filozofii kieruje i dlatego pilnie chodził na wykłady Kruga, którego niezmiernie wychwalał, chociaż mało rozumiał. A kiedy go zapytałem, czego się od niego nauczył, pokazało się, że tylko to trochę pojął, co jest

a priori, a co *a posteriori* — z czym się ciągle popisywał, tak że go *Posteriorem* przewali.

W tym czasie przybył do Hali¹⁰ Polak, Góra z Wrocławia, gdzie jako pierwszy rębacz nie miał czasu oddać się naukom; musiał zatem wyrwać się z dawnych stosunków i na inną iść akademię, żeby się przysposobić na przyszłego lekarza. Zwykły to był ówczesny na niemieckich akademiach zwyczaj, że cały majątek synalek przez pięć lub więcej lat przepułał, wcale się naukom nie oddając i dopiero, kiedy mu ojciec doniósł, że tylko rok albo dwa będzie mu mógł dosyłać pieniędzy, wtenczas wydalał się z miejsca hulaneł na inny uniwersytet i tam oddawał się pracy. Ponieważ Góra sam jeden Polak był w Hali, odwiedzaliśmy się nawzajem. Dowiedziałem się, że później był lekarzem w Kempnie.

Kurlandczyków dużo się zebralo w Lipsku, a że nie cierpieli Niemców, choć sami nimi są, trzymali się z nami. Tę nienawiść do Niemców każdy Kurlandczyk, przybywszy jako fuks, to jest pierwszoroczny akademik — starał się tem okazać, że na samym wstępie obraziwszy Niemca, pojedynek z nim odbył. Toteż ciągle z nimi się bili na tak zwane szlegiery, ale zwykle zostali pobici, ponieważ mało się ćwiczyli na rapiery. Chcąc zrównoważyć szanse pojedynkowe, wyzywali Niemców na krzywe pałasze lub pistolety, co się tym znowu nie podobało i żeby się od tego uchronić, ogłosili, że ponieważ Kurlandczycy przekraczają prawa akademickie, satysfakcji honorowej im dać nie mogą. To nie miała rzecz, bo w takim razie tylko na kije obraży się załatwiają. Raz odwiedzałem Kurlandczyków, dwóch baronów Howen. Wtem wpada młodszy, wołając: „Pistolety!” Pytany się „Po co?” „Niemiec mnie w twarz uderzył, nie chcąc mi z drogi ustąpić na spacerze.” Ale nim pistolety nabił, zjawił się urzędnik policyjny, przysłany przez senat akademicki, zapowiadając tamtemu areszt domowy.

My, Polacy, nie zważając na to, że podług praw akademickich nie wolno obcować z takim, co jest wyzuty z honorowej satysfakcji, przechadzaliśmy się ciągle po mieście i spacerach z Kurlandczykami, ale naturalnie gromadnie i z potężnymi, sękatymi kijami. Tak nam kilka tygodni w pokoju przeszło, aż prosi mnie Breza, żebym wyzwał Niemca, który go obraził. Idę więc do niego, oznajmuję mu wyzwanie, na co dostaję odpowiedź: „Ponieważ z Kurlandczykami obcujemy, satysfakcji Polakowi dać nie może”. Odpowiedziałem: „Kiedyście tak długo nasze publiczne z nimi

obcowanie za złe nam nie brali, a dziś nam to za powód odmówienia satysfakcji honorowej podajecie, więc ja to nazwać muszę podstępem tchórzostwem". Po niemiecku dobitniej się wyraziłem, bo powiedziałem, że jest: *Ein feiger Hundsfot*¹¹.

Zbieramy się następnie wszyscy Polacy u Lipskiego na naradę, widząc niemiłe stąd następstwa. Wtem wchodzi sejniory wszystkich związków akademickich, tak zwanych *landsmanschaftów*¹², w uroczystych ubiorach i oświadczają nam, że jesteśmy jako przyjaciele Kurlandczyków także wyjęci spod praw honorowych.

Wkrótce potem idę ulicą po środkowym kamieniu, wali naprzeciw mnie ogromny Niemiec. Kto komu ustąpi? Idę prosto, on też, oko w oko, piersią o pierś się ocieramy nie schodząc z uprzywilejowanego kamienia; trzy kroki dalej stawa, ja też, i przypatrujemy się sobie; on pierwszy się odwrócił i poszedł dalej. Poszanowaniu, które Polacy po wszystkich akademiach niemieckich mieli, przypisać trzeba, że i tu się obeszło bez awantury.

Dwa lata już będąc w Lipsku, postanowiłem udać się na inny uniwersytet, a że kochany Moraczewski niedostępnym moim był towarzyszem, wyruszyliśmy na Wielkanoc 1823 roku piechotą z Lipska, pożegnawszy się z miłymi kolegami Lipskim, Brezą i Tycem, którzy tam zostali narażeni na wielkie nieprzyjemności z Niemcami.

Celem naszej podróży było Bonn. Przybywszy do Jeny, poszliśmy do knajpy akademickiej i tam oświadczyszy, że jesteśmy Polakami, opowiedzieliśmy postępowanie lipskich akademików z nami i z Kurlandczykami. Przyrzekli nam, że ich za to do odpowiedzialności pociągną; jakoż później doniósł nam Lipski, że mnóstwo odbyło się stąd pojedynków pomiędzy akademikami z Jeny i Hali z jednej, a lipskimi z drugiej strony. Musieliśmy dużo piwa z nimi wypić, a kiedy nazajutrz wybieramy się w dalszą drogę, zajeżdża wielki wóz drabiniasty z mnóstwem akademików i posadzwszy nas w sam środek odprowadzają nas kilka mil, śpiewając pieśni burszowskie.

Przybywszy, ciągle piechotą, do Frankfurtu, dowiadujemy się od akademików, że wszyscy opuścili Bonn dla zaszłych awantur ze senatem, i że nie wolno tam się udać. Wyruszyliśmy zatem do Heidelberga i marzenia moje, zostać pruskim urzędnikiem, przez to zdarzenie zostały zniweczone, ponieważ jest obowiązkiem być przynajmniej rok na pruskim uniwersytecie¹³. Uważam to więc jako zrządzenie

Boże, które mnie uchroniło od służby pruskiej i zrobiło gospodarzem.

W Heidelbergu zastaliśmy kilku Polaków: Alojzego Zaborowskiego i Gajewskiego z Poznańskiego, Godebskiego i Adama Gurowskiego¹⁴ z Królestwa. Zaborowski, sześć lat słuchając wciąż Hegla w Berlinie i nic więcej, przybył na siódmy rok do Heidelberga, ale cóż, kiedy po Heglu nie warto innego słuchać, jedno więc tylko kolegium mu się podobało, to jest dogmatyka podług Hegla i na to jedno chodził, tłumacząc prócz tego, w wielkim sekrecie przed nami, Hegla na polskie, która praca szkoda, że gdzieś zaginęła.

Godebski, kosztem rządu wysłany z Warszawy, pilnie się oddawał naukom, ale niedługo nas pożegnał, bo dostał rozkaz natychmiastowego powrotu. W kilka lat później będąc w Warszawie, wyszedłem za miasto, gdzie wojsko polskie obozem stało. Tam się przechadzając, wypada do mnie. Kto, Godebski w mundurze, mówiąc, że przybywszy do Warszawy, z rozkazu Wielkiego Księcia Konstantego w sędziaty był wzięty, za co, nie powiedziano mu.

Gdy nadeszły Zielone Świątki, proponuje mi Gajewski odwiedzić Strassburg spacerem. Bardzo mi się to spodobało, a że nie miałem pieniędzy, sprzedałem pościel z domu przywiezioną za 15 talarów i ruszamy. Idziemy na Karlsruhe do pięknego Baden-Baden¹⁵. Tam pierwszy raz zobaczyłem w salonie ruletę i *trente* i *quarante*, a że na to wyjechałem z domu, aby się uczyć wszystkiego, przyglądałem się pilnie tym grom, osobiście rulecie, która bardzo mi się spodobała, przestrzegając się wzajemnie z Gajewskim, żeby nie grać i nie narażać dalszej podróży na szwank przez przegraną. Ale diabeł kusiciel najprzód Gajewskiego złapał, widzę, że gra i zgarnia pieniądze, zazdrość mnie bierze, gram także i każdą stawkę wygrywam, tak że kiedy zadzwonili na obiad, ja podwoiłem moją kasę. Gajewski zaś zgrał się do grosza. Idziemy na obiad w bardzo przeciwnych humorach. Jedzenie doskonałe, muzyka przygrywa, po obiedzie pewny, że muszę wygrać więcej, idziemy do salonu.

Stawiam, ale przegrywam, dubluję, żeby powetować stratę i tak przegrywam wszystko. Gorąco mi się zrobiło; wychodzimy, przechodzi chłopiec z lodami; znajduję złotówkę w kamizelce i wydaję ostatni grosz. Piszemy do heidelbergskich kolegów o pieniądze, a tymczasem używamy po romantycznych górach spacerów, które nic nie kosztują. Sprzykrzyła mi się jednak taka zabawa i zostawiwszy towarzy-

sza mego gospodarzowi w zastaw, pożyczwszy talara wracam piechotą de Heidelberga, wyśmiany tam przez kolegów.

Z początku wszystko mi się w Heidelbergu lepiej podobało jak w Lipsku, bo i kolegia profesorów były zajmujące i stół wykwintny, jak wszędzie nad Renem, a tani, spacerery po uroczych okolicach wśród gajów, kwitnących drzew migdałowych lub wielkim gościńcem, zwanym *via Romana*, bo jeszcze przez Rzymian założonym, a dziś ogromnemi orzechowymi drzewami ozdobionym.

Zajmujący był wykład historii sławnego Scholssera¹⁶ i miło było słyszeć z ust niemieckiego profesora, że najniegodziwszą zbrodnią historyczną był rozbiór Polski.

Odwiedził nas tam Radoński z Poznańskiego, któremu rząd zakazał pobytu w państwie pruskim i w Szwajcarii się osiedlił, gdzie później tajemniczą śmiercią życie zakończył.

Nasz Adam Gurowski najwięcej się zajmował awanturami pojedynekowymi z Niemcami, a później słyhać było o nim, że w Ameryce służył sprawie Rosji.

W następnej zimie zapadłem mocno na zdrowiu. Mój przyjaciel Moraczewski ciągle mnie pocieszał, że ja ich wszystkich przeżyję i po części zgadł, bo wszyscy koledzy moi z Lipska poumierali; kto z heidelbergskich żyje, nie wiem.

Tymczasem słabość moja się wzmagala i kończąc już trzyletni kurs akademicki musiałem wracać do domu. Warto było po drodze ratować zdrowie u wód jakich, ale jakim sposobem, kiedy mi matka pisywała, że czasy ciężkie, że mi pieniędzy przysłać nie może. Naraz dostaję niespodziewaną sumę, bo 400 talarów, od brata Atanazego. Kolegom udzielając tę pocieszającą niespodziankę, przyznaje mi się Zaborowski, że pomimo mojej wiedzy pisał do matki, aby mi przysłała pieniądze na kurację, jeżeli chce mnie przy życiu utrzymać; powiedział mu bowiem jeden z doktorów, że mam galopujące suchoty. Idę więc do najslawniejszego doktora, opowiadam mu moje cierpienia, ten mówi, że to hipochondria, ale mogę jechać do Wiesbaden. Sądząc wtenczas, że co doktor taki sławny powie, jest nieomyślne — pożegnawszy kochanych kolegów pojechałem do Wiesbaden¹⁷.

Piję tam gorącą wodę mineralną przez kilka tygodni, trochę mi się zdrowie polepsza, a codzienna potrawa, paradne szparagi, doskonale smakuja. Poznawszy się z kilkoma gośćmi kąpielowymi, kiedy im powiadam, że moja słabość żołądkowa, radzą mi jechać do Franzensbad¹⁸. Powiadam

to mojemu doktorowi, który dopiero się przyznaje, że się dziwił, jak ten sławny doktor heidelberski mógł mnie wysłać do Wiesbaden, i że Franzensbad najwłaściwsze dla mnie jest miejsce. Tak to doktorzy dla koleżeństwa poświęcają nieraz pacjentów.

Jadę więc czem prędzej przez Bawarię pocztą i z ostatniego miasta biorę dorózkę do Franzensbad. Ale na komorze celnej powiada mi urzędnik austriacki, że mnie przepuścić nie może, ponieważ paszport jest z Heidelberga, a studentom stamtąd zabroniony wstęp do Austrii. Widzę miejsce mego zbawienia Franzensbad w niedalekiej odległości, przedstawiam celnikowi, że widząc mnie chorego powinien mieć ludzkie serce i puścić mnie, ale na próżno, rozczulić go nie mogę, odpowiada mi, że serce jego jest w tej księżce, która mu to zakazuje. Trzeba więc wracać do tego samego miasteczka bawarskiego na noc. Nazajutrz o świcie biorę przewodnika, który mnie piechotą, manowcami, omijając dom celny, prowadzi do Franzensbadu. Tam idę prosto na policję, i powiadam, jaką drogą przybyłem. Żądam, aby mnie pod dozór policji postawiono, aż z Drezna od ambasady pruskiej, której przesłałem mój paszport, odbiorę wizowany.

Tak zabezpieczony idę do doktora, który mi każe pić „Salzquelle”¹⁹, zaczawszy od dwóch kubków, co dzień jeden więcej, aż do dwunastu. Paradnie mi zaczyna woda skutkować, aż do szóstego kubka; znajomi moi winszują mi powodzenia tak widocznego. Piję dalej po kubku więcej, bo jakże nie słuchać doktora. Na nieszczęście doktor gdzieś wyjechał, a kiedy doszedłem do dwunastego, cała dawna słabość wróciła się spotęgowana. W takim stanie widzę się z doktorem — który właśnie wrócił z podróży — przyznaje mi się, że się omylił, bo uważał, że jako Polak mam silniejszą naturę od Niemca, a przed rokiem był tu Moskał, który siedemdziesiąt pięć kubków dziennie pił i zupełnie wyzdrowiał. Nie dziwić się temu, bo z tak daleka przyjechawszy pić wodę, która równo kosztuje, czy wiele czy mało, pił ją cały dzień, a natura moskiewska potrafiła to znieść. Kazał mi kilka tygodni przestać pić wodę, a potem da capo rozpocząć. Ale, że pieniędzy niewiele mi zostawało, musiałem wyjeżdżać ku domowi.

Pocziwa moja sąsiadka Niemka, ubolewając nad moją słabością, doradziła mi, żebym, jadąc przez Lipsk, udał się do homeopaty²⁰.

Pierwszy raz słyszałem o takim, bo nowy ten system le-

czenia tylko co powstał. Idę więc w Lipsku do owego doktora, który mi daje swoje mikrokosmiczne lekarstwo w kształcie proszku zapewniając, że skutkować będzie przy odpowiedniej diecie. Powiadam, że najcięższe środki, jak jalapa itd. skutku nie wywierają — on zapewnia, że jego będzie.

W Lipsku z Polaków nie zastaję już z dawnych kolegów nikogo, tylko Górę, który już nie na żarty na medyka się kształci. Powiadam mu o mojej słabości i że proszki biorę homeopatyczne. On na to mi tak samo odpowiada, jak do dziś dnia od niejednego słyszę doktora, że się dziwi, jak ja, jako rozsądny człowiek mogę w takie szarlatanerie wierzyć, które nic pomóc, nic szkodzić nie mogą. Tymczasem kiedy trzeciego dnia znowu się schodzimy, on przyglądając mi się mówi: „Ja zostaję przy swoim, że homeopatia głupstwo, ale ty bierz te proszki, bo widocznie ci skutkują”.

Tak podreperowawszy trochę zdrowie, trzeba wracać do domu, ale jak? Poczta dwa razy na tydzień tylko chodzi w tamte strony i to trzeba tydzień naprzód zamówić, żeby dostać miejsce. W kłopotcie moim, idąc ulicą, widzę starą obdrapaną landarę, na której kredą napisane: *Gelegenheit nach Königsberg*²¹. Dalej więc do woźnicy i godzę się z nim, bo jeszcze jedno miejsce wolne. W owym czasie świat cywilizowany w Lipsku się kończył i stamtąd na wschód były już drogi w stanie naturalnym, dlatego też nie było jeszcze owego późniejszego, nieszczęsnego *Drang nach dem Osten*²².

Wlecemy się po piaskach opakowaną budą, szczęściem dostało mi się miejsce na koźle, gdzie przynajmniej świeżym powietrzem oddychać mogłem. Co dwie mile popas, para koni tylko nas ciągnie co siły, ja więc z furmanem większą część drogi piechotą odprawiam. Po sześciu dniach tak mozolnej podróży przybywamy nareszcie w pobliże naszej kochanej Wisły, której trzy lata nie widziałem i stamtąd furmanką pojechałem do domu.

Rozdział IV

MOJE GOSPODARSTWO W MIERZYNKU I KARCZEWIE OD ROKU 1824 DO 1834

Treść: Germanizacja znacznie rozwinięta w Prusach Zachodnich. — Gospodaruję u matki w Piątkowie. — Odbieram Mierzynek w zarząd. — Bieda wielka. — Uczę się gospodarstwa z dzieła Thaera. — Pomyślna gospodarka. — Ustęp o uroczystości odsłonięcia pomnika Kazimierza Wielkiego w Bochni. — Młoda gospodynię muszę odprawić. — Podział majątku. — Ja dostaję Karczewo. — Nowa bieda. — Brat Atanazy bierze Piątkowo, jego zasługi obywatelskie. — Zaczyna mi się powodzić. — Przykupuje ośm włók za pożyczane pieniądze. — Powstanie 29 listopada. — Doktor Tyc. — Wyprawa Zawiszy. — Pierwsze śledztwo. — Na rok skazany, amnestią uwolniony.

Oplakany zastałem stan gospodarstwa nie tylko u matki mojej w Piątkowie, ale i w ogóle u wszystkich obywateli, szczególnie polskich. Naczelny prezes Schön rozwinął już system germanizacyjny na wielką skalę, a to po części z winy samych obywateli polskich, którzy podczas bytu Księstwa Warszawskiego, pewni, że rządy pruskie się nie wrócą, nie płacili procentów Towarzystwa Kredytowego, chociaż ono było na solidarności wzajemnej oparte. Korzystając z tego, naczelny prezes kazał wszystkie zaległości od razu płacić, a kto nie mógł, majątek jego na subhastacją poszedł. Jeden mój ojciec płacił regularnie procenty i uszedł przez to powszechnej klęski. Już dużo polskich obywateli nie zastałem w majątkach swoich, bo Niemcy, przybysze protegowani przez rząd, już byli w ich posiadaniu. Zresztą gospodarstwo na bardzo niskiej stopie stało, a produkta były prawie bezcenne¹.

Porzuciwszy przy tak nieprzyjaznym usposobieniu rządu do Polaków myśl służenia takiemu rządowi, postanowiłem oddać się gospodarstwu. Z początku pomagałem jak mogłem matce, ale wkrótce wydarzyło się, że przez śmierć babki w Mierzynku, matka mi oddała ten majątek do rządzenia. Trzeba było zatem uczyć się nowego systemu gospodarstwa, o którym w naszej okolicy nikt nie wiedział. Brat mój Atanazy gospodarując w Zegartowicach, jako jedyny Polak ze szkoły Thaera w Möglinie, był wyrocznią gospodarczą dla innych. Wziąłem zatem od niego książki gospodarcze, a mianowicie dzieło Thaera pod tytułem: *System racjonalnego gospodarstwa*, w czterech tomach *in quarto* i pilnie się oddawałem tej nowej zupełnie nauce. Ale jakże trudne było położenie moje, bo bez grosza w kieszeni, zastałem całą spiżarnią przez złodziei wypróżnioną, a w stodołach, choć to było po żniwach, pustki okropne. Przyczyną tych pustek było, że przeszło osiemdziesięcioletni mój dziadek lubił się chwalić, iż chociaż konie robocze nie dostają obroku, tylko w rozgartach² się żywią, w doskonałym są stanie. Nie wiedział jednak o tem, że parobcy dbający o swoje konie, wypuszczali je w nocy z owych rozgartów, tak że po wszystkich zbożach się pasły. Pokazało się zatem, że zboża nic nie było na sprzedanie, a kiedy gospodyni mówiła, że soli nie ma w spiżarni, ledwo się siedemnaście korcy berlińskich³ pszenicy zgarnęło i z tymi ekonom pojechał do Grudziądza kupić beczkę soli. Kazałem mu także przywieźć kawy, cukru, butelkę araku, jeżeli się goście zdarzą, spodziewając się, że coś jeszcze zostanie grosiwa. Ale kiedy wrócił, dowiaduję się, że musiał jeszcze kilka złotych pożyczyć od znajomego, bo sól kosztuje 15 talarów, pszenicę sprzedał po 5 złotych polskich⁴, a na sprawunki nie było. Bieda więc była okropna; o kredycie, żeby od Żyda jakiego pożyczać pieniędzy, ani myśleć. Jak tu rok cały przeżyć? Do tego nowy kłopot przybył, bo ciągle po polach biegając, zdarły mi się buty. Za co tu kupić nowe? Ale wchodzę pomiędzy bydło i widząc krowę bardzo lichą, mówię pasterzowi: „Ta krowa pewnie zimy nie przeżyje?” „Pewnie, że nie, bo ją już kilka zim za ogon podnoszę.” — „To ją jutro prowadź na jarmark do Jabłonowa, ja tam też będę.” Wjeżdżając nazajutrz na targ, widzę, że moja krowka stoi jeszcze nie sprzedana. — „Wieleż ci dają?” „Proszę pana, cztery talary, ani rusz więcej.” — „To ją sprzedaj, nim się kupiec namysli inaczej.” Biorę pieniądze i z niemi między budy szewckie, gdzie równie cztery

talary za buty zapłacić musiałem, tak że nawet na szklankę piwa nie zostało.

Nadchodzi zima i ta mi otworzyła niespodziany dochód. Zjawiają się rybacy i pytają, czy pozwolę niewodem na jeziorze załowić, twierdząc, że ryby być muszą, bo stary jegomość nie chciał na to pozwolić, mówiąc, że mu wszystkie ryby wyłowiemy. Każe więc obcinać jezioro, a kiedy matnią wyciągają, pokazuje się ogromna ilość wielkich leszczy, za których połowę od kupców przytomnych 60 talarów dostają, bo druga połowa należała się rybakom. Prócz tego dochodu z ryb udało mi się od Żyda 70 talarów pożyczyc, które razem musiały wystarczyć na jakie takie płacenie zasług służącym i podatki, które wtenczas były bardzo małe, przez rok cały. Pomogłem sobie, przyznać muszę, ponieważ żelazo ważnym artykułem jest w gospodarstwie, tym, że dwie odwieczne karety, które po dziadku zastałem w wozowni, kazałem rozbić i żelaziwo na różne narzędzia rolnicze obrócić.

Gdy nadeszła wiosna, a z nią czas siewu jarzynnego⁶, mój ekonom, bo wówczas rządców jeszcze nie było — oświadczył mi, że sam swoją ręką cały siew grochu uskuteczni, ponieważ go tak rzadko siał trzeba, że pomiędzy ziarnkami owca z jagniątkiem pomieścić się może. Nie znalazłem ja wprawdzie tej teorii w moim Thaerze, ale ufając doświadczeniu starego praktyka, przystałem na to. Zasiał zatem w ten sposób dwudziestoma trzema korcami ogromną przestrzeń, a że rola była przeważnie gliniasta i zawsze nieźle mierzwiona, bo znaczne łąki dużo siana dostarczały, groch się zwalił ogromny, tak że na jesieni sprzedałem czterysta korcy po talarze, ponieważ ceny grochu znacznie podskoczyły. Jeżeli ten plon gospodarzom będzie się zdawał przesadzony, to raz na zawsze oświadczyć muszę, że się kłamstwem brzydę.

Prócz tego i owies, który pod skibę kazałem zasiać, pomimo suszy nadzwyczajnej obrodził mi się dobrze, tak że kiedy wszędzie zupełnie chybił, ja oprócz własnej potrzeby sprzedałem sto korcy po talarze. Urodzaj oziminy był także dobry, tak że nie tylko dochody miałem znaczne, ale i w całej okolicy zasłynąłem jako dobry gospodarz. Sprawili się też brykę brodzką i chomonta krakowskie, a że do zdrowia zacząłem powoli przychodzić, jeździłem w cztery dobre mierzyny zaglądać, gdzie jaka panienka.

Raz zajechawszy do Konojad, do landrata Wybickiego⁶, u którego starsza córka była w domu, a młodsza, późniejsza

żona moja, jeszcze na pensji w Warszawie, zastałem brata mego Atanazego, także jeszcze kawalera. Zdawało się zatem, że dwóch braci do jednej panny zajeżdża. Brat mój słynął wtenczas w całej okolicy z wesołości i dowcipu, tak że ja, obok niego, zwykle milczałem i za flegmatyka uchodziłem. Kiedy więc siedzę nieśmiało obok panny Ludwiki, on ciągle rozprawia, ale gdy mu jakoś konceptu zabrakło, odzywa się: „Panie landracie, czy nie uważasz podobieństwa pomiędzy panną Ludwiką, a moim bratem?” „A to jakie?” — pyta śmiejąc się ojciec, bośmy już oboje ogromnego raka upiekli. A on: „Bo oboje nic nie mówią, tylko patrzą na siebie”. Poklepał mnie pocziwy landrat, żeby mnie trochę z ambarasu wyprowadzić. Strzegłem się potem z braciszkiem razem znajdować w jednym towarzystwie, aż on chociaż się umiał podobać, zamiast z jaką Polką, ożenił się z Niemką. Matka moja bardzo temu była przeciwną, ale głównie dla religii, brat jednak przemógł tem, że u Niemki więcej posagu, a mniej pretensyi.

Przerywam dalszy ciąg w historycznym następstwie, będąc pod wrażeniem dnia wczorajszego. W drugi bowiem dzień Zielonych Świąt zapowiedziane było odkrycie pomnika Kazimierza Wielkiego w Bochni. Muszę zatem, choć krótko o tej uroczystości wspomnieć, a sądzę, że zadowolę tych, których może ciągły opis życia mego nudzić zaczyna.

Wyjechałem w towarzystwie około pięćdziesięciu krakowian, na których się głównie Towarzystwo Postępu, cechy z chorągwiami i Straż Ochotnicza wraz z kilkoma akademikami składała. Poszliśmy naprzód do kościoła wraz z licznie przybyłym okolicznym obywatelstwem. Kazanie było o sakramencie bierzmowania, ale ani jednym słowem kaznodzieja o narodowym święcie nie wspomniał. Skończywszy kazanie powiedział tylko, że teraz nastąpi poświęcenie pomnika. Cechy z chorągwiami otoczyły z dala pomnik dłuta Walerego Gadomskiego z Krakowa, a z bliska dwadzieścia cztery młode dziewcząt w białych sukienkach z różowemi i niebieskiemi przepaskami.

Pierwsza mowa była doktora Hoszarda, piękna w treści i z energią wypowiedziana. Przy końcu mowy cała publiczność zachwycona została cudownym zjawiskiem, bo tęcza dokoła słońca w odległym dość kole się pokazała, jakby wieniec nad głową Kazimierza Wielkiego, nigdy coś podobnego nie widziałem. Drugą mowę miał akademik krakowski, trzecią profesor gimnazjalny z Bochni. Po nich wy-

stąpił obywatel krakowski, Chmurski, i wyliczając reprezentantów różnych miasta, przybyłych na tę uroczystość, kiedy wspomniał, że duchowieństwo nie przybyło, deszcz kropić zaczął, co spowodowało mówcę powiedzieć, że: „Niebo, zastępując duchowieństwo, samo pomnik poświęca”. Duchowieństwo bocheńskie, znać tak jak krakowskie, stroni od wszelkich narodowych uroczystości.

Obywatele Bochni porozbierali nas, gości, do siebie na obiad. Mnie zaprosił obywatel Górski i do zbytku serdeczną gościnnością nas wszystkich, około dziesięciu, uraczył.

Muzyka wieczorem odprowadziła nas na kolej, gdzie ostatnie pożegnania licznymi zdrowiami i toastami piękny ten dzień zakończyły.

Prowadząc dalej historię mojej gospodarki w Mierzynku muszę nadmienić wypadek, jak można czasem najniewinniej być posądzonym. Słyszac o moim dobrem gospodarstwie w jej majątku, matka moja przyjeżdża do mnie. Ponieważ dworek był ładny, pokoje pięknie tapetowane z porządne meblami, robi od razu rewizją pokoi. Wchodzi do mojej sypialni, a za nią otwiera drzwi do komory, gdzie widząc łóżko woła: „A to co? To Jetta tu sypia!” Była to młoda moja gospodyni, Niemka, która właśnie pierwszy raz, pomimo mojej wiedzy, tu się wprowadziła. Ja zaręczam, że o niczem nie wiem, ale na próżno, matka w najwyższym oburzeniu każe zaprzęgać i odjeżdża, mówiąc, że w takim domu nocować nie może. Musiałem Jettę zaraz odprawić, a na jej miejsce przysłała mi matka starą gospodynię. Nie dość na tem, wróciwszy do domu, posyła umyślnego posłańca do pięć mil odległych Zegartowic, żeby brat natychmiast przybywał dla ważnego rodzinnego interesu. On sądząc, że Bóg wie co się stało, jedzie co żywo, a gdy się pyta, co takiego — dostaje odpowiedź, że on jako starszy czuwać nad tem powinien, żeby przestał wstyd robić rodzinie; ale on znając z powodu jeszcze nie odzyskanego zdrowia moje w tym względzie platoniczne usposobienie, do rozpuku śmiać się zaczął, co i na niego sprowadziło porządne rodzinnego zburzenie.

Ja tymczasem, ze starą gospodynią, nie narażony na pokusy i podejrzenia gospodaruję dalej i coraz mam lepsze urodzaje, tak że kiedy w trzecim roku w najlepsze się cieszę widokiem znacznych dochodów, matka oświadcza, że nam oddaje majątek ojcowski, a sama odbiera Mierzynkę, do-

kąd się z bratem moim Gustawem i siostrami Leokadią i Alodią przenosi.

Brat Atanazy do Zegartowic odbiera Piątkowo z Dylewem, mnie się dostaje folwark Karczewo, a z podziału wypadło na każdą głowę po 5000 talarów. Karczewo, które za 6000 talarów przyjąłem, tak że z jednego tysiąca procent familii płacić się zobowiązałem, w najnędniejszym objąłem stanie. Przez sześć lat poprzednich zadzierżawione było Niemcowi, który tak wypłodził role i zniszczył budynki, że sam w końcu dzierżawy nie płacąc, procesem musiał być wysadzony. Przeprowadzam się zatem z czterystami skopami i nieco inwentarzem przychowanym w Mierzynku i trochę pieniędzy w kieszeni, a stara gospodyni z sześcioma najlepszymi kurami, między którymi z pewną dumą siedziała, do spustoszonego Karczewa.

Z fantazji, w Mierzynku nabytej, musiałem znowu na takim pustkowiu dużo spuścić, ale pocieszałem się tem, że to już moja własność i że powoli z biedy się wygrzebie. Siedziałem więc kamieniem w domu, chyba do najbliższych sąsiadów zaglądając, a kiedy brata Atanazego pytano, osobliwie w domach, gdzie były panienki, czemu też pan Natalis się nie pokazuje i co tam robi w Karczewie — odpowiedział: „On cały dzień biega po miedzach granicznych i kijem bobki z sąsiedniej roli na swoje przerzuca”.

Przytoczyć tu muszę, że brat mój nie tylko wesołym dowcipem bawiąc, wszędzie był miłym gościem, ale zostawszy radcą Towarzystwa Kredytowego wielkie zasługi położył, broniąc obywateli zagrożonych sekwestracjami, dlatego, że nie opłacali przy tych ciężkich czasach procentów i to kilkoletnich, od ostatecznego upadku przez subhastacje, podług praw Towarzystwa, biorąc wypłatę zaległości na swoją odpowiedzialność. Toteż przez cały czas jego urzędowania ani jednego majątku, chociaż dyrekcja, głównie z Niemców złożona, chętnie by pragnęła z tego powodu majątki polskie w niemieckie ręce przedostać, polscy dziedzice nie stracili. Gospodarstwo zaś własne, ciągle obcymi interesami zatrudniony, przy wrodzonym zamiłowaniu do życia towarzyskiego, którego koło przez żonę znacznie się domami niemieckimi powiększyło — zaniedbywał.

Wracając do mego Karczewa, nie mając zastępcy w gospodarstwie, bo nie było do czego, sam z biedą się pasowałem. Odebrawszy gospodarstwo na wiosnę, kiedy było trzeba obsiać jarzynne pole, widząc pola strasznie jałowe, bo i ozimina bardzo licha była, prócz kilka korcy tataraki, ja-

rzyny nie zasiałem wcale, chcąc mieć przynajmniej dla moich skopów paśnik powiększony. Nie trudząc zatem słabego inwentarza bezpożyteczną uprawą jarzynnego pola mogłem korzystniej go użyć do starannej uprawy oziminek, to jest samego żyta, bo o pszenicy mowy być nie mogło. A że rola szczyrkowata szczególnie potrzebuje wczesnego, po uprawie poprzedniej, zorania na zagon, to jest pod siew, tak że przynajmniej cztery do sześciu tygodni rola w skibach się odleży, nim się zasieje, i kazawszy żyta bardzo obrednio zasiać, co wszystkim gospodarzom zalecam, miałem na przyszły rok już niezłą oziminkę. Skopy też niezgorzej się podpasły na rozległym paśniku, tak że rzeźnik dobrze mi za nie zapłacił, a w ich miejsce kupiłem maciór kilkaset. Dopiero w następnym roku, kiedym wziął pole, odlogiem leżące, pod uprawę ozimą, takie miałem żyta, że najlepsze w okolicy uznane zostały. A kiedym do tego był w stanie stare budynki podreperować, a dwa nowe — kuznię i kurniki pokryte dachówką — wystawić, co wówczas do zbytków liczono, wtenczas już głośno zaczęto moje gospodarstwo wychwalać.

W tym czasie, w miesiącu maju, przychodzą do mnie dwaj sąsiedzi, gospodarze Niemcy, z propozycją, abym od nich ich grunta, stykające się z moimi, a wynoszące ośm włók chełmińskich⁷, tak że sobie przez to cały majątek lepiej zaokrągle, odkupił. Widzę, że interes bardzo piękny, ale skąd pieniędzy dostać na kupno? Pomnąc jednak łacińskie *audaces fortuna juvat*⁸, pytam: „Co chcecie i kiedy wypłata? Odpowiadają: „8000 złotych pruskich na święty Jan, a teraz 100 talarów zadatku”. — „To przyjedźcie jutro po zadatek i napisanie punktacji.” Jadę do sąsiada, o którym wiedziałem, że ma trochę pieniędzy, a dostawszy owe sto talarów płacę zadatek i piszę punktację. Jadę potem do brata do Piątkowa powiedzieć mu co zrobiłem i co on na to. Ten mnie przywitał nazywając wariatem rachującym na jakiś kredyt, którego on, pomimo że posiada znaczne majątki, nigdzie nie znajdzie. Nie odstraszonej tą odpowiedzią, jadę do pewnej dziedziczki niemieckiej, która jedna znaną była, że ma gotowe pieniądze. Prócz pieniędzy miała i córkę dorosłą, kalkulowałem zatem, że ona nawzajem kalkulując na to, że zostanie jej zięciem, nie odmówi pożyczki. A kiedy rozmawiamy z mamą, wchodzi córka naprędce wystrojona, ja wtenczas nie zaniebując częstych na nią spojrzeń, choć nie była ładną, wyjeżdżam nareszcie z powodzeniem mojej wizyty i pytam, czy zasługuję na jej zaufa-

nie. W tej chwili idzie do biurka i oddaje mi list zastawny na 3000 talarów, mówiąc, że mi to daje: *Mit dem größten Vergnügen*⁹, nie żądając tylko prostego rewersu.

Pierwsze to powodzenie w chęci powiększenia majątku dodało mi odwagi, że później rzucałem się na większe kupna, zwłaszcza kiedy napływ Niemców groził nam podstawę bytu naszego, ziemię naszą kochaną, coraz bardziej spod nóg wysuwać.

Rozciągnąwszy w ten sposób znacznie granice mojego majątku, zdobyłem sobie równocześnie większe pole do pracy, a przez umiejętne nią kierowanie powiększyłem znacznie moje dochody i kiedy z początku litowano się nade mną, że tak licha wioszczyzna dostała mi się w podziale, na której trudno mi będzie egzystować, Karczewo zaczęło wstępować do rzędu lepszych majątków.

Miałem wówczas miłego i zamożnego sąsiada z kapitana Wysockiego, który, ożeniwszy się z dziedziczką Pułkowa, pięknie ten majątek wybudował. Wełna wtenczas znacznie w cenie się podniosła, tak że 80 talarów za cetnar płacno. Namawia mnie zatem Wysocki, abym z nim jechał za Wisłę, gdzie pewien obywatel ogłasza, że ma owce na sprzedaż. Jedziemy do niego, był to Żyd, właściciel pięknego majątku, przyjął nas bardzo gościnnie, a kiedy siedzimy przy obiedzie, dowiadując się, że nie mam żony — mówi: „To dobrze, po obiedzie pójdziemy do bliskiego sąsiedztwa, gdzie piękna i bogata jest panna — zaręczam, że ją pan dostaniesz, a panu się podobać będzie, bo bardzo ładna — mamy czas, bo owce dopiero jutro rano tu będą, a dziś lepszy panowie Geschaeft zrobicie, jak z owcami”. Wysockiemu bardzo się ta propozycja podoba, zaręcza gospodarzowi, że mam piękny majątek bez długu. Ten, niepoahamowany w zapale swatania, posyła służącą do tych państwa z zapytaniem, czy panna Leokadia w domu. Tymczasem idziemy do proboszcza, poznajemy bardzo porządnego księdza i pokazuje się, że jest synem karczmarza z Piątkowa — cieszy się poznać mnie, a słysząc, że idziemy do sąsiedztwa w jego parafii i w jakim celu, oświadcza, że chętnie z nami pójdzie.

Widocznie zaczyna się rzecz pomyślnie składać, ale i nie-mała przeszkoda zaszła, bo służąca, wróciwszy z sąsiedztwa, powiada, że pannę Leokadię matka wczoraj zawiozła do Grudziądza i u znajomych zostawiła.

„Nic to nie szkodzi — mówi gospodarz — pójdziemy jednak, poznasz pan jej siostrę zamężną, która tam bawi, jest

też ładna, ale to nic do Leokadii." Idziemy więc wszyscy czterej do bliskiego sąsiedztwa. Gospodarzowi przedstawieni, powiada, że familię moją w Księstwie¹⁰ bardzo dobrze zna; nasz Żydek tymczasem do pań, oznajmić im co się święci. Wchodzą i poznajemy, żeśmy się wczora z matką przewozili przez Wisłę. Wszystko się zatem szczęśliwie układa, a kiedy wieczór nadchodzi, przypędzają krowy z paśnika i przed dworem w ogrodzonym kole, które później na kwiatnik ma być zamienione, odbywa się dojenie przez schludne dziewczęta. Żydek, który ciągle rolę suflera po obu stronach odgrywał, pyta mnie głośno, czy nie chcę krowę kupić, którą panna Leokadia ma na sprzedanie — oczywiście, że chcę, więc idziemy oglądać i bez targu kupujemy. Niedługo potem nasz faktor zginął nam z paniami, a gospodarz oprowadzał nas po swoim bardzo porządnym gospodarstwie i ogrodzie. Powróciwszy do dworu, wchodzą panie wraz z młodym synem, który trzyma list w ręku, pytając się, czy nie chcemy go siostrze oddać w Grudziądzu? Oczywiście manewr naszego faktora. Wysocki odbiera list, ale Żydek wyrywa mu go z ręki i mnie oddaje. Można sobie wystawić, że wszystko to było bardzo zabawne i nietrudne do pojęcia, co ma i znaczyć. Pożegnaliśmy się wreszcie z uprzejmem gospodarstwem i wracamy.

W drodze dopiero nam wszystkie swoje manewry opowiada, że chciał koniecznie, aby córkę sprowadzono na powrót, ale ponieważ na to matka przystać nie chciała, żądał napisania listu. — „Cóż mam pisać, kiedy tylko wczoraj się z nią widziałam.” „Napisz pani, zaś jej krowę sprzedała, czy chce pieniądze za nią.”

Śmiejąc się, przystaje pani nareszcie, bo natrętnego Żydka inaczej nie pozbyć. — Syn więc pisze, a on dyktuje: „Pan Wysocki i pan Sulerzyski...” Sulerzyski podkreślone, to już będzie wiedzieć, co się znaczy itd. Życzę wam wszystkim młodym, co się staracie o pannę, takiego faktora, a pójdzie wam jak z płatka.

Ma się rozumieć, że w doskonałym byłem humorze. Ksiądz chwali pannę, Żydek zarecza swoim majątkiem, że ma 20 000 talarów posagu, w owym czasie nie bagatela. Idziemy spać, Wysocki mi mówi, że w Karczewie dwór trzeba zaraz pokryć dachówką, którą mi chce dać ze swojej cegielni, bo: „Panny nie lubią ciągnąć pod słomiany dach”.

Nazajutrz kupujemy owce, a ja jeszcze jedną krowę gospodarza i to najlepszą, bo powiedział, że u niego wszystko na sprzedanie, więc lubo się zdrażał, że to najlepsza jego

dójka, musiał słowa dotrzymać. Na domiar pomyślności za-
jeżdża kupiec na wełnę i po 80 talarów, nie znając nas ani
owiec naszych, za cetnar ze znaczną zaliczką daje. Ale zda-
rzyła się i przeciwność, która najpiękniejsze nasze zamiary
zniweczyła, bo wracając do domu, dostaję ogromnego bólu
głowy — zapewne z powodu tłustej pieczonej gęsi, którą na
kolację jadłem — i ten ból tak się powiększał, że przyje-
chawszy do Grudziądza nie byłem w stanie sam wręczyć
pannie Leokadii listu, tylko go przez służbę hotelowego po-
dałem.

Trzeba było wytłumaczyć przez uprzejmego naszego fak-
tora listownie i donieść o przeszkodzie, ale wróciwszy do
domu zastałem wiadomość o powstaniu Warszawy 29 listo-
pada. To było przyczyną, że się zapomniało o pannie Leo-
kadii — prawda zatem, że śmierć i żona — przeznaczona.

Najlepszym dowodem, jak mało Prusy Zachodnie zostały
zelektryzowane świetnym z początku powodzeniem powsta-
nia, jest to, że prócz dwóch Paliszewskich, których rewolu-
cja zastała w szkołach poznańskich, skąd razem z całą mło-
dzieżą wielkopolską wyruszyli, tylko dwóch Kucharskich
z toruńskiego Gimnazjum przez ojczyzna było wyprawio-
nych¹¹. Czulem mocno obowiązek przyłączenia się do wal-
czących braci, ale przekonany, że zdrowie moje nie pozwala
mi znosić trudów wojennych, zostałem w domu.

Kiedy nareszcie koniec powstania nastąpił, jeździłem co-
dzień do Golubia słysząc, że tamtędy granicę pruską poje-
dyncze oddziały przechodzą. Poznałem tam dzielnego puł-
kownika Krakusów, Leskiego, który stamtąd wraz z wie-
lu innymi na dłuższy pobyt do gościnnego Ryńska — pat-
riarchalnego domu szanownych Wilkxyckich¹² się udał. Za-
brałem później do siebie młodego Wołyniaka Fajusa z od-
działu Krakusów i Miłkoskiego z Poznańskiego, znanego
mi z uniwersytetu berlińskiego, podczas odwiedzin moich
z Lipska kolegów berlińskich.

Dowiedziawszy się następnie, że całe wojsko polskie prze-
chodzić będzie pod dowództwem Rybińskiego granicę prus-
ką pod Brodnicą¹³, pojechałem tam, żeby być świadkiem
tak smutnej katastrofy.

Pokazywano mi tam pomiędzy innymi Bema i odszukiwa-
łem dawnych znajomych. Widziałem wjeżdżającego na arma-
cie Jana Kucharskiego, późniejszego sąsiada mojego, którego
brat zginął, a spotkawszy się z Tycem doktorem, kolegą z
Lipska, zabrałem go do domu.

W Brodnicy tymczasem odbywało się rozbrojenie wojska przez Prusaków. Przypadkiem z rozbitków tego dzielnego, a źle prowadzonego wojska, dostała mi się para pięknych koni, bo wracając już ciemną nocą do domu, słyszę tętent za bryczką. Wnet odzywa się jeździec, czy bym nie chciał nabyć parę koni, własność oficera swego pana, który zginął pod Warszawą, a szkoda takie konie oddać Prusakom. Każę mu jechać za sobą, a jutro je obejrzymy. Nazajutrz oglądamy z Tycem konie, dzielne, brudne ksztany, ogier i wałach. Służący powiada, że wałach znany był w Warszawie jako sławny wierzchowiec, na którym pan jego przed Wielkim Księciem Konstantym podczas parady na Saskim Placu musiał się popisywać, co później i inni potwierdzili. Pytam się, co chce za nie. — „Daj pan 30 talarów i zatrzymaj mnie u siebie, żebym nie potrzebował się tulać.” Poczciwy ten człowiek, nazwiskiem Śmietanka, kilka lat wiernie u mnie służył.

Z Tyca miałem wielce przyjemnego towarzysza blisko przez pół roku, bo obawiając się kary rządu pruskiego, której wszyscy, wracając do domu, podpadli, wolał zatrzymać się u mnie. Wróciwszy potem do Księstwa, osiadł w Gnieźnie, gdzie jako lekarz i gorliwy obywatel powszechnego doznawał do zgonu swego poważania.

Pobyt emigracji w naszych stronach, mianowicie w patriarchalnym domu państwa Wilkxyckich, wielce się przyczynił do obudzenia ducha polskiego w Prusach Zachodnich.

W kilka lat później zjawia się u mnie emigrant Kalikst Borzewski¹⁴, znajomy mój ze szkół toruńskich i z jednej ze mną pensji u księdza Dziembińskiego. Powiada, że tu przybył z Arturem Zawiszą¹⁵ w celu przejścia do Królestwa, gdzie ogólne nastąpi powstanie i żąda ode mnie, abym im ułatwił przebycie granicy przez Drwęcę. Wszelkie przedstawienia moje, że będąc często u znajomych moich w Królestwie, zapewnić mogę, że poparcia żadnego nie znajdują, są daremne. Powiada, że ogólne przejście granicy na wszystkich punktach równocześnie się odbędzie¹⁶, a i Moskale sami w imię wolności powstaną. Wreszcie przysięgą jesteśmy związani, a zatem cofnąć się nie możemy. Takimi argumentami rozbrojony, jadę z nim na umówione miejsce spotkania z Zawiszą w Ryńskich Borach. Znajdujemy go w towarzystwie znanego mi z przychylności dla Polaków niemieckiego obywatela Riesenbecka, zapamiętałego rewolucjonisty, który jako zapalony myśliwy najlepsze swoje sztucery i dubeltówki im ofiarował. Tam się obowiązują zebrać z wy-

chodźców w naszych stronach pozostałych, co będzie można, aby się połączyli z niemi.

Wiedząc, że na fortecy grudziądzkiej znajduje się kilkaset czwartaków¹⁷, którzy tam w taczkach pracować muszą, ja-
dę tam i udało mi się przybliżyć bez podejrzenia do kilku z nich, żeby ich zapytać, czy chcą do tego należeć. Pytają się stare wiarusy: „A który generał ma prowadzić?” Słyszając, że tylko oficerowie młodzi, wprost odmówili. Zapomnieli znać, że to generałowie głównie zwicznęli powstanie.

Udało mi się jednak po innych miejscach sześciu tęgich ludzi namówić, tak że pewnego dnia wszyscy ośmiu zbierają się w moim małym, ale gęstym zagaju w Karczewie. A że stamtąd pół mili do Drwęcy prowadzę ich o północy, ze szwagrem moim Tadeuszem Wilczewskim, piechotą borem rządowym. Wiedziałem o tem, że w tem miejscu tratwy z drzewem po tamtej stronie nad brzegiem się znajdują. Korella¹⁸, oficer odzywa się: „Czekajcie, Kostuś nauczył mnie pływać” i natychmiast rozebrawszy się przebywa bystrą rzekę, odcina w jednym końcu wicie, któremi tratwy do ładu są przymocowane i widzimy, jak one jednym końcem pływając, z wodą pomost tworzą, przybijając do drugiego brzegu, ale zamiast zatrzymać się, porwane prądem zrywają wicie w drugim końcu i wkrótce giną nam z oczu. Co tu robić, świtać zaczyna, trzeba wracać na legowisko w zagaju.

Ja z Wilczewskim jedziemy po świeżą żywność do kilku sąsiednich domów, a dawszy im przewodnika w następnej nocy pod Słozzewami, pożegnawszy się ze ściśniętym sercem z dzielną młodzieżą, na widoczną śmierć idącą, przeprowadzamy ich łódką przez Drwęcę.

Dzień ten przepędziwszy w gościnie, wracam wieczorem do domu. Tu się dowiaduję od gospodyni, że jeden z tych panów wrócił ranny i zamieniwszy kalabryjski swój kape-lusz na moją czapkę i inne suknie moje, odjechał. Był to Korella, o którym później się dowiedziałem, że zaraz po przejściu na granicę polską, w Radzikach trafili na pikietę kozacką¹⁹, z którą uganiając się został ranny kulą w ramię. Ode mnie pojechał prosto do Grudziądza, do kupca Schönborna, w którego majątku na wsi mieszkał i zwier-
żając mu się ze wszystkiego, dostaje od niego pieniądze na drogę do Anglii. Pocziwy a bogaty Niemiec grubą karą pieniężną okupił się od śledztwa, którem był zagrożony.

Pewny byłem, że i mnie takowe nie minie, ponieważ wieść, że kilku kozaków zabitych zostało, wkrótce się roz-

niosła, a powiadano, że leśni z rządowego boru, stykającego się z moim zagajem, wypatrzyli tam ukrywających się zbrojnych ludzi. Jakoż dostaję wezwanie stawienia się przed rentmistrzem w Golubiu. Chcąc mnie wybadać, pyta się, czy słyszałem o awanturze w Radzikach, ale wnet wybuchnął w te słowa: „Przyznaj pan sam, jaki Polacy niespokojny i burzliwy naród, niedawno co powstanie pokonane, już zabijają kozaków”. Odpowiadam: „Nie Polacy winni, ale ci, co Polskę rozszarpali — nie mając dziś armat i wojska, z rozpaczą bój toczą choćby na noże”. Słowa te z rozrzewnieniem powiedziane przestraszyły trochę pana rentmistrza i żeby mnie ułagodzić, zaprosił do ogrodu i poczęstował kawą. Nie zaniebął jednak raport zdać taki, który pierwszą: *malam notam*²⁰ w Kwidzynie, siedlisku rządu departamentowego, na mnie ściągnął.

Radzca policyjny Jonas w Brodnicy, którego funkcja była oddawanie zbiegów wojskowych Moskwie podług zawartego kartelu, dostał polecenie zarządzenia śledztwa i kilkakrotnie mnie powoływał do tłumaczenia, ale ja stale zapewniając, że udziału żadnego nie miałem, potrafiłem uprzejmego pana radzcę o mojej niewinności przekonać, tak że sprawa cała zdawała się zakończoną. Ale pokazało się inaczej. Na miejsce Jonasa przybył do Brodnicy Wedeke. Osobliwy wypadek przyczynił się do odnowienia całej sprawy.

Kiedy zebrana gromadka powstańców ukrywała się w moim zagaju, kilku z mojej czeladzi z Karczewa dostrzegłszy, że jacyś ludzie z zagaju wychodzą do bliskiego źródła po wodę, poszli zobaczyć co za jedni i weszli na ich legowisko. Wyskakuje do nich Zawisza i każe przysięgać, że ich nie zdradzą. Ta przysięga znać ciążyła na sumieniu biedaków i przyznają się na spowiedzi księdzu Ch. do grzechu złożonej przysięgi. Ksiądz od dawna w kłótni z sąsiadem swoim, panem Pawłowskim za jakieś zajmowanie inwentarzy, pyta się, czy w tym czasie ten pan był we dworze. Odpowiadają, że był, ksiądz zatem chcąc się zemścić opowiada Wedekiemu, że Pawłowski należał do całej wyprawy, bo bywał w tym czasie w Karczewie, chociaż w istocie o niczym nie wiedział i tylko w interesie gospodarczym do mnie przyjechał.

Wedeke, pewny że przysługę zrobi rządowi moskiewskiemu i za to nagrodę odbierze, wykrywając współdziałanie obywateli pruskich, jedzie do Warszawy. Tam ze śledztwa uwięzionego Zawiszy, a męczarniami wydobytych zeznań, dowiadyuje się, że cała wyprawa wyszła z Karczewa. Jestem przy-

padkiem w Golubiu, zastaję w winiarni rentmistrza, który mnie przedstawia Wedekiemu, jako nowemu radzcy policyjnemu, ale zarazem na stronie mi mówi, że źle będzie ze mną, bo on wraca z Warszawy i śledztwo na nowo rozpocznie. Widzę imponującą figurę pana radzcy, który bystrem okiem na mnie, jakby na swoją ofiarę, spogląda. Nie podobało mi się to i nie wiem, skąd mi przyszła fantazja, że podchodząc do rentmistrza mówię: „Oświadczyć pan jemu, że dość już tych policyjnych inkwizycyj, jeżeli ma być sprawa odnowiona, niech idzie na drogę sądową — daję słowo honoru, że na jego wezwanie się nie stawię”.

Przybywszy do Brodnicy, Wedeke rozpoczyna na wielką skalę śledztwo. Żandarmi zabierają mego gospodarza i osadzają w więzieniu w łańcuchach okutego. Tam głodem i groźbami zmęczony ma świadczyć, że emisariusze byli u mnie. Pocciwy człowiek ciągle jednak utrzymuje, że mając gospodarstwo na swojej głowie, na nic innego nie patrzył. Wdzięczność każe mi wymienić jego nazwisko — nazywał się Piotr Wiśniewski. Ale Wedeke wynalazł owego przewodnika u szwagra mego, Wilczewskiego, mieszkającego i trzyma go ciągle w swoim biurze. Kilkunastu żandarmów, bo ściągniętych z ościennych powiatów, jest ciągle czynnych w Brodnicy sprowadzaniem obywateli to na świadków, to podejrzanych. Sąd zajęty inkwizycją, a wszystka ta obława na to skierowana, żeby mnie w matnię dostać.

Siedzę w Karczewie, jak zając w kotlinie, kiedy charty koło niego krążą. Wtem przybywa do mnie Wilczewski i prosi, abym tej nocy przewodnika owego, który w umówionym miejscu na mnie czekać będzie, wywiózł do innego powiatu, bo on już sobie rady dać nie może, tak go Wedeke męczy, a koniecznie prosi, żebym ja go wywiózł. Odmówiłem wprost temu żądaniu, bo jakaś zdrada zdawała mi się za tym ukrywać. Odjechawszy Wilczewski ode mnie spotkał się z młodym Hipolitem Jackowskim i udało mu się namówić go do owej wyprawy, która podług planu owego przewodnika tak była umówiona, że Jackowski na jednym koniu siedząc, a drugiego luźnego trzymając, przybywszy na umówione miejsce kłaśnie w ręce, a wtenczas ów przewodnik z ukrycia wyjdzie i obydwaj dalej konno pojedą. Kiedy jednak już przyszło do kłaśnięcia, wychodzi ów chłop z jamy pobliskiej i zbliżywszy się do Jackowskiego ściąga go z konia, równocześnie dwaj żandarmi wyskakują z drugiej jamy, wiążą Jackowskiego i tak do Brodnicy, przygotowaną furmanką, odwożą.

Ja o niczem nie wiedząc, jadę wieczorem do Pułkowa odwiedzić sąsiada Wysockiego. Tam zastaję pułkownika Zboińskiego, który powiada, że jedzie z Brodnicy, był u Wedekiego i tam był świadkiem, jak żandarmi przywieźli Jackowskiego, że już teraz wszystko wykryte, a że ja głównym aktorem będąc, nie pozostaje mi nic więcej, żeby się od więzienia uwolnić, jak wyjechać do Francji. Wysocki ofiaruje pieniądze na drogę. Wcale mi się ta propozycja nie podobała i oświadczyłem wprost, że wolę więzienie pruskie, jak zostać emigrantem. Dzisiejsze położenie moje dowodzi, że w tym względzie gust mi się zmienił; dlaczego jednak dziś wolałem zostać emigrantem, jak po czwarty raz siedzieć w więzieniu, będę miał sposobność później opisać.

Nazajutrz przybywa do mnie szwagier Rutkowski i powiada, że Wedeke przysyła go, bo jedzie od niego, aby mnie nakłonić do przybycia do Brodnicy. Odpowiadam, że raz dawszy, może nierozważnie, słowo honoru, że się nie stawię — uczynić tego nie mogę. — „To cię żandarmi sprowadzą, bo sam słyszałem, jak o tem mówili.” Tak zagrożony odpowiadam: „A więc pojedę! — i pocałował mnie Rutkowski — ale nie do Brodnicy — ciągnę dalej — tylko do Kwidzyna oskarżyć Wedekiego, bo jego postępowanie zdaje mi się za moskiewskie”. I natychmiast, żeby uniknąć przybycia żandarmów, wyjeżdżam, zabieram po drodze Wilczewskiego i jedziemy do Kwidzyna. Tam idę do prezydenta Nordenflychta i opowiadam mu, co z nami dokazuje Wedeke. Zapytany, czy wszystko jest tak, jak ja mówię, odpowiadam, że honorem i majątkiem ręczę za prawdę rzetelną. Kazał mnie wziąć do protokołu i czekać w hotelu rezolucji. Tam ciesząc się, że sprawa nasza pomyślny obrót bierze, dostaję kopię rozkazu do pana Wedeke, żebym natychmiast wyjeżdżał z Brodnicy.

Tym sposobem udało mi się nie tylko siebie samego, ale i wielu obywateli, a pomiędzy nimi i samego landrata Wybickiego, od którego bawiący u niego emigrant Wójtkiwicz przyłączył się do wyprawy Zawiszy, uwolnić od dalszych nieprzyjemności, a zawstydzić sąd brodnicki, który tak usłużnie, bez przekonania się o upoważnieniu Wedekiego, do prowadzenia śledztwa mu dopomagał.

Nie skończyło się jednak na tem, bo cała sprawa poszła pod sąd kryminalny w Toruniu, do którego oprócz mnie, Wilczewskiego i Pawłowskiego, który Bogu duszę był winien, ale ponieważ bardzo lubił procesa, chętnie z nami na termina jeździł, i panią Wilkxycką z Ryńska pociągnięto.

Wlekło się śledztwo kilka lat i osądzono nas czworo na rok więzienia w pierwszej instancji.

Będąc całe życie usposobienia takiego, że kiedy co złego się stanie, nigdy nie rozpaczam, ale badam, czy i co dobrego stąd wyniknie, więc i tu pocieszałem się tym, że kiedy przyjdzie posiedzieć, to przynajmniej w dobrym towarzystwie, a osobiście obok szanownej pani Wilkxyckiej, u której byłem pewny, że i wist będzie codzienny i smaczne obiadki. Ale nie ziściła się moja nadzieja, bo na nieszczęście król umarł²¹ i ogólna nastąpiła amnestia.

Rozdział V

OD KUPNA PIĄTKOWA DO OŻENIENIA, 1834—1836

Treść: Po śmierci brata kupuję Piątkowo i Dylewo. — Karczewo zadzierżawiam. — Nowa bieda. — Nędzny stan gospodarstwa. — Staram się położenie włości naprawić. — Role wyplodzone. — Owies się obradza. — Jaka do niego uprawa.

Brat mój, Atanazy, ożeniwszy się powtórnie z Niemką, panną Kalnassy, przed rokiem, umarł w roku 1834. Dwoje młodych dzieci Artura i Elwirę po pierwszej żonie, z domu Parpart, zabrała matka do Mierzynka. Co się stanie z Piątkowem? Matka nalega na mnie, abym kupił ten majątek wraz z Dylewem w tej cenie co brat, to jest 20 000 talarów tylko, płacąc z początku procenta. Chociaż widziałem, że z trudnością przyjdzie mi z tak zniszczonego majątku wyciągnąć owe procenta, ale widząc, że inaczej być nie może i że to przecież gniazdo rodzinne, które nie godzi się w obce ręce puścić, przystałem i tak z dwoma szwagrami Rutkowskim i Wilczewskim wraz z matką i opiekunem dzieci stanął kontrakt sądowy w Chełmnie, gdzie jeszcze matka wyrachowała, że musiałem tysiąc talarów więcej dać, żeby dla reszty rodzeństwa po 5000 talarów wypadło.

Aby podnieść gospodarstwo w Piątkowie i całkowicie jemu się oddać, trzeba było zadzierżawić Karczewo za 600 talarów Euzebiemu Łyskowskiemu i cokolwiek pieniędzy dostać jako kaucją. Po trzeci raz więc przyszło mi objąć gospodarstwo zaniedbane z lichym inwentarzem i lichymi budynkami, a co najgorsza, że rola odwiecznym trzypołowym gospodarstwem przy zupełnym braku łąk, bo tylko z bagien sprzątano siano bez wartości, zupełnie wyjałowioną była. Role same przez się niewiele warte, bo się składały po większej części z gór czerwonych, na których jeżyny dzikie bujały, a

po dołach z białuchy, na których koszcza rosła, reszta piaski i nieużytki. Do tego ludność wiejska biedna, niechętna do pracy i tylko kradzieżą zajęta. Położenie moje musiało być zatem bardzo krytyczne, ale nie upadałem na duchu i wziąłem się gorliwie do pracy.

Pierwszem mojem zajęciem było podnieść lud wiejski do bytu lepszego, a tem samym wzniecić moralność i zyskać przychylność.

Jeszcze w szkołach będąc, czytałem *Pana Podstolego*¹ Krasieckiego, który tak młody mój umysł pięknym opisem dobrego pana dla swoich ludzi i jakie stąd miał korzyści, zajął, że już wtenczas marzyłem o tem, aby kiedyś takim Podstolim zostać, a teraz przypominając sobie, com wtenczas wyczytał, starałem się urzeczywistnić to wszystko. Proszę was zatem młodzi gospodarze, bo starzy mnie nie usłuchają — przeczytajcie *Pana Podstolego*, a pewny jestem, że was lepiej przekona do naśladowania go, jak ja, ponieważ prześladowany później przez Niemców, musiałem im się opędnąć i nie miałem tej swobody, jaka jest potrzebna do wykonania najlepszych chęci.

Zacząłem od tego, że wszystkie długi, w których po uszy siedzieli ludzie moi i dla których przykuci byli do miejsca, im darowałem. Było bowiem formalnym systemem ówczesnych panów, żeby biedny ten lud w zadłużeniu trzymać, aby zapobiec ciągłym przeprowadzkom. Ja zaś przyjąłem inny system, bo starałem się tak położenie ich poprawić, żeby im najlepiej było zostać na miejscu, a jedyna kara za złe prowadzenie się było wydalenie ze wsi, żeby drugich nie zarażali. Nie podobało się to moje postępowanie, po większej części, innym obywatelom i nie chcieli wierzyć, że mnie nie kradną, a kiedym młodego sąsiada chciał nakłonić, aby mój system przyjął i wydalil takiego, co kradnie, odpowiedział mi: „Wolę starego złodzieja, który już w dobrym jest bycie, jak biednego, bo wszyscy są złodziejami”.

Niemcy, których z brandenburskich i pomorskich piasków już wtenczas *Drang nach dem Osten* napchał niemało na nasze polskie ziemie, przyznali, że tanio można majątki nabyć i ziemia urodzajna, ale cóż, kiedy lud polski do niczego, z którym do ładu przyjść nie można. Rozgłosili zatem, że trzeba sprowadzić ludzi pracowitych z głębi Niemiec, z którymi dopiero z Polski da się zrobić prawdziwe Eldorado. Zbierali zatem podpisy, wiele kto familij z Eichsfeldu² pragnie mieć. Cisnęło się wszystko do zapisywania po kilkanaście, nawet kilkadziesiąt familij. Ja wtenczas w Karcze-

wie gospodarowałem, a że do takiego pustkowia, jakim na początku było, trudno było dostać ludzi, dałem się złudzić i także cztery familie zapisałem. Dostają wkrótce listę w drodze do mnie będących familij, pomiędzy niemi jedna, której nazwisko było Schmerbauch, po polsku Pasibrzuch. Tak się tego nazwiska zląkłem, że jakiś Niemiec naparłszy się mnie o cały transport, wszystkich chętnie mu ustąpiłem.

Pokazało się, że wszyscy, którzy ich sprowadzili płacąc po 50 talarów za fimią, drugie 50 talarów dali, żeby się ich pozbyć.

Przyznać muszę, że trudność miałem wielką w pierwszych latach przy tak nędznych dochodach pomyśleć o polepszeniu bytu moich mieszkańców, kiedy sam najskromniejsze życie pędzić musiałem, ale starałem się, jak mogłem pracę ich wynagrodzić, a tej pracy było dosyć, osuszając bagna przez bicie rowów, następnie wycinaniem kęp i paleniem tychże w urodzajne ziemie przemieniając. Co do roli, nie mogłem tak prędko spodziewać się lepszych urodzajów, kiedy nie miałem czasu paść inwentarza, a cały sekret gospodarski, który tu w Galicji mało ma zwolenników, jak się przekonałem, zależy na tęgim paszeniu inwentarza.

W owym czasie brak był wielki dobrych urzędników gospodarczych i dlatego często, prawie co rok zmieniać ich musiałem. Jednemu jednak z nich winien jestem, że owies doskonały na wyjąłwionych gruntach mi się obradzać zaczął, bo kiedy twierdziłem, że lepiej go wcale nie siać, a przynajmniej rola odłogiem leżąc jakiś paśnik dla owiec odda, po czym żyta lepszego można się spodziewać, on koniecznie się upierał, żeby go siać, tylko bardzo głęboko pod skibę, bo go tak siewał, służąc poprzednio u Niemca. Przystałem nareszcie na to i z wielkim moim zdziwieniem doskonały owies i to bez wszelkiego chwastu się okazał. Później ciągle się tego sposobu trzymałem i zawsze z dobrym skutkiem. Wiadomo bowiem, że największym nieprzyjacielem owsa są chwasty, a mianowicie łopucha, która najczęściej rosnący owies zagłusza, a przez głębokie przyoranie ziarna, zasiew chwastu głęboko przyorany na wierzch dostać się nie może, kiedy owies przez silne bronowanie ostrymi żelaznymi bronami wszędzie niezawodnie. Prócz tego głęboko przyorany owies łatwiej posuchę zniesie, bo z zimowej wilgoci w głębi się znajdującej dostaje swoje pożywienie. Na jednym ze zgromadzeń rolniczych w Wielkopolsce rzucona była kwestia, dlaczego owies się nie obradza i w protokóle posiedzenia pisma rolniczego żądanie wyjaśnienia umieszczono-

ne zostało. Podałem mój sposób, jakiego z dobrym skutkiem się trzymam, ale wątpię, czy mnie usłuchano, bo panowie Wielkopoleanie wówczas bardzo liche wyobrażenie o nas w Prusach Zachodnich pod każdym względem mieli, które dziś Bogu dzięki się zmieniło.

Mnie ten obradzający się owies na Piątkowie i Dylewie wielce wspierał, bo chociaż nie było go na sprzedanie, to za to samym owsem konie pasąc, żyto wszystko szło na sprzedaż. Kilku obywateli z Ziemi Chełmińskiej, których majątki w pięknej są ziemi, ale którym zawsze owies bardzo liche, bo zwykle łopuchą zagłuszony się rodził, widząc moje owsy piękne na licznych gruntach, dowiadują się, jak go sieje, ale źle poinformowani, bo nie wierząc, że można owies pod skibę głęboko przyorać, siali go jak zwykle miałko, a potem, kiedy owies wschodził, żelaznymi bronami tego zbronowali tak, że zamiast owsa sama dzika wyczka wyrosła. Narzekali za to na mnie, ale nie moja była wina.

Rozdział VI

OD PIERWSZEGO OŻENIENIA DO DRUGIEGO, OD ROKU 1836 DO 1840

Treść: Myśląc o żonie restauruję dwór. — Zenię się z Izabelą Czapską. — Nasze wizyty u cioci w Pułkowie. — Krótkie szczęście, bo i córeczka, i żona umierają. — Moje dalsze gospodarstwo, podniesione przez olearnią. — Jakie stąd korzyści. — Urodzaje coraz lepsze. — Zakład wygrany. — Kupuję trzysta morgów od kolonistów niemieckich i przyłączam do Piątkowa. — Zaręczyny z panną Leonardą Wybicką. — Reinerz i kuracja wodna w Kunzendorf.

Majątkowe moje interesa chociaż nie były kwitnące, czas był jednak wielki, bo roczek trzydziesty szósty nadszedł, pomyśleć o żonie. W Prusach Zachodnich było bardzo trudno o posażną pannę, a jednak byłaby się zdała, żeby jako tako dom prowadzić, równający się innym. Matka wyganiała mnie do Księstwa, gdzie bogate dwie kuzynki były na wydaniu, ale że słyszałem, iż bardzo bogate, to mnie odstręczało, bo nie wiedziałem czy ładne, a tylko dla majątku się zenić, nie widziałem w tem szczęścia. Pytam zatem przybywających z Księstwa, czy ładne panny Sulerzyskie? Odpowiadają, że młodsza ładniejsza, ale radzą jechać koniecznie, bo ojciec tylko za dobrego gospodarza chce wydać, a za takiego już i w Księstwie uchodzę. To zaczekam aż starsza wyjdzie, bo jeżeli teraz pojedę, to ojciec nie pozwoli wybierać, tylko, staropolskim zwyczajem, będę musiał wziąć starszą. Tymczasem dowiaduję się niezadługo, że ojczulka oszukano i młodsza już zamężna. Odeszła mi ochota jechać do starszej, a więc trzeba się obejrzeć po sąsiedztwach, podług starego przysłowia: „daleko kraść, a blisko się zenić”.

Wróciła właśnie z pensji z Warszawy panna Izabella Czapska¹, a ponieważ mówiono, że ładna i dobra, bo bardzo się bałem złej żony, żeby mi nie poszło jak dziadkowi, mając

tęą czwórkę wałę do Sumowa. Konkury poszły wybornie i niezadługo przywożę kochaną żonę do Piątkowa.

Muszę tu wszakże wspomnieć o restauracji dworu dla młodej żony. Jeszcze mój ojciec przystawił w kłamrę do dworu w pruski mur ogromną oficynę, do której przeniosła się ze dworu kuchnia, szkoła dla dzieci i pokój dla gości tak, że cały budynek dość imponującego kształtu nabrał.

Nabywszy Piątkowo, ponieważ ta dość nowa oficyna dla błędów architektonicznych na wszystkie strony się wywracała, kazałem ją rozebrać i z cegły stąd wydobytej wystawić piękną, małą oficynę, gdzie się pomieściła kuchnia, czeladnia izba, pokój dla gospodyni i spiżarnia, dach pod dachówką. Pierwszy to był budynek z czerwonym dachem w Piątkowie, a zatem wieś całą niemało przyozdobił. W starym dworze zaś, gdzie była kuchnia, urządziłem wielki salon z gabinetem, tapetami ściany pokryte, tak że młoda żona dość była kontenta.

Odbywszy dokoła wizyty, ponieważ pani Wysocka w Pułkowie była ciocią mojej żony i kiedym był zaręczony powiadała, jak to będziemy ze sobą żyć, jedziemy powtórnie do kochanej cioci, chociaż jeszcze nie była z rewizytą. Pani Wysocka, dziedziczka Pułkowa i trzymająca swego kapitana krótko, wpada na niego, że on winien, że jeszcze z rewizytą nie byli, bo się zawsze wymawia, że konie przy gorzelni zajęte, ale teraz w pierwszych dniach będziemy w Piątkowie. Tymczasem mija parę tygodni, nie przyjeżdżają. Domyśliłem się, dlaczego pan kapitan ciągle się wymawia, że konie nie mają czasu, bo kiedy dawniej zawsze gadał, że Piątkowo wielki gałgan, że za drogo zapłaciłem, a sam ze swoimi urodzajami się chwalił, przyszło do tego, że w tym roku już lepsze żyta jak on miałem, a na nieszczęście trzeba było polem oziminnym od granicy aż do wsi jechać. Jakże tu wieść żonkę na nieuniknioną burę, która go i tak często spotykała, miał bowiem nadzieję, że przewlecze wizytę, aż szkaradne żyto będzie sprzątnione.

Mówię więc do żony: „Jedźmy po trzeci raz, a zobaczysz, co się z wujaszkiem dziać będzie”. Scena, która nastąpiła, kiedy wchodzimy znienacka do pokoju, warta była pędzla jakiego dobrego artysty, bo już ciocia nie na żarty skoczyła do męża, on ręką perukę poprawia i konceptami się sili zażegnać burzę, ale na próżno — ona oświadcza, że jutro pie szo przyjdzie do Piątkowa, jeżeli mąż koni nie da. Co tu robić w takim kłopotcie, ale każe nazajutrz guwernerowi sia dać na konia i jechać obok powozu, a kiedy żona zawołała:

„A to co, piątkowskie żyto lepsze od naszego?” — guwerner musiał wjechać w żyto i zapewnić, że to tylko przy drodze, że tam dalej liche.

Pierwsze też przywitanie cioci w Piątkowie było, że mam lepsze żyta. Przyczyną tego było, że pułkowskie żyta za gęsto były siane, toteż Wysocki w jesieni mówił, że moje żyta bardzo rzadkie, a jego jak łąka.

Odtąd mieliśmy bardzo miłe sąsiedztwo z Pułkowa, bo chociaż Piątkowo przez przykupna stało się większem i przez ciągle się podnoszącą kulturę lepsze miało urodzaje od Pułkowa, to za to ostatnie, przez dwór murowany nowo wystawiony, z sześcioma ogromnymi filarami, a na wierzchu lew, i innymi bardzo porządnymi budynkami z nową gorzelnią, mitygowało zazdrość sąsiedzką, a związki rodzinne najpiękniejszą harmonią utworzyły.

Inaczej to było za rodziców moich, którzy dla osobliwszych powodów w dozgonnej nieprzyjaźni żyli z poprzednimi dziedzicami. Szczególny to był człowiek pan Orłowski. Uważał siebie za coś wiele większego jak mego ojca, bo najprzód był radcą Towarzystwa Kredytowego, potem chociaż dwór jego bardzo był lichy, w ziemię wlaży, to za to spichlerz o pięttrze z murowanym szczytem od strony traktu, białe i czerwono malowane, imponujący całej okolicy, dalej była tam gorzelnia, chociaż bardzo licha, ale zawsze gorzelnia, dalej dwa młyny wodne, chociaż dla braku wody mało męły, ale zawsze młyny, dalej w lesie kilkaset starych sosien, w których kilkanaście ulów pszczół się znajdowało, przy tem ładne łąki, których Piątkowo nie miało, tak, że Pułkowo słynęło z tego, że ma wszystko, ba, nawet więcej jak przysłowie: że ma łąkę, mąkę, ryby, grzyby. Kiedy więc po kupnie Piątkowa dostał mego ojca na sąsiada, a ożenionego z posażną matką moją, do czego jeszcze Zegartowice przybyły, musiało to szlachcica dumnego z niedawnej swojej wyższości korcić, że ojciec mój z owego lichego Karczewa pochodzący, śmie mu imponować, bo i dwór w Piątkowie nowy i ekwipaż piękny z strzelcem za powozem.

To się pokazało przy pierwszej wizycie, bo Orłowski kazał przynieść trzy butelki wina, reńskie, burgundzkie i szampańskie, chociaż taki zbytek niesłyszany był wówczas i każdego zniewalał pić. Matka byстрыm swym okiem śledząc gesty tak hojnie częstującego gospodarza, uważała sarkastyczny uśmiech mówiący: „Wy tak nie potraficie” i jak powrócili do domu, udało jej się zniewolić powolnego ojca, że po takie same trzy butelki wina posłał dla pokazania są-

siadowi, że i my to samo możemy. Nie przyjął jednak gość, przybywszy z rewizytą kieliszka żadnego wina i wkrótce odjechał.

Zdawało się rodzicom, że wypada po jakimś czasie znowu odwiedzić sąsiada, ale niedługo tam będąc, wchodzi kobieta, do której gospodarz przystępując żwawą z nią po cichu prowadzi rozmowę, a widocznie tyczącą się rodziców, bo baba często na nich spogląda, a potem wychodzi. Rodzice odjeżdżają, gospodarz wyprowadza, a kiedy ojciec chce za matką siadać do powozu, owa baba łapie ojca za poły fraka, mówiąc: „Proszę pana mi zapłacić, co ludzie za wódkę winni”. Odepchnął ojciec kobietę mówiąc: „Przecież wiesz, gdzie mieszkam”, a matka widzi uśmiechającego się sąsiada. Taki afront, widocznie naprzód ułożony, był powodem, że przez kilkanaście lat, aż do śmierci Orłowskiego, rodzice w jawnej z nim żyli nieprzyjaźni.

Szczęśliwe pożycie moje z piękną, aniołem dobroci, żoną, uwieńczone zostało przybyciem na świat ślicznej córeczki, ale niedługo się nią cieszyliśmy, bo na zapalenie mózgu umarła. Wkrótce potem i żona pożegnała się z tym światem po ciężkiej piersiowej chorobie.

Oddanie się gospodarstwu z zapalem, do jakiego zdolny byłem po stracie takiej towarzyszki życia, musiało posłużyć do zwalczania smutnego osamotnienia mojego. A że miałem przekonanie, że tylko przez doskonałe paszenie inwentarza można podnieść gospodarstwo, myślałem nad środkami, jakimi można dojść do tego i znalazłem taki przez urządzenie małej olearni, bo do większej brakło mi funduszu, nie odebrawszy za żoną żadnego posagu.

Stanęła więc olearnia w jesieni, a że nie starczyło pieniędzy na zakupno ziarna olejnego, trzeba było się ograniczyć na tem, co sąsiedni gospodarze znosić będą do wybijania. Ale że miałem bacność, aby byli kontenci z ilości wybitego oleju z korca i nie brałem pieniędzy żadnych tylko kołaczki, nagromadziła mi się znaczna ilość takowych tak, że jak przyszła zima cały inwentarz bydłocy sieczką oblewana rozpuszczonymi kołaczkami, co chłopci kawą nazywali, mógł być karmiony. Przy tem ten był kłopot, czem słać pod bydło tak dobrze paszone, kiedy słoma musiała być wszystka użyta dla owiec. Dla braku bowiem siana, żeby jako tako owce paść, musiałem zboże ozime w czas bardzo brać pod kosę, kiedy jeszcze słoma była zielonawa,

a ziarno w sztygach dojrzewało, przez co owce po wymłocie nie tylko kłosa, ale i prawie całą słomę zjadały tak, że na podściółkę dla bydła nic nie zostawało.

Na tę ściółkę więc posłużyły mi kępy z osuszonych bagien, które, kazawszy powycinać i na gromady przed oborę pozwozić, całą zimę chłopcy toporkami drobno siekali. Toteż wypasły mi się woły i krowy doskonale, tak że gościom wówczas często do mnie zjeżdżającym największą sprawiałem zabawę, kazawszy pięćdziesiąt wołów wypuścić na podwórze, gdzie ich się harcom przyglądaliśmy.

Mając dwadzieścia krów tak karmionych, miałem tę wielką korzyść w gospodarstwie, że czeladź dostawała nabiałem dobrze kraszone jedzenie. Nie mogę wam młodzi gospodarze dosyć zalecić dbałości, ażeby ten lud, tak ciężko pracujący, dostawał dobre jedzenie, przez co i siły, i ochoty do pracy, i przywiązanie do państwa nabierze, a najlepiej to dokażecie przez dostatek krów i dobre ich karmienie. Prócz tego miałem tę wielką korzyść, że po tych lichych, co do gatunku, krowach miałem cieleta, z których, nie żałując im owsa, taka mi się rasa bydła wychowała, że z zagranicznymi, za drogie pieniądze sprowadzonymi, co do pozoru równać się mogła, a co do obfitości mleka o wiele ją przewyższała. Radzę zatem gospodarzom, osobiście takim, co do zbytku pieniędzy nie mają, a podobno takich jest dziś ogromna większość, żeby nie silili się na krzyżowanie ras przez sprowadzenie zagranicznego bydła, które nieraz zawodzi, ale przez obfite i umiejętne karmienie swojskiego, wewnętrzną poprawę rasy starali się osiągnąć, co Niemcy nazywają *Inzucht* ².

Skoro nadeszła wiosna, byłem ciekawy, jak te moje woły w pługach chodzić będą. Kazawszy zatem mocne pługi porobić, wychodzę przyjrzeć się skoro pierwszy raz w pole wyszły. Aż tu widzę esy-floresy poorane. Łapię więc najbliższego parobka i wołam: „A to co za orka!” Ten mi odpowiada ocierając pot z czoła, czym mnie od razu rozbroił: „A po co wielmożny pan każe te bestye tak paść, toż one nas zameczą”. — „To zapuść pług na osiem, dziesięć, dwanaście cali, aż wolno chodzić będą”. Uśmiechnął się parobek, bo zrozumiał, że to jedyny sposób ich poskromienia i skoro wszyscy na osiem cali zapuścili pługi, orka szła wybornie.

Tem sposobem od razu znalazłem sekret zwiększenia urodzajów, bo nie tylko obfitą i doskonałą mierzwą, ale i przez zgłębianie orki musi się takowe osiągnąć. Toteż słusznie mówi wzorowy wówczas gospodarz z Wielkopolski, generał

Chłapowski z Turwi, w jednym z dzieł swoich, że kiedy kto ma cztery folwarki, a każe po jednym calu głębiej orać, to mu piąty przybędzie, to jest dochód jakby z pięciu. Doświadczylem prawdę tego w następnym roku, bo miałem pierwszy raz doskonałą pszenicę.

Kiedy więc tak dochody zaczęły mi się powiększać, mogłem pomyśleć o lepszych dla mieszkańców budynkach, bo stare poczynają się wywracać. Trzeba zatem było zacząć od wystawienia cegielni, a przez nią byłem w stanie co rok parę chałup, a do tego i folwarczny jaki budynek z palonej cegły i pod dachówkę wystawić. A ponieważ od tego zacząłem moje gospodarstwo, że wszystkie drogi dałem poprostować, rozszerzyć i drzewami obsadzić, wkoło dworu świerki i inne drzewa zasadzić, bo to najmniej kosztowało, Piątkowo zaczęło inny pozór przybierać, w miarę jak drzewa wyrastały³.

Tę jednostajność przy pracy gospodarczej przerwał zabawny następujący wypadek. Leopold Paliszewski, dzisiejszy dziedzic Gembic⁴ w Księżstwie, odziedziczył ten majątek po stryju swoim, a że urodzony i wychowany był pomiędzy nami, zaprosił swoich dwóch szwagrów i czterech przyjaciół, pomiędzy którymi i ja byłem, na polowanie do siebie. Zastajemy dużo obywateli poznańskich, z którymi parę dni wesoło się bawimy. Poznańczycy prędzej się rozjechali, a kiedy i na nas przyszedł czas powrotu, wszczyna się dysputa pomiędzy gospodarzem a szwagrami jego, czy można z Torunia do Gembic w jednym dniu, jednymi końmi zajechać. Ci ostatni twierdzą, że można, chociaż jest mil 20, pierwszy zaś proponuje zakład o 300 talarów, że nie można. Ja, leżąc na kanapie robię mustrę moich koni roboczych, a wybrawszy parę dzielnych wstaję, kiedy dysputa bez końca się przedłuża i odzywam się: „A nudziarze szkaradni, toć się załóżcie, albo dajcie pokój gadaniu”. Na to się odzywa gospodarz: „Może ty byś się chciał założyć?” „I owszem, byle niewiele gadać.”

Stanął więc zakład o sumę, która wówczas dziesięć razy więcej znaczyła co dziś. Pożegnaliśmy uprzejmego dotąd gospodarza, któremu widocznie humor psuć się zaczął, jak ojciec jego usłyszawszy o zakładzie powiada, że moja będzie wygrana.

Wróciwszy do domu, postanowiłem czekać zimy, spodziewając się sanny, ale że ta minęła, a sanny nie było, gdy maj nadszedł z ożywczym swoim urokiem, wychodzę pod wieczór w pole przyglądać się bronującym moim fornalkom.



1. Natalis Sulerzyski (ilustracja z książki Z. Grota: *Rok 1863 w zaborze pruskim*. Poznań 1963).



2. Neogotycki dwór w Piątkowie, wzniesiony przez Natalisa Sulerzyskiego ok. 1849 r. (fot. S. Kalembka 1979).

3. Dwór w Piątkowie widziany od tyłu (fot. S. Kalembka 1979).





PAMIĘTNIKI

NATALISA SULERZYSKIEGO,

o. posła ziemi pruskiej na sejm berliński

TOM I.



W KRAKOWIE
WYDAWENIE KUTOWA
1871

4. Natalis Sulerzyski (ilustracja z książki S. Myśluborskiego-Wołowskiego: *Udział Prus w powstaniu styczniowym*. Warszawa 1968). (u góry z lewej)

5. Reprodukacja strony tytułowej I tomu pierwszego wydania *Pamiętników* (ze zbiorów Biblioteki Uniwersytetu w Warszawie). (u góry z prawej)

6. Toruń — Rynek Starego Miasta, Ratusz i ul. Szeroka (wg XIX-wiecznej litografii A. Manna), (ilustracja z książki A. Bukowskiego: *Pomorze Gdańskie w powstaniu styczniowym*. Gdańsk 1964).



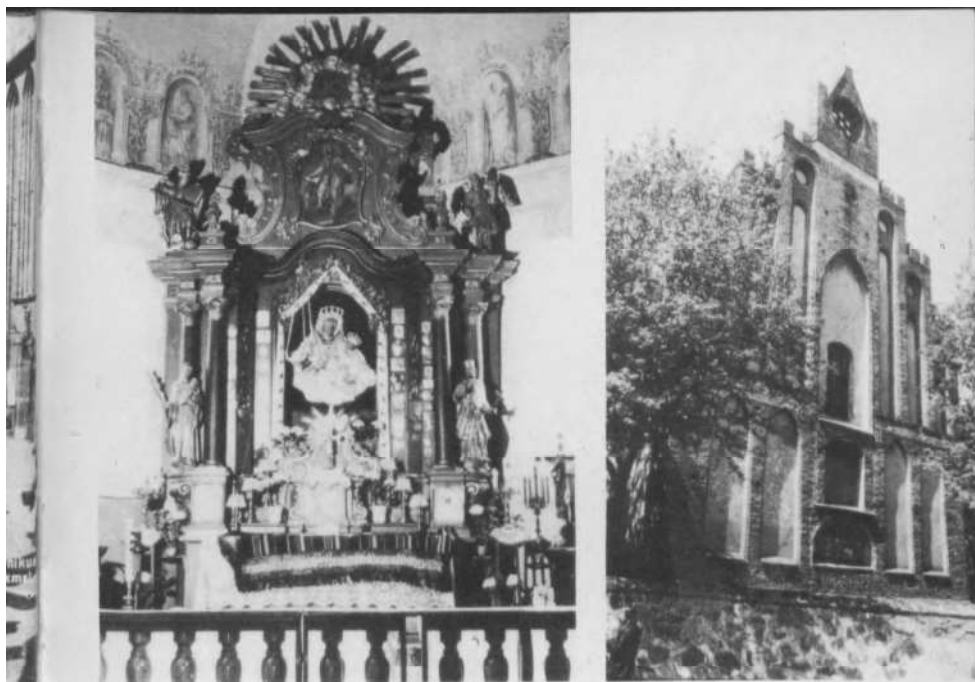


7. Kościół p.w. Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny w Toruniu na początku XX w. (ze zbiorów Instytutu Sztuki PAN w Warszawie). (u góry z lewej)

8. Pomnik Mikołaja Kopernika w Toruniu (ze zbiorów IS PAN w Warszawie). (u góry z prawej)

9. Pałac w Nawrze (ze zbiorów IS PAN w Warszawie).



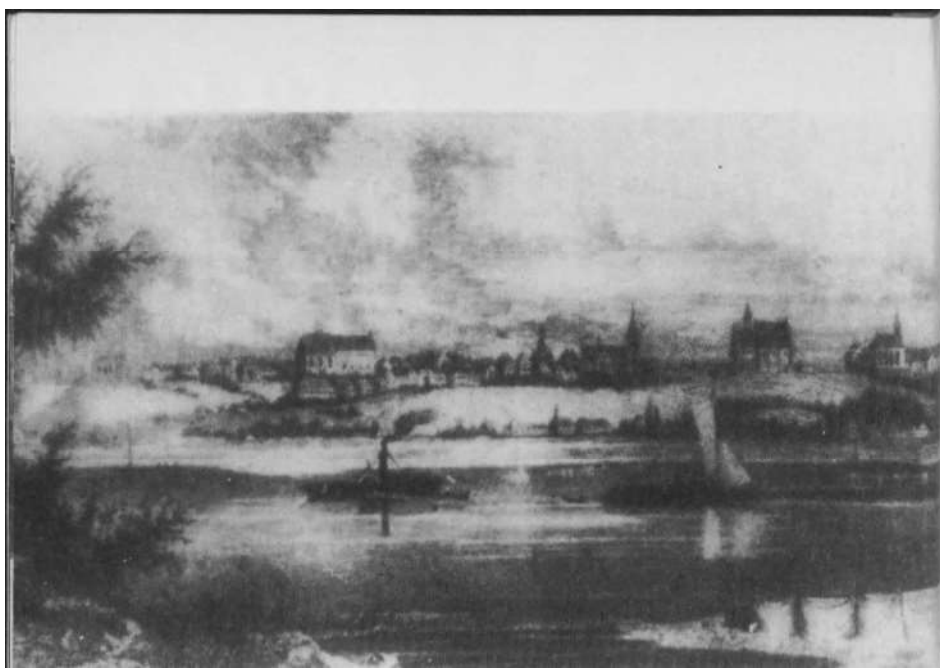


10. Ołtarz główny w kościele parafialnym p.w. Św. Katarzyny w Nawrze (ze zbiorów IS PAN w Warszawie). (u góry z lewej)

11. Kościół parafialny p.w. Św. Mikołaja w Kowalewie (ze zbiorów IS PAN w Warszawie). (u góry z prawej)

12. Wnętrze kościoła parafialnego w Kowalewie (ze zbiorów IS PAN w Warszawie).

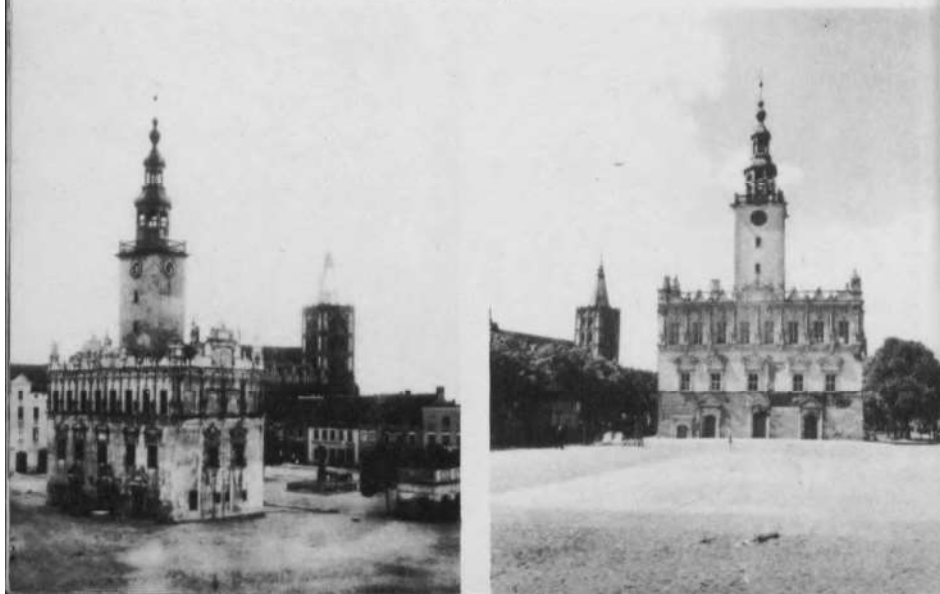


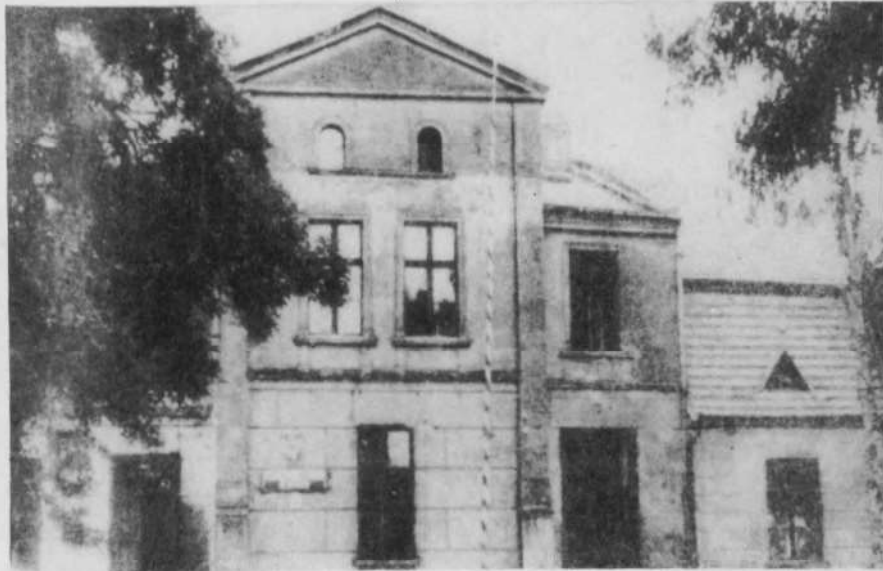


13. Widok ogólny Chełmna z 1864 r. (wg XIX-wiecznego drzeworytu E. Gorazdowskiego), (ilustracja z książki A. Bukowskiego: *Pomorze Gdańskie w powstaniu styczniowym*. Gdańsk 1964).

14. Chełmno — Ratusz w Rynku w 1910 r. (ze zbiorów IS PAN w Warszawie). (u dołu z lewej)

15. Chełmno — Ratusz w Rynku w 1901 r. (ze zbiorów IS PAN w Warszawie). (u dołu z prawej)





16. Dwór w Ryńsku — obecnie szkoła podstawowa (ilustracja z książki S. Myśluborskiego-Wołoskiego: *Udział Prus w powstaniu styczniowym*. Warszawa 1968).

17. Epitafium Jakuba Wilxyckiego w kościele parafialnym w Ryńsku (ze zbiorów IS PAN w Warszawie). (u dołu z lewej)

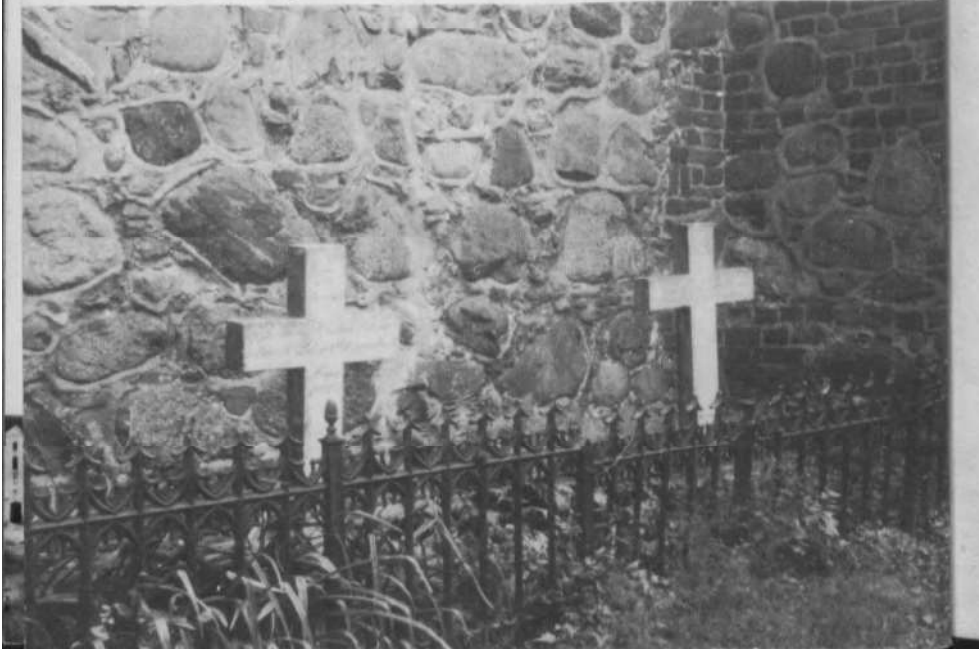
18. Ołtarz główny w kościele parafialnym p.w. Św. Szymona i Judy Tadeusza w Wąbrzeźnie (ze zbiorów IS PAN w Warszawie). (u dołu z prawej)





19. Kościół parafialny p.w. Św. Jana Chrzciciela w Pluskowęsach (fot. S. Kalembka 1979).

20. Marmurowe krzyże nagrobne wystawione przez Natalisa Sulerzyskiego i jego małżonkę na grobie rodzinnym przy kościele parafialnym w Pluskowęsach (fot. S. Kalembka 1979).



Księżyc w pełni świeci, a gdym ujrzał na owe dwa do zakładu wybrane konie, przychodzi mi myśl ruszyć do Gembic. Posyłam zaraz fornała do stajni, sam zaś jadę do Kucharskiego, sąsiada a szwagra Paliszewskiego, z prośbą o pożyczanie bryczki nadzwyczaj lekkiej, żeby mnie sam odprowadził do Torunia i był świadkiem wyjazdu o dwunastej w nocy, bo taki był warunek. Człowieka z końmi wysyłam na zajutrz rano do Torunia z poleceniem, aby wyszedł za most przekonać się, czy wylew rzeki na wiosnę nie popsuł drogi na tamtej stronie. Przybywszy z Kucharskim do Torunia, wyjeżdżam, kiedy zegar ratuszowy dwunastą bije, przez Bramę Mostową. Pytam się woźnicy, czy był na tamtej stronie — odpowiada, że był na moście, ale ludzie mówią, że tam droga dobra. Temczasem wyjechawszy jakie pół mili za mostem, droga się kończy, Wisła wyrwała głęboki parów. Zwracam, bo sam powożę i próbuję, czy jadąc w lewo rzeki nie trafię na drogę prawdziwą. Głębokie trzęsawisko przejechawszy spory kawał nie pozwala mi dalej jechać. Najlepiej było wracać do mostu i tam szukać drogi wyjeżdżonej, ale sądząc, że to by było zbytnią stratą czasu wracam znowu do onego parowu i tam spychając konie na dół wpadamy do rzeki koniom po brzuchy. Jadę nad brzegiem, woda garnie się do bryczki, ale jadę dalej sądząc, że przecież droga znaleźć się musi. Jakoż znajduje się i jadę ostro sądząc, że już złe minęło. Wjeżdżam w kolonie nadwiślańskie, zamieszkałe przez Niemców, tam w opłotkach widzę zamkniętą drogę przez wielkie drzewo wylewem wody wyrócone. Trzeba bryczkę cofać z opłotków i patrzeć, gdzie się obrócić. Z dala przy świetle księżycy widzę dom. Wysyłam zatem człowieka, żeby przyprowadził mieszkańca co by nas wyprowadził z tej matni. Czekam i czekam, a tu zegar toruński bije kwadranse i godziny, które słyhać przez Wisłę. Prowadzi nareszcie Niemca i kiedy doszedł do mnie proszę go, żeby mnie na drogę wyprowadził za dobrym wynagrodzeniem. Ten się pyta, jak ja się tu dostał, bo on jest w oblężeniu. „Nie pytaj się, tylko prowadź, dostaniesz parę talarów.” — „Muszę się przecież ubrać, bo jestem w koszuli.” Idzie niemiłosierny Niemiec powolnym swoim krokiem do domu, czekam, nie widać go, wysyłam towarzysza, żeby go przyprowadził i obaj zginęli w tym domu, a zegar nie pyta się, tylko bije, dalej widzę, że przegrał i będę wyśmiany!

Idą nareszcie i siadają obok mnie. Przewodnik mówi, jeżeli mostek mego sąsiada nie będzie zniesiony, to wygramy, inaczej nie ma rady. Szczęściem, że mostek był i tak wy-

prowadził mnie na drogę, którą jadąc jeszcze z niemalymi trudnościami, bo wody w wielu miejscach drogę popsuły, przybywam nareszcie do miejsca, gdzie się kończą niziny toruńskie i pod górę piaszczystą konie moje parszając różnie kłusują. Dopiero tu była mila ujechana, a skowronki już w górę wylatują — godzina trzecia. Ale kiedy już kończona Wisła i ten nieszczęsny zegar toruński przestali mi dokuczać mówię: „Nasza wygrana, ale trzeba się pilnować”. Toteż pierwszy popas w Łabiszynie, sześć mil od Torunia, a po większej części piaskami. Tu tylko kwadrans popasu, owies z chlebem, bo samego owsa konie żreć nie chciały, a że zgrzane nie były, kazałem napoić. Cugowych koni, choć miałem wtenczas dzielne, nie byłbym ryzykował, bo się prędzej grzeją i sfatygowane żreć zwykle nie chcą, napoić nie można. Jadę dalej, ale tak, że po popasie i przed nowym popasem kawał drogi stępa jechałem. Drugi popas w miasteczku Kcyni, ale już pół godziny. Trzeci w Margoninie, dokąd o czwartej przyjechałem, a że stamtąd tylko cztery mile do Gembic i jeszcze ośm godzin miałem czasu, popas trwał dwie. O szóstej wyjeżdżam, konie idą różnie i parszając mówią mi, że wygrał.

Punkt o dziewiątej wjeżdżam do Gembic; Żydówki, siedząc przed domami, kiedy się pytam, czy pan w domu, wołają: *Da kimmt er, da kimmt, er!*⁵, bo wszyscy wiedzieli o zakładzie. Chcę zajeżdżać przede dwór, brama zamknięta, a mur dokoła. Fagasy od czasu zakładu trzymali w zamknięciu bramę, bo mieli od pana przyobiecane legaty w różnych sumach, podług godności każdego. — „Pewnie tam znajdziesz gdzie dziurę w murze, to przeleź i otwórz”, bo tylko na skobel była zamknięta. Zgadłem, bo w ówczesnych polskich gospodarstwach o dziury nietrudno. Brama otwarta i zajeżdżam przede dwór. Wiedząc, gdzie sypialnia ojca, pukam do okna, bo nikt ze służby się nie pokazuje. — „Kto tam?” „Ja! — „Co za ja?” „Sulerzyski — otóż go masz!” — Wychodzi do mnie szanowny starzec mówiąc: „Leopolda nie ma w domu, toteż wszystko już śpi”. — „Obudzę ja ich!” i wypaliłem z dubeltówki. Dopiero ze wszystkich kątów wypadają, ale widząc, co się święci, nosy na kwintę pospuszczali. Znajduje się i rządcą z latarnią, macają konie — suche i wyglądają tak, jakby jeszcze parę mil miały ochotę lecieć.

Wracając trzeciego dnia do domu, już pod Toruniem łamię mi się oś u bryczki, szczęście, że to z powrotem, boby była niemała przeszkoda.

Kończę na tem opis tego wygranego zakładu, bo i tak, jeżeli te moje hreczkosiejowskie pamiętniki będą tak szczęśliwe, że będą czytane przez naszych szanownych literatów, to ich pewnie ten opis nie lada zniecierpliwiał, jeżeli nie woleli te karty przerzucić. Ależ panowie, raczcie zważyć, że nasz naród przeważnie rolniczy, a konie lubiący od dziadów, pradziadów, to mi darujcie, że ja, stary gospodarz, najwięcej myślę o moich kolegach gospodarzach.

W owym to czasie powiększyłem znacznie granice Piątkowa, skupując, rok po roku, po jednym gospodarstwie przyległej kolonii niemieckiej. Nie byłbym o tem pomyślał, bo gospodarstwo jeszcze tyle nie przynosiło, żeby można odkładać kapitały, a co było nad niezbędne potrzeby i płacenie procentów, obracało się na konieczne budowle i melioracje, ale ci moi sąsiedzi ciągle mnie nachodzili naprzykrzając się mi, żebym kupował od nich, a oni kontentując się zarobkiem, nie przywiązani do miejsca, jak nasi Polacy, gdzie indziej sobie grunta kupowali. Mając zdaje się wrodzoną inklinacją do przykupowania ziemi, osobiście przez Niemców posiadanej, udawało się jednemu po drugim namówić mnie do kupna, lubo to mi dużo kłopotu sprawiało, bo trzeba było gotówką i zaraz płacić. Tym sposobem pomagając sobie kredytem, skupiłem siedmiu gospodarzy niemieckich, między którymi i młynarza z wiatrakiem, razem około trzysta morgów. Wielce mi przyszło w pomoc, że wszyscy mieli wspólne bagno torfowe, ale źle osuszone, które zgłębiwszy znacznie rów kanałem murowanym, osuszyłem zupełnie. To bagno przedtem mało co warte, stało się tym sposobem moim skarbcem, bo rokrocznie nie tylko na potrzebę cegielni, ale i na sprzedaż miałem około tysiąca sążni torfu, którego cena znacznie dla braku okolicznych lasów się podniosła, a własny mój piękny las mogłem oszczędzać.

Tak szczęśliwie operując, nabrałem ochoty do powtórnego ożenienia. Powróciła właśnie z pensji warszawskiej młodsza córka landrata Wybickiego, panna Leonarda, a choć mi czterdziesty roczek się zbliżał, kilku młodych konkurentów odsadziłem. Nie obyło się bez intryg po przyjętej deklaracji, ale że nie tylko u rodziców, ale i u panny, która do pierwszych uczennic na pensji należała, znaczyło wiele, że wówczas byłem jedynym kawalerem akademikiem, utrzymałem się zwycięsko.

Ponieważ ze zdrowiem moim ciągle jeszcze nie bardzo dobrze stało, przyszła mi w porę propozycja szwagra mego, Rutkowskiego Ignacego, ożenionego z kochaną, a teraz jedy-

na siostrą moją Alodią, abym z niemi do wód pojechał. Starsza siostra Leokadia rok tylko żyła z mężem swoim Tadeuszem Wilczewskim i umarła. Jadę więc z niemi do Poznania poradzić się zacnej pamięci doktora Marcinkowskiego, który nie tylko jako lekarz, ale i gorliwy patriota słynąć będzie, póki w Polakach poszanowanie dla zasługi nie zagnie.

Siostrze kazał jechać do Reinerz⁶, a mnie radził jej towarzyszyć, nie uważając widocznej we mnie słabości, bo doskonale wyglądałem, odebrawszy co tylko od kochanego Leopolda Paliszewskiego ów zakład samymi podwójnemi luidorami. Musiał jednak szanowny Marcinkowski się omylić sądząc, że oboje skłonność mamy do suchot, bo do Reinerz tylko na piersiowe słabości wysyłają, a po dwutygodniowym używaniu wody tak zasłabłem, straciwszy zupełnie sen i apetyt, że miejscowy doktor wyznał mi dopiero zadziwienie, że Marcinkowski mnie tu przysłał. Na to oświadczam, że jadę do Graefenberga⁷, głośnego wówczas przez leczenie wodą Prysznicą. On na to: „Kiedyś pan już koniecznie samą wodą czystą się chcesz leczyć, to jedź do Kunzendorf⁸ w Szląsku pruskim, gdzie znakomity doktor Nidenfür taki sam zakład hydropatyczny urządził, a przecie co innego, kiedy będziesz u uczonego doktora, jak u prostego chłopca”. Pomimo to wybierałem się jechać do Graefenberga, ale znajomi moi z Księstwa, którzy co tylko stamtąd wrócili, zapewniali mnie, że tam tak pełno gości, że trudno, aby się dla mnie jaki kącik znalazł, bo nawet poddaszki zapelnione.

Odstraszony w ten sposób jadę do Kunzendorf. Świeży to był zakład, w tym roku dopiero otwarty, ale już było około 60 gości. Zdziwiło mnie bardzo, że nasz doktor mało się nam pokazywał, bo ciągle jeździł leczyć chorych okolicznych starą metodą. Służba tylko zakładu z Graefenberga sprowadzona wzięła mnie w swoje obroty, a kilku z gości, co dawniej byli w Graefenbergu, dodawali rad swoich. Obwijano mnie w mokre prześcieradła, kocami skrępowano, a kiedy się pot lał ze mnie, prowadzono do wanny napełnionej wodą tylko sześć stopni ciepła mającą. Zdawało mi się, że już po mnie, jak mi kazano się zanurzyć, trząsłem się wyszedłszy z wanny, aż zęby szczękały, ale wytarty tego suchymi prześcieradłami, ubrałem się i biegałem po górach, żeby się zagrzać, wypijwszy kilka szklanek wody. Potem śniadanie, mleko z chlebem, którego goście przede mną przybyli w ogromnych porcjach spożywali, później zycbady, fusbady, tusze, a po każdym bieganie po górach. Kilka tygodni takiej używając

kuracji, widocznie przychodziłem do siebie. Z wanny wyszedłem, już nie dreszcz, ale przyjemne ciepło czułem.

Kuracja ta ma to wielkie dobre, że goście ciągle są nią zajęci i że nudów nie ma takich, jak w mineralnych wodach, gdzie wypiwszy te kilka kubków i może kąpiel wzięwszy, cały dzień nie wie się, co począć.

Powiadano mi, że kilka tygodni przede mną przybył tam sławny wówczas lekarz Rust z Berlina, a wysiadłszy z powozu pragnął się naocznie przekonać, czy będąc w potach można nie być paraliżem tknięty, wszedłszy w wannę z zimną wodą. Natychmiast kilku, choć już odbyli tę operację, dla przekonania tak sławnego lekarza ją powtórzyli. Skrzywił się trochę zacny Rust, bo pewnie byłby wolał, żeby który z nich jego teorię był stwierdził i krótko zabawiwszy odjechał.

W naszym zakładzie jeden z młodych gości dostał zapalenie płuc, a dawniej nam powiadał, że przed kilkunastoma latami będąc na to zapalenie w Wiedniu leczony, skrzywienie karku nastąpiło, tak że na to skrzywienie się tu leczył. Widoczne więc było, że na nim sprawdziła się skuteczność hydroterapii, która dawne, źle wyleczone, choroby odnawia i radykalnie je lecząc inne pozostałe cierpienia jednocześnie wyprowadza. Zakład tak szczęśliwą kuracją bogatego młodzieńca byłby niemało zabłysnął, ale nasz doktor przestraszony, że pacjent, zresztą zdrów zupełnie, może umrzeć, pisze do matki, żeby go zabrała. Zajeżdża kareta i matka, pomimo zapewnień kilku dawnych graefenberczyków, że i płuca i kark będą wyleczone, pakuje syna do powozu i wyjeżdża wymyślając na głupią kuracją wodną.

Kiedy się to dzieje, wchodzi doktor do mnie ukontentowany, że się pozbył chorego, z którym nie wie, co z wodą począć. Mając u siebie książkę o hydroterapii, dowodzę mu z niej, że to właśnie byłaby szczęśliwa kuracja, która dawną chorobę odnowiła, ale trzeba wiedzieć, jak wtenczas modyfikować użycie wody, w czym Prysztic tak pewnym był siebie. Dopiero mi się przyznaje, że się na całej tej kuracji nie zna, ale ponieważ to tak blisko Graefenberga, a ludzie tu czynią wstręt mieć do lekarstw, urządził ten zakład, a dopiero w następną zimę chce jechać do Graefenberga, żeby się przyjrzeć i nauczyć jak Prysztic leczy. Wspomniałem sobie doktora z Reinerz, który mi kazał do uczonego jechać lekarza.

Wszyscy, którzyśmy tam byli, chwaliliśmy sobie postęp w zdrowiu, apetyt był ogromny, wspólne dalekie spaceru,

wesołość ogólna, zupełnie co innego jak u wód mineralnych, gdzie każdemu obiecują, że skutek później nastąpi. Pacjenci pokazywali plamy na prześcieradłach, potami z ciała wypędzone, w różnych kolorach, pochodzące z trucizn zażytych.

Widząc to, zdawało mi się, że jak wrócę do domu, to już będzie po aptekach, a znalazłem kilku bardzo porządnych aptekarzy, których mi szczerze żal było. Ale wróciwszy do domu, zastałem apteki w kwitnącym stanie i kwitną dotąd, choć już trzydzieści lat temu. *O sancta simplicitas*!

Pisze następnie Rutkowski z Reinerz, że wracając z żoną bardzo się dobrze mającą do domu, pragnie się pożegnać ze mną w pewnym miejscu. Jadę więc na spotkanie i zastałem siostrę zupełnie zdrową, tak że nawet utyliła, ale że to nie zrobiły wody ani serwatki, tylko kąpiele ciepłe w ostatnim czasie użyte. Oczywiście było, że to nie była piersiowa słabość, tylko hemoroidalne cierpienie, które kąpiele usunęły. Na piersiowe słabości nic Reinerz nie pomagał, bo jednego pacjenta po drugim, kiedy dogorywał, wyprawiano do domu jako wyleczonego, żeby tam nie umarł i reputacji miejscowej nie zaszkodził.

Sześć tygodni bawiąc w Kunzendorf z wielkim skutkiem, powinienem był zostać dłużej, bo dopiero zbawienna kryzys się pokazała przez zjawienie się tak zwanego forunkła na piersiach, przez który wewnętrzne źródło choroby na zewnątrz się wydobywało, ale ponieważ dla spóźnionej pory jesiennej miejscowy lekarz zakład zamykał i goście się wszyscy rozjeżdżali, musiałem i ja wracać do domu.

Przyjechawszy do Torunia spotykam znanego mi, a bardzo poszukiwanego doktora Weese, autora medycznego dzieła w łacińskim języku: *de plica polonica*¹⁰, który się dziwi, jak dobrze wyglądam. „Wodna kuracja to zrobiła — odzywam się — i czemuż to prosty chłop ma tę zasługę, że ją dla dobra ludzkości wynalazł.” On na to: „Wszak to stara rzecz, już Hipokrates i Galenus zalecali przede wszystkim wodę”. „A czemużcie ją zarzucili i tylko herbatkami leczycie chorych.”

Doświadczyłem ja tej metody mieszkając w Karczewie, bo zapadłszy na febrę gorączkową, doktor prócz jakiegoś lekarstwa, tylko ciepłą herbatę kazał mi pić. Gorączka się wzmaga, fantazje po głowie się kręcą, żądam zimnej wody, ale gospodyni przekonana, że to mnie zabije, nie chce mi dać, dopiero kiedy pięścią w stół uderzając powtarzam żądanie, stawia mi cały dzbanek mówiąc z równą złością: „To się

pan zabij" — i trzasnęła drzwiami. Piję chciwie ów zabójczy trunek i wypróżniam cały dzbanek. Nazajutrz wstałem i pijąc ciągle wodę wyzdrowiałem zupełnie.

Wróciwszy do domu, pierwszy wyjazd naturalnie do Świerczyn do narzeczonej, pokazać jej się w lepszym zdrowiu, a przez to o parę lat młodszym. Landrat Wybicki piękne swoje dobra konojadzkie sprzedawszy Meklenburczykowi, skupował następnie zniszczone majątki, a między niemi osiadł w Świerczynach. Ludzie mówili, że dobry interes zrobił, bo został się kapitał gotowy dla synów i córek. Z pierwszej żony był jeden syn Tomasz, ale ożeniwszy się, mając już sześćdziesiąt lat, z wdową Barbarą Kczewską z domu Sumińską, przybył drugi syn Władysław. Starsza córka Ludwika poprzednio już była poszła za Konstantego Jezierskiego, dziedzica dóbr Komorowa.

Rozdział VII

OD DRUGIEGO OŻENIENIA DO PIERWSZEJ KOZY, 1840—1846

Treść: Niemcy kupują majątki, wycinają lasy. — Zaprowadzam płodozmian. — Hennig z Dębowej Łąki i jego synowie. — Flotwel w Poznańskim. — Bal w Grudziądzu, potem bale w Wąbrzeźnie. — Kupuję Komorowo. — Zadzierżawiam Niemcowi, Karczewo także. — Brak urzędników polskich gospodarczych. — Próbuję z Niemcami, ale nie chcą słuchać. — Biorę młodego osiemnastoletniego Polaka, który mi dobrze gospodaruje. — Szware słynny gospodarz. — Lauterbach landratem w brodnickim powiecie. — Szpiegi moskiewskie ukarane. — Mierostawski organizuje powstanie w Poznańskim. — Śmierć najstarszego syna. — Chorego zawożą do Grudziądza.

W roku tedy 1840 ożeniłem się, dzieci moje, z waszą matką.

Przykład teścia mego przez sprzedanie majątku swego, znalazł wnet naśladowców. Meklenburczyk Freudenfeld kupiłszy konojadzką, majątność za bajecznie niską cenę — bo 105 000 talarów — dziś przynajmniej pięć razy tyle wartąca, sprowadził wkrótce kuzynów swoich¹, którzy po równie niskich cenach kupili majątki w polskich rękach będące: Wondzyn, Chojno, Ostrowic, Chełmonie. Ponieważ Niemcy w powiatach toruńskim, chełmińskim i grudziądzkim już w posiadaniu byli najpiękniejszych majątków i to w urodzajnej Ziemi Chełmińskiej, zaczęli się rzucać na majątki mniej urodzajne Ziemi Michałowskiej², to jest powiatów brodnickiego i lubawskiego, ale posiadające za to lasy dobrze zachowane.

Polacy, mając wrodzone a szlachetne zamiłowanie do lasów, woleli sprzedać majątki potrzebując pieniędzy, jak ściągnąć na siebie zarzut, że lasy zniszczyli. Niemieccy spe-

kulanci zaś, którzy ze wszystkich części Niemiec się do nas ściągali, zaczęli gospodarstwo w nabytych majątkach od sprzedaży lasu, tak że po większej części tym sposobem cenę kupna zapłacili. Nie tylko u nas, ale i w Księstwie to samo się działo.

Prócz tego mieli inny sposób zaprowadzenia kultury niemieckiej u nas, bo zastawszy po większej części liche budynki, wysoko je asekurowali, a kiedy się przypadkiem spaliły, komisja przybyła na miejsce, znalazła już drzewo przygotowane do nowych budynków, tak że w krótkim czasie stanąć mogły bez szkody dla gospodarstwa.

Przybysze ci, ponieważ się czuli jeszcze w mniejszości, byli dla nas nadzwyczaj grzeczni i prawili nam, jak przez wielopolowe i płodozmienne gospodarstwa można podnieść urodzajność ziemi, a przeto powiększyć dochody. Byli zatem od nas jakby dobrodzieje nasi uważani. Ja sam lubiłem jeździć do nich i dysputować, a że od razu trzypolowe gospodarstwa przemieniali, że znaczne straty ponosili, ponieważ na kilkanaście pól podzieliwszy, a rzędem od pierwszego do ostatniego numeru poznańczywszy wypadło im tak, że żyto po życie, albo owies po owsie następował. Na moją uwagę, że podług zasad gospodarczych jest szkodliwym, liściaste bowiem zboże po słomiatych następować powinno, przyznawali mi, że przejście zawsze ze stratami połączone, ale na to nie ma rady. Znalazłem jednak u siebie sposób bardzo prosty, żeby uniknąć strat w urodzaju, bo numery pól tak podzieliłem, że jedno i to samo zboże po sobie nie następowało i tak pierwszy z obywateli polskich urządziłem płodozmienne gospodarstwo bez żadnych strat. Nie kosztował mnie nawet konduktor do pomiaru, bo sam trzech pól na dziewięć przemieniłem, trzymając się głównie naturalnych odgraniczeń, przez rowy i drogi nie dbając o to, że tam jedno pole o kilka morgów większe albo mniejsze od drugiego. Później, przykupując przyległe grunta musiałem kilka razy zmieniać pola na dziesięć i więcej pól, ale zawsze bez miernika, na oko je dzieląc, nigdy bym się nie był zgodził na jego linie proste, jakie gdzie indziej widziałem.

Meklenburczycy, którzy dużo majątków, a mianowicie wynim je obsiewali, margłem nawozili, co i koszt wielki za żej przeze mnie wymienione, kupili, wszystkie pola wpróż sobą pociągało i dużo odłogiem zostawiać musieli, nim nawieźć podolali. Wszyscy zaś, tak jak u siebie w Meklenburgu, na siedem pól robili podziały.

Najsłynniejszym w owym czasie na całe Prusy Zachodnie

majątkiem była Dębowa Łąka, własność adwokata Henniga, ojca znanego dziś polakożercy na sejmie berlińskim. Mieszkał w Kwidzynie, skąd komenderował gospodarstwem listownie. Przybywszy na wieś zapraszał mnie do siebie i musiałem z nim objeżdżać folwarki. Szanowany wówczas powszechnie zostawił dwóm synom swoim majątek, którym się należy zasługa, iż stanąwszy na czele coraz więcej napływających Niemców, podburzyli ich do opozycji przeciw Polakom, a przez to udało im się rozbrat zupełny zrobić, przez który zniewoloni zostaliśmy do naszego polskiego: „Nie dajmy się!”

Z wzrastającym napływem Niemców i rząd pokazywał się coraz nieprzychylniejszym Polakom. Flottwel ze szkoły owego Schöna, który germanizacją naszej prowincji już był znacznie naprzód posunął, przysłany został do Kwidzyna i tyle tylko o nim słychać było, że jest nieprzyjacielem Polaków. Krótko u nas zabawiwszy przeniósł się do Poznania. Ponieważ tam ogłosił, że Księstwo w pięciu latach musi być zgermanizowane, przybyło do nas kilku obywateli wielkopolskich, przedstawiając niebezpieczeństwo, jakie nam grozi i które tylko można usunąć, przede wszystkim zerwaniem przyjaznych stosunków z Niemcami. Pierwszym objawem tego zerwania mają być zabawy tańczące czysto polskie. Podobano się to u nas wszystkim i na ogólne życzenie wezwałem wkrótce do Grudziądza na bal polski. Zjazd ten wypadł świetnie, ale niemało Niemców nastraszył tak, że fortecy garnizon całą noc pod bronią stał. Zjechało także i z Księstwa kilku miłych gości, którzy nie tylko tę zabawę bytnością swoją podnieśli, ale i stosunki nasze z Księstwem, dotąd prawie nie znane, coraz szerszym węzłem połączyli.

Przytoczyć tu muszę, że jeszcze w roku 1836 w Nawrze trzy baliki polskie były pierwsze, gdzie się bez Niemców obyło i na których mieliśmy także gości z Księstwa i Królestwa. Gospodarzem i promotorem tych wielce przyjemnych zabaw był szanowny Karol Kalkstein z Pluskowęs.

Tak to, zapowiedziane z dumą krzyżacką, tendencje germanizacyjne przeciwny zupełnie skutek wywarły i zaczęły rozbudzać prowincją dotąd obojętną dla sprawy narodowej, ale to dopiero w wyższych sferach. Lud nasz, któremu rząd pochlebiał, wiele później się pomiarkował i powoli do tej jedności doszedł, w której go dziś widzimy.

Po balu grudziądzkim obraliśmy sobie miasteczko Wąbrzeźno jako środkowy punkt pomiędzy Ziemią Chełmińską

i Michałowską na przyszłe baliki nasze i na nich byłem zaszczycony przez współobywateli na gospodarza. Te nasze towarzyskie zabawy, które zawsze w najlepszej harmonii się odbywały, dużo się przyczyniały do połączenia wszystkich rodzin polskich serdecznym węzłem przyjaźni, ale najglówniejszą potrzebą było nie dopuszczać, aby majątki polskie w niemieckie ręce nie przechodziły.

Toteż kiedy mój szwagier Konstanty Jezierski zmuszony był sprzedać Komorowo⁶, żeby spłacić rodzeństwo, a Niemcy się kręcili jak kruki koło trupa, namawiałem szwagier mego Tadeusza Wilczewskiego, aby kupił, bo sprzedawczy dawniej Wondzyn, chciał co innego nabyć. W tym celu zaprosiłem obojgu wraz z rodzicami żony do Piątkowa, ażeby przy obchodzie imienin teścia doprowadzić to kupno do skutku. Ale daremne były wszelkie usiłowania: „To muszę Niemcowi sprzedać” mówi Jezierski i chce wyjeżdżać do niego. Tak mnie tym zelektryzował, że powiadam: „Ja na to nie pozwalam” i wyrwało mi się: „Bo ja kupię”. Sądziłem, że zazdrością doprowadzę mego kochanego szwagra do tego, żeby kupił, bo się tylko o 1000 talarów rozchodziło, ale Jezierski bierze na serio, tamtego to nie porusza, i mówi do mnie: „Trzymam cię za słowo, żono sprzedałem Sulerzyskiemu Komorowo”. Ta mnie ściska, ale wyrrywam się z czułych objęć mówiąc: „Za co kupię, kiedy nie mam pieniędzy?” Wtem przyjeżdżają sąsiedzi i słysząc co się dzieje, już namawiać, żebym kupił, bo umiem sobie poradzić.

Przystaję więc na kupno za 41 000 talarów mając w domu tylko 3000 za sprzedaną pszenicę. Będąc jednak przekonany, że dobra ciągle podnosić się będą w cenie i żeby ochronić się od zarzutu rodziny sprzedającego, że za tanio kupiłem, ofiaruję dla każdej z trzech córek, wtenczas jeszcze małych, po 1000 talarów na wyprawę ślubną.

Biorę więc w zarząd nowo nabyty majątek, cztery tysiące morgów mający, ale ponieważ był sześć mil odległym, staram się o dzierżawcę, żeby sobie przez kaucję i jednoroczną dzierżawę z góry ułatwić wypłatę kapitału. Nie wiedziałem wtenczas jeszcze, ile posagu za żoną dostanę, kupno Komorowa zniewoliło teścia przyjść mi w pomoc kapitałem po matce dzieciom się należącym, tak że zaciągnąwszy nową pożyczkę z Towarzystwa Kredytowego zebrałem tyle, że spłaciłem cały kapitał.

Ponieważ nie tu koniec już nabywania majątków, muszę nadmienić, że takie upodobanie w tym znajdowałem, iż przez to zmuszony do nader skromnego życia, do chronie-

nia się od wszelkich wydatków zbytecznych dla siebie, żony i dzieci, którymi Pan Bóg mnie obdarzył, wszelkie dochody tylko na wypłatę kupionych majątków obracałem, a szczerze mi w tem pomagała śp. żona moja, a matka waza, nie tylko przez gospodarność, ale i przez skromność co do stroju młodej kobiety, tak że się nieraz gniewała kiedyś jej jaki stroik z miasta przywiózł.

Zmuszony jestem w te szczegóły się wdawać, jakim sposobem skupowałem majątki, żeby okazać niegodziwość tych, co dziś głoszą, że nie Niemcy późniejszym prześladowaniem mnie zniszczyli, ale że własna lekkomyślność mnie zgubiła, bo: „Kupowałem majątki bez pieniędzy, a potem mi je odbierano”. Szanowny obywatel krakowski, wróciwszy z Torunia, powiadał mi, że tam tak o mnie mówiono. Dziwna to zaiste protekcja Niemców i to przez Polaków, co mają pretensję być patriotami!

Na próżno starałem się o dzierżawcę Polaka, bo trudno było wtenczas u nas o takiego, który by umiał gospodarować, żeby wyjść dobrze na dzierżawie, zmuszony byłem zadzierżawić Niemcowi, zwłaszcza że wówczas nie było tej nienawiści wywołanej przez systematyczne germanizacyjne zachcianki, bo tylko ze strony rządu zaczynały wychodzić, a niemieccy współobywatele nasi, czując się wtenczas jeszcze w mniejszości, głośno niechęć swoją przeciw takiemu postępowaniu rządu okazywali, które im towarzyskie stosunki z nami psuło i utrudniało nabywanie nowych majątków.

Zadzierżawiłem więc Niemcowi komorowski majątek na osiemnaście lat, aby tak jak w swoim majątku gospodarował, za 3000 talarów rocznie.

Spanoszył się dzierżawca wkrótce, ale zamiast wdzięczności za korzystne dla niego warunki kontraktu, musiałem się z nim później procesować.

Dzierżawa sześcioletnia Karczewa już dawniej by wyszła, a że dzierżawca Polak narzekał, iż stracił, chociaż z tysiąca pięćset morgów tylko 600 talarów płacił, a zatem mniej jak pół talara z morga, musiałem znowu Niemcowi zadzierżawić, który 800 talarów rocznie płacąc na dwanaście lat kontrakt zawarł. Postawiłem mu warunek, żeby wszedł w płodozmian, który u siebie już z dobrym skutkiem zaprowadziłem. I ten zubożył się na mojej dzierżawie, ale głównie przez to, że go zmusił do płodozmianu zagrożeniem zerwania kontraktu, bo pierwsze trzy lata gospodarował po dawnemu w trzy pola i narzekał na wysokość dzierżawy, potem dopiero miewał

urodza, że był w stanie kupić majątek w moim sąsiedztwie.

Namawiałem i poprzedniego dzierżawcę Polaka, narzekającego na wysokość dzierżawy, by jakąś część jarzynnego pola obsiawszy białą koniczyną zostawił na paśnik, przez co i inwentarz będzie miał lepszy i lepsze następne urodzaje, obiecywał mi też, że zrobi, ale do sąsiadów się chwalił, że kiedy ja go namawiam do zostawienia odłogiem roli, on nie głupi, żeby mi wzmocnione role oddał, ale jak cytrynę będzie je wyciskał.

Przyczyną, dlaczego sam nie gospodarowałem w Komorowie i Karczewie, był brak ówczesny ludzi do gospodarstwa zdatnych, którym by można powierzyć samoistne rządy, a że Piątkowo wymagało ogromnej, wieloletniej pracy, żeby je do kultury doprowadzić, dawniejsze nieużytki na urodzajne ziemie zamienić, wolałem przykrości z dzierżawcami znosić, a żeby tylko całkiem się oddać podniesieniu się Piątkowa. Nie mogąc Polaków znaleźć do gospodarstwa zdatnych, próbowałem z niemieckimi inspektorami, i tak dwóch po sobie zgodziłem, ale przekonałem się, że z nimi wcale nie szło, bo tak uprzedzeni o sobie byli, że nie chcieli się zastosować do mojego sposobu gospodarowania i w ogóle dyspozycje moje wykonywać, uważając, że to uwłacza ich godności. Musiałem się więc wrócić do Polaków, wyrzekając się na zawsze niemieckich inspektorów, ale że wielka była trudność znaleźć dogodnego człowieka, wziąłem prosto ze szkoły chełmińskiej⁴ młodego, osiemnastoletniego chłopca, Jakuba Podczaskiego, którego byłem opiekunem. Uważając w nim zamiłowanie do gospodarstwa, bo ilekroć na wakacje do mnie przyjeżdżał więcej w stajniach i oborach lubił się zabawiać, jak we dworze, zapytałem go, czy by nie chciał być moim inspektorem. Sądząc, że z niego żartuję, ośmieliłem go tem, że więcej od niego nie żądam, tylko żeby ściśle wykonywał moje dyspozycje. Toteż miałem z niego zastępcę, który przez kilka lat pierwszy potrafił mi dogodzić i znacznie mi do podniesienia gospodarstwa dopomógł. Trzyletnia służba wojskowa zmusiła go opuścić Piątkowo.

W owym czasie głośnym gospodarzem pomiędzy Niemcami był Szwarz w Münsterwaldzie* pod Kwidzynie, dzisiejszy dziedzic Jordanowa w Księstwie Poznańskim. Zjeżdżali się do niego z dalekich stron niemieccy gospodarze, bo on pierwszy zaprowadził w naszej okolicy siew rzepaku, przez co szczególnie niemieckich kolonistów w tłustych gruntach nadwiślańskich z bogacił.

Z Polaków odwiedził go generał Chłapowski z Turwi, ale z tej wizyty pokazało się, że i Polacy umieją gospodarować, bo sam Szware Niemcom powiadał, że był u niego Polak, od którego oni uczyć się powinni.

W moim powiecie nastąpił wówczas wybór landrata, ponieważ teść mój, Wybicki, który jeszcze za Księstwa Warszawskiego był podprefektem powiatu brodnickiego a potem dotąd landratem pruskim, a zatem trzydzieści trzy lat na tym urzędzie, podziękował z dalszego urzędowania, widząc nieufność rządu do Polaka jako naczelnika powiatu. Jako kandydat wystąpił burmistrz miasta Chełmna, Lauterbach, którego z uniwersytetu lipskiego znałem, prawda, że nie uczęszczającego na kolegia, ale bardzo wystawne burszowskie życie pędzącego. Ponieważ wtenczas obywatele wybierali, prosił mnie, abym się przyczynił do jego wyboru, przyrzekając mi wdzięczność i przychyłność dla polskich obywateli. Pomimo więc, że zięć ówczesnego prezydenta rządu w Kwidzynie był drugim kandydatem, udało mi się większość głosów na stronę Lauterbacha uzyskać i to z łatwością, ponieważ wtenczas jeszcze przeważali w powiecie polscy obywatele.

Wkrótce potem okazała się sposobność dla nowego landrata dowiedzenia mi swojej życzliwości. Zjawił się bowiem u mnie gość, który się przedstawił jako Zawisza Czarny, bardzo jasny blondyn z okularami na nosie. Pytałem go, czy czasem nie Zawisza Biały, kiedy tak jasne ma włosy, ale on przy czarnym pozostał prosząc mnie o posłańca z listem do kuzyna Alfreda, dziedzica Warszewic. Opowiadał, że przybywa prosto z więzienia poznańskiego, do którego z Adolfem Malczewskim się dostał, że u niego razem kule lali i naboje do przyszłego powstania robili. Ale na nieszczęście w nocy żandarmi otoczyli dom i znalazłszy pod podłogą ukryte naboje, zabrali obydwóch do Poznania. On zdołał uciec, ale Malczewski został. Nic to jednak nie szkodzi, bo powstanie ogólne nastąpić musi.

Awanturnicze te jego gadania bardzo mi się podejrzane zdawały, tem bardziej, że kiedyś zauważył, że okulary go zenują, on je porzucił, mówiąc, że bez nich się obejdzie.

Bawił u mnie wtenczas szwagier mój Tomasz Wybicki, który z gimnazjum chełmińskiego był dla awantury, którą z profesorem Niemcem zrobił, oddalony. Ów Zawisza widząc, że ze mną co do planów powstańczych nic wskórać nie może, zaczął się wdawać w tajemnicze szeptki z Tomaszem, ale kiedy coraz bardziej się przekonywałem, że to jakiś in-

famis, bo i wódkę z karczmy kazał przynosić, którą się z młodym chłopcem pokrzepiał, kazałem mu odjechać, przekonując go, że u mnie nie ma bezpieczeństwa dla niego.

Posyłam go zatem do przyjaciela mego o cztery mile ode mnie mieszkającego z listem, aby go gdzie dalej wyprawił. Po jego odjeździe prosi mnie Tomasz, abym go posłał do Chełmna, bo tam ma ważny interes. Wystawiam mu niestosowność jego żądania, i że ojciec gniewać się będzie na niego, że jedzie do miasta, z którego dopiero co kazano mu wyjeżdżać.

On jednak nalega i nareszcie przyznaje mi się, że przysięgą jest zniewolony tam jechać i na czele gimnazjum chełmińskiego uderzyć na Warszawę. Jako potomek wojewody Wybickiego, wszystko po drodze do niego garnąć się będzie, tak go zapewniał ów Zawisza, któremu przysięgą złożył.

Oczywistem było, że misją jego było skompromitować gimnazjum chełmińskie, do którego ze wszystkich stron zebrało się przeszło trzystu młodzieży polskiej, jako szkoły katolickiej. Żeby zatem zapobiedz, aby plan jego tu wykryty, gdzie indziej mu się nie udał, sprowadzam go przez sąsiada mojego, emigranta Józefa C. ^o, na powrót, aby go wybadać, czy to tylko nierozsądny zapaleniec, czy też niebezpieczny agent moskiewski, ale nie do Piątkowa, tylko do Pułkowa, który majątek Wysocki synowi Aleksandrowi był oddał, a sam do Polski się przeprowadził, przewidując, że indagacja może przybrać charakter trochę moskiewski, a w Piątkowie żona z kuzynką tu bawiącą byłyby nam na przeszkodzie.

Skoro doniesiono, że ów fałszywy Zawisza jest w Pułkowie, jadę tam z kuzynem moim Szawelskim, oficerem dymisjonowanym pruskim. Zaczynam indagacją od tego, jak mógł takie szalone plany młodemu chłopcu do wykonania powierzać, a kiedy Szawelski się odzywa, że go w Piątkowie przestrzegał, że Tomasz jest za młody, aby z nim jakieś tajemne spiski układać, on się odzywa: „Polacy niech mnie sądzą, ale nie pan, co jesteś Prusakiem”. Józef C. już poprzednio przekonany, że to szpieg, uderza go gwałtownie w twarz, ale on zamiast, jak się spodziewałem, oburzyć się na taką zniewagę, mówi do mnie słodziuchnym głosem: „Bądźcie panowie cierpliwi, ja wam wytłumaczę”.

Tu już wątpliwość wszelka zniknęła i musiałem się przekonać, że z lotrem mam do czynienia. Gospodarz przysposobił tymczasem ławkę i bat. Wzywam go, żeby się przyznał, że jest agentem moskiewskim, a natychmiast wyprawimy go

do Ameryki, aby tam nie był szkodliwym, ale ponieważ nie chciał się przyznać, nastąpiła bolesna indagacja na cztery ręce z kolei, z przyzwoitymi przestankami do perswazji.

Nie mogąc wydobyć zeznania od niego, trzeba było do jutra odłożyć dalsze sumaryczne postępowanie, żeby sobie odpoczął przez noc.

Nie obyło się w Piątkowie bez wyrzutów od żony i kuzynki za takowe obchodzenie się z nim, ale słysząc o wszystkim dały się przekonać, że to szpieg.

Nazajutrz jedziemy znowu do Pułkowa na naradę, co z lotrem robić. Dowiaduję się, że odprowadzony przez wartę do swego pokoju, wypiwszy wprzód pół butelki araku, które porwał ze stołu, wesoło sobie zaśpiewał.

Wtem dają znać, że żandarm się zjawił przed dworem, co tu robić? Musiał się pewnie dowiedzieć o hałasach wczorajszych. Decyduję się więc oddać go żandarmowi, żeby go odstawił do landrata, jako niebezpiecznego człowieka. Karteczkę jednak do urzędowego pisma dodaję, żeby go w swoim areszcie tak długo zatrzymał i nie oddawał do sądu, aż ślady indagacyjne znikną.

W kilka dni jadę do Brodnicy odwiedzić mego więźnia. Dowiaduję się od landrata, że po długich badaniach przyznał mu się, że nie tylko moskiewskim, ale i pruskim jest ajentem. „Aleście go — mówi landrat — diabelnie przystroili waszymi indagacjami, ciągle mi chciał pokazywać, ale ja mu zawsze mówiłem: fuj!” Powiada dalej, że raport o tem zdał do ministerium, skąd przyszła dla mnie pochwała za patriotyczne denuncjowanie rewolucjonisty. Wezwany w tej sprawie do sądu, oświadczam, bojąc się, żeby mi czasem orderu nie przysłali, że go nie jako rewolucjonistę, ale jako szpiega oddałem do władzy, mającego kompromitować gimnazjum chełmińskie. To miało ten skutek, że już nie pochwałę, ale musiałem karę policyjną zapłacić za to, że go nie zameldowałem.

W tym samym czasie kręcił się po naszej okolicy emigrant pod nazwiskiem Waga, który podejrzenie wzbudzał, że się u mnie nie pokazał, ale gdzie indziej o powstaniu i przygotowaniach do niego rozprawiał.

Nadto dowiaduję się, że emigrant, bawiący w Toruniu, zginął nagle, bo odebrawszy wiadomość, że siostra jego chce się z nim na granicy widzieć, on tam pospieszył, ale schwytany przez żandarmów moskiewskich i okuty w kajdany zawieziony został do Warszawy. Siostry tam wcale nie było. Powiadają mi dalej inni emigranci, że ich namawiał do

przejścia na terytorium polskie, zapewniając, że tam znajdą przyjazne przyjęcie, ale że mu się to nie udawało, odjechał do Księstwa. Stamtąd pisze do emigranta Grabowskiego, którego także do owej przechadzki namawiał, żeby przyjechał do niego, do pewnego obywatela, u którego przygotowania do powstania się robią, bo w Prusach Zachodnich nie ma ducha patriotycznego.

Grabowski pokazuje mi ten list, dodając przekonanie, że to taki sam agent musi być jak ów fałszywy Zawisza, który osadzony został w więzieniu grudziądzkim. Oddaję zatem ten list przyjaznemu mi landratowi z poleceniem, aby owego Wagę sprowadził i przeszkodził kompromitowaniu spokojnych obywateli.

Landrat jedzie sam do Poznania i za pomocą prezesa policji Minutolego sprowadza Wagę prosto do Grudziądza. Tym sposobem udało mi się dwóch lotrów osadzić w więzieniu, w którym długo trzymani, później gdzieś przepadli. Landrat Lauterbach, odznaczony w ten sposób został prezesem policji w Królewcu.

Nadszedł rok 1846, w którym Ludwik Mierosławski przybył do Księstwa, skąd wieści o przygotowaniach do powstania i do nas dochodziły. Emisariusze jego kręcili się i u nas, ale wkrótce nastąpiły aresztowania w Poznańskim. W owym czasie zachorowałem na ciężką gastryczną febrę z przyczyny zmartwienia, jakie mi sprawiła śmierć najstarszego syna. Śliczny ten chłopiec, już pięć lat mający, prawdziwa moja pociecha, zachorował razem z wami, dzieci moje, na odrę — wyście wyzdrowieli szczęśliwie, a on, najsilniejsze dziecko, umarł.

Przykuty do łóżka, donoszą mi, że jacyś panowie chcą się ze mną widzieć. Wychodzę chwiejąc się do nich. Przedstawia mi się nowo przysłany landrat z oficerem, oświadczając, że z rozkazu prezesa policji Lauterbacha ma odbyć rewizję papierów. Rewiduje pozornie, ale niedługo oświadcza, że mnie aresztuje, bo będę odstawiony na fortecę grudziądzką. Przedstawiam, że widzi mnie chorego — nic nie pomaga, powtarza, że z rozkazu prezesa policji nie może ustąpić — ekstrapoczta stoi przed dworem. Trzeba było pożegnać się z żoną skłopotaną o zdrowie moje i siadać do powozu zapakowany w pościel, z dwoma żandarmami, którzy mnie odstawiają do Grudziądza.

Rozdział VIII

OD PIERWSZEGO WIEZIENIA DO DRUGIEGO, 1846 DO 1848

Treść: Landrat Grewenitz inkwirent. — Strach w fortecy. — Zmiana więzienia z powodu aresztowania innych obywateli. — Jeden więzień dostaje pięćdziesiąt batów. — Moja indagacja, tłumaczenie, uwolnienie. — Składam urząd radcy Towarzystwa Kredytowego. — Wybrany na posła. — Posyłają zastępcę do Berlina. — Usposobienie ludu polskiego podczas wyborów. — Co spowodowało pierwszy sejm. — Rewolucja paryska. — Rewolucja w Berlinie. — Uwolnienie Polaków z Moabitu. — Jazda do Torunia. — Zgromadzenie w Wąbrzeźnie. — Nominacja moja na organizatora w Prusach Zachodnich. — Pan Anz. — Niemcy zaczynają oponować. — Awantury w Brodnicy. — Jadę do Chełmna, gdzie komitet. — Aresztowanie i odstawienie do Grudziądza.

Z owego więc rozkazu Lauterbacha, który odjeżdżając do Królewca czułym listem pożegnał się ze mną, dziękując, że mnie winien swoje wyniesienie, zawożą mnie do Grudziądza. Zaprowadzają do wilgotnej komnaty, której ściany saletrą pokryte. Położenie moje było okropne, bo nocy przepędzam bezsenne, trapiony myślą straconego dziecka. Tak kilka dni przepędziwszy, czuję się bardzo osłabionym, przeglądam się w zwierciadle, bo mi pozwolono wszelkie wygody — okropnie wyglądam, blade i żółty, widzę, że źle ze mną; postanawiam więc nie dać się. Odpędzam smutne myśli, skaczę po moim więzieniu, choć się przewracam, śpiewam wesołe piosenki, gimnastykuję — posyłam po powieści Eugenia Suego i Dumasa, żeby się rozerwać. Tak powoli zaczynam się orzeźwiać, sen i apetyt powraca. Żądam, żeby mi powiedziano, za co tu siedzę.

Przychodzi landrat Grewenitz, z Poznańskiego przysyłany do indagacji, bardzo grzeczny, prawi komplementy, że je-

stem bardzo szanownym obywatelem, ale znanym z patriotyzmu, a zatem podejrzenie, że należę do spisku Mierosławskiego, naturalne. Żądam dowodów na czyny prawami zakazane, bo przecież uczucia patriotyczne nie są w Prusach karygodne. Prosi o cierpliwość, bo musi innych więźniów indagować.

Tak schodzi kilka tygodni. Gazety, które dotąd odbierałem razem nie dochodzą mnie. Podoficer, który mi je zwykle przynosił, tłumaczy się, że je zapomniał, ale kiedy tego zapomnienia nie ma końca i zaczynam się niecierpliwić, przyznaje mi się nareszcie, że ma zakaz, bo awantury się dzieją w Krakowie, Rzeczpospolita proklamowana itd. Dostaję znowu pod sekretem gazety i doznaję chwilowej pociechy ze szczytnych odezwo, jakie tylko republika ogłosić jest w stanie, zawartych w *Manifeście Rządu Narodowego Rzeczypospolitej Polskiej do narodu polskiego*¹. [...]

Później dowiedziałem się od sędziego, dlaczego zakazano mnie przysyłać gazety. Więźniowie bowiem, którzy już się do wszystkiego przyznali, dowiedziawszy się o wypadkach krakowskich, naraz znowu się zapierali, a nic z nich wydobyć nie było można, tak że postanowiono zakazać przysyłanie im gazet. Strach udziela się fortacy. Pewnego poranka mówi mi podoficer, że cały garnizon zeszłej nocy był na nogach, bo koło północy przybył Niemiec do bramy, żądając widzenia się z komendantem. Wpuszczony powiada, że dziesięć wielkich wozów z kosynierami przybyło do wsi milę odległej, ale noc zeszła spokojnie. Później zapewnia mnie podoficer, talarkiem do poufałości zniewolony, że pełno kosynierów dokoła forticy się kręci.

Strach ma duże oczy! Odwiedza mnie kuzynka, Paulina Szawelska, gorąca patriotka, która pomimo asystencji placmajora, całując mnie szepnęła: „Będziesz uwolniony”.

To wszystko musiało błogi spokój mojego więzienia przerwać, bo każdy nocny łoskot zdawał mi się zapowiadać moje uwolnienie zdobyciem forticy. Ale zamiast uwolnienia nastąpiła tylko zmiana mojego więzienia. Zapowiadają mi bowiem, że mnie gdzie indziej muszą umieścić, bo z nowo przybyłych więźniów jeden zajmie moją kwatere, a ja w mieszkaniu audytora wygodniejszą dostanę stancję.

Przeprowadzam się zatem do bardzo pięknego pokoju, a spojrzawszy oknem widzę ojca pierwszej żony mojej, Czapskiego ze Sumowa, w przeciwległym oknie, zamkniętego na klucz. Dowiaduję się dopiero, co to wszystko znaczy. Kiedy dotąd sam jeden z polskich obywateli w kozie byłem, bo

reszta więźniów prócz księdza Tułodzieckiego byli emigranci, a pomiędzy nimi Seweryn Elżanowski², poaresztowano mnóstwo obywateli i jednych do Grudziądza, drugich do Chełmna i Torunia pozwozili.

Przyczyną był następujący wypadek. U jednego wałęsającego się podejrzanego człowieka znaleziono kartkę, na której znajdował się spis majątków mających dostawić do powstania pewną liczbę ludzi i koni. To dało powód do arestowania wszystkich właścicieli wymienionych majątków, pomiędzy którymi większa część była, którym się nie śniło o takich awanturniczych ofiarach. Między nimi jeden z najmajętniejszych obywateli, które całe życie się starał zostać pruskim hrabią w prowincji tak biednej w takie znakomości, ale mu się nie udało.

Największą biedę komendant fortecy miał z teściem moim, który skoro go placmajor odwiedził z eskortą, wyrwał klucz od stancji i schował do kieszeni nie pozwalając się zamykać, dowodząc im, że będąc jeneralnym radcą landszaftowym na stare lata nie potrzebuje być zamykanym jak student i spacerował ciągle po mieście. Widząc to wszystko z okna mego, bardzo mnie to bawiło, tym bardziej że mi arkuuszowe, bardzo pocieszne raporty składał z tego, co z nimi dokazuje. Syn jego, Józef, był osadzony w mojej kazamacie, żeby nie był w bliskości ojca.

Mając we dniu taką zabawę, wieczory przepędzam czytaniem z biblioteki gospodarza mego paradnej edycji *Tysiąca nocy i jednej z rycinami*, tak że dosyć kontent jestem z mego położenia, ale przekonała mnie służąca, którą widywałem za dnia wodę noszącą pod moimi oknami, że się czuła szczęśliwszą ode mnie, bo wieczorem podkradłszy się pod moje drzwi i przyglądając mi się przez dziurkę od klucza, głośno zawołała: *Armes Stümperchen!* — „Biedne niebożatko!” Nie mogłem czytać dalej, bo rozmyślałem nad tym, ile to prawdy w tych słowach prostej dziewczyny.

Niedługo to jednak potrwało, bo wszystkich puścili do domu, a ja znowu wróciłem do mojej kazamaty. Tu dopiero dowiaduję się od mego podoficera, że owego posiadacza kartki ostro indagują, skąd ona pochodzi, ale na próżno, bo powiedzieć nie chce, nareszcie żeby go zmusić, kazał landrat Grewenitz mu pięćdziesiąt batów wyliczyć. To spowodowało go do oświadczenia, że się głodem zamorzy. Dotrzymał słowa przez cały tydzień, żadnego jadła nie przyjmując, chociaż coraz smaczniejsze potrawy mu dawano; dopiero ósmego dnia, kiedy już bardzo był osłabiony, a ciągle nale-

gano na niego, aby przyjął jedzenie, bo wtenczas rząd pruski jeszcze dbał o to, aby go o barbarzyńskie postępowanie, przez owe baty, nie obwiniono, oberznął sobie cholewy od butów, kazał je sprzedać i chleba za nie kupować. Zambarasowało to postępowanie tego szczególnego więźnia, które się wnet rozgłosiło, bardzo panów inkwirentów³ i wypuszczono go na wolność, ale i Grewenitza odesłano do Księstwa.

Mój podoficer, którego przychylność sobie zyskałem, wszystko to mi opowiadał i co z drugimi więźniami się dzieje, narzekał tylko na Elżanowskiego, którego żona napaść nie może, taki wilczy ma apetyt i dopiero jak jej kazał tłusto mu dać jeść, został zadowolony.

Na koniec, kiedy już prawie całego Dumasa i Suego przeczytałem, po dwumiesięcznym siedzeniu przychodzi do mnie asesor na przesłuchanie. Powiada więc, że kiedy emisariusze Mierosławskiego bywali u mnie, musiałem wiedzieć o zamierzonym powstaniu, a ponieważ żem nie doniósł rządowi, współwinnym jestem. Przekonany, że szlachetną otwartością najwięcej dokazać można, odpowiadam: „Nie zaprzeczam, że my Polacy zwykle ze sobą rozmawiamy o sposobach, jakimi wydobyć się potrafimy spod jarzma, rozmawiamy o przyczynach, dlaczego przeszłe powstania się nie udały i co trzeba robić, żeby przyszłe były szczęśliwe”. Tu mnie przerywa sędzia pytając się czy to ma zapisać; i owszem, ale proszę słuchać dalej. Ja zawsze utrzymywałem i utrzymuję, że tylko kiedy wszystkie warstwy narodu potrafi jakiś znakomity przywódzca do wspólnego działania i poświęcenia pociągnąć, wtenczas tylko można mieć nadzieję, że się uda powstanie. Mierosławski zaś i jego partyzanci są, jak wiadomo, przeciwnikami arystokracji, myśląc, że i bez tej zamożnej części naszego narodu może się obejść. Starano się zatem mnie do tego antyarystokratycznego obozu dostać, a kiedy to się nie udało, dano mi pokój nie wspominając o bliskim powstaniu.

Uczciwy sędzia odzywa się na to: „Pana deklaracja tak otwarcie i szczerze wypowiedziana, ma wszelkie cechy prawdy — nie tak jak inni więźniowie, którzy powiadają, że króla pruskiego kochają — zapiszę to wszystko tak, jak pan żądasz, a ręczę, że będziesz wolnym”. Toteż kilka dni potem nie pozwolili mi dokończyć zaczętej pięknej powieści Dumasa, tylko kazali mi wyjść z więzienia, innych wszystkich wywieziono do Moabitu berlińskiego.

Chociaż tylko dwa miesiące siedziałem, tak uczułem szczę-

ście wolności nie będąc już: *armes Stümperchen*, że zapomniałem się gniewać na tych, co mnie uwięzili, bo żeby nie oni, to bym z taką radością nie jechał do kochanej żony, do dzieci, do Piątkowa, żeby nie oni, to bym nie miał sposobności do tej części cierpienia dla miłej ojczyzny, które krocie naszego narodu tak pełnym kielichem spełniają!

Przed kilku latami zostałem radcą Towarzystwa Kredytowego obrany przez obywateli. Podczas więzienia mego dyrekcja komisoria moje dała innemu radcy z ościennego okręgu, wróciwszy więc do domu żądam zwrotu komisoriów do mnie należących, na co dostaję odpowiedź, że z rozkazu komisji inkwirującej wszystkie komisoria suspendowane⁴ zostały u tych radców, którzy byli pod śledztwem. Odpisuję na to, że wybrany zaufaniem obywateli nie mogę uznać wdanie się owej komisji do instytucji obywatelskiej jako słuszne i składam urząd. To samo stało się z wyborem moim na posła w roku 1847 na pierwszy sejm pruski, tak zwany sejm połączonych prowincji⁵. Napisano mi, że z tego samego powodu mój zastępca, Józef Kossowski, jest powołany.

Przy tych wyborach lud nasz wiejski podbechtany przez żandarmów i egzekutorów, którzy z góry mieli polecenie ciemnemu temu ludowi przedstawić, że panowie chcą poddaństwo zaprowadzić, nie chciał się łączyć z nami, tylko na zapytanie, kogo wybieracie na posła, zwykle opowiadano: „Króla” i żadne przedstawiania, że takie głosy upadną, nie pomagały. W moim okręgu ludzie z mojego majątku już mieli tyle zaufania do mnie, że głosy dawali na tego, którego im wskazałem.

Obywatele zaś niemieccy, będąc w naszym okręgu wyborczym składającym się z brodnickiego i lubawskiego powiatu — w mniejszości, chętnie przystawali na propozycje nasze, żeby wybrać jednego Polaka, drugiego Niemca.

Dla wyjaśnienia powodów, że król zezwolił na ten sejm, muszę się cofnąć w historycznym poglądzie.

Ojciec panującego króla przyrzekł był w odezwie: *Do ludu mego*⁶ w roku 1813, że mu nada konstytucję, jeżeli wszystko, co broń nosić zdolne pójdzie oswobodzić ojczyznę od najazdu Napoleona. Toteż cała młodzież akademicka i wyższe klasy szkół nawet z Prus Zachodnich i Poznańskie- go poszły walczyć, tym bardziej że w owej odezwie zapowiedziane było, że kto nie pójdzie, straci prawo do urzę-

dów. Naczelnik turnerów na całe Niemcy, Jahn, z wielotyśiecznymi swymi uczniami, wstąpił w szeregi wojskowe, które tak haniebnie pod Jeną się spisały i ta młodzież głównie się przyczyniła do pomyślnego końca wojny.

Po wojnie Niemcy zaczęli się dopominać przyobiecanej wolności, ale rząd uznał za stosowniejsze wziąć w kluby podnoszącego się ducha, Jahna osadził w więzieniu i reakcja w porozumieniu z rządem austriackim na całe Niemcy się rozpostarła. Na dobitkę i aliant przy rozbiórce Polski, Moskwa, z nimi się połączyła pod nazwą Świętego Przymierza. Próbowano młodzież niemiecką gdziegdzie stawiać opór, ale więzieniem zachcianki opłacać musiała. Do tych wybryków należy policzyć zamordowanie Kotzebuego, posądzanego, jako ajenta moskiewskiego, przez szlachetnego młodzieńca Jerzego Sanda, Bawarczyka, którego ścięto.

Tym sposobem przytłumiono podnoszącego się ducha, a Niemcy postanowili dać pokój staremu królowi i czekać aż następcę, który znany był jako światły, a jako taki liberalny być powinien, niezawodnie dopełni przyrzeczenia ojca. Omylono się jednak, bo skoro wszedł na tron, wyróżnął mowę z balkonu zamkowego, w której bez ogródki powiedział, że nigdy nie pozwoli na to, żeby jakieś paragrafy, a nie on, z Bożej Łaski, rządziły narodem.

W ogóle jednak liberalniejsze rządy nastąpiły, prześladowanie kościoła katolickiego i Polaków w Poznańskim pod przeszłym rządem wzmagające się, zaczęło ustawać. Dowodem tego było uwolnienie uwięzionego arcybiskupa Dunina i usunięcie Flottwela z Poznania. Kiedy przygotowania do powstania przez Mierosławskiego kierowane, już były dojrzałe do wybuchu, a królowi o tym doniesiono, zwołał naczelników wojskowych i cywilnych na naradę. Wszyscy byli za tem, aby czekać do wybuchu, bo wtenczas można będzie koniec zrobić z Polakami, on jeden był przeciwny, dowodząc, że kto nie przeszkadza zbrodni wiedząc o niej, sam zbrodnię popełnia, i kazał aresztować⁷. Mówił mi to landrat Grewenitz z Grudziądza.

Proces Polaków, mianowicie mowa Mierosławskiego, w ogóle prąd ogólny do wolności, zaczęły rozbudzać Niemców tak, że król widział się zmuszonym zezwolić na zebranie się sejmu. Postawie niemieccy z wielkim talentem dowodzili, że tylko przez współudział narodu w rządzie kraj może materialnie i duchowo się podnieść. Jeden z nich przypomniał królowi słowa Fryderyka II, nazwanego Wielkim, na śmiertelnym łożu: „Nuży mi się panować nad niewolni-

czym narodem" — *Ich bin es müde über ein Volk von Sklaven zu herrschen* ⁸.

[...]

Rewolucja paryska w roku 1848 zastała więc Niemców nie-
źle przysposobionych, a że król lubił się popisywać dow-
cipem, więc i naród chciał mu dowieść, że nie bydłęta i przed
zamkiem wykrzykiwał, dopominając się konstytucji. Francja
bowiem jest ta koza, która jak ogon zadrze, to wszystko za
nią. Wtenczas licho zadarła, bo tylko przez tchórzostwo kró-
la, który uciekł, ogłosili republikę. Dziś Francja we
krwi skąpiana zasiew wolności rozniesie po świecie, a i my
plon z niego zbierać będziemy.

Nie podobały się wybryki berlińczyków następcy tronu
i rozkazał wojsku uderzyć na bezbronnych. Wtenczas roz-
legł się okrzyk: „Po broń!”, a dzisiejszy cesarz wszech-
-Niemców umknął z Berlina. Rozpoczęła się walka zacięta
wojska z powstańcami, którzy głównie oficerów na ceń bio-
rą. Król z zamku swego rozsyła rozkazy do wojska, walka
trwa w późną noc i dopiero, kiedy mu donoszą, że powstań-
cy chcą zamek spalić, bo słyszano okrzyk na mieście: *Wir
wollen dem Burschen auf die Bude rücken* ⁹, każe wojsku
ustąpić z miasta. Lud znosi trupy swoje w podwórzec zam-
kowy, król musi zejść i czapkę zdjąć przed ofiarami swoje-
mi.

Nasi więźniowie w Moabicie, na śmierć i więzienie ska-
zani, przepędzają pamiętną tę noc bezsennie, bo huk armat
i ręcznej broni do nich dolatuje, na przemian nadzieją lub
trwogą miotani. Nade dniem dopiero, kiedy zwycięski lud
wybiera się uwolnić Polaków, uprzedza król amnestią gwał-
towny napad na więzienie. Lud berliński zaprzęga się do
wozu więźniami napelnionego i w tryumfie zawozi przed za-
mek, zmuszając króla do wyjścia na balkon, stamtąd cią-
gną do uniwersytetu, gdzie rektor odzywa się do naszych:
„Panowie, nie ma Polski bez Niemiec, nie ma Niemiec bez
Polski!”

Czytamy to wszystko z niesłychanym rozrzewnieniem w
gazetach i czytamy dalej, że Mierosławski jedzie do Pozna-
nia organizować wojsko równocześnie z Prusakami. Niepodob-
na siedzieć w domu; jadę do Torunia, żeby prędzej się o
dalszych wypadkach dowiedzieć. W drodze spotykam znajo-
mych mi więźniów z Moabitu jadących do mnie, których
proszę, żeby do sąsiada mego, Aleksandra Wysockiego w
Pułkowie jechali, aż wrócę z Torunia. Opowiadają, jak po
drodze Niemcy wszędzie ich z entuzjazmem przyjmowali,

a ksiądz Tułodziecki, z wierzchu wagonu, do nich o wiecznym zbrataniu dwóch dotąd zwaśnionych narodów rozprawił. Niemcy odpowiadali ogromnym: *Hura! Es leben die Polen!*¹⁰

Przyjeżdżam do Torunia. Na ulicy wołają na mnie: „Halt! Bez kokardy polskiej, pan nie możesz do hotelu zajeżdżać”. Muszę zsiadać z bryczki i u pani Guksch kupić kokardę polską, ale żądam i niemiecką, obie przypinają mi do czapki. Tak już z dobrą miną jadę do Hotelu Sanssouci. Tam witany serdecznie przez Niemców widzę i oficerów pruskich z kokardami polskimi. Niedługo zjawiają się obywatele niemieccy spod Chełmna, którzy mi mówią, że ogólnym jest żądaniem, abym zwołał jak najprędzej zgromadzenie do wspólnej narady.

Tymczasem nadchodzą wieści z Poznania, wszystkie pomysły, znajduje się i posłaniec od komitetu i przywozi mi proklamację, którą mam ogłosić w obydwóch językach. Gdzież lepsze miejsce, jak w ratuszu, na wielkiej sali. Ogłaszam zatem, ponieważ już wieczór nadszedł, że jutro o dziesiątej przeczytam w ratuszu proklamację przyslaną.

Wieczór przeszedł w najlepszej harmonii. Nazajutrz schodzą się powoli honoracje miasta, ale z przedstawieniem, że bym nie zwołał zgromadzenia do ratusza i tak mnie męczyli, że musiałem, chcąc we wszystkim gotowość do zgody okazać, tylko dać kilkaset egzemplarzy wydrukować i rozdać. Dowiedziałem się, że się bali awantury ze strony polskich mieszkańców przedmieść i rybaków, znanych z ducha tęgiego. Jadąc przez miasto z powrotem do domu, słyszę, że ktoś woła na mnie. Przybiega znajomy mi sędzia niemiecki i pyta zdyszany: „Co będzie z Toruniem, jak będzie Polska, boć to stare miasto niemieckie” — żeby się go pozbyć odpowiadam: „Toruń i Gdańsk — wolne miasta!” Podziękował mi serdecznie i pojechałem dalej.

Wróciwszy do domu, zjeżdża do mnie młody Wysocki z gośćmi swoimi, między którymi i Poznańczyk przez komitet nam na instruktora przysłany, żebyśmy wiedzieli, jak sobie postąpić, i układamy odezwę do zjazdu ogólnego w Wąbrzeźnie. Instruktor prosi, żeby mu pozwolić napisać tę odezwę. Napisawszy czyta nam, ale ze sześć razy było w niej „zważywszy”, a dopiero nastąpiła konkluzja, czytam mój projekt tymczasem zapisany, który jako krótki i dość energiczny przyjęty został. Brzmiał mniej więcej tak: że rewolucja berlińska, która uwolniła braci naszych z więzienia i ogłasza wskrzeszenie Polski, zniewala nas do podania bratniej

dłoni Niemcom na jednej ziemi z nami mieszkającym — zapraszam zatem na liczny zjazd do Wąbrzeźna, gdzie równocześnie naradzać się będziemy nad przygotowaniem do przyszłej walki z ostatnim wrogiem cywilizacji europejskiej. Tę odezwę w niemieckim i polskim języku, w kilkunastu egzemplarzach przeze mnie podpisaną, rozsyłam natychmiast przez konnych posłańców na wszystkie strony.

Przyjeżdżamy do Wąbrzeźna i zastajemy już napelnioną salę. Niemcy z innych powiatów przybyli licznie, z mojego tylko jeden przysłany od drugich, już tylko do opozycji, bo już wtenczas dwaj bracia Hennigi z Dębowej Łąki i Płachot rej zaczęli pomiędzy Niemcami, dotąd bardzo grzecznymi, wodzić, żeby górę wziąć nad nami. Zastaję także z Moabitu uwolnionych księdza Tułodzieckiego i Seweryna Elżanowskiego.

Przed rozpoczęciem obrad przybywają gońcy z różnych stron. Jeden przywozi świeże proklamacje z Bydgoszczy, drugi sztafetą oddaje mi wezwanie na sejm berliński, trzeci nominacją moją na organizatora Prus Zachodnich przez Komitet Poznański — wydział wojny — podpisaną przez Seweryna Mielżyńskiego i Białoskórskiego.

Czytam tę nominację moją, obstępiony przez przyjaciół moich z Moabitu, którzy okazują swoje stąd zadowolenie, ale widząc, że i dwaj inni obywatele, Kossowski i Kucharski takie same pisma trzymają w rękach, pytam cóż tamci dostali? „Oni mianowani twoimi adiutantami.” Później dopiero dowiedziałem się, że równe nominacje dla wszystkich trzech przyszły, zostawiając przyjęcie dowolne. Ta nominacja brzmiała ostro: „Rozkaz. Jesteś mianowany...” itd. Niemcy wyciągają szyje do tych depeesz, trzeba zatem rozpocząć obrady.

Zaczynam więc od tego, że jestem mianowany organizatorem Prus Zachodnich, z wyraźnym rozkazem tylko w porozumieniu z Niemcami działać i proszę dla obrad nad tą organizacją o wybór prezydującego. Wołają Niemcy, żebym ja nim był, ale proszę, aby ta godność dostała się panu Karolowi Kalkstein, jako starszemu, powszechnie szanowanemu obywatelowi. Zabierając głos, oświadczam, że odtąd odwieczna nienawiść pomiędzy Niemcami a Polakami ustać musi, wypadki berlińskie to święte przymierze stworzyły. Ksiądz Tułodziecki w pięknej mowie opisuje sympatią nie tylko ludu berlińskiego, ale i po drodze, któredy przejeżdżali. Kiedy skończył wołają Niemcy: „Prosimy o wydrukowanie tej mowy”. Inny Niemiec wnosi, aby to zbratanie z ambon

było publikowane. Żyd prosi, aby i Żydów do tego braterstwa przyłączyć. Delegujemy zatem dwóch obywateli — jednego Polaka Samplawskiego i drugiego Niemca — aby dziś jeszcze pojechali do biskupa do Pelplina w sprawie tej publikacji.

Zabierają i Niemcy głos, zapewniając, że sprawę polską: *mit Gut und Blut*¹¹ popierać będą. Jeden tylko Niemiec, wysłany przez owych Hennigów z mojego powiatu, Raabe, oświadcza, że nie ma nic przeciwko temu, aby Polska była przywrócona, ale Zachodnie Prusy przez Krzyżaków posiadane nie mogą należeć do Polski. Odpowiadam, co się to w dwóch latach z naszą prowincją zrobiło, że została niemiecką, kiedy ten sam mówca w roku 1846 przy wspólnym obiedzie, występując przeciw postępowaniu rządu nieprzychylnego Polakom, przez co rozdwojenie robi, którego dawniej nie było, przyznał w końcu: „Wszak my tu przybysze jesteśmy i pragniemy żyć w zgodzie z Polakami, jak ojcowie nasi!”.

Kiedy dalej toczą się rozprawy, jak urządzać uzbrojenie ogólne ludowe, dostaję doniesienie, że radca rejencji z Kwidzyna, Anz, pyta się, czy wolno mu przybyć do sali. Zaproszonego witam i obok siebie stawiam. Robię dalej wniosek, aby wybrać tymczasowy komitet złożony z Niemców i Polaków, który ma się organizacją powszechnego uzbrojenia, głównie w celu utrzymania porządku, zająć. I pan Anz zabiera głos i proponuje, aby na początek wykluczyć palną broń.

Od czasu przybycia pana radcy zaczęło się przychylnie usposobienie Niemców zmieniać i okazało się tym, że prosili tylko Polaków do tego komitetu wybierać. Wybieramy zatem ów komitet z samych Polaków, z siedliskiem w Chelminie, aż do ogólnego zebrania delegatów całych Prus Zachodnich, za dni ośm w tym mieście, gdzie się dopiero stały obierze komitet. Oprócz mnie jako prezydującego, wybrani zostali ksiądz Tułodziecki, Elżanowski, major Korewa, Zakrocki, szyper z Grudziądza — z Moabitu uwolniony.

Przysposobiłem wspólny obiad, żeby uświęcić szczęśliwie dokonane zbratanie, ale kiedy sesja się kończy, Niemcy wymkają się z sali i tylko sami Polacy siadamy do stołu, oprócz jednego Niemca, który siadając naprzeciw mnie zrobił mi uwagę, że jestem za otwartym i radził ostrożność.

Wracam do domu, gdzie mi tymczasem przybyła córeczka, nazwałem ją Wiktoria, ale pokazało się, że za prędko to imię jej dałem.

Układamy natychmiast z Elżanowskim i Tułodzieckim plan organizacji, bo na sejm berliński jechać nie mogłem, za mnie pojechał zastępca Kossowski, a ponieważ mi doniesiono, że rentmistrz w Golubiu trzyma w więzieniu kilku Polaków, żeby ich wydać Moskalom, jadę do niego żądając, by ich puścił na wolność, ponieważ ten handel z ludźmi dziś ustać powinien. Zaręcza mi, że nie ma żadnych, a ponieważ opuszcza posadę swoją nie czując się bezpiecznym, chce mi klucze swojego biura oddać. Dopiero kiedy go zapewniam, że mu krzywda się nie stanie, byle zaniechał wydanie Polaków, a kluczy nie chce — uspokoił się.

Następnego dnia wyjeżdżam w celu tej organizacji z Wysockim i Kucharskim, a naprzód do Brodnicy, jako miasta powiatowego.

W drodze zatrzymuje mnie landrat, eskortowany przez dwóch żandarmów, bo mu doniesiono, że awantury dokazuję w Golubiu, i pyta dokąd jadę? „Do Brodnicy, organizować uzbrojenie powszechne”, prosi, abym się wstrzymał, aż wróci — przystaję i jadę na noc do Słoszew, do gościnnego i patriotycznego domu państwa Jezierskich.

Tam noc bezsenną przepędziwszy, bo nadzwyczajność wypadków spokój ducha odebrała, zajeżdża bryka pełna Niemców o świcie, pomiędzy nimi ich przywódca Hennig z Dębowej Łąki. Postanowili Niemcy z owym radcą Anzem, jeszcze w Wąbrzeźnie, zgromadzenie swoje w Chełmży odbyć i tam uradzili wstrzymać owe zgromadzenie ogólne w Chełmnie, aż wojsko, po które posłali, nadjedzie. Dla wstrzymania owego zgromadzenia z całych Prus Zachodnich, które ich zaniepokoiło, szukali mnie całą noc i znaleźli w Słoszewach.

Przedstawiając mi więc jakieś niebezpieczeństwo, jeżeli to zgromadzenie się zbierze, męczyli mnie tak długo, żeby im okazać wszelką gotowość do stosowania się do ich życzeń, aż przyrzekam, że cofnę wezwanie, na później je odkładając. Dowódca Niemców Hennig chce mi dowodzić, że Prusy Zachodnie nie mogą do Polski należeć. Odpowiadam mu: „Najlepszym dowodem, że to polski kraj, są kwaśne gruszki, których tu pełno na polach — wy lubicie słodkie”.

Kontenci odjeżdżają, a mój adiutant Kucharski, któremu cała sprawa zaczyna się nie podobać, siada z Niemcami, a w jego miejscu jedzie gospodarz, Marian Jezierski, z nami do Brodnicy.

Dojeżdżając, widzimy o ćwierć mili od miasta rozstawione czaty, które znaki sobie dając, wracają spiesźnie. Mówię

do towarzyszy: „Pewnie organizatora będą przyjmować uroczystość”. Ale wjeżdżając do miasta nic nie widać, zajeżdżamy do hotelu. Tam niedługo napelnia się pokój, w którym siedzimy, występuję zatem i wykładam Niemcom, cośmy uchwalili w Wąbrzeźnie. Kiedym skończył, oświadcza jeden z asesorów, że chętnie chce należeć do komitetu i starać się o utworzenie onego dla organizacji straży obywatelskiej, że ojciec jego walczył pod Kościuszką, i że sam największą dla Polski ma sympatią.

Kiedy więc zdaje mi się, że wszystko pomyślnie się zaczyna i wybieram się jechać dalej, a naprzód do teścia do Świerczyn, zaczynają się napelniać pokoje masą wrzaskliwej hałastry niemieckiej, przybierając groźne względem mnie usposobienie. Pytam się, co chcą — jeżeli nie zrozumieli to *da capo* zacząć prawić. Na to mi moi znajomi oświadczenia, żebym czem prędzej wyjeżdżał, bo życie moje w niebezpieczeństwie i w istocie widzę tu i ówdzie wychylającą się broń. Siedząc spokojnie z towarzyszami na kanapie przyglądam się temu, co się dzieje i widzę, że kiedy owe masy do mnie groźnie się garną, kilkunastu stawają w mojej obronie, zastępując im we drzwiach drogę. Tak przeszło godzinę trwa walka, tylko kilku rzemieślników polskich stawają obok mnie, a po stajniach czekają parobcy polscy na mój rozkaz, z widłami.

Widzę, że zamiarem jest Niemców wystraszyć mnie z miasta; oświadczam zatem, że odjeżdżam, jeżeli mi dadzą pokój i rozejdą się. Odebrawszy zapewnienie, że nie będę napastowany przy odjeździe, wracam do domu, tylko z okien Niemki szydercze pożegnania, wiewając chustkami, mi przesyłają¹².

Przekonany, że w usposobieniu Niemców nagła zmiana nastąpiła i kiedy w moim powiatowym mieście mnie tak przyjęto, nie warto dalej się zapuszczać, jadę do Chelмна donieść komitetowi, że dalej nie można podług żądania poznańskiego komitetu, który zalecał jedność z Niemcami. W tym celu jedzie Elżanowski do Poznania, a ja z księdzem Tułodzieckim rozsyłamy odezwy na wszystkie strony, wzywając do jedności, która zapewne z nieporozumienia zerwaną została.

Później dopiero dowiedziałem się, co spowodowało tę nagłą zmianę w usposobieniu Niemców. Otóż następca tronu, uciekający z Berlina, gdzie lud zabierał się zburzyć pałac jego, który tylko przez to ocalał, że ktoś, po drabinie wyszedłszy, napisał na murze: „Własność narodowa”, przybył w no-

cy do Bydgoszczy. Tam, zebrawszy naczelników Niemców, rozkazał zerwać przyjaźń z Polakami: „On jedzie do Petersburga i stamtąd z wojskiem wróci poskromić Polaków i Berlin”.

Tymczasem odbieram wiadomość, że szyper, Zakrocki, wybrany na członka komitetu, wybierając się z Grudziądza do Chełmna, został tam zatrzymany i zagrożony wieszaniem, zaprowadzono go na fortecę, pod pozorem uchronienia go od zemsty ludowej. Piszę więc do komendanta fortecy grzeczny list, prosząc go, aby mi pod eskortą przysłał Zakrockiego, jako członka komitetu, mającego czuwać nad bezpieczeństwem publicznym. Nie tylko, że go nie wypuszczono, ale nadto ogłoszono, że żądałem od komendanta kluczy od fortecy.

Jakiemi Niemcy i Żydzi starali się kłamstwami podburzać przeciw mnie, przytoczę jeden przykład. Kiedy Samplawski z owym Niemcem wracali z Pelplina od biskupa, nocując w Grudziądzu, wpada do nich kupiec żydowski, który im powiada, że ja w dziesięć tysięcy kosynierów wpadłem do Wąbrzeźna, miasto zburzyłem, Niemców i Żydów w pień wyciąłem.

Próbowali obywatele niemieccy koniecznie mnie skompromitować, nasyłając mi Polaków w ich służbie będących, że chcą się zapisać do wojska polskiego. Powiadam im, żeby teraz cicho siedzieli i służby swojej pilnowali, jeżeli będzie potrzeba, to ich się powoła. Żądali koniecznie zadatku, ale dostawszy odmowę i skarżąc się, że głodni, dałem każdemu złotówkę. Mówił mi później sędzia, że bardzo dobrze zrobił, że tylko tak mało dałem, bo to nie mogło się nazywać zadatkiem.

Oczekując rezolucji z Poznania, co dalej robić, wchodzi do mnie oficer od kirysjerów, znany mi jeszcze z roku 1846, późnym wieczorem i powiada, że jutro szwadron jego przybywa do Chełmna. Na zapytanie: „Po co?” odpowiada: „Posłali Niemcy znowu po mnie, bo się was boją”. Naza jutrz wjeżdża szwadron kirysjerów do miasta i niebawem obsadzają hotel, w którym stoję. Następnie wchodzi miejscowy landrat, który mi donosi, że z rozkazu pana Anza jestem aresztowany wraz z księdzem Tułodzieckim¹³. Żądam usłyszeć od pana radzcy za co? Nim on do mnie przybył, wpada Elżanowski wracając z Poznania do hotelu, ale pocziwy gospodarz radzi mu czym prędzej się wynosić, bo my już aresztowani. To go ocaliło.

Pan radzca przybywa do nas, a zapytany, za co jesteśmy

aresztowani, mówi: „Z rozkazu rejencji” — i tak wywożą nas z dwoma żandarmami manowcami, obawiając się, aby lud nas nie odbił i osadzają w znanej mi kazamacie z roku 1846.

Na zakończenie tomu pierwszego, umieszczam mówkę, którą na bankiecie we Lwowie, w imieniu rodaków z Prus Zachodnich powiedzieć zamierzałem, ale nie chcąc być w sprzeczności z zapatrywaniami moimi co do przyszłości naszej Ojczyzny z mówcami poprzednimi, obsypanymi oklaskami, zaniechałem, obawiając się wzbudzić niezadowolenie słuchaczy, kontentujących się nadzieją oswobodzenia Ojczyzny w dalekiej, zamglonej przyszłości.

„Szanowni Rodacy!

Jako obywatel z Prus Zachodnich, mieszkaniec znad Wisły, wpadającej długim swym biegiem jako ciągle polska rzeka do morza, pragnę do Was przemówić. Nie mam, prawda, pełnomocnictwa do tego od moich ziomków, ale mam prawo nie mniej legalne, bo zapisane w oskarżeniu Prokuratorji Pruskiej, która mi zaszczytne miano daje przywódcy tej prowincji, a potwierdzone trzykrotnem więzieniem. Przed czwartem — ponieważ *omne trinum perfectum*¹⁴ — schroniłem się do Krakowa.

Dzięki Wam, Szanowni Lwowianie, żeście mnie i nas wszystkich poruszyli z miejsca, gdzieśmy siedzieli zadumani nad dolą naszą. Dzięki Wam, żeście nas poruszyli, bo nam duszno pod brzemieniem niewoli. A to poruszenie nas, żeby nam podać dłoń bratnią, żeby nas duchem Waszym pokrzepić, którym pocieszacie serca wszystkich, nawet z tych części naszej Ojczyzny, z których braciom na tę uroczystość przybyć nie wolno — to poruszenie nas, żeby nam dać sposobność posypać garść ziemi na Wasz święty pomnik¹⁵ — to orzeźwia, to daje otuchę zmartwychwstania.

Ta otucha byłaby płonna, gdyby nie dzisiejsze ruchy wszystkich ludów takie, o jakich nam dzieje dotąd nie piły.

A ruchy te wzmagają się i wzmagać będą, aż wzrosną do takiej potęgi, że usłyszymy okrzyk, przepowiedziany przez naszego wielkiego wieszczka:

»Dalej z posad bryło świata, nowemi cię pchniemy tory!«

Jeden tylko, nie naród, ale szarańcza krzyżacka, myśli

nam odebrać tę otuchę, bo niesyta uroczystości w tym roku obchodzonych, zapowiada, że w przyszłym obchodzić będzie uroczyście stuletnią rocznicę pierwszego rozbioru Polski. I między nami odzywają się głosy, żeby tę rocznicę obchodzić żałobą.

Ale jak tamtym nie radzę przedwcześnie głowy łamać nad urządzeniem festynów, tak nam nie spieszyć z żałobą. Żyjemy bowiem w czasie wielkich wypadków — większych niespodzianek. Cóż niepodobnego, że nam właśnie w tę rocznicę przypadnie koniec naszej niewoli, i że z woli Bożej, dozwolone nam będzie w naszych świątyniach zaintonować uroczyste *Te Deum!* — A tamtym, co zamyślają o uroczystościach na cześć popełnionej zbrodni i śmia nam uragać, tamtym okażemy księgę rachunków.

I czemuż nie mamy zdobyć całej Ojczyzny, kiedy dziś jesteśmy na drodze zwycięstwa. Wszak to świeżo zdobyliśmy na powrót dwie piękne nasze prowincje, Ruś kochaną i Szląsk pracowity — a zdobyliśmy nie krwią i pożogą, ale potęgą naszej miłości.

Pozwólcie zatem szanowni Rodacy, że wzniosę toast na cześć tych naszych zdobyczy:

Niech żyją tu przytomni reprezentanci Rusi i Szląska!"

Rozdział IX¹

OD DRUGIEGO UWIĘZIENIA MEGO
DO ŚMIERCI PATRIARCHY NASZEGO,
JAKUBA WILKXYCKIEGO Z RYŃSKA,
OD ROKU 1848 DO 1850

Treść: Proces nam wytoczony o zbrodnię kraju (Landesver-
rath). — Dowody Niemców konieczności germanizacji słowiań-
skich krajów dla szczęścia świata. — Przepowiednia księdza Ło-
bodzkiego w Moabicie. — Napad huzarów pruskich na bezbron-
nych pod Łabiszynem. — Wielkie szkody w trzech majątkach
moich przez trąbę powietrzną. — Zabawny sposób indagacji. —
Napad huzarów pruskich na mój torf. — Po ośmiu miesiącach
uwolnieni przez amnestią. — Wybrany na posła do Berlina. —
Mój inserat w gazecie poznańskiej. — Rozwiązanie sejmu. —
Nowe wybory — wybieramy chłopą. — Śmierć Jakuba Wilkxyc-
kiego. — Epizod opisujący manifestacje ludu polskiego na Szlą-
sku w roku 1869 i 1871.

W lepszym nierównie usposobieniu, jak w roku 1846,
wchodzę do więzienia, bo nie sam, ale w miłym towarzy-
stwie zacnego księdza Tułodzieckiego, a nade wszystko w
przekonaniu, że długo nas trzymać nie mogą, nie mając
żadnego powodu do oskarżenia, tem bardziej, żeśmy dwaj
w całym Królestwie Pruskim a nawet w całych Niemczech
byli jedyni politycznie uwięzieni. Byłem nawet pewny, że
tu tylko dla koniecznie potrzebnego chwilowego wypoczyn-
ku po tak nadzwyczajnych zajęciach i ciągłych rozprawach
o braterstwie, od których aż ochryplem, się znajdujemy, i że
niebawem sami Niemcy przekonani o krzywdzie nam wy-
rządzonej, korzystając ze zdobytego na bruku berlińskim

wszechwładztwa ludu, w tryumfie nas wyprowadzą. Z drugiej strony byłem zaspokojony dowiedziawszy się, że żona zamiast być zmartwioną, kontenta była, że jestem bezpiecznym od podobnych napaści, jakich w Brodnicy doznałem, a miała słusność, bo później się dowiedziałem, że 100 talarów nagrody na głowę moją wyznaczono.

Niemcy wprawdzie nas nie uwolnili z więzienia, ale jednak pamiętali o nas i żebyśmy się nie nudzili, jako też żeby nas przekonać, jak niedorzeczne są nasze zachcianki co do przywrócenia Polski — przysłali nam broszurę i mapkę Niemiec. Broszura ta w Gdańsku wyszła dowodziła, że: „Niemcy jako naród mający przymioty, jak żaden inny, bo Niemiec jest najoświecieńszy, najpracowitszy, najporządniejszy, najwaleczniejszy, najpiękniejszy i *der gemüthlichste* (na co już nie ma wyrazu polskiego i dlatego twierdzą, że to przymiot im jednym właściwy) jest przeznaczony zaprowadzić nad światem, toteż misja narodu niemieckiego jest przyjść w pomoc wszystkim koloniom niemieckim, czerwonymi kółkami na tej mapce pomalowanymi i starać się powiększać te kółka, tak aby wszystko jeden czerwony kolor tworzyło. Bo te kolonie zaprowadziły kulturę w owe dzikie kraje, a zatem gdyby je nie rozszerzono, obawa jest, żeby mogły przewagą Słowiańszczyzny zniknąć zupełnie, co by wielkim dla świata było nieszczęściem”.

Czy król pruski, przybrawszy tytuł cesarza wszech-Niemców, nie pomyśli urzeczywistnić tę piękną ideę pangermanizmu?

Tymczasem tygodnie schodzą i chrypka zginęła, a o uwolnieniu nie słychać. Żona przysłała święcone wielkanocne, które spożywając powiada mi ksiądz Tułodziecki, że siedząc po wyrokach w Moabicie, wszyscy więźniowie niemal na humorze stracili, tylko ksiądz Łobodzki, skazany na śmierć, śmiał się z tych wyroków i wszystkim gadał, że Niemcy jeszcze prosić ich będą, aby wyszli, a jak go spytano, kiedy to nastąpi, odpowiadał, że święcone jajko każdy w domu jeść będzie. Wszystkim wyprorokował, prócz jego jednego.

Zjeżdża nareszcie sędzia z Kwidzyna do indagacji każdego z osobna. Wezwany do opowiadania moich czynności, podaje cały przebieg na wyraźne żądanie samych Niemców i że wszystko tylko tak daleko doszło, że miały być komiteta z obydwu narodowości wybrane do organizowania uzbrojenia powszechnego. Sędzia dyktuje protokół i w końcu dodaje, że to uzbrojenie jako przeciw Moskwie wymierzone, podług kodeksu karnego jest Landesverrath — zdrada kra-

ju — i żąda, abym podpisał. Nie tylko nie podpisałem, ale zaniósłem do głównego sądu protest przeciw podstępemu inkwirentowi, to samo zrobił mój towarzysz. Siedzimy znowu kilka tygodni, bo sądowi się nie spieszyło; przysyłają nam innego sędziego, któremu przyznać muszę, że z godnością postępował. Oświadczył z góry, że wszystko dosłownie pisać będzie, co powiem, nic nie dodając, nic nie ujmując. Powiadam więc, że kiedy przez czas całej czynności mojej o niczem innym nie było mowy, tylko o braterstwie z Niemcami, a ja o zbrodni jakąś jestem posądzony i uwięziony, to już tej zbrodni nigdy nie popełnię. Powiadam dalej, że lud nasz więcej miał od nas rozumu, bo nas przestrzegal, że nas Niemcy zdradzą, a my o braterstwie z niemi rozprawiamy, kiedy przysłowie mówi: „Póki świat światem, Niemiec Polakowi nie będzie bratem”. Wszystko to zapisał, śmiejąc się, sędzia. Wkrótce sprowadzono więcej więźniów, między niemi i majora Korewę jako członka komitetu, który jeszcze do niczego nie należał, i umieścili ich pod nami, tak że przez otwór w podłodze mogliśmy rozmawiać. Ale wkrótce oderwaliśmy deskę na schodach, a przez ten otwór wygodniej mogliśmy się komunikować.

Czytamy w gazecie poznańskiej² o napadzie szwadronu huzarów pruskich, którzy pod Łabiszynem w Księstwie Poznańskim na oddział obywateli z Królestwa przybyłych do Prus, konno jadących bez broni — bo wszystka broń na wozie była umieszczona — do Poznania, żeby się tam do formujących się kadrów pod Mierosławskim i pruskim generałem Wilisenem przyłączyć — napadli, kilku zabili, innych poranili, resztę do niewoli zabrali. Powiadam placmajorowi, który nas często odwiedzał o heroizmie Prusaków względem bezbronnych, ten zaręcza, że to bezczelne kłamstwo, bo nawet u dzikich Indianów bezbronny nieprzyjaciół jest pewny życia swego, a przecież Prusacy nie są barbarzyńcami i wychodzi oburzony, że możemy dać wiarę takim kłamstwom. Tymczasem gazety podają szczegóły tego rycerskiego napadu, ale placmajor się nie pokazuje przez kilka tygodni, dopiero kiedy przybyło na fortecę dwóch, a pomiędzy niemi mój sąsiad, Aleksander Wysocki, który dowodził tym oddziałem, ranny w kark, od którego się mógł dokładnie dowiedzieć, a kiedy nareszcie do nas przychodzi, ja mu mówię: „A co panie placmajorze — kłamstwa piszą gazety polskie?” On nic nie odpowiada, tylko natychmiast wychodzi.

Więcej takich heroiczych czynów wojsko pruskie doka-

zało w Księstwie Poznańskim. Przytoczę tylko między wieloma jeden. Stanisław Sadowski, zaręczony z synowicą moją przed uwięzieniem, kiedy z Moabitu uwolniony wraca do domu, a kiedy był zajęty organizacją wśród jeszcze przyjaźnych stosunków z Niemcami, wpada podoficer z kilkoma żołnierzami do jego pokoju, w którym siedzi z matką na kanapie, i kilkoma go strzałami zabijają. Kontent więc byłem, że siedzę zabezpieczony kratami więziennymi od podobnego losu.

Dość nam wesoło czas schodził, bo pod nami umieszczono majora Korewę, Wysockiego i kuzyna mego — eksporucznika pruskiego Szawelskiego, a schodząc się przez ów otwór w schodach, bawiły nas zawzięte spory polskiego majora z porucznikiem pruskim.

Wysocki opowiada nam bliższe szczegóły wypadku pod Łabiszynem³, że trzydziestu obywateli z Królestwa na pięknym koniach i zbrojno przybyli do niego, żeby ich prowadził do Poznania. Wstąpili do Piątkowa, 7 koni zabrali wraz z rządcą i pojechali. Po łabiszyńskim napadzie zaprowadzili huzary prócz tych, których nie zabito i kilku, którzy zdążyli uciec, wszystkich powiązanych do Łabiszyna. Tam jeszcze pastwiono się nad niemi, plując i bijąc po twarzach. Zawieziono ich potem do Torunia, gdzie Niemcy prowadzonych przez miasto wyszydzały dowolnie. Skoro go przywieźli do Grudziądza, przybył wkrótce do niego asesora z Bydgoszczy, który mu przywiózł rachunek z przedaży koni zabranych pod Łabiszynem, pomiędzy którymi i moje były, i oddawszy mu kilkanaście srebrnych groszy po odtrąceniu kosztów, które mieli, kazał mu pokwitować. Czyż to nie dowód poczciwości i akuratności pruskiej?!

Biednego Zakrockiego nie wiedzieć za co trzymano w ścisłym więzieniu, tak że ten zamożny obywatel grudziądzki, bo posiadający własny dom, spichlerz i statek na Wiśle, obarczony liczną rodziną, zupełnie podupadł.

Widzieliśmy, spacerując pod eskortą po fortecy, pomnik postawiony komendantowi Courbière, który jeden po bitwie pod Jeną nie poddał swojej fortecy⁴, bo był rodowity Francuz, który podczas rewolucji emigrował i nie dał się przekupić jak inni.

Kiedy tak nie najgorzej się bawimy, ciągle łudzeni, że wkrótce będziemy wolni, odwiedza mnie teść mój Wybicki, który mi udziela przykrą nowinę, że okropny uragan wielkie mi szkody narobił w trzech majątkach, największą w Piątkowie, gdzie wielka stodoła zgruchotana, nie mniej wia-

trak i wiejskie budynki, a żona z dziećmi z zawałającego się starego dworu do nowo wybudowanej oficyny schronić się musiała. Piszę więc podanie do głównego sądu o uwolnienie po takiej klęsce, a teść sam jedzie z niem do Kwidzyna. Wkrótce jednak wraca z doniesieniem, że nie mógł się widzieć z prezesem i tylko oddał podanie. Odpowiedź niebawem nadeszła w tych krótkich słowach: „Dla wielkości popełnionej zbrodni nie możemy Pana uwolnić”.

Ta trąba powietrzna niesłychane szkody, którą przeszła, zrobiła, najbardziej przestraszyła Niemców w Bydgoszczy. W wilią bowiem było wielkie zgromadzenie na głównym rynku, tam mówca między innymi, wskazując na wieże kościoła, uniesiony patriotycznym entuzjazmem, te wyrzekł słowa: „Póki te wieże stać będą, ta ziemia zostanie niemiecką!” Nazajutrz obie wieże runęły⁵.

Czytamy w gazetach odezwę kanclerza moskiewskiego Nesselrode do dworów niemieckich, mianowicie berlińskiego, w której wyraża zażalenie cara za sprzyjanie i wspieranie emigracji polskiej w przejeździe z Francji przez Niemcy do walki przeciw Rosji, a nawet król pruski naczelnika buntowników polskich, księcia Adama Czartoryskiego na obiad zaprosił. Odezwa wymienia dalej nazwiska ministrów pruskich, którzy szczególnie ułatwiali Polakom przejazd. Ale mówi dalej Nesselrode, że cesarz i pan jego w dobroci serca swego nie chce pamiętać tych uraz itd.

Żeby zatem ożywić ten nasz nudnie ciągnący się proces, piszemy obydwaj z Tułodzieckim do sądu, żeśmy się zdecydowali wyznać całą prawdę i denuncjować głównych herztów tego Landesverrathu. Leci sędzia z Kwidzyna, a kiedy mnie przywołuje do siebie, biorę ową gazetę ze sobą i powiadam: „Tu wyraźnie stoi, kto wojnę przeciw Rosji podniecał, oto król pruski i owi ministrowie, których kanclerz rosyjski wymienia, my tylko mówili o przygotowaniach, które trzeba będzie robić, skoro Prusy wojnę Rosji wydadzą”. Pisze to wszystko sędzia śmiejąc się, po mnie ksiądz Tułodziecki jeszcze obszerniej do protokołu swoje denuncjacje podaje.

Ale i Niemcy niechcący nas swoim zwykłym mieszanym nazwisk polskich zabawili. Bo kiedy podoficer przychodzi do mnie z doniesieniem, że ktoś ze mną się chce widzieć, dążę co prędzej do placmajora, gdzie zwykle było *rendez-vous* i wchodząc do pokoju widzę księdza mi nie znanego — na to wpada placmajor i nuż wymyślać na podoficera, że nie umie nazwisk rozróżnić: „Ten pan jest Sulodziecki, a tamten Tułodziecki — tylko pierwsze litery odmienne,

wszak tak?" „Tak!" — odpowiadam, bo spieszę donieść o tem
mojemu towarzyszowi.

Przy następnej wizycie sędziego mówi mi: „Możesz pan
być kontent, że siedzisz w więzieniu, bo niedawno temu
chłopi polscy na jarmarku w Kowalewie, zbiwszy Niemców
i wypędziwszy za miasto wolali, że to za to, żeście naszego
naczelnika uwięzili. Gdybyś pan nie był w Grudziądzu, to
by się nazywało, ponieważ Kowalewo tak blisko Piątkowa,
żeś to pan komenderował”.

Cześć Tobie, Ludu Polski, żeś się przebudził, lwie śpiący,
i poznał kto Twoje wrogi!

Przysłano nam też dwóch niemieckich demokratów na for-
tecę, Siegrista i Korna, jako naczelników napadu na arsenał
berliński, z którego lud broń rozebrał. Chodzili w czerw-
onych czapkach po fortecy i często się koło naszych okien
kręcili, żeby się nam pokazać.

Z gazet dowiadujemy się, co się dzieje w Księstwie Po-
znańskim. Tam Niemcy starają się sympatią dla Polaków w
całych Niemczech obudzoną najbezczelniejszymi kłamstwa-
mi niweczyć. Nie tylko w gazetach opisują, jak kosyniery
polskie piersi kobietom obrzynają, prują brzuchy, pastwią
się nad Żydami i Niemcami, ale sami aż do Renu jeżdżą,
obwożąc w obrazach te skłamane sceny barbarzyńskie i przy-
lepiając je po rogach ulic. Skutek był naturalny, że Niemcy
przejeżdżających Polaków z Francji nie tylko zatrzymują,
ale i kijami okładają i więżą; to samo się dzieje z Polakami
z Poznania do Berlina jadącymi. Tylko kilku uczciwych
Niemców się znalazło, którzy po gazetach i broszurach kłam
zadawali tym oszczerstwom, jeden był asesor Fischer w Po-
znaniu, drugi sędzia z Inowrocławia. Pierwszy nawet tak
się wyraził, że widząc niegodziwości popełnione przez Niem-
ców, musi samego siebie zapytać: „Czy to w charakterze
Niemców leży?” Oj, co leży, to leży!

Zanadto jest znana historia niegodziwości pruskiego woj-
ska z garstką Polaków pod dowództwem Mierosławskiego w
następnej walce, abym je tu powtarzał, przypomnieć tylko
muszę, jak po ukończonej wojnie, kiedy dużo naczelników
polskich uwięziono, utworzono bandę z trzystu drabów nie-
mieckich, którzy główną kwaterę mieli w Grocholinie, ma-
jątku Treskowa, który wraz z szwagrem swoim hrabią Li-
tychaurem, z Królestwa do niego przybyłym, żold im da-
wał i na wszystkie strony rozsyłał, batożyć każdego, kogo
spotkają.

Demokraci niemieccy, sprzyjający Polakom, wysłali z Ber-

lina, żeby się przekonać czy prawda, co gazety polskie o tem piszą, jednego ze swego grona do Grocholina. Ten zdał taki raport: że przybywszy na miejsce starał się uzyskać zaufanie obydwu naczelników bandy; grywał z niemi w karty, przy czem imperiały rosyjskie głównie rulowały. Wieczorem owe bandy zwykle wracając zdawały raporta, gdzie i kogo wybili — dostało się i niejednemu z obywateli.

Falszywa maksyma obywateli polskich cierpliwie znosić krzywdy, uzuchwiała tak dalece Niemców, że kilkaset łotrów mogło w ten sposób bezkarnie ohydzać całą prowincję. Niechże więc przynajmniej ich czyny będą zapisane w księdze rachunków!

Na cześć poległych w tej nieszczęsnej walce, umieszczam: piękną improwizację śp. Władysława Syrokomli przy sposobności sadzenia drzewa na mogiłach poległych pod Książem 1848:

„Na waszym grobie waleczni kosarze
Drzewo pamięci sadzimy ziomkowie,
Niech się rozrasta, niech w każdym konarze
Żyje myśl wieczna, która o nas powie.

Soki żywotne, co wasz proch udzieli,
Niech w każdą gałąź wleją siłę nową,
Niech każda gałąź szumi pieśń bojową,
I waszych prochów wywoła mścicieli.

Okryj się drzewo zielonością piękną,
Białego orła osłoń konarami,
Na przyszłe żniwo, gdy kosy zabrzękną
Święci kosarze módlcie się za nami.

Nie giną marnie hohaterskie dzieła,
Święty ich popiół, bo ma iskrę w sobie,
Na każdym męczenników grobie
Jest myśl, że jeszcze Polska nie zginęła”.

Książ, 19 lipca 1858.

Kiedy wreszcie amnestia królewska uwolniła rodaków naszych z Księstwa z więzienia, sądziliśmy, że i dla nas, cośmy nic bezprawnego nie robili, nastąpi, ale dopiero staraniom kanonika Rychtera^o, byłego rektora Gimnazjum

Chełmińskiego, a obecnie posła na sejmie berlińskim, do którego żona moja się udawała, byliśmy winni, że ta amnestia i na nas była rozciągnięta. Z Polaków żaden poseł nie poczuwał się znać do obowiązku starania się o nasze uwolnienie: „Niech siedzą zapalone łby!” Z daty amnestii przekonaliśmy się jednak, że ją w Kwidzynie cztery tygodnie zatrzymano.

Wróciwszy do domu po ośmiomiesięcznym więzieniu, przekonywam się naocznie o wielkich spustoszeniach, jakie owa burza sprawiła, ale niemało mnie pocieszyła deputacja przysłana od polskich obywateli miasteczka Golubia, wręczająca mi adres, w którym radość z uwolnienia mojego wynurzała. Podobny odbieram od gospodarzy kilku sąsiedzkich wsi. Przekonywam się stąd, że błoga zmiana w usposobieniu ludności polskiej nastąpiła, a pokrzepiony temi dowodami współczucia wziąłem się z ochotą do naprawy ciężkich strat majątkowych. Ale daleko w tej naprawie nie zaszedłem, bo w następnej wiosnie roku 1849 powołany zostałem na sejm berliński.

Było nas czterech posłów polskich z Prus Zachodnich⁷, z Księstwa przeszło dwudziestu, i naradzano się wspólnie w Kole Polskim, wieczorami się schodząc, o zachowaniu się naszym na sejmie. Ale liberały niemieckie, z którymi się znosiliśmy, ciągle nam gadali, żebyśmy naszymi polskimi sprawami im nie przeszkadzali, tylko z niemi po prostu głosowali. A że w sejmie ja z pięcioma Poznańczykami na skrajnej lewicy siedziałem, a pomiędzy nimi Wojciech Lipski, kolega z uniwersytetu, z którym tu pierwszy raz się spotkałem, reszta blisko centrum, powiedziałem kolegom moim, że kiedy tu głowami naszymi nic zrobić nie możemy, powinniśmy przynajmniej siedzeniem jedność okazać. Nic to jednak nie pomogło, zostaliśmy na swoich miejscach. Prusy Zachodnie nie zasłużyły w owym czasie jeszcze na to, aby głos kolegi, choćby słuszny, był przez ogół uwzględniony. Więcej jeszcze przekonałem się, w jakiej opinii moja prowincja jest w Księstwie z artykułu gazety poznańskiej, gdzie redakcja zaleca posłom swoim, aby w nadchodzącej, ważnej dla Polaków kwestii w sejmie wszelkimi sposobami się starali, aby posłowie z Prus Zachodnich z niemi razem głosowali. Trudno mi było milczeć na takie *dictum acerbum*⁸ i przysyłam w imieniu moich kolegów redakcji inserat treści następującej:

„Z boleścią serca dowiedzieliśmy się z wstępnego artykułu dziennika poznańskiego, w jakiej opinii stoimy u bra-

ci naszych z Księstwa. Przyznać muszę, żeśmy zasłużyli na tę opinię, bo Prusy Zachodnie mało dotąd ducha narodowego okazały, ale rok 1848 rozbudził tę martwą polską dzielnicę, tak iż ręczyć mogę, że w przyszłej, a daj Boże ostatniej, walce o byt narodowy, Prusy Zachodnie staną w jednym szeregu z bracią wszechziem polskich i wtenczas będziemy się starać odebrać chrzest narodowy”.

Redakcja oświadczenie to moje nazwała zaszczytnem, ale w „Nadwiślaninie”⁹ wszczęła się stąd polemika, z jednej strony zarzucająca mi, że jestem złym ptakiem, własne gniazdo brudzącym, z drugiej stojąca w mojej obronie, a polemika ta była wstępem do nieszczęsnego rozdzielenia w naszym zakątku.

Niedługo dozwolono liberałom niemieckim na sejmie popisywać się opozycją przeciw rządowi, który pod prezydencją ministra Manteuffla pełnymi żaglami do reakcji dążył. A ponieważ liberały byli w większości i przy głosowaniu propozycje rządowe przepadały, rozwiązano sejm.

Wróciłem więc do domu, gdzie byłem potrzebniejszy jak w Berlinie, bo trzeba było gorliwie zająć się naprawą strat majątkowych i gospodarczych doznanych podczas więzienia.

Teraz dopiero dowiaduję się o zabawnej awanturze zaśłej podczas mojego siedzenia w więzieniu.

Miałem wówczas w całym majątku tylko jednego Niemca młynarza. Sąsiedzi moi, niemieccy, obawiając się zemsty moich ludzi za to, że spowodowali moje uwięzienie, namówili owego młynarza, aby ze swego wiatraka pilnował, kiedy piątkowscy ludzie wychodzić będą rznąć Niemców.

Jednego wieczora widzi młynarz ruch wielki we wsi, pewnie baby wracające świnki z pola do chlewów napędzały, a że na złodzieju czapka gore, więc biegnie do najbliższej wioski, do Kiełpin z doniesieniem, że piątkowscy wychodzą z kosami. Ten pędzi do Golubia, gdzie stali huzarzy i prosi oficera o ratunek. Cały szwadron z oficerem na czele i przewodnikiem żandarmem wyrusza pod Piątkowo. Noc ciemna, przybywają do Kiełpin, cicho jadą pod Piątkowo, a przebywszy granicę, widzą z pagórka w dole stojące kolumny. Oficer komenderuje: „Ognia z karabinków!” Pałają, kolumny stoją, ani drgną. Komenderuje dalej do ataku *en carrière*, z pałaszem w ręku. Pierwszy rząd huzarów wpada w doły, więc oficer na tyle się trzymając, woła: „Zasadzka!” I na powrót do Golubia na złamanie karku, bo słyszą kosy za nimi brzęczące. Wpadają do miasta, baryka-

dują bramę i całą noc miasto na nogach do rana. Kosynierów nie widać, więc wychodzi rekonesans pod Piątkowo, który dochodząc do miejsca skąd rejterada nastąpiła, widzi jeszcze kolumny, ale nie chłopów, tylko — torfu. Z trudnością wydobyto konie, które nocowały ugrzęzłe w dołach torfowych¹⁰.

Nowe wybory na sejm zostały nakazane, przy których już się pokazała zmiana usposobienia ludu naszego, bo kiedy Niemcy w moim powiecie już nie chcieli przystać na wybór jednego Niemca, drugiego Polaka, sądząc, że chłop polscy pod panem niemieckim będą głosować, jak on im nakaze i tak większość mieć będą, pocziwy lud nasz, bez wyjątku, głos oddawał na tego, którego im kierownicy wyborów wskazali. Nie mając sam pretensji na nowo zostać obranym, zaproponowałem wybrać chłopą-gospodarza, który dostając 3 talary dziennych diet, talarem opędzi kosztu siedzenia w Berlinie, a dwa chowając do kieszeni, przez kilkumiesięczną kadencją uzbiera sobie grosz niemały, którym albo gospodarstwo podnieść, albo dług jaki spędzić potrafi. Byle tylko głosował jak inni Polacy, okaże tak dobrze jak każdy inny, że jest obrany przez polską większość, o co nam głównie chodzić powinno, a wymowa tam żadna nie popłaca, gdzie rząd na żadne ustępstwa nie przystaje. Wybraliśmy zatem porządnego gospodarza Elminowskiego, który przez te diety wybrnął z dłużków od Żydów zaciągniętych i lepiej na tem wyszliśmy, jak posłowie wielkopolscy, których mowy przez mameluków Manteuffla z szyderstwem były przyjmowane, z których się ówczesna izba tylko składała, bo liberały niemieckie od wyborów zupełnie się wstrzymali.

W tym roku Ziemia Chełmińska poniosła wielką stratę przez śmierć patryjarchy naszego, śp. Jakuba Wilkxyckiego z Ryńska. Jako naczelnik licznej rodziny na tej ziemi zamieszkałej, staropolską gościnnością mając dom otwarty, Ryńsk był ogniskiem rozbudzonego ducha narodowego, któryżywiony jeszcze został przez połączenie Ziemi Chełmińskiej z Wielkopolską w osobie zacnego Seweryna Mielżyńskiego z Miłosławia jako zięcia.

Całe obywatelstwo zjechało na obrzęd pogrzebowy, przypadkiem i nasz kochany poeta Lenartowicz był obecnym. Mnie przypadł zaszczyt mową pogrzebową cześć oddać pamięci zgasłego naczelnika obywatelstwa polskiego. Nie mogłem zapomnieć w tej mowie, że najlepszym dowodem uczuć patryjotycznych tego przeszło siedemdziesięcioletnie-

go starca była prośba w roku 1846, kiedy słyszał o mającym nastąpić powstaniu, do tych, co mu tę wiadomość przywieźli: „Nie zostawcież mnie w domu, przecież ja wam jeszcze przydać się mogę”.

Najwięcej ja sam na tem straciłem, że te dwoje ócz na zawsze się zamknęły. Nie tylko, że w sąsiedniej wsi, Ryńsku, najserdeczniejsze ze strony obojga szanownych Wilkxyckich znajdowałem przyjęcie, ale i do samego końca zapewnione poparcie wszelkich myśli, wszelkich potrzeb narodowych. Ryńsk został zadzierżawiony — szanowna Wilkxycka przeniosła się do Wałcza pod Chełmno. Nie tylko, że w roku 1848 rozpoczyna się walka Niemców ze mną, ale i między obywatelstwem polskim zaczęły się pojawiać do mnie niechęci. Jeszcze przed aresztowaniem moim w Chełmnie, przybył do mnie obywatel niemiecki, Kitel z Żygląda, przedstawiając mi, abym dał pokój wszelkiemu organizowaniu, ponieważ mam obywateli polskich mnie przeciwnych: „Pan — mówi dalej — tylko przez emigrantów jesteś poparty, całe obywatelstwo jest niechętnie, przekonałem się o tym w Wąbrzeźnie na zjeździe, dlatego też ten zjazd inaczej się skończył, jak się zaczął”.

Bolesnem było słyszeć z ust Niemca takie wyrazy, tym bardziej że potwierdzenie tego znajdowałem w dalszym pożyciu bardzo obfite. Ale wolę jeszcze, ile możliwości, nie naruszać tej smętnie brzmiącej struny mojego życia, lubo pomimo mojej woli sama odzywać się będzie.

Dlatego żeby na chwilę oderwać myśli moje i czytających przyjaciół od owej, niepojętej dla mnie, zmiany dawnych serdecznych przyjaciół, wolę przerwać dalszy opis wypadków, świeżo doznana pociechą na zgromadzeniu ludowym w Cieszynie, odbytem pierwszego sierpnia tego roku.

Już przed dwoma latami lud polski w Hrabstwie Cieszyńskim na Szląsku urządził narodową zabawę w Sibicy przy Cieszynie, na którą ogłosił zaproszenie. Byłem tam i ja z licznym gronem krakowian i przekonałem się, że lud ten pięćset przeszło lat oderwany od Polski i ciągle niemczony zachował język i ducha polskiego, do którego podniesienia głównie się przyczynił redaktor „Gwiazdki Cieszyńskiej”, Paweł Stalmach i zacny pastor Otto. Świadczyły o tem mowy, które słyszeliśmy z ust włościan, pomiędzy którymi odznaczali się Cieñciała i Głajcar. Nazajutrz odprowadzało nas grono Szlązaków do Oświęcimia. Tam przy pożegnaniu były znów mowy, tam i ja w imieniu rodaków spod zaboru pruskiego, tak do nich przemówiłem:

„Pozwólcie Bracia Szlązacy, że Polak spod zaboru pruskiego do Was, którzyście tu nas dotąd odprowadzili, ostatnie słowa pożegnalne przemówi. Jak wszyscy goście Was, którzy na Waszą narodową zabawę przybyli i ja jestem zachwycony tym wszystkim, com widział i słyszał, ale jedna myśl mnie niepokoi. Wiecie, że w Krakowie odkryto prochy Kazimierza Wielkiego. To odkrycie cała Polska święciła, jako palec Boży, rokujący zmartwychwstanie naszej Ojczyzny; ale wiecie też, że to ten sam król, który Was dla świętego pokoju dobrowolnie odstąpił tym, którzy mieczem zdobywać Was zamierzali; dręczy mnie zatem zasmucająca myśl, czy Wy Bracia nie złorzeczycie tym świętym prochom za to, że Was ten wielki Monarcha, jakby najgorsze dziecko od piersi matki oderwał i wrogom oddał na pastwę. Ale błagam Was Bracia Szlązacy, nie złorzeczcie tym świętym prochom, bo one nie tylko zwiastują zmartwychwstanie rozszarpanej Ojczyzny, ale odzywają się do Waszych dzisiejszych Panów i popierają Wasze żądania, aby Was dołączono na powrót do siostry Waszej, Galicji.

Cześć Wam zatem za tę uniją, którąśmy wczoraj tak pięknie obchodzili, bo ta unija jest świadectwem Waszej wiary w przyszłość polskiej Ojczyzny i jako taka zadaje kłam tym, co mówią, że Polska to trup. Żywe, zdrowe ciało, takie jakie Wy jesteście, z martwym się nie łączy, bo tylko żywe z żywym złączyć, zrosnąć się może. Cześć Wam za tę unię, bo nią zadajecie kłam barbarzyńskiej Moskwie, która mordując biedną Polskę, chwali się tym, że ją domorduje, ale dwudziestomilionowego narodu zamordować nie można.

Cześć Wam, zatem bracia Szlązacy i Szczęść Wam Boże!”

W następnym roku ciż Szlązacy wraz z Polakami ze Szląska pruskiego byli serdecznie przyjmowani w Krakowie. Znaczna liczba lwowian, a mianowicie przeszło stu młodzieży z Towarzystwa zwanego „Orły”, w pięknych strojach narodowych, z własną muzyką, ożywiło drzymiący zwykle Kraków. Goście przyjęci byli wieczorną ucztą w Ogrodzie Strzeleckim, po czym wszystkich rozebrano do domów prywatnych.

Następnie zwiedzano osobliwości Krakowa, jazda do Wieliczki i zwiedzanie kopalń oraz zabawa tańcząca tamże, pochód na Kopiec Kościuszki i zabawa ludowa na Woli. Trzeciego dnia goście się rozjechali.

W roku 1871 zaprosili znów Szlązacy rodaków do Ropicy pod Cieszynem na uroczystość narodową, mającą się odbyć dnia 30 lipca. Kilkotysięczny tłum obległ trybunę gustow-

nie w chorągwie ubraną. Kilkadziesiąt jeźdźców z chorągiewkami objeżdżali zgromadzenie dokoła pilnując porządku. Włościanina Cieńciałę obrano przewodniczącym, który z wielkim taktem wywiązał się ze swego zadania. Przemowy, głosowania odbywały się w największym porządku. Mówcy występowali ostro przeciwko nadużyciom niemieckich urzędników. Starosta Ruf musiał słuchać jako komisarz rządowy tych mów, okazując nieraz swoje niezadowolenie. Po zakończonym mityngu chór śpiewaków i śpiewaczek cieszyńskich odśpiewał pieśń: *Boże coś Polskę*, po czym w pobliskiej obozynie rozpoczęły się zabawy z tańcami, które trwały całą noc. Ja z kilkoma towarzyszami wcześniej pojechałem do posiadłości włościanina Głajcara, który nas na noc zaprosił. Nazajutrz pokazało się, że piętnastu gości spoczywało w porządnej pościeli. Obejrzawszy jego piękne inwentarze i gospodarstwo, zjadłszy dobry obiad, przy którym i toastów nie brakło, pożegnaliśmy zacnych naszych gospodarzy, którzy pomimo pięknego majątku w ubiorze nie odróżniali się od sług swoich, z przekonaniem w duszy, że choć korona tego tysiącletniego dębu, co się Polską zowie, dziś przez burze świata i żarłoczne robactwo z przyległych przypełże bagnisk, zmarnowana, smutny przedstawia widok — kiedy nowa nadejdzie burza, która zniszczy to robactwo — z owego pnia zdrowego, co się zowie lud i mieszczaństwo, wytrysną nowe soki i korona będzie znów piękna jak dawniej i dąb na nowo ozdoba przyrody.

Rozdział X

DO ŚMIERCI TEŚCIA MEGO, JANA WYBICKIEGO W ROKU 1852

Treść: Kuracja moja z żoną w Homburgu. — Doktor Gałęzowski. — Kupno Radowisk. — Buduję dwór. — Pali się. — Niebezpieczeństwo żony i dzieci. — Porwanie rządzcy mego, Kalisza, w nocy i transport do Poznania, skąd wysyłają go do Francji. — Ciągłe prześladowanie wszystkich urzędów. — Niemieccy koloniści z Radowisk skarżą mnie o paśnik w lesie i zabierają przeszło 100 morgów. — Restauruję spalony dwór. — Palą się stodoły. — Niemcy mnie palą i obiecują ciągle palić. — Inerat do berlińskiej „Nationalzeitung”. — Proces stąd wygrywam w czwartej instancji w Poznaniu. — Prześladowanie się wzmacnia. — Ogłaszam, że hrabiemu Tytusowi Działyńskiemu sprzedaję moje dobra. — Prześladowanie ustaje. — Staszyc, guwerner do syna podejrzany jako szpieg. — Nieprzyjemności stąd. — Jezuiti, misjonarze, wyteplają pijaństwo. — Pogląd na podniesienie ducha narodowego we wszystkich warstwach prowincji. — Towarzystwo Naukowej Pomocy. — Dawni przyjaciele moi stają się przeciwnikami. — Wyjazd do Kalberga do kąpieli morskiej. — Oddaję syna do jezuitów w Metz. — Pomnik dla Kopernika przez Niemców wystawiony w Toruniu.

Ponieważ oboje z żoną, po takich przejściach i z woli Bożej i ze złości ludzkiej, na zdrowiu ucierpieliśmy, uważałem za konieczne wyrwać się na czas jakiś z domu i udać się do jakich wód, które by dla nas obojga były skuteczne. Zdarzyło się, że mi się do ręki dostał opis skuteczności wód Homburga¹, z którego wyczytałem, że obojgu nam pomaga. Było to przy końcu miesiąca lipca, już żyto było w stodole i początek żniw pszenicznych. Trzymałem się bowiem zawsze tej zasady, że ponieważ u mnie żyto największą przestrzeń pola zabierało, aby się z nim uwinąć nie cze-

kając dojrzałości ziarna, ponieważ pszenica zwykle u nas razem z jarzyną dochodzi, dlatego że ostatnie ze kry musi być siane (to jest kiedy tylko z pługami albo ekstrypatarami², pod które jarzyny najlepiej siać, w pole wyjechać można), a przez opóźnienie żniw dużo zboża przy sprzęcie się ukruszy. Mówią gospodarze, że żyto tak prędko sprzętane twardo się młóci i dużo w kłosach zostaje, ale wolę, aby najlichsze ziarno w kłosach zostało owce zjadły, jak żeby najlepsze się wykruszyło w polu i ptaszki miały co zbierać.

Wyjeżdżamy więc do owego Homburgu z błogą nadzieją, że zdrowiuteńcy powrócimy. Wszędzie po drodze zastają żyto stojące w polu, w Homburgu to samo, zachodzę do żyta, widzę, że nawet przestało, bo zielsko zaczyna przerastać, ale nikt do żniw się nie bierze, pomimo najpiękniejszej pogody. Niemiec systematyczny czyta w kalendarzu, że to lipiec, więc czeka cierpliwie sierpnia, żeby z sierpem wyjść w pole.

Ale przede wszystkim kuracja — więc radzimy się doktora, a nie byle jakiego, bo tajnego radcy medycznego. Powiada, z jakiego źródła pić trzeba i jaka dieta, że wody są tego rodzaju, byle nie kwaśne rzeczy, wszystko spożywać można. Kuchnia wyborna sławnego kucharza paryskiego, więc objadamy się porządnie przy *table d'hôte*. Okolica pyszna, ale cóż z tego, nikogo na spacer, żeby razem iść, dostać nie można, bo wszystko przy rulecie, albo *trente* i *quarante*³. Takie prowadząc życie najprzód żona na okropne kurcze zachorowała. Jeden doktor nie pomaga, sprowadzam drugiego, także tajnego — dwie apteki są w ruchu, żeby dostarczyć, lekarstwa, które nic nie pomagają. Dowiaduję się, że doktor Gałęzowski z Paryża jest we Frankfurcie, jadę więc do niego i sprowadzam do Homburga. Następuje konsultacja z doktorami, którzy utrzymują, że ona chora na wątrobę, ale Gałęzowski zapewnia, że wątroba zdrowa, pomimo żółtaczki. Niemcy przy swoim zostają i dopiero, kiedy Gałęzowski mówi, że będąc dziesięć lat w Meksyku, gdzie ojczyzna żółtych chorób, on się tam na nich nauczył poznawać — tamci nabierają respekt dla Polaka, który żąda, aby żadnych lekarstw nie dawano, bo chora sama przyjdzie do zdrowia.

I mnie hamburska woda zamiast pomóc, dużo zaszkodziła, bo straciłem zupełnie sen i apetyt, tak że strasznie zmizerniałem. Głównym powodem były sute z początku obiady, których doktor nie zakazał, będąc w porozumieniu z

francuskim kucharzem. Musiałem zatem, widząc żonę wyszłą z niebezpieczeństwa, zostawić pod opieką szanowanej pani Chłędowskiej, żony emigranta i uciekać z nieszczęsnego dla nas Homburga. Pojechałem do Gleisweiler⁴ w Palatynacie Bawarskim na kurację hydropatyczną połączoną z winogronną. Tam sześć tygodni bawiąc w przepysznej okolicy, przyszedłem do zdrowia i zabrawszy żonę wiele zdrowszą wracam do domu.

W Berlinie znowu pojawiły się kurcze u żony, sprowadzam nadwornego doktora, sławnego Schönleina, który od króla wracając, gdzie, jak sam się przyznał, trochę za wiele tokaju pił, ale pomimo to zrewidowawszy żonę, obiecał list dać do doktora domowego, jak dalej kurować. W liście tym osądził, że to rak żołądkowy i zalecił ostre lekarstwa. Pokazało się, że się omylił sławny lekarz, bo żona niedługo przyszła do zdrowia, a stąd przestroga — nie wierzyć ślepo w lekarzy, a przynajmniej być bardzo ostrożnym w wyborze.

Mieszkając po zniszczeniu dworu w nowej, szczupłej oficynie, z guwernerem dla syna i nauczycielką dla dwóch córek, zaczęli się zjawiać emigranci w naszych stronach, dla których musiało się znaleźć pomieszczenie, ponieważ sąsiedzi, dawniej dla nich gościnni, przestali ich przyjmować u siebie. Stąd do dawnej niechęci nowa przybyła, która tak miłe towarzyskie dawniej życie coraz bardziej mąciła. Ale zajęcie się gospodarstwem, a przy tem konieczność pobudowania nowego dworu musiały zastąpić przyjemności nadwątłej przyjaźni sąsiedzkiej.

Dowiedziawszy się, że w Księstwie Poznańskim bawi emigrant⁵, architekt z Warszawy, przeczułem, że polski architekt potrafi urzeczywistnić marzenia moje, z którymi od kilku lat się nosiłem, co do zewnętrznego kształtu i do wewnętrznego urządzenia mieszkania. Zaczny Galle⁶, przybywszy do mnie na moje zaproszenie dał niedokładny rysunek dworu polskiego z wszelkimi wygodami w guście *renaissance*⁷, cały na suterrenach, gdzie kuchnia, kredens dla służącego, sklepy, spiżarnia i mieszkanie dla kobiet służebnych. Na piętrze wielka sala i gościnne pokoje. Cztery baszty na rogach, z których dwie służą na schody, jedno dla gości i służby męskiej drugie dla kobiet.

Materiały z desek i bali, które dawniej byłem przysposobił do nowego dworu znajdujące się ułożone na gromadę w podwórzu, burza owa zgruchotała zupełnie, tak że wróciwszy z więzienia nic nie zastałem. Musiałem zatem przyspo-

sabiać nowe materiały i zarazem wziętem się skrzętnie do budowlu, tak że przed zimą okazały ten budynek dostałem pod dach.

Nie podobało się znacznej liczbie obywateli, że kiedy do-
tąd najlichsze miałem mieszkanie, od razu stawiam dwór,
który z pałacem w Nawrze⁸ konkurować może i przez to
ich wszystkich zakasować oczywiście zamyslam. Sąsiadki też
nie zaniechały — ponieważ sąsiedzi, żeby się spotkać z
niemiłymi emigrantami u mnie, przestali zupełnie bywać —
przedstawiać żonie mojej, że się tak awanturuję mając dłu-
gów po uszy. Nie pomogły zapewnienia żony mojej troskli-
wym sąsiadkom, że zna dokładnie cały stan interesów, któ-
ry tylko z kilku tysięcy talarów po książkach kupieckich za
towary się składa. Niezadowolone, że nie potrafiły zakłócić
spokoju żony mojej, którą bardzo kochały, odjeżdżały, rzu-
ciwszy jeszcze raz zawistnym okiem na szkaradne baszty,
przeznaczone podług ich przekonania na to, żeby impono-
wać współobywatelom.

Bardziej jednak jeszcze ten budujący się dwór niepokoił
Niemców, którzy głosili, że to gatunek fortecy i dopiero co-
kolwiek uspokoili się, jak landrat z wyższego rozkazu mula-
rzy do przysięgi ściągnął, że pod suterenami nie ma podziem-
nych ganków. Zapytany, co ma znaczyć budynek tak szcze-
gólnej struktury, odpowiadam, że ma przedstawiać histo-
ryczną pamiątkę, trochę fortecę, trochę więzienie; fortecę,
ponieważ przez wieki zasłaniałiśmy Niemców od najazdów
dzikich hordów, więzienie — ponieważ przez wdzięczność
nas teraz po więzieniach męczycie.

W następnym roku wprowadzam się do nowego dworu na
pierwsze piętro, ponieważ parter jeszcze stolarze dokań-
czali. Kilka miesięcy tam mieszkając, wyjeżdżam pewne-
go dnia do Torunia na noc. Z rana wpada do mnie służący
konno przybyły z doniesieniem, że dwór się w nocy spalił,
że żona i dzieci wyratowane, ale nic więcej. Wracam więc
do domu, widzę dymiące się zgliszcza spalonego dworu
i pospieszam do żony, która z dziećmi do siostry, zamężnej
z Wsockim, do Pułkowa wyjechała. Tu dowiaduję się o
szczegółach nieszczęsnego wypadku. Skoro stróż spostrzegł
ogień i hałas się zrobił, wpada rządzca Kalisz z dwoma
emigrantami do dworu ratować żonę i dzieci; żona nie
chce schodzić po schodach, aż dzieci będzie miała przy so-
bie; duszący dym nie pozwala je wynaleźć, panowie, ratując
się od uduszenia, wyskakują oknem. Rządzca wywichnął no-
gę, zacny emigrant Sowiński tak nieszczęśliwie padł, że w

kilka tygodni umarł. Żona i czworo dzieci zostały a błając się po korytarzach padają dymem uduszone. Nauczyciel do syna mego, Lizak, wciąga je do swojej stancji, w której, ponieważ dymu nie było, przychodzą do przytomności. Stamtąd oknem po drabinie sprowadzają do oficyny. Mamka z małym synkiem poprzednio po schodach się wyratowała, ale młodszej córki Wandy nie ma! Pocziwy młody mularz Polak, jeszcze przy dworze zatrudniony, wraca do buchającego dymem budynku i szczęśliwie wynosi młode dziewczę, które pod łóżkiem bezprzytomne znalazł. Słucham opowiadania tych okropności, ale widząc koło siebie i żonę, i dzieci cudownie uratowane, zaczynam wydobywać z różnych kieszeń, com naprędce kupił w Toruniu. Żona uradowana pomaga mi wydobywać, pierwszą paczkę rozwija i znajduje karty i marki preferansowe. Rzuca je śmiejąc się z mego dziwactwa, ale powiadam, to najpotrzebniejsze, bo trzeba się w tej biedzie rozerwać, może też sąsiedzi zaczynają znowu zagładać do nas.

Pierwsze pytanie było teraz, skąd ogień powstał? Ludzie zaczęli gadać, że to sprawka służącego, bo zamiast ratować rzeczy, jakiś był pomięszany i dopadłszy konia poleciał do Torunia. Odprawiłem go, mówiąc mu, że kiedy wszystko spalone, nie mogę go potrzebować. Wkrótce potem przyjeżdża ekstrapocztą do mojej karczmy, gdzie powiada, że mu się dobrze powodzi, bo ma polecenie śledzić emigrantów. Prokurator, który poprzednio był u mnie, żeby badać przyczynę pożaru, i któremu podałem tego służącego jako podejrzanego o podłożenie ognia, ponieważ utrzymywał, że wyszedł z suterenu, kiedy wszyscy inni zapewniali, że z sali bawialnej, gdzie stolarz miał swój warsztat i dużo było heblowin, wzywa mnie później do siebie i przedstawia, żebym cofnął żądanie indagacji służącego, ponieważ to trudno mu będzie dowieść. Na to odpowiadam, że kiedy ten służący dziś jest waszym szpiegiem policyjnym, to na próżno bym go oskarżał, więc cofam żądanie indagacji. Prawdopodobnie zatem ten służący był przekupiony, żeby dwór podpalił, bo poprzednio widziano u niego dużo pieniędzy.

Stratę przez to spalenie poniosłem znaczną, tem bardziej że nie był asekurowany, a to z następującej przyczyny. Przybywa do mnie kilka miesięcy przed spaleniem przysłany urzędowy rewizor budynków do katastru ogniowego i pytając mnie, jak wysoko chcę zabezpieczyć dwór, odpowiadam, że 10000 talarów. Skończywszy robotę każe mi podpisać, ja pewny, że dwór asekurowany — podpisuję. Do-

nosząc Towarzystwu Ogniwemu spalenie, dostaję odpowiedź, że dwór nie asekurowany, a zatem tylko 400 talarów jako asekurację starego, już zniesionego dworu odebrać mogę i to przez wzgląd na wielką stratę, którą poniosłem.

Później zjeżdża landrat dla obliczenia straty w mobiliach, pytam się, po co chcą wiedzieć, wiele straciłem, odpowiada, że podług wysokości straty stosować się będzie kara tego, który podpalił, jeżeli będzie wykryty. Rachujemy więc i wykazuje się strata 20 000 talarów. Nie przeszkadza to jednak przy następnej rewizji podatku od dochodu, podnieść mnie o 3 talary miesięcznie.

Oczywistą tę złość Niemców na mnie spowodowało, że rok przedtem kupiłem był graniczący ze mną majątek Radowiska, a do kupna tego przyszedłem w ten sposób. Przyjeżdża do mnie sąsiad donosząc, że Niemiec targuje Radowiska^o i kupi jeżeli nie przeszkodzę, właściciel zaś, poczciwy Polak Rzepnikowski, woli mnie sprzedać nie żądając kapitału, tylko procent, bo wyprowadza się do Chełmna dla edukacji dzieci. Widząc, że to interes doskonały, bo bór znaczny z drzewem budulcowym, jezioro rybne, którego nie mam, znaczne torfy, łąki, role dobre, wszystkiego razem 2000 morgów, kupuję za 45 000 talarów. W tym majątku było 12 niemieckich gospodarzy każdy, po 100 morgów pszennej ziemi mając. Kupiwszy folwark przychodzi jeden z tych Niemców, żebym kupił od niego jego gospodarstwo, które w środku moich pól leży zadłużywszy się musi sprzedać. Cóż robić? Ambaras o pieniądze niemały, ale apetyt, żeby jednego Niemca więcej zjeść, który się gwałtem o to prosi, przemaga, więc kupuję.

Żeby uregulować i poznać dokładnie nowo nabyty majątek przeprowadzam się z żoną i dziećmi z Pułkowa, gdzie po spaleniu dworu mieliśmy kwaterę, do Radowisk. Przeprowadzka była łatwa, bo cały dobytek był umieszczony w sporem pudełku od cygar, które mi szwagier Wysocki ofiarował.

Jadę do Grudziądza po meble. Niemcy zaglądają mi w oczy, czy taką poniósłszy klęskę, straciłem na fantazji, a słysząc, że meble chcą kupić, ofiarują pomoc w handlu, kupuję więc jakie najlepsze dostać można. Potem kontrakt robię z antreprenierem budowli i na miejsce spalonych okien sosnowych kontraktuję dębowe, niemniej wykończenie wszystkich robót ciesielskich i stolarskich z jego składu drzewa, tak że jeszcze przed zimą spalony dwór pod dach dosta-

łem. W miejsce zniszczonych pieców grudziądzkich, kontraktuję berlińskie, wszystko Niemcom na złość.

Na zimę przeprowadzam się znowu do oficyny w Piątkowie. Pewnego dnia, o dziesiątej wieczór wchodzi żandarmi do mnie aresztować rządcę mego Kalisza. Wróciwszy z emigracji i był przez kilka lat rządcą pod Poznaniem, a że słyszałem o dobrym jego gospodarstwie, sprowadziłem go do siebie. Podług konstytucji nie wolno nikogo w nocy aresztować, protestuję zatem przeciw nieprawemu postępowaniu, oświadczając, że go sam jutro przywiozę do Brodnicy. Żandarmi jednak mówią, że mają rozkaz natychmiast go przywieźć, a Kalisz obawiając się pogorszenia swojej sprawy przez mój opór prosi mnie, abym zezwolił mu jechać. Nazajutrz jadę za nim do Brodnicy i wchodząc do landrata widzę mego Kalisza do protokołu wziętego. Pytam się, kto kazał aresztować i za co. Szczęsny, nie będąc jeszcze landratem, ale starając się o nominację przez gorliwość w prześladowaniu Polaków, odpowiada, że naczelny prezes poznański przysłał wprost rozkaz do niego, aby Kalisza per transport piechotą odstawił do Poznania. Ja na to, że natychmiast jadę do Kwidzyna uzalić się u prezesa rządu, że wypełnia rozkazy władzy niewłaściwej, bo Prusy Zachodnie nie należą do władz poznańskich, że gwałci konstytucją aresztując w nocy. Pan kandydat na landrata odpowiada: „Największą mi pan przysługę zrobisz, oskarżając mnie w Kwidzynie za ostre postępowanie z Polakami, możesz pan i to powiedzieć, com panu niedawno mówił, że razem tu być nie możemy, Polacy Niemcom muszą placu ustąpić”. Oczywiście było, że mając polskie nazwisko, chciał w oczach rządu jako zasługujący na zaufanie uchodzić. Nie było więc z nim co robić, wymogłem tylko tyle, przystawivszy świadectwo lekarskie dla Kalisza, że będąc jeszcze kulawym w skutku wyskoczenia z palącego się dworu, obiecał mi furmanką go odesłać. Pomimo gwałtownego mrozu i osłabionego zdrowia, jadę prosto do osiem mil odległego Kwidzyna. Pytam się prezesa rządu¹⁰, jakie prawo ma naczelny prezes poznański¹¹ do komenderowania w naszej prowincji, która ma swego naczelnego prezesa i żądam od niego, aby w interesie swojej powagi wstrzymał odesłanie Kalisza, który tu powinien być słuchanym. Dostaję odpowiedź, że prezes poznański ma sobie powierzone czuwanie nad emigracją w obu prowincjach, a zatem mogę się do niego udać. Wróciwszy do domu, muszę kilka dni odpocząć, doznane rozdrażnienie za szkodliwie wpłynęło na moje siły. Ale, oba-

wiając się, żeby Kalisza nie wyprawili z Poznania, nim przybędę, jadę koleją. W Poznaniu dowiaduję się od landrata Hindenburga, jeszcze szkolnego kolegi, który w zastępstwie dyrektora kryminału miał więźniów pod swoją opieką, że Kalisza jeszcze nie przystawiono. Czekam dzień, drugi, Kalisza nie ma, pewny jestem, że żandarmom się wymknął obawiając się wydania do Polski¹². Trzeciego dopiero zjawia się w więzieniu wynędzniony, on co zawsze bardzo czerstwo wyglądał i powiada, jak się z nim obchodzono. Ze tylko do Torunia jechał furmanką, stamtąd żandarmi piechotą go prowadzili, odebrawszy mu pieniądze, dziennie mu 15 groszy na życie dając. Nocować nie pozwolili w cieplej izbie, tylko go pod strychem kolbami do zimnej komory wpychali. — „Szczęście, że miałem kożuch i silne zdrowie, inaczej musiałbym przepaść. I tu w Poznaniu wpełnęli mnie do zimnej komory, gdzie noc na gołej podłodze przepędziłem, nawet garści słomy nie dali.” Idę do mego przyjaciela, landrata i mówię, jaką to kwaterę ma Kalisz. — „To być nie może — odpowiada — wszystkie więzienia są ogrzane i łóżka żelazne z materacami i kołdrami w nich.” — „Tak, dla zbójców i złodziei macie wszelkie wygody, ale nie dla polskich emigrantów, którzy wam nic złego nie zrobili.” Kazał go natychmiast do porządnego więzienia przeprowadzić.

Poszedłem następnie do naczelnego prezesa, którego zapytałem, dlaczego kiedy Kalisz kilka lat spokojnie siedział na swoim gospodarstwie o milę od Poznania, teraz będąc u mnie kilka miesięcy kazał go aresztować i w tak barbarzyński sposób transportować. Bardzo grzecznie mnie przyjął, ale ciągle rozmowę na co innego zwracając, tyle tylko mnie zapewnił, że nie będzie wydany do Polski, tylko odeślany do granicy francuskiej.

Dowiedziawszy się, że jego prawą ręką jest radca Nordenflycht, syn prezesa kwidzyńskiego, a stąd mój znajomy, chociaż wiedziałem że wrogiem jest Polaków, sądziłem go grzecznością ująć i odwołując się na naszą znajomość, zapytałem, czyby nie chciał wpłynąć na zwrócenie mi Kalisza, ręcząc za jego spokojne zachowanie. Ten na to otwarcie mi powiedział, że koniecznym dążeniem rządu jest germanizować obie prowincje, a zatem staramy się o napływ Niemców przez budowanie kolei itd., a z drugiej strony wydalamy Polaków, których możemy wydalać, wiedząc, że nam są nieprzychylni. Na to odpowiedziałem: „Zdaje mi się, że by było polityczniej nie drażnić nas otwartem germani-

zowaniem, przeciw któremu z całych sił opór stawiać będziemy, a mianowicie nie rozumiem tej polityki, żeby dla pozbycia się jednostki niemiłej oburzać na dwudziestomilowej przestrzeni lud polski przez barbarzyńskie obchodzenie z jego rodakiem, ale to rozumiem dobrze, że tem porwaniem mego urzędnika chcecie mi panowie dokuczyć”.

Musiałem wracać do domu, nic nie wskórawszy. Kalisza posłano do Francji. Odtąd byłem przedmiotem prześladowania wszystkich władz rządowych.

Wychodzi rozporządzenie, że każdy obowiązany meldować przybywającego do niego obcego gościa, inaczej podpada za pierwsze uchybienie karze talarów pięć, za drugie — dziesięć, za trzecie — dwadzieścia, za czwarte — nastąpi więzienie. Widząc, że to rozporządzenie tylko mnie się tyczy, przykazuję każdego przybywającego emigranta meldować, lubo z powodu spalonego dworu nie można się było spodziewać, żeby który przybył. Pomimo to dostaję wezwanie, dłaczego emigranta N. będącego u mnie w tym a tym dniu nie meldowałem; termin wyznaczony w delegacji sądowej w Golubiu. W tej delegacji był młody referendarusz, który miał widok awansu na asesora, jeżeli mnie dokuczy. Więc po spaleniu dworu zatrudniony urządzeniem dla rodziny mojej nowego mieszkania, spóźniłem się o dzień jeden po terminie tłumaczenia w sądzie. Pytam się, cóż to za emigrant nie meldowany, pokazuje się, że bawiący w sąsiedztwie przybył w nocy do palącego się dworu. Kandydat na asesora odpowiada mi na moje przedstawienie, że to przecież nie gość, że już jestem osądzonym, bo termin minął i muszę 5 talarów kary zapłacić. Wkrótce przychodzi druga denuncjacja. Pilnuję się terminu, ale wchodząc do izby sądowej, słyszę, że znowu jestem osądzony, bo 5 minut po wyznaczonym czasie przybyłem, lubo dawniej cała godzina różnicy nie robiła. Płacę 10 talarów. Przychodzi trzecia denuncjacja, że Bolesław Chotomski, ożeniony z moją synowicą, adoptowany za syna przez stryja, obywatela Księstwa, trzyletnią wojskowość jako poddany pruski odbywszy, ponieważ urodzony był w Polsce, do emigrantów jest policzony i płacę za to, że go nie meldowałem, 20 talarów. Przyszła już kolej na czwartą karę, więzienie, ale nie wiem czy wstyd za taki proceder sądu pruskiego — sumiennością swoją się szczycącego — u sędziego, który temczasem asesorem zostawszy, pewnie nie potrzebował hańbić się niesprawiedliwymi wyrokami — czy też co innego, dość, że do czwartej denuncjacji nie przyszło.

Przy wszystkich kłopotach, które mi te ciągle prześladowania Niemców sprawiały, starałem się nie upaść na duchu, by zwyciężyć te ich nieczne zabiegi, a wsparty przekonaniem o ostatecznym zwycięstwie sprawy Polski, nie upadałem na zdrowiu, ale owszem — coraz czerstwiej wyglądałem. To było powodem, że wszedłszy pewnego dnia w Brodnicy do lokalu, zwykłego zbiorowiska Niemców, uważam, że coś sobie o mnie szepczą. Nareszcie odzywa się jeden z nich do mnie: „My tu o panu z zadziwieniem mówimy, że im większe masz kłopoty, tem lepiej wyglądasz i doskonalszego jesteś humoru”. Na to odpowiadam, że to już takie jest moje usposobienie; dawniej jak nie doznawałem przeciwności, z którymi trzeba było walczyć, nudziłem się, a mnie najbardziej nudy zabijają — teraz zaś, kiedy mnie do ciągłej walki wyzywacie, to mnie orzeźwia i to mi zdrowia i humoru dodaje. Walczmy więc dalej, a zobaczymy, kto z nas ostatecznie zwycięży.

Kupno Radowisk już nie na żarty zaczęło niecierpliwie moich dawnych serdecznych przyjaciół i tak jeden z nich, kiedy się z nim witam w Toruniu, mówi: „Jużes znowu Radowiska kupił — czemuż robisz ceremonią i nas wszystkich nie wykupisz?” — „To byś wolał, aby Niemiec kupił?” odpowiadam. — „No nie, ale widzę, że nas wszystkich za łeb chcesz wziąć”. Jaka analogia z kupieniem majątku Niemcowi przed nosem, a wzięciem za łeb dawnych moich przyjaciół rodaków, dalibóg nie rozumiem.

Ale o takich bagatelnych objawach niechęci moich współobywateli dla tak szczególnych przyczyn, o nie tajonem ukontentowaniu z więzienia mojego, bo też to bagatela wobec późniejszych prześladowań, pisać tu nie będę, bo ważniejsze są prześladowania Niemców, które się zewsząd na mnie sypać poczęły.

Nie tylko kupno Radowisk, które Niemiec już targował, ale więcej obawa, abym całą kolonią z jedynastu gospodarzy niemieckich się składającą kupiwszy, już dwunastego nie nabył, zaniepokoiła mocno Niemców. Zjeżdża najprzód z rozporządzeniem rządu ów kandydat na landrata, Szczesny, do Radowisk, zgromadza wszystkich jedenastu gospodarzy niemieckich i napomina ich, aby nie poszli za przykładem sąsiada i mnie nie sprzedawali swoje piękne gospodarstwa. Wkrótce potem zjeżdża komisarz ekonomiczny, który ich namawia, aby zażądali ode mnie separację paśnika w moim lesie. W terminie oświadczam, że ponieważ z poprzednim dziedzicem już cała separacja była przeprowadzona z wy-

jątkiem paśnika i reces wygotowany, ja tylko na zapłatę pieniężną za wartość paśnika przystać mogę, ale nie na odstąpienie *in natura* kawałka lasu lub innego gruntu. W dalszych terminach rozchodzi się kwestia wartości paśnika. Ja ofiaruję tyle, co w rządowych przyległych borach za sztukę bydła się płaci, to jest 4 zł polskie, oni żądają trzy talary. Znaczący mają kwestię sporną rozstrzygnąć. Na termin lokalny wysyłam kucharza do Radowisk dla podejmowania pana komisarza wraz ze znawcami. Nadjechał sam, już widzę wracających z lasu dla dotkliwego zimna, mocno zziębniętych. Częstuję zatem absyntem, którym dwakroć sporymi kieliszkami z gustem się raczą. Do obiadu przez pomyłkę zamiast czerwonego wina z Piątkowa przysłano portwein, które także, pomimo tegości swojej jeszcze na karb zimna doznanego w lesie, doskonale smakuje. Po obiedzie następuje rozprawa z panami znawcami podchmielonymi o wartość paśnika. Ja muszę się wydalić z pokoju, żeby nie wpłynąć bytnością moją na oszacowanie bezparcjalne. Przywołany, dowiaduję się, że paśnik w sosnowym gęstym borze na piaszczystym gruncie otaksowano na 5 talarów od sztuki bydła. Zakładam protest przeciw takiemu otaksowaniu, kiedy gospodarze tylko 3 talary chcieli i, żądając innych taksatorów piszę, że cała komisja nie była przy zdrowych zmysłach, bo za wiele absyntu i portweinu wypili.

Wytaczają mi proces o obrazę urzędnika w swoim urzędzie. W terminie dowodzę, że podług pewnego paragrafu prawa do komisji nie należy komisarz tylko sami znawcy, a zatem obraza komisarza wcale nie miała miejsca. Sąd wydał wyrok uwalniający, ale co do zarzutu, że panowie znawcy byli podchmieleni, jeździ z rozkazu rządu landrat do wszystkich trzech i bierze ich do protokołu, czy się przyznają, że za wiele pili, czy nie. Ci zaprzeczają, wołąc się przyznać do głupiego otaksowania, bo wyższego, jak Niemcy żądali.

Następnie zjeżdża komisarz i każe sypać kopce w lesie, odcinając mi przeszło sto morgów na paśnik dla Niemców. Na moje zapytanie, czy może mi okazać upoważnienie do sypania kopców, bo jeszcze dekretu takiego nie dostałem, odpowiada, że to czyni na swoją odpowiedzialność. Posyłam zatem rządzącą z tęgimi chłopami, którzy kopce rozrzucają, a równocześnie skarżę komisarza do rządu o samowładne postępowanie nieprawne. Na to dostaję dekret bez motywów i komisarz na piękne, przeszło sto morgów lasu, z którego drzewo muszę uprzętnąć, mi odcina i kopca-

mi odznacza. Tylko chyba w Chinach coś podobnego miejsce by mieć mogło. Apeluję do Berlina żądając skasowania takiego wyroku, ale stamtąd odbieram potwierdzenie. Ma się rozumieć, że i koszty za ten rabunek były ujemne.

Mularską robotę przy restauracji spalonego dworu oddałem świeżo z Niemiec przybyłemu majstrowi, ponieważ wówczas jeszcze zdalnych Polaków nie mieliśmy. Czeladnicy jego stołowani we dworze, ciągle gospodyni pytali, po co ja daję restaurować dwór, kiedy nie tylko dwór znowu palić się będzie, ale i inne budynki. Sądziłem, że to brednie zwyczajne, ale wkrótce pokazało się, że prawdę mówili. W jesieni bowiem, pewnego wieczora ledwo się zmierzchno, pali się stodoła ogromna, w miejscu przez ową burzę zniszczonej wystawiona, murowana, dachówką pokryta; napełniona samą pszenicą, grochem i owsem. Żyto bowiem w stertach na polu stało. Z wielką trudnością udało mi się przyległe budynki słomą kryte, owczarnie z jednej, obory z drugiej uratować i to tylko w ten sposób, że widząc, iż ludzie na tych dachach umieszczeni, dla wielkiego gorąca zaczynają się cofać, kazałem zmoczone miechy im podać i tak każdy jednym zasłoniwszy siebie, drugim mógł dusić padające zarzewia.

Od stróża dowiaduję się, że jakiś włóczęga, Niemiec, przez trzy dni pił w karczmie i dostawszy rozkaz wyjścia ze wsi, nie poszedł traktem, lecz pomiędzy budynkami się kręcąc, kiedy go psem poszczuł, zaczął uciekać; dogoniony tłumaczył się, że zbłądził. Wyprowadził go na trakt, ale w pół godziny potem stózek słomy wymłóconej maszyną i przy stodole ustawiony zaczął się palić, od którego i stodoła się zajęła. Prawdopodobnie że nikt inny, tylko on podpalił.

Ludzie polscy z sąsiednich wsi do ratunku przybyli głośno mówiąc, że Niemcy mnie palą. Nazajutrz rano przybiega ów majster murarski, Niemiec z Golubia i wpadając do mego pokoju odzywa się: „Już znowu takie nieszczęście! Na kogóż pan masz podejrzenie?” „Polacy głośno mówią, że mnie Niemcy palą.” On na to: „Ja to dawno chciałem panu powiedzieć, sprzedaj pan i idź do Ameryki”. Odpowiadam: „Nie, my tu zostaniemy i wykopcić się nie damy”.

Murarze podczas ognia nie pobiegli ratować, tylko z okien się przyglądali. Gospodyni przechodząc wyrzuca im, że się przyglądają, oni na to: „Na cóż ratować, wszak mówiliśmy, że Piątkowo co rok palić się będzie”.

Nie spieszył się prokurator ze sędzią przybyć dla poszukania przyczyny ognia, jak to zwykle się dzieć powin-

no. Dopiero w kilka miesięcy zajeżdżają sankami, narzekając na drogi zasypane, bo okropna zawieja śniegowa w tym dniu była. Na zapytanie prokuratora, na kogo mam podejrzenie, mówię mu, co mi majster z Golubia przybyły i jego czeladnicy gadali. On na to każe mi się śmiać z takiej gadaniny. Mówię mu dalej, że się dowiedziałem, że landrat grudziądzki Niemców, w jego powiecie mieszkających, zapewniał, że ja zamysłam ich kosynierami napadać i żeby się mieli na baczności. Nic więc dziwnego, że owi Niemcy podpalaczy na mnie najmują, żądam zatem, aby on z urzędu swego poszukanie zrobił. On na to znowu każe mi się śmiać. — „Chętnie bym się śmiał, tylko że to nie jest wcale śmiesznym dla mnie, że jakiś diabeł moje prace niweczy — chciałbym zatem tego diabła poznać.”

Powiadam dalej, że mój stróż Niemca kręcącego się pomiędzy budynkami, przed ogniem, odpędził. Prokurator każe przywołać stróża, który powiada, że ten sam Niemiec przybył niedawno tu do karczmy. Niemiec przywołany odpowiada na zapytanie, skąd jest: „Z Ukermark”¹⁸, przychodzi co rok jako cieśla w te strony na zarobek na lato. — „Ależ teraz zima, czemuś nie wrócił?” — „Może jeszcze jaka robotą się znajdzie.” — „Gdzie teraz bawisz?” „W Chełmży.” — „Po coś tu przyszedł?” „Dla zabawy.” Głośno się panowie obydwoj rozśmiali, że w takie powietrze trzy mile spacerem przyszedł. I odzywa się prokurator do niego: „Jesteś wagabund i będziesz trzy dni jutro siedział za karę w Golubiu w kozie”. Do mnie zaś: „Proszę go przez noc kazać pilnować, a jutro odesłać do Golubia”. Następnie, kiedy go odprowadzano, mówi: „Jak pan uważasz, bo ja go nie podejrzewam o podpalenie”. — „Skoro pan prokurator go niewinnym uważasz, to moje przeciwne zdanie nie ma znaczenia” i na tym skończyła się indagacja.

Dla ciągle trwającej zawiei musieli panowie, chociaż wiedzieli, że nie bardzo miłemi są gośćmi, mnie prosić o nocleg. Nazajutrz, kiedy mają odjeżdżać, przybywa konny posłaniec z listem od sąsiada Niemca, z zapytaniem, czy prawda, że w zeszłej nocy wszystkie stogi — a miałem ich dziesięć z żytem, a trzy z koniczyną — zgorzały. Pokazuje list prokuratorowi dodając, że przez tę wieś ów wagabund wczoraj przechodził i musiał wstępując w karczmie powiadać, że stogi w Piątkowie tej nocy się spalały, warto więc dowiedzieć się o tem; ale prokurator tłumaczy się, że nie ma czasu, i odjeżdżają.

Wizyta tej komisji śledczej równocześnie z przybyciem

i aresztowaniem tego łotra, który umyślnie wybrał taki czas zawiei, aby bez przeszkody spalić stogi, ocaliła przynajmniej jakąś część żniwa, którą jako tako inwentarz mogłem wyżywić. Tego łotra kazałem na rozstajne drogi wyprowadzić, powiedziawszy mu, że jak się jeszcze raz pokaże w Piątkowie, każę go powiesić.

Strata była znowu wielka, tem bardziej że zboże nie było asekurowane. A że po szkodzie Polak mądry, asekurowałem na wszystkich folwarkach wszystko wysoko. Prócz tego, ponieważ wkrótce potem zabrano mi mego rządzcę, jako emigranta, chociaż poprzednio spokojnie nawet u Niemców bywał w obowiązkach — wiedząc, że tego prześladowania nie ma końca — posłałem do berlińskiej gazety „Nationalzeitung”¹⁴ następujący inserat:

„Trzysta talarów nagrody temu, kto mi wskaże tego, który spowodował spalenie moich stodół. Wypadek ten, o tyle zasługuje na uwagę, że w przeszłym roku nowo wystawiony, murowany, kosztowny dom mieszkalny, równie tajemniczym sposobem, zgorzał, a przez trzydziestoletnie moje gospodarstwo w licznych majątkach nie doznałem żadnego takiego nieszczęścia. Zastraszającym jest zjawisko, że po tem dwukrotnym spaleniu wszyscy, Polacy i Niemcy do asekuracji się biorą, jakby wzajemne palenie miało nastąpić.

W interesie zatem zagrożonego pokoju krajowego wyznaczam powyższą nagrodę z życzeniem wykrycia zbrodniczej tajemnicy.

Nadmienić muszę, że lud polski tu jednogłośnie jest tego przekonania, że tym sposobem niemiecka kultura ma być zaprowadzona w polskich prowincjach. A że tym razem głos ludu jest głosem Bożym, za tym przemawiają wieloliczne sceny, częścią śmieszne, aby przeszkodzić, żeby wilk nie pożarł chłopca, który go z lasu wywołuje, częścią barbarzyńskie, żeby sobie zyskać rosyjskie ordery”.

Do tego inseratu przyłączyłem następujące pismo:

„Szanowny Panie Redaktorze.

Z przesłanego inseratu poznasz Pan stan rzeczy u nas istniejący. Jako jedyną broń na odwrócenie takowego, widzę tylko w apelacji do opinii publicznej, a będąc wieloletnim abonentem szanownego dziennika Pańskiego, mam nadzieję, że zechcesz przyłączony inserat umieścić w najbliższym numerze. Wiem, że Pan głównie interesa niemiec-

kie popierasz, ale ponieważ przekonałem się, że interesa swego narodu krzywdą innego nie zwykłeś popierać, przekonany jestem, że wypełnisz prośbę moją”.

W *postscriptum* dodałem: „Życzyłbym sobie, aby ten inserat był łacińskimi literami wydrukowany”.

Niebawem wytoczono mi proces z zarzutem pobudzenia do nienawiści, wzdąry i obrazy urzędników.

W terminie oświadczam w sądzie brodnickim, że ponieważ inserat podałem do niemieckiego dziennika, nie można mi zarzucić, abym chciał lud polski przeciw niemieckiemu do nienawiści pobudzić, inaczej byłbym go umieścił w polskim dzienniku; celem publikacji mojej było oddać sprawę prześladowania mojego pod sąd uczciwej części narodu niemieckiego, która jest zarazem przyjazną Polakom. Objasnić zaś muszę, co rozumiałem pod wyrażeniem śmiesznych i barbarzyńskich scen, w czem prokuratoria upatruje obrazę urzędników. Oto do owych śmiesznych scen należy atak huzarów pruskich na mój torf (który obszernie opisuję), nie mniej rozkrwanie cebulek hiacyntowych u pani Rutkowskiej w Jaguszewicach przez landrata, szukającego w nich akcji Mazyniego⁴⁶. Do barbarzyńskich zaś, wydanie przeszło trzech tysięcy Polaków, a pomiędzy nimi i po kilkanaście lat tu zasiedziały, przez landrata toruńskiego, z jednego swego powiatu, za co, jak wiadomo, oprócz — bagateli — pięciu rubli za głowę, dostał jeszcze order rosyjski.

Sąd uwalnia mnie od zarzutu wzbudzenia nienawiści, ale za obrazę urzędników skazuje na 20 talarów kary.

Prokurator zakłada apelację do sądu głównego, ja także.

W apelacji, podług prawa pruskiego, musi sąd nową rzecz jako zarzut wprowadzić. Tą nową rzeczą był list mój przesłany przez redakcję dziennika berlińskiego na żądanie do sądu. Na fundamencie tego listu wydaje, na wniosek nadprokuratora, sąd kwidzyński wyrok z następnym motywem: „Ponieważ oskarżony w *postscriptum* do redakcji żąda, aby inserat był po łacinie wydrukowany, wynika stąd oczywiście, że chciał, aby był przystępnym ludności polskiej. A ponieważ kara pieniężna wobec położenia majątkowego obżalowanego nie ma znaczenia, skazuje go się na dwa miesiące więzienia”.

Na szczęście moje chybiłem z datą terminu i nie stanąłem osobiście, jak zamierzałem, inaczej nie byłbym mógł zażądać rewizji wyroku tak niedorzecznie motywowanego w Berlinie, bo taka rewizja może tylko nastąpić, kiedy sąd po-

pełni błąd formy, a takim błędem było tu, że nie zostałem zapytany, czy to ja ten list do redakcji pisałem.

Oddawszy sprawę tę adwokatowi berlińskiemu do wniesienia w trybunale najwyższym, jadę sam do Berlina. Tam adwokat nie robi mi nadziei, że wyrok będzie skasowany, z tej prostej przyczyny, że trybunał nie lubi znosić wyroków sądu apelacyjnego, ale radzi, abym sam w sądzie się stawił.

Stawamy zatem obydwu w terminie. Adwokat broni bardzo zrećźnie moją sprawę, wyszydając wyrok motywowany tem, że przez inserat łaciński wydrukowany w niemieckiej gazecie chciałem podburzyć lud polski. Trybunał ogłasza wyrok: że się kasuje wyrok sądu apelacyjnego i sprawa wraca na powrót do Kwidzyna. Na to oświadczam: „Proszę Prześwietny Trybunał o odesłanie sprawy gdziekolwiek w państwie pruskim z wyjątkiem Kwidzyna, ponieważ wyrok tak umotywowany dowodzi, że dla mnie nie ma sprawiedliwości w Kwidzynie.

Sędziowie odchodzą na ustęp i wróciwszy przewodniczący ogłasza, że sprawa ma iść do Poznania.

W Poznaniu oddałem sprawę koledze szkolnemu z Torunia, adwokatowi Gregor, któremu powiadam, idąc z nim na termin, że pewnie z deszczu dostałem się pod rynną, ale on mnie zaręcza, że tu sędziowie sądzą bezpartecznie. I przekonałem się, że miał rację, bo skasowano obydwu wyroki i kazano zwrócić mi koszta sądowe.

Prześladowanie jednak na tem się nie skończyło, bo landrat Szczesny oświadcza, że dostał polecenie wszystkich moich ludzi, z Polski pochodzących, mi zabrać; przekonałem się stąd, że trzeba stanowczy krok zrobić na moją obronę. Ogłaszam zatem, że wszystkie dobra moje sprzedaję hrabiemu Tytusowi Działyńskiemu z Wielkopolski, bo pragnę żyć w pokoju. Powodowała mnie do tego następująca korespondencja Działyńskiego z Niemcem, przez gazety niemieckie ogłoszona. Zapytany bowiem listownie Działyński przez pewnego Niemca, czy mu nie chce jeden majątek sprzedać, odpisuje mu, że nie, bo każdego Polaka ma za kpa, który Niemcowi majątek sprzedaje, a Niemca, który kupuje za lekkomyślnego. List ten ogłaszany przez niemieckie gazety na dowód nienawiści do Niemców, spowodował Działyńskiego do następnej odpowiedzi, także w niemieckich gazetach:

„Ogłoszenie listu mego do Pana X. nastąpiło w celu wykazania, że jestem nieprzyjacielem narodu niemieckiego, na

to odpowiadam, że będąc w roku 1830 przez rząd narodowy z Warszawy wysłany do Francji, musiałem tajemnie przejeżdżać przez Niemcy¹⁶. W tym przejeździe byłem wszędzie z największą sympatią przyjmowany, tak że po większej części wzbraniano się przyjmować zapłatę za moje potrzeby. Mam sobie zatem za obowiązek oświadczyć publicznie, że wysoko cenię naród niemiecki dla jego szlachetnych cnót, ale z całej duszy nienawidzę nikczemnych przybyszów, którzy jako gady jadowite, żywotne soki odbierają drzewu, na które polazły”.

Manewr ten udał się doskonale, bo przyjechawszy do Brodnicy obstępują mnie Niemcy, przywołują landrata, żeby zgodę zrobił ze mną — ja się zgadzam, bo pragnę żyć w spokoju, ale landrat każe dać szampana, za nim inni Niemcy i muszę im przyrzec, że zostanę między nimi, zaręczając mi wzajemnie, że nie będę więcej prześladowany. Takie przyszło polecenie od rządu i w istocie przez kilka lat następnych mogłem bez przeszkody oddać się gospodarstwu i zapełniać szczyby, jakie poprzednie klęski majątkowi mojemu zadały.

Jakieś szczególne jednak przeznaczenie moje, żeby ciągle staczać walki, zrządziło, że zabezpieczony jakiś czas od Niemców, mimowolnie w nieprzyjemne kolizje wszedłem z rodakami. Powód do tego dał emigrant przybyły do mnie z poleceniami od Jędrzeja Moraczewskiego i Libelta na guwernera do syna mego. Mówił, że się nazywa Staszyc i jest potomkiem, owego historycznie, sławnego. Nzwisko to, a więcej polecenia, jakie mi okazał, uprzedziły mnie jak najlepiej o nim i uważałem jako szczęście, że tak dobry zdarza mi się nauczyciel domowy, tym bardziej że sam się przekonałem, że i wykształcenie posiada odpowiednie, i miły i rozsądny zdawał mi się młodzieniec. A że jeszcze w oficynie mieszkaliśmy, gdzie nie była osobna stancja dla szkoły, tym bardziej że było kilku bawiących emigrantów, postanowiłem, że nauka dopiero w nowo restaurowanym dworze — co wkrótce miało nastąpić — się rozpocznie. Temczasem toczyły się rozmowy, to o metodzie, jaką pragnę, aby młodego chłopca do nauki zachęcał, to polityczne, gdzie rozwijałem moje przekonania względem przyszłych nadziei naszych. Ze dziś nie powinniśmy marzyć o jakich powstaniach, tylko starać się podnosić byt materialny, moralny i duchowy wszystkich warstw narodu i czekać cierpliwie chwili, gdzie się odegra wielki dramat oswobodzenia wszystkich narodów, który rozpocznie się z upadkiem Napoleona, co

preludium do tego dramatu w roku 1848 zbrodniczym wdarciem się na tron francuski chwilowo przerwał. Cieszyłem się, że te moje przekonania Staszyc najkompletniej podzielał i wymownymi argumentami potwierdzał.

Prócz tego opowiadał, że w wojnie węgierskiej był adiutantem generała Dembińskiego, opisywał wymownie rozmaite wypadki tej wojny i jaki w nich miał udział, nareszcie zajechał tak daleko, że z rozkazu Dembińskiego poszedł aresztować Görgeya, ale ten mu się w oczy roześmiał, wskazując na swoich honwedów. Słuchaliśmy wszyscy z przekonaniem, że to wszystko, co opowiada, świętą jest prawdą.

Wypadło mi za interesami wyjechać na kilka dni z domu, wróciwszy mówi mi żona, że nasz Staszyc w niebytności mojej zupełnie inne rozmowy prowadzi z panną Sudorską, nauczycielką do córek moich z Krakowa przybyłą, że pragnie od niej wymienienia nazwisk patriotów krakowskich, z którymi by mógł wejść w stosunki, co do przyszłego, a bliskiego powstania, a kiedy mu ta zarzuca, że zupełnie przeciwne przekonania objawia w mojej przytomności — odpowiada: „Nasz gospodarz chciałby, żeby Polska jak pieczone gołąbki wpadła do gąbki, ale tak nie idzie, my sami ją wywalczyć musimy”.

Podejrzanie, które przez te sprzeczności, co do charakteru swego we mnie wzbudził, spowodowało mnie, lubo się tymczasem do nowego dworu przeprowadziliśmy, nie rozpocząć nauki, tym bardziej że emigranci bawiący, bardzo zacni ludzie, nie chcieli z nim w jednej stancji mieszkać, bo, jak twierdzili, nieznośnym jest kłamcą. Uderzyło mnie i to, że raz, wszedłszy niespodzianie do jego pokoju, bez okularów czytał, bez których nigdy się nie obywał. Ponieważ bardzo wiele korespondował, jadąc do Golubia pytam się woźnicy, czy nie ma listów na pocztę. Odpowiada, że pan Staszyc mu dwa dał. Odbieram je i czytam adresa, jeden do Wielmożnego Niskiego, radzcy w komisji spraw wewnętrznych w Warszawie¹⁷, drugi do jakiejś panny w Poznaniu. Ponieważ zawsze gadał, że jest wielce prześladowany przez sąd rosyjski, taka korespondencja z panem radzcą bardzo mi się podejrzana zdawała. W Golubiu zastaję szwagra mego, Wysockiego, z emigrantem, pokazuję im te listy, ten ostatni otwiera mówiąc: „Trzeba się przekonać, co pisze, może to o naszą skórę idzie”. Pierwszy do pana Niskiego brzmiał dosłownie tak:

„Wielmożny Mości Dobrodzieju! Donoszę Panu Dobrodziejowi, że materiały palne tu są pod dostatkiem, szczegółów

jednak dziś donieść nie mogę, ale mam nadzieję, że wkrótce zadawalniające wyjaśnienia będę w stanie przesłać. Za przesłane mi pieniądze pokornie dziękuję”.

Ten list był datowany z Gdańska.

Drugi list był do kolegów swoich, po rusku pisany, o ile zrozumieć można było, niedorzeczne głupstwa zawierał.

Czytając te listy, zgodziliśmy się wszyscy trzej, że to szpieg moskiewski, i że trzeba jak najprędzej pozbyć się tak niebezpiecznego gościa. Wróciwszy więc do domu idę prosto do niego, oświadczając mu, że dłużej tu zostać nie może, i że już dla niego bryczka zaszła. Pyta mnie, co mu zarzucam. — „Przed wszystkim, że jesteś bezczelnym kłamcą, któremu syna mego w naukę oddać nie myślę.” — „Cóżem skłamał?” „Pomiędzy innymi i to, żeś Gorgeya aresztował.” — „Jak to pan mi dowiedziesz?” „Bardzo łatwo, bo zapytam się generała Dembińskiego, bawiącego obecnie w Paryżu, czy prawda.” Zmieszało go to i zamilkł. Prócz tego dodaję: „Mam ciebie za człowieka, z którym pod jednym dachem dłużej mieszkać nie myślę, więc się wynoś” i odchodzę do drugiego pokoju, skąd słyszę, że wchodzi do emigrantów, obok mieszkających, skarżyć im się, że go wypędzam z domu. Wtem zjawia się bawiący w sąsiednim Pułkowie emigrant, który wszedłszy do kolegów swoich i słysząc, narzekającego na mnie, Staszycę, mówi do niego: „Pan Sulerzyski i my wszyscy mamy ciebie za szpiega, więc albo się oczyść z zarzutu, albo na gałąź z tobą”.

Słyszając to, pewny jestem jakiej gwałtownej sceny z jego strony, ale ponieważ jakoś cicho, wchodzi i widzę Staszycę w pugilaresie swoim czegoś szukającego, który do mnie się odzywa: „Ponieważ pan sądzisz, że jestem szpiegiem, więc mogę panu prócz świadectw Libelta i Moraczewskiego jeszcze więcej pokazać, na dowód, że nim nie jestem”. Na to odpowiadam: „Nie upoważniłem pana D., żeby ci powiedział, że mam ciebie za podejrzanego człowieka, ale kiedy ci to wręcz wyjawiał, sądziłem, że zamiast gmerać w pugilaresie, jako rycerz z wojny węgierskiej, mnie i nas wszystkich na pojedynek wyzwiesz. Twoich świadectw czytać nie będę i wynoś się natychmiast”. Zreflektował się tym moim powiedzeniem i rzekł: „Tak, obelga ta, tylko krwią może być zmazana”. Wyjechał i nuż jeździć wkoło i skarżyć się na mnie, że jego, przez Libelta i Moraczewskiego poleconego, szpiegiem moskiewskim nazwać się ośmieliłem. Burza przeciw mnie zewsząd zaczęła się zrywać, musiałem doświadczać wyrzutów o brak patriotyzmu nawet od najlep-

szych moich przyjaciół, cóż dopiero od tych, co chętnie chwyтали pozory, żeby mi zaszkodzić w opinii publicznej. A ponieważ nie ograniczył się na Prusach Zachodnich ze swoimi skargami, tylko i Księstwa sięgnął, odebrałem od znanej patriotki, a siostry mojego przyjaciela, list z najostrzejszymi wyrzutami, do jakich tylko Księstwo Poznańskie, w przekonaniu swojej wyższości nad Prusami Zachodnimi, się wówczas poczuwało mieć prawo. Byłem zmuszony odpowiedzieć, że od nikogo nie przyjmuję przepisów, jak się obchodzić z emigracją, bo ta najlepsze sama mi da świadectwa, kto skuteczniej od dwudziestu przeszło lat się nią opiekuje.

Emigracja polska, bawiąca wówczas licznie w Lidzbarku¹⁸ i okolicy przysłała mi orędzie żądające, abym się pojedynkował ze Staszycem. Odpowiedziałem, że będąc przeciwnikiem pojedynków między Polakami, których życie tylko dla ojczyzny powinno być poświęconym, także dotąd nie było przypadku, aby w Prusach Zachodnich jaki pojedynek miał miejsce, nie mogę z tego dać przykładu, nawet z uczciwym przeciwnikiem, a tym mniej z takim jak Staszyc. Wkrótce potem ucichły te protekcje, jak się dowiedziano, że pan Niski do Petersburga się przeniósł, a bardziej jeszcze, jak Staszyc sprowadził z Poznania swego korespondenta, z której spółki się przekonano, że obydwaj są infamisy, i że Staszyc było przybrane nazwisko.

Nie będąc, jak to wyżej wyraziłem, prześladowany przez Niemców, nie przeszkadzały te awantury z rodakami, które uważałem jako dopuszczenie Boże, żeby się przez ciągłe walki hartować, oddać się gorliwie gospodarstwu i naprawić interesa majątkowe, przez poprzednie klęski nadwreżone. Nabycie Radowisk głównie mi do tego było pomocnym, bo przez sprzedaż kilkuset morgów lasu, przy wysokości cen drzewa, pospłacałem długi zrobione, a nowiny po sprzątnięciu drzewa, piękny plon oddawały.

W owym czasie, wzywa mnie sąsiad jechać do Chełmna, gdzie jezuita misje odbywać będą. Uprzedzony jeszcze ze szkół, przeciw tym uczniom Lojoli, nie pojechałem. Dowiaduję się później, że to są misjonarze ze Szremu¹⁹ w Księstwie Poznańskim, którzy żarliwe kazania, osobliwie przeciw pijaństwu, miewają i przysięgą, po kilkodniowych naukach, lud od obrzydliwego duszy i ciała szkodliwego nałogu odciągają. Prócz tego słyszę, że w Chełmnie do młodzieży polskiej, w tamtejszym gimnazjum będącej, z porywającą wymową się odzywali, aby się starała być godną przed-

ków słynnych w historii i ich naśladowała w poświęceniu dla ojczyzny.

„Takich jezuitów mi dajcie” — mówię. „Gdzie dalsze misje odbywać się będą?” „W Radzynie!”²⁰ Więc jadę tam i przekonywam się, jaki zbawienny skutek na lud wywierają. Trzech księży cały dzień zmieniają się z kazaniami z ambony na cmentarzu urządzonej, bo kościół — lubo obszerny — masy ludzi pomieścić nie może. Zacni ci misjonarze: Praszalowicz, Baczyński i Kamiński cudów wymową swoją okazali, bo objeżdżając dokoła całe Prusy Zachodnie wytepli ze szczerem obrzydliwe pijaństwo. Pytam się Żydka w szynku w Radzynie, czy dobre interesa robi przy takim natłoku ludu? „Ani kieliszka wódki nie sprzedałem” — odpowiada. Następna misja była w Brodnicy, gdzie okoliczny lud polski, bardzo pijaństwu oddany, w wielkiej się znajdował biedzie.

Jadę więc do Brodnicy przekonać się, czy się tym zacnym kapłanom uda naprawić pijaków. Pytam się naprzód Niemców, jak im się podobają nasi kaznodzieje. Odpowiadają: „To wcale co innego jak nasz predjer²¹ — to duszę na wskroś porusza”. Idę na cmentarz przy kościele, gdzie się misja odbywa. Trafiam właśnie na zakończenie składaniem przysięgi. Kaznodzieja wzywa słuchaczy do podniesienia dwóch palcy na znak uroczystej przysięgi. Gdzieś tylko widzę podniesioną rękę. Ksiądz się odzywa gromkim głosem: „Tylko kilku widzę przysięgających, drudzy nie chcą!” — „Chcema, chcema!” — tysiące głosów żalonych się odzywają i tysiące rąk podnoszą się w górę.

Następna misja była w Golubiu. Była to niedziela, pojechałem — tysiące ludu świętecznie ubranego, widzę — otacza kaznodzieję, ale na uboczu spostrzegam kobiety suszące na słońcu suknie pod samą szyję zmaczane. Pytam się, co to znaczy? „Myśmy przez Drwęcę przebrnęli, bo nas kozacy przez most puścić nie chcieli.” Spieszę więc nad rzekę, gdzie mi się rozczulający przedstawia widok. Na przeciwniejszej stromej nadbrzeżnej górze widzę masy kobiet sposobiących się do przebycia wpraw głęboką i bystrą rzekę. Kilku objeszczyków²² częścią na koniach, częścią pieszo, patrolują na tamtym brzegu, żeby wzbraniać przejście. Z pruskiej strony dziarskie parobki z długimi tykami pilnują, jak śmiałe dziewczuchy rzucają się do wody, a kiedy we środku głębia i prąd wody zagraża je porwać, podają im owe tyki i przyciągają na brzeg, wyszydając zgłupiałych objeszczyków, którzy przeszkodzić temu nie mogą. Pokazują się

i urzędnicy celni nad brzegiem, ale zdawało mi się, że ta odwaga pobożnego ludu i ich serca poruszać musiała, bo nie słyszałem, aby patrolujących żołnierzy do większej gorliwości w przeszkodzeniu przeprowom zachęcali. Kilka godzin zabawiłem nad rzeką, bo nie mogłem się oderwać od przyglądania się tej scenie w ciągłej obawie o nieszczęśliwy wypadek, a myśl do nieba płynęła: azali to długo jeszcze Bóg cierpieć będzie, żeby nam wolno nie było, na naszej ziemi, swobodnie modły do Niego zanosić.

Kilkaset ludzi tym sposobem z okolicznych polskich wsi przybyło do Golubia i zachodziło pytanie, czy tą samą drogą nad wieczorem, bo tak długo zwykle trwały pobożne prace misjonarzy, to odbywając procesję, to słuchając spowiedzi, to wraz z ludem nabożne pieśni wyspiewując — powracać będą, ale ze strony władz sąsiedniego Dobrzynia²³ uznano, że lepiej będzie unikać awantury, i otworzono na oścież bramę graniczną.

Odprawiały się te zbawienne misje dalej po całej prowincji i zasłużyły sobie na to, że stanowią nową erę w jej historii. Lud bowiem wyrzekłszy się gorzałki i wszelkich trunków upajających, zaczął przychodzić do lepszego bytu, gospodarstwa wiejskie się podnosiły, mieszczaństwo nabrało zamiłowania do pracy i porządku i tym sposobem dwie klasy, dotąd martwe w narodzie, same poznały potrzebę oświaty i ułatwiły obywatelom drogi do tej oświaty, przyjmując i nabywając chętnie książki przystępne dla pojęcia ludu, do których dawniej wstręt miały.

Nie dziwić się, że tu w Galicji, wydawnictwem książek ludowych trudniący się ludzie dobrej woli, tak ciężko narzekają na zawody i straty. Starajcie się, na miłość Boską, usunąć pijaństwo, obejdźcie się bez intrat z propinacyj, a przez to przygotujecie rolę do zasiewu i plon będziecie mieli obfity. Na cóż się przyda starać gospodarzowi o piękne ziarno pszeniczne, kiedy ziemia chwastem zarosła. Wytepcie wprzód owe chwasty, przysposóbcie rolę, a wtenczas rzucacie śmiało piękne i zdrowe ziarno na nią, bo możecie być pewni spodziewanych korzyści.

Żeby wytepić pijaństwo, na lud nasz pobożny tylko duchowienstwo takie, jak owi misjonarze szremscy, skutecznie wpłynąć może, ale nie takie, które ciemnotę korzystniejszą dla siebie znajdując, nienawiść do klasy inteligentnej z ambon rozsiewają, jak to sam, tu w Krakowie, słyszałem, nazywając dziennikarstwo, opinią publiczną i duch czasu trójcą przekłątą, która wiedzie do piekła. Nie jestem wre-

szcie za skasowaniem karczem, ale niech gorzałkę zastąpi piwo, miód i jabłecznik, zdrowe i orzeźwiające napoje, które rozpowszechnić przy dobrych chęciach tak łatwo.

W Prusach Zachodnich lud w niczem się nie różnił od galicyjskiego przed rokiem 1846. Rząd pruski obawiając się, bo na złodzieju czapka gore, sycylijskich niesporów, starał się wszelkimi sposobami ująć dla siebie najniższe warstwy narodu. Przy uwłaszczaniu komisarze mieli poleczone zawsze na korzyść chłopów działać, w sądach zawsze chłop sprawę z polskim panem wygrywał. Prócz tego, żandarmi i egzekutorzy po karczmach dowodzili, że panowie poddaństwo chcą przywrócić, co łatwo znajdowało wiarę. Ale te, wychwalane przez lud, rządy pruskie wkrótce w gorycz się obróciły. Bo chłopci, zostawszy właścicielami gruntów, musieli i ciężary na swoje barki wziąć. Trzydzieści kilka podatków płacić rocznie nie bardzo im się podobało, zwłaszcza że często egzekucje ich dręczyły. Więcej jak podatki ssali chłopów regulowania hipotek bardzo kosztowne. Na szkoły płacić musieli, gdzie po niemiecku dzieci uczono, a nasz lud, chociaż już blisko sto lat na Niemców go chcą przerobić, ani słowa w szkole się nie nauczył, chyba trochę w służbie wojskowej, gdzie niewiele więcej jak: *Zu befehl, Herr Leitnant*²⁴, skorzystał. Niechętnie zatem posyłał dzieci do szkoły, a szkólnik²⁵, będąc obowiązany podawać miesięcznie spis nie przybyłych, kary płacić musieli. Nie podobało się to chłopom tak dalece, że dwie szkoły w okolicy Brodnicy, w nocy drzwi i okna gwoździami zabiwszy, spalili tak, że żywa dusza nie wyszła. Przestraszyło to niemało mieszkańców niemieckich Brodnicy, jak ujrżeli kilkanaście trumien, razem na cmentarz ewangelicki, przywiezionych.

W sądach także lud polski się przekonał, kiedy sprawa była z Niemcem, że ostatni, choć niesłusznie, wygrać musiał. I tak sam byłem świadkiem następnej sprawy w sądzie golubskim. Sąsiad mój, Niemiec, skarży ośmiu parobków polskich, że bez pozwolenia jego poszli na jarmark do Golubia i nie przybyli do roboty. Parobcy odpowiadają na to, że oni nie służą panu, tylko gospodarzom, z którymi w kontrakcie zawarowali sobie, że raz w rok na jarmark golubski wolno im iść. Zdawałoby się, że największa słuszność po ich stronie była, ale sędzia się odzywa: „Ach was! Wy dobrze wiecie, że na to służycie u gospodarzy, żeby na robotę pańską chodzić, więc za karę każdy trzy dni w kozie posiedzi”. Parsknąłem głośnym śmiechem i odzywam się do

sąsiada: „Zdaje mi się, że pan nietęgi zrobiłeś interes, bo za jeden dzień zmudy, teraz masz z dzisiejszym terminem cztery”.

Nie bardzo się też ludowi naszemu podobało, kiedy Niemiec, kupiwszy majątek postarał się o to, żeby mu nadać niemiecką nazwę, której polski język nie jest w stanie wymówić, dlatego też przy dawnej pozostał. Bo jakże polski chłop potrafi wymówić Schönsee, na co nasze stare Kowalewo przechrzcili, albo inną wieś na Wilhelmshöhe, kiedy nie posiada tej właściwości niemieckiej, którą oni *gemüthlich* nazywają.

Lud nasz, polskość od wiary katolickiej odłączyć nie potrafi i tak podczas mego siedzenia w więzieniu, kiedy się zabrał wypędzać Niemców z jarmarku w Kowalewie — a Niemcy na bryczki i uciekać — zastąpili im od bram i tam zatrzymując konie, pytali: „Katolik czy Niemiec?” „Katolisz!” — woła Niemiec, zasłoniwszy głowę kołnierzem od płaszcza, ale kijami na grzbiecie dowodzą chłopci, że nie wierzą.

Chłop polski, gorliwy katolik, a osobiwie post skrupulatnie zachowujący, tak że nawet nie pozwalał krasić jadło mlekiem, tylko olejem, był przekonany, że pan jego, Niemiec, w piekle smażyć się będzie za to, że mięso zjada. Siedząc ośm miesięcy z księdzem Tułodzieckim w Grudziądzu, mieliśmy czas różne rzeczy sobie opowiadać i tak, na potwierdzenie powyższego, przytoczył mi rozmowę z chłopem z jego parafii, jak był proboszczem w Prusach Zachodnich. Powiada więc chłop, że pan jego, Niemiec, widząc, że mu żona w pole przyniosła postne jedzenie, mówi mu: „Jakiś ty głupi, że pościsz, ja mięso jem a lepiej mi się od ciebie powodzi”. „Ale ja mu, proszę jegomości na to odpowiedział: Prawda, tu to się panu lepiej powodzi, ale na tamtym świecie, kto wie komu!”

Wracając się do wpływu misjonarzy na moralność ludu polskiego muszę nadmienić, że Niemcy zaczęli się niepokoić i chęcią przeszkodzenia temu wpływowi wiedzeni najfałszywszych chwycili się środków. Kiedy więc ksiądz Baczyński w Chełmży swoimi kazaniami lud z dalekich stron ściągał, przyszedł rozkaz z Torunia do burmistrza, aby się starał przeszkodzić dalszym religijnym agitacjom. Burmistrz zrozumiał to tak, że trzeba księdza aresztować i zawieźć do Torunia. Porywają go więc z takim pośpiechem, że nawet bez kapelusza sadzają do bryki, kładąc mu jakąś pruską czapkę na głowę i pod eskortą żandarmów wywożą. Ale

w drodze, widząc lud na koniach i pieszo goniący za niemi, namyślają się i zamiast do Torunia, zawożą do Nawry, gdzie go puszczają na wolność. Takie postępowanie rozgłos daleki znalazłszy, przekonało lud polski do wiary swojej gorąco przywiązany, kto jego jest nieprzyjacielem i tym sposobem wszystkie warstwy narodu uznały potrzebę łączenia się w jeden obóz ku wspólnej obronie.

Nie tylko lud polski napędzał rząd i wspierający go napływ niemiecki do obozu narodowego takim postępowaniem, ale i wielu obywateli polskich, osobliwie na Ziemi Malborskiej²⁶, dotąd ziemczonych, bo i korespondencje między sobą w niemieckim języku prowadzili i rozmawiali z wielkim gustem, przekonawszy się, że dla polskich nazwisk od wszelkich urzędów odsuwani bywają, głośno oświadczyli, że gorliwymi zostaną popieraczami narodowych usiłowań i szczerze dotrzymali słowa.

Towarzystwo Naukowej Pomocy, przez wiekopomnej pamięci doktora Marcinkowskiego w Księstwie w życie wprowadzone i u nas zawiązane zostało²⁷, i błogie wydało owoce. Przedtem nie mieliśmy ani jednego lekarza Polaka, to Towarzystwo sprawiło, że w każdym prawie miasteczku jest Polak-lekarz, do którego się większe ma zaufanie. Kilka razy do roku odbywają się zgromadzenia tego Towarzystwa i ogłaszają sprawozdania. Wyszedszy z więzienia, pragnąc być w gronie dawnych przyjaciół, pojechałem do Chełmna w dniu przeznaczonym do walnego zebrania przekonany, że serdecznie będę witany, ale zadziwiło mnie mocno słysząc od dawnego przyjaciela mego te słowa: „Dobrze żeś przyjechał, abyś się upomniał, jakim prawem na ostatnim zebraniu zarzut tobie zrobiono, że jesteś przeciwnym temu stowarzyszeniu i dlatego składki oporem idą — możesz wprost powiedzieć, że ja ci to mówiłem, bo oni nas obydwóch tu nie lubią”. Przybywszy więc na to zebranie, odebrawszy od prezydującego głos w osobistej sprawie, powiadam co od pana R.²⁸ słyszałem, a że zarzut niesłuszny, najlepszy na to dowód, że do najwięcej składkujących należę i regularnie płacę. Tłumaczono się, że pan R. źle zrozumiał itd., ale niestety przekonałem się, że większość obywateli Ziemi Chełmińskiej, dawniej tak dla mnie przychylnych, nie wiem z jakiego powodu, na formalnych nieprzyjaciół moich się zamieniła. Prócz tego, zaniepokojeni tym, że poparcie mam przez tak znacznego obywatela, za jakiego pan major R. uchodził, nie szczędzono zabiegów, żeby go do swego obozu przecią-

gnąć i udało im się doskonale, bo odtąd stałego w nim miałem przeciwnika.

Przyczyna tej nagłej zmiany z przyjaźni do formalnej nienawiści była ta, że mianowany przez Komitet Poznański organizatorem Prus Zachodnich, wystawiwszy zamek z czterema basztami, byli pewni, że za pomocą emigracji u mnie licznie bawiącej — ogłoszę się jakim Cromwellem, albo Robespierre'em. Na dowód tego służył list, który pisałem w interesie do sąsiada w czasie, kiedy czytaliśmy w gazetach, że Napoleon z pałacu Elisée przeprowadził się do Tuljeryjów, więc przychodzi mi koncept dodać przy końcu listu: „Donoszę ci też, że się przeprowadziliśmy z Elisée do Tuljeryjów”. Sąsiad czem prędzej z tym listem jedzie do szwagra swego pokazać mu, że sam się przyznaję do zamachu stanu, o który mnie posądzono; ten jedzie do wszystkich kuzynów swoich na Ziemi Chełmińskiej i czarne na białym pokazuje, co im grozi. Czy nie słuszna złość do mnie?

Ale byłbym niesprawiedliwym, żebym sądził, że wszystkich przekonał, dowiedziałem się z niemałą pociechą, że mam jeszcze znacznych przyjaciół, kiedy bowiem wzięto mnie do więzienia, zjechało się do ówczesnego patriarchy, po śmierci Jakuba Wilkxyckiego, do Karola Kalksteina w Pluskowcach i tam niebawem w salonie znaleźli się tacy, co mi głośne zarzuty robili, że słusznie siedzę w kozie, bo taki zbytek patriotyzmu jest nierozsądny i szkodliwy. Ale nieprzyjemnie stronnicy umiarkowanego patriotyzmu zostali do porządku powołani przez zającą Polkę, panią domu, która zawsze łagodna i uprzejma z oburzeniem powstała przeciw takim argumentom, otwarcie wypowiadając, że nie pojmuje zbytecznego patriotyzmu. Musieli goście na ustroniu, z dala od szanownego gospodarstwa, rozwijać dalej swoje, urojone do mnie niechęci.

Zbyteczny patriotyzm?! Jakże nazwać poświęcenia Konarskiego, Artura Zawiszy i tysiące innych, co życiem i mękami przypłacili swą miłość ojczyzny, kiedy swoją działalność, ograniczającą się na kupowaniu w miarę sił moich majątków polskich zagrożonych przez niemieckich przybyszów; na gościnności dla braci uchodzących z ojczyzny przed prześladowaniem Moskwy; na — i to bodaj już wszystko — nazywano zbytecznym patriotyzmem?

Ale opuszczam tymczasem te czarne punkta życia mojego — są one tylko wstępem do czarniejszych.

Wspomniałem, że mularze, restaurując dwór spalony, często powtarzali, że szkoda kosztów na reperację, bo on się

znowu spali. Wkrótce się pokazało, że nie bez przyczyny przepowiadali, bo wprowadziwszy się, dym w kilku pokojach się pojawiał, a przyczyny nie można było dociec. Raz nawet, pod podłogą, belka jasnym płomieniem zaczęła się palić. Trzeba było kuchnię przenieść do oficyny, żeby ognia wcale nie było we dworze. Szczęściem zjawił się budowniczy Galle, wracając z Londynu, który plan dworu wyrysował. Przez kilka dni rewidując docieki, że rury łączące kominy, pod belkami były przeprowadzone, czego w planie nie było. Oczywiście było, że jakieś duchy piekielne wpłynęły na mularzy, żeby tę zmianę zrobili. Trzeba było skasować owe rury i od każdego ogniska wyprowadzić osobne kominy nad dach.

Tak zaspokojony z tej strony i mając gospodarstwo pod dobrą administracją, pojechałem z żoną i dziećmi do kąpieli morskiej w Kalbergu²⁹ przy Elblągu. Zastaliśmy kilka rodzin polskich, a i obywatele niemieccy Elbląga, licznie tam zebrani, z wielką dla nas byli uprzejmością. Upały były wielkie, a deszczu nic, ale zakład — chociaż na czystym morskim piasku wystawiony — przez to, że dwa razy na dzień, wszystkie gazony, kwietniki, drzewa za pomocą węża obficie były polewane, cieszyły oko zielonością i świeżością, i pożytek stąd był niemały, bo gazony, co tydzień ścinane, obiftą paszę dla krów, dobrze płaconą, dawały. Ale goście z okolicy przybywający opisywali smutny stan rzeczy dla gospodarzy — że wszystkie łąki, paśniki wypalone tak, że obawa wielka o inwentarz nawet wśród lata, cóż dopiero na zimę. Trzeba więc było pomyśleć, jak zaradzić złemu. Ponieważ drogi u mnie po części topolami balsamicznymi (Karoliny), niemniej niektóre nieużytki, były wysadzone, a te w piękne drzewa się rozrosły, napisałem do rządu, aby kazał poobcinać gałęzie, żeby z nich była pasza dla owiec na zimę, tak samo i z drzew olszowych i leszczyny w lesie. Nać kartoflaną powyrzynać i pomieszawszy w jednej trzeciej części ze słomą w siasiekach dobrze udeptać, żeby się ta mieszanka zagrzała. Później sieczkę z niej krowy z wielką chciwością spożywały. Zalecam młodym dziedzicom sadzenie tego gatunku topoli, który bardzo szybko w wielkie drzewa się rozrasta, a którego liście owce bardzo lubią, a umieszczam ten ustęp dla młodych gospodarzy, którzy zapewne takie moje uwagi wolą, jak niepokieszne wzmianki o czarnych punktach moich.

Zjawił się w Kalbergu francuski jezuita, profesor z Metz,

który tam przywiózł ucznia, młodego Polaka, do matki. Wiedząc, że ojciec odebrał go z Poznania, gdzie mu rady profesorowie dać nie mogli, do jezuickiego zakładu oddał, zawarłem znajomość z jezuitą, żeby się dowiedzieć, czy im się udało młodego awanturnika w karbach utrzymać. Odpowiada mi, że zupełnie z niego są kontenci, bo wszystko zależy na tem, jak się chłopca prowadzi. Staramy się, aby nas uczniowie pokochali i tym systemem najgorsze usposobienia, czy z urodzenia, czy z wychowania złego nabyte, potrafimy naprawić. Przyprowadził raz nam ojciec syna, przyznając się, ponieważ zawsze żądamy, aby nam otwarcie powiedziano, jakie złe skłonności chłopcy mają, żebyśmy na nie od razu zwrócić mogli uwagę i je wykorzenić, że najgorsze w świecie ma skłonności, bo kradnie. Uspokoiłszy ojca, że na to mamy sposób niezawodny i zrobiliśmy go kasjerem jego klasy, oddając pod jego zarząd drobne składki pieniężne, które na wspólne zabawy uczniowie oddają. Bo on kradnie przez chciwość na pieniądze, których nie ma, dać mu je, żeby składał tak ścisły z nich rachunek, aż mu zbrzydną. I udało nam się doskonale.

Opowiadał dalej, że starają się dogadzać rodzicom, rozwoząc uczniów na wakacje — jeżeli żądają do samego domu — pod dozorem profesora, przez co oszczędzają i fatygi, i kosztów rodzicom, osobliwie z dalekich stron, bo jeden dozorca zabiera kilkunastu.

Wszystko, co mi opowiadał, tak mi się podobało, tem bardziej że sam był bardzo miłym i uprzejmym, że mu oświadczyłem chęć moją oddania syna mego do Metz, ale pod dwoma warunkami, żeby nie chcieli z niego zrobić jezuitę i żeby przynajmniej jeden Polak profesor był w zakładzie. Co do pierwszego, odpowiada, staramy się tylko o ogólne wykształcenie, bo do wykierowania na jezuitów są osobne zakłady; co do drugiego — zaręczyć mogę, że sprowadzimy zaraz Polaka, bo chociaż kilkudziesięciu mamy młodych Polaków, nie żądano tego od nas, lubo jest bardzo słuszne.

Wróciwszy do domu zastałem już list od rektora z Metz z doniesieniem, że kosztą wszystkie szkolne, utrzymania w instytucie wraz z ubraniem, pościelą i praniem wynoszą 500 franków, żądano także, abym, posyłając syna, doniósł zarazem, jakie już przeszedł choroby dzieciinne i jeżeli ma niedobre skłonności, jakie. Przyznać trzeba, że i pensja nadzwyczaj tania, i troskliwość prawdziwie ojcowska, jakiej nigdzie nie znajdzie. Zawiozłem więc na podziw wszystkich,

że syna jezuitom oddaję do szkoły — przy końcu wakacyj do Metz. Tam już zastałem księdza Kurowskiego, zacnego członka misjonarzy szremskich, ale nie podobał się rektorowi, bo mówił: „Nie jest wesoły, chłopcy muszą mieć nauczyciela, który poza szkołą z niemi się bawi, bo takiego tylko kochają i u takiego chętnie się uczą, którego kochają”. Wielka to prawda i dlatego wolałem oddać syna mego do francuskich jezuitów jak do pruskiego gimnazjum, gdzie uczeń polski przynoszący z domu rodzicielskiego nienawiść do Niemców za ich niegodziwe z nami postępowanie, trudno żeby lubił nauczyciela swego, Niemca, o którym ma przekonanie, że jest jego wrogiem. Toteż częste zdarzają się awantury pochodzące z tej wzajemnej nienawiści. I tak przybywszy do Poznania, powiada mi syn mojej siostry, że cała klasa najwyższa chce opuścić gimnazjum, bo profesor Niemiec nazwał ich: *Polnische Ochsen*⁸⁰, i że nie chcą pręcej wrócić, aż ich przeprosi. Poszedłem do rektora, przedstawić mu słuszne żądanie uczniów obrażonych, ale odpowiedział mi, że nie wypada, aby profesor uczniów przeproszał, chociaż, jak sam przyznać musi, wielce zbłądził. Niech tylko wrócą do klasy, a więcej coś podobnego się nie zdarzy.

Jaką troskliwość znajduje młodzież w Metz ze strony przełożonych zakładu, sam miałem sposobność się przekonać, bo zaprowadziwszy syna już na noc, zastaję wielki hałas po korytarzach, uczniowie dokazują awantury w przytomności kilku księży, wtem wprowadzają małego Francuzika z zakrwawioną głową, bo go inny, z figłów gwałtownie popchnął tak, że głową o mur uderzył. Ledwo kilka minut przeszło, już się znalazł doktor, który go opatrzył, a chłopiec, do osobnego pokoju w łóżko włożony, dostał jednego z młodszych księży do dozoru na noc.

Na zakończenie rozdziału opisać mi przychodzi zdarzenie, którego byłem świadkiem, gdzie Niemcy w ciągłym z nami antagonizmie nieraz śmiesznymi się stają. Będąc w Toruniu widzę, w obiadową godzinę, przez Rynek wielką procesję w uroczystym pochodzie, dymem obwianą. Pytam znanego mi Niemca, co to znaczy — odpowiada, że to pomnik dla Kopernika, a ten dym — to pochodnie, bo wczoraj wieczór miał być przy pochodniach sprowadzony ze statku na Wiśle, ale że mówca tak był pijany, że mu język plątał się w gębie, więc pomnik wrócił znowu na statek, a dziś nie czekano już wieczoru, żeby mówca przygotowaną mowę po trzeźwemu mógł wypowiedzieć, a pochod-

nie zapłacone użyto pomimo białego dnia. Stał wreszcie orszak przed kościołem luterskim, gdzie inny znów mówca cześć wielkiemu niemieckiemu astronomowi oddawał, ale nie cisnąłem się słyszeć te brednie, tylko czekałem z dala, co się stanie z pomnikiem. I oto wprowadzają kanonika katolickiego na noc do luterskiego kościoła⁸¹. Odkrycie tego pomnika⁸², w Rynku ustawionego, nastąpiło 25 października 1853. Niemcy nań przez kilka lat zbierali składki, wynoszące 9630 talarów. Podstawa ma trzynaście stóp wysokości, a osiemnaście w kwadrat, z siniego kamienia szląskiego, w niej urządzona studnia⁸³, z której woda przez paszczę delfina spada do zbiornika. Na jednej stronie podstawy napis: *Nicolaus Copernicus, Torunensis, Terrae motor, Solis coelique stator*; na drugiej: *Natus anno MCCCCLXXIII. Obiit anno MDXXXIII*⁸⁴.

Na tej podstawie wznosi się posąg Kopernika, modelowany przez prof. Tiecka w Berlinie, w postawie stojącej, odzianego dostatnim płaszczem. W lewej ręce trzyma sferę niebieską, a prawa jest tak ułożona, że palce jej mają podobieństwo do rozwartego cyrkla.

Rozdział XI

OD ŚMIERCI TEŚCIA WYBICKIEGO DO ŚMIERCI ŻONY. OD ROKU 1852 DO ROKU 1860

Treść: Podział majątku. — Kupuję Świerczyny. — Pozbywam się dzierżawcy Komorowa, Niemca, dając mu 15 000 talarów odstępnego. — Sprzedaję Komorowo i muszę odebrać na powrót. — Muszę płacić weksel na 6000 talarów podpisany sąsiadowi i kłopoty stąd. — Biorę szosę w antreprzyę. — Wychodzę na niej korzystnie. — Syna oddaję do Poznania. — Opis mego gospodarstwa i przyjemności stąd moje. — Nowe kłopoty przez szwagra Wysockiego. — Jadę do Berlina po pieniądze. — Prorok Sohn. — Cudowne przepowiednie. — Inne przepowiednie. — Śmierć żony.

Teść mój, były landrat Wybicki, zadzierżawił piękny swój majątek Świerczyny¹, w którym mieszkał, Niemcowi, a sam, kupiwszy mały majątek Wapno pod Brodnicą, z pięknym dworem w okazałym parku, przeniósł się do niego. Ale niedługo tam mieszkał, bo miłośnik polowania, zaziębiwszy się, zapadł na zdrowiu i wkrótce śmiercią czynne swoje życie zakończył. Nastąpił podział majątku na siedem części, dwóch synów, cztery córki zamężne i żonę pozostałą. Mniejszych pięć majątków sprzedaliśmy z wolnej ręki po części sukcesorom, po części obcym, ale tylko Polakom. Główny majątek Świerczyny, w zadzierżawionym stanie, za 4000 talarów poszedł na publiczną licytację. Z obrachunku wypadło na każdą głowę 27 000 talarów. Wszyscyśmy pragnęli, aby ten największy majątek, bo 4000 morgów wynoszący, także w polskie ręce się dostał. Chciałem, aby matka z synem Władysławem, mając razem przeszło 50 000 talarów dla tego

syna kupiła, ale ponieważ nie chciała, ja, chociaż bardzo byłby mi się przydał kapitał przypadający na żonę, żeby pozbyć się długów, jakie po owych poniesionych klęskach jeszcze mi pozostały, wiedziony pragnieniem niepuszczenia tego głównego rodzinnego majątku w niemieckie ręce, stanąłem do licytacji. Ponieważ Świerczyny jeszcze dziesięć lat w ręku dzierżawcy zostać musiały, a ten tylko 4000 talarów rocznie nie płacił, nie wypadało mi wiele wyżej licytować nad 80 000, żeby przynajmniej procent od kapitału żony mi się dostał. Ale że zamożny licytant Niemiec stanął razem ze mną w terminie, licytujemy obydwaj zawzięcie, tamten zachęcany przez grono Niemców, ja także przez Polaków, aż doszliśmy do 105 000. Ale słysząc, że tamten do 130 000 chce iść, posyłam na gwałt do matki, prosząc żeby przybyła na sąd. Skoro weszła, prowadzę za rękę mego przeciwnika, żeby się od niej dowiedział, że nie dla siebie tylko dla Władysława kupuje. Tamten usłyszawszy potwierdzenie oświadczenia, że odstępuje od dalszej licytacji i przybijają na mnie.

Nie wypadało mi rozgłaszać, że to tylko był podstęp z mojej strony, bo miałem nawet szczerą myśl, jak dorośnie Władysław i będzie chciał objąć majątek po ojcu, mu odstąpić, dlatego, choć nie proszony o to, dałem umieścić w kontrakcie, że mam zamiar oddać Świerczyny synowi, skoro dorośnie. Dla mnie to kupno, prócz satysfakcji, że nie dopuściłem Niemca i tytułu nowego dziedzictwa, uszczerbek wielki w interesach majątkowych zrobiło, bo cały prawie procent ze schedy żony przez dziesięć lat jeszcze w dzierżawie będącego majątku przepadał, kiedy inni całkowite kapitały odebrali.

Prócz tego inny kłopot spadł na mnie. Dzierżawca bowiem komorowskiego² majątku, który na osiemnaście lat miał kontrakt, przetrzymawszy dwanaście lat, proponuje mi za odstępnym na ostatnie sześć lat oddać majątek. A ponieważ wiadomo było, że Niemiec ten, na tej dzierżawie płacąc 3000 talarów doskonale wychodził, a odgrażał się, że jeżeli się nie zgodzę na odstępną, będzie się starał wyssany majątek mi oddać, a z postępowania jego dotąd byłem pewny, że dotrzyma słowa, tem bardziej, że już kilka procesów z nim miałem, daję mu odstępnego 15 000 talarów. Wypłatę tak znacznej sumy ułatwiło mi ogłoszenie Banku Toruńskiego, który dotąd tylko kupcom wypożyczał pieniądze, że obywatele ziemscy dopuszczeni są do kredytu w proporcji stanu majątkowego, o którym dyrektor Banku przekonawszy się z hipotek, mnie na 50 000 talarów kredy-

tu oszacował. Biorę więc owe 15 000 po cztery procent i odbieram na siebie majątek. Niegodziwy Niemiec zamiast wdzięczności, że się spanoszył na tej dzierżawie, przed oddaniem na św. Jan, jak mógł pustoszył, lubo układem sądowym się zobowiązał oddać majątek w porządku i według zasad gospodarczych, bo sprzedawał słomę, inwentarze dobre zamieniał na liche, koniczyny i łąki wypasał inwentarzem nie tylko swoim, ale i wiejskim, w stajniach powrywał podłogi i toki itd. Mógłbym złożyć do sądowego depozytu sumę odstepną i procesem upomnieć się o dotrzymanie układu z jego strony, ale przekonany o stronniczości sędziów, i że zostałby w majątku do ukończenia procesu, wątpliwej dla mnie pomyślności, wolałem odebrać majątek i pozbyć się lotra, wypłaciwszy mu całe odstepne.

Doprowadziwszy majątek z niemałym kosztem do porządku, trafia mi się kupiec, emigrant, ożeniony z posażną panną. Kupuje Komorowo za 115 000 talarów płacąc 20 000 zaliczki, resztę w wyznaczonych ratach. Tą sprzedażą stanąłem majątkowo bardzo świetnie, bo mogłem resztę majątków zupełnie z długów oczyścić. Ale jak w całym życiu moim, szczęścia dużo przeplatanego nieszczęściami doświadczałem, tak i tu wkrótce pomyślny obrót interesów zwichniętym został. Nowy dziedzic zaraz w pierwszym roku trafiwszy na owe lato nadzwyczajnych upałów i suszy, nie umiając sobie poradzić, zmarnował inwentarze, przestraszony stratami, jakie już poniósł i jeszcze go czekają, nalega na mnie, żebym się nad nim zlitował, odebrał kupiony majątek i zwrócił ową zaliczoną sumę. Jako emigranta przecież nie będę chciał go zniszczyć i narazić na utratę majątku żony. Sypały się przy tem komplementa o mojej znanej wspaniałomyślności, patriotyzmie, przychylności dla braci emigrantów itd. Wykazywał mi, że 7000 talarów swego majątku włożył w inwentarze i melioracje, to chce stracić, ale posagu żony stracić nie może. Cóż miałem robić, odebrałem Komorowo, zadatek już wydany na zapłacenie długów zwrócić się zobowiązałem. Później kupił ode mnie Karczewo, przez co nie tylko pozbyłem się tego długu, ale i znaczny kapitał odebrałem, który mi do spłacenia innych długów posłużył.

Kredyt bankowy dla obywateli ziemskich, w ogóle wielce korzystny, bo od lichwy żydowskiej potrzebujących broniący, dla mnie okazał się szkodliwym. Jeden z sąsiadów moich, który dla mnie na wekslu dał swoje żyro, zażądał ode mnie wzajemnej przysługi na 6000 talarów, które potrze-

buje, żeby się z rąk żydowskich wyrwać, w które się przez pogorzenie dostał. Przedstawiam mu, że z tak małego majątku, trudno mu będzie zapłacić w banku, a w takim razie mnie trzymać się będzie, ale zaręcza mi, że posag żony odbierze, bije się w piersi aż jękały, wreszcie dobija mnie tem, że Niemcowi chyba sprzedać musi. Podpisuję.

Przeczuwałem, że ja wraz z innym obywatelem, który sprzedawszy majątek mieszkał w Toruniu i także podpisał, będziemy musieli zapłacić, ale nim do tej ostateczności przyszło, wpadłem w zabawną awanturę z moim kolegą poręczycielem. Bo kiedy przyjeżdżam do Torunia w dniu, w którym weksel musiał być prolongowany, ten mój kolega odmawia mi podpisu swego, na co mu oświadczam, że wracam do domu zostawiając sprawę do woli banku, kogo z nas dwóch do zapłaty pociągnie. Zastraszony tym, przychodzi do hotelu, kiedy się zabieram wyjeżdżać, z oświadczeniem, że podpisze, ale po chwili, bo musi ważny interes załatwić. Czekam powrotu, ale na próżno, każe go szukać po mieście, ale go znaleźć nie można. Jadę więc do domu zostawiając następujący list w hotelu: „Nie mogąc się Pana doczekać, a przymuszony wracać śpiesznie do domu, zostawiam weksel z moim podpisem w hotelu, racz Pan swój dołożyć i oddać w banku”.

Sądziłem, że ta sprawa załatwiona, ale odbieram z nie-małym zadziwieniem od sądu toruńskiego skargę mojego kolegi o zapłacenie mu 6000 talarów. Jadę więc do Torunia, idę do niego, wyrzucam mu jego postępowanie podstępne, sądząc, że zapłacił, a mnie skarży. Odpowiada mi, że nie zapłacił tylko podpisał weksel i oddał w banku, ale żeby się nadal ochronić, zaskarżył mnie, bo tak mu adwokat doradził. Odchodzę od dawniej zawsze dla mnie przyjacielskiego rodaka, widząc, że sobie adwokat zakpił z niego i oddaje sprawę innemu obrońcy. Wkrótce dostaję wiadomienie, że pan M. w terminie prosił o inny termin, a że sprawy wekslowe śpiesznie się w sądach odbywają, więc co tydzień prosił o nowy termin, tak że do trzeciego terminu dociągnąwszy, musiała sprawa się odbyć w czwartym, gdzie skargę za nieważną uznano. Apeluje do sądu głównego, gdzie także przegrywa.

Teraz nowy mi wytacza proces injuryjny za wyraz *racz* w liście moim do niego użyty. Ale ze słownika Lindego³, który tłumacz do sądu przynosi, dowiaduje się na swoje zmartwienie, a zabawę dla sędziów, że wyraz *racz*, który mu tak ostro brzmiał, do najdostojniejszych osób bywa uży-

wany. Po takich zawodach pisze do mnie, że ponieważ z mojej przyczyny zapłacił 300 talarów kosztów, spodziewa się, że ja jako Polak nie będę chciał krzywdy jego. List ten zostawiłem bez odpowiedzi, obawiając się, żeby w jakim wyrażeniu moim nie znalazł powodu do nowej skargi, lub denuncjacji, kiedy już widocznie głowę stracił.

To postępowanie jego miało ten skutek, że bank więcej prolongować weksła nie chce i każe mi 6000 talarów zapłacić, która suma przez przypisywanie procentów o 500 talarów się powiększyła. Sąsiad zapomniał o biciu się w piersi, więc muszę sam płacić. Ale na nieszczęście trafiło to w czas, gdzie kredyt zupełnie upadł, banki nikomu pożyczki dać nie chcą, stąd kłopot wielki dla mnie. Dowiaduję się, że w kasie powiatowej znajdują się papiery rentowe na budowę szosy w naszym powiecie, a że to było w zimie, a dopiero na wiosnę rozpocząć ma się budowa, pytam się komisji z trzech Niemców złożonej, czy mogę na trzy miesiące dostać pożyczkę sumy 8000 talarów wynoszącej, a ponieważ mnie nie odmawiają, biorę całą sumę, bo na papierach trzeba było stracić i płacę sumę poręczoną w banku.

Trzymiesięczny termin nadchodzi, a pieniędzy znikąd dostać nie mogę. Ogłaszają termin do licytacji na budowę szosy, która od granicy toruńskiego powiatu ku Brodnicy półtorej mili ma być budowana⁴, a że przez mój majątek przechodziła, należąc do komisji mającej decydować w jakim kierunku szosa ma być prowadzona, stawam w terminie do tego przeznaczonym. Kilka dni przed tym przybył do mnie Polak, właściciel kilkamorgowego gruntu w Pluskowęsach⁵, skarżąc mi się, że mu chcą szosę przeprowadzić przez jego grunt, choć prosta linia gdzie indziej przypada, a to dlatego, żeby go zmusić do sprzedania swojej posiadłości dziedzicowi Pluskowęs, Niemcowi, który od dawna go do sprzedaży nakłania. Przekonawszy się na miejscu, że umyślnie skrzywiona szosa, kiedy w owym terminie budowniczy rozwija mapę, na której szosa wyrysowana, widzę, że mapa sfałszowana, bo na linii prostej trzy budynki się znajdują, których nie ma wcale. Biorę więc ołówek w rękę i przez owe trzy budynki kreślę prostą linię, którą szosa iść powinna, a nie skrzywioną przez grunt owego Polaka. Dwaj Niemcy, koledzy moi w tej komisji, odzywają się: „Ale tam budynki stoją” — mażę więc owe budynki dowodząc, że na miejscu tem żadnych budynków nie ma. Zmieszał się pan budowniczy, uciekając się do błahych wy-

biegów. Linia zatem musiała pozostać, jak ją narysowałem, a gospodarz polski został ocalony. Nastąpiła licytacja na szosę, a widząc trudność zwrócenia do kasy pożyczonych pieniędzy, staję do licytacji i przybijam po 25 000 talarów na milę⁶. Oprócz owej finansowej konieczności zauważyłem, że mając silny inwentarz, majątek obsadzony znaczną ludnością, którą zwykle do melioracji gruntów i łąk używałem, łatwiej mnie budować, jak obcemu przybyszowi. Niemniej i to miałem na uwadze, że budując sam, użyję do roboty i zarobek dam robotnikom polskim, kiedy niemiecki przedsiębiorca byłby użył, jak to dotąd się działo, Niemców ze Szląska po większej części sprowadzonych, a wielkich gałganów, którzy wszystkie psy i koty w okolicy wyłowili i pojadali.

Ponieważ to był pierwszy przykład, że obywatel szosę buduje, poruszyły się języki, jakiś czas spoczywające, na nowo przeciw mnie. Głoszono, że ta budowa, na której się nie znam, niezawodnie mnie dobieje. Sąsiadki popieszyły straszyć żonę moją i namawiać, aby mnie nakłoniła do zaniechania, kontraktem już niecofnionego, przedsięwzięcia, litując się nad kochaną przyjaciółką, która tak wariackiego ma męża.

Nie zraziły mnie jednak te strachy, tylko, ponieważ w tym roku wiosna wcześniej zawitała, już na początku marca rozpocząłem, pod kierownictwem dziesięciu majstrów szosowych i nadzorem samego budowniczego, robotę na całej linii. Stara droga, która granicę tworzyła pomiędzy moim majątkiem, a sąsiedzkim, w planie została skasowana, a nowa tak wyprowadzona, że długi, wąski pas na tamtej stronie, co widocznie dlatego tak było z sąsiadem Niemcem wymyślone, żeby ów pas odcięty był zmuszony sprzedać. Ale owe sfalszowanie mapy przyszło mi w pomoc, bo zagrożony, że wykryję sfalszowanie, co by kasacją budowniczego pachnęło, dokazałem, że nowa linia po starej poszła drogą. Inny jeszcze i to znaczny stąd zysk miałem, bo kiedy owa zmieniona linia przez góry i parowy iść miała, ta na starej drodze po zupełnej szła równinie, co ogromnie zmniejszyło koszta na moją korzyść, ponieważ tak samo się liczyło, jak żeby tamtą budował.

Złość opanowała Niemców, że tak im szyki pomieszałem i żeby mi dokuczyć, żądają zapłacenia owych 8000 talarów pożyczonych na weksel z kasy powiatowej, ponieważ trzymiesięczny termin minął. Odpowiadam, że zapłacić nie mo-

gę, ale wkrótce polikwiduję posuniętą robotą. Oni zaś nie tylko protestują weksel, ale skarżą do sądu i następnie fantują mi moją starą landarę. Bracia Hennigi⁷ stanęli na czele tych groźnych i znaczne koszta za sobą pociągających procederów. Cierpliwie znoszę to wszystko, aż dostaję wezwanie do terminu wyznaczonego do układu względem zapłaty za ziemię pod szosę wziętą. Mówią mi, ponieważ moi sąsiedzi pan Müller i Schönfeld nie żądają wynagrodzenia, kontentując się korzyścią, że szosę mieć będą i ja także żądać nie będę. Odpowiadam, że ci panowie co innego, oni mogą podarunki dawać powiatowi, bo ich nikt nie fantuje, ale ode mnie, któremuście zabrali landarę, żądać tego nie możecie. Skończyło się na tem, że koszta sądowe sami zapłacili i cofnęli skargę, a ja podarowałem ziemię.

Tymczasem buduję szosę moim kosztem, póki starczyły fundusze, ale jak się wyczerpnęły, bo co tydzień trzeba wypłacać robotnikom, wpadłem w niemały ambaras. Już jeden tydzień minął, bo w dniu wypłaty wyjechałem z domu, nadchodzi drugi, niepodobna narażać się na sarkanie pracujących ludzi, więc płacę, ale własną papierową monetą, wypisawszy na pociętych kartach większe i mniejsze sumy, a uprawniam moim podpisem i pieczęcią. Żona z trwogą pode drzwiami podsłuchuje, czy brać będą takie pieniądze, ale biorą wszyscy, bez najmniejszego wahania, bo wiedzieli, że za te moje papierki dostaną wszystkiego w okolicznych miasteczkach. Odtąd tą samą monetą najregularniej wypłacam do samych żniw, gdzie już łatwiej było skontaktować zboże, aż wyrównała się suma mnie się należąca z pożyczoną.

W dwóch latach ukończam tę półtoramilową szosę i obsadzam drzewkami. To sadzenie obrachowane na 600 talarów mnie nic nie kosztowało, bo szkółka topoli i zagajenie w lesie dostarczyły potrzebnych drzewek, a mój ogrodowy z kilkoma ludźmi wykonali robotę. Nadmienić muszę, że kiedy po innych szosach większą połowę drzewek poschniętych wyrzucać i nowemi rokrocznie nasadzać musiano, u mnie ani jedno drzewko nie wyschło, bo trzymałem się metody, którą kiedyś w dziełku ogrodniczym, co do zasadzania drzewek, znalazłem zaleconą. Prosta ta metoda jest taka, że sadząc drzewko, obsypuje się korzenie do zupełnego pokrycia ziemią, to jest do połowy dołka, wtenczas leje się węborek wody, aby się korzenie w tej przemięklej ziemi zamaździły, dopełnia się rowek do reszty ziemią, udepcze i drugi węborek się leje. Autor tego dziełka zaręczał, że

tak sadzone drzewka nawet z już rozwiniętymi liśćmi się przyjmują, alem tego nie doświadczał.

Obrachunek pokazał, że nie ziściły się przepowiednie, troskliwych o dobro moje, sąsiadów, bo pomimo że dozorca, przez budowniczego mi dany, niezgorzej mnie okradał, zarobiłem 10 000 talarów. Nie wypłacono mi jednak całkowitej reszty, ale 3000 zatrzymano, aż szosa przez rządowego komisarza zostanie, jako dobrze wykonana, uznana, ponieważ rząd 10 000 za każdą milę płaci. Musiałem parę lat na zjechanie tego komisarza czekać. Niemcy tymczasem nie próżnowali, ale kiedy rok cały już jeżdżono po mojej szosie, wyrębywano dziury w niej i mierzono szutr, to jest pokład tłuczonych kamieni, i zrobiono mi zarzut, że zamiast siedmiu cali tylko sześć ma grubości. Ponieważ ten zarzut został mi zrobiony podczas zjazdu powiatowego, odpowiadam, że kiedy budowniczy, nadzór mający, wszędzie powiadał, że moja szosa najlepiej i najdokładniej, ba nawet z elegancją, wybudowaną została, to rewizji po roku użycia przyjąć nie mogę, bo ten pokład przez jeżdżenie po niej o jeden cal łatwo na grubości stracić mógł. Niemieccy obywatele, a na ich czele Hennig, siłą się zbijać moje argumenta, wstaje mój dawny przyjaciel Polak, wymowny i znaczenie mający, pewny jestem, że niedorzeczność zarzutów wytknie, ale na mój podziw krótko oświadcza, że musi się zgodzić na słuszność zarzutów. Czarny punkt.

Oczekując z niecierpliwością przybycia owego komisarza rządowego jadę do Torunia, spotykam go jadącego z Torunia, a że toruńska szosa chociaż 40 000 talarów na milę kosztowała, po oparczystej zimie zupełnie była zniszczona, kiedy moja gładka jak po stole, pewnym byłem, że musi uznać za dobrą, i że upragnione pieniądze dostanę. Wróciwszy więc z Torunia pospieszam do Brodnicy, ale na wielkie moje zadziwienie dowiaduję się, że pan komisarz oświadczył, że cała szosa nic niewarta i musi być z gruntu przerobiona, jeżeli mam resztę, mnie się należącą, odebrać. Tak wisiąca ta sprawa, aż nowy landrat w osobie barona Younga przybył, który zaraz przy pierwszym ze mną spotkaniu mi oświadczył, że wie o tem dobrze, jak dużo mi dokuczono, ale póki on będzie naczelnikiem powiatu, nie dozwoli na dalsze prześladowanie ze strony rządu. Toteż zaraz na pierwszym zjeździe powiatowym oświadczył, że szosa jest dobra i kazał kasjerowi wypłacić mi należące się pieniądze, odtrąceniem jednak 250 talarów, żeby jako tako zaspokoić wymagania rządowe. Pierwszy to był landrat, który się od-

ważył czoło stawiać rządowi, będąc jego podwładnym, ale powiadano, że przez żonę z wysokimi figurami w Berlinie połączony, miał w nich poparcie. Do arystokracji zaś niemieckiej należąc, nie cierpiał demokratów, którzy wówczas, bawiąc się w demonstracje antibismarkowskie, na sejmie górą byli i dlatego wołał szlachtę polską, a szczególnie mnie afektem swoim zaszczycał.

Wracam się do syna mego, zostawionego w Metz, po którego na pierwsze wakacje podług umowy pojechałem do Krzyża, stacji kolejowej w Prusach, tam odebrawszy go od towarzyszącego jezuitę, ten z resztą, w kilku wagonach mieszczących się, uczni, pojechał dalej. Namyśliłem się jednak na dalszą naukę oddać syna do Poznania, ponieważ tam utworzona została szkoła realna z polskimi nauczycielami i polskim wykładem i oddałem na pensję szanownego profesora Motty.

Nigdy tak jak wtenczas nie byłem zajęty gospodarstwem, bo odebrawszy na siebie komorowski majątek i Karczewo, do czego Radowiska przybyły, byłem w moim żywiole, bo ciągle zwiedzając te majątki, plany melioracyjne układam, które przy szczęśliwym doborze czynnych i zdatnych rządzców doskonale się udają i dochody powiększają. Największą troskliwość zwróciłem na siedzibę moją, Piątkowo, który majątek dawniej tak zaniedbany starałem się do stanu takiego doprowadzić, żeby nie tylko pożytek mi przynosił, ale i przyjemność sprawiał. Starałem się zatem o piękne inwentarze, najwięcej własnego chowu, bo do nich i dobrych, i chętnych ludzi łatwo dostać, z którymi gospodarstwo bez hałasów i gniewów samo jakoś idzie. Pobudowałem nowe, piękne mieszkania dla komorników, podług planu Gallego, praktyczne i wygodne⁸. Tym sposobem, pomimo tylu przeciwności doznanych, urzeczywistniłem marzenia moje, jeszcze w młodym wieku z *Pana Podstolego* Krasieckiego powzięte, jak będąc właścicielem majątku wypełniać obowiązki względem ludzi swoich i będąc od nich kochanym pożytek z przyjemnością połączyć.

Nie tylko, że z mieszkańców nikt ode mnie wyprowadzać się nie myślał, szukać lepszego miejsca, ale przybywało coraz więcej. Dawniej taki dom, w którym cztery familie się mieściły, nazywano piekłem, takie kłótnie, szczególnie ba-by między sobą wyprawiały — u mnie co rok kilka wesel się odbywało, ale nowe stadło, kiedym się pytał, gdzie się wyprowadzą, odpowiedziało: „Przytulimy się do innych”, tak że w jednej izdebce po kilka familii się mieściło, a jed-

nak w zgodzie ze sobą żyli, bo pod tym tylko warunkiem pozwoliłem im pozostać. Raz żeni się młody parobek z dziewczyną dworską, a że oboje kilka lat wiernie służyli, kazałem im wyprawić wesele. Jak zwykle kilka wozów z pięknie przystrójnemi kobietami, obok czterech dziarskich parobków na koniach sprzed stajni wyjeżdżają do kościoła. Ale widzę, że stawają przed oficyną i do niej wszyscy wchodzi. Nie mogę się doczekać wyjazdu, więc posyłam dowiedzieć się, co tam tak długo robią. Wsiadają wreszcie i odjeżdżają. Rządca wchodzi do mnie, a na zapytanie, czemu tam tak długo z nimi siedział, odpowiada: „Toćśmy się wszyscy popłakali, taką nam mowę powiedział ceglarz”. Zaczął od tego: „Widząc, jakie przygotowania na ucztę weselną się robią, co do jadła i napojów — kapela już czeka — myślałby kto, że to pewnie pan młody przysposobił za swoje pieniądze to wszystko, albo że panna ma bogatych rodziców, ale my wiemy, że oboje tylko tyle mają, co przez kilkoletnią służbę zarobili, żeby w pięknych sukniach pojechać do kościoła. Ale ponieważ wiernie i poczciwie służyli, więc też dobre państwo nasze wyprawia im i nam wszystkim ucztę weselną”. Prócz tego słyszeliśmy, że na ich pierwsze gospodarstwo czeka w oborze pańskiej krówka, żeby mieli kapkę mleka na okrasę. Stąd rozwija mowca morały, jak wszyscy powinni się starać wypełniać obowiązki swoje, żeby zadowolnić państwo, tak dbałe o swoją czeladkę.

Pragnąłbym, aby młodzież nasza z tego opisu mojego gospodarstwa powzięła zamiłowanie do stanu, który nie tylko z charakteru narodu, ale i w chlebobdajnej naszej ziemi, będącej dziś spiżarnią całego Zachodu, do najswobodniejszego, a bardzo korzystnego zawodu należy. Prawda, że spółki handlowe, spekulacje kupieckie, gry na giełdzie, loterie, dziś niestety tak upragnione, czasem szczęśliwych graczy z bogacają bez pracy i w krótkim czasie, ale ja wolę dobrze się mającego gospodarza, bo jego byt na pewnych podstawach oparty, łączy, a przynajmniej łączyć powinien, wszystkich gospodarzy, bez zazdrości, wzajemnie sobie udzielając rady i pomoc w potrzebie.

Jadąc raz koleją, pyta mnie kupiec z Petersburga w sobolowej szubie, a zatem jakiś mały Rotszyldek, czemu panowie gospodarze, z którymi tu razem jechaliśmy, ciągle sobie udzielaliście rady gospodarcze, a my kupcy nic ze sobą nie rozmawiamy, albo przynajmniej nie o naszym handlu. Odpowiadam, po niejakiem namyśle, bo pytanie było niezwyczajne, że: „Podług mego przekonania dlatego wy kupcy

ze sobą o handlu nie rozmawiacie, bo nie wierzycie jeden drugiemu, lepiej zatem milczeć, jak się okłamywać". Rozśmiał się towarzysz sobolowy i przyznał mi, że mam rację.

Z tego wypływa, że stan kupiecki nie bardzo przystaje do charakteru Polaka, lubiącego otwartość i szczerłość, ale nie myślę dowodzić, że wolałbym handel widzieć w ręku obcych; owszem pragnąłbym, aby tylko był w polskim, ale takich Polaków, co z obcej pochodząc narodowości, przybywszy na gościnną polską ziemię w najlepszych Polaków się zamieniają, jak na to tysiące mamy dowodów. Takich kupców szanujmy i kochajmy, a my na niezmiernych obszarach naszej ziemi, korzystając sami ze skarbów w niej się mieszczących, nie dopuszczajmy przybyszów pragnących nas wyrugować i dlatego przed wszystkimi zawodami pokochajmy gospodarstwo rolnicze.

Może też — gdyby to nastąpiło — powróciła do nas dawna miłość bratnia pomiędzy obywatelstwem, dawna patriarchalna opieka nad ludem, dawna gościnność, co wszystko dziś z małymi wyjątkami chyba w powieściach naszych o dawnych czasach szukać musimy!

Mając prawie przeludnioną wieś, starałem się, żeby taką pracą mieli zarobek, która by przez poprawę z natury upośledzonego Piątkowa, korzyść dla mnie przyniosła. Więc wywożono glinę na piaski, tak że gdzie dawniej kozia broda rosła, piękne zboże sprzątano. Z kilkunastu stawów zarosłych wywieziony szlam na górki czerwone lub piaski, nie tylko tam korzyść przynosił, ale owe stawy przez zarybienie kuchnią wspierały, a w suche lata, kiedy w okolicy brak wielki wody się okazał, u mnie pod dostatkiem było dla paszącego się inwentarza, a nawet dla sąsiadów.

Byłem więc wówczas u szczytu mego powodzenia i mogłem się liczyć do rzędu najbajetniejszych obywateli, a to z tem przyjemniejszym uczuciem, że do tego własną pracą doszedłem.

Ale przeznaczenie moje, żeby ciągle walki staczać z przeciwnościami, nowe niespodziane mi sprowadziło. Sąsiad i szwagier mój, bo ożeniony z siostrą mojej żony, Aleksander Wysocki, czynny gospodarz, oszczędny w domowym życiu, a z pomocą chętnie potrzebnym dążący, we wszystkich potrzebach narodowych pełen poświęcenia, wzorowy pan dla ludzi swoich, jako jedynak był dziedzicem pięknego majątku Pułkowa⁹, z widokiem po śmierci odziedziczyć Dulsk¹⁰, jeden z najpiękniejszych i obszerniejszych majątków w Ziemi

Dobrzyńskiej w Królestwie Polskim, o milę od granicy odległym. Ponieważ Pułkowo nie wystarczało jego życiu czynnemu, przykupywał przyległe, mniejsze gospodarstwa, tworzył z nich oddzielne folwarki, które porządnymi budynkami i inwentarzami zaopatrzył, ale to wszystko za pożyczane pieniądze, na które nie mogłem mu odmówić dawać moje poręczenia, które na swoim majątku hipotekowałem, nawet bez mojego żądania i bez mojej wiedzy. Ponieważ te hipoteczne pożyczki nie wystarczały, wpadł w lichwiarskie ręce żydowskie, na które, chcąc go ratować, musiałem podpisywać weksle. Ale jak to zwykle bywa, że kto wpadnie w te nieszczęsne sieci lichwiarskie, stara się ukrywać położenie swoje i coraz brnie głębiej, nie zwierając się przyjacielom, żeby zawczasu mu przyszli z pomocą, tak też i Wysocki zadłużywszy ogromnie Pułkowo, w nieszczęsnym zawrocie głowy, zadzierżawia Niemcowi na dwadzieścia lat Pułkowo, a sam uchodzi do Dulska.

Teraz dopiero się dowiaduję, że oprócz poręczeń moich na kapitały pożyczone, samych weksli u Żydów jest 24 000 talarów. Nic nie pomoże, trzeba płacić jak najprędzej, żeby samemu nie zabrnąć. Na nieszczęście jakaś kryzys finansowa była powodem, że banki nie tylko obywatelom, ale i kupcom, którzy tylko na kredycie stoją, odmówiły pożyczki. Będąc w Banku Toruńskim zakredytowany na 50 000 talarów sądziłem, że dostanę stamtąd pomoc; dostawszy jednak odmowę, próbuję u kupców, ale w owym czasie ich jedynym zarobkiem było ściąganie rubli z Polski i posyłanie ich do mennicy berlińskiej, gdzie dla pięknego srebra na gorsze talary pruskie je przetapiano.

Jadę więc do Berlina z wykazami hipotecznymi moich majątków, które wtenczas tylko małymi sumami towarzystwa kredytowego były obciążone. Mając tam znajomych kupców i bankierów, sądziłem, że odbiorę kontraktami na wełnę i zboże potrzebny mi kapitał, ale dowiaduję się, że postrach giełdowy pochodzi z obawy rewolucji w Paryżu, gdzie znieawidzonego Napoleona zastąpią czerwoną republiką¹¹. Przybywający z Paryża, z którymi się stykam, potwierdzają te wieści. Posyłam po znajomego mi komisjonera, żeby mi koniecznie się wystarał o pieniądze, ale ten zaręcza, że próżne wszelkie zabiegi. Wchodzi na to mój przyjaciel Józef Rutkowski z jednego ze mną powiatu, w przejeździe do Meklenburga po barany. Opowiadam mu moje kłopoty, a przy tem przypominam sobie, że w Berlinie jest jakiś sławny prorok. Pytam się więc o niego komisjonera, który nam

cudowne rzeczy o nim powiada, że mianowicie wszystkie panny, ale i z dalekich stron zjeżdżają do niego, pytać się jakich mężów dostaną, a wszystkim się sprawdza. Jednej nawet jeszcze to dodał, że pierwsze, co Pan Bóg da, będzie parka. Namawiam więc Rutkowskiego, żeby z nami jechał do niego, spytamy go się zarazem, czy i kiedy naszą Polskę mieć będziemy.

Jadąc wszyscy trzej do mieszkania proroka w Zwierzyńcu bez zwierząt, tak zwany Tiergarten¹², opowiada nam komisjoner, że najprzód rozgłos sobie zrobił, przepowiadając, wiele lat przedtem, królowi staremu¹³, śmierć w roku 1840, za co go do kozy wsadzono, ale stamtąd wypuszczony, zyskał na sławie. Później królowi Wilhelmowi IV przepowiedział, że skoro ostatnia ósma marmurowa grupa postawiona będzie na moście zamkowym, król skaputuje (*geht der König caput*) i w istocie król w owym czasie zdrów, dwa dni po ustawieniu figur niebezpiecznie zachorował. Puszczanie krwi uratowało życie, ale dostał obłąkania, które go do śmierci nie opuściło¹⁴. Do żony przyszedł także przez prococtwo, bo z dzisiejszą swoją małżonką rozmawiając, przy kawie w publicznem miejscu, kiedy ta mu się skarży na losy, mówi: „Czego pani narzekasz, masz męża bogatego”. — „Cóż z tego, kiedy nie mam dzieci”. — „Żebyś była moją żoną, to byś je miała”. — „Doprawdy!” i czem prędzej rozwiodła się z bogatym mężem i poszła za ubogiego proroka, a prococtwo jego się spełniło.

Zajechawszy na miejsce, wchodzimy do jego mieszkania. Pytamy się podeszłej kobiety, czy pan Sohn u siebie? Odpowiada, że go nie ma. Na to otwierają się drzwi i wysoki mężczyzna odzywa się: „Jestem w domu, ale nie mam teraz czasu, bo mam gościa”. Małżonka jego na to: „Znowu ciebie wsadzą do dziury” i odeszła. Mówię więc do niego: „Zaczekamy, aż gość odejdzie”. — „Jeżeli panowie chcecie czekać to dobrze, proszę po jednym do mnie przyjść.”

Idziemy więc do restauracji i wyglądamy, rychło gość wyjdzie. Widząc po jakimś czasie wychodzącego młodego, porządnie ubranego mężczyznę z tłumoczkim na plecach, który widocznie przybył ze świata, pytam go się o swoją przyszłość, mówię do towarzyszy: „Puście mnie naprzód” i wchodzę do jego pokoju. Wskazawszy mi stołek, siada naprzeciw mnie i, od razu, nie pytając się, kto i skąd jestem, mówi: „Pan dużo pieniędzy straciłeś z winy krewnego żony, mając żonę i dzieci, o nich powinienes pamiętać”. Zadziwiony, że tak trafił, myślę go złapać i pytam:

„Wiele dzieci?” „Siedmioro było, ale troje żyje. Żona panu trochę dokucza, czemu dawałeś, ale ona ma serce takie jak pan, ona byłaby też dała, ale zwyczajnie, jak to kobiety.” Gadał mi wiele jeszcze rzeczy, familii mojej się tyjących, a wszystko prawdziwe, że nie mogłem się wstrzymać od zapytania, skąd to wszystko wie. Rozwodził się długo nad wzajemnym stosunkiem duchów ze sobą w łączności z duchem świata, ale żałuję, że tego mistycznego wywodu nie pamiętam, bo zanadto mnie to zajęło, co już słyszałem, a ciekawość, co dalej od niego usłyszę, nie pozwoliła mi należną uwagę nań zwracać.

Skończywszy, mówi dalej: „Co to pan w życiu swoim przechodziłeś: ciężkie choroby, klęski, prześladowania złych ludzi, ale to wszystko pokonasz; w siedemdziesiątym roku wieku twego będziesz zdrowszym, jak w młodych latach, ale co mówię, siedemdziesiąt lat, dożyjesz wieku dziadka i babki (którzy do osiemdziesięciu pięciu i sześciu lat dożyli). Pomoc, której tu szukasz, pieniądze, znajdziesz za kilka tygodni, a przeciwników twoich dostaniesz pod twoje stopy. W karty tu grając będziesz przegrywał. Doczekasz się w późniejszym życiu dawnego szczęścia”.

Widząc, że zapas przepowiedni się kończy, przypomniawszy sobie, że drudzy czekają, pożegnałem proroka, talarka na stół położywszy. Krótko opowiadał towarzyszom cudowne przepowiednie, ale mówię Rutkowskiemu, wybierającemu się iść do niego: „Pytajże go o naszą Polskę, bo ja z wrażenia doznanego zapomniałem”. Ten po dość długim posiedzeniu przychodzi do nas, mówiąc: „Niech go kaci wezmą, toć gadał jakby ze mną razem żył, wszystkie rodzinne stosunki, o rodzeństwie, żonie, domu, pięknie mieszkasz — mówił — jesteś majątnym, ale cóż z tego, jednak szczęścia nie ma, bo nie ma dzieci”. — „A o Polskę pytałeś się?” „Pytałem, mówił, że będzie przywrócona, ale to jeszcze jakiś czas potrwa.” — „Któryż król przyczyni się do tego?” „Który król? Wtenczas nie będzie ani króla, ani cesarza — *alles Republik*¹⁵, przy tem rewolucja i wstrząśnienie światem, jakich dotąd nie było, a Niemcy najbardziej ucierpią”. — „Jak pan tak możesz mówić, będąc sam Niemcem?” — Powtarza znowu: „Sam Niemcem? Przecież ja nikomu krzywdy nie robię, za cóż mam pokutować”.

Nie ma wątpliwości, że Niemcy swoim postępowaniem w Francji, Rumunii, Austrii, zgoła wszędzie pracują nad urzeczywistnieniem tej przepowiedni. Pytanie tylko, gdzie się rozpocznie? Podług przepowiedni sławnego proroka Spi-

le Behna, w Sławiańszczyźnie, bo mówi: *Der Klein-Türke wird im Jahre 1872, Deutschland verwüsten bis an den Rhein* (Mały Turczyn będzie w roku 1872 pustoszył Niemcy aż do Renu). Czytałem sam w roku 1848 to proroctwo, kupione w księgarni brodnickiej, a więc niedługo na to czekać. Wydawca tej przepowiedni robi do niej następującą uwagę: „Ponieważ proroctwa tego nadzwyczajnego człowieka od kilkuset lat w cudowny sposób się spełniły, wnosić by trzeba, że i to ostatnie się spełni, ale kto jest *der Klein-Türke*. Turek jest za słaby na to, może to pod przenośnią Moskalów się tyczy, ale przecież szwagier (Mikołaj) naszego króla tego nie robi — więc chyba pod inną przenośnią rewolucja ogólna”. Mnie się zdaje, że wielkiej przenośni nie trzeba, kiedy zważymy, że ludy sławiańskie pod tureckim panowaniem są rozumiane.

Sumiennosc mi każe przyznać się, że z pewnością nie pamiętam, czy tam rok 1872 wyrażony, ale to wiem, że na początku lat po roku siedemdziesiątym, więc zdaje mi się, że ci wszyscy, którym, jak mnie, przykrzy się czekać chwili zbawienia naszego, chętnie zgodzą się ze mną na rok 72.

Komisjoner ostatni biegnie do proroka, ale ledwo parę minut zabawiwszy wraca do nas mówiąc: „A to mi dał. Straciłeś swój majątek, żony majątek, teraz trzymaj w garści i bądź zdrow!” Znając jego historię mogę poświadczyć, że czysta prawda, a mogłem ją lepiej znać od proroka, bo ojciec jego miał piękny majątek w powiecie lubawskim, graniczącym z moim powiatem, który przez lekkomyślne życie stracił. Ożenił się z córką bogatego bankiera w Kolonii, ale i jej majątek zmarnował, więc od roku osiedlił się w Berlinie i został komisjonerem. Trudno, żeby Sohn, który cały dzień siedział w domu oczekując odwiedzających go, a dopiero co wieczór chodził do Berlina wypić parę kufelków piwa, o jego stosunkach, nie znając go osobiście, coś wiedział. Tem mniej o mnie i Rutkowskim.

Kiedy się o proroctwach Polskę tyczących rozpisałem, to przytoczę jeszcze jedno, które przed kilkonastoma latami w naszej okolicy się pojawiło, a które wtenczas trudno było zrozumieć, bo dopiero późniejsze wypadki zwróciły nań uwagę. To proroctwo jest następujące:

„Moskwa wiele lecząc sama chorować będzie. Król pruski z wielkiego apetytu konstupacji¹⁰ dostanie, a cyrulicy zewsząd krew puszczają mu będą. Polska na febrę tercjaną zapadłszy dużo ucierpi. Ale zegarek paryski (godzinę zemsty wskazujący), wody duńskie, szwedzkie żelazo, kalendarz

stambulski — czas okaże, a wtenczas na cały świat maligna. Polska dopiero przy nadspodziewanie nastąpionej jedności i zgodzie zakwitnie, postać wesołości przybierze, jak feniks z popiołów powstanie”.

Ponieważ znajdują się tacy, między nami, co nie wierzą w prorocstwa, nawet takie, które Polskę przepowiadają, osobliwie przez malignę całego świata wskrzeszoną i szydzą z tych, co w nie wierzą — jak to sam doświadczałem — to im się nie dziwić, bo czternaście procent dywidendy, to piękna rzecz, a może się jeszcze powiększyć, byle cicho było na świecie i mąż szanowny i wielce zasłużony nie miał przeszkody w operacjach swoich, a Polska, na łożu boleści, niech sobie dogorywa dalej!

Ponieważ trudność dostania pieniędzy w Berlinie ciągle trwała, a mój komisjoner gdzieś wyjechał, poznałem przypadkiem dwóch Niemców, którzy dowiedziawszy się, o co mnie idzie, oświadczyli, że nie będąc komisjonerami jednak będą się starać bez wynagrodzenia, abym dostał pożyczkę. Widząc ich gorliwe usiłowania, zapraszałem na obiady, a potem do mojej stacji na partią wista. Przyznałem im się, że dlatego ich do kart zapraszam, że się chcę przekonać, czy prorok prawdę mówił. I w istocie nigdy tak nieszcześliwie nie grałem, jak wówczas, tak że moim partnerom w końcu oświadczyć musiałem, że kontentując się dotychczasowym sprawdzeniem przepowiedni, więcej się przekonywać nie będę.

Udało się nareszcie moim pomocnikom w banku asekuracyjnym na życie wyjednać mi pożyczkę 20 000 talarów pod warunkiem, że sam życie moje zaasekuruję. Musiałem więc sprowadzić metrykę, od doktora przystawić świadectwo zdrowia i zahipotekowawszy kapitał powróciłem z pieniędzmi do domu, a zatem i ta przepowiednia się sprawdziła.

Cztery tygodnie temu zacząłem rok siedemdziesiąty, a że się czuję zdrowszym, jak w młodym wieku, więc i trzecia przepowiednia się spełniła, co daje nadzieję, że i reszta z pomocą Bożą się spełni, a wtenczas moje *Pamiętniki* więcej będą miały wartości, jak dziś, gdzie ludzi cenią podług majątku, jaki posiadają.

Połąawszy znowu z grubszego moje interesa, pojechałem do Brodnicy, gdzie się zwykle Niemcy zbierali na narady, jak mnie zaszkodzić, o czem później bliższe szczegóły opiszę. Tam obstępują mnie i nuż pytać o proroka. Rutkowski tu już nam powiadał, ale chcielibyśmy od pana usłyszeć. Opowiadam im więc wszystko aż do dostania nieprzy-

jaciół moich pod moje stopy. Nie bardzo im się to podobało, więc dowodzili, że musiał się co do przeszłości dowiedzieć się o mnie. Na to odzywa się młody Niemiec z Kolonii, który im opowiada, jak jemu i przeszłość, i przyszłość przepowiedział, chociaż pierwszy raz był w Berlinie, a jedno i drugie było nadzwyczajne. „Pozwolicie więc panowie, kończy, że stanowczo utrzymuję, że Sohn jest prawdziwym prorokiem”.

Zafrasowali się widocznie słysząc potwierdzenie z ust Niemca, który nie miał powodu ich okłamywać, a mnie mogli o to posądzać.

Kupno Radowisk dopomogło mi do pozbycia się reszty pozostałych drobnych długów, bo zmuszony do odstąpienia sto mórg lasu na paśnik, musiałem drzewo z tej przestrzeni sprzątnąć, które po wysokiej cenie sprzedałem.

Wypadło mi w nagłym interesie znowu jechać do Berlina, tam odbieram list od żony, pragnie, abym przyspieszył powrót, bo zaśląbła, prawda że nie niebezpiecznie, bo się tylko zaziębiła podczas słabości, ale życzy sobie, abym był przy niej. Doktor Kaczorowski, do którego ma zaufanie, ją leczy. Wracam więc natychmiast. W Toruniu namawiają mnie, abym starego doświadczonego doktora zabrał ze sobą, więc z nim przybywam do Piątkowa i posyłam po dr Kaczorowskiego, żeby naradzili się ze sobą. Temczasem ów doświadczony doktor każe pijawki przystawiać, choć już przedtem były użyte. Wychodzimy do ogrodu, mówi mi, że będzie wszystko dobrze, a gdy nadjeżdża Kaczorowski zostawiam ich dla narady, a sam zaglądam do gospodarstwa. Wróciwszy do dworu, zastaję obu doktorów zajętych tarciami zdrętwiałej żony, a kiedy, przerażony tym widokiem, ją obejmuję, wołając: „A to co?” — ona otwiera oczy, ale wyjąknawszy: „Mężu, ja umieram” — zamknęła je na zawsze¹⁷.

Rozdział XII

OD ROKU 1860 DO WYPADKÓW WARSZAWSKICH 1862

Treść: Wybór landrata w moim powiecie. — Moje *curriculum vitae*. — Landrat Young. — Śmierć matki. — Niemcy rabują Pułkowo. — Kupuję Pułkowo. — Przedaję Świerczyny. — Intrygi sędziego Łyskowskiego. — Sąd honorowy. — Świetny stan majątku. — O poprawie łąk. — Szkoła wojskowa w Cuneo. — Towarzystwo Agronomiczne w Prusach Zachodnich.

Kochana za życia, a więc powszechnie żalowana po śmierci, żona moja, zgromadziła na swój pogrzeb całe okoliczne obywatelstwo, którego młodsza część, po większej części kuzyni, nie pozwolili trumnę na katafalku ustawić, ale na barkach swoich do parafialnego kościoła, blisko pół mili odległego, zanieśli, gdzie ją do wiecznego spoczynku obok pierwszej żony do grobu złożono.

Starsza siostra żony, pani Jezierska, przywiozła do niedoroślej jeszcze, młodszej córki mojej, Wandy, nową nauczycielkę, a sama zostawiła gospodarstwo majątku w Królestwie mężowi i z dwiema córkami przeniosta się do mnie, matkować osieroconym dziewczętom.

W owym czasie nastąpiła w naszym powiecie zmiana landrata. Dziwna rzecz! Teść mój, lubo Polak, przez 33 lat urzędował, po nim już czwarty niemiecki naczelnik powiatu musiał miejsce swoje innemu ustąpić. Landrat Szczesny prześladowaniem Polaków, a w szczególności moim, zapewniwszy, że przelożonych swoich w Kwidzynie zadowolnił, prowadząc życie dosyć wystawne, na które pensja nie wystarczała, jakoś nie mógł się wyrachować z kasą powiatową i pod zarzutem nadużycia na własne potrzeby, został oddalony. Nastąpił wybór nowego przez stany powiatowe. Zjechał komi-

sarz rządowy do Brodnicy. Partia polska występuje z trzema kandydatami Polakami, z których pierwszym młody Czarliński, akademik, od kilku lat urzędujący, drudzy dwaj byli ja i Ignacy Łyskowski. Partia niemiecka, równająca się liczebnie naszej, robiła starania wszelkie, żeby mieć większość dla swoich kandydatów i jak zwykle, bez skrupułów, czy drogi prawne. I tak, pomiędzy innymi, składa Niemiec jeden plenipotencją swojej żony, która kupiwszy naprędce folwark od męża głos swój jemu oddaje. Polska partia protestuje przeciw temu, zwłaszcza, że pan mąż nie przystawił tytuł u posesji żony. Komisarz odzywa się: „To niepotrzebne, ja sam w sądzie się przekonałem, że tytuł posesji dziś będzie wygotowany”. Na to odpowiadam, że chleba, który jeszcze jest w piecu, nie możemy spożywać przy uczcie, do której zasiedliśmy, a zatem i takiego tytułu posesji, którego tu okazać nie można, przyjąć nie możemy. „Biorę to na moją odpowiedzialność — mówi komisarz — i głos jako prawny przyjmuję”.

Pomimo wszystkich wykrętów niemieckich, na wielkie zmartwienie pana komisarza, zwyciężyliśmy kilku głosami. Wzywa więc nas, abyśmy każdy swoje curriculum vitae w czternastu dniach przesłali, ponieważ posada nie może być nie obsadzoną, a z ministerium przyjdzie potwierdzenie tego kandydata, który im z wszystkich trzech najlepiej się spodoba. Na to odzywam się: „Panie komisarzu, moje curriculum vitae jest trochę długie, proszę o sześć tygodni czasu”.

Ponieważ Ignacy Łyskowski i ja nie mieliśmy pretensji, aby którego z nas ministerium landratem obrało, podaliśmy obydwaj obszerne curriculum vitae, w którym postępowanie rządu pruskiego z Polakami w jakrawych kolorach wystawiamy. Moje zawierało dziesięć arkuszy¹. Mając wówczas jeszcze przekonanie, że tylko rząd naszej prowincji pozwala sobie nadużyć bez wiedzy i woli najwyższych władz berlińskich, sądziłem oskarżeniem przed temi władzami, zwłaszcza, że to oskarżenie było nader ciężkie, spowodować sprawdzenie na miejscu, czy jest prawdziwe, a w takim razie zmianę postępowania w duchu sprawiedliwości, którymi się rząd pruski szczycić lubi. Ale omyliłem się, czekamy miesiące na zamianowanie naszego kandydata, a że landrat podług przepisów powinien w tym samym powiecie posiadać majątek, dyrektor Towarzystwa Kredytowego pan Donimirski² oddaje wizytę prezydentowi rejencji i pyta, czemu potwierdzenie zięcia jego nie następuje, aby mu kupić ma-

jątek w powiecie. Na to dostaje odpowiedź, żeby się Polacy nie łudzili nadzieją w państwie pruskim urzędu, do którego zaufanie rządu jest pierwszym warunkiem.

Toteż pomimo wyraźnych przepisów, że landrat powinien przez stany powiatowe być wybranym, narzucono nam barona Younga.

Matka moja, przedawszy Mierzynek⁸ przeniosła się do Brodnicy oddając się wychowaniu wnuczki, a stamtąd do Bydgoszczy, gdzie wydawszy ją za Bolesława Chotomskiego i zostawiwszy w tym mieście przez wiele jeszcze lat wdzięczną pamięć dobrodziejki dla potrzebujących wsparcia rodzin polskich, sprowadziła się do Piątkowa, żeby, jak mówiła, być pochowaną obok rodzinnych grobów. Toteż urodzona w roku pierwszego rozbioru Polski (1772) dożyła wysokiego wieku, bo osiemdziesiąt dziewięć lat, zachowując do końca jędrność umysłu i ducha i bez choroby zasnęła w Bogu.

Niemiec, któremu Wysocki na dwadzieścia lat zadzierżawił po 10 000 talarów rocznie Pułkowo, z góry zapłaciwszy za inwentarze, których nie oglądał i z góry zaliczywszy jednoroczną dzierżawę, przystał na to wszystko w przekonaniu, że jego, jako Niemca, nie wpuszczą do Pułkowa, i że dobre dostanie odstępnę. Czekał więc pięć dni w Dębowej Łące, gdzie był leśniczym, a pożyczając Wysockiemu po trosze pieniędzy, nazbierało mu się przez kilka lat 30 000 talarów sądząc, że wpadnę do niego i że ze mną piękny interes zrobi. Ale nie mogąc się doczekać, sprowadza się żoną i ośmiorgiem dzieci do Pułkowa. Widząc się zawiedzionym, nie płaci przez dwa lata nikomu, nawet Towarzystwu Kredytowemu, do czego się w kontrakcie zobowiązał, bo 200 000 talarów było długu w ogóle. Dyrekcja tego Towarzystwa robi kroki do subhastacji⁴, ale wszędzie Niemcy przychodzą dzierżawcy w pomoc, ociągając się z wykonaniem żądań dyrekcji, tak że dwa lata przesiedziawszy miał nadzieję jeszcze do trzeciego przeciągnąć i zasiał kilka pól więcej oziminą, jak powinien. Energicznemu postępowaniu dyrekcji udało się jednak zniewolić sąd do wyroku zapłacenia zaległych procentów pod osobistym aresztem oskarżonego. Nie pozostawało więc dzierżawcy nic, jak odejść Pułkowo i zemknąć. Wtem przyjeżdża do mnie sąsiad późnym wieczorem, donosząc mi, że prosto jedzie z Wąbrzyźna⁵, gdzie mu jakiś wyjątkowo poczciwy Niemiec pod sekretem powiedział, że jutro wszyscy niemieccy są-

siedzi zobowiązali się na korzyść dzierżawcy zrabować Pułkowo ze wszystkiego, co się wywieźć da.

Ze sądem brodnickim zaś taka stanęła umowa, że jeżeli ja będę żądał aresztu na ten rabunek, dopiero za trzy dni zjedzie delegat sądowy, ale wtenczas już nie będzie na co aresztu położyć.

Musiałem się wprzód przekonać, czy to doniesienie się sprawdzi, a że nazajutrz odbieram wiadomość, że kilkadziesiąt wozów, mianowicie dwanaście z Dębowej Łąki, dwanaście z Płachot, a zatem od obydwóch braci Hennigów, od świtu samego plądrują Pułkowo, zabierając zboże, kartofle, których dla gorzelnii było kilkanaście tysięcy korcy, i sprzęty gospodarcze, posyłam natychmiast do Brodnicy furmankę, wzywając sąd, żeby przyszedł w pomoc przeciw temu bezprawiu *a periculum in mora*.⁶ Dyrektor sądu opędza się memu urzędnikowi mówiąc, że nie może wyskoczyć z sądową pomocą na moje żądanie, ale za trzy dni przysśle sędziego. To już będzie za późno, mówi mój posłaniec, dyrektor jednak stanowczo odmawia, ale że równocześnie pisałem do adwokata, aby poparł moje żądanie, ten się zjawia w sądzie i żąda, aby natychmiast areszt był położony. Nie mógł się oprzeć pan dyrektor i wysłał sędziego, który wieczorem przybywając do Piątkowa, mówi mi, że wstępował w Pułkowie i oznajmił dzierżawcy, że jutro rano sekwestracją zaprowadzi. — „Toś mu wygodził — odpowiadam — będzie się starał korzystać z tego i dziś jeszcze wyprowadzi, co się da”. Jakoż w kilka godzin odbieram od radzcy z Radowisk doniesienie, że dwadzieścia wołów z Pułkowa pędzono przez Radowiska, i że je kazał zatrzymać. Odzywa się sędzia: „Niech Bóg broni, może panu zrobić proces o samowładną dla siebie pomoc (*eigenmächtige Selbsthilfe*) i to na publicznej drodze”. Dałem się zdurzyć przy znanej mi parcjalności dla Niemców i kazałem puścić woły.

Nazajutrz, o szóstej godzinie jedzie sędzia do Pułkowa, tam zastaje już pełne podwórze wozów sąsiedzkich, zabierających resztę. Co już było na wozach, uważał, że nie byłoby przyzwolicie odbierać i tylko próżnym wozom kazał wracać do domu. Tak ocalało trzy tysiące korcy kartofli, które ludzie miejscowi rozebrali, bo przez niegodziwego dzierżawcę nielitościwie byli głodzeni, tak że z wielkiej biedy dużo mieszkańców wymarło.

Radzca Towarzystwa Kredytowego, Jackowski, który przypadkiem będąc w Brodnicy, z sędzią był przyjechał, odzywa się do dzierżawcy: „Ponieważ pan tu już nie masz

czem gospodarować, zapewne się usuniesz i sekwestratorowi zarząd zostawisz". — „Przeciwnie — odpowie dzierżawca — ja zapłacę te 7000 talarów, o które dykcja mnie zaskarżyła i będę dalej gospodarował". Sędzia popiera stronę swego landsmana i tak odjeżdżają panowie zostawiwszy sekwestratora, dawniejszego mego rządzcę, Gniazdowskiego. Na przekór siedział dzierżawca jeszcze kilka tygodni, aż wreszcie, obawiając się osobistego aresztu, znikł.

Pora wiosenna już była spóźniona, bo koło połowy maja, a w polu nic nie było zrobione, więc otrzymawszy Gniazdowski 2000 talarów od dykcji, musiał dopiero skupować zboże jarzynne i kartofle, przy czem rozwinął całą swoją energią, żeby jako tako pola poobsiewać.

Wyznaczono termin do licytacji na Pułkowo. Przed moimi kapitałami, które 60 000 talarów wynosiły, było 75 000 zhipotekowanych, po tych 135 000, Żydzi mieli swoje do 200 000 zapewnione. Kredytorzy, mający przede mną kapitały, licytowali do pokrycia sum swoich, a odstępując od dalszej licytacji, przybito na mnie Pułkowo za 75 000.

Okazało się, że 40 000 talarów, w sześciu tygodniach pod zagrożeniem resubhastacji, płacić muszę. W kłopotcie moim, skąd wziąć pieniędzy, przychodzi do mnie uradowany poczciwy Gniazdowski mówiąc, że pieniądze będą, bo Braun, dzierżawca chce kupić Świerczyny. — „Czemuż sam nie przychodzi?" „Bo nie śmie, wiedząc, że pan nie sprzedasz Niemcowi, ale nie bądź śmiesznym, kiedy to jeden sposób jest pozbycia się kłopotu". — „Jeszcze jedna jest przeszkoda — mówię — sprzedania Świerczyn, opinia publiczna sądzi, że kupiłem Świerczyny dla Władysława, a sam tę opinią utrzymywałem". — „Kiedy Władysław niedawno temu był u mnie i w przytomności dwóch moich sąsiadów oświadczył, że nie chce Świerczyn, bo za swoje i matki kapitały może mieć w Polsce piękniejszy majątek bez długu, który by mu w Świerczynach w znacznej wielkości pozostał". — „Czy to pewno, że Władysław nie chce?" — pytam jeszcze. „Przysięgam, a świadkowie potwierdzą." — „To wołaj Brauna."

Poświadczyć tu muszę, że on prawie jeden ze wszystkich Niemców, pomny, że teściowi mojemu winien swoje szczęście, bo mu nawet bez kaucji wydzierżawił majątek, zawsze ze mną uczciwie wychodził, nie wdając się w ich zmywy na moją szkodę i w ogóle z dala się trzymał od ich zabiegów nieprzyjaźnych Polakom. Toteż, przyciśnięty gwałtowną

potrzebą musiałem zapomnieć o mojej zasadzie nie puszczać majątku w ręce niemieckie i po krótkim bardzo targu sprzedaję mu Świerczyny za 130 000 talarów. Była już jedenasta godzina w nocy, kiedy ta ugoda nastąpiła. Ten jeden Braun zrobił warunek, że jutro o dziewiątej godzinie z rana kontrakt sądowy z nim zrobię, który mając w ręku będzie w stanie wypłacić im za kilka tygodni 40 000 talarów, które koniecznie potrzebowałem. Nazajutrz robimy sądowy kontrakt, przy którym 5000 talarów jako *vadum* dotrzymania kontraktu mi płaci.

Zadowolony tak pomyślnym obrotem moich interesów, bo i posiadanie Pułkowa sobie zabezpieczyłem i posag żony został ocalony, pragnąłem z opiekunem Władysławem, Sypniewskim, się rozmówić, żeby mu wytłumaczyć, jakim sposobem zostałem uwolniony od opinii, że myślę odstąpić Świerczyny Władysławowi i to przez jego własne oświadczenie, że ich nie chce. Ponieważ pilno mi było wracać do domu, ucieszyłem się zobaczywszy mego przyjaciela, sędziego Mieczysława Łyskowskiego w izbie gościnnej, rozmawiającego z Niemcem. Kręcę się więc koło niego, aż skończy rozmowę, zresztą bardzo obojętną, ale widząc, że się przeciąga, zaczepiam go — z zamiarem przez niego opiekunowi donieść o powodach sprzedania Świerczyn. Ale widząc, że zaczepka jedna i druga nie zdoła przyjemniejszą z Niemcem rozmowę przerwać, wychodzę i odjeżdżam do domu. Zadziwiło mnie niemało to że mną postępowanie sędziego i przypomniało mi słowa, niedawno od landrata Younga słyszane, który mnie zapytał, czy się pogniewałem z sędzią. Odpowiadam: „Jesteśmy w najlepszej przyjaźni, nawet wczoraj byłem do zacnej jego żony przez niego proszony na herbatę, przy czym cały wieczór mile przepędziłem”. — „To dziwna — mówi landrat — bo kiedym w miejscu zwykłej wieczornej schadzki pana wystawiał jako najzacniejszego z obywateli, wszyscy się ze mną zgodzili, tylko sędzia Łyskowski był innego zdania.”

W kilka dni po powrocie do domu odbieram list od niego, w którym mi w jaskrawych kolorach wystawia nierozważny czyn, który popełniłem, wydzierając małoletniemu ojcowski majątek. Ubolewa nade mną, że tym czynem zniweczyłem całą moją nieskażoną przeszłość i zaklinając mnie na wszystkie świętości narodowych obowiązków, na dzieci moje, nie widzi innego dla mnie ratunku, jak jechać natychmiast do matki Władysława, w Włocławku mieszkającej, ofiarować jej tysiące talarów, żeby zapomniała o

krzywdzie wyrządzonej synowi. Sądził, że będąc jako sędzia wyrocznią u większej części obywateli i mnie swymi podstępными radami, ale jak twierdził z wielkiej dla mnie przyjaźni i życzliwości płynącymi, zdurzyć potrafi. Ale się omylił, bo odebrał odpowiedź, w której mu wprost zakazuje mięszać się do moich interesów, a kiedy unikał ustnej ze mną rozmowy, która by mu była wykazała, że miałem nie tylko prawo, ale i słusność po mojej stronie sprzedać Świerczyny, jako własność moją, teraz niewczesnie przychodzi z dziwnymi swymi radami.

Nabycie korzystne Pułkowa, przez które wszystkie straty przez Wysockiego poniesione pokryte zostały, a nie mniej korzystna sprzedaż Świerczyn, zajęły umysły całego obywatelstwa w Prusach Zachodnich. Utworzyły się dwie partie głośno rozstrząsające moje postępowanie. Jedna, pocziwa, z niezmiennych moich przyjaciół się składająca, przyznawała mi słusność i cieszyła się, że tak szczęśliwy obrót interesom moim nadałem. Druga, od dawna przepowiadająca mi upadek, przez niemile dla niej powiększenie majątku, widząc od razu zniweczone przepowiednie, siliła się moralnie, w opinii publicznej, mnie poniżyć. W takim położeniu rzeczy bardzo mi przyjemną była wizyta Ignacego Łyskowskiego, bratanka sędziego, któremu pokazuję list jego, na który się mocno oburzył, tem bardziej, że jak mi mówił, stoczył z nim w tej sprawie ostrą dysputę dowodząc mu, że najsluszniej postąpiłem, opartą jeszcze przez przypadkiem przybyłego zacnego, a powszechnie poważanego mającego, obywatela Rybińskiego. Prosiłem zatem pana Ignacego, żeby wpłynął na brata, aby przestał buntować przeciw mnie nie tylko obywateli dokoła, ale i pocziwe mieszczaństwo brodnickie, dotąd tak dla mnie przychylnie, ku wielkiemu zadowoleniu Niemców, cieszących się z brzydkich swarów naszych.

Najwięcej zmartwiło przeciwników moich, że zamiast utracić, jak przepowiadali, posag żony, na Świerczynach w ostatnim miejscu zapisany, jeszcze przez korzystną sprzedaż, 25 000 talarów zarobiłem. Ale w istocie zarobek przy ścisłym obrachunku znikł prawie zupełnie. Bo 10 000 odciągnął sobie dzierżawca, a dzisiejszy nabywca, za budowlę; 3500 talarów należało się matce Władysława, jako piąty procent, który na przypadek, gdyby Władysław nie utrzymał się przy Świerczynach, jej miał być dopłacony, bo dotąd tylko cztery procent pobierała. Zostawało więc tylko 11 500 talarów, które ledwo że pokryły straty, które ponosiłem, nie

odebrawszy ani posagu żony, ani procentu z niego, przez co po klęskach poniesionych, niemało długu mi przybyło.

W tym czasie przyjeżdża do mnie nowy dziedzic Świerczyn, Braun, prosząc mnie, abym z nim jechał do Włocławka, do pani Wybickiej, której chce zawieźć owe 3500 talarów, a boi się sam jechać, bo pewnie się gniewa, że to on, Niemiec, nabył Świerczyny. Jedziemy więc do owego Włocławka, a wchodząc do pani Wybickiej, obsypany zostałem od razu wyrzutami za sprzedaż Świerczyn. Sędzia Łyskowski bowiem na wszystkie strony rozrzucił swoje intrygi. Prócz listu do mnie spowodował opiekuna, żeby doniósł matce o krzywdzie popełnionej synowi. — „Wiem już o wszystkim, był tu wczoraj u mnie przysłany obywatel przez opiekuna, który mi wszystko opowiedział.” — „Ale czy wie matka, że Władysław nie chce Świerczyn, bo to powiedział w przytomności trzech obywateli — twierdząc, że w Polsce co lepszego bez długu dostać może.” Prócz tych argumentów wyjechał Braun ze swoim wymowniejszym, że przywiózł jej owe 3500 talarów, których by nie dostała, gdyby się Władysław przy Świerczynach utrzymał. Nastąpiła więc najpiękniejsza zgoda, przy której obiecała zaraz napisać do syna, że wszystko jest dobrze między nami.

Kiedy więc wróciwszy do domu, sądzę, że przynajmniej z tej strony mam pokój — odbieram z Włocławka list od matki, która mi donosi, że dostawszy list od syna, rozpaczający za sprzedaż ojczywego majątku, którego posiadanie było najświętszym jego marzeniem, musi cofać zgodę między nami nastąpioną i zrywa wszelkie ze mną stosunki.

Pokazało się, że pan sędzia wszystkich użył sprężyn w mętnych celach swoich, bo napisał do młodego Władysława, wojskowość swoją odbywającego, dyktując mu, co miał matce napisać i usłuchał go niedoświadczony młodzieniec, który dotąd we wszystkich swoich finansowych kłopotach tylko do mnie jednego o pomoc się odzywał i za uzyskanie jej zawsze wdzięczność i przywiązanie okazywał.

Następnie donoszą mi moi przyjaciele, jaka burza, poddmuchana przez przeciwników moich, zewsząd się zbiera i wzmacnia, a kiedy nareszcie słyszę, że mieszczaństwo brodnickie, duchem narodowym ożywione, a zawsze mnie przychylnie, tak dalece przez sędziego zostało zbuntowane, że mnie przestrzegano pokazać się w Brodnicy, bo mnie awantura spotkać może, przekonałem się, że nie ma innej rady, jak wezwać sąd honorowy, żeby koniec położyć takim intrygom.

Jadę więc do Chełmna i oddaję do „Nadwiślanina” inse-
rat, w którym wzywam wszystkich, których sprawa naro-
dowa i honor współobywatela obchodzi na zjazd do Wąb-
rzyżna. — „Pokaże się tam, mówię, przy końcu, kto konfe-
derat barski, a kto Targowica”; a temczasem pocieszać się
będę wierszem, ze szkolnej ławy mi pamiętnym, rzymskie-
go poety:

„Stałego w dobrych przedsięwzięciach męża,
Zapał źle chcących ziomeków nie zwycięża.
Daremnie tyran na niego się sroży,
Żadna go nigdy burza nie zatrwoży.

Niech wszystkie niebo wyrzuci pociski,
Patrzy spokojnie na gromy i błyski.
Niech niebios sklepienia nad głową mu pękną,
Przygniotą go zwaliska, ale nie ulękną”.

Przekład Dmochowskiego⁷, ojca Salezego, zmieniłem w
ostatnich dwóch wierszach, bo Horacego:

*Si fractus illabatur orbis
Impavidum ferient ruinae.*

oddane po polsku:

„Niech się świat cały z swych zasad wyłamie,
On nieugięty nadstawi mu ramię.”

zdawał mi się za słaby.

Przypadkiem zastałem znanego mi obywatela z Płockie-
go w redakcji, który pięćdziesiąt egzemplarzy „Nadwiśla-
nina”, wracając do domu, zabrał ze sobą do rozestania moim
przyjaciołom.

Na dzień terminu zjechało bardzo dużo obywateli, pomię-
dzy nimi i dwóch z Polski, zaciekawieni pod jakim to ja
zarzutem od rodaków się znajduję, słysząc o mnie dotąd tyl-
ko o prześladowaniach ze strony Niemców.

Pod przewodnictwem szanownego Karola Kalksteina z
Pluskowej rozpoczął się sąd. Wyznałem, że zarzut, który
sam sobie zrobić muszę, jest ten, że Niemcowi sprzedałem Świer-
czyny, zarzuty zaś mnie zrobione zbiliem tym, że będąc praw-
nym posiadaczem tego majątku, mogłem z nim dowolnie
rozporządzać, a oświadczenie, że dla Władysława kupuje,
zrobiłem tylko dla oddalenia niemieckiego licytanta. Osta-
tni zaś pozór w opinii publicznej istniejący, że kupowałem

dla małoletniego syna, zbiłem świadectwem kilku przytomnych, do których Władysław oświadczył, że nie chce Świerczyn.

Przeciwnicy moi musieli wobec przeważnych głosów za mną przemawiających zamilknąć i wyrok mnie od wszelkiego zarzutu uwalniający ogłoszony został w „Nadwiślaninie”. Ale rozdwojenie w obozie polskim rozgłos pocieszający pomiędzy Niemcami znaleźć musiało i spowodowało ich do systematycznego względem mnie prześladowania. Mnóstwo procesów o niesłuszne pretensje z dawnych czasów mnie wytoczono. Adwokat mój, należący do ogólnej przeciw mnie konspiracji, tak kierował obroną moją, że wszystkie przegrywać musiałem. Jeden dopiero pocziwy sędzia Niemiec kazał mnie przestrzec, żebym się takiego adwokata pozbył i, odebrawszy jemu moje akta, oddałem innemu.

Tamten widząc się zdemaskowanym i pamiętając przepowiednię Sohna, że przeciwników moich pod moje stopy dostaną — chociaż sobie wybudował piękny dom z ogródkiem, gdzie jak mi często powtarzał, na zawsze z rodziną zamieszkać myśli — nagle przedał to wszystko i przepadł gdzieś w bezpieczniejszej, wielkiej Germanii.

Inni, śmielsi Niemcy nie przestali mnie prześladować, jak mogli i korzystać z każdej do tego sposobności, a kiedyś jednemu z nich zarzucał to prześladowanie tak jawne, on mi wprost odpowiedział: „Czemuż pana nie mamy się starać stąd wydostać, kiedy Polacy pragną to samo”.

Nowy nabywca Świerczyn uiszczył się z obowiązania wypłaty 35 000 talarów, bo z kontraktem ze mną zawartym pojechał do Kwidzyna, gdzie nie tylko z pomocą prezydenta dostał ów kapitał, ale nadto on jeden ze wszystkich obywateli niemieckich Order Czerwonego Orła⁸, jako nagrodę, że z polskich rąk wyrwał piękny majątek.

Przedaż Świerczyn i kupno Pułkowa, jedno i drugie korzystne, byłyby dużo interesa moje majątkowe poprawiły, gdyby nie konieczność, że folwark Feliksowo i kilka mniejszych gospodarstw, nie objętych przy sprzedaży Pułkowa, musiałem na licytacjach nabyć, ponieważ na nich sumy hipoteczne poręczyłem. Wyprostowałem jednak te interesa w krótkim czasie, do czego mi głównie Pułkowo z gorzelnią, do której ze wszystkich dokoła folwarków kartofle dowoziłem, dopomogło.

Zwróciłem szczególnie uwagę moją na poprawę łąk w Pułkowie, których tam było dużo, ale siana mało dawały i to lichego, bo mchem były przerosłe. Na poprawę takich łąk

nie wystarcza nawodnienie, które zwykle wielkimi kosztami bezskutecznie bywa użyte, bo wody nie wytepią mchu, tylko owszem, bujniej jeszcze rośnie. Bez kosztów uskuteczniłem tę poprawę, korzystając z czasu wiosennego, kiedy w polu nic jeszcze dla roztopów robić nie można, a w łąkach zwierzchnia darń na parę cali rozmiękła. Wtenczas kazałem ciężkimi żelaznymi bronami z poostrzonymi cynkami drapać łąki, tak silnie, aż czarnego koloru nabrały. Skutek się okazał zadziwiający, bo gęste i bujne trawy wyrosły. Prócz tego nawozilem kompostami, które w każdym gospodarstwie przez zbieranie wszystkich podwórzowych nieczystości z domieszaniem materiałów z wychodków, popiołów, ziemi, a szczególnie marglu tworzyć się powinny, przez co w miejsce dzikich, a często szkodliwych roślin najpożywniejsze powyrastały. Łąki w ogóle najobficiej wynagradzają prace umiejętnie podjęte, bo kiedy role pomimo najstaranniejszej uprawy przez susze znacznie cierpią i liche zboże wydadzą, łąki samą rosą w wilgoci utrzymane pięknymi i obfitymi trawami się pokryją.

Na Piątkowie z łąkami trudniejsza była sprawa, bo tam osuszony kosztownymi rowami bagna, trzeba było palić pozostałe, ogromne kępy, zamieniać je na użyteczne grunty, sadząc na nich kapusty, brukwie i inne pastewne rośliny. A ponieważ jeszcze nie mogły być tak dalece osuszone, żeby plugiem na nie wjeżdżać, kazałem kopać głębokie bruzdy i ziemią z nich wydobytą tworzyć wysokie liche, na których sadzono owe pastewne rośliny. Co przez kilka lat powtórzywszy, tak się same osuszyły, że można je było orać i olejnymi nasionami, czy to zimowymi, czy letnimi, zasiewać. Potem dopiero zasiawszy mieszanki z koniczyn i innych traw, zrobiły się z nich najpiękniejsze łąki.

Zazdroście mi, panowie gospodarze, co, jak tu w Galicji często widzę, macie i ziemie z natury urodzajne i łąki samorodne, najpiękniejsze siana wydające, bo nie doświadczacie tej przyjemności, którą ja miałem, widząc nagrodę prac moich i często się nudzicie w waszych pięknych wiejskich siedzibach. Dla mnie te zachwiane przyjacielskie stosunki z dawniejszemi przyjaciółmi moimi, miały tę korzyść, że nie odrywając mnie od prac gospodarczych, jak dawniej, zawiernie wpłynęły na polepszenie majątkowych stosunków moich. Dawniej bowiem rzadko dzień mijał, w którym by gość miły nie zawitał do domu mojego, a następnie wspólnie odwiedzało się innych i tak czas schodził na przyjemnych zabawach.

Tymczasem horyzont polityczny zaczął się zachmurzać, po wszystkich dzielnicach Polski pod wpływem emigracji ruszać się zaczęło. Otworzyła się szkoła wojskowa naprzód w Genui, skąd się przeniosła do Cuneo⁹, do której młodzież polska z zaboru moskiewskiego tłumnie się udawała, a znaczna ich część przejeżdżała przez Piątkowo. Przekonany, że każdy ruch narodowy tylko wtenczas jakąś pomyślność rokować może, kiedy jest pod kierownictwem człowieka energicznego i powszechnie mającego zaufanie, pytałem się każdego z tej dzielnej młodzieży, pod czyją iść myślą komendę i od wszystkich tę jedną odbierałem odpowiedź: „Tylko Mierosławski”.

Ale trop w trop za nimi podążali wysłannicy tej części narodu, co dobrobyt nie chcą mieć zagrożony, przez ofiary wymagane ku wydobyciu się spod jarzma, do którego się przyzwyczaili i wkrótce udało im się rozdwojenie pomiędzy młodzieżą wywołać, między którą niemało było takich, którym rygor Mierosławskiego, żądającego pilności w nauce i ćwiczeniach wojskowych się nie podobał.

Mierosławski musiał ustąpić i oddano zarząd szkoły w niedołączne ręce generała Wysockiego¹⁰, który z Paryża, zastępcami swymi, wkrótce pożądane rozprężenie szkoły dokonał.

Ruch ten narodowy i pod zaborem pruskim zaczął się objawiać, a naprzód w Poznańskim słyszeliśmy, że wybrano mężów zaufania. Niedługo potem i na Ziemi Chełmińskiej jeden z pierwszych obywateli listownie zaprosił do siebie ze wszystkich powiatów Prus Zachodnich współobywateli odznaczających się gorliwością w sprawach narodowych. Nie należąc do liczby zaproszonych, dowiaduję się od Ignacego Łyskowskiego, że został wybranym jako mąż zaufania w moim powiecie. Pomimo szczególnego sposobu wyboru mówię panu Ignacemu, że obowiązkiem jego teraz jest nadać kierunek w powiecie do czynnego działania w duchu narodowym, a to najlepiej przez ogłoszenie zjazdu ogólnego dla utworzenia Towarzystwa Agronomicznego, z powiatów brodnickiego i lubawskiego, czyli, z Ziemi Michałowskiej.

Przystał chętnie pan Ignacy na moją propozycję i zjechałszy się bardzo licznie w Brodnicy. Wybrani zostali: ja na prezesa, Sypniewski wiceprezes, Ignacy Łyskowski sekretarz, Karwat kasjer i ułożyliśmy statua naszego Towarzystwa¹¹, którego cele nie tylko w podniesieniu gospodarstwa, ale i oświaty niższych warstw były wyrażone.

Za naszym przykładem potworzyły się po całych Prusach Zachodnich towarzystwa podobne.

Rozdział XIII

W PRZEDEDNIU POWSTANIA STYCZNIOWEGO

Treść: Wypadki warszawskie. — Żałoba za pięciu poległych. — Śmierć Karola Kalksteina. — Moja mowa pogrzebowa. — Rewizja moich papierów z rozkazu prezesa policji poznańskiej, Bärensprunga. — Awantura z Niemcem na drodze publicznej. — Pruska sprawiedliwość. — Syna chorego zabieram z Poznania do domu. — Śmierć młodszej córki, Wandy. — Mowa pogrzebowa emigranta Raczyńskiego i *Elegia* jego. — Drugi atak sędziego Łyskowskiego na mnie, odparty szczęśliwie. — Powstanie zdecydowane. — Sp. Franciszek Salezy Dmochowski jako gospodarz.

Warszawa, serce Polski, nasza kochana Warszawa, stanęła na czele w poruszeniu ogólnym. Ojcowie narodu obradowali nad uwłaszczeniem włościan, ale wszystkim duszno się zrobiło pod brzemieniem niewoli. Duch Kilińskiego wionął po stolicy, opuszczono warsztaty i zalane zostały ulice, by pięściami pogrozić cytadeli. Nie podobało się to Moskwie i zakomenderowała: „Ognia!”, do bezbronnych. Pięć trupów podniesiono z krwią zbryzganego bruku¹. Cała Warszawa z duchowieństwem wszystkich wyznań na czele stanęła do uroczystego pochodu na cześć niewinnych ofiar, by je złożyć do wiecznego spoczynku, posyłając rozpaczliwe, błagalne hymny do Boga.

Na cześć poległych cała Polska przywdziała żałobę, a Moskwa, wstydząc się swego zwycięstwa nad bezbronnymi, nie śmiała temu przeszkodzić i nie czując się dość silną, zezwalała na wszelkie objawy ducha narodowego. Wszystkie części rozszarpanej Polski rozbudziły się do czynnego udziału i pod przewodnictwem duchowieństwa do ofiarności gotowego, po wszystkich świątyniach Pańskich i kapliczkach domowych zabrzmiały: *Boże coś Polskę* i *Z dymem pożarów*.

Prusy Zachodnie poniosły w owym czasie niepowetowaną stratę przez śmierć powszechnie szanowanego obywatela Karola Kalksteina z Pluskowęs. Bawiło u mnie wtenczas czterech zacnych emigrantów, pomiędzy niemi znany poeta i miły towarzysz, Włodzimierz Wolski. Zachodziło pytanie, czy jechać z niemi na pogrzeb, czy zostawić ich w domu. Zabrać ich ze sobą pomiędzy obywateli, nie lubiących tych jego-nościów — jak ich nazywano — źle — powiedzą: „Przyjeżdża się popisywać ze swojemi adiutantami”. Zostawić w domu — jeszcze gorzej, powiedzą: „Ubliża rodzinie, żałobą dotkniętej”. Stańło zatem, że goście moi zgodzili się ze mną na mniejsze źle i pojedą. Ponieważ już była północ, a nazajutrz mieliśmy jechać, proszę, aby poszli spać, bo muszę zasiać i napisać mowę pogrzebową, oddającą cześć zgasłemu patriarsze naszemu w imieniu obywateli.

Przybywszy do domu żałoby, odprowadziliśmy ciało wieczorem do katedry chełmińskiej. Nazajutrz odbyło się nabożeństwo solenne, po którem wróciliśmy do Pluskowęs. Po obiedzie zabieram się pożegnać, żałobą dotkniętą, rodzinę wypowiedzeniem mowy i pomimo perswazji z kilku stron mnie dochodzących, żeby dać temu pokój, bo to niewczesnie itd., pomimo przeszkód podczas mowy, ale wsparty protekcją moich adiutantów, wypowiedziałem następującą mowę:

„Wśród żałoby powszechnej narodu polskiego, przybyła naszej Ziemi Chełmińskiej, przez zgon jej patriarchy, czcigodnego obywatela Karola Kalksteina, nowa, bolesna żałoba. Tamta, jakkolwiek w dziejach ojczyzny naszej nie było podobnej, jakkolwiek przywdziana pierwszy raz po dokonaniem męczeństwa nad narodem dopominającym się praw od Boga mu danych, pierwszy raz, mówię, przywdziana ogólnie, lubo tego męczeństwa była przez blisko wiek cały i liczba, i rozmaitość niemała; tamta nie wzbudza jednak tego smutku, który dziś widzimy na twarzach wszystkich tu przybyłych, dla oddania uroczystej a serdecznej czci obywatelowi, którego zwłoki zaprowadziliśmy do wiecznego spoczynku. Skąd ta różnica? Oto stąd, że naród cały w żałobie postanowił nie zdejmować jej prędzej, aż ją zamieni na godowe szaty wolności. Toteż pod kirem żałoby za niewinnie pomordowanych braci bije serce nadzieją w miłosierdzie Boże, a dusza hartu nabiera. Nasza zaś dzisiejsza, pogrzebowa, żałoba, szanowni rodacy, w ciężkim nas pogrąża smutku, bo zrobiła nam się szczerba w obywatelstwie naszym, a nie widzimy, kto ją zapełni. Bo któż, jak on, powagą wieku, uprzejmością niezrównaną, nieskazitelnością charakteru wsparty, zgromadzać nas będzie koło

siebie, czy to w sprawach publicznych, czy też prywatnych? Do tych przymiotów łączył śp. Karol gorącą miłość ojczyzny do poświęceń zawsze gotową; dlatego widzimy dziś przy zwłokach jego rodaków i z dalekich okolic przybyłych, bo imię zasłużonego ojczyźnie obywatela brzmi daleko na polskiej ziemi. Nie doczekał się śp. Karol owoców prac i zabiegów swoich w wolnej ojczyźnie, ale zostawił nam syna już dorosłego na miejscu swoim. Tobie więc, młody nasz współobywatelu, Antoni Kalksteinie, którego w tej uroczystej chwili przyjmuję, prawem tymczasowego starszeństwa do grona naszego, nie przypominam, że ci śp. ojciec przekazał pisany testamentem być podporą czcigodnej matce, współopiekunem młodych sióstr, ale pozwalam sobie ogłosić w przytomności tyłu poważnych świadków moje przekonanie, że będziesz godnym synem matki ojczyzny, bratem naszym, bratem pocziwego, bogobojnego ludu naszego, który tak szczerze pracuje na polskiej ziemi i nie da się z niej wyrugować, bo ci to ojciec przekazał testamentem żywota swojego, bo do tego mnie upoważniasz nadzieją, którą wszyscy w Tobie pokładamy.

Nam zaś, żalobni współobywatele nasi, których nasz nieodżałowany patriarcha zostawił w sieroctwie, cóż nam zostaje do czynienia w położeniu naszym? Oto pamiętajmy, że duch jego długo jeszcze pomiędzy nami mieszkać będzie, że na sprawy nasze spoglądać będzie, że zatem świętym naszym obowiązkiem powinno być, abyśmy wielkie cele, które opatrzność przeznaczyła narodowi naszemu, w zgodzie i miłości wzajemnej, pomagali dokonać. Taką zgodą, taką jednością, najgodniej uczymy pamięć Karola Kalksteina”.

Wielce pocieszony zostałem życzeniem szanownej pani Kalkstein, abym mowę tę oddał jej na pamiątkę dla siebie i dzieci. Podałem ją więc do druku w drukarni J[ózefa] Gólkowskiego w Chełmnie², żeby mogła być w większej liczbie egzemplarzy rozdzielona członkom familii.

Z rozbitej szkoły wojskowej w Cuneo młodzież tłumnie zaczęła wracać do ojczyzny. Jedni po krótkim wypoczynku w Piątkowie jechali dalej, inni dłuższy czas zabawili. Przekonałem się o rozdzieleniu, między nimi byli już stronnicy Mięrosławskiego i jego przeciwnicy. Bawiło mnie pobudzić ich do wyjawienia swoich przeciwnych opinii, ale przyznać muszę, że w tych często gorących dysputach, pierwsi zawsze zwycięsko wychodzili i ostatnich zmusili do milczenia.

Nie uszedł baczności Niemców ten liczny zjazd emigracji

w Piątkowie, a że policja poznańska od dawna mnie wzięła pod swoją opiekę, zjeżdża osławiony prezes policji Bärensprung do Torunia i przysyła prokuratora z asystentem i dwoma żandarmami do Piątkowa. Ten oświadczywszy, że przybył na rewizję moich papierów, żąda klucza od biurka, a mnie wzywa żandarmom asystować przy rewizji dworu całego. Odpowiadam, że żandarmom wystarczy mój lokaj, ja zaś muszę zostać przy moim biurku. Rozpoczyna się więc rewizja moich papierów z wielką skrupulatnością, bo każdy świstek podpada szczególnej uwadze. Korzystam z tego, bo mając papiery nie tylko w biurku, ale i na stole i stołkach w wielkim nieładzie, od których porządkowania zawsze mi na czasie zbywało, stawiam obok siebie kosz i sortuję papiery, które z rąk rewizorów do mnie przechodzą, rzucając niepotrzebne do kosza. Odkładają wszystko, co im podejrzanym się zdaje, czy to wierszem, czy prozą, na bok, znajdują się też zawinięte w papier pieniądze, kilka pięciotalarówek i kilka kuponów, które z wdzięcznością przyjmuję. Pięć godzin trwała rewizja, spory pakiet papierów, najwięcej proklamacje warszawskie zabierają, a kiedy chcą odjeżdżać, dziękują im za to, że mi pomogli uporządkować papiery i proszę co rok o taką wizytę. Nie przeczuwałem, że pan Bärensprung na fundamencie zebranych papierów spowoduje moje późniejsze aresztowanie pod oskarżeniem zbrodni stanu.

Niebawem też dostaję wezwanie od sądu stawienia się w terminie: *In der Untersuchungssache wider Sie*². Pytam sędziego, o co jestem oskarżony — odpowiada, że to się tycze papierów mnie zabranych, skąd je mam, ale sam przyznaje, że w tych papierach nie ma nic mnie kompromitującego.

Wkrótce potem miałem sposobność przekonać się o sprawiedliwości sądów pruskich. Pojechałem do Torunia z dwoma emigrantami pragnącymi poznać to miasto i jego polskie pamiętki. Wracając wieczorem, jadą szosą przede mną trzy wozy parokonne. Woźnica mój mija je, ale ujechawszy kawałek, ostatni z wozów z rozpędzonymi końmi usiłuje mnie wyprzedzić, ale na próżno, bo moje konie poczęstowane batem nie dały się. Niedługo nowa próba mijania, także na próżno, następnie trzecia, przy której psotnik swoim wozem tak przytarł do mojego powozu, że słyszę trzeszczące koło. Każę więc stanąć, by rozprawić się z napastnikiem, ale kiedy wyskakuję z towarzyszami, widzę ów wóz przewrócony w rowie. Śmiejąc się więc, że tamten ukarany dość został za swoje figle i unikając dalszej awantury na drodze publicznej, jedziemy dalej, przekonani, że te wyścigi się zakończyły. Aleśmy się za-

wiedli, bo ledwie ćwierć mili ujechawszy, ów napastnik tak rozpędził swoje konie, że nieco wyprzedziwszy moje, skręca wozem na bok, kołem uderza w klacz, która pada. Wtenczas staje z woza i z podniesionym batem woła po niemiecku: „Ja was nauczę”. Ale emigrant, chłop ogromny, siedząc na koźle obok furmana wstaje, żeby skoczyć na wóz. Niemiec, bo dopiero wtenczas się przekonałem, że nie Polak, widząc, że nie przelewki zacina konie i ucieka. Goni go długimi swymi nogami nasz towarzysz i już ma pochwycić konie za cugle, ale Niemiec wywijając batem zdołał ująć przed karą, która już by go nie była minęła.

Jedziemy więc z wolna dalej, bo klacz widocznie skaleczona i koło nadwężone. Dojechawszy do poborcy szosowego, pytam się, czy tu jechał wóz parokonny. Tamten odpowiada, że jechał gospodarz z tej wsi niemieckiej i rzuciwszy złotówkę nie wziął reszty, bo spieszy do karczmy, żeby pana aresztować. Jakoż, dojeżdżając do niej, wychodzi sześciu Niemców pod naczelnictwem owego figlarza, odznaczającego się wysoką czarną śpiczastą czapką i łapią konie za cugle. Wyskakujemy i kij mój do mordy Niemca przytykając mówię mu, że już dość nabroił, za co karę swoją odbierze. Ale on woła: „500 talarów deponuję, ale pana stąd nie puszcze, bo mnie furman batem uderzył”. Towarzysze moi mieli wielką ochotę bójkę rozpocząć, bo prócz naczelnika reszta była lichota, ale nie chcąc sprawy popsuć na drodze sądowej, nie przystałem na to. Pół godziny trwało cechtowanie się z tym łotrem, bo co chcemy siadać do powozu, oni za cugle. Dopiero kiedy nadszedł poborca i poświadczył, kto jestem, puścił mnie zapewniając, że mnie zaskarży.

Wróciwszy do domu piszę natychmiast skargę do prokuratora w Toruniu, nadmieniając, że klacz 300 talarów mnie kosztująca okulawiona, konował ma ją w kuracji, koło zepsute. Opisuję szczegółowo całą awanturę, i że zarzut oskarżonego, jakoby mój furman go batem w twarz uderzył, jest fałszywy, bo mogę przystawić powóz, w którym furman pod przykryciem tak głęboko siedzi, że nie jest w stanie batem obok przejeżdżającego uderzyć.

Oczekując wezwania na termin w tej sprawie, przybywszy do Brodnicy opowiadam sędziom całą historię. Wszyscy zostali zafrasowani, bo mówili, że ciężka kara nie może minąć napastnika. Ale sąd toruński poradził sobie inaczej. Wezwał na świadków parobków Niemców, którzy na dwóch tamtych wozach jechali, choć pół mili oddaleni byli od gospodarza i ci zeznania swoje przysięgą stwierdzili.

Odbieram wyrok: ponieważ świadkowie zeznali i przysięgą stwierdzili, żeś pierwszy zaczepił oskarżonego, nazywając jego „psia krew” i furman go batem w twarz uderzył, a podług tego a tego paragrafu nowego prawa, dozwolona jest *eigenmächtige Selbsthilfe*⁴, sąd odrzuca skargę. Przekonany, że daremne by były dalsze kroki moje w wyższej instancji, dałem pokój z tem postanowieniem, w podobnym na przyszłość przypadku samemu doraźną wymierzyć sprawiedliwość. Sędziom zaś brodnickim na zapytanie o wypadku sprawy, odpowiadam, że bardzo dobrze wyszedł, bo nie zostałem ukarany.

Z innej strony spadł na mnie kłopot. Syn pisze mi z Poznania, że podczas gimnastyki klucie dostał w boku; przystawiają mu pijawki-bańki, ale coraz mu gorzej, do szkoły chodzić nie może. Pospieszam więc do Poznania i znajduję chorego bardzo źle, obwiam go natychmiast mokrym ręcznikiem, a sam oświadczam profesorowi Motty, że widząc bezskuteczność dotychczasowego leczenia, zabieram go ze sobą, żeby go oddać w kurację hydropaty. Wracając do syna znajduję go ubranego i, ponieważ mu kompresja znacznie pomogła, wyjeżdżamy do domu. Zacny doktor Gejer widocznie zaniepokojony stanem chorego, bo zapalenie płuc się rozwinęło, pięć dni go nie opuszczał, ciągle praktykując swoją metodę połączoną z użyciem bauszejta — maszynka kłująca lekko ciało, które olejkami potarte wywołuje krosty na skórę. Tym sposobem usunął groźące niebezpieczeństwo i powoli chory do zdrowia powrócił.

Z emigracji przebywającej w Piątkowie wybrałem młodego warszawiaka, zacnego i bardzo wykształconego, Karola Voigta, na nauczyciela dla syna z tym postanowieniem, żeby go przysposobił do szkoły w stolicy, przekonawszy się, że młodzież w szkołach polskich wykształcona o wiele i wiedzą, i okazaniem tej wiedzy przez gładką i czystą wymowę naszą młodzież w pruskich szkołach wymęczoną przewyższa, tak że ta ostatnia, wobec rozprawiających tamtych, zwykle ust otworzyć nie śmiała.

Obawiając się, żeby syn w złe towarzystwo, o które w Warszawie nietrudno, się nie dostał, pytam Voigta, czy nie zna takiego, któremu bym syna w opiekę mógł oddać. Zapewnia, że zna takiego, któremu zwykle rodzice synów powierzają i to z wielkim ich zadowoleniem; proszę go zatem, aby pisał do tego swego przyjaciela, że ja wkrótce przybędę z synem do Warszawy oddać mu go w opiekę.

List ten, oddany na pocztę, nie czytany przez mnie, później podczas procesu naszego w Berlinie znalazł się nie wia-

domo jakim sposobem w aktach moich, a treść jego, którą w miejscu właściwym podam, niemało się przyczyniła do powiększenia złości sędziów przeciw mnie.

Pod koniec listopada ciężko palec Boży mnie dotknął. Ukochana córka moja, Wanda, jako dziecko cudownie z palącego się dworu wyratowana, dziś szesnastoletnia panienka, urodą i przymiotami duszy i umysłu najpiękniejsze rokusząca nadzieje, tak ciężko zachorowała, że pomimo największych zabiegów lekarskich młode swoje życie zakończyła.

Tak jak jej matkę i ją młodzież z emigracji i sąsiadów się składająca na barkach swoich poniosła do parafialnego kościoła, gdzie przy grobie, obok matki, młody emigrant Raczyński następującą mową wszystkich licznie zebranych przytomnych do łez poruszył:

„Bo na tym świecie, śmierć wszystko zmiecie
Robak się łęgnie i w bujnym kwiecie!”

„Szanowne i żałobne grono!

W bolesnej stracie jaka dotknęła jednego z członków tu-tejszego obywatelskiego koła, kiedy tyle serc zabiło dlań rzewnem współczuciem, tyle łez o gorącej dla jego boleści poświadczyło sympatią, kiedy na licach waszych czytam ten niemy smutek, co wymowniej od głośniejszej rozpaczki maluje boleść prawdziwą, winienem zapytać siebie, co mogło mnie, który tak niedawno goszczę między wami, dać prawo do stania się tłumaczem powszechnego żalu?

Co mogło mnie ośmielić do wyrzeczenia z całej głębi duszy, na tem, podwójnie w tej chwili, świętem miejscu: »Straciliśmy wiele, i boleść nasza głęboka, i ukoić jej nie możemy!«

Jaka okoliczność mogła mnie upoważnić do zajęcia stanowiska, które daleko godniej przez wielu z was zajętem być mogło, w smutku pogrążeni słuchacze!?

Nie zuchwalstwo jednak skłoniło mnie do tego kroku, ani chęć błyszczenia — Bóg mi świadkiem!

Staję tu jako członek i w imieniu tej wielkiej rodziny, co od domowych ognisk tyranią wroga wygnana, tu znalazła gościnne, pokrewne serca, tu nieraz zapomnieć zdołała, że się z dala od rodzinnej znajduje zagrody.

Staję tu jako człowiek, dotknięty we wszystkiem co tylko rzewnego mieści pierś ludzka boleścią rodziny, co nas

do gorącego przytuliła serca, i oto powody dla których
ośmielam się przemówić do was, żalobni słuchacze!

Lecz jakież mam do was odezwać się słowy, czy słowami pociechy?

Kto jej we własnej nie może zaczerpnąć duszy, dla tego
słowa przebrzmia bez echa, kto ją sam w sobie znajduje, temu
one niepotrzebne. Nie będę was cieszył, wiem że to
niepodobna, wiem że czas tylko może zagoić ranę, jaką wam
zadał ten skon niespodziany, czas i najświętsza, pomiędzy
świętymi, sprawa wolności, sprawa królestwa Bożego na
ziemi!

Ta sprawa zbudowana na opoce serca ludzkości, ta sprawa,
której bramy piekielne nie przemogą, ta sprawa użyżniana
rokrocznie krwią miliona męczenników, owiewana jękiem i
westchnieniami tysiąca pokoleń, polewana łzami narodów
całych, ta tylko sprawa godna jest zajmować miejsce
osierocone stratą drogich sercom naszym osób!

I tylko wtedy, kiedy w niej szukać będziemy osłody dla
zakrwawionej bolem duszy, uczcimy najgodniej tych, po
których płaczemy, bo przyczynimy się do otarcia strumieni
innych łez, które ręka siepaczów ze strudzonej wyciska
źrenicy.

Sp. siostra nasza w Ojczyźnie, Wanda, takiego tylko od
nas wymaga żalu, i taki tylko my jej ofiarować winniśmy,
bo młody ten, przed zakwitnięciem jeszcze szronem śmierci
zmrożony pączek, na polskiej zrodzony ziemi, polską
tylko dyszał wonią, bo to była prawdziwie nasza, prawdziwie
polska dziewica!

O dzięki Ci Ojcze Niebieski, że wśród katuszy, jakimi nas
doświadczasz, takie nam zsyłasz niewiasty; dzięki za pieczę
Twoją nad nami, za śmierć i za zmartwychwstanie — dzięki!

Jak córka Ewy starła łeb wężowi, a z nim panowanie
duchownej i moralnej śmierci, tak córka Ewy zetrze łeb hyd-
rze szatańskiej, upiorowi despotyzmu, co się krwią tuczy
narodów, którego muzyką jęki! O więcej nam, więcej takich
niewiast, Panie!

Kiedy oderwani od pnia ojczystego, jak wątłe latorośle,
którymi wiatr pomiata, sokami wspomnień tylko karmieni
bracia nasi, tułali się po obcych świata stronach, kiedy z
Ojczyzną w sercu, tylko na ustach z Ojczyzną, parci nie-
powstrzymalną żądzą krew wylać na jej usługę, rzucali
się szalem rozumni na pożarcie moskiewskiemu minotauro-
wi, wtedy przeprowadzały ich błogosławiąc polskie niewia-

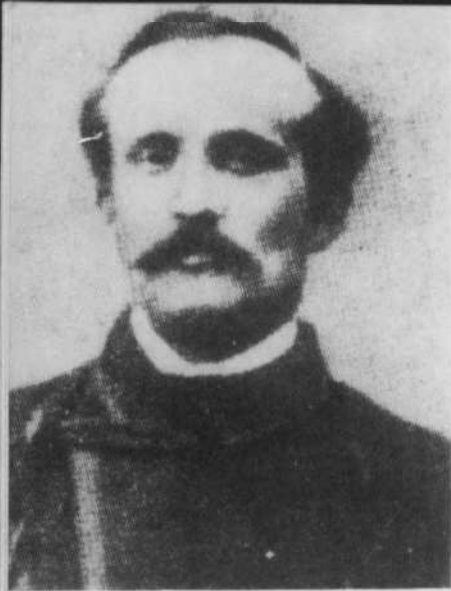


21. Władysław Niegolewski, prezes Koła Polskiego w sejmie pruskim (ilustracja z książki Z. Grota: *Rok 1863 w zaborze pruskim*, Poznań 1963). (u góry z lewej)

22. Emil Janecki, adwokat z Poznania, poseł (ilustracja z książki Z. Grota: *Działalność posłów polskich w sejmie pruskim w latach 1848—50*, Poznań 1961). (u góry z prawej)

23. Zamek w Golubiu-Dobrzyniu (ze zbiorów IS PAN w Warszawie).





24. Leon Czarliński, ziemianin z Pomorza, poseł (ilustracja z książki A. Bukowskiego: *Pomorze Gdańskie w powstaniu styczniowym*. Gdańsk 1964). (u góry z lewej)

25. Mieczysław Łyskowski, współwłaściciel Banku Toruńskiego, poseł (ilustracja z książki A. Bukowskiego: *Pomorze Gdańskie w powstaniu styczniowym*. Gdańsk 1964). (u góry z prawej)

26. Walenty Stefański, działacz patriotyczny, drukarz i wydawca (ilustracja z książki A. Bukowskiego: *Pomorze Gdańskie w powstaniu styczniowym*. Gdańsk 1964). (u dołu z lewej)

27. Ignacy Danielewski, nauczyciel, redaktor i wydawca (ilustracja z książki A. Bukowskiego: *Pomorze Gdańskie w powstaniu styczniowym*. Gdańsk 1964). (u dołu z prawej)





28. Grudziądz — widok miasta od strony Wisły (ze zbiorów IS PAN w Warszawie).

29. Fragment cytadeli grudziądzkiej — tu mieściło się więzienie dla powstańców (ilustracja z książki S. Myśliborskiego-Wołoskiego: *Udział Prus w powstaniu styczniowym*. Warszawa 1968).





30. Ratusz w Grudziądzu (dawne kolegium jezuickie) (ze zbiorów IS PAN w Warszawie). (u góry z lewej)

31. Kościół pojezuicki p.w. Św. Franciszka Ksawerego w Grudziądzu (ze zbiorów IS PAN w Warszawie). (u góry z prawej)

32. Józef Cwierciakiewicz, dziennikarz, konspirator, emigrant (ilustracja z książki A. Bukowskiego: *Pomorze Gdańskie w powstaniu styczniowym*. Gdańsk 1964). (u dołu z lewej)

33. Paweł Suzin, powstaniec, emigrant (ilustracja z książki S. Myśliborskiego-Wołowskiego: *Udział Prus w powstaniu styczniowym*. Warszawa 1968). (u dołu z prawej)



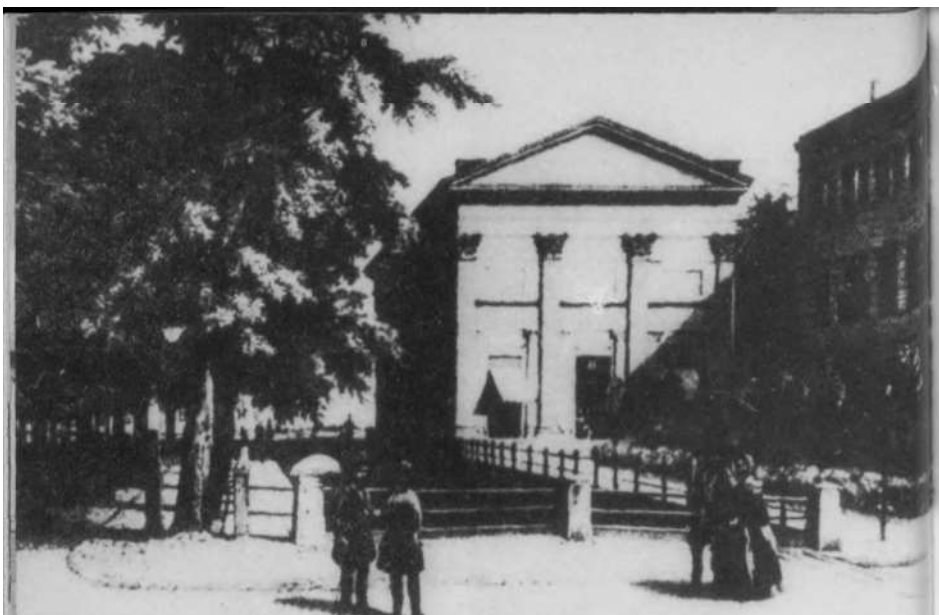


34. Kościół pokatedralny p.w. Św. Trójcy w Chełmży (ze zbiorów IS PAN w Warszawie). (u góry z lewej)

35. Wieża zamkowa w Brodnicy (ze zbiorów IS PAN w Warszawie). (u góry z prawej)

36. Kościół i klasztor Franciszkanów w Brodnicy (ze zbiorów IS PAN w Warszawie).

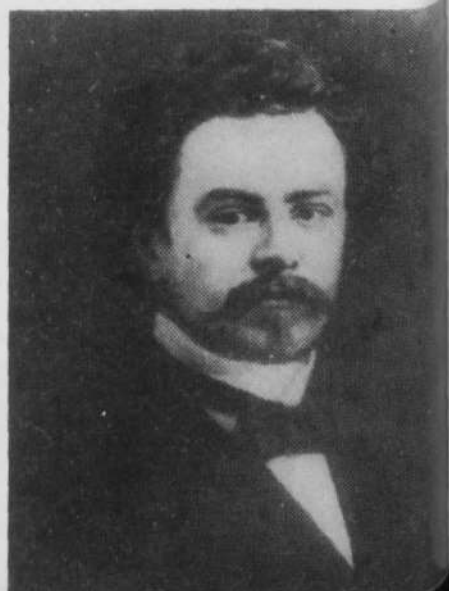
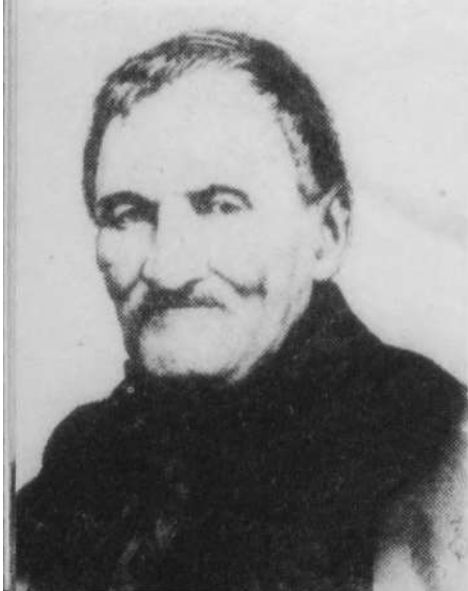




37. Sing — Akademia w Berlinie — miejsce posiedzeń sejmu (ilustracja z książki Z. Grota: *Działalność postów polskich w sejmie pruskim w latach 1848—50*. Poznań 1961).

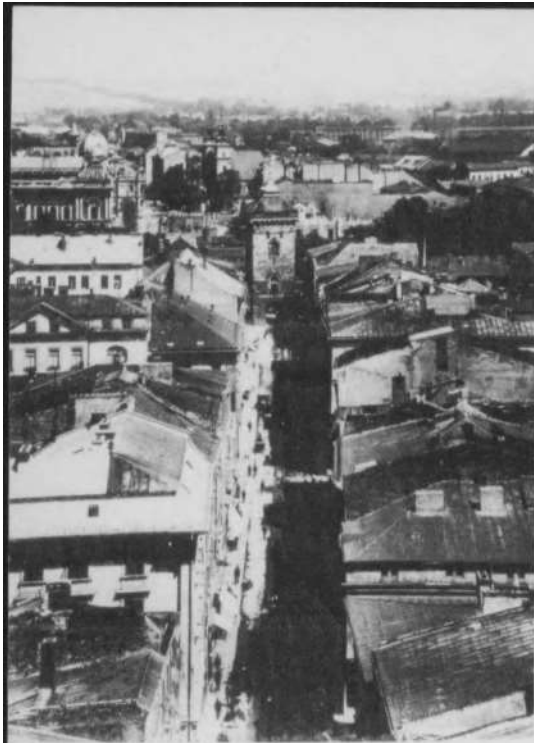
38. Józef Gołkowski, redaktor, wydawca, drukarz (ilustracja z książki A. Bukowskiego: *Pomorze Gdańskie w powstaniu styczniowym*. Gdańsk 1964). (u dołu z lewej)

39. Zygmunt Działowski, patriota, założyciel Towarzystwa Naukowego w Toruniu (ilustracja z książki S. Myśliborskiego-Wołowickiego: *Udział Prus w powstaniu styczniowym*. Warszawa 1968). (u dołu z prawej)

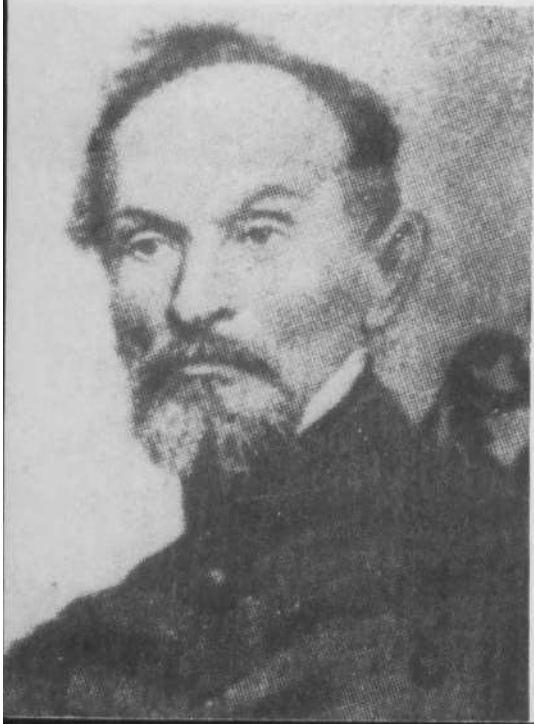




40. obrońcy Polaków w procesie berlińskim w 1864 r. (ilustracja z książki Z. Grota: *Rok 1863 w zaborze pruskim*. Poznań 1963).



41. Ul. Floriańska w Krakowie na początku XX w. (ze zbiorów IS PAN w Warszawie).



42. Natalis Sulerzyski u schyłku życia (ilustracja z książki A. Bukowskiego: *Pomorze Gdańskie w powstaniu styczniowym*. Gdańsk 1964).

sty, a rzewna ich przed Bogiem modlitwa, niejednemu wystarczyła za puklerz przeciw zaciekłości wroga.

I ta, której pośmiertne szczątki składamy na wieczną ofiarę mogile, ta ukochana siostra nasza, nieraz ze śmiertelnej zstępowała pościeli, by słowem pociechy pokrzepić wygnan-
ca, by go uświęcić do ciernistej misji anielskim swoim westchnieniem. O cześć ci drogi cieniu, cześć zwiędła przed-
wczśnie różyczko!

Niebo zabrało nam ciebie w przeddzień narodowego od-
kupienia, bo w chórach aniołów modlących się do Boga o
przyspieszenie swobody naszej skrwawionej Ojczyźnie, two-
jego tylko brakowało głosu, aby gniew jego przebłagać!

Idź do tronu jego, niesiona na skrzydłach wiary, nadziei,
miłości, na skrzydłach strasznej serc naszych żaloby! Idź
i zapłacz okropnym jękiem, jękiem dwudziestomilionowe-
go narodu! Idź i powiedz, że my tu nieszczęśliwi, bardzo
nieszczęśliwi, że nam miłosierdzia potrzeba, miłosierdzia
i przebaczenia! Że ty oto jesteś już córą piątego pokole-
nia, co krew leje serdeczną dla Polski, że na całej ziemi
naszej nic nie słyhać jak jęk, nic nie widać jak łzy
i krew — krew — krew!

Idź i powiedz to wszystko, a Bóg nam wróci Ojczyznę, bo
głos twój wymowny będzie, bo będzie czysty, bo będzie
płynął z głębi wnętrzości!

A teraz żegnam cię najukochańsza w Bogu, w Ojczyźnie,
w ludzkości siostró nasza! W imieniu wszystkich co cię ko-
chali i którym ty sercem sprzyjałaś — żegnam cię! Z wy-
sokości niebios, ty już z litośnem współczuciem spoglądasz
na prace, na trudy, na zawody nasze, tobie już nic nie
potrzeba, tyś szczęśliwa! O wymódl u Boga kroplę pocie-
chy dla tych, co płaczą po tobie, aby w ich serca wstąpiło
to błogie przekonanie, że ty choć niewidomie zawsze jesteś
z nami, że choć poza grobem tyś zawsze Polką, szczęśliwą
szczęściem narodu, bolesną jego bolami!

A więc nie rozpaczaj szanowna rodzinno, która przez
śmierć tę przedwczesną najwięcej straciłaś! Tam gdzie się
kończy obcowanie ciał, rozpoczyna się wyższe, potężniejsze
obcowanie duchów, a węzłem nadziemskiej tej spójni, będzie
dla ciebie święte uczucie zawarte w wyrazie »Miłość«, nad
który nie masz wyższego oprócz wyrazu »Ojczyzna«!

Prócz tej mowy, napisał dziewiętnastoletni ten, wielce
utalentowany, młodzieniec *Elegią*. Jedną i drugą podał
w Chełmnie do druku, na pamiątkę sobie i przyjaciołom,

po straconej córce i dla uczczenia pamięci młodego poety,
który niedługo potem należał do pierwszych, którzy w na-
stępnym powstaniu zginęli.

„ELEGIA

Gdzie jesteś cieniu nasz ukochany,
Gdzie jesteś luba siostrzyczko?
Jak promień słońca w biegu złamany,
Jak listek pędem wichru porwany,
Tak zwiędłaś, znikłaś różyczko!
Nam tu tak ciężko, ciężko bez ciebie,
My ciebie tyle kochali,
Czemuś przed nami skryła się w niebie,
W nadbłękitowej oddali?!
Byłóż za chłodne serc naszych bicie,
Dla twojej duszy gorącej,
Byłóż ci obcem to nasze życie,
Żeś nas rzuciła o drogie dziecię
W otchłań boleści trawiącej?
Czyż duch twój w łonie Boga poczęty,
Nie znalazł sobie pokrewnych,
Lub może nie był przez nas pojęty
W swoich przejawach powiewnych?

Powiedz nam, powiedz, siostrzyczko droga
Czemuś nas teraz rzuciła,
Gdy zniweczala nagle moc wroga,
Kiedy omdlała ta ręka sroga,
Co matkę naszą krwawiła?
Gdy nam potęga nowego ducha,
Nowych żar uczuć zabłysnął,
Gdy z krwią warszawian nowa otucha
I życia nowy źródło trysnął?

Gdy cała przeszłość jak sen zwodniczy,
Marzenie znikła zwodnicze,
Gdy ziemia nasza same dziś liczy
Krzyże ofiarne, ofiarne znicze,
Same duchowe zdobycze?
Gdy bliski, bardzo bliski dzień chwały,
Chwila zbawienia tak bliska,
Gdy w swych posiadach lądy zadrgały,
W stare się kryjąc zwałiska!

Powiedz! — ach słyszę ten głos anioła,
Słyszę anielskie te dźwięki,
Nie darmo ciebie serce me woła,
Ty jesteś przy nas, czarowne koła
Roztaczasz tchnieniem piosenki!

Śłuchajcie bracia, słuchajcie wszyscy,
Kędy drga serce od polskich brzmień,
Słuchajcie pilnie dalecy, bliscy,
To mówi siostry cień!

O bracia! Mnie ciężko was było porzucić,
Com czule kochała boleśnie zasmucić,
Pożegnać to Boże w przyszłości królestwo,
Tę Polskę, com w moje wetchnęła jestestwo!

I nie móżdż tej dożyć triumfu godziny,
Gdy córy jej prawe, gdy prawe jej syny,
Cierniowe korony na wawrzyn zamieniają,
Gdy krwią świętokradzców jej lany zczzerwieniają.

Gdy wolność zakwitnie w niej z końca do końca,
Gdy cnoty jej będą jaśniejsze niż słońca,
Gdy wszystko w niej będzie oddychać świętością,
Gdy ludy w rodzinę zamieni — miłością!

Lecz dusza ma Bogu hosanna śpiewa dziś!
Że zerwał łączące mnie z ziemią ogniwa,
Że mnie powołał do siebie,
Bo w sferach gdzie oko doczesne nie sięga,
Przed okiem mej duszy rozwarła się księga
Losów zapisanych w niebie!

A pierwsza jej karta zapisana krwią,
A głoski na drugiej jakby zmyte łzą,
Na trzeciej serc siedm, w których groty tkwią!
Lecz serca te nagle jak słońca jaśnieją,
A groty też coraz maleją, maleją,
Aż wreszcie w czarowny zmieniły się kwiat,
Z serc płomień wybuchnął — jak błysk się rozszerzył,
Jak gromem zahuczał, jak gromem uderzył,
I jednym płomieniem objął świat,
I nic nań ze starych nie zostało szat!

Wśród zgliszczów ujrzałam ojczyznę na tronie,
Liliowa korona ozdabia jej skronie
Gałązką cierniu przetkana,
U stóp jej ukłękły wszej-ziemi narody,
Z różdżkami oliwy, z hymnami swobody,
Hosanna! Hosanna! Hosanna!

1 grudnia 1862 r."

Towarzystwo nasze, Agronomiczne rozwijało gorliwie prace swoje, nie tylko co do gospodarstwa, ale i podniesienie oświaty ludu i mieszczan mając na oku. Zaprowadziliśmy pod nadzorem gorliwych duchownych małe biblioteczki książek ludowi przystępnych, mianowicie historycznych, jak *Wieczory pod lipą...*⁵ i inne. A że na zgromadzeniach naszych w Brodnicy zawsze policjant się znajdował, żeby tam jakie spiski się nie knuły, odbywaliśmy takowe także po domach obywatelskich, gdzie swobodniej można było obradować. Tam gospodarz oprowadzał gości po swoim gospodarstwie, a budowle, maszyny, narzędzia rolnicze, inwentarze ściślej podpadały krytyce.

Na takim zgromadzeniu u obywatela, mającego jedno z najlepszych gospodarstw, zjawił się gość, przybyły na święta z sejmu berlińskiego, obrany przez powiat posłem, sędzia Łyskowski. Powitany został serdecznie, bo czytaliśmy jego mowy, w których lubo urzędnik pruski, niemało cywilnej odwagi okazał, ostro występując przeciw bezprawiom rządu, przez co kolegów swoich, poznańskich, zaszczytnie przekonał o podnoszącym się duchu w Prusach Zachodnich.

Nie pamiętałem mu przykrości, niedawno mi sprawionych, które spowodowały sąd na mnie honorowy w Wąbrzyźnie, bo byłem przekonany, ponieważ, kiedy się ów sąd mnie usprawiedliwiający zakończył, z podrygami do mnie wyskoczył, podając mi rękę do zgody, którą chętnie przyjąłem, że już więcej Niemcy temi dowodami niezgody między Polakami cieszyć się nie będą. Ale wkrótce pokazało się inaczej. Kiedy się sesja nasza rozpoczęła, zdarzyło się, jak to często niestety bywało, że między mną a sekretarzem Towarzystwa, Ignacym Łyskowskim, niepoczieszony spór nastąpił. Pan sędzia, lubo tylko gość, przerywa mnie mówiącemu, prosząc o głos. Odzywam się na to: „Sędzia Łyskowski nie ma głosu”. — „A to czemu?” — „Bo dziwię się, że dotąd nie przy-

stąpił do naszego Towarzystwa, którego byłby pożądanym członkiem." — „I owszem przystępuję." — „Bardzo nam to miło słyszeć" — i podaję mu rękę.

Po tym intermezzo następuje znów dalszy ciąg mojej przerwanej dysputy z sekretarzem. Nie podobało się to naszemu nowemu członkowi i kiedy mnie znowu przerywając prosi o głos, a ja mówię: „Proszę mi nie przerywać" — on się już donośnym głosem odzywa: „Muszę oświadczyć, że prezydujący nie umie prezydować".

Wstaję na to z krzesła i siadając na boku, proszę go, aby mnie nauczył, jak prezydować, jeżeli zgromadzenie nie ma nic przeciw temu.

Ale zgromadzenie jednogłośnie oświadczyło zadowolenie ze swego wyboru i poprosiło zająć na powrót moje krzesło, po czym już sesja nasza bez przeszkody doszła do końca.

Przywiózłem był ze sobą dwóch dzielnych młodzieńców, jeden z Warszawy, drugi z Litwy, aby byli świadkami naszego krzątania się koło spraw narodowych, ale niestety nie bardzo byli zbudowani tem, co widzieli. Tylko serdeczna gościnność szanownego gospodarstwa, państwa Sypniewskich, i ich miłych córeczek, przekonała ich, że na Ziemi Michałowskiej są domy polskie, chętnie w swoje progi przyjmujące braci tułaczy.

Wypadki warszawskie coraz groźniejsze przybierając rozmiary, wypędzały przed cytadelą chroniącą się młodzież ze stolicy i gościnne zapelniły pokoje w Piątkowie. Zjawiła się też i Polka, znana patriotka, pani Jeska⁶, której brat do najczynniejszych należący, uwięziony a następnie na Sybir został wysłany. Rozprawiano najwięcej o tem, czy powstanie ma wybuchnąć, czy nie. Twierdzono, że to zależy będzie od tego, czy będzie branka. Będąc zawsze przeciwny powstaniu, nie mającemu żadnych rękojmi powodzenia, dowodziłem, że nawet branka nie powinna popchnąć naród cały do tak rozpaczliwej walki, a kiedy mówiono, że nie można dozwolić, aby 20 000 młodzieży w żołdacy zostało zabranych, utrzymywałem, że to najdzielniejsza będzie propaganda w wojsku rosyjskim. Ucieszyłem się przybyciem jednego ze znakomitości emigracyjnej⁷, bo nam powiadał, że jedzie prosto z Londynu, gdzie była narada wszystkich tam bawiących Polaków, wraz z przyjaciółmi Polski innych narodowości pod prezydencją Mazziniego, i że, mianowicie, ten ostatni zaklinał Polaków, aby niewczesnym wybuchem nie przeszkodzili wielkiemu dziełu oswobodzenia

wszystkich narodów, które się przygotowuje. Mówił, że z tym jedzie do Warszawy, oznajmić Rząd Narodowy.

Ledwie jednak parę tygodni minęło, przybywa znowu do Piątkowa z doniesieniem, że ponieważ branka ma wkrótce nastąpić, uprzedzić ją musi powstanie. Nie pomogło moje przypomnienie słów Mazziniego, powstanie wkrótce nakazane zostało, a dzielny ten młodzieniec w pierwszej, zaraz utarczce zginął.

Czytając w pismach polskich biografię śp. Franciszka Salezego Dmochowskiego, w których wzmianka, że nabywszy majątność Radziki Wielkie⁸ w Królestwie, nad pruską granicą położone, przez piętnaście lat tam mieszkał, niech mi wolno będzie, ponieważ kilka mil, lubo granicą rozdzieleni, mieszkaliśmy obok siebie i w przyjaznych ze sobą żyliśmy stosunkach, złożyć na grobie jego krótki opis piętnastoletniego gospodarstwa, jego kłopotów przy tak małej zaliczce kapitału na tak znaczny, a przy tem opuszczony majątek, które mu jednak nie przeszkadzały sąsiadów swoich miłym i wesołym swoim humorem rozweselać i szczerym być dla nich przyjacielem.

Sprowadziwszy się, śp. Dmochowski, do nabytego majątku, znając go dotąd tylko jako literata, ciekawy byłem, jakim będzie gospodarzem, zwłaszcza w tak trudnych stosunkach. Często zatem przebywałem granicę, odwiedzić serdecznego mego przyjaciela, Ignacego Grąbczewskiego, w Radzikach Małych, obok Wielkich, mieszkającego. Wstępowałem zabrać kochanego naszego Dmochowskiego do gościnnego domu państwa Grąbczewskich. Tam zwykle kilka dni się przepędziło w miłej pogawędce, w której nabywca Radzik Wielkich nas serdecznie ubawił opowiadaniem swoich oryginalnych zabiegów, aby się wydobyć z dręczących go kłopotów. I tak raz, przyjechawszy z nim na początku maja do Małych Radzik, opowiada nam, że jak zwykle kiedy potrzebuje pieniędzy, wyjeżdża z domu w świat, żeby takowe gdzieś zdobyć, tak i teraz przed tygodniem zabrawszy się z przejeżdżającymi kupcami i objechawszy z nimi różne okolice, przybywa nareszcie do Warszawy. Stamtąd wyjeżdżając steinkelerską⁹, pyta go się towarzyszący mu kupiec, czy ma spirytus na sprzedanie? Na twierdzącą odpowiedź, choć nie miał gorzelni, kupuje od niego znaczną ilość garnicy i potargowawszy się płaci mu 5 złotych. — „Skądże weźmiesz spirytus?” — odzywamy się. — „Stawiam

gorzelnią i sadzę kartofle. Do gorzelni wyjmuję szachulce ze stodoły na folwarku Czerna, bo to zbytek, kiedy ściany chróstem można wypleść i ponieważ w parowie dla wody stawiać muszę, zamiast fundamentów z kamieni, których nie mam, stawiam budynek na szpuntpalach.”

Wykonanie takich projektów zdawało się nam, słuchającym, fantastycznym, aleśmy się omylili, bo i budynek stanął i gorzelnia w ruch wprowadzona i kontraktowany spirytyus na termin odstawiony.

Później, żartując sam ze swojej biedy, powiadał, że inni nie umieją się rządzić. „Ja, kiedy przestaję pędzić okowitę, wyłamuję koprowy kocioł¹⁰, zawożę do Włocławka, daję go w zastaw Żydom i biorę pieniądze, tym sposobem nie marnuję procentu, co mnie kocioł kosztował.”

Dosyć często mnie odwiedzał. Zwykle go wtenczas zawoziłem do sąsiedniego, a gościnnego Ryńska. A kiedy na odjeździe nam deklamował swoje patriotyczne wiersze, szanowny gospodarz, śp. Wilkxycki, rozrzewniony nimi tak nas co najlepszym z piwnicy raczył, że w doskonałych humorach do domu wracaliśmy.

Polskie swoje serce, jak zawsze, tak szczególnie pewnego razu okazał względem sąsiada ciężką chorobą złożonego. Dowiedziawszy się, że ten, Drwęcą od niego przedzielony, sąsiad na tyfus zapadłszy już przez pruskich lekarzy opuszczony, omijając odległą komorę, przeprawia się łódką przez rzekę, wpada do dworu, a widząc rodzinę w rozpacz nad, konającym prawie, chorym, odzywa się: „Dla polskiego szlachcica trzeba polskiego doktora! Sprowadźcie natychmiast doktora N. z Królestwa”. Ten, przybywszy zarzucił lekarstwa przy łóżku stojące i polskim barszczem spiekłe usta rozwilżając powrócił do zdrowia chorego. Tak ocalił życie kochanego powszechnie obywatela i czynnego gospodarza Mariana Jezierskiego, który dotąd żyje.

Sprzykrzywszy sobie wreszcie ciągle kłopoty pieniężne, pragnął Dmochowski sprzedać majątek i z tem się często do sąsiada Ignacego Grąbczewskiego odzywał. Naraz przybywa do niego uradowany z doniesieniem, że dopiero co odjechał od niego Niemiec, z którym dobił targu. Ale jakże został rozczarowany, kiedy sąsiad wyszedłszy na chwilę z pokoju, powraca, a Dmochowski widzi w nim owego Niemca, który tak zręcznie sobie z niego zażartował. Wnet się jednak pocieszył z zawodu, bo wkrótce potem sprzedał Radziki Polakowi.

Rozdział XIV

OD POWSTANIA 22 STYCZNIA 1863 ROKU DO UWIĘZIENIA MEGO NA POCZĄTKU CZERWCA

Treść: Pani Suzin emigrantka przybywa do Piątkowa, uwolnić męża uwięzionego, aby mógł iść do powstania. — Uwolniony Suzin wkrótce jako naczelnik oddziału ginie. — Aleksander Rogaliński. — Wojsko pruskie sprowadzone na obronę Niemców. — Organizacja oddziału w Prusach Zachodnich i jego rozbięcie. — Jan Kurzyna przybywa do Piątkowa. — Jadę z nim do Bydgoszczy. — Zawożę generała Mierosławskiego do granicy Królestwa. — Zabiegi Niemców, żeby mnie do więzienia dostać. — Trzeci atak sędziego Łyskowskiego, odparty. — Niemcy szczęśliwi, bo im się udało dostać mnie do więzienia.

Niedługo po rozpoczęciu powstania przybyła do mnie z Paryża pani Suzin, prosząc abym jej męża, uwięzionego w Brodnicy, starał się uwolnić, bo, jak się wyraziła: „On z głośnym swym nazwiskiem w Litwie, może być użytecznym dla powstania”.

Tylko Polka, w siódmym miesiącu zameścia z przystojnym młodzieńcem, wkrótce spodziewająca się połogu, jest w stanie paręset mil przejechać, żeby tego ubóstwianego męża uwolnić z więzienia, by mógł życie swoje poświęcić ojczyźnie. Paweł Suzin, urodzony na Sybirze z rodziców wygnańców, jako dziecko im wyrwany i do Petersburga na wychowanie oddany, nie wiedział do osiemnastego roku życia swego, że jest Polakiem. Do szkoły kadetów oddany, dowiedział się dopiero od zacnego nauczyciela swego, Polaka, że ze znakomitej rodziny litewskiej pochodzi. To odkrycie tak dalece rozbudziło szlachetnego młodzieńca, że porzucając najświetniejsze widoki w służbie moskiewskiej, uciekł do

Paryża. Tam, poznawszy się z córką emigrantów polskich, z nią się ożenił.

Pani Suzin nie pozwoliła sobie wypocząć po nużącej podróży, ale musiałem zaraz z nią jechać do Brodnicy. Nie bez trudności, ale protegowany zawsze przez landrata Younga, udało mi się uzyskać pozwolenie sądu widzenia się z więźniem. Poszliśmy do zabranego dla sądu kryminalnego klasztoru¹ i w sądowej izbie czekamy wprowadzenia więźnia. Nie wyjdzie mi z pamięci obraz, kiedy wchodzi piękny, atletycznej postaci, Paweł Suzin, a żona jego, jak wątły powój, co się wije koło dębu, obejmuje go, ale usta ledwo do piersi sięgają. Szczęściem obok stojąca ławka pozwoliła im się na nią zsunąć i do woli zroszone łzami usta w nieskończonym pocałunku złączyć. Sędziowie, przytomni tej scenie, widocznie nią wzruszeni, nie śmieli przeszkodzić rozczulonym małżonkom i nasłuchać się musieli, jak Suzin barbarzyńskie z nim obchodzenie się opowiadał. Najbardziej narzekał na robactwo go trapiące. Staralem się w sądzie o lepsze z więźniem obchodzenie, ale uwolnienia jego wymóc nie mogłem. Dyrektor sądu tłumaczył się, podając różne błahe przyuczyny. Kilka takich odwiedzin więźnia z panią Suzin i bezskutecznych jazd do Brodnicy odprawiwszy, sprzykrzyło mi się prośbami dojść do celu. Kiedy więc już czwarty raz przyjeżdżam do Brodnicy, a dowiaduję się, że prócz Suzina jeszcze kilku, ze szkoły batignolskiej², do powstania dążących Polaków po pustych wieżach głodem i robactwem trapieni, są zamknięci, ponieważ bezkuteczne były moje przedstawienia dyrektorowi w sali sądowej, postanowiłem pójść do domu jego wieczorem na herbatkę, gdzie w przytomności żony i córki barbarzyńskie postępowanie z więźniami, jako wywołujące konieczną z czasem zemstę gnębionych Polaków, wystawiłem. I udało mi się doskonale. Pani dyrektorowa zapewniała swe uwielbienie dla rycerskiego narodu polskiego. Panna dyrektorówna, ładna siedemnastoletnia blondynka, przyniosła mi swoje album, w którym na dowód prawdy słów matczynych, pokazała mi fotografie Kościuszki, Poniatowskiego, Mierosławskiego. Biedny dyrektor, tak tem wszystkim, a osobliwie portretem jeszcze żyjącego Mierosławskiego, został zestrachany, że obiecał wszystkich więźniów wypuścić, ale równocześnie oświadczył, że tu dłużej nie zostanie i będzie prosił o translokację w głąb Niemiec.

Przywiozłem więc Suzina do domu, gdzie przyszedłszy wkrótce z biedy więziennej do siebie, wyruszył w swoje rodzinne strony, by się połączyć z powstańcami. Wkrótce

stamtąd napisał do żony, która po jego odjeździe powiła syna, że się szczęśliwie do swoich przedostał, którzy go z zapalem powitali i naczelnikiem znacznego oddziału zrobili, z którym już kilka szczęśliwych z Moskalami odbył potyczek. — „Powiedz naszemu synowi — pisze — bo musi być syn, że ojciec jego walczy za ojczyznę.”

Ale krótka była pociecha biednej żony i matki, bo w kilka tygodni przybyły dwie panie z owych okolic z doniesieniem, że mążny Suzin, kulą w głowę trafiony, zginął, a rodacy uroczysty mu pogrzeb sprawili. Pani Suzin wkrótce potem wróciła z małym synkiem do Francji.

Bawiący u mnie emigranci wyruszyli do powstania. Wymienić muszę pomiędzy nimi trzech: Aleksandra Rogalińskiego³, Śląskiego⁴ i Ruszkowskiego, wszyscy ze szkoły wojskowej w Cuneo. Dwaj ostatni zacni młodzieńcy, nieszczęśliwie wyszli, bo pierwszy zginął, drugi dostał się do niewoli. Rogalińskiemu się powiodło, bo on jedn z naczelników, prowadzących oddziały do Płocka, napadnięty dwie mile przed miastem przez rotę moskiewską trzy razy liczniejszą, mając około stu ludzi, źle uzbrojonych, ale dzieci warszawskie, rzucił się na nieprzyjaciela i rozbił go. Uderzenie korbą w głowę wysadziło mu jedno oko. Swoi unieśli dowódcę do domu obywatelskiego, skąd dostał się na powrót do Piątkowa. Dla kuracji oka musiał się później udać do Berlina, skąd wrócił do rodziny w Galicji zamieszkałej.

Jak przed powstaniem byłem przeciwny onemu, tak, kiedy wybuchło, byłem za tym, żeby je wspierać ile możności, na przekór dziennikom niemieckim, które głośiły, że tylko kilka tygodni potrwa, bo Polacy znani są z braku wytrwałości. Źle zatem wychodzili niektórzy z emigracji, co z brawurą udając się do powstańców, za kilka dni wracali do Prus, bo oświadczyłem, że uciekinierów nie przyjmuję do domu.

Niemcy zaniepokojeni tem, co się dzieje za bliską granicą, a jak zawsze tak i teraz w obawie o własną skórę, starania robili, żeby wojskiem obsadzić granicę. Trzeba było więc, żeby rządowi wystawić niebezpieczeństwo, w jakim ludność niemiecka zostaje przy wzburzonych umysłach Polaków, na różne koncepta się sadzić, żeby owe niebezpieczeństwo okazać. Sypały się zatem denuncjacje, a mianowicie przeciw mnie, także landrat, lubo zawsze dla mnie przychylny, widział się zmuszonym przysłać mi żandarma, żeby pilnował, co się u mnie dzieje. Dowiaduję się, że dwaj sąsiedzi moi niemieccy strzelali w nocy na pocztę, i że kon-

duktor przy świetle latarni zeskoczywszy z pocztowego wozu znalazł ich w rowie szosowym. Powiedziano mi, że to w tym celu zrobili, aby na mnie padło podejrzenie, że to ja jestem sprawcą. Zdawało mi się, że to bajka, przywołując zatem mego żandarma, wyrzucając mu, że tak źle pilnuje, kiedy nie wie o tym, że na pocztę strzelano. — „Jak to nie wiem!” i przynosi mi swoją książkę służbową, w której pokazuje mi raport o tym wypadku, ale ręką zakrywa nazwiska tych, co strzelali. Udało mi się jednak rękę zsunąć i widzę nazwiska: Müller i Schönfeld, o co mi właśnie chodziło.

Odezwy Niemców o wojsko nareszcie skutkowały. Cała okolica zapełniona została nie tylko piechotą, ale i konnicą, i artylerią. Mnie landrat przysłał trzydziestu huzarów z oficerem na stałą kwaterę.

Tymczasem w naszej okolicy zbierał się oddział znaczny, by się połączyć z oddziałem pod dowództwem Padlewskiego. Wiedząc, że późnym wieczorem wstąpi do mnie część tego oddziału, by się nad granicą połączyć z resztą, musiałem się starać czujność mego żandarma osłabić, co mi się w następujący sposób udało. Było to po Wielkiejnocy, a że dziewczki dworskie w trzecie święto tego żandarma na dyngus oblewały, kazałem im i w następnych dniach wieczorami go straszyć, a kiedy mnie się skarży, ponieważ był ze stron niemieckich, w których o dyngusie nigdy nie słyszał, mówię mu, że to religijny nasz obrządek, i że kobietom służy prawo dyngusować mężczyzn aż do Zielonych Świąt, więc mu radzę wieczorami nie wychodzić ze stacji. Toteż kiedy ten oddział wieczorem zajechał do dworu, żandarm spokojnie siedział w stacji swojej, a tamci, posiliwszy się, ruszyli dalej, zabrawszy co było broni w domu. Dopiero nazajutrz, kiedy się dowiedział o przejściu oddziału, wchodzi do mnie z trzema huzarami do dworu. Na zapytanie moje po co przychodzą — odpowiada: „Dla rewizji za bronią”. — „Co było, to już wczoraj zabrali — odpowiadam — dziś już nie ma nic.”

Nieszczęśliwy wybór dowódcy tego oddziału, narzucony przez organizatora z Księstwa nam oktrojowanego był przyczyną, że cała wyprawa dość kosztowna i opatrzona we wszelkie potrzeby partyzanckiej wojny, zaraz nazajutrz przez Moskali w puch została rozbita⁵, tak że część padła od broni nieprzyjacielskiej, część dostała się do niewoli, największa jednak zrejterowała do Prus.

Miałem u siebie podoficera z wojska pruskiego, dzielne-

go, znającego doskonale miejscowość na tamtej stronie, którego polecałem na dowódcę, zwłaszcza że cała młodzież mająca brać udział oświadczyła, że chętnie pójdzie pod jego rozkazy. Ale nieszczęsna, systematyczna, opozycja kilku obywateli przeciw mnie, wsparta przez owego organizatora, oddała naczelnictwo w niezdolne ręce pocziwca, którego cała załuga była, że z wojska moskiewskiego przeszedł do powstania.

W tym czasie przybywa do mnie z Paryża Kurzyna, wysłannik Mierosławskiego, z doniesieniem, że ten jest mianowanym przez Rząd Narodowy naczelnikiem powstania, że generał przybędzie do Bydgoszczy i mnie zapytuje, czy go chcę nad granicę przewieźć. Mając następnego dnia jechać do Bydgoszczy, odprowadziłem Kurzynę wraz z innymi, w znacznej liczbie bawiącymi emigrantami, do sypialnych pokojów, a kiedy już koło godziny dwunastej od gości moich chcę odchodzić, odbieram list od sąsiada przez konnego posłańca, z doniesieniem, że oddział wojska pruskiego, który mu czterech zabrał emigrantów, jedzie do Piątkowa, gdzie się spodziewa lepszego połowu. Zrywają się z łóżek goście moi, żeby się ukryć, ale uspokajam ich, że w nocy nie pozwolę na rewizję, ponieważ jest konstytucją zabroniona. Niebawem zjawia się ów oddział przed dworem, widzę owych czterech emigrantów na wozie strzeżonych przez żołnierzy, reszta oddziału wchodzi do dworu. Stawam więc na schodach kręconych, w wieży się znajdujących, a kiedy słyszę komenderującego podoficera, z naprzód wyciągniętymi bagnetami, do marszu na górę, wołam: „Co to ma znaczyć?” Odpowiada: „Przychodzimy na rewizję”. — „U nas w nocy rewidować nie wolno — odpieram — więc nie pozwolę i z miejsca nie ustąpię.” — „Zobaczymy” — woła dowódca — i *Vorwärts!*” Na to ja: „Proszę się zatrzymać, bo każę w dzwon uderzyć i gwałt gwałtem odeprę”. To uderzenie w dzwon, chociaż tylko skromny gospodarski był dzwonek, zastraszyło męznego dowódcę i po krótkim namyśle odpowiada, że zda o tem raport swemu oficerowi, a na mnie spadnie odpowiedzialność za wzbronienie rewizji. — „I owszem — mówię — proszę oficerowi, powiedzieć, że go oczekuję jutro na obiad.”

Nie czekałem jednak z obiadem na przybycie oficera z Wąbrzyźna, tylko, wyprawivszy wszystkich emigrantów z domu, sam z Kurzyną pojechałem do Bydgoszczy. Mierosławski miał w tym dniu przybyć, ale niemało nas zaniepokoiło, że ani w tym, ani w następnych dwóch dniach nie

przybył. Czwartego dnia dopiero zjawił się generał z adiutantami swemi⁷. Znalcm go dotąd tylko z fotografii, ale nie byłbym go poznał, bo dla bezpieczniejszego przejazdu zgolił brodę. Chciał natychmiast wieczorem wyjechać, ale ponieważ od znajomych się dowiedziałem, że Niemcy po mieście rozgadują, że nie na próżno tak długo bawię w mieście i stąd wnioskując, że pewnie mnie szpiegują, przystał Mierosławski na propozycję moją, żeby, jak świt, nazajutrz wyjechać, kiedy Niemcy po hulankach wieczornych jeszcze w betach spoczywają. Nie omyliły mnie domysły moje, bo różne oddziały wojska wyruszyły nazajutrz ku granicy polskiej, ale szczęśliwie dojechaliśmy do kuzyna mego, nad granicą mieszkającego. Przez całą noc przybywali adiutanci generała, a wysyłani za granicę, gdzie Rząd Narodowy zapewniał, że znaczny oddział powstańców będzie czekał, żeby pójść pod jego naczelne dowództwo, powracali z doniesieniem, że oddziału nie ma i tylko kilkunastu i to bez broni czeka na niego. Po północy wyjechał Mierosławski ze złowrogim przeczcuciem w pomyślność wyprawy. Bezparcjalna⁸ potomność sprawiedliwie zapewne osądzi, na kim ciąży wina; z ust zacnej patriotki z Królestwa, która wkrótce po powrocie moim do domu do mnie przybyła, słyszałem tylko, że wiadomość o przybyciu Mierosławskiego do Polski, zelektryzowała lud, dotąd powstaniu nieprzychylny, i że prawdopodobnie to powstanie przez to pomyślniejszy by wzięło obrót, gdyby Mierosławski przez brak wsparcia nie został od razu z małym swoim oddziałem rozbitym przez Moskali⁹.

Ponieważ graniczące z Polską pruskie powiaty, przepelnione zostały wojskiem pruskim, tak, że nie miałym były ciężarem dla nich, Niemcy widząc, że im z powstania niebezpieczeństwo nie grozi, dopominali się o ustąpienie tego opiekuńczego wojska i tak zaczęły oddziały powracać, skąd przybyły. Podczas tego powrotu zjawia się u mnie oficer od kirasjerów, z którym się podczas pobytu mego w Bydgoszczy poznałem, oświadczając, że ponieważ jego szwadron gościńcem koło Piątkowa przechodzi, on, pamiętny miłego poznania się ze mną w Bydgoszczy, zbacza do mnie z wizytą. Dziękując mu za jego grzeczność, proszę, żeby przyjął małe śniadanko, które służący wnosi. On zaś wymawia się, że musi pospieszać za oddziałem, a dopiero kiedy nie ustępuje, przyznaje mi się, że kamraci jego nie chcieli wierzyć, że on, sam jeden do mnie wyboczy, następnie dodaje, że przeszedł nocy w hotelu w Brodnicy nocował tuż obok mego numeru, a jego kamraci nie chcieli także wierzyć, aby

się na to odważył. — „A teraz powiem moim kolegom, jakim pan jesteś niebezpiecznym człowiekiem, zmuszając mnie do przyjęcia śniadania.”

Próbowali Niemcy, rozsiewaniem potwornych o mnie wieści, wplątać mnie w jakie awantury z wojskiem pruskim, które im się jednak nie udawały, ponieważ wszystkie kwatery u mnie i gościnnie podejmowałem. Tymczasem zaś w naszej okolicy aresztowania kilku obywateli, którzy nieostrożnie postępując z wyprawą pojedynczych ludzi do Polski, o czym doniesiono landratowi, dostali się za to do więzienia. Bardzo się to Niemcom, na mnie głównie zawziętym, nie podobało, że ja spokojnie siedzę w Piątkowie. Udało im się więc namówić Niemca wyrobnika — oczywiście za dobrą zapłatę — który rozповідаł, że ja go spotkawszy na drodze namawiał, aby poszedł do powstańców. Dwaj kupcy żydowscy z Kowalewa, z którymi małe interesa handlowe robiłem, przybywają do mnie z doniesieniem, że ów Niemiec w tem miasteczku opowiadał o owej namowie przede mną. — „Śmiałim się z niego, mówiąc, że pan Sulerzyński znalazłby innego, nie ciebie, gdyby chciał kogo tam posłać, ale widząc, że żandarm prowadzi owego Niemca do kapitana, poszliśmy obydwaj za nimi i w przedpokoju kapitana słyszymy, jak ów chłop opowiada to samo, a miejscowy chirurg pisze protokół.”

Przekonany byłem, że denuncjacja jest za śmieszną, aby dla mnie zła miała następstwa, ale wkrótce pokazało się, że to stało się podstawą oskarżenia i aresztowania mego, bo Niemca owego wezwano do sądu, gdzie swoje zeznania przysięgą stwierdził.

Nim to jednak nastąpiło, nadszedł czas ostatniego zebrania Towarzystwa Agronomicznego, na którym, pomiędzy innymi sprawami, także nowy wybór dyrekcji miał nastąpić. Kilka dni przedtem odebrałem doniesienie od jednego z moich przyjaciół, że pan sędzia Łyskowski już raz ogłosiwszy, że nie umiem przydykować, sam lubo wyobrażenia o gospodarstwie rolniczym nie ma, pragnie być prezesem, i że w tym celu dwudziestu gospodarzy z Lembarga¹⁰ jest namówionych, aby głosami swymi na jego stronę przeważyli.

Nie mogłem wierzyć, aby taki patriota, jakim się okazywał sędzia Łyskowski, mający właśnie jako jeden Polak w sądzie pruskim, między małymi gospodarzami, wielkie zaufanie, zamiast je użyć do prostego namówienia tychże gospodarzy do naszego Towarzystwa, użył je do intrygi, odsłaniającej niezgodę między nami, tak szkodliwą dla nas,

a pożądaną dla nieprzyjaciół naszych. Ale okazało się, że doniesienie było prawdziwe, bo przybywszy na salę naszego zgromadzenia w Brodnicy, nasz sekretarz, pan Ignacy Łyskowski, przedstawia mi owych dwudziestu gospodarzy z jego sąsiedztwa, ani jednego nie brakło.

Po przyjęciu ich z należnymi pochwałami za tę oznakę łączności ich w pracach naszych, dobrobyt i oświatę ogólną mających na celu, na pożądanym członków naszego Towarzystwa, odbyło się posiedzenie przez rozprawy nad kwestiami programem objętymi. Gdy przyszło do ostatniej części programu, to jest do wyboru dyirekcji, wszyscy członkowie Towarzystwa, oprócz owych nowo zwierzbowanych, uprzedzeni zapewne o zamierzonej naprawie Towarzystwa przez zmianę prezesa, wynieśli się ze sali. Szanowny kandydat czeka na próżno na ich powrót, posyła po nich, sam się fatyguje, ale ani jednego sprowadzić nie może. Nie mogąc się zatem doczekać ich powrotu, zmuszony zostałem zamknąć posiedzenie, po czym przy wspólnym obiedzie zapomnieliśmy o nieudanych zabiegach, których, na niezapamiętanie, świadczył był przytomny asystent policyjny. Byłbym zatem pewnie zmuszony zostać nadal prezesem Towarzystwa, gdyby przeciwnikowi mojemu nie przyszło w pomoc aresztowanie moje, które niedługo potem nastąpiło, i z którego później, jako dyrektor Banku¹¹, tak zręcznie korzystał, żeby się mnie pozbyć, ale czy na zawsze?

Nim jednak do tego ważnego w życiu moim periodu przystąpię, zastanowić mi się wypada nad charakterem człowieka, który z długoletniego przyjaciela, już po trzeci raz występuje jako mój przeciwnik. Na zapytanie, co spowodowało sędziego Łyskowskiego do takiego ze mną postępowania, kiedy obydwu nas jeden cel łączył, to jest służyć sprawie narodowej, odpowiadam, że nic innego, jak tylko to, co niestety dzisiaj tak często spotykamy, że małoduszni ludzie starają wynieść siebie przez poniżenie innego, który sobie poczciwą pracą zaszczytne stanowisko zjednał.

Kiedy już dwadzieścia lat, jako jedyny akademik¹², w Prusach Zachodnich byłem zaszczycony zaufaniem moich współobywateli, przybyli mi w pomoc przeciw dążnościom germanizacyjnym dwaj bracia stryjeczni, Łyskowski Ignacy i Mieczysław, obydwaj na niemieckich uniwersytetach wykształceni; pierwszy w zawodzie gospodarczym przez popularną książkę *Gospodarz...*¹³ znany powszechnie, drugi prawnik — pierwsze urzędowanie w sądzie chełmińskim rozpoczynający. Ale nim jeszcze w bliższe z ostatnim wszedłem

stosunki, rozeszła się w naszej okolicy wieść, że kupiwszy na publicznej licytacji, z polecenia kuzyna swego, piękny majątek (Stolno)¹⁴, milę od Chełmna odległy, na swoje imię, sprzedał go natychmiast Niemcowi i 7000 talarów zarobku schował do swojej kieszeni. Wobec tak poważnej liczby majątków, w Ziemi Chełmińskiej, w ręce niemieckie przeszłych, czyn ten powszechne między Polakami znalazł potępienie. Ale w sądownictwie pruskim wynagrodzony został młody polski prawnik za tę przysługę Niemcom, przez awans na sędziego powiatowego, delegowanego do miasta Wąbrzyżna. Tam go pierwszy raz poznałem, a ponieważ przekonywałem się, że gorliwie zajmuje się sprawami chłopków polskich i w opiekę swoją ich bierze, należałem do pierwszych, którzy osądzili, że ponieważ on jedynym był Polakiem w okolicznych sądach pruskich, należy rzucić zasłonę na pierwszy, nierozważny czyn jego i podać mu bratnią rękę. Toteż nie omieszkałem zapraszać go do domu mego, kiedy się jaka zdarzyła rodzinna uroczystość, nawet, będącego wówczas wdowcem, zawiozłem w sąsiedztwo do panny, ale nam się nie powiodło. Tak żyliśmy ze sobą w najlepszych stosunkach przyjaznych, aż do pierwszego wystąpienia jego przeciw mnie przy sprzedaży Świerczyn.

Byłbym chętnie oddał zapomnieniu to ckliwe dla mnie i czytelników opowiadanie moich stosunków z sędzią, który dziś tak rozgłośne sobie imię zjednał przez tworzenie banków polskich, tak pożytecznych i obiecujących tak długo powodzenie, póki chmury na horyzoncie politycznym zewsząd się ukazujące, nie wzbiją się w górę do jednego straszego akordu i nie zniweczą najpiękniejsze pokojowe projektu.

Wolę raczej opowiedzieć, jakim sposobem Niemcy dokazali tego, że mnie po trzeci raz do więzienia dostali.

Wracając z Torunia do domu, widzę w ostatniej wsi przed Piątkowem, bryczkę na drodze stojącą, na niej landrat, ów mój przyjaciel, Young obok właściciela Pluskowęs, Müllera i dwóch żandarmów. Dojeżdżając do nich, zschodzi landrat z bryczki, ja kazałem stanąć, także zesiadam i mówię żartem do niego, ponieważ mi często powtarzał, że mnie chciał odwiedzić, że go aresztuję i zabieram do Piątkowa. On na to z miną poważną odpowiada mi: „Przeciwnie, ja pana aresztuję” i pokazuje rozkaz od Kammergerichtu berlińskiego. Spojrzawszy więc na siedzącego na bryczce Müllera i wiedząc, że od niego wychodziły wszystkie denuncjacje przeciw mnie, odzywam się na cały głos: „Na to mu-

szą oświadczyć, że tylko nikczemna podłość mi to sprawia". Niemcy mają dobitniejsze wyrażenia i takiego użyłem bo nazwałem to: *Eine infame Niederträchtigkeit*.

Dziwna rzecz, że już poprzedni dziedzic Pluskowęs, Keck, znany czytelnikom z przygody nocnej, rodzicom moim dokuczał, a ponieważ ten dzisiejszy dziedzic, taki sam przybłąda jak tamten, nie zawadzi, nim się pożegnam z rodziną i opuszczę majątek, przytoczyć anegdotę, która o owym Kecku kursowała w naszej okolicy.

Jadąc powozem w cztery konie, spotyka się z bratem przybyłym w te strony, aż ze Szwabii, pędzącym zakupioną trzódkę wieprzy. Ten poznawszy brata woła: *Bruder Keek, biszt du's, oder biszt du's nit, hotz blitz. Was is aus dir für ein Kerl geworden!*¹⁶

Poznał zapewne ten sam braciszek, że tu w polskiej ziemi łatwo panem zostać, bo porzuciwszy swój handel kupił majątek i dotąd rodzina jego w Ziemi Chełmińskiej się rozpościera.

Radziłbym Niemcom przypomnieć sobie list hrabiego Tytusa Działyńskiego, o którym wzmianka w pierwszym tomie, gdzie nazywa Niemców kupujących od Polaków majątki lekkomyślnymi, a to tylko dla ich germanizacyjnych dążeń. Czemuż nie przypomną sobie, że póki byli grzeczni dla nas, a grzeczni byli, bo było ich mało, to z Prus Zachodnich ani jeden Niemiec po bitwie pod Jeną nie uciekał, jak z Wielkopolski, tylko czasem się zdarzało, że jaki zuchwały Polak Niemca trochę poturbował. Tak opowiadał mój teść, Tomasz Czapski, że w owym czasie jakiegoś Kriegsratha na drodze, ponieważ mu z drogi nie zjechał, porządnie batem poczęstował, albo kiedy Niemcy bał sobie wyprawiali, to kilku Polaków się zebrało i spoiwszy kapelę popusuli im zabawę. Na takich figlach kończyła się cała nienawiść do nich. Później nieraz strach napadł Niemców i nie wiedzieć skąd, pomiędzy nimi rozeszła się pogłoska, że ich Polacy mają wyrząć. Skutkiem czego zaczęli zmykać, a najwięcej do grudziądzkiej fortecy, gdzie się bezpieczniejszemi czuli. W roku 48, kiedy Polacy tylko o braterstwie z Niemcami rozprawiali, byli także zaniepokojeni, a jeden z nich miał w stajni konia osiodłanego, żeby, jak będzie potrzeba, do Grudziądza czmychnąć.

Podczas powstania w roku [18]63 sędzia golubski, spostrzegłszy trzech oficerów pruskich w płaszczach w nocy na ulicy, sądząc że to powstańcy z Polski przybyli, z kilkoma

broń posiadającymi zabarykadował się w swoim mieszkaniu i całą noc oczekiwał napadu.

Skądże dziś taka odwaga wstępuje w Niemców, że drażnić zamysłają Polaków, przez uroczysty obchód stoletniej rocznicy pierwszego rozbioru. Nie przeszkadzajmy im, niech nam przypominają wiekową krzywdę, bo przy naszej znanej dobroduszości, zapomnielibyśmy o niej, gdyby kilka lat starali się żyć w zgodzie z nami, przed wybuchem owej koniecznej walki rasy słowiańskiej z germańską, o której dziś już i poważny dziennik wiedeński „Die Tages Presse” pisze, że oczywiste są oznaki tej bliskiej katastrofy, pytanie tylko, gdzie się rozpocznie. Sądzi, że prawdopodobnie w Czechach.

Po nastąpionym aresztowaniu moim żandarmi wsiedli na moją bryczkę i pojechali ze mną do Piątkowa. Tam się dowiedziałem, że landrat odbył rewizję papierów, a krótko zabawiwszy i pożegnawszy się z dziećmi i domownikami, musiałem zaraz, podług dyspozycji landrata, pod eskortą dwóch żandarmów w moim powozie i trzech czerwonych huzarów na koniach, jechać do Brodnicy. Tam oczekiwał mnie landrat przed owym poklasztorzem więzieniem i żądał, abym na noc tam się umieścił, ale pamiętając z opowiadania Suzina i innych, jaki komfort tam więźnia oczekuje, oparłem się energicznie, oświadczając, że tylko przemocą dostanie mnie do takiej kwatery. To zniewoliło landrata umieścić mnie w hotelu pod strażą dwóch żandarmów. Miałem nazajutrz koło południa wyjechać do Poznania, ale na przedstawienie moje, ponieważ to był dzień targowy, gdzie dużo ludzi się zbiera, chętnie przystał na moje żądanie, abym ze wschodem słońca dla uniknięcia jakiej awantury ze strony polskiej ludności, wyjechał z miasta.

Rozdział XV

OD UWIEZIENIA DO ROZPOCZĘCIA PROCESU

Treść: Brutalne przyjęcie mnie na fortecy poznańskiej przez oficera. — Serdeczność kolegów więziennych. — Dalsze prześladowanie Niemców dla zniszczenia mnie majątkowo. — Nasze życie więzienne. — Rozpoczęte śledztwo na krzywoprzysięstwie oparte. — Opowiadam kolegom mój sposób uprawy ziemniaków. — Przeprowadzka do Flausvogtei. — Mam być jako świadek użyty. — Mój kasjer Aleksandrowicz uchodzi do Ameryki. — Wysyłają mnie do wód. — Trzy miesiące się kuruję. — Wybrany na posła — każą wracać do więzienia. — Teraz dopiero zbrodnię stanu popełniłem. — Sejm żąda, aby posłowie polscy z więzienia weszli do Izby. — Moja mówka. — Wracamy do więzienia. — Przewożą nas do Moabitu. — Budują w ogrodzie salę i łby ścinają, ale jeszcze nie nasze.

Nie wiem, po co landrat Young, tak zawsze dla mnie przychylny, z taką paradą, bo z dwoma żandarmami w bryce i trzema huzarami, a do tego czerwonymi na koniach, kazał mnie z Piątkowa zawieźć cztery mile do Brodnicy, a zaraz stamtąd na powrót tą samą drogą na Toruń do Poznania. Biedne huzary i konie ich byłyby na szosie, kłusując ciągle, diabelnie się zmarnowały, gdybym nie kazał woźnicy, czasami stępa jechać. Pogrążony w myślach, szczęściem po pierwszej mili spostrzegłem, jak konie były spienione. Jadącego do więzienia, pocieszała nadzieja, że dobrze tam się ze mną obchodzić będą, bo pamiętałem, co, będąc w Berlinie podczas krymskiej wojny, mi powiedział jeden z moich przyjaciół z Poznańskiego. — „Przygotuj się na to, jeżeli z tej wojny widoki pomyślne dla Polski wynikną, że będziesz siedział w kozie, bo mi mówił radzca policji Niederstetter z Poznania, że jeżeli to nastąpi, wszyscy przywódcy

uwięzieni zostaną, a że ciebie za jednego z nich mają, to o tobie nie zapomną. Ale dodał Niederstetter, będziecie panowie bardzo dobrze traktowani, bo idzie tylko o to, żeby was zrobić nieszkodliwymi". Zresztą żandarmi, eskortujący mnie, mówili, że wiozą pismo od landrata do sądu, polecające mnie jako obywatela, któremu prócz gorącej miłości ojczyzny nic zarzucić nie można. Byłem zatem przekonany, że wkrótce uwolnionym zostanę, a zysk ten będzie, że zobaczę się z dawnymi znajomymi i poznam wielu innych braci z Wielkopolski.

Odstawiony na fortecę poznańską, Winiary, przekonał mnie, na samym wstępie, porucznik Rentefink, że postępowanie z więźniami nie bardzo uprzejme, bo odebrawszy mi pieniądze w sposób dość brutalny, oświadczył, że kwatery moja będzie loch podziemny, w którym się znajdowaliśmy obydwoj. Dopiero kiedy stanowczo odpowiedziałem, że wolę na podwórzu noc przepędzić jak w wilgotnym sklepie, zaprowadził mnie na górę, gdzie się pomiędzy innymi więźniami pomieszczenie znalazło. Kochana młodzież wielkopolska przyszła mi w pomoc uszykowawszy mi łożę z ujmą własnej wygody, bo nie wybrałem się z pościelą z domu w przekonaniu, że mnie zaraz wypuścić muszą, ale i tu się przekonałem, że łatwo do kozy się dostać, ale trudno wydość.

Znalazłszy się w tak miłym a liczonym towarzystwie serdecznych kolegów, zdawało mi się, że mi krzywdy wielkiej nie wyrządzono. Interesa majątkowe moje tak w ostatnich czasach uregulowałem, zostawiwszy dobrych urzędników w jednych, w drugich poczciwych dzierżawców, że mogłem być zupełnie spokojny. Miałem jeszcze w posiadaniu, po sprzedaniu kilku folwarków, majątek, 15 000 morgów pruskich wynoszący¹, a na nim prócz długu Towarzystwa Kredytowego, 100 000 talarów wynoszącego, tylko 12 000 drobnych długów. Przy wysokiej, wówczas, cenie ziemi, był to więc świetny stan majątkowy. Ale Niemcy czuwali nad zniszczeniem moim. Kuzyna mego, młodego Michała Wybickiego, którego opiece zostawiłem moje interesa, uwięziono, również najlepszych moich urzędników. Powiedziano ostatnim, że jeżeli nie przyrzekną natychmiast opuścić miejsca swoje, zostaną w więzieniu. Kiedy więc po kilku tygodniach uwolniono Wybickiego, ten zastał gospodarstwo opuszczone przezowych urzędników i trzeba było o innych się starać.

Przyjeżdża do Poznania, żeby się ze mną naradzić, ale nie

puszczają go do mnie. Pytam Kammergerichtsra³tha², Krügera czemu, kiedy wszystkim przybywającym odwiedzić swoich w więzieniu pozwala, Wybickiego do mnie nie puścił. Odpowiada: „Bo on jest też takim zapalonym Polakiem jak pan”.

Porządek dzienny taki był: z rana, po śniadaniu, musieli się wszyscy zbierać na podwórzu więziennym i dwoma rzędami, wojskowo stanąć przed Rentefinkiem, który wywoływał nasze nazwiska, czy kogo nie brakuje, potem zakomenderował: *Rechts um, marsch!*³ i wyprowadzono nas na obszerny plac mustry wojskowej, gdzie kilka godzin starzy i młodzi bawili się, przypominając sobie szkolne zabawy, a było nas około ośmdziesiątu.

Po spacerze schodził nam czas przy kartach lub pogadankach do obiadu. Tak samo cały czas poobiedni do dziesiątej godziny, o której świece musiały być pogaszone, inaczej warta podwórzowa wołała: *Licht aus!*⁴

Jednego wieczora, kiedy koledzy się już w łóżka pokładli, ja w nocnym negliżu opowiadam im jakieś przygody z mojego życia, kiedy rozległ się głos warty: *Licht aus!* Wstawię więc w nyżę, znajdującą się w murze, świecę i rozprawiam dalej. Naraz rozlega się brzęk kluczy, odmykających się gwałtownie ryglów i wpada Rentefink z dozorcami do naszego oddziału. Ale widząc we mnie nieustraszonego rycerza, przed groźnym jego obliczem, spokojnie na środku izby stojącego, kazał tylko świecę zadmuchać i wrócił na powrót.

Zdziwili się koledzy, że tak mi uszło, bo zwykle żądał i to w brutalny sposób, aby kiedy wchodził do rewizji, każdy przy swoim łóżku stanął.

Powołują mnie nareszcie przed sędziego śledczego, na moje zapytanie, za co mnie uwięziono, czyta mi zeznanie owego chłopca Niemca, przed sądem, żem go spotkawszy na drodze namawiał do powstania. Przeczytawszy cały protokół, pyta mnie, co ja na to. Odpowiadam, że moje zaprzeczenie namowy tak śmiesznej, że ją już Żydzi, opowiadając mi o niej, wyszydili, nie ma przed sądem znaczenia, bo on zaprzysiął swoją, dobrze zapłaconą przez wiadome mi osoby, denuncjacją. Ale żądam, aby on o krzywoprzysięstwo był przed sąd pociągnięty, gdzie musi wyznać, kto go do tego namówił. Młody sędzia wystawia mi niebezpieczny zarzut, który robię, bo jeżeli nie będę mógł go udowodnić, to podpadam pod taką samą karę, jak ten co krzywoprzysięże: „A jak to pan udowodnisz?”

Odpowiadam: „Udowodnię kłamstwem, które znajduję w protokóle, gdzie ten łotr mówi, że rowy u mnie kopał, a świadkami dowiodę, że od dwudziestu lat miałem zawsze tyle własnych ludzi, że obcych do kopania rowów nie potrzebowałem”. Sędzia nie chce uznać moich uwag, jako dowód krzywoprzysięstwa, dopiero starszy sędzia, przytomny tej rozprawie, zwraca uwagę kolegi swego, mówiąc: „Jeżeli ten pan potrafi udowodnić, że rowów ten człowiek nie kopał, to krzywoprzysięstwo jest udowodnione”.

Rad nierad, musiał sędzia żądanie moje w protokóle umieścić i pokazało się, że sąd zaambarasował się tym niemało, bo pan Krüger wyjechał do mojego powiatu, a wróciwszy stamtąd wizytując nas, odezwał się do mnie: „Byłem w pana stronach i znalazło się co innego przeciw panu”. Odpowiadam: „A czy nie znowu na krzywoprzysięstwie oparte?”

Nie dowiedziałem się jednak, co tam innego przeciw mnie się znalazło, aż podczas toczącego się procesu w Moabie z akt moich, bardzo zresztą obszernych, wyczytałem, że pewien proboszcz, z Niemiec przybyły, trudniący się lichwą, chcąc mnie niemiłosiernie zedrzeć, usłyszał ode mnie te słowa: „Pamiętaj księżę, że przyjdzie czas porachunku pomiędzy nami”. Szanowny kapłan denuncjował mnie za tę pogroźkę, w której upatrywano zbrodnię stanu i kilka razy stawał przed sądem, zawsze upominany, żeby swoje zeznanie przysięgą stwierdził, na co jednak przystać nie chciał, podając przyczynę, że to miało miejsce w sklepie winnym.

Siedziałem więc dalej w więzieniu, przez co główny cel, zniszczenia mnie majątkowo został osiągnięty. Takie postępowanie ze mną musiało mnie zniescierpliwzić i kiedy pewnego dnia Krüger nas odwiedza na placu naszych przechadzek, a jeden z naszych kolegów przedstawia mu, że za taką bagatelną rzecz, którą mu zarzucają, tu siedzi — pan radca się odzywa: „To wszystko jest zbrodnią stanu” — przystępuję do niego mówiąc: „Nie przekonasz nas pan, że ta pomoc, którąśmy braciom naszym w ich rozpaczliwej walce przeciw barbarzyńskiej Moskwie dawali i którą każdy uczciwy człowiek musi uznać jako święty nasz obowiązek, jest zbrodnią stanu przeciw Prusom, toteż mam przekonanie, że sądownictwo pruskie, będzie chciało swoją, dotąd zasłużoną, renomę niezawisłości i sprawiedliwości utrzymać i nam zbrodnię stanu nie zarzuci”.

Te słowa energicznie opowiedziane, spowodowały pana radcę do odpowiedzi: „Róbcie panowie, żeby tam się skończyło, to i tu się skończy”.

Musiałoby to moje wystąpienie spowodować naszych sędziów do postanowienia, żeby mnie się pozbyć, bo niedługo potem wizytując nas pan Krüger pyta mnie: „Czy nie życzę sobie na lato do jakich wód się udać?” Odpowiadam, że męczony tu, w zadusznym więzieniu, ciężkim katarem, z wdzięcznością przyjmuję propozycję. Przysłała mi zatem *Oberstabsarzt*⁵, który przyznaje, że ostatecznie wysłanie mnie do jakich wód mineralnych nastąpić może, ale tymczasem zapisze mi lekarstwo. Przysyłają mi pudełko proszku zielonkowatego ze szkaradnym zapachem, które nie tknięte stało na swoim miejscu. Podoficer, nas dozorujący, który ów proszek mi przyniósł, pyta mnie, czy go nie biorę, bo widzi, że nic nie ubywa, a kiedy przytakuje, prosi mnie o niego. Pytam się po co? „Przecież to jest lekarstwo i kosztowało pieniądze, szkoda żeby się zmarnowało”. Zabrał i pomału się delektował, chociaż był najzdrowszy. Oby się apetyt pruski tylko na takich specjałach ograniczał!

Tymczasem siedzę dalej z kolegami, między którymi było kilku obłożnie chorych, którzy domagali się usilnie, aby ich puszczono do domu, ale na próżno, odpowiadano im, że i tu mogą się leczyć.

Prócz spacerów i gry w karty, postanowiliśmy dziennie, po spacerze poobiednim, dwie godziny poświęcić rozprawom, czy to gospodarskim, czy społecznym. Zaszczycono mnie wyborem na prezesa kółka naszego. Zostaną mi w pamięci te interesujące dysputy nasze wieczorne, ale najpamiętniejszym zostanie mi wieczór, kiedy zacząwszy o ósmej godzinie rozprawiamy do dziesiątej, gdzie trzeba było świecę gasić, a tu tak zajmujące kwestie nam się nadarzyły, że nie widząc jeden drugiego prowadzimy dalej nasze rozprawy, a tak serdeczne, że skończywszy o dwunastej, szukaliśmy po ciemku jeden drugiego, żeby się wzajemnie na dobranoc uściskać.

Jako optymista, trzymając się zawsze zasady: „nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło”, miałem i wtenczas to przekonanie, że chociaż mnie tem nieusprawiedliwionym więzieniem majątkowo niszczą, rzadko w życiu mojem miałem takie chwile, jak tu, na fortecy poznańskiej, gdzie tylu miłych rodaków poznałem, którzy dowodami swojej dla mnie życzliwości, pozwolili mi zapomnieć o przykrościach, które w ostatnich czasach w moim rodzinnym zakątku od swoich doznawałem.

Ponieważ kółko nasze głównie z gospodarzy się składało, była też rozprawa o najlepszej uprawie ziemniaków, tak ważną rolę odgrywających. Zalecałem mój sposób uprawy,

którego od początku dotąd z największą korzyścią się trzymałem. Powiadam więc, że zorawszy na jesień rolę, na wiosnę głęboko w poprzek orzę, a po zabronowaniu i uwałkowaniu, markierem z zębami 24 cale od siebie odległymi wzdłuż i poprzek znaczę, sadząc w przecinki ziemniaki. Dwa tygodnie po znaczeniu dopiero obsypuję wzdłuż i w poprzek ziemniaki, kiedy już zielsko się puszcza, przez co się niszczy. Miałem zamiar, wprowadziwszy ziemię moją w kulturę zwięźić odstępy zębów, ale młody gospodarz, który niedawno wrócił ze szkoły agronomicznej słynnego Thaera, którego ojciec pierwszy podniósł gospodarstwo w system naukowy, w Möglinie, zapewniał mnie, że Thaer uczniów swoich upominał, żeby się nie dali przez przykłady innych gospodarzy nakłonić do gęstszego sadzenia, ponieważ ziemniaki, jako okopowe, tym więcej plonu wydadzą, im dokładniej będą obsypane i próby kilkadziesiątletnie do tego przekonania doprowadziły. Nie zmieniałem zatem mego markiera, a w podróżach moich w Niemczech często znalazłem, że nawet w większych jeszcze odstępach sadzą ziemniaki, ale też widziałem ogromne krze, a pod nimi, przy zbiorze, mnóstwo wielkich ziemniaków.

Z niedowierzaniem słuchali mnie kochani koledzy, twierdząc, że szkoda ziemię marnować, a przecież w Niemczech więcej jak trzy razy droższa, jak u nas. Prosiłem ich zatem, aby dla mojej przyjaźni przez kilka lat na jednej morderze próby przeze mnie zalecane robili. Czy który z nich przypomniał sobie wróciwszy do domu moją prośbę, nie wiem; jeden, a zawołany gospodarz, zapytany o to zaraz po przywitaniu na zjeździe we Lwowie, przyznał mi się od razu, że próby nie zrobił.

Tymczasem dochodziły nas wieści, że mamy być przewiezieni do Berlina, ale kiedy było tajemnicą z obawy demonstracji jakiej ze strony ludności polskiej. Naraz o drugiej godzinie w nocy z łoskotem otwierają się drzwi więzienne i wzywają nas wstawać i zabierać manatki nasze. Dwanaście wielkich wozów wojskowych stoją gotowe nas zabrać. Sam komendant jest przytomny i upomina nas, żebyśmy nie myśleli o ucieczce, bo rozporządzenia są gotowe do przeszkody.

Wyjeżdżamy pod silną eskortą konnicy, wiozą nas jakimiś manowcami, a kiedy droga szła przez zarośla, szpaler piechoty zbrojnej widzimy po obu stronach. Tak dojeżdżamy, przy pierwszym brzasku dziennym, na otwarte pole, skąd widzimy oczekujący nas pociąg. Dojechawszy do niego,

kiedy komenderują nami do przesiadania, widzimy kilka dam polskich dążących na przełaj przez oraną rolę, pożegnać się z mężami, ale ostry głos Rentefinka każe eskortie konnej odpędzić biedne kobiety, które pomimo zachowanej tajemnicy wysledziły, że więźniów wywożą. Takie było ostatecznie brutalne dokuczenie nam owego Rentefinka, który już więcej pastwić się nie będzie nad bezbronnymi, bo zaręczano mi, że zginął we Francji.

W dalszej drodze nie zaniechano wszelkich ostrożności. Dojechawszy do stacji, podawano nam kawę do wagonów. W Landsbergu⁶ było śniadanie, ale kilka kompanii piechoty zamknęły w ściśniętych kolumnach przystępy do restauracji, do której nam pozwolono wstąpić. Przybywszy do Berlina, omnibusy były w pogotowiu, a umieściwszy nas w nich zawieziono szczęśliwie do Hausvogtei⁷, żadnego niebezpiecznego zbrodniarza nie zgubiwszy.

Mieszkańcy Berlina, w kilku miejscach, poznawszy więźniów po licznej eskorcie *Schutzmanów*⁸, ostentacyjnie nam okazywali swoją sympatię.

W nowym naszym więzieniu ta nas spotkała niedogodność, że kiedy w Poznaniu wszyscy gromadnie w połączonych, a za dnia otwartych lokalach się znajdowaliśmy, tu po dwóch, trzech, podług obszerności kwatery, nas, nie pytając w jakim towarzystwie być chcemy, umieszczono, tak że niejeden niekontent był ze swego towarzystwa. I tak z sąsiedniej celi wpada do mojej jeden z kolegów, wołając: „Ratujcie mnie! — bo z jednym księdzem być razem to dobrze, ale z dwoma, to za wiele”. — „Jak to?” — pytamy. — „Jeden prawdziwy ksiądz, ale drugi chociaż nie ksiądz, wciąż się modli, a prócz tego odbywa jakieś kontemplacje pobożne i prosi, aby mu nie przeszkadzać.”

Zresztą wiele nam tu lepiej było, jak w Poznaniu. Puszczano do domu bardzo wielu, ale liczba nasza się nie zmniejszała, bo główny liwerant więźniów, prezes policji w Poznaniu, Bärensprung, w miejsce ubywających przystawiał nowych, tak żeśmy się ciągle z jedynymi żegnali, a z drugimi witali. Zdawało się zatem, że tu głównie idzie o zapewnienie więzień, albo o kontrakt zawarty z naszym restauratorem na pewną liczbę gości.

Pomiędzy nowo przybyłymi było i dwóch książąt, Mikołaj Radziwiłł i Roman Czartoryski. Żołnierze na wartę nam przystąpi, po większej części z gwardii, bardzo grzeczni byli dla nas, bo mieli taki nakaz: „Ponieważ pomiędzy więźniami są książęta i hrabiowie”.

Pomimo tej grzeczności nadzwyczajnej dla więźniów o zbrodnie stanu oskarżonych, śmiesznem było, że skoro nowy przybył, a dla braku miejsca, trzeba go było do dawnych umieścić, ta cela przez kilka dni była zamykana na klucz, żeby się przybysz nie mógł porozumieć z innymi, aż indagacją z nim odprawiono, ale to zamknięcie nie przeszkadzało, że koledzy jego przez drzwi instrukcje mu dawali, jak ma gadać, tak samo jak i towarzysze razem z nim zamknięci.

Powołano nareszcie i mnie do sądowej izby; koledzy żegnają się ze mną w przekonaniu, że wypuszczonym zostanę, ale zamiast mnie uwolnić, mówi mi sędzia, że jestem powołany na świadka, czy pewni młodzi ludzie byli u mnie w Piątkowie. Odpowiadam: „Nie pojmuję, będąc oskarżony o zbrodnie stanu, że mam rolę świadka odgrywać, który pewnie musi zeznanie swoje przysięgą stwierdzać”. Sędzia na to: „Pan weale nie jesteś oskarżonym, tylko jesteś podejrzanym o zamiary prawem zakazane, a zatem możesz przysięgać”. — „To mnie wyprawcie do domu, a będę wam świadczył, ale będąc w więzieniu, przysięgać nie będę, bo wiem, że ani świadectwo moje, ani przysięga nie ma u was żadnego znaczenia.”

Wróciłem więc do kolegów, którym opowiedziałem, jaką komedią chcieli ze mną odgrywać, a ponieważ wesoło się wspólnie bawiliśmy, nie martwiłem się dalszym mojem siedzeniem, bo przyznać muszę, że pobyt mój, z miłymi kolegami, do najprzyjemniejszych życia mego należał. Różne zapasy żywności przysłano z domów naszych, któremi wzajemnie się częstowano, a i ponczu i wina nie brakło.

Ale starano się także pożytek z przyjemnością połączyć. Kochany od wszystkich Litwin, Rustejko, dawał lekcje francuskiego i angielskiego języka, z których młodzież chętnie korzystała.

Niemałą zrobiono mi niespodziankę przez przybycie do więzienia syna mego wraz z kasjerem Aleksandrowiczem, mającym głównie zarząd gorzelni i sprzedaż spirytusu w Pułkowie. Zaniepokoiło mnie przybycie ostatniego niemało, bo obawiałem się stąd znacznych strat, przekonany o jego zdatności i uczciwości.

Wróciwszy z Ameryki, gdzie kilka lat jako emigrant w interesach handlowych się wykształcił, prowadził swoje urzędowanie u mnie z wielką akuratnością, tak że w okolicy, a mianowicie u Niemców rozgłosiło się, że Aleksandrowicz wiele się przyczynia do utrzymania mego majątku podczas mojej nieobecności. Cóż naturalniejszego, jak go wydalić, do

więzienia wysłać, chociaż nic mu zarzucić nie mogli, ponieważ w żadne stosunki z powstaniem się nie wdawał. Ucieszyłem się więc, kiedy po trzech tygodniach siedzenia z nami, przychodzi do mnie się żegnać, bo go puszczono na powrót do domu.

Niedługo jednak potem odbieram list od córki, która mi pisze, że Aleksandrowicz zabrawszy znaczne pieniądze, znikł. Biegnę zatem do pana Krügera z prośbą, aby mnie puszczono na policję, ażeby ta starała się zbiega uchwycić, bo prawdopodobnie będzie go można znaleźć w Hamburgu, gdzie zostawił żonę i syna małego. — „Po co pan masz się fatygować, pošlę zaraz na policję, żeby tu kogo przysłano” — odpowiada. Czekam więc na owego policjanta dzień jeden, drugi, nareszcie piątego dnia przychodzi dwóch. Pytają mnie, co żądam; odpowiadam, że nie myślę policją berlińską trudzić, bo kiedy pięć dni musiałem czekać na ich przybycie, nie mogę mieć nadziei, aby się gorliwie zajęła wyszukaniem zbrodniarza. Ale urzędnicy policyjni żądają, abym im powiedział, o co idzie. Opowiedziawszy im więc, pytają mnie, czy koszta odszukania zbiega biorę na siebie. „Ani grosza — odpowiadam — bo z przewłoki, co do przybycia panów, widzę, że dla mnie takich starań robić nie będziecie, jakbyście w podobnym wypadku dla każdego wyrobnika berlińskiego robili, ale kilka tysięcy talarów nagrody chętnie wyznaczam, jeżeli zbiega wraz z zabranymi pieniędzmi dostawicie, bo przekonany jestem, że muszą być bardzo znaczne”. Odeszli, ale wiadomości żadnej od policji w tej sprawie nie odbieram. Później dopiero pisze mi dawniejszy mój rządca, który ode mnie do Ameryki się udał, że Aleksandrowicz przybył do Nowego Jorku i że u niego widział worek, na którym był napis 13 000 talarów w złocie, i że tu handel cygar założył.

Nie ma zatem wątpliwości, że sławny Kammergericht berliński umyślnie sprowadził Aleksandrowicza do więzienia, żeby go nakłonić do tej ucieczki, i że mu ją zabezpieczył. Czy jednak dołożył do zabranych mnie pieniędzy swoich, nie wiem, mam nadzieję, że przyjdzie czas, gdzie się ta tajemnica wykryje, a ten czas przyjdzie pewnie prędzej, jak się niejednemu z tych, co mnie krzywdzili, zdaje.

Kiedy więc sąd berliński już nabrał przekonanie, że przez ucieczkę Aleksandrowicza, z zabranymi pieniędzmi, majątkowo nieźle szarpnięty zostałem, trzeba mu było pomyśleć o tem, co dalej ze mną robić, nie puszczając jednak do domu, gdzie bym mógł nadwreżony majątek poratować. Zde-

cydowano się zatem na kurację i podług instrukcji lekarza wysłano mnie do Kissingen⁹ w Bawarii na początku września.

Tam cztery tygodnie zabawiwszy, piszę do szanownego Kammergerichtu, że lekarz mój każe mi jechać do Ostendy¹⁰ na kąpiel morską i że tam odjeżdżam. Drugie cztery tygodnie tam przebywszy piszę znowu, że zdrowie moje podług rady lekarskiej wymaga, abym winogronną brał kuracją, jadę więc do Dürkheim nad Renem¹¹. A kiedy i tu kończą się winogrona, a Niemcy tylko mętny moszcz piją, który nie bardzo mi smakuje, goście zaś wszyscy się rozjeżdżają, piszę znowu, nie mając bardzo ochoty wracać na zimę do więzienia, że lekarze każą mi udać się do ciepłego klimatu, jadę zatem do południowej Francji.

Ledwom oddał to pismo na pocztę, odbieram z mojego powiatu telegram donoszący mi, że jestem obrany posłem na sejm¹². Przyjaciele moi sądzili, że mnie tym wyborem uwolnią z więzienia i od dalszej kosztownej a niepotrzebnej mi kuracji, bo będę mógł jako poseł za urlopem zajrzeć do domu i poratować coraz bardziej upadający majątek.

Kammergericht dowiedziawszy się o moim wyborze, kiedy na poprzednie listy moje żadnej nie odbierałem odpowiedzi, teraz przysyła rozkaz powrotu do więzienia, pod zagrożeniem sprowadzenia mnie przemocą.

Jadę więc do Berlina z postanowieniem udania się na sejmową salę dla zapytania zgromadzenia, gdzie moje miejsce, czy w więzieniu, czy w sejmie, bo do obydwóch jestem powołany. Byłem pewny, że zgromadzenie, uwzględniając szczególnie gatunek zbrodniarza stanu, któremu dozwolono trzy miesiące jeździć po świecie, orzeknie, że mam zająć krzesło poselskie. Czekaając w hotelu na przedwstępne uregulowanie się sejmowi, by móc prosić o głos w osobistej sprawie, przybywa do mnie ówczesny prezes koła poselskiego, szanowny August Cieszkowski, donosząc mi, że Koło Polskie¹³ jednomyślnie oświadczyło życzenie, abym zamiast na sejm, poszedł do więzienia, bo wtenczas Polacy będą mogli w sejmie wszystkich posłów polskich w więzieniu będących uwolnić, kiedy sąd takiego znowu do więzienia powołuje, któremu przez trzy miesiące dozwolił wojażować po świecie. Na moje przedstawienie, że z doświadczenia przekonałem się, że do więzienia się dostać łatwo, ale trudno wydość, odpowiada pan Cieszkowski, zapewniając mi, że nas wszystkich uwolnią, a tymczasem liczy na moje poświęcenie dla kolegów.

Nie mogłem na taki argument nie przyrzec, że wypełnię wolę Koła Polskiego i poszedłem do więzienia. Tam wkrótce powołany przed sąd, oświadcza mi sędzia, że z paragrafu sześćdziesiątego szóstego awansowałem na sześćdziesiąty pierwszy, to jest, że teraz dopiero o zbrodnię stanu jestem oskarżony. Jako przyczynę podaje, że z listu w moim kuferku znalezionej, sąd się dowiedział, że jadąc z Ostendy do Dürkheim dwa dni bawiłem u Erazma Zabłockiego w Brukseli, który przed śledztwem tam się schronił, a zatem musi być mocno skompromitowany; kto z takim w przyjacielskich zostaje stosunkach dowodzi, że podziela jego przekonania polityczne. Drugi, ważniejszy jeszcze zarzut jest ten, że pewien człowiek prosty przybył do Piątkowa, żądając kartki ode mnie do przejścia do powstania i że mój kucharz przyniósł mu takową, na której stały litery „K.W.” Pytam się, gdzie ta kartka? „Porzucił ją.” — „Co znaczą te litery K.W.?” „Komisarz wojenny.” — W którym to czasie był ten człowiek u mnie?” „W sierpniu.” — „Przecież cały sierpień byłem tu, w więzieniu.” — „To prawda”. Muszę oddać sprawiedliwość młodemu prawnikowi, że całą tę rozmowę odbył ze spuszczeniem oczyma, nie śmiejąc w moje spojrzeć. Odzywam się więc: „Tym sposobem jestem dwójcą, bo równocześnie siedzę w Hausvogtei i kartki wydaję w Piątkowie. Zdaje mi się, że panowie za grube żarty ze mną wyprawiacie”.

Koledzy moi ubawili się doskonale moim opowiadaniem, a nasz wierszokleta, szumnymi rymami, zgromadzonym kolegom wygłosił panegiryk na cześć moją jako cudownego dwójcy.

Pomimo usiłowań rodaków w sejmie, żeby nas, posłów powołano do izby, minister sprawiedliwości hrabia zur Lippe silnie opierał się temu, dowodząc, że posłowie obok zbrodniarzy mieścić się nie mogą. Siedzimy więc dalej, dobrze się bawiąc w tak licznym a przyjemnym towarzystwie, lubo od swoich dostajemy narzekania listowne o stratach gospodarczych z nieobecności naszej wynikających. Dochodziły listy od żon, które piszą do mężów, że od uczciwych sędziów niemieckich słyszą o bezzasadnym, podług praw, naszym więzieniu, w rozpaczliwych więc wyrazach dla strat majątkowych piszą, żeby Bóg ciężką karę spuścił na tych niesprawiedliwych sędziów, na nich samych i dzieci ich. Nie zstraszyło to ich jednak, a nasz Krüger, oddając adresatom takie listy, powtarzał: „Wymyślać możecie, ile się wam podobą, ale siedzieć musicie dalej”.

Najlepiej nam się powodziło w czasach świątecznych, bo wtenczas główny dozorca wyjeżdżał do Poznania, skąd przybył, a sędziowie berlińscy u siebie bawili, zostawiając nas pod opieką poczciwego staruszka miejscowego. I tak w Boże Narodzenie dwóch naszych wesołych a dowcipnych kolegów obchodziło wszystkie cele z szopką wyśpiewując każdemu stosowne, rozśmieszające wiersze. Żałuję, że nie pamiętam, co mnie się dostało. Bardzo się to podobało młodym i ładnym córkom naszego gospodarza i za szopką biegały po wszystkich celach, a najmłodsi pomiędzy nami poczuwali się do miłego obowiązku tłumaczyć dziewczętom polskie wiersze, za co po ciemnych korytarzach odbierali dowody najczulszej wdzięczności.

Nadeszły święta Wielkanocne, a z nimi z domów naszych zapasy święconego, którym się wzajemnie częstowaliśmy. Moje baby uznane zostały jako najsmaczniejsze i proszono mnie o przepis. Niezapomniany był i dyngus, którym równie jak podczas zimy kulami śniegu się obrzucając, przypominaliśmy sobie lata pierwszej młodości.

Przybyło nam dwóch kolegów z Królestwa Polskiego, udział mających w powstaniu. Mówiono, że będą odstawieni w ręce Moskali. Udało się młodemu Zygmuntowi Działowskiemu¹⁴ korzystać z nieobecności strażników naszych, obchodzących u siebie święta, i szczęśliwie, przez warty, wśród dnia z aktami pod pachą i cylindrami na głowie, wyprowadził ich na miasto, gdzie ukrywszy się kilka dni, wszyscy trzej opuścili Berlin.

Hałas nie mały się zrobił, jak strażnicy mający obowiązek na noc zamykać cele nasze, nie mogli się trzech więźniów dorachować. Później wrócił do więzienia Działowski i przyznając się do wyswobodzenia rodaków, obawiających się wydania Moskałom, potrafił zapewne skutecznymi środkami srogość sędziów złagodzić, tak że mu to bezkarnie uszło.

Udało się nareszcie rodakom naszym w połączeniu z liberałami niemieckimi uwolnić wszystkich posłów z więzienia, abyśmy mogli zasiąść w sejmie. Zebrawszy się wieczorem w naszym Kole¹⁵, zrobiłem wniosek, ponieważ koledzy nasi z więzienia, słusznie od nas uwolnionych się spodziewają wystawienia sejmowi nieuzasadnione wobec prawa oskarżenie nas o zbrodnię stanu, abyśmy korzystali z krótkiej chwili naszej wolności i dowiedli, że już samo postępowanie z nami dowodzi, że tylko dlatego nas trzymają w więzieniu, aby nas majątkowo zniszczyć. Wnoszę zatem, aby czyja wola z

przytomnych, a z więzienia przybyłych posłów na jutro wieczór przygotował krótką mówkę, która może się przyczynić do uwolnienia nas od procesu, który uwłacza powadze sądownictwa pruskiego, a Koło osądzi czyja najlepsza. Wobec zarzutu przez ministra sprawiedliwości, w sejmie nam zrobionego, że jesteśmy zbrodniarzami, nie może prezes sejmu odmówić któremu z nas głosu do osobistej uwagi, a obowiązkiem naszym jest korzystać z każdej sposobności, która nam następuje prawo do upomnienia się o krzywdy nam wyrządzone.

Prezes Cieszkowski podaje wniosek mój pod dyskusją. Zabierają głos kilku członków, ale wszyscy przeciw, różne podając powody, że takie odezwanie się jest niewczesne i bezskuteczne. Następuje zatem wezwanie prezesa, aby kto jest za moim wnioskiem się podniósł. Ja sam wstaję, wszyscy siedzą na miejscach. Ale raz wystawszy, proszę, aby mi było dozwolone jeszcze jedną zrobić uwagę, na poparcie mego wniosku, która teraz mi na myśl przychodzi. Prezes oświadcza, że wniosek przy głosowaniu upadły, nie może na nowo być postawiony. Przyznaję, że miał rację, ale zdawało mi się, że w sejmie co innego, a co innego w naszym poufnym kółku — więc może ze zbyt dużym uniesieniem odzywam się: „Kiedy was panowie formułki niemieckie więcej obchodzą, jak los braci waszych w niesłusznym więzieniu trzymany, to nie ma tu co robić!” — i wychodzę.

Przybywszy do hotelu, postanowiłem, wbrew uchwale Koła Polskiego wystąpić nazajutrz i prosić prezesa o głos w osobistej sprawie. Napisawszy więc małą mówkę, idę z nią nazajutrz na sejm, ale tam już czeka na mnie szanowny Cieszkowski, prosząc mnie, abym, jeżeli co napisał, przybył wieczorem na Kółko i tam przeczytał. Przystałem chętnie i przeczytałem na wieczornym zgromadzeniu mój projekt, w którym krótko wystawiwszy komedią, którą z nami w więzieniu odgrywają, kończę w następnych wyrazach: „Starajcie się zatem panowie jako patrioci pruscy, aby wasza, dotąd skromna i cnotliwa, pruska Themis, w objęciach moskiewskiego niedźwiedzia nie została bezczeszczoną”. Po niemiecku tak się wyraziłem: *Sorgen Sie daher meine Herrn, als preussische Patrioten dafür, dass die sonst sittsame und ehrbare preussische Themis in den Armen des russischen Bären nicht zur Metze werde.*

Ostatnie wyrażenie zdawało się kolegom za ostre, które nie tylko naganę od prezydenta, ale i burzę posłów wywoła, a zatem więcej zaszkodzić, jak pomódz może. Nalegali więc

na mnie, abym zmodyfikował wyrażenie, bo już przyzwalała, abym coś powiedział na odparcie słów ministra. Następnego więc dnia zobowiązałem się oddać mowę nową pod krytykę dwóch posłów. Ale że i ta im się nie podobała, wystąpiłem z inną, a zatem dla kolegów niespodziewaną mową trzeciego dopiero dnia. Pamiętając, że za pomocą żony i córki dyrektora sądu udało mi się w Brodnicy uwolnić Suzi-
na i innych z więzienia, powodowany podczas wojażu mego po Niemczech jawną niechęcią mężczyzn do Polaków, z przyczyny powstania, szkodliwego interesom handlowym, a doznawszy natomiast od niewiast wielkiej dla sprawy polskiej sympatii, pisząc mowę uderzyłem w tę samą stronę i zakończyłem tymi słowy: „Wysłany pomimo zarzutu zbrodni z więzienia do wód i trzy miesiące wojażując po Niemczech, powróciłem z wrażeniem w narodzie niemieckim nabyłem, które w następny sposób ogłaszam: cześć wam niewiasty niemieckie i dziewice niemieckie! Miejcie się panowie na baczości, abyśmy ich pomocą wsparci, nie rozbili bramy więzienia!” Wymawiając te słowa pociągnąłem oczyma po galerii damami zapełnionej i zeszedłem z trybuny na moje miejsce, gdzie kolegów widzę z niespodziewanej improwizacji nie bardzo zadowolonych, ale wynagrodzony zostałem, widząc zacnego liberała niemieckiego Jana Jakóbego z Królewca idącego wprost do mnie, by mi rękę podać, mówiąc: „Dobrześ pan powiedział”.

Zaraz potem wystąpił jeden z ministrów z orędziem królewskim rozwiązującym sejm.

Krótko więc trwało moje i kolegów uwolnienie z więzienia, bo skorom wyszedł, zastałem przed gmachem sejmowym ducha opiekuńczego, który nie opuszczał już mnie na krok i tylko pozwolił mi iść do hotelu, do córki mojej z domu przybyłej. Na noc musiałem wrócić do więzienia.

Tam kolegom moim powiedziałem, że niezawodnie nas Niemki berlińskie uwolnią, bo taki komplement im wypaliłem. Naśmiali się serdecznie, ale wierzyć nie chcieli.

Musiały jednak słowa moje zatrwożyć Kammergericht bo, zapewne obawiając się ziszczenia zagrożenia mego, przewieźli nas niedługo potem, przed wschodem słońca, kiedy jeszcze miasto spało, do odległego, a silnie obwarowanego Moabitu¹⁶.

Wiele gorsze tam mieliśmy pomieszczenie, bo do celi dla dwóch zbrodniarzy przeznaczonych wpakowali nas po czterech, a przy zamkniętych drzwiach i oknach nieznośny

zaduch nam dokuczał, powiększony jeszcze przez wygódki w nich się znajdujące.

Wielka sień, dzieląca nasze cele, była w dzień naszą salą bawialną i jadalną, a spory ogród, do którego nas dwa razy na dzień prowadzono był nam dla świeżego powietrza przyjemniejszy od ciasnego podwórka w Hausvogtei.

W tym ogrodzie rozpoczęto budowę improwizowanej sali sądowej z desek, złowrogi pozór zewnętrzny mającej, bo i dach i ściany czarną tekturą były obite, ale wewnątrz stosunkowo dość pięknie było udekorowane przez sławnego Gropiusa. Przyglądając się tej budowli nabraliśmy przekonania, że nie ziszczą się słowa naszego opiekuna, Krügera, który nam jeszcze w Poznaniu powiedział: „Róbcie panowie, żeby się powstanie skończyło, a wtenczas i tu się skończy”. Zdaje się nawet, że w łonie sądu samego rozdrowienie nastąpiło, bo pomimo końca powstania, od czasu przewiezienia nas do Moabitu, Krüger ustąpił z nadzoru sądowego i tylko trudnił się prywatnymi potrzebami naszymi, z czego sędzić wypada, że był przeciwnym dalszemu prowadzeniu procesu, za co mu chętnie cześć należną oddaje.

W naszym ogrodzie zrobiono nam niemiłą niespodziankę, bo kiedyśmy pewnego poranku weszli do niego, zastaliśmy ludzi sprzątających rusztowanie, na którym kat przed chwilą dwom zbrodniarzom głowy pościnał, których krwią jeszcze piasek był zbroczony. Podeszła niewiasta z młodym czeladnikiem pozbyła się starego męża przez otrucie, za co oboje karę ponieśli. Niedługo potem druga, podobna, egzekucja nastąpiła.

Zakończono nareszcie budowę sali sądowej, w której uderzała w oczy szczupła galeria dla gości, nie chciano mieć wielu świadków nieuzasadnionego i niedorzecznego procesu.

Rozdział XVI

PROCES OD 7 LIPCA DO 23 GRUDNIA 1864 ROKU

Treść: Składu sądu. — Akt oskarżenia przeciw stu czterdziestu dziewięciu osobom. — Nazwiska obrońców naszych. Moje oskarżenie. — Obrona. — Rewizja w Piątkowie dla szukania emigrantów. — Emilia Szczaniecka jako świadek. — Świadek Tourget. — Mowa Gneista. — Druga mowa moja na obronę. — Wyrok: mnie na rok więzienia.

7 lipca 1864 o dziewiątej godzinie z rana początek rozprawy sądowej. Sąd składa się z dziewięciu Kammergerichtsrathów, dziesiąty prezes Kammergerichtu jako prezydujący. Nazwiska ich warto potomności podać:

1. Büchtemann, prezydujący
2. Drogand, radzca
3. Theremin, radzca
4. Becker, radzca
5. Oelrichs, radzca
6. Leonhardt, radzca
7. Bratring, radzca
8. Vogel, radzca
9. Friedrich, radzca
10. Eimbeck, radzca.

Prócz tego, zasiadło pięciu nadkompletnych sędziów, a zatem razem piętnastu na wzniesionej trybunie.

Prokuratoria składa się z nadprokuratora Adelunga i asesora Mittelstaedta.

Akt oskarżenia o usiłowanie wskrzeszenia Polski w granicach przed rokiem 1772 i oderwania części do Prus przypadłej, wytoczony przeciw następującym osobom ¹:

1. Hrabia Jan Kanty Działyński z Poznania
2. Aleksander Guttry z Paryża
3. Włodzimierz Wolniewicz z Dębicza
4. Władysław Kosiński z Targowej Górki
5. Dr Władysław Niegolewski z Murkwicy
6. Leon Królikowski, dyrektor Towarzystwa Parowych Statków z Paryża
7. Józef Rustejko bibliotekarz z Kielc w Samogicji ²
8. Julian Ksawer Łukaszewski, student medycyny z Trzemeszna
9. Władysław Smiśniewicz, student matematyki i nauk przyrodniczych ze Środy
10. Filip Skoraczewski, kandydat leśnictwa z Gudorowa
11. Walery Mrowiński z Gościeszyna
12. Józef Żórawski, literat z Poznania
13. Adolf Hoffmann, puszkarz ³ i handlarz broni z Poznania
14. Ludwik Ohnstein, kupiec z Lissy ⁴
15. Dionizy Oberfeld, kupiec z Poznania
16. Stanisław Kaniewski, kupiec z Poznania
17. Marian Jaroczyński, nauczyciel rysunków z Poznania
18. Józef Matuszewski, krawiec z Poznania
19. Napoleon Mańkowski, dziedzic z Rudki
20. Książę Roman Wilhelm Czartoryski z Jutrosina
21. Książę Mikołaj Konstanty Radziwiłł z Połoneczka
22. Edmund Taczanowski z Moli
23. Wacław Koszutski z Maguszewic
24. Stanisław Rymarkiewicz, proboszcz z Kotlina
25. Józef Stanisław Niklewski, doktor medycyny z Jarocina
26. Stanisław Szczaniecki ze Skoraszewa
27. Ludwik Szczaniecki z Boguszyna
28. Włodzimierz Kurnatowski z Gostyczyna
29. Bolesław Antoniewicz, wikary z Ostrowa
30. Władysław Dehnel, dzierżawca ze Smiłowa
31. Władysław Zakrzewski z Jankowa
32. Witold Rostkowski, obywatel z Raszkowa
33. Władysław Błociszewski syn, z Poznania
34. Władysław Kraśnicki syn, z Czachór
35. Stefan Zakrzewski z Wyszek
36. Tadeusz Jaraczewski z Łowęcic
37. Adam Jarzembowski z Wielkiego Krzyża
38. Bolesław Bronikowski, student z Ostrowa
39. Władysław Oppen, nauczyciel z Poznania

40. Witalis Walter, inżynier leśniczy z Wronaw
41. Witold Chodacki z Koźmina
42. Ildefons Chełkowski z Wilcza
43. Kazimierz Miłkowski, elew^s gospodarczy z Wilcza
44. Hrabia Stanisław Czarnecki z Pakostawia
45. Stanisław Błociszewski z Ciołkowa
46. Szymon Radecki, proboszcz z Gostynia
47. Hipolit Szczawiński z Brylewa
48. Tadeusz Braunek z Bojanic
49. Seweryn Radoński z Psiego Pola
50. Cyprian Jarochoowski, proboszcz z Pogorzeli
51. Faustyn Radoński z Ninina
52. Józef Wierzbiński z Włókna
53. Józef Mielecki z Nieszawy
54. Bolesław Lutomski ze Stawu
55. Napoleon Bekowski z Koszut
56. Anastazy Radoński z Krześlic
57. Maksymilian Radzimiński z Dziechowic
58. Józef Prądyński, urzędnik gospodarczy ze Stawu
59. Walery Hulewicz z Młodziewic
60. Artakserkses Rekowski z Gruzdowa
61. Kazimierz Wilkoński z Graboszewa
62. Józef Pluciński z Konojad
63. Kazimierz Węclewski z Niełęgowa
64. Zygmunt Niegolewski z Niegolewa
65. Zygmunt Jaraczewski z Jaraczewa
66. Feliks Matecki z Grab
67. Jan Majewski, urzędnik gospodarczy z Grab
68. Leon Smitkowski z Łęg
69. Mateusz Skrzydlewski z Mechlina
70. Władysław Łącki z Posadowa
71. Ferdynand Molinek z Uścięcic
72. Hrabia Mieczysław Kwilecki z Oporowa
73. Józef Kierski z Gąsawy
74. Bolesław Kościelski ze Śmiłowa
75. Erazm Zabłocki z Tarnowa
76. Norbert Szuman z Kujawki
77. Karol Brodowski w Pawłowa
78. Wojciech Kunow ze Słup
79. Dr Henryk Szuman z Althütte^o
80. Ernest Swinarski z Kruszewa
81. Bolesław Moszczeński z Kuśnierza
82. Serafin Ulatowski z Racic
83. Ignacy Grabowski z Bondecza

84. Cezary Tur z Trzeciewnicy
85. Hrabia Konstanty Bniński z Glesna
86. Józef Skrzydlewski z Dzierżazna
87. Zygmunt Malczewski z Ławek
88. Kazimierz Brodnicki z Dziećmiark
89. Józef Krasicki z Karsewa
90. Ludwik Henrych z Lubostronia
91. Józef Alojzy Seyfries z Jaguszewic
92. Bolesław Sikorski z Krostkowa
93. Tadeusz Kierski z Poburka
94. Józef Hubert, proboszcz z Grabowa
95. Antoni Jackowski z Palczyna
96. Roman Pilaski z Zielenic
97. August Samorzewski, wikary ze Srody
98. Maksymilian Jackowski z Pomarzanowic
99. Hrabia Wiktor Szoldrski z Brodowa
100. Andrzej Skorzewski z Zerkowa
101. Hipolit Duszyński z Nowego Dworu
102. Bogusław Łubieński z Książczyna
103. Julian Mittelstaedt z Kunowa
104. Franciszek Mierostawski z Proszyska
105. Michał Paruszewski z Obudna
106. Walery Sulerzyski z Zagajnych Górek '
107. Mikołaj Goński, wikary z Poznania
108. Maksymilian Jasiński z Bydgoszczy
109. Dr Wincenty Cichowski, proboszcz z Brodnicy
110. Józef Banaszak, rymarz z Brodnicy
111. Stanisław Wierzbiński z Uściekowa
112. Teodor Seydewitz, oficer papieski
113. Julian Sypniewski z Piotrowa
114. Kazimierz Mroziński z Damasławek
115. Karol Chłapowski z Czerwonej Wsi
116. Stanisław Maciejewski, spedytor z Katowic
117. Józef Berger z Grembanina
118. Bonawentura Bleszyński z Łaszczyna
119. Józef Zabłocki z Chwałęcinka
120. Bolesław Czapski z Chwałęcina
121. Dr med. Leon Martwell z Turyna
122. Jan Röhr z Gdańska
123. Fryderyk Wilhelm Johansohn, kupiec z Królewca
124. Zygmunt Działowski ze Mgowa
125. Natalis Sulerzyski z Piątkowa
126. Józef Howiecki z Ryńska
127. Edward Kalkstein z Jabłówka

128. Józef Łebiński, proboszcz z Gaborowa
 129. Teodor Jackowski z Lipinek
 130. Antoni Marański z Sulęcina
 131. Marcei Borowski z Czarlina
 132. Józef Piotr Tokarski z Wygody
 133. Adolf Łaczyński z Kościelca
 134. Adolf Kaczorowski z Dębna
 135. Hipolit Turno z Objezierza
 136. Jan Arndt z Dobieszewic.
- Do tej liczby zrobiono następujący dodatek:
137. Edmund Callier
 138. Bolesław Chotomski z Królewca
 139. Jan Nepomucen Koronowicz z Królewca
 140. Juliusz Reichstein z Augustowa
 141. Wojciech Winkler-Kętrzyński, student z Królewca
 142. Leopold Różycki
 143. Kazimierz Szultz z Poznania
 144. Józef Nepomucen Gościcki z Królewca
 145. Henryk Gosławski
 146. Juliusz Au z Poznania
 147. Władysław Zawadzki ze Sukowy
 148. Walenty Połczyński ze Ślesina
 149. Kazimierz Chełmicki.

W takim porządku nas zapisano i wywoływano przed przeświety sąd.

Prokuratoria zastąpiona przez nadprokuratora Adelunga i asesora Mittelstaedta.

Tłumacze: radzca Jerzewski i sekretarz Konkiel.

Obrońców wybraliśmy nie tych, których nam sąd proponował, ale następujących:

1. Prof. dr Gneist z Berlina
2. Adwokat Deyks z Berlina
3. Adwokat Brachvogel z Berlina
4. Adwokat Holthoff z Berlina
5. Adwokat Janecki z Poznania
6. Adwokat Lent z Wrocławia
7. Adwokat Lewald z Berlina
8. Adwokat Elven z Kolonii
9. Adwokat Lisiecki ze Śremu.

Profesor Gneist, słynny jako prawnik i mówca liberalny w sejmie był ważnym nabytkiem na obrońcę, a Napoleono-

wi Mańkowskiemu należy się zasługa, że usilnymi prośbami mu się udało nakłonić go do przyjęcia obrony.

Ja wybrałem sobie Elvena z Kolonii.

Siódmego więc lipca 1864 o godzinie dziewiątej rozpoczynają się rozprawy. Fizjognomie naszych sędziów nie wróżyły nam dobrego wypadku, czuli się jednak bezpiecznymi pod opieką straży ogniowej, która pod pozorem strzeżenia sali sądowej z drzewa wystawionej nie tylko na zewnątrz, ale i wewnątrz, wśród obrad, uzbrojona w ogromne, błyszczące topory czuwała nad ich bezpieczeństwem.

Trzech stenografów, przez nas płatnych, zajęło krzesła obok trybuny nadprokuratorii, która nam wytoczyła:

*„Proces o zdradę stanu
za usiłowania dążące do przywrócenia Polski w granicach,
jakie miała przed rokiem 1772, a zatem do oderwania części
przez podział do Prus przypadłej, wytoczony przeciw
hrabiemu Jan Kanty Kościelec Działyński i towarzyszom”⁸.*

Po obszernym wstępie, w którym prokuratoria usiłowała uzasadnić oskarżenie przez różne dokumenta, a mianowicie przez notatki hrabiego Działyńskiego zabrane przy rewizji w pałacu jego w Poznaniu⁹, znajdujące się w pugilarzesie, przystąpiła do szczegółowych oskarżeń, począwszy od hrabiego Działyńskiego.

Ja, mając sto dwudziesty piąty numer, długo czekać musiałem, aż kolej na mnie przyszła. Słyszac u kolegów moich przede mną niezbite dowody czynnego udziału w pomocy danej powstańcom, ciekawy byłem, na jakich dowodach będzie opierać prokuratoria swoje oskarżenie o zbrodnię stanu, sądziłem zatem, że krótko mnie zbędzie. Ale niemało mnie zadziwiło, kiedy się przekonałem, że moje oskarżenie do najobszerniejszych należało. Bo po Działyńskiego, dziewiętnaście stronice zajmującym, moje wraz z Wolniewiczem i Kosińskim do najobszerniejszych — bo dziewięć stronice — należało, kiedy wszyscy inni tylko po kilka mieli.

Znakomita ta praca¹⁰ nadprokuratorii co do mojej osoby jest następująca:

„Natalis Sulerzyski liczy lat sześćdziesiąt dwa, katolik, odebrał nauki w Gimnazjum Toruńskim, słuchał na uniwersytetach w Lipsku i Heidelbergu wykładów prawa i kame-ralin¹¹, następnie objął, już do przodków należącą, majątność Piątkowo, w powiecie brodnickim. Jest dotąd dziedzicem tej majątności, był radcą Towarzystwa Kredytowego i ojcem dwojga dzieci.

Sulerzyski już należał do powstania w roku 1830 i w pierwszej instancji skazany na rok więzienia, ale przez amnestię uwolniony. W roku 1846 także został aresztowany za udział w ówczesnym sprzysiężeniu Polaków, po dwóch miesiącach jednak uwolniony. W roku 1848 wystąpił jako organizator uzbrojenia powszechnego w Prusach Zachodnich i jako taki został aresztowany, lecz i teraz, po ośmiu miesiącach siedzenia w Grudziądzu, przez ogólną amnestią uwolniony.

Sulerzyski od dawna okazywał się jako przywódzca Polaków w Prusach Zachodnich. Daje sobie w swoim *curriculum vitae*, który jako kandydat na landrata, w roku 1861, rejencji królewskiej podał, imię prawdziwego Polaka i chwali się, że pierwszy urządził polskie bale, w których najprzód opozycja polska przeciw germanizacji podniosła, i że pomimo prześladowań wszystkich urzędów pruskich, dążących do zniszczenia go majątkowo, nie opuści dziedzictwa przodków swoich i zbiegiem nie będzie z posterunku przez Boga mu wskazanego.

Polacy w Prusach Zachodnich uznali także przywództwo Sulerzyskiego.

Julian Sjerp Polaczek nazywa go w liście, datowanym z Torunia 19 listopada 1862, przesyłając mu pakiet pism, a pomiędzy nimi i kalendarz z pieśniami narodowymi¹² »naczelnikiem obywateli w okolicy«, z prośbą o rozpoznanie tych pism. Prócz tego, zabrano przy rewizji Sulerzyskiemu jeszcze jeden list podobnej treści, spolszczonego młynarza, Weinerta z młyna. Weinert narzeka w tym liście, że go na zgromadzeniu polskim w Piątkowie posądzono o zło dla Polaków usposobienie, zapewnia, że jest dobrym katolikiem i patriotą i prosi Sulerzyskiego, jako pierwszą osobę w powiecie o protekcję.

Emigracja także uznawała odznaczające się stanowisko Sulerzyskiego w Prusach Zachodnich. Ludwik Mierosławski przesłał mu przez emigranta Siemieńskiego¹³, którego Sulerzyski, sam przyznaje, że go wspierał, odezwę do zbierania pieniędzy na legię polską, mającą się tworzyć pod protekcją Garibaldię we Włoszech¹⁴. Do tej odezwę dołączona także była umowa pomiędzy Garibaldim a Mierosławskim, tycząca się połączenia dla wspólnych zamiarów rewolucyjnych i wypływających stąd następstw z 30 grudnia 1860, *respectively* z 26 stycznia 1861. Powyższe pisma wraz z pismem Siemieńskiego z Paryża, z 16 marca 1861 i z dwoma kartkami z adresami dla przesyłek pieniężnych do Włoch,

zostały Sulerszyskiemu jeszcze 17 grudnia 1862, podczas rewizji zabrane.

Pomiędzy adresami znajduje się i adres barona Dulfus. Był on adiutantem króla Karola Alberta, a za panowania Wiktora Emanuela urzędowym pośrednikiem pomiędzy Polakami a rządem, mianowicie z Ratazzim, równocześnie i kasjerem wszystkich pieniędzy dla szkół wojskowych w Genui i Cuneo. Dolfusowi w istocie przesłał Sulerszyski 16 grudnia 1861 1050 talarów, które — jak się sam przyznaje — dla powyższych szkół wojskowych, z których oficerowie dla powstania wyjść mieli i też w istocie, zbierał.

Dalsze związki Sulerszyskiego z emigracją i w ogóle z żywiołami rewolucyjnymi wykazują się z pocztowych kwitów znalezionych w jego papierach:

- a) z 9 września 1861. Chargé do Pułkownika Czarnowskiego w Konstantynopolu;
- b) z 16 grudnia 1861. Chargé do Stanisława Kuskowskiego w Genui (instruktora szkoły tamtejszej);
- c) z 17 grudnia 1861. Do Aleksandra Chodeckiego w Paryżu.

Dalej z kopii listu księżny Janiny Czetwertyńskiej, dan w Paryżu 13 lipca 1861, mianowicie zaś z rękopismu zawierającego:

- a) konstytucją narodowego związku rewolucyjnego,
- b) statut komitetu narodowego rewolucyjnego i
- c) instrukcje tego komitetu dla komitetów powiatowych.

Księżna Czetwertyńska opisuje w swoim, niemałe znaczenie mającym, liście rozmowę, którą miała z cesarzem Napoleonem i z ministrem Persigny, tyczącą się wypadków warszawskich z roku 1861, sprawy polskiej i nadziei, które Polacy za pomocą Francji, dla wskrzeszenia państwa polskiego mieć mogą.

Księżna zaczyna w ten sposób swój opis:

»Słuchajcie kochani bracia, a wiecie, że co ja piszę, świętą jest prawdą, na którą przysięgam jako Polka na Ewangelii św.«

A kończy w ten sposób:

»Wkrótce Europa z letargu rozruszana będzie, obudzimy się do wielkiego szczęścia. Z huraganu powstałego uderzy piorun, a tym piorunem jest wolność słowiańska od Bałkanu do Morza Bałtyckiego.«¹⁵

Przerywając mozolną pracę prokuratorii wypada mi nad-

mienić, że ostatnie słowa prorocze zacnej księżny do dzisiejszego czasu zastosować należy.

W kopiach organizacji, statutu i instrukcji związku rewolucyjnego postawione jest jako cel przywrócenie Polski w dawnych granicach, na demokratycznych podstawach, przez zbrojne powstanie, który cel także już w wzmiankowanym zbrataniu Garibaldiego z Mierosławskim wytkniętym został.

Ponieważ zresztą kopie wspomnianej organizacji, statutu i instrukcji także w Warszawie znaleziono, wnioskować stąd można, że takowe, przez Komitet Rewolucyjny z Paryża, agentom w dawnych częściach Polski przesłane zostały, a ponieważ te pisma znaleziono w domu Sulerzyskiego, przypuszczać należy, że Sulerzyski był agentem tego związku dla Prus Zachodnich. Potwierdza to zbieranie składek dla szkół wojskowych polskich, jako też, że u Sulerzyskiego zabrane zostały oprócz powyższych pism, jeszcze następujące:

- a) litografowany foliał, zawierający między innymi i adres Polaków do cesarza rosyjskiego¹⁶ po wypadkach lutowych w r. 1861 w Warszawie, treść przemowy delegacji obywateli warszawskich do Gorczakowa, odezwa Żydów warszawskich do Żydów innych miast, w której wypowiedziana jest nadzieja, że nareszcie wybija godzina wyzwolenia spod ciężkiego jarzma, i w której wzywani zostają Żydzi przyjąć z ufnością podaną im przez Polaków rękę, list włościanina Długosza do włościan w Królestwie, aby wyczekiwali poprawy bytu od szlachty, a nie od rządu itd. itd.;
- b) szkic narysowanej chorągwi, wystawiającej herb połączony Polski i Litwy, na odwrotnej zaś stronie koncept cyrkularza Agronomicznego Towarzystwa Prus Wschodnich¹⁷ do patriotycznych obywateli, w którym wzywa się ich do składek dla szkoły wojskowej w Genui, przeznaczonej na wykształcenie zdolnych oficerów dla sprawy narodowej;
- c) pismo ulotne „Ruch”¹⁸, Warszawa 5 lipca 1862, wyszłe spod tajnej prasy w Warszawie jako nr 1, którego zadaniem jest propaganda usiłowań rewolucyjnych;
- d) siedm egzemplarzy organu Centralizacji demokratycznej polskiej¹⁹ w Londynie;
- e) dziesięć egzemplarzy regulaminu ćwiczeń wojskowych dla kosynierów, dwa egzemplarze takiego samego regulaminu dla konnicy, jeden dla piechoty, konnicy i arty-

lerii²⁰, które to książki przez Mierosławskiego albo z jego polecenia napisane, w szkołach wojskowych polskich użyte i do praktyki na placu ćwiczeń i w polu służyły.

Skoro później — krótko przed wybuchem powstania — emisariusze w Prusach Zachodnich się pokazali, utrzymywali związek w Sulerzyskim i zostali przez niego przyjęci.

Władysław Raczyński, który z towarzyszem Martwella, Wachowskim, z emigracji już w końcu roku 1862 do Wrocławia przybył, udał się stamtąd prosto do Piątkowa i dłuższy czas tam zabawiał. Zdaje się, że Wachowski, który razem z Raczyńskim był w szkołach wojskowych w Genui i Cuneo, bawił w Piątkowie. Raczyński pisze do kupca Ostrzyckiego w Wrocławiu, który zdaje się partii rewolucyjnej jako pośrednik z agentami służył, w liście zabranym Ostrzyckiemu, między innymi co następuje:

»Adres mój jest Raczyński z Piątkowa przez Toruń, Kowalewo. Jeżeli Pan ciekawym jesteś wiedzieć, co słysząc, to mogę Panu powiedzieć, że nam tu dobrze, i że wkrótce spodziewamy się służyć ojczyźnie. Wachowskiego Rząd Narodowy do szczególnych poruczeń używa, a obecnie bawi w Toruniu«.

Leon Martwell także w związku stał z Sulerzyskim. On także był w Piątkowie. List u Sulerzyskiego znaleziony, a oczywiście i potwierdzeniem znawców ręką Leona Martwella pisany, nie pozwala wątpić o związku Martwella i towarzyszy z Sulerzyskim. List ten tak brzmi:

»Chełmno 7 lutego 1863.

Oddawca jest profesorem przy szkole w Batignolles i nam z dobrej strony znany. Proszę go uprzejmie przyjąć, bo na to zasługuje jako człowiek godnego nazwiska, które sam wyjawi.

Adres: Do Sulerzyskiego w Piątkowie, podpis: Leon Martwell«.

Paweł Suzin i Aleksander Ślaski także bawili u Sulerzyskiego.

Ślaski, który kilkakrotnie ludzi zbierał do ekspedycji Demontowicza, już był, jeszcze przed aresztowaniem w Czekanowie, widywanym w Piątkowie. Tak samo Suzin, aresztowany w Brodnicy 11 lutego. Obaj wypuszczeni 6 kwietnia z więzienia brodnickiego, udali się znowu do Piątkowa i tam dłuższy czas zostali.

8 lutego 1863 aresztowano w Piątkowie dwóch młodych Polaków, aptekarza Józefa Dzikowskiego z Torunia i stu-

denta medycyny, Voigta z Warszawy; 10 zaś lutego aresztowano w Gajewie u pani Kossowskiej, w jej sklepach, Antoniego Starorypińskiego z Polski, Antoniego Gyzińskiego, Michała Przechadzkiego i studenta Kazimierza Sikorskiego z Warszawy. Ostatni przed aresztowaniem bawił także u Sulerzyskiego.

Wszyscy sześciu, którzy, już akta wykazują contra Martwell, chcieli wziąć udział w ekspedycji Demontowicza, zostawali w więzieniu grudziądzkim aż do początku kwietnia. Niektórzy z nich po uwolnieniu udali się do Piątkowa i tam porówno z Suzinem i Śląskim znaleźli schronienie (*wurden beherbergt*).

Zdaje się, że u Sulerzyskiego, który podług tego wyводу ekspedycje Demontowicza popierał, miało miejsce zgromadzenie mężów zaufania 1 kwietnia 1863 i podług zeznania, zaprzysiężonego przez Zwolińskiego, Piątkowo było miejscem zbornym dla ekspedycji Demontowicza, przeznaczonej na 10 kwietnia.²¹

Suzin, Śląski i *consortes* zostali w Piątkowie aż do drugiej ekspedycji Prus Zachodnich, która wyruszyła w nocy z 21 na 22 kwietnia z borów przy Jozefacie, o której wzmianka w aktach contra Howiecki.

Ksawery Melin, biorący udział w tej ekspedycji, oświadcza, że 21 kwietnia przybył do Piątkowa i tam spotkawszy się z kilkoma Polakami, którzy jak mu się zdaje w Grudziądzu i w Brodnicy byli uwięzieni, przez nich do udziału w ekspedycji zmuszony został.

Ekspedycja ta w ogóle z Piątkowa została zorganizowana. Po Wielkanocy bowiem (5 kwietnia), podług twierdzenia tam stacjonowanego żandarma Holzbrecher, miało miejsce wielkie, podejrzone zgromadzenie Polaków, a w nocy z 21 na 22 kwietnia trzy powózki z Piątkowa przejeżdżały rogatki szosowe w Pluskowęsach w kierunku do Jozefatu, na pierwszej siedział jeden, na drugiej pięciu do sześciu. Za pierwszym wozem był koń osiodłany przywiązany, a z drugiego wyglądały pięć do sześciu czarno umalowanych drążków (od lanc albo kos). Na tym wozie był także syn Sulerzyskiego. Na trzecim nareszcie wozie siedział sam Sulerzyski i jeszcze jeden pan. Z tych powózek tylko druga, około trzeciej, z rana wróciła i siedzieli teraz na niej tylko woźnica i syn Sulerzyskiego. Na pierwszym i trzecim wozie zapewne znajdowała się broń w Piątkowie naładowana. Na miejscu zbornym w istocie z dwóch wozów broń oddziałowi rozdana została.

Oddział ten zgromadzony składał się z siedemdziesięciu pięciu pieszych i piętnastu na koniach.

Pod Nietrzebią oddział ten został 22 kwietnia przez czterystu Moskali napadnięty i rozbity. Część dostała się do niewoli. Wykazują to akta przeciw studentowi Zygmuntowi Działowskiemu, mianowicie zeznania:

1. Antoniego Czapskiego,
2. Teofila Modzielewskiego,
3. gimnazjalisty, Ksawera Melin,
4. rządu dóbr, Klemensa Fugińskiego.

Ze wtenczas z Piątkowa dla powstańców broń przesyłano, za tem mówią następujące fakta:

19 kwietnia zatrzymał się przed ogrodem Sulerzyskiego w Piątkowie około dziesiątej godziny parokonny wóz. Wkrótce potem pięć lub sześć osób w polskich ubiorach z czterorogatymi czapkami wyszło z ogrodu i każdy z nich kilka wziął sztuk krótkiej broni, szabli i pistoletów z wozu i zaniósł do ogrodu. W tym samym czasie widział także, wyżej wspomniany, żandarm Holzbrecher sztuciec, nowy karabinek, nowy sześciolufowy rewolwer i dwa dwururkowe pistolety, w zamku piątkowskim i strzelali wówczas emigranci z nich na próbę do celu. Przy rewizji jednak, odbytej 26 kwietnia, tylko jedna strzelba na ptaki się znalazła, inna broń zginęła, jako też tam internowani emigranci.

Żandarm Holzbrecher deponuje:

Sulerzyski, jeszcze przed rewizją, mu się przyznał, że się stara powstańców wspierać bronią, odzieżą i pieniędzmi, i że w tym celu u niego zgromadzenia się odbywają. Podczas rewizji zaś odezwał się do niego szyderczo: »Za późno panowie przychodzicie szukać broni, teraz już wszystko precz!«

Chociaż ekspedycja jozefacka nieszczęśliwie wypadła, bo należące do niej oddziały natchmiast po przejściu granicy przez Moskali rozbici zostali, Sulerzyski nie dał się jednak wstrzymać od dalszych agitacji. Już na początku maja Sulerzyski, którego adres także między papierami Komitetu Poznańskiego u hrabiego Działyńskiego, 28 kwietnia, na kartce znaleziono, znowu ludzi do powstania werbował. 4 czerwca nareszcie został aresztowany.

Sulerzyski odezwał się do landrata Younga, który osobiście odbył rewizję między innymi w te słowa:

»Pan i twoi podwładni urzędnicy najdłuższy już czas byliście w Brodnicy, bo granice Polski wkrótce się zmieniają,

a Prusy przez Polskę przepadną. Prędzej Polacy broni nie złożą».

10 sierpnia Sulerzyski dla słabości zdrowia za kaucją wypuszczony został do kąpieli morskiej w Ostendzie, a dopiero 13 listopada został na nowo aresztowany.

Sulerzyski nadużywał wolność swoją do nowych konspiracji. Na początku października, chociaż niebezpiecznie chory, pojechał z Ostendy do Brukseli i tam, między innymi, z Erazmem Zabłockim (ilustratorem Komitetu Działyńskiego dla powiatów Szubin i Wągrowiec) i Ćwierciakiewiczem, członkiem Komitetu Rewolucyjnego Warszawskiego, miewał narady.

Do Ostendy kazał dzieciom swoim donosić o powstaniu. Syn jego pisze, między innymi, 6 października:

»Piątego października przybyło ośmiu powstańców do Piątkowa, dwóch parobków z Piątkowa przyłączyło się do nich i razem szczęśliwie przebyli granicę. Wkrótce nowy oddział z dwustu pięćdziesięciu jeźdźców wyruszy, a sześciu z naszych wybierają się także do Polski».

W tym samym czasie przybył Marcin Beseler, który z Rogoźna²², wraz z innymi, do powstania był namówiony, w drodze do Polski, także do Piątkowa. Tam został przyjęty, w suterenach dostał jeść i pić i następnie otrzymawszy kartkę, na której stały litery: „K. W.” („Komisarz Wojenny”), wysłany dalej do granicy.

W końcu dodać wypada, że 25 kwietnia 1863 hrabia Bronisław Kossakowski z Polski został aresztowany w zamku Sulerzyskiego. Pomędzy jego papierami znajdował się między innymi własnoręczny list Ludwika Mierosławskiego z Krakowa 1 kwietnia 1863, w którym uprasza się wujaszka (pewnie Sulerzyskiego) o parę tysięcy talarków.

Jak list ten dostał się do Kossakowskiego, nie zostało wykrytem, ale nadmienić wypada, że hrabia Kossakowski już na początku 1863 r. współoskarżonemu Winklerowi-Kętrzyńskiemu w Królewcu dał dwa rewolwery, które Kętrzyński później na rozkaz Demontowicza dalej wydał, następnie zaś — ponieważ to wydanie nienależycie nastąpiło — zapłaty za te rewolwery z kasy Prus Zachodnich żądał.

W końcu przytacza się jeszcze, że adres Sulerzyskiego, także między papierami, w styczniu 1864 w Wrocławiu, aresztowanego Jaworskiego, towarzysza Królikowskiego, znaleziony został.

Pomimo tych, na Sulerzyskim ciężących, dowodów, twier-

dzi, że: »Zasadniczo był przeciw powstaniu i z tej przyczyny udziału w nim nie brał. Polakiem jest z całej duszy, a jako taki pragnie wskrzeszenia ojczyzny, ale na drodze pokoju i przez postępowanie cywilizacji. Dla tych zasad nazywają go rodacy Apostołem pokoju«.

Na świadków mają być powołani:

1. Ksawery Melin z Chełmna,
2. Żandarm Holzbrecher z Kwidzyna,
3. Karol Dietrich, poborca szosowy z Pluskowęs,
4. Owdowiała wyrobnica, Ludwika Tworowska, urodzona Jawunowska, z Kowalewa,
5. Żandarm Adam Toczek z Brodnicy,
6. Parobek Marcin Beseler z Białki w powiecie grudziądzkim,
7. Parobek Zaplewski z Działowa,
8. Teofil Modzielewski z Działowa,
9. Klemens Fugiński z Wałcza."

Nie trzeba zdaje mi się być prawnikiem, by osądzić, że wszystkie te wywody prokuratora nie uzasadniają w niczem zbrodni stanu, nawet nie wykazują udziału mego w walce przeciw Moskwie. Obrona moja nastąpiła 22 października 1864. Wezwany do niej, siadam z moim obrońcą Elvenem przy stoliku oskarżonych, naprzeciw sędziom. Wezwany powiedzieć imię i nazwisko i osobiste stosunki odzywam się:

„To mogę powtórzyć z oskarżenia, bo tam dobrze jest powiedziane, nazywam się Natalis Sulerzyski, mam sześćdziesiąt dwa lata, katolik, nauki odbierałem w Gimnazjum Toruńskim, słuchałem na uniwersytetach w Lipsku i Heidelbergu wykładów prawa i administracji, następnie objąłem, już ojcu mojemu należąca się, majątność Piątkowo w powiecie brodnickim. Dziś jeszcze jestem dziedzicem tego majątku, także byłym radcą Towarzystwa Kredytowego, ojcem dwojga dzieci. Wszystko inne na tych dziewięciu wielkich stronach jest fałszem.

Jedną część, tyczącą się mojej przeszłości, jest parodią mojego *curriculum vitae*, które jako kandydat na landrata musiałem podać i które dałem wydrukować, aby wszystkim członkom wysokiego sądu podać dla łaskawego przekonania się i porównania z oskarżeniem. Wszystko inne jest fałsz pomieszany z cieniem prawdy.

Z początku, czytając to osobliwe oskarżenie na jawnych fałszach oparte, zdawało mi się, że nic łatwiejszego jak to wszystko pozbijać i tym sposobem siebie uwolnić, ale zwa-

żywszy, że moje oskarżenie, chociaż na fałszach oparte, do najdłuższych należy, zacząłem się obawiać i w bezsennych nocach moich przemyślać, jak się mam bronić. I tak przyszedłem do przekonania, że to jest historia wilka z jagnięciem nad strumieniem, gdzie wilk zamiast po prostu korzystać ze swojej siły i pożreć jagnię, ucieka się do prawnego wybiegu i robi mu zarzut, że mu wodę zmaciło. Biedne jagnię mówi: »Przecie to niepodobne boć niżej stoję od ciebie«. — »Tak, odpowie wilk, ale przed tygodniem maciłoś mi wodę.« Oskarżenie bowiem mówi, opierając się na moim *curriculum vitae*, że już w roku 1830 brałem udział w powstaniu i w pierwszej instancji na rok więzienia skazany zostałem, a Wysoki Sąd może się przekonać, że wyraźnie tam piszę: »W Prusach Zachodnich nie było popędu najmniejszego, żeby iść w ślady Księstwa Poznańskiego, gdzie wszystko poszło w pomoc braciom walczącym i zostaliśmy w domu, a chociaż słabego byłem zdrowia przyznaję się że wstydem, że powinienem był, dla samego przykładu innym, iść do powstania, pamiętając słowa Horacego, że »słodko i zaszczytnie jest umrzeć za Ojczyznę«. Tak samo wilk mówi: »Przed tygodniem maciłoś mi wodę«.

To jest więc pierwszy fałsz. Zaraz potem mówi oskarżenie: »... i w r. 1846 został aresztowany za udział w sprzysiężeniu polskim, ale uwolniono go po dwumiesięcznym uwięzieniu«.

Prokuratoria więc mówi prosto o udziale, który brałem, kiedy, podług akt sądowych, tylko byłem w podejrzeniu o udział, a przyznać muszę, że za złe mieć nie mogę, że mnie, jako patriotę, chociaż obywatela potulnych Prus Zachodnich, podejrzano, że mogłem brać udział w sprzysiężeniu. Nie mając więc żadnego dowodu na to wypuszczono mnie po dwóch miesiącach na wolność.

Kiedy więc prokuratoria rozpoczyna oskarżenie z dwoma fałszywymi zarzutami, to mi się zdaje, że ten *dolus*²⁸, o którym prokuratoria ciągle powtarza, że on — jako myśl ukryta u oskarżonych, żeby zwalczwszy Moskwę, walczyć dalej z Prusami — w ciągu do końca prowadzonego procesu się znajdzie, że ten *dolus*, którego dotąd ciągle szukamy po wszystkich kątach Księstwa Poznańskiego, po drogach i ścieżkach, po polach i lasach, po stajniach dla bydła i koni, znalazł się nareszcie w Prusach Zachodnich, ale nie ten *dolus*, który nam pan nadprokurator stara się zarzucić, ale ten, którego wilk w mętnej wodzie szuka.

Nadprokurator: Panie prezydencie, nie mogę pozwolić na

takie porównanie i proszę oskarżonego ograniczyć w swojej wolności obrony.

Prezydent (do oskarżonego): Proszę pana zachować formę, bo nie mogę przypuścić, abyś chciał obrazić pana nadprokuratora.

Oskarżony: Nie możesz żądać, panie prezydencie, ode mnie, abym stojąc tu na miejscu przeznaczonym dla zbrodniarzy, z miną przekonanego zbrodniarza stał (*dass ich, obgleich auf die ser Armen Sünder-Stelle, mit einem Armen-Sünder-Gesicht da stehe*), bo stoję tu z całkowitem przekonaniem niesprawiedliwości, której doznaję. Przecież ja tu pierwszy raz po 16 miesiącach, niczem nieuzasadnionego, więzienia występuję, a trzy miesiące w tej sali siedząc zachowałem się cierpliwie i panu prezydentowi nie dałem powodu do nagany.

Prezydent: Przecież z pana strony da się obrona prowadzić bez zarzutu panu nadprokuratorowi tendencyjnych zamiarów.

Oskarżony: Panie prezydencie, ciężkie przechodziłem koleje w życiu moim; z woli Opatrzności i ze złości ludzkiej pochodzące. Tamte, które mi zabrały pięcioro dzieci i dwie młode żony, znosiłem z bojaźnią Boską, ale złości ludzkiej zwalczałem bez bojaźni ludzkiej i dlatego i tu występuję bez bojaźni ludzkiej.

Prezydent: Proszę dalej mówić.

Oskarżony: Muszę więc, ponieważ oskarżenie swój materiał przeważnie z mego *curriculum vitae* i z papierów inkwizycyjnych czerpie i wszystko ze sobą mięsza, pewny porządek chronologiczny zachować, przez co, podług mego zdania, będę mógł Wysokiemu Sądowi wystawić stan rzeczy w mojej prowincji i moje w niej dążności.

Zaczynam więc od czasu powrotu mego z uniwersytetu. Słuchałem wykłady praw i administracji, ponieważ życzeniem ojca było, abym został urzędnikiem. Ale wróciwszy do domu zastałem wielką zmianę. Szlachetni mężowie, stojący na czele rządu i sądownictwa, prezydenci Hippel i Oelrichs zastąpieni zostali przez innych, o których mówiono, że są nieprzyjaciołmi Polaków. Naczelny prezes obu prowincyj pruskich, zachodniej i wschodniej, Schön starał się wytepić obywateli polskich, korzystając, że przez czas istnienia Księstwa Warszawskiego byli tak nierozważni, nie płacąc procentów Towarzystwa Kredytowego. Mój ojciec był prawie jednym, który płacił. Tamci zaś, ponieważ nie dozwolono im zaległości ratami odpłacać, zostali wyrugowani

z majątków przez niemieckich przybyszów, którzy na subhastacjach, pod korzystnymi warunkami, je nabywali.

Taki stan rzeczy zastawszy, wolałem zostać gospodarzem, a z podziału majątkowego dostała mi się mała wioska Karczewo.

Oddałem się więc, za pomocą książek gospodarczych, które dopiero od kilku lat zaczęły się pojawiać, gorliwie i skutecznie zawodowi gospodarczemu, tak że wkrótce stałem się wzorem dla innych młodszych gospodarzy, a stąd pan nadprokurator zapewne nazywa mnie przywódcą Polaków w Prusach Zachodnich.

Oskarżenie niepojęty popełnia błąd zmieniając udział mój w sprawie emisariuszów w roku 1863 z powstaniem w roku 1830. Co do pierwszego, nadmienić muszę, jak do niego przyszedłem. Dwaj znani mi emigranci przybyli do mnie do Karczewa, Artur Zawisza Czarny i Kalkist Borzewski, a dlatego do mnie, że z ostatnim znałem się jeszcze z Gimnazjum Toruńskiego, gdzie na jednej byliśmy pensji, żądając ode mnie, abym im dopomógł do przejścia granicy polskiej przez Drwęcę, gdzie ogólne nastąpi powstanie. Daremne były wszelkie moje przedstawienia, że takie szalone przedsięwzięcie nie tylko dla nich samych, ale i dla kraju najniebezpieczniejsze skończyć się musi, kiedy trzy lata przedtem blisko stotysięczna armia, dla braku zdolnego dowódcy i przez dyplomatyczne krętaniny, broń złożyła. Musiałem zamilknąć, skoro mi powiedzieli, że przysięgą do tego są związani i postarałem się o przewodnika, który ich przez Drwęcę przeprowadził.

Na tem ograniczał się udział mój w sprawie emisariuszów, za który wytoczono mi proces kryminalny i w pierwszej instancji na rok więzienia mnie skazano. Nie przyszło do dalszego postępowania w apelacji, bo w roku 1840 przez ogólną amnestią się zakończyło.

Oskarżenie, czerpiąc dalej dowody swoje przeciw mnie z mojego *curriculum vitae*, twierdzi, że jestem przywódcą w Prusach Zachodnich, bo sam się z tym chwale, że urządziłem bale polskie. Muszę więc nadmienić co spowodowało owe bale polskie.

Naczelnym Prezesem Wielkopolski, Flotwell ze szkoły Schöna wyszły, był nam w Zachodnich Prusach znany jako nieprzyjaciół Polaków, będąc przez kilka lat prezydentem w Kwidzynie. Zaraz po przybyciu do Poznania ogłosił, że w pięciu do sześciu latach Poznańskie musi się zgermanizować. Dowiedziawszy się o tem i pewnie, że to samo jest zamierzone

względem Prus Zachodnich byliśmy zakłopotani i zastanawialiśmy się nad tym, jakim sposobem operacja ta — przeobrażenia nas na Niemców — ma się uskuteczyć. Żyliśmy dotąd skromnie, li pracując nad utrzymaniem majątków, przez co lepszemu bytu doszliśmy; zapytaliśmy się zatem naszych polskich pań, czy nie dobrze będzie na dowód, że jeszcze żyjemy, bal urządzić, a samo się rozumie, że nie były przeciwne. Tym sposobem przyszedł do skutku pierwszy bal w Grudziądzu, który bardzo świetnie wypadł, bo i z dalekich stron zjechali się uczestnicy. Niemcy nazwali go polskim bale, lubośmy zaprosili dwóch Niemców, radcę ziemskiego (landrata) i jednego ze znaczniejszych obywateli. Mnie jako prawie jednemu obywatelowi, który był na uniwersytecie poruczono urządzenie tego balu.

Już kilka lat przedtem objąłem po śmierci brata mego dobra Piątkowo, które udało mi się przez usilną pracę do kultury doprowadzić, przez co sobie zasłużyłem na imię wzorowego gospodarza. Oskarżenie stąd wnosi, że byłem przywódcą Polaków, mówi nawet, że przywłaszczałem sobie nazwisko przywódcy. Być przywódcą swoich współobywateli jest zaiste zaszczyt wielki, ale w myśli oskarżenia jest niebezpiecznym zaszczytem. Kiedy zaś oskarżenie mówi, że sobie przywłaszczyłem nazwę przywódcy, to muszę protestować przeciw temu, bo by to było zarozumiałością bezwstydną, do której zdolny nie jestem.

Wspomniałem już, że oskarżenie mówi na samym wstępie, że brałem udział w konspiracji Mierosławskiego w Poznańskim w roku 1846; muszę zatem nadmienić, jakim sposobem dostałem się do więzienia i jak zostałem uwolnionym. Po stracie najstraszego syna zapadłem w ciężką chorobę. Jedno i drugie jednak nie było przeszkodą, że mnie prosto z łóżka w pościeli, przez żandarmów, zawieziono na fortecę grudziądzką, gdzie mnie w wilgotnej kazamacie, której ściany saletrą były przykryte, umieszczono.

Landrat Grewenitz przysłany z Poznańskiego na inkwizenta, mówi mi na zapytanie, za co aresztowany zostałem, że: »Ponieważ pan znany jesteś z uczuć patriotycznych, więc prawdopodobieństwo zachodzi, że udział brałeś w tem sprzyśnięciu«. Pytam go więc, czy uczucia są karygodne w państwie pruskiem? »Bynajmniej« — odpowiada. I ponieważ się nic na mnie nie okazało, wypuszczono mnie na wolność. Dziś zaś, zdaje się rzeczy się zmieniły, bo chociaż oskarżenie obraca się ciągle w zaczarowanym kółku co do patriotycznych uczuć moich, a żadnych czynów moich wspiera-

jących powstanie, dowieść nie zdoła, szesnaście miesięcy tu już siedzę dla zniszczenia mnie majątkowo.

Ale i usposobienie obywateli niemieckich dzisiejszych, zmieniło się w nieprzyjaźń dla nas, kiedy dawniejsi pragnęli żyć w zgodzie z nami. Na dowód tego przytoczę, że jeden ze znaczniejszych obywateli niemieckich w roku 1846, podczas wspólnego obiadu, z mową wystąpił, w której potępiał prześladowanie Polaków ze strony rządu, przez co dawniejsza błoga zgoda zaczyna znikać.

„Wszak my — mówił — jesteśmy przybyszami i pragniemy w takiej zgodzie żyć z Polakami, jak ojcowie nasi.” Dziś się zaś Niemcy, a mianowicie moi sąsiedzi, usiłują wspierać nieszczęsne rządu zachcianki germanizacyjne i dlatego głównie się przyczyniali do aresztowania mego. A nazywam te zachcianki germanizacyjne nieszczęsnymi, nie tyle dla nas, jak dla tamtych — przyszłość to może niedaleka okaże!

Jak niesłuszna jest złość dzisiejszych Niemców do mnie, dowieść najlepiej mogę tem, że ja właśnie, jako gorliwy gospodarz, z przybywającymi w nasze strony Niemcami najwięcej starałem się stykać, żeby z ich wiedzy gospodarczej korzystać, a nawzajem ich z stosunkami tutejszemi, mianowicie, jak mają się obchodzić z pocziwym ludem naszym, obznajmiałem i dlatego byłem od nich poważany, co najlepiej tem dowiedli, że mnie jednomyślnie głosy swe na radcę Towarzystwa Kredytowego dali. Moją zaś dla Niemców przychylność tem okazałem, że dwóm niektórym z dóbr moich zadzierżawiłem i to pod takimi warunkami, że się na nich z bogacili, za co mi się tem wywdzięczyli, że do najgorliwszych moich prześladowców policzyć ich muszę.

Oskarżenie, czerpiąc dalej swoje dowody z mego *curriculum vitae* i znowu je fałszując, mówi: »W roku 1848 Sulezyski wystąpił jako organizator uzbrojenia powszechnego w Prusach Zachodnich i jako taki został aresztowany«. Czemuż nie mówi tak, jak było w istocie, że zostałem mianowany organizatorem przez Komitet Poznański, a że wyrażnie było nakazane, aby organizacja wspólnie z Niemcami się odbywała, nie wahałem się przyjąć tak zaszczytnego, a w obecnych okolicznościach dla utrzymania porządku, koniecznego urzędu.

Pomimo tego, że czynności moje podczas tego kilkodniowego urzędowania na tym się głównie ograniczały, że wszędzie proklamowałem zbratanie się obu, dotąd zwaśnionych, narodowości, zostałem aresztowany i na fortecę grudziądzką

zawieziony. Tam zacny radzca sądu kryminalnego, nasz inkwizent, zapytał mnie z zadziwieniem: »Czemuż panowie w proklamacji waszej, kiedyście zamierzali przywrócić Polskę, nazywacie tę część pod zaborem pruskim: Prusy polskie, a nie Pruska Polska?« Odpowiedziałem: »Ponieważ inicjatywa oswobodzenia naszego wychodziła z Prus, chcieliśmy temu państwu zostawić dowolny wyrok naszego istnienia i dlatego nazwaliśmy: Prusy Polskie«.

Ośm całkowitych miesięcy trwało moje uwięzienie, a indagacja miała wielkie podobieństwo z tą, którą tu z nami wprowadzono. Amnestia królewska wyprowadziła mnie z więzienia.

Oddałem się znowu, całą duszą, pracom gospodarczym i nie tylko mój odziedziczony majątek doprowadziłem do wysokiej kultury, ale i powiększyłem przez przykupna innych majątków, których nabycie ułatwionemi było znacznym kredytem, który posiadałem, tak że zaczawszy moją gospodarkę na dziewięciuset morgach, po rodzicach odziedziczonych, doprowadziłem do tego, że miałem dwadzieścia tysięcy morgów w posiadaniu z małemi długami.

Nie wspominam tu o tem dla czczej przechwałki, ale żeby Wysoki Sąd przyszedł do przekonania, że kto w tę stronę całą pracę życia swego obraca, należy do produktywnej klasy ludzkości, a nie do rewolucyjnej, jak mnie pan nadprokurator stara się wystawić, która obala to, co tamta stwarza. Niesłusznie więc mnie oskarżenie robi rewolucjonistą, kiedy więcej zasługuję na imię apostoła pokoju i niesłusznie siedzę tu szesnaście miesięcy, przez co wielkie straty majątkowe poniosłem.

Po roku 1848 zgoda pomiędzy Polakami a Niemcami, dotąd istniejąca, naraz zerwaną została przy wyborach na sejm berliński. Przedtem wybieraliśmy jednego Polaka, drugiego Niemca, teraz się rozpoczęły agitacje, żeby tylko Niemcy byli wybrani. Tak wyzwani do walki stanęliśmy do niej w ściśniętych kolumnach. Pozwalam sobie więc porównanie, że to samo co Baunscheidt z instrumentem swoim, bodźcem życia zwanym, dla cierpiącej ludzkości działał, to samo sprawiły u nas Polaków prześladowania niemieckie ze świetnym skutkiem. Wiadomym jest, że instrument ten trzy razy musi być użytym, jeżeli ma pożądaný skutek wywołać. Otóż najprzód użył go naczelny prezydent Flotwell, ogłaszając, że w pięciu latach prowincje polskie muszą być zgermanizowane. To wywołało bale polskie. Drugie użycie instrumentu tego, pod hasłem: »Nie wybierać Polaka na sejm«, pobudzi-

ło wszystkie warstwy ludności polskiej, której niższe dotąd były obojętne dla sprawy narodowej, do wspólnej, a energicznej walki. Trzecie ze swemi głęboko w ciało wciśniętymi igłami było okrutne hasło: »Precz z Polakami z urzędów«.

W ten sposób zostaliśmy pobudzeni do wspólnej pracy i wzajemnej pomocy dla utrzymania bytu naszego. A że i ja z innymi połączyłem się do tej wzajemnej pomocy, samo się przez się rozumie, bo na naszej ziemi kochanej dosyć jest miejsca dla wszystkich.

Prześladowania temczasem mianowicie przeciw mnie coraz większe przybierały rozmiary. Nastąpiły palenia świeżo postawionych, kosztownych budynków, porywania moich urzędników, procesa bez końca.

Zapytany przez jednego Niemca, jakim sposobem się to dzieje, że ja takie kłęski ponosząc, ciągle się trzymam, chociaż pieniądze tysiącami wyrzucam, a nawet dobrego humoru nie tracę — odpowiedziałem: »Ja to uważam jako wyścigi, gdzie każdy zdąża do mety, tylko ta różnica, że ja z przeszkodami, a wy po równej drodze, ile możliwości na świeżych koniach od połowy mety (*mit relais*)«.

Może panów sędziów nudzi to moje opowiadanie, ale się muszę trzymać historycznego porządku, żeby Wysoki Sąd się przekonał, czy sprawiedliwie ze mną postępowano.

Prezydent: Proszę dalej mówić, ale przy obojętnych rzeczach mniej obszernie, przy ważniejszych, jak się podoba.

Oskarżony: Co do postanowienia Niemców, żeby Polaków nie dopuszczać do urzędów przytoczę ważny wypadek, który miał miejsce przy wyborach dyrektora Towarzystwa Kredytowego. Przed sześcioma latami był obrany Polak, pan Donimirski. Głosy niemieckie do naszych dołączone zwyciężyły kandydata przeciwnego, niemieckiego. Teraz taka nastąpiła zmiana, że się utworzył komitet niemiecki agitujący przeciw potwierdzeniu w urzędzie pana Donimirskiego i rozsyłano wszystkim wyborcom niemieckim cyrkularz, w którym wyraźnie stało: »Nie można wprawdzie nic powiedzieć przeciw urzędowaniu pana Donimirskiego, ale czemuż nie mamy wybrać Niemca«.

Gorzej jeszcze postąpiono z nami przy wyborze w naszym powiecie landrata. Postawiliśmy na pierwszego kandydata młodego Polaka na uniwersytetach wykształconego, który dotąd do żadnych agitacji Niemcom przeciwnych nie należał i mieliśmy większość głosów, ale nie został potwierdzony i wbrew prawu przysłano nam Niemca na ten urząd.

Jeden ze znakomitszych mówców parlamentarnych powiedział do nas na sejmie: »Bądźcie dobrymi Prusakami, a będzie wam dobrze«. Pytam się, czy rząd, za pomocą współobywateli niemieckich, właściwych środków się chwycił, żeby z nas dobrych zrobić Prusaków? Nie w ten sposób mieszkańcy Alzacji i Lotaryngii zostali Francuzami!

Wśród takiego usposobienia i rozdrażnienia pomiędzy Polakami i Niemcami w naszej prowincji zaszły wypadki warszawskie, do których umysły już dawno były przygotowane, bo w dziewiętnastym wieku budzą się narody. Ponieważ nieprzyjaciele nasi od dawna głoszą, że Polska jest trupem, że już nie ma narodu polskiego, Polacy przez poświęcenie i dziwną pogardę śmierci chcieli dowieść, że wolą zginąć, jak żyć dłużej w niewoli. A przecie Polacy znani są jako naród dobroduszny, wesołe życie lubiący, którym łatwo rządzić, kiedy się z nim sprawiedliwie i łagodnie obchodzi.

Z wypadkami warszawskimi obznajomiony zostałem przez emigracją, kóra w domu moim od dawna znajdowała gościnne przyjęcie. A ponieważ oskarżenie głównie swoje zarzuty opiera na przebywaniu emigrantów w moim domu, muszę coś więcej o tem powiedzieć.

Gościnność polska od dawna jest znaną, jest ona cnotą narodową, na miłości bliźniego opartą. Mówimy: »gość w domu, Bóg w domu«. Już od dzieciennych lat byłem świadkiem gościnności w domu moich rodziców, gdzie zawsze na stole kilka talerzy nad potrzebę stać musiało, dla przypadkowych gości. Takie przypomnienia z młodości nie giną w późniejszym życiu, zachowywałem je jako święty obowiązek. Oskarżenie zaś wynajduje w tym zbrodnicze zamiary, robiąc mnie odpowiedzialnym za wszystkie myśli i czyny przebywających u mnie emigrantów. Na szczęście pan nadprokurator tylko o kilkunastu dowiedział się emigrantach, których wymienia, inaczej samo wyliczenie wszystkich u mnie przebywających znacznie by obszerność oskarżenia powiększyło. Muszę zatem sam się denuncjować, że już od trzydziestu przeszło lat dom mój był herbergą²⁴ dla emigracji, jak się oskarżenie wyraża, a że wtenczas, kiedy bezbronnych mordowano w Warszawie, dom mój bardziej się zapełnił jak dawniej, to nie dziwić się, bo młodzież uchodziła ze stolicy zagrożona kulami wrogów i cytadela.

Widząc usposobienie tej młodzieży gotowe do rozpaczliwej walki, czułem obowiązek wystawiać jej niedorzeczność walczenia bez nadziei zwycięstwa, zwłaszcza że to po większej części była młodzież wysoko wykształcona na uniwersyte-

tach w Kijowie, Petersburgu i Moskwie, a zatem szkoda jej na kanonenfuter²⁵ i starałem się ich przekonać, że Polska, przez potęgę przyszłych europejskich wypadków, musi być wskrzeszona, ponieważ rozbiór Polski jest uznany jako błąd polityczny, a odbudowanie jej historyczną koniecznością.

Mogę przystawić świadków na to, że wpływu, który miałem u tej młodzieży, używałem nie, jak twierdzi oskarżenie, nie mając żadnych na to dowodów, żeby z nimi razem konspirować, ale przeciwnie, odwozić od bezskutecznego poświęcenia.

Większa część tej młodzieży udała się do szkoły wojskowej w Cuneo, ale wkrótce odebrałem stamtąd wezwanie od znajomych moich, żeby im przysłać pieniędzy na utrzymanie swoje. Zająłem się więc zbieraniem składek i stąd pochodzi przy rewizji u mnie znaleziony kwit na tysiąc pięćdziesiąt talarów, o czym wspomina oskarżenie. Takie składki nie tylko przeze mnie, ale i przez innych były zbierane dla szkół polskich w Batignolles i Montparnass²⁶, a równym prawem można by mi z tego zarzut robić czynów przygotowawczych do zbrodni stanu, ponieważ wielu z tych szkół brało później udział w walce przeciw Moskwie.

Prezydent: Czy szkoła w Cuneo tylko dla Polaków była naznaczoną.

Oskarżony: O ile mi wiadomo tylko dla Polaków, których się tyłu do niej zgłaszało, że dla innych nie starczyłoby funduszów.

Znane są późniejsze wypadki warszawskie, które tu przez jednego z naszych obrońców, pana Janeckiego, tak wymownie były skreślone, z dowodami, że późniejsza walka wywołana została przez samą Moskwę, która zamierzała wyłowić całą młodzież i wysłać ją w odległe swoje prowincje, wcieliwszy ją do wojska swojego. Cóż dziwnego więc, że kiedy rozpoczęto brankę, młodzież uciekała do lasów z postanowieniem ginąć raczej w walce jak dać się porwać przez zbiorów moskiewskich.

Stąd nastąpiło to, co oskarżenie tu ciągle nazywa powstaniem, przeciw czemu najuroczyściej protestuję, bo powtarzam, że zaczęło się od rozpaczliwej walki, by się uchronić od branki. Niedługo doszła nas wiadomość o pierwszym zwycięstwie naszych braci. Dwie mile od Płocka spotkał się oddział ze stu dwudziestu młodzieży warszawskiej, bardzo lichy uzbrojonej, bo w tem mieście dopiero broń mieli dostać, z trzema kompaniami Moskali i trzydziestu kozaków²⁷. Dzielny ich dowódzca, znany nam z dawniejszego w naszych

stronach pobytu, rzucił się z swoją garstką na dobrze uzbrojonego nieprzyjaciela i w mgnieniu oka wyrwawszy im broń, dużo Moskali trupem położył, reszta uciekła. Taki czyn bohaterowski, jakich mało w dziejach spotykamy, musiał rozpłomić ducha w spokojnym dotąd zakątku naszym i pobudzić do pomagania tak walecznym braciom, tem bardziej że dzienniki niemieckie zaczęły szydzić z Polaków, że porwać się zawsze są gotowi, ale wytrwać nie umieją.

Rozpoczęły się zatem usiłowania, pomiędzy naszą młodzieżą, przyjść w pomoc walczącym, ale czujny landrat Young, dowiedziawszy się o nich, rozpoczął aresztowania. Zadowolniło to moich sąsiadów niemieckich, tylko za złe mieli landratowi, że innych, a nie mnie każe aresztować, który przecież jestem dowódcą.

Aby zapobiec tym ciągłym przeciw mnie denuncjacjom, jadę do landrata i przedstawiam mu, że dwa razy niewinnie już mnie trzymano w więzieniu, co mnie w opinii rodaków moich niemało podniosło, ale więcej chwały nie pragnę, niechże i młodzi zasłużą sobie na nią, ja już za stary do awanturnicznych czynów. Landrat na to: »Prawda, że pan jesteś stary, ale masz młode serce, które ciebie do nierozważnych kroków może podnieść. Strzeż się, bo mam pana na oku«. — »Wiem o tem, ale mogę pana zapewnić, że zawsze byłem przeciwnym tej rozpaczliwej walce i starałem się młodzież u mnie przebywającą od niej odwodzić.«

Wśród tej rozmowy zjawia się obywatel Czapski, a więc go wzywam, aby poświadczył, będąc często w domu moim; że zawsze starałem się przekonać młodzież, aby cierpliwie czekała na okoliczności sprzyjające przywróceniu naszej ojczyzny. Żądam zatem, aby nie tylko pan Józef Czapski, ale i Bolesław Kossowski, jako obwodowi świadkowie z mojej strony, byli powołani.

Co do landrata Younga muszę oświadczyć, że kiedy on, który z pewnością najczujniejszym był urzędnikiem w powiatach pogranicznych, aby nie dopuścić żadnej pomocy z naszej strony braciom walczącym i w tym celu trzydziestu huzarów z oficerem i dwóch żandarmów u mnie wkwatrował, nic mnie nie miał do zarzucenia, jak to w piśmie do Wysokiego Sądu wyraził i nawet wstawiał się o uwolnienie moje, za co mu tu chętnie dzięki składam — to dziwię się, że inne duchy mogły więcej mieć wpływu, aby mnie tu sześćnaście miesięcy trzymać w więzieniu dla zniszczenia na zdrowiu i majątku.

Kiedy oskarżenie głównie opiera swoje dowody na prze-

bywaniu emigrantów w moim domu, to mogę zapewnić, że prawie wszystkie domy polskie stały otworem dla nich. Jeżeli u mnie więcej bywało, jak gdzie indziej, to się to dzieje, jak z właścicielami domów zajezdnych, nie każdy równe ma szczęście. Jeżeli zaś mnie się nie udało młodzież powstrzymać w szlachetnym, ale nierozważnym zapale, to przyczyna jest ta, że u nas Polaków starzec jest wprawdzie szanowanym, ale kiedy idzie o rzucenie świata w nowe koleje, wtenczas młodzież jest górą.

Oskarżenie nazywa mnie przywódcą Polaków w Prusach Zachodnich i popiera ten niebezpieczny dla mnie tytuł w myśl prokuratorii, dwoma pismami. W jednym nazywa mnie Sjerp Polaczek »naczelnikiem obywateli w naszej okolicy«. Okolica jeszcze nie jest prowincją. W drugim piśmie nazywa mnie niejaki Winert »pierwszą osobą w powiecie«. A przecież powiat także nie jest prowincją. Skąd prokuratoria przychodzi do prawa, rozciągać nazwy: okolica i powiat na całą prowincję?

Obrońca Elven: Pozwalam sobie tylko zapytanie, czy wyraz: »polskich obywateli«, który ma się znajdować w liście Polaczka, istotnie jest w oryginale. W oskarżeniu stoi w parantezie²⁸.

Asesor Mittelstaedt: Przyznaję, że jest dodany, ponieważ jest w parantezie. W oryginale stoi: »naczelnik obywateli w okolicy«.

Oskarżony: Jakie intrygi sąsiedzi moi Niemcy przeciw mnie knuli, żeby mnie w podejrzenie wprawić, dowodzą dwa następujące wypadki. Najprzód padły w nocy dwa strzały na pocztę blisko Piątkowa przejeżdżającą. Pytam się żandarma, który mnie miał pilnować i u mnie był stacjonowany, czy wie o tym wypadku. Okazał mi swoją książeczkę służbową, w której wyczytałem raport jego, że dwaj moi sąsiedzi byli sprawcami, bo ich konduktor znalazł ukrytych w rowie szosowym i świeżo wystrzelone pistolety.

Ponieważ to się nie udało, trzeba było pomyśleć o innym manewrze, namówiono więc wyrobnika Niemca, aby rozgadawał, że ja go namawiam iść do powstańców. Powołany przed sąd, potwierdził to przysięgą i to było dostatecznym, aby mnie aresztować. Jadąc z Torunia do domu, widzę w ostatniej wsi landrata zsiadającego z bryczki, na której siedział także ów główny denuncjant. Słyszając od landrata, że jestem aresztowany, muszę wyznać, że nie mogłem powstrzymać oburzenia mego przeciw sprawcy tego, a wtenczas nie powiedziałem tego, co żandarm przytomny zeznaje: »Naj-

dłuższy czas panie landracie, i twoi urzędnicy tu się znajdowali, bo Prusy przez Polskę upadną«, ale powiedziałem spojrzawszy na sąsiada, że: »Tylko podła nikczemność (*eine infame Niederträchtigkeit*) mnie do więzienia wtrąca«. Wszak sam landrat zeznaje, że nie słyszał, abym to powiedział, a on powinien na większą wiarę zasługiwać jak żandarm.

Prezydent: Przerywamy teraz dalsze wywody oskarżonego i zrobimy pauzę».

Posiliwszy się zwykłym śniadaniem i pokrzepiwszy zmęczone płuca trzema butelkami ekstraktu słodowego Hoffa, po trzechgodzinnem mówieniu, tak dalej rzecz prowadziłem.

„Oskarżony: Przede wszystkim czuję się w obowiązku podziękować panu prezydentowi za cierpliwość i względność, z jaką słuchał mowę moją, do której się i nieco goryczy za postępowanie ze mną wmięszalo. Prosić będę o dalszą cierpliwość, abym mógł opowiedzieć historię postępowania ze mną, z której się najlepiej okaże, czy moje uwięzienie jakąkolwiek prawną miało podstawę.

Prezydent: Nie mam nic przeciw temu.

Oskarżony: Odstawiony przez dwóch żandarmów do Poznania, pocieszałem się w drodze przypomnieniem słów jednego z moich przyjaciół, obywatela poznańskiego, z którym się w Berlinie spotkałem. Było to podczas krymskiej wojny, ten mój przyjaciel odzywa się do mnie: »Przygotuj się na to, że będziesz aresztowany, bo mówił do mnie radca policyjny, Niederstetter, że jeżeli z tej wojny wynikną nadzieje dla sprawy polskiej, wszyscy przywódcy Polaków będą aresztowani, ale już jest postanowione, łagodnie się obchodzić z uwięzionymi, ponieważ to jest *eine Präventivmasregel* — postępowanie czynnemu udziałowi zapobiegające. Ponieważ ciebie uważają jako przywódcę, więc będziesz siedział w kozie«.

Wkrótce się wszelako przekonałem, że chociaż terazniejsze moje aresztowanie tylko jako *Präventivmasregel* mogłem uważać, nie bardzo łagodnie ze mną się obchodzono, bo na samym wstępie porucznik Rentefink brutalnie ze mną się obszedł i chciał mnie na noc w podziemnym, zadusznym sklepie umieścić, i dopiero po stanowczym moim oporze znalazło się pomieszczenie, pomiędzy innymi więźniami, jako tako znośne.

Prezydent: Zdaje mi się, panie Sulerzyski, że takie rozwodzenie się możesz opuścić, inaczej nie dojdziemy do specjalnych punktów oskarżenia.

Oskarżony: Prosiłem o cierpliwość w wysłuchaniu mnie, jak sobie ułożyłem obronę moją. Dziś jest mój dzień, a ja szesnaście miesięcy na ten dzień czekałem!

Prezydent: Nie mam nic przeciw temu, ale to niedobrze, że pan tu robisz zarzuty ludziom, którzy się bronić nie mogą, muszę zatem prosić, abyś odpowiadał na zarzuty oskarżenia.

Oskarżony: Ponieważ oskarżenie nic nie zawiera, co by zasługiwało na zbijanie, zmuszony jestem opowiadać po prostu postępowanie ze mną w więzieniu, z którego się wykaże, czy były powody do uwięzienia. Nie będąc przyjacielem wojskowych manewrów, niemiłe dla mnie były egzercycja²⁸, które pan Rentefink z nami wyprawiał. Musiałem w szeregach stawać do apelu, czy wszyscy jesteśmy, po czym komenda: »Na prawo zwrot! Marsz!« itd. Dwa razy poprzednie, w których byłem na fortecy grudziądzkiej, obchodzono się ze mną, jak z obywatelem godnym poważania, teraz zaś, jak z kajdaniarzem. Ale więcej o tym mówić nie będę, bo przystępuję do sądowej ze mną rozprawy. Tu się z zadziwieniem dowiaduję, że aresztowany jestem za to, żem owego Niemca, na drodze spotkawszy, namawiał do powstańców. Dowodząc sędziemu, że jeszcze w domu będąc, dowiedziałem się, że był namówiony do tego kłamstwa, żądam zatem, ponieważ takowe sądownie poprzysiął, aby był o krzywo-przysięstwo pociągnięty. Długo opierał się sędzia, mojemu żądaniu, wystawiając mi niebezpieczeństwo, które mnie grozi, jeżeli nie potrafię udowodnić, ale ponieważ nie ustępowałem od żądania mego, musiał nareszcie zarzut krzywo-przysięstwa w protokóle umieścić.

Nie mnie samego to w naszym procesie spotkało, z toku rozpraw dowiedzieliśmy się, że wielu z moich towarzyszy cierpi tu za to, że świadkowie to i owo przysięgą stwierdzili, którą potem cofnęli twierdząc, że do niej groźbami byli zmuszeni.

Prezydent: Do pana nie należy interesować się sprawami innych, proszę zatem trzymać się tylko własnej obrony.

Oskarżony: To już taka moja natura, że i los innych mnie obchodzi. Nie dla siebie samego żyję, ale i dla mojego narodu, a chociaż tu wielkie straty majątkowe ponoszę, to przynajmniej imię moje nieskażone jako cenne dziedzictwo dzieciom moim zostawić pragnę.

Prezydent: Proszę dalej mówić.

Oskarżony: Zdawałoby się zatem, że powinienem być uwolnionym, ale nasz sędzia Krüger wybrał się w podróż w

moją okolicę, żeby coś nowego na mnie wyszperać i w istocie, wróciwszy do Poznania, przy pierwszej wizycie mówił do mnie, że coś nowego przeciw mnie się znalazło. Odpowiedziałem: »Czy tylko znowu na krzywoprzysięstwie nie jest oparte?«

Dopiero z akt moich dowiedziałem się, że ta nowa zbrodnia stanu pochodziła z rozmowy mojej z księdzem, którego nam znad Renu przysłano. Szanowany ten kapłan, lichwą się trudniący, chciał i mnie niemiłosiernie zedrzyć, więc mu mówiłem, że źle na tem wyjdzie, skoro nadejdzie czas porachunku z temi, co nas krzywdzą. Kilka razy musiał stawać do sądu, ale ponieważ przysięgi złożyć nie chciał, bo mówił, że to miało miejsce w winiarni, sprawa ta nie figuruje w oskarżeniu moim i jako nurek nie wyszła na wierzch.

Zapewne, żebym się nie nudził w więzieniu, zostałem powołany przed sąd jako świadek. Wyjawiam więc zadziwienie moje, jakim sposobem będąc więźniem mogę być wiarygodnym świadkiem, który zeznania swoje musi przysięgać stwierdzać. Sędzia mi odpowiada, że mogę świadczyć i przysięgać, ponieważ wcale nawet nie jestem oskarżonym. »Pan — mówił — tylko jesteś podejrzanym o czynności przygotowawcze do zbrodni.« Stanowczo jednak oświadczyłem, że póki nie będę uwolnionym, świadczyć i przysięgać nie mogę.

Nowe kłopoty stąd, co ze mną począć, ale ponieważ głównie szło o to, żeby mnie, przez oddalenie z domu, majątkowo zniszczyć przy zawikłanych moich interesach, wysłano mnie pod pozorem, że zdrowie moje tego wymaga, a lekarz potwierdził, do Kissingen. Ponieważ wolność zawsze lepsza jak więzienie, udałem się z Kissingen do Ostendy, stamtąd do Dürkheim na winogrona. Tak przez trzy miesiące na gwałt się kurując, odbieram z domu telegram, że mnie wybrano na posła. Ten wybór nie podobał się moim sędziom, a więc troskliwość o zdrowie moje od razu znikła i dostałem ostry rozkaz wracać natychmiast do Hausvogtei.

Oskarżenie mówi, że lubo niebezpiecznie chory korzystałem z pozwolenia leczenia się do nowych konspiracji. Jakież — pytam się — były dawne moje konspiracje? Wróciwszy do więzienia, powiedziano mi, że teraz dopiero na paragraf sześćdziesiąty pierwszy kodeksu karnego, to jest na popełnienie zbrodni stanu zaawansowałem, bo z Ostendy jadąc do Dürkheim, bawiłem dwa dni w Brukseli, gdzie z Erazmem Zabłockim i Ćwierciakiewiczem przestawiałem, o czem się z listu, w moim kufierku znalezionym, dowiedzia-

no. Znałem obydwóch od dawna, ostatni długi czas bawił w moim domu. Pierwszy raz w życiu będąc w Brukseli korzystałem z ich grzeczności, żeby poznać piękną stolicę Belgii. To oskarżenie nazywano nową konspiracją!

Prócz tego dowiaduję się od sędziego śledczego, że jeszcze inna rzecz moją zbrodnią dowodzi. Parobek bowiem, Marcin Beseler, zeznał, że był u mnie w Piątkowie i dostał tam kartkę z literami »K.W.«. »Co znaczą te litery?« — »Komisarz wojenny« — odpowiada sędzia. — »Kiedyż to było?« — pytam. — »Podczas żniw.« — Wszak ja tu wtenczas byłem, w więzieniu, jakże mogłem kartki rozdawać w Piątkowie? Więc panowie dwójką mnie robicie, który równocześnie w dwóch miejscach, sześćdziesiąt mil od siebie odległych, się znajdują. Zdaje się, że za wielkie sobie żarty pozwalacie ze mną.

Nie przeszkadza to jednak panu nadprokuratorowi i bytność moją w Brukseli i tę kartkę z literami K.W. w oskarżeniu swoim umieścić. Dalej mówi, że żandarm u mnie się znajdujący zeznaje, jakobyem jemu się miał przyznać, że powstańców w broń opatruję. Chociaż lubię być otwartym, nie mogłem jednak z tym się odzywać do żandarma, wiedząc, że za to kilku obywateli aresztowano. W rozmowie z żandarmem mówiłem tylko w obronie owych obywateli, że to jeszcze nie jest zbrodnią pomagać braciom walczącym przeciw Moskwie.

Oskarżenie dalej opiera swoje zarzuty na świadectwie żebraczki Tworowskiej z Kowalewa, które miasteczko niedawno temu na Schönsee przechrzczone. Zeznaje ona, że widziała w moim ogrodzie młodych ludzi w czerwonych czapkach, którzy z pistoletów strzelali. Żandarm w swoim raporcie mówi o niej, że wspólnie z Niemcem chodzi po żebraczce i że oboje żyją ze sobą jak mąż z żoną i są pijanice i wagaundy. To jednak nie przeszkadza, że owa Tworowska tu ma być wezwaną na świadectwo, zasługując sobie zapewne względy pana nadprokuratora z powodu, że nie podzieli nienawiści narodowej i, chociaż Polka, żyje z Niemcem w miłosnych stosunkach.

Jeszcze w grudniu 1862 przyjechał prezes policji, Bärensprung do Torunia i przysłał prokuratora z żandarmami do mnie na rewizję. Zabrano mi dużo papierów, a niedługo potem wezwany zostałem sądownie do oświadczenia, skąd te papiery pochodzą, przy czym sędzia oświadczył, że w nich nic mnie kompromitującego nie ma.

Prezydent: Znałeś pan młodego Siemieńskiego, którego

list tu się znajduje i który pisze o wspólnym działaniu Mierosławskiego z Garibaldim.

Oskarżony: Młody Siemieński przybył do mnie z Krakowa, poznałem jego ojca⁵⁰ przypadkiem w Ryńsku, wiele lat temu, a że pomimo młodości swojej, bo dopiero miał lat siedemnaście, wielkie okazywał zdolności, ale przy tym, na wiek swój, zbyt polityką się zajmował i zapalonym był demokratą, chociaż matka jego z arystokratycznej rodziny pochodziła, starałem go się, ponieważ dłuższy czas bawił u mnie, przekonać, że mu jeszcze potrzebniejsze dalsze wykształcenie naukowe, jak się wdawać w jakieś konspiracje. Ode mnie pojechał do Paryża i stamtąd kilka razy listy przysyłał.

Prezydent: Z listu tego pokazuje się, że już w roku 1861 rewolucja się przygotowywała.

Oskarżony: Z treści tego listu, tak się zdaje, wiadomo bowiem, że Mierosławski znanym jest rewolucjonistą.

Prezydent: W roku 1863 Mierosławski był mianowanym dyktatorem. Zdaje się, że przejeżdżał przez Prusy Zachodnie i stamtąd przeszedł granicę.

Oskarżony: Gdzie przeszedł, nie wiem.

Prezydent: Idziemy teraz do dalszych punktów oskarżenia, które mówi, żeś pan w stosunkach stał z rewolucjonistami, jak to dowodzą kwity pocztowe. Jest także list księżny Czetwertyńskiej. Co pan na to?

Oskarżony: List ten nie był do mnie pisany, ale kopie jego w wielu domach polskich się znajdowały, bo nas pocieszały nadziejami, które wyrażał.

Prezydent: W tym liście jest mowa o nadziei przywrócenia Polski od Bałkanu do Morza Bałtyckiego.

Oskarżony: Tak jest.

Prezydent: Dalej znaleziono u pana ustawę narodowego związku rewolucyjnego, statut rewolucyjnego komitetu narodowego i instrukcje tego komitetu do komitetów powiatowych, które już zostały przeczytane. Jak się to do pana dostało?

Oskarżony: Bardzo naturalnie. Każdy przybywający coś ze sobą przywiózł i to się pomiędzy papierami moimi potłukiwało. Jako gorliwy gospodarz, interesami majątkowymi zakłopotany, nie miałem ani czasu, ani ciekawości czytać to wszystko. Gdybym uważał coś w nich niebezpiecznego, to bym był schował.

Prezydent: W tych papierach wyraźnie stoi, że celem

związku rewolucyjnego jest odbudowanie Polski dawnej na zasadach demokratycznych.

Oskarżony: Może być, papier jest cierpliwy.

Prezydent: Zachodzi tylko pytanie, jak pan w posiadanie tych papierów przyszedłeś, i czy pewny zamiar miałeś, przyszedłszy w ich posiadanie.

Obrońca Elven: Ja tak pojmuję oskarżonego, że w gościny dom jego dużo emigrantów przybywało i każdy z nich jakieś pisma ulotne przywiózł, które nie były czytane, ale w ten sposób uzbierała się mała biblioteka pism rewolucyjnych.

Oskarżony: Wybacz mi szanowny obrońca, ale przeciw tej małej bibliotece rewolucyjnych pism muszę protestować. Najlepiej to może poświadczyć prokurator, który na rewizję był przysłany, że niemałą miał mękę posortować te rewolucyjne pisma, które, jak groch z kapustą, pomieszane były z innymi. Gdyby one małą bibliotekę tworzyły, to by to mogło świadczyć o jakimś zamięłowaniu do pism takowych.

Prezydent: Oskarżenie tak to wystawia, że pan sam starałeś się o to, żeby posiadać te pisma, dla wykonania myśli w nich zawartych.

Obrońca Elven: Ogólnie wzięwszy, przypuszczać by można, że ponieważ większa część papierów tu przeczytanych, u oskarżonego się znalazła, że sympatyzował albo przynajmniej obeznany był z treścią w nich zawartą. Ale zważywszy, że dom jego stał otworem dla wszystkich gości, a mianowicie dla emigracji, a sam przyznaje, że każdy z nich jakieś pismo zostawił, zważywszy dalej jego osobiste skłonności, które nam tu, z taką otwartością i dokładnością, opowiedział, to ja przynajmniej najgłębsze mam przekonanie, że oskarżonego wcale nie obchodziła treść tych pism i dlatego nie wiedział, co w nich stoi.

Prezydent: Oskarżenie jeszcze wspomina o niektórych pismach, które w litograficznym foliancie się znajdowały, jak adres Polaków do cesarza rosyjskiego po wypadkach lutowych w roku 1861 w Warszawie itd. Czy i te tu przeczytać należy?

Oskarżony: Mnie się zdaje to zbyt czynnym, bo gdzie dowody, że to także się między zabranymi mnie papierami znajdowało. Mogłbym wprost wszystko zaprzeczyć, bom tylko musiał poświadczyć, że u mnie zabrano znaczną liczbę papierów, ale wyszczególnione nie były.

Prezydent: Dalej znaleziono u pana szkic rysunku chorągwi. Proszę obejrzeć.

Oskarżony obejrzawszy: Nie mogę powiedzieć, kto z moich gości taką fantazją się zabawiał. Jako gospodarz nie miałem powodu sprzeciwić się temu, zwłaszcza, że to drogocenna narodowa jest pamiątka.

Prezydent: Znaleziono dalej jeden egzemplarz polskiego pisma ulotnego „Ruch”.

Oskarżony: Kiedy, jak widzę, tak wiele u mnie znaleziono, to muszę prosić, aby to wszystko mi zwrócone zostało, bo mam zamiar wydać *Pamiętniki* dla przyjaciół i dzieci moich, a te pisma będą mi potrzebne jako historyczne dokumenta.

Prezydent: Dobrze będzie, że przeczytamy, o czym pisze.
(Po przeczytaniu)

Prezydent: W tym artykule wyraźnie pisze o przywróceniu Polski w granicach z 1772 r.

Oskarżony: Słyszę, że to tam tak stoi i może bym to był przeczytał, gdyby nie było tak długie, ale zanadto gospodarstwem i interesami byłem zatrudniony.

Prezydent: Dalej, zabrane zostały siedem egzemplarzy „Demokraty Polskiego” z 20 stycznia 1863.

Oskarżony: To mi przysłano pocztą pod przepaską, a zdaje mi się, że co się w ten sposób odbiera, nie jest zakazane.

Prezydent: Potem dziesięć egzemplarzy polskiego regulaminu do ćwiczeń dla kosynierów, dwa egzemplarze dla konnicy, jeden egzemplarz dla piechoty, konnicy i artylerii, których autorem prawdopodobnie jest Mierosławski.

Oskarżony: Książki te znajdowały się w zamkniętej skrzynce, do której służący mój miał klucz. Kazałem mu otworzyć, a skoro się te pisma znalazły, zapytałem służącego, skąd się tu wzięły, bo ja sam o nich nie wiedziałem. Odpowiedział, że jeden pan oddał mu je do schowania. Zdaje mi się, że Wysoki Sąd już powinien z opowiadania mego się być przekonać, że nie jestem miłośnikiem rzeczy wojskowych.

Prezydent: Czy pan znał Władysława Raczyńskiego?

Oskarżony: Jest to ten sam młodzieniec wysoko wykształcony i utalentowany, o którym już wspomniałem, że wkrótce potem zginął w powstaniu.

Prezydent: Jest tu także wspomniony Wachowski, który się znał z oskarżonym Martwellem.

Oskarżony: Wachowski kilka razy był u mnie, ale krótko bawiąc tylko prosił o odesłanie go, czego mu nie odmówiłem.

Prezydent: Czy pan wiesz co o liście, w którym stoi: »...

mój adres jest Raczyński w Piątkowie przez Toruń, Kowalewo?»

Oskarżony: Tu pierwszy raz o nim słyszałem, a słowa, które tam stoją: Nam tu jest dobrze, mogą się tylko ściągać do mojej gościnności.

Prezydent: Czy dr Martwell był kiedy u pana?

Oskarżony: Ponieważ pan Martwell twierdzi, że nie był w moim domu, to musi być prawda, bo nie wiem, co by to mu mogło szkodzić, że był. Ja nie pamiętam.

Prezydent: Znalazł się też list pisany przez Leona Martwella z Chełmna 7 lutego 1863 r. do pana. Proszę go obejrzeć, może pan sobie przypomnisz osobę, która go przywiozła.

Oskarżony, wejrząwszy w list: Oddawca miał być profesorem szkoły w Batignolles, ale go sobie nie przypominam.

Prezydent: Panie Martwell, co pan mówisz na ten list?

Oskarżony Martwell: Ten list nie jest moją ręką pisany, chociaż nosi mój podpis.

Asesor Mittelstaedt: Pan Sulerzyski przyznaje, że ten list mógł być mu wręczonym przez osobę jemu poleconą. Skądże pan to zaprzeczasz?

Oskarżony Martwell: Co pan Sulerzyski przyznaje, dla mnie jest obojętnem. Ja twierdzę, że go nie pisałem.

Prezydent: Oskarżenie wymienia kilka osób, które bawiły u pana, a później należały do powstania. Paweł Suzin i Aleksander Ślaski. Czy pan ich znasz?

Oskarżony: Znałem bardzo dobrze. Byli to młodzi ludzie, bardzo mili, których się z przyjemnością w dom przyjmie.

Obróńca Elven: Co do tych dwóch młodych ludzi muszę przytoczyć okoliczność, która bardzo przemawia na korzyść pana Sulerzyskiego. Z raportów żandarmów wiemy, że dom jego dla licznie tam przebywających gości był w obserwacji i że dlatego żandarm tam był stacjonowany, który codziennie raporta landratowi musiał zdawać. A że po uwolnieniu ich z więzienia obydwaj do Piątkowa byli przez landrata wysłani, to świadczy tylko o jego powszechnie znanej gościnności i że tam u niego nadal najlepiej będą w obserwacji, to właśnie podług mego zdania bardzo jasno cechuje jego stosunki z emigracją.

Oskarżony: Co do Suzina muszę przytoczyć, jak się dostał do mego domu. Młoda żona jego, siedem miesięcy z nim zamężna, przybyła do mnie z Paryża z prośbą, abym się starał uwolnić jej męża, uwięzionego w Brodnicy. Dopiero po kilkotygodniowych staraniach udało mi się jego i jeszcze

kilku uwolnić z więzienia, gdzie głodem i robactwem byli trapieni, wystawiwszy władzom, że takie postępowanie z więźniami, którzy nic względem Prus nie zawinili, niegodne jest rządu cywilizacją się szczycącego. Tak obydwaj Suzin i Ślaski z woli landrata dostali się do Piątkowa.

Prezydent: Oskarżenie jeszcze wymienia Dzikowskiego, Voigta i Kazimierza Sikorskiego, że u pana przebywali.

Oskarżony: Ci młodzi ludzie, poznawszy się z synem moim, tem chętniej w moim domu bawili, bo przez niego łatwiej zyskali drobne swoje potrzeby.

Prezydent: Dalej twierdzi oskarżenie, że 1 lutego 1863 było u pana wielkie zgromadzenie mężów zaufania, dla przygotowania wyprawy Demontowicza.

Oskarżony: Było to zgromadzenie członków Towarzystwa Agronomicznego, które zgromadzenia z kolei i u innych obywateli dla krytyki gospodarczej i wzajemnego pouczenia się odbywały.

Prezydent: Oskarżenie mówi, że pana obrano prezydującym?

Oskarżony: Towarzystwo Agronomiczne obrało mnie prezydującym na cały rok, dlatego i tam prezydowałem, ale kiedy w oskarżeniu stoi, że jakie sto powozów się zjechało, to nie wiem, gdzie bym tyle koni był umieścił. Co do ekspedycji Demontowicza, to prawda, że wieczorem sześciu czy ośmiu przybyło do mnie oświadczając, że należą do wyprawy większej, która się wybiera do Polski. Zjadłszy wieczrę pojechali dalej.

Prezydent: Czy byli uzbrojeni?

Oskarżony: Broni żadnej nie widziałem, mówili, że ją mają na wozach. Poborca szosowy zeznaje, że mnie widział z niemi jadącego. Mogę świadkami dowieść, że zostałem w domu. Gdybym był czterdzieści lat młodszy, to bym może ich odprowadził. Mojemu synowi nie mogłem tego wzbronić i pozwoliłem mu, na jego prośbę, towarzyszyć im do granicy, odebrawszy od niego przyrzeczenie, że teraz powróci, a dopiero później będzie mógł wziąć udział, skoro pomyślniejsze widoki się okażą.

Prezydent: Dalej stoi w oskarżeniu, że 25 lutego 1863 w zamku piątkowskim hrabia Bronisław Kossakowski z Polski został aresztowany. W jego papierach znaleziono własnoręczny list Ludwika Mierosławskiego, datowany z Krakowa 1 kwietnia 1863, w którym prosi wujaszka (pewnie Sulerzyńskiego) o parę tysięcy talarków.

Oskarżony: Muszę tu zrobić uwagę, że tu się w oskarżenie

znowu mały dolus wkradł, bo Kossakowski został aresztowany 1 lutego 1864 a tam stoi, że 25 lutego 1863. Siedząc już więc rok w więzieniu, nie mogę być odpowiedzialnym za to, że jakiś hrabia Kossakowski, a do tego z paszportem z Petersburga, u którego list Mierosławskiego znaleziono, został aresztowany w moim domu. Nie pojmuję, jak pan nadprokurator może sobie takie fałszowanie daty aresztowania pozwolić i mnie odpowiedzialnym robić za list nie do mnie pisany i u innego znaleziony podczas mojego siedzenia w więzieniu?

Prezydent: Jeszcze tu jest wzmianka o dwóch rewolwerach, które z kasy Prus Zachodnich miały być zapłacone. Proszę to wyjaśnić.

Oskarżony: Zdaje się, że już dostatecznie dowiodłem, że nigdy pasji do broni nie miałem, tylko do narzędzi rolniczych, będąc z zamięłowaniem gospodarzem.

Asesor Mittelstaedt: Toteż tylko wzmiankowane jest względem hrabiego Kossakowskiego, a oskarżonego wcale dotycze.

Prezydent: Nie znałeś pan wcale Kossakowskiego?

Oskarżony: Nie przypominam sobie, aby kiedy był w moim domu.

Prezydent: A znałeś pan oskarżonego Królikowskiego?

Oskarżony: Tego dopiero tu, w więzieniu poznałem.

Prezydent: A więc pan w ogóle zaprzeczasz, że brałeś udział w powstaniu nie tylko przeciw Moskwie, ale i w powstaniu, które później przeciw Prusom się miało obrócić.

Oskarżony: Stanowczo zaprzeczam, ale dodaję jeszcze, że widzę w tem domniemanem powstaniu przeciw Prusom pewną niekonsekwencją, tyczącą się nas Polaków, bo dotąd słyszałem zawsze dowodzenie, że już nie ma narodu polskiego, że nigdy powstać nie może, tu znowu robią z nas największych bohaterów, jakich nie ma w dawnych dziejach, bo powstawszy z małą garstką przeciw Rosji, zamyślamy nie tylko ją, ale i Prusy, i Austrią zwalczyć. To trochę za wiele.

Prezydent: A więc na dziś możemy zamknąć posiedzenie."

Wychodząc z sali mówił do mnie Elven: „O pana nie mam kłopotu, takeś im siebie wystawił, że muszą mieć przekonanie, że czystą prawdę mówiłeś, więc też muszą pana uwolnić”.

Następnego dnia powołano świadków, którzy tak niedorzeczne i fałszywe robili zeznania, że nie warto tu o nich

wspomnieć, to tylko przytoczę, że przeze mnie żądani świadkowie, obywatele Józef Czapski i Bolesław Kossowski, przysięgą stwierdzili zeznania, że często bywając w moim domu, zawsze słyszeli, że gorącą młodzież starałem się przekonać, jak nierozważną jest walka, która tylko nieszczęśliwie dla nich i dla kraju skończyć się musi.

Najniedorzeczniejsze ze strony sądu, który, jak się wykazało, nie mógł przed aresztowaniem moim znaleźć dowodów mnie kompromitujących, podczas pobytu mojego w więzieniu spowodował kilkakrotne rewizje w Piątkowie, które miały dostarczać materiału przeciw mnie. I tak, w pierwsze święto Bożego Narodzenia, o trzeciej godzinie z rana, znaczny oddział wojska obsadził dwór i rozpoczęła się rewizja na wielką skalę. Znaczna liczba gości, najwięcej kobiet, zjechała na święta do córki mojej. Nikomu, ani gościom, ani służbie nie pozwolono ruszać się z miejsca, żołnierstwo z oficerem na czele wpadło do komnat kobiecych szukać emigrantów, bo sąsiedzi niemieccy zapewniali, że ich pełno jest we dworze. Dowiedziałem się później, że w istocie było ich ośmiu, których jednak panna służebna Franciszka tak zęcznie potrafiła ukryć, że prócz Kossakowskiego, który mając paszport petersburski nie widział potrzeby się ukrywać, nikogo nie znaleźli. Trwała rewizja do trzeciej godziny po południu, a zatem 12 godzin, przez który czas nie pozwolono ani kawę przyrządzać, ani kucharzowi obiad gotować, tem mniej do kościoła jechać. Cała zdobycz tej wielkiej ekspedycji wojskowej był hrabia Kossakowski, którego zabrano i do więzienia w Brodnicy zawieziono, skąd w kilka tygodni go wypuszczono.

Ponieważ jednak Niemcy do naczelnej komendy pruskiej z zarczeniem się udawali, że emigranci z pewnością są w dworze piątkowskim, ale że tam taki labirynt jest pokoi i aż trzy schody na górę prowadzące, więc zaraz w dzień Trzech Króli, inny jeszcze, liczniejszy oddział znowu w nocy przybył i że strategicznym systemem rozpoczął poszukiwanie. Zrewidowawszy pierwszy pokój, drzwi zostały wartą obsadzone i tak szło dalej od pokoju do pokoju. Czytałem dokładny raport oficera w aktach moich, któremu pewnie żaden strategik zarzutu by zrobić nie potrafił, ale ani tych trzech schodów nie znalazł, bo też ich nie ma, ani jednego emigranta, chociaż znowu pełno ich było, bo ich pocziwa a odważna Franciszka w kominach pochowała. Znowu dopiero kilka godzin po obiadowym czasie, ale bez obiadu, skończyła się ta rewizja. Mróz był trzaskający, żołnierze

zziębnięci i głodni, bo przyjąć posiłku nie chcieli, opuszczając Piątkowo ogrzali się przy stogu żyta na polu blisko drogi stojącym, zapaliwszy go.

O tej pannie Franciszce muszę na jej pochwałę jeszcze wspomnieć, że w owym czasie wiele odwagi i poświęcenia okazała, zwożąc z Polski ciężko rannych, których pielęgnowując do zdrowia przyprowadziła.²¹ [...]

W dalszym streszczeniu naszego procesu, pozwolę sobie jeszcze czytelnikom małe pokłosie udzielić.

W sprawie przeciw hrabiemu Władysławowi Łąckiemu, była powołana znana patriotka Emilia Sczaniecka na świadka, że 800 talarów, które odebrał od niej, przesłał Działyńskiemu. Gdy weszła do sali przechodząc do trybuny sądowej wszyscy oskarżeni, jakby na komendę, wstaliśmy z krzeseł naszych, tym sposobem oddając cześć rozgłośniej ofiarności tej zacnej Polki dla nieszczęśliwych rodaków.

Odpowiedziała na zapytania z krzeseł, na które ją przyzujący zaprosił, po polsku, a tłumacz oddawał po niemiecku. Przyznała, że dała Łąckiemu te pieniądze dla Działyńskiego, wiedząc, że ten wspomaga cierpiących braci w Królestwie, ale na zapytanie, czy dała dla wsparcia powstania, odpowiedziała: „Na to zapytanie, sędzę, nie potrzebuję odpowiadać”.

Wychodząc z sali znowuśmy wszyscy powstali, żeby Niemców przekonać, jak umiemy uczcić wysoką zasługę.

Miłe to dla nas było intermezzo wśród nudnie wlokącego się procesu!

Jakimi świadkami się posługiwano przeciw oskarżonym niechaj posłuży między innymi Francuz Fourgeret, który bez wezwania sam się, w liście z Paryża, do sędziego Kammergerichtu Krügera, na świadka ofiaruje, będąc w stanie wiele osób skompromitować, jeżeli tylko będzie za podróże i inne wydatki wynagrodzony. W tym liście pisze, że go powoduje do tych denuncjacji chęć zemsty za to, że Polacy, kiedy im się ofiarował służyć, szydzili z niego nazywając go i wszystkich Francuzów awanturnikami (*chevaliers d'industrie*). Tymczasem pisze, że nie tylko Polaków, ale i Francuzów, którzy przybędą w pomoc Polakom, będzie się starał oddać w ręce Prusaków.

Pan Krüger nie omieszkał wdać się z takim łotrem w korespondencję, a kiedy stawiał się przed sądem i rozpoczęła się z nim rozprawa, nasi obrońcy, jeden po drugim, korzystali z tego, że prokuratoria swoje oskarżenia opiera na świadkach, którzy sami się przyznają, że przez zemstę chcą denuncjować Polaków, byle tylko za to wynagrodzeni zo-

stali. obrońca Elven żądał, aby radzca Krüger jako świadek, stanął przed sądem i zeznał, jaką odpowiedź dał Fourgeretowi na jego kilkokrotne listy, które są przy aktach, a odpowiedzi pana Krügera nie ma. Profesor Gneist w sarkastycznej mowie popiera Elvena mówiąc, że taki gatunek obwiniających świadków jest przyjętym towarem w Paryżu, ale sądy niemieckie dotąd go nie znały. Na to prokurator Adlung oświadcza, że tego świadka nie zażądał, ale sam Wysoki Sąd go powołał, co widocznie prezydenta zaambarasowało. Wtenczas odzywa się obrońca Brachvogel, przytaczając podniesionym głosem szekspirowskie: „Murzyn zrobił swoją powinność, murzyn może odejść!” Tu wybuchnął prezydent gwałtownie przeciw Brachvogłowi, powołując go do porządku i kazał Fourgeretowi odejść.

Wszystkie dzienniki berlińskie nazajutrz pochwały dowcip Brachvogla.

W sprawie księcia Mikołaja Radziwiłła przytacza nadprokurator dwa listy, jeden narzeczonej, hrabianki Matyldy Czapskiej i odpowiedź jego nań. Pierwsza pisze do niego:

„Ty ciągle się włóczysz po świecie, a nie piszesz Twojej narzeczonej, co robisz, ograniczając się na frazesach, że bardzo jesteś zajęty itd. Powiedźże raz, czym jesteś zajęty? Jeżeli tem, że młodzież wstrzymujesz, aby nie poszła tam, dokąd powinno woła, to Cię zaklinam uchodź z tych stron i nie plamij Twego imienia. Nie wstępuj w ślady magnatów wielkopolskich, zbaczających z dróg, któremi szli przodkowie i zezwalają na to, że mieszczanin i lud górę bierze nad niemi. Wstąp w szeregi walczących braci i walcz za świętą ojczyznę itd.”

Na ten list, w którym, jak prokurator twierdzi, hrabianka narzeczonego swego stara się nakłonić, aby odstąpił od partii białej i przeszedł do czerwonej, tak księżę narzeczonej odpowiada:

„Nie należę do rzędu krzykaczy i podburzycieli, u których poświęcenie i gorliwość tylko na słowach się ogranicza. Nie słucham na zdania dwóch przeciwnych partyj, które zresztą od niejakiego czasu do jednego dążą celu i drogą idą, którą uważam jako sumienną i zgodną z uczuciami Polaka. Dziś przynajmniej już nikt młodzieży nie wstrzymuje od obowiązku i szlachetnej chęci ponieść śmierć męczeńską za kraj, wiarę i wolność. Moje podróże zdają Ci się niepotrzebne i radzisz mi, abym opuścił pole polityczne i udał się do obozu. Tego ja nie zrobię, bo do pracy i czynów wszędzie pole

otwarte. Dzięki Bogu zdobyłem sobie stanowisko i udało mi się stronnictwa połączyć. Dopiero w Litwie dla mnie pole do czynów się otworzy. Teraz nie jestem bezczynnym, ale tam będę działał pro bono publico”.

W rozdziale dwunastym tomu drugiego wspomniałem o liście, który pisał młody Karol Voigt, emigrant, do przyjaciela swego w Warszawie. Otóż niemało byłem zdziwiony szperając po moich grubych aktach, znalazłszy ów list, który nie wiem, jak się tam dostał, bo wiedziałem, że z Piątkowa był oddany na pocztę. List ten tak brzmiał:

„Donoszę Ci kochany Przyjacielu, że Pan Sulerzyski wkrótce ze synem przyjedzie do Warszawy. Stanie w Hotelu Europejskim, poszle zaraz po Ciebie, bom Cię polecił na mentora dla syna. Skoro więc przybędziesz do niego, z góry zaraz musisz prawić, że za czternaście dni nie będzie ani jednego Moskala, ani Niemca na polskiej ziemi, bo inaczej powie, żeś tchórz i nie masz wiary, itd.”

Takie krótkie, a węzłowate, czytając o mnie twierdzenie, zacząłem się śmiać, co widząc jeden z moich kolegów, przystępuje do mnie z zapytaniem, z czego się śmieję? — „Czytaj, mówię, co ten Voigt o mnie pisze. To mi się przysłużył!”

Długo nie trwało, wszyscy koledzy wiedzieli, co w liście stoi. Właśnie pauza nastąpiła i idziemy na śniadanie do naszych salonów. Pewny będąc, że koledzy kochani pokpiwać sobie będą ze mnie, dowodząc, że tym listem sprawa moja wiele się pogorszy, wolno idę za biegnącymi głodnemi, żeby się namyśleć, co im powiedzieć i co powiem sędziom, jak mnie o to zapytają. Opadają mnie więc, jak się z tego wytłomaczę? — „Bardzo łatwo, dowiodę bowiem, że to niewczesny koncept piszącego, bo was na świadków wezwę, że zawsze dowodziłem, że za cztery tygodnie Polska będzie, a nigdy za czternaście dni.”

Żałuję mocno, że prokuratoria o tym liście nic w oskarżeniu nie wspomniała, co by w istocie więcej mogło mieć znaczenia, jak wszystkie inne brednie, bom powyższą odpowiedź miał w pogotowiu.

Profesor Gneist, znakomity prawnik i mówca parlamentarny, jako liberał niemiecki znany, nie był wielkim przyjacielem Polaków i dlatego długo nie chciał, pomimo usilnych próśb, wystąpić w obronie pana Mańkowskiego, a kiedy nareszcie naleganiom oprzeć się nie mógł, oświadczył

otwarcie, że nie ze sympatii dla Polaków, ale w obronie honoru sądownictwa pruskiego przyjmuje. Zdaje się jednak, że przebieg tego procesu dopiero obznajmił go dokładnie i z historią polską, i z charakterem narodu, którego około stu czterdziestu reprezentantów, bo oskarżonych o przywództwo zamiarów nieprzyjaznych dla Prus, przez pięć miesięcy widział przed sobą, a nie dostrzegł w nich tych wszystkich złych przymiotów, które zwykle Niemcy przypisują Polakom. Toteż przy końcu rozpraw nad ogólną częścią oskarżenia wystąpił z mową trzygodzinną, w dwóch oddziałach, bo drugi był wywołany przez wystąpienie zastępcy prokuratora, Mittelstaedta, odpowiadającego wymownymi sofizmami, na niezbite twierdzenia Gneista, a drugi ten oddział jako improwizacja jeszcze bardziej znamionuje znakomitego mówcę. Toteż słusznie Elven w następnej mowie wyrzekł, że mowa ta w dziejach sądowego krasomówstwa pierwsze niezachwiane miejsce sobie zdobyła.

Tylko zakończenie pozwałam sobie przytoczyć:

„Rząd, zdaje się, sprzykrzył sobie ciągle zapobieganie pomocy dawanej z tej strony do powstania, choć miał i środki, i siły po temu. Zdaje się więc, że postanowiono krócej i drastyczniej sobie postąpić, aresztując masami pod zarzutem zbrodni stanu. Może być, że tę drogę uznano jako praktyczniejszą, ale trybunał pruski nie powinien do niej ręki przyłożyć. Sąd pruski, a zwłaszcza Kammergericht, nie powinien dla chwilowych interesów poświęcać swej dawnej sławy. Na to nie zasługuje ta sprawa, nawet dla tego, który ją jako dla państwa pruskiego niebezpieczną uważał.

Jeżeli błąd popełniono przez wytoczenie procesu o zbrodnię stanu, to nastroczają się ze stanowiska władz dwa możliwe zapatrywania.

Jedno: trzeba honor urzędników, powagę rządu utrzymać i proces z takim rozgłosem rozpoczęty musi być do końca doprowadzony.

Drugie: honor władz i państwa nie ocala się przez uporczywe popieranie chybionego procesu. Wszystkie uchybienia i kroki fałszywe ukrywają się i giną, jeżeli zakończeniem oddaje się cześć prawdzie i prawu. Pomiędzy tem, co słuszne a niesłuszne nie ma nic trzeciego w pośrodku.

Pomiędzy temi dwoma drogami, widzą obrońcy dziesięciu sędziów Kammergerichtu, najstarszego i najsłynniejszego trybunału monarchii pruskiej postanowionych. Podług moich doświadczeń decyduje w tak trudnych położeniach charakter, gdzie rozwaga się chwije. Tu ludzka czynność opie-

rać się musi na pamiętaniu, co się winno swojej przeszłości i swojemu imieniu, i tej przeszłości, która temu imieniu cześć daje. Dziesięciu sędziów, których widzimy przed sobą, nie zapomną, że należą do sądu, którego historyczna przeszłość nie ustępuje żadnemu w Europie. Wiek XIX zapewne nie ujrzy politycznego procesu podobnych rozmiarów przed tym samym sądem. Spodziewamy się nawet tego. Ale to właśnie decyduje o charakterze pruskiej sprawiedliwości.

Nie zaprzeczam, że w tym procesie istotna znajduje się kwestia polityczna. Narodowość polska stoi naprzeciw niemieckiej z niechęcią, często nawet z odrazą. My, Niemcy, nie jesteśmy takimi ideologami, abyśmy mieli nasz kraj rozrywać, żeby być sprawiedliwymi dla innych narodów. Ale jeżeli historyczna krzywda ma być powetowana, jeżeli Polacy mają zostać wiernymi poddanymi domu Hohenzollernów, na to jest jedna droga, którą my tu lepiej znamy jak dyplomaci: dajmy Polakom rękojmią, że żyją pod sprawiedliwym rządem, wtenczas nie przestaną być Polakami (?) w uczuciach swoich przyrodzonych, ale zostaną Prusakami (?) w uczuciu obowiązku względem króla i państwa.

Jeżeli rząd pruski cel ten chce osiągnąć, to jest do osiągnięcia, a prosta i niezawodna droga do tego celu jest sprawiedliwe osądzenie tej sprawy. Taka będzie podług mego zdania stawiając wniosek:

1. Wszystkich oskarżonych dla braku dowodów uwalnia się od oskarżenia zbrodni stanu.

2. Jeżeli przeciw niektórym znachodzą się przekroczenia przeciw paragrafom dziewięćdziesiąt siedem, dziewięćdziesiąt osiem prawa karnego, niechaj się Najwyższy Sąd uzna niekompetentnym i przekaże takowe zwyczajnym sądom³².

Ponieważ już znaczna liczba oskarżonych została uwolniona i to takich, którzy albo sami walczyli, albo czynny brali udział w przesyłaniu broni, formowaniu oddziałów przechodzących za granicę pruską itd., sądziłem, że mnie, przeciw któremu żadnych dowodów w oskarżeniu nie było i tylko wszystko na błahych przypuszczeniach było oparte, albo dowiedzionych fałszach — muszą także uwolnić.

Jakże więc zostałem zdziwiony, gdy mi jeszcze kilka tygodni przed mową Gneista, pod sekretem, powiedział jeden z obrońców i to Niemiec, że z pewnego wie źródła, że ja do liczby uwolnionych należeć nie będę, bo Niemcy z mojej okolicy wpływają na sąd, aby został osądzony. Potwierdzenie tego pokazało się zaraz po ukończeniu ogólnej dyskusji, po której dla braku miejsca w Moabie większej

połowie więźniów pozwolono do miasta na wolną stopę się przeprowadzić, bo kiedy podałem prośbę dla słabości zdrowia o pozwolenie, podczas dalszych rozpraw, aż do wyroków do miasta się przeprowadzić, odebrałem odmowę. Na szczęście przypadek zdarzył, że pewnej nocy krew mi się nosem puściła, robię więc hałas, wpada służba — żądam doktora, temu, gdy przyszedł, pokazuję zbrczoną krwią koszulę i pościel i żądam, aby Krüger przyszedł natychmiast. Przybywa, a ja mu z największą gwałtownością zarzucam barbarzyńskie postępowanie ze mną, na co mi przyrzekł, że natychmiast do miasta wypuszczony zostanę.

Tu już swobodniej, prywatne mieszkanie wzięwszy, krzepiłem zwątlone siły moje, do ostatecznego wystąpienia na moją obronę jeżeli prokurator wniosek zrobi na ukaranie mnie, pewny już będąc, że takowe nastąpi. Ten kilkotygodniowy pobyt mój w Berlinie uprzyjemniony mi został przez bawiących tam wówczas szanownych i kochanych Narzynieckich z Jabłonowa⁸⁸, u których codziennym musiałem być wieczornym gościem. Ponieważ oboje już kilka lat temu w grobie spoczywają, niech mi tu wolno będzie o nich tyle tylko powiedzieć, że kraj nasz przez przedwczesny zgon tych prawdziwie polskich serc wielką poniósł stratę!

Proces nasz już teraz szybkim krokiem do swego kresu dochodził. Prokurator przeszedł do specjalnego oskarżenia. Gdy kolej na mnie przyszła wszystkie swoje dawniejsze zarzuty w krótkości powtarzał, opierając moją winę głównie na tym, że kiedy tyle u mnie znaleziono odezw rządu narodowego, to nie tylko ich treść musiała mi być znana, ale i musiałem się na nią zgadzać. Tak samo z emigrantami, że kiedy im dozwoliłem w moim domu przebywać, musiałem ich zasady podzielać. Wnosi więc, abym był osądzony na sześć lat w Zuchthausie⁸¹ i sześć lat dozoru policyjnego.

Oburzony do wysokiego stopnia i przekonany, że sąd wyda wyrok sprzyjający żądaniom moich niemieckich sąsiadów, zauważyłem, że trzeba będzie korzystać z wolności obrony i przynajmniej wyrznąć im prawdę. Kiedy więc prawie wszyscy inni tylko przez obrońców swoich odpowiadali, ja proszę sam o głos.

„Na niektóre tylko punkta pana prokuratora myślę odpowiedzieć. Powiada, że żebraczka Tworowska dlatego, chociaż ważnym byłaby świadkiem, nie przybyła, bo ją nie można było znaleźć. To szkoda, że tu tak wiarogodny świadek nie przybył, ale sądzę, że ona razem ze świadkami Zimmermann i Meer, którzy chociaż jedyni, co mieli świadczyć, że to pow-

stanie także przeciw Prusom skierowane, a nie można ich było odszukać, że ona teraz z temi młodemi włóczęgami gdzieś się bałamuci.

Co do syna mego, o którym prokurator obstaje, że poszedł z drugimi walczyć, to uważam jako ironiczny zarzut, gdyż nie poszedł. Powiedziałem już, że dlatego nie poszedł, że mu zakazałem, a jeżeli kilka sztuk broni, która była jego własnością, dał tym, co przechodząc do Polski wstąpili do Piątkowa, to oświadczyć muszę, że gdyby był żałował dać przynajmniej broń swoją, nie byłby wart, że go polska matka zrodziła. Tyle tylko odpowiedzi na szczególne zarzuty.

Wysoki Sąd pozwoli mi jeszcze kilka ogólnych uwag. Powiedziałem już w pierwszej obronie, że mnie nadzwyczajna długość oskarżenia, same fałsze zawierającego, zastrasza. Dowiedziałem, że pan nadprokurator świadomie dwa fałszywe punkta na samym początku oskarżenia umieścił, a że z ust pana prezydenta (w sprawie pana Połczyńskiego) świadome omyłki zarzucił panu nadprokuratorowi jest obrazą — jestem zmuszonym na obronę moją ten mu zrobić zarzut, z tej prostej przyczyny, że go mogę dowieść. Bo tak, jak ów do krzywoprzysięstwa nakłoniony wyrobnik niemiecki, dlatego wiarogodnym jest, że w denuncjacji swojej, dowiedziony mu fałsz umieścił, jako kopał rowy u mnie, tak też świadomie przez prokuratoria na samym wstępie oskarżenia umieszczone dwa fałszywe fakta, że brałem udział w powstaniu 1830 i w wyprawie Zawiszy 1833 r., tendencja całego oskarżenia jest zdemaskowana, nie tylko względem mnie, ale także względem moich współoskarżonych kolegów. Wzywam zatem wszystkich panów obrońców, ażeby mnie w tej stanowczej chwili poparli na moje ryzyko i własną odpowiedzialność.

Nie dla mnie samego wymagam więc uwolnienia — zbici na gromadę, zrośliśmy się ze sobą jak bracia sjamscy — krzywda jednego ból sprawia drugiemu!

Widząc, jakie niebezpieczeństwo mnie grozi przez takie potworne oskarżenie, rozłożyłem Wysokiemu Sądowi całą księgę mojego żywota, a żaden uczciwy nie wykaże mi słowo nieprawdy; a zrobiłem to dlatego, żebyście panowie psychologicznie osądzili, czy zarzuty mnie zrobione mają podobieństwo do prawdy. Sądziłem, że przekonałem, bo nawet sam zastępca prokuratora nazwał mnie umiarkowanym człowiekiem. Jeżeli jednak tu słyszeć muszę, że mam być skazanym na sześć lat, a zatem podobno na całe życie do Zuchthausu, to muszę odpowiedzieć, że pan nadprokurator powi-

nien być zadowolonym, że mnie i stukilkudziesięciu mężów półtora roku tu w ciężkim więzieniu męczono, powinien być zadowolonym z łez tylu matek, żon i dzieci, z zniszczenia majątkowego, które już u wielu z nas nastąpiło, a nie żądać ukarania z powodu podłych i kłamliwych podszczuwań.

Półtora roku tu siedzimy jako ofiary środka zapobiegającego (Präventivmassregel). Widocznem było, że nasze aresztowania tylko nastąpiły, abyśmy walczącym braciom naszym nieszczęśliwym nie mogli broni dostarczać, aby bezbronni prędzej upadli, aby przez przedłużoną, rozpaczliwą walkę, w której kwiat młodzieży polskiej się poświęcał, sumienie cywilizowanego świata się nie obudziło, na odwet zbrodni dokonanej przy końcu wieku przeszłego, przez rozbiór Polski. Musieliśmy iść do więzienia, bo jak wiadomo siła idzie przed prawem. Okażę zatem i dowiodę, że nasze aresztowania były tylko środkiem zapobiegającym.

Nadprokurator: Przeciw takim wyrażeniom muszę protestować. Oskarżonemu tylko wolno bronić się przeciw zarzutom mu robionym, nic więcej.

Obronca Elven: Jeżeli oskarżony chce dowieść to, co twierdzi, uważam, że to mu wzbronionym być nie może.

Prezydent: Oskarżonemu tylko wolno się bronić, a nie krytykować postępowanie urzędów krajowych.

Elven: Co do mnie, to w takie dowody bym się nie wdawał, ale obronie służy niczem nie zbite prawo tu takie wprowadzać.

Prezydent: Jeżeli pan tu chcesz nam powiedzieć, co do obrony nie należy, to nie mogę na to pozwolić.

Oskarżony: Panie prezydencie! Kiedy mam być skazany do Zuchthausu, to mi pewnie dozwolisz bronić się tak, jak sobie rozważyłem. Na punkta oskarżenia odpowiadać nie będę, bo już dawniej dowiodłem, że w nim same tylko fałsze się znajdują. Ale kiedy wykażę całą historię postępowania z nami podczas więzienia, to mam nadzieję, że panowie, jako bezparteczalni sędziowie, inne poweźmiecie przekonanie o naszej sprawie.

Prezydent: Kolegium uda się na ustęp dla obradowania, czy panu wolno w ten sposób dalej się tłumaczyć”.

(Idą na ustęp)

W tej pauzie przystępuje do mnie obrońca Lent mówiąc: „Szkoda, żeś pan nas nie uprzedził, że nas wszystkich wzywasz do poparcia twierdzenia, że całe oskarżenie jest na nic, kiedy w nim świadome fałsze się znajdują. Bylibyśmy się naradzili, bo to ważny argument. Nie daj się pan zbijać

żadnem przeskadzaniem, bo panu służy prawo bronić się, jak ci się podoba”.

Żałuję mocno, że Lenta nie wybrał na obrońcę. Mój Elven zawsze mi tylko gadał, że mnie uwolnić muszą, bo wszystkie zarzuty są nierozsądne, a właśnie z tych fałszywych i nierozsądnych zarzutów mógłby całe oskarżenie obalić.

Po dosyć długiej naradzie wchodzi sędziowie i prezydujący ogłasza decyzją, że nie wolno mi zapowiedziany przeze mnie temat dalej prowadzić.

„Oskarżony: Opuszczając zatem wzbronione mi powody naszego uwięzienia, to tylko muszę nadmienić, że gdyby nasi szanowni obrońcy byli świadkami postępowania z nami w więzieniu w Hausvogtei i w Moabicie, zaiste nie byłoby potrzebowali zapuszczać się w labirynt oskarżenia, pamiętnego na zawsze w dziejach sądownictwa, bo z tego labiryntu nawet taki rycerz jak Tezeusz nie potrafiłby bez kłębka Ariadny wyprowadzić ofiary Minotaura. Wtenczas wiele łatwiej udałoby im się odkryć w tem oskarżeniu ów dolus pana nadprokuratora, który nam narzuca, a podług mojego przekonania sam w niego nie wierzy.

Gdyby tylko cień niebezpieczeństwa dla Księstwa i Prus Zachodnich się okazywał, to by niemieccy mieszkańcy najlepiej osądzili, czy to niebezpieczeństwo w istocie istnieje, ale natomiast czytaliśmy po gazetach skargi, po co tyle wojska ciężarem się staje dla tych okolic, skoro od Polaków nie mają się czego obawiać.

Kiedy więc rządy dzisiejsze tym procesem widocznie tylko prześladowanie nasze mają na celu, pytam się, czemu właśnie sądownictwo pruskie ma się posługiwać, żeby dzieło zniszczenia naszego wykonać wspólnie z Murawiewem i jemu podobnych? Wszak to właśnie sądownictwo pruskie...

Prezydent: Muszę oskarżonego prosić o większe umiarkowanie w swoich wyrażeniach i nie obrażać Jenerała i pruskie sądownictwo.

Oskarżony: Nie dokończyłem, co chciałem powiedzieć, bo zostałem przerwany. Otóż powiadam, że właśnie sądownictwo pruskie, po dokonanym rozbiorze, zasłużyło sobie uznanie bezpartecznej sprawiedliwości i sumiennosci, tak że wielka część Polaków pogodziła się z smutnym przeznaczeniem. Dlatego i dziś jeszcze nie wierzę, aby Wysoki Sąd wyrokiem swoim przyłożył rękę do naszego zniszczenia.

Żeby zaś nie powiększać niecierpliwości pana prezydenta, pozwolę sobie tylko jedną jeszcze ogólną uwagę. Z całego

przebiegu procesu naszego pokazuje się, że mieszkańcy Księstwa Poznańskiego i Prus Zachodnich mają być podzieleni na depczących i deptanych, w takim razie uważam położenie ostatnich jako korzystniejsze, bo zostajemy zbici w jedną ścisłą masę, która się lepiej ostoi, gdy burza nadejdzie. Ci zaś, co dziś są górą i nas depczą, to biada im, a niejednen z nich będzie się zaklinał, że nie należał do depczących.

Ale ponieważ dziś jeszcze spokój na świecie, deptanie ma iść swoją drogą, zdaje mi się zatem, że pan nadprokurator swoim wypracowanym oskarżeniem przedstawił nam próbkę deptaka, ale nasi panowie obrońcy, zdaje się już dostatecznie, okazali niezdatność onego, tak że wynalazca może zań prywatnie być wynagrodzonym, ale na wystawę światła ta maszyna nie przyjdzie!"

Obsypali mnie i prokurator i prezydent wybuchami zajądłości swojej, a więc, żeby takową uśmierzyć, kończę w ten sposób:

„Pozwalam sobie zatem zakończyć mowę moją z tem szczerem życzeniem:

Aby ta improwizowana, wiekopomna, sala sądowa nie była — podług żałobnego pozorów zewnętrznego i podług życzeń pana nadprokuratora — symbolem grobowej katakumby Polski, ale podług artystycznie ozdobnego wnętrza — symbolem arki przymierza!"

Wypuściłem dużo jeszcze pięknych rzeczy, które w bezsensnych nocach moich wymyśliłem, bo obok mnie siedzący obrońca Elven szturchał mnie, szepcząc, że oburzając sędziów, pogorszam sprawę moją i kochani koledzy moi przysyłając mi szklanki z wodą, dawali do zrozumienia, że im wszystkim szkodzę takimi przykreimi argumentami.

2 grudnia była ostatnia sesja. W przerwie nastąpionej, aż do ogłoszenia wyroków, mieliśmy sposobność przyjrzeć się triumfalnemu wejściu zwycięskiego wojska z wojny szleswickiej⁸⁶. Na czele jechał król, słabo bardzo witany przez lud, wojsko zaś, za nim postępujące, odbierało głośnie oznaki sympatii. Uderzyło mnie, przypatrując się z bliska fizjognomiom żołnierzy, że gdzieniegdzie tylko widać było na twarzach odbyte trudy zimowej kampanii, reszta młodzi, czerstwo wyglądający żołnierze. Tę moją uwagę udzielał obok mnie stojącemu berlińczykowi, który z uśmiechem odpowiada: „To czysta komedia, dobrze wyglądający nie byli wcale w wojnie, bo tamci po większej części w lazaretach, chorzy na reumatyzm”.

Przy iluminacji okazali niektórzy mieszkańcy swoją dla

nas sympatię, prosząc w transparentach o amnestią dla Polaków.

Nareszcie w samą wilią Bożego Narodzenia wezwano nas do Hausvogtei dla usłyszenia wyroków, które były następujące:

„I

Na karę śmierci i poniesienie kosztów skazani są następujący:

1. Jan Kanty Kościelec Działyński
2. Aleksander Guttry
3. Włodzimierz Wolniewicz
4. Julian Ksawery Łukaszewski
5. Filip Skoraczewski
6. Edmund Taczanowski
7. Władysław Zakrzewski
8. Proboszcz Szymon Radecki
9. Bolesław Lutomski
10. Zygmunt Jaraczewski
11. Józef Alojzy Seyfried

II

12. Władysław Kosiński — na dwa lata więzienia
13. Władysław Niegolewski — na dwa lata więzienia
14. Józef Rustejko — półtora roku więzienia
15. Józef Żórawski — jeden rok więzienia
16. Napoleon Ksawery Mańkowski — jeden rok więzienia
17. Roman książę Czartoryski — jeden rok więzienia
18. Wacław Koszutski — jeden rok więzienia
19. Stanisław Sczaniecki — jeden rok więzienia
20. Włodzimierz Kurnatowski — jeden rok więzienia
21. Proboszcz Stanisław Rymarkiewicz — jeden rok trzy miesiące
22. Proboszcz Cyprian Jarochowski — jeden rok trzy miesiące
23. Józef Mielecki — jeden rok trzy miesiące
24. Walery Hulewicz — jeden rok trzy miesiące
25. Leon Smitkowski — jeden rok trzy miesiące
26. Bolesław Kościelski — jeden rok trzy miesiące
27. Erazm Zabłocki — jeden rok trzy miesiące
28. Bolesław Moszczeński — jeden rok trzy miesiące

29. Serafin Ulatowski — jeden rok trzy miesiące
30. Julian Mittelstädt — jeden rok trzy miesiące
31. Leon Martwell — jeden rok sześć miesięcy
32. Natalis Sulerzyski — jeden rok sześć miesięcy
33. Edward Kalkstein — jeden rok sześć miesięcy
34. Teodor Jackowski — jeden rok sześć miesięcy
35. Edmund Callier — jeden rok sześć miesięcy
36. Bolesław Juliusz Dienheim, Prawdzic, hrabia Chotomski — jeden rok więzienia
37. Student filozofii Winkler-Kętrzyński — jeden rok więzienia
38. Dr filozofii Kazimierz Szulc — jeden rok więzienia.
I wszyscy na poniesienie kosztów.

Reszta została uwolnioną. Taką nam gwiazdkę wyprawiono!

Rozdział XVII

OD 1 LIPCA 1865 DO 3 MAJA 1872

Treść: Osądzony na rok więzienia, wyjeżdżam do Franzensbada. — Potem do Drezna. — Na koniec do Krakowa. — Pogląd na Kraków i jego mieszkańców. — O zarzuconym stroju narodowym. — Wojna Prus z Austrią. — Trzy dni w więzieniu krakowskim spowodowane przez Prusaków. — Dalsze napaści na mnie. — Polemika moja z panem Józefem o Bismarcku. — Inserat w „Kraju” o pannach krakowskich. — Wojna Prus z Francją. — Jakże stąd skutki dla Polski. — Dokończenie.

Przed odjazdem do domów zaprosiliśmy naszych obrońców na obiad, na którym wesoło się bawiąc, mówił Lent do mnie: „Jeżeli pan będziesz musiał siedzieć, to Elven za tę bibliotekę rewolucyjną musi pana zastąpić”, na co Elven przystał. Wszyscy bowiem byli przekonania, że amenstia nastąpić musi, ponieważ opinia publiczna takowej wymaga.

Wróciwszy do domu, niebawem otrzymałem wyrok z motywami, skazujący mnie na rok więzienia w Grudziądzu. Ponieważ te motywa były tak błahe, jak całe oskarżenie, napisałem do Elvena, że żądam rewizji wyroku, do czego służyło mi prawo. Elven odpisał, że wszyscy skazani nie chcą apelować, radzi mi zatem, abym i ja zaniechał, ponieważ prokurator oświadczył, że wtenczas tylko odstąpi ze swej strony od apelacji za tak łagodne wyroki, jeżeli wszyscy skazani wstrzymają się od apelacji. Kochana solidarność zniewoliła mnie zatem przystać na życzenia kolegów, chociaż wielkie było prawdopodobieństwo, że wzbroniona mi przez prezydenta wolność mówienia w mojej obronie i w ogóle tak niedorzeczne i fałszywe zarzuty, byłyby może inny trybunał zniewoliły do skasowania wyroku. O zastąpieniu mnie w więzieniu zapomniał Elven.

Świadectwami lekarskimi broniłem się od nakazanego u-

dania się natychmiastowego do więzienia, chcąc zyskać na czasie, dla poratowania mocno zachwianego majątku i zaniedbanego gospodarstwa. Odpowiedziano mi, że jeżeli 1 lipca 1865 nie udam się dobrowolnie do Grudziądza, odstawionym zostanę przemocą.

Wzgląd na stan mego zdrowia z jednej strony, z drugiej — zapamiętałość niemieckich moich sąsiadów, którzy i w więzieniu będąc pewni bezkarności swoich, względem mnie, zbrodniczych zamachów, nie poprzestaną na takowych wykonać, bo już w roku 1848 siedząc z księdzem Tułodzieckim w Grudziądzu, znalazła się, w przysłanej nam z restauracji marchwi, kiełbaska zielona, która nas zmusiła zmienić kuchnię — spowodowała, że wolałem opuścić majątek, narażając go na pewną zgubę i wydalic się z kraju. Udałem się więc do Franzensbadu¹, skąd posłałem świadectwo lekarskie do Kammergerichtu, że stan mego zdrowia nie pozwala mi w murach więziennych narażać życia mego, a dopiero kiedy tu odzyskam zdrowie, udam się do Grudziądza. Po sześciotygodniowym pobycie w Franzensbadzie piszę znowu do sądu że: „Lekarz każe mi na świeżym powietrzu dłuższy czas pobyc, jadę więc do Saksonii, gdzie w okolicy Drezna się zabawię”.

W Dreźnie odbył się ślub mojej córki z Michałem Wybickim. Zastawszy tam dużo rodzin polskich i emigrantów niemało, czas przyjemnie spędzałem, ale zapragnąłem dalszą pielgrzymkę moją zwrócić do Krakowa, którego jeszcze nie znałem. Piszę więc znowu do sądu, że ponieważ jeszcze w więzieniu doznawałem troskliwości o moje zdrowie, zapewne i teraz mi nie odmówi pozwolenia na dalszą kurację moją w Krakowie, gdzie się udaję do znanego mi hydropaty. To się nie spodobało, bo kiedy poprzednie listy moje zostały bez odpowiedzi, teraz odbieram ostry nakaz udania się natychmiast do Grudziądza, pod zagrożeniem sprowadzenia mnie. Wiedząc, że stosunki Prus z Austrią już były naprężone, nie obawiałem się tego sprowadzenia i pojechałem do Krakowa.

Tu więc w Krakowie, dokąd pod zimę roku 1865 przybyłem, bawię jako jedyny z Prus emigrant dotąd, oczekując przepowiadanego przeze mnie od roku 1848 przywrócenia Polski. Wstrząśnienie bowiem całej Europy przez ogłoszenie republiki francuskiej i jej przez Napoleona upadek, dały mi przekonanie, że prawdziwa republika po nim nie tylko we Francji, ale i po całej Europie nastąpi, która zbratanie narodów za sobą pociągnie i koniec położy tym nie-

szczęsnym uzbrojeniom wojennym, przez które najlepsze siły narodów marnieją i upragnionemu pokojowi świata nie pozwalają nastąpić. Dwa tuziny więc już latek opowiadam moim rodakom, że za cztery tygodnie, za rok najdalej — skoro powyższa ewentualność nastąpi — możemy doczekać się Polski, bo siła pary, nieznaną światu od czasu stworzenia, dziś nie tylko działa w materii, ale i w duchach. I nie przykrzy mi się ciągle jedno powtarzać, bo mnie ta wiara uzdrawia; toteż proszę was mili rodacy, niech wam nie przykrzy się słuchać, ale przyczynicie się do propagandy wiary we wszystkich warstwach, mam bowiem silne przekonanie, że gdyby ona była ogólna, to by jej potędze nic oprzeć się nie mogło.

Kraków ze swymi historycznymi pamiątkami, z nieocenionymi plantacjami², z kopcem Kościuszki, na który pierwszy mój skierowany był spacer, zajął mnie mocno, ale zadziwiły brudne domy zewnątrz, a bardziej jeszcze podwórza nieznośnymi wyziewami cuchnące i bruki szkaradne. To kilkudziesięcioletnie gospodarstwo niemieckie tak zaniedbało naszą starą stolicę! Kto od owego czasu dziś przybędzie do Krakowa, musi przyznać, że polski magistrat na najlepszej jest drodze z niego w niedalekiej przyszłości zrobić jedno z najpiękniejszych miast. Najgłówniejszą jednak przeszkodą do tak pięknego celu widzę w zastraszający sposób mnożących się Żydów, którzy nigdzie, tak jak tu i w całej Galicji szwargotem, ubiorem i szachrajstwem na każdym kroku rażąc przechodnia, utwierdzają przekonanie, że tylko wielka burza takie śmieci wymieść zdoła.

Bardziej jeszcze, jak te, dopiero wspomniane, przykre wrażenia dla przybyłego do Krakowa, zadziwił zawód, którego doznałem, przyglądając się jego mieszkańcom. Porwany przed dwoma latami z mojej rodzinnej zagrody do więzienia, zostawiłem w mojej prowincji całe obywatelstwo w narodowych ubiorach. Powstanie w Królestwie spowodowało wszystkie dzielnice dawnej Polski do przywdziania zaniedbanego ubioru polskiego, w przekonaniu, że ubiór wielce wpływa na ducha. Nie byłbym się odważył zarzucony przeze mnie frak darować mojemu lokajowi, żeby mnie nie zapytał: „Czy i on nie jest Polakiem?”

Byłem więc przekonany, że w tej starej polskiej stolicy, gdzie tyle kamiennych jest pamiątek naszej wielkości i mieszkańców znajduję w ubiorach narodowych, przypominających licznie tam przybywającym cudzoziemcom, że są w polskim kraju. Ciężko mi się więc zrobiło na sercu, gdy

się dowiedział, że po upadku powstania przeważnie większa część zarzuciła narodowe ubiory, przecież przez nikogo nie zakazane. Narzekamy, że Bismarck nas chce zniszczyć, a sami powód mu dajemy, zrzuciwszy naszą skórę polską. W tej skórze jesteśmy trudniejsi do strawienia, a przecież poczciwy Russo³ nam radził, abyśmy, kiedy nas połknęli, starali się, żeby nas nie strawili.

Słyszymy często przy narodowych uroczystościach piękne mowy, że o własnych siłach powstać musimy, byleby tylko jedność i wspólna praca te siły stworzyła. Ale czyż lud polski w Krakowie i w Galicji, święcie zachowujący ubiór narodowy, a w ludzie głównie spoczywa siła narodu, dopatrzeć jest w stanie tej jedności, kiedy tego ducha polskiego nie widzi, bo gdzieś pod cudzoziemską szatą się chowa.

Wiara nasza i miłość ojczyzny są to dwie wielkie rękojmie naszego zbawienia. Duch, który obie ożywia, potrzebuje pewnych form pod zmysły wpadających, żeby się nimi krzepić. Toteż wierny naród modły odprawia przed obrazami Zbawiciela i Matki Najświętszej, a duch narodowy się ożywia w odzieży przodków naszych. Zarzucając jedno i drugie dojdziemy do bezwyznaniowości i kosmopolityzmu, które się dziś u nas już dość często zaczynają objawiać i dopomóżemy wrogom naszym do zamierzonego zniweczenia naszej narodowości.

Niemcy, którzy się dziś mienią u szczytu potęgi, widząc potrzebę krzepić swoje siły, żeby czoło stawić nieprzyjaciółom, którymi dokoła są otoczeni, wymyślają ubiory narodowoniemieckie, zarzucając fraki i inne mody francuskie, dotąd powszechnie przyjęte. A przecież to jest naród szczyjący się swoją duchową przewagą.

Nie tylko wrogów naszych ośmielamy przez zarzucenie narodowych ubiorów, że nas już teraz myślą łatwiej na Niemców przerobić, ale i dotąd nam przychylne narody odwracają się od nas, sądząc żeśmy przestali być Polakami. Przykre zrobiliśmy doświadczenie kilka lat temu, kiedy Węgrzy zaprosili towarzystwo polskie ze Szczawnicy do Szmeksu⁴. Dowiedziawszy się o tem ciekawy byłem, jakie tam było naszych przyjęcie, bo kilka lat przedtem w tem samem miejscu ich ze znanym węgierskim entuzjazmem i serdecznością nadzwyczajną podejmowano. Jakże więc mnie zadziwiło, gdym się dowiedział, że bardzo ozięble tym razem, że Węgrzy na balu tylko ze swoimi damami tańczyli, o nasze wcale nie dbając. Niespodziewana ta dla mnie za-

gadka dopiero się wykryła, kiedy pytając o przyczynę znajomego, który należał do tego towarzystwa, po długich badaniach nareszcie mi się przyznał, że byli we frakach.

Mam najmocniejsze przekonanie, że przyjdzie niezadługo czas, gdzie, tak jak kiedy cesarz austriacki miał przybyć do Krakowa, wezwania czytaliśmy na rogach ulic, żeby wystąpić w narodowych ubiorach, ponieważ Cesarz tego sobie życzy, a ambaras był wielki w Krakowie o pasy i w ogóle paradne polskie ubiory; przyjdzie, mówię, czas, gdzie trzeba będzie na gwałt się przebierać w narodowe, ale skromne suknie, żeby się po nich poznawać wzajemnie, radzę zatem zawczasu pomyśleć o takowych, żeby w podobny nie popaść ambaras.

Już bym się nie dziwił starszym obywatelom, że przez zmianę ubioru zrywają łączność z powstaniem, co tyle klęsk na ojczyznę sprowadziło, ale że i młodzież, kształcąca się na, od wieków wsławionej, Wszechnicy Jagiellońskiej, a której tak pięknie w skromnym narodowym ubiorze, porzuca ten ubiór, żeby znać nie rozniecił w niej niebezpiecznego ognia miłości ojczyzny i popchnął na nowo w niewczesne zapasy w wrogami naszymi — to smutno! Ale czyż ja, tu w Krakowie, nie doczekam się tej pociechy, że młodzież polska porzuci tą zbytęcznie zimną rozwagę, którą troskliwie o dobrobyt synalków mamunie w ich umysłach i sercach zaszczepiły i przeprosiwszy się z narodowym strojem pociągną i oczulków za sobą, tak że od razu poznać będziemy mogli, że jesteśmy z duszą i ciałem Polakami? Nie tracę nadziei, że się doczekam tej pociechy!

Na wstępie więc moim do Krakowa pocieszały mnie prócz narodowych pamiątek, tylko dziarski lud w strojnych krakowskich ubiorach i teatr narodowy, znakomitemi szczyścić się mogący artystami. Znalazły się wkrótce i zacne rodziny, przyjmujące serdecznie u siebie pruskiego emigranta, nie tylko w Krakowie, ale i w Galicji. Aleksander Rogaliński, ów pogromca Moskali pod Płockiem, dowiedziawszy się, że jestem w Krakowie, zabrał mnie ze sobą i obwoził po gościnnych domach swojej rodziny, tak że całą zimę przepędziłem przyjemnie nie tylko u nich, ale i w sąsiednich domach.

Pod wiosnę roku 1866 wróciłem do Krakowa, bo nastąpiła amnestia radziła mi rozważyć, czy nie będzie pora wrócić do domu. Ale wiedząc, że tam tylko wielkie kłopoty, wskutek znacznie podczas nieobecności mojej obdłużonego majątku, mnie czekają, wolałem czekać na wypadki polity-

czne, na które się wskutek groźnego występowania Prus przeciw Austrii zanosilo. Niebawem kroki wojenne się rozpoczęły i pokazało się, że nie miałem po co wracać do domu. Od kilku bowiem miesięcy, nie odbierając od moich ani listu, a tem mniej pieniędzy, byłem w niemałym ambasadzie. Szczęściem znalazł się poczciwy emigrant, który mi ofiarował mieszkanie, stół i pożyczał pieniędzy. Był nim szanowny Czyński⁵, który z żoną i małym synkiem przybył przed niejakim czasem z Paryża do Krakowa. Spacerując pewnego dnia z nim i dwoma znajomymi przed obiadem po plantach, przystępuje do mnie tak zwany szpicel policyjny, bo bez munduru, żądając, abym z nim poszedł na policję. Pytam go, czy ma na piśmie wezwanie, na co odpowiada, że nie ma. — „To mi przynieś takowe, a po obiedzie przybędę.” — „Pan zaraz musisz iść” — i przywołuje policjanta, znajdującego się w bliskości.

Trzeba było pychę z serca zrzucić i iść na policję. Pokazało się, że urzędnik policyjny o niczym nie wiedział — wyprowadzili się zatem z pokoju, a kiedy po dość długiej konferencji ze szpiclem, wracają na powrót, dowiaduję się, że o dwie bagatelne rzeczy jestem oskarżony: 1° o fałszowanie banknotów pruskich, 2° że jestem szpiegiem pruskim.

Przedstawiam, że jedno i drugie jest śmiesznem, a szczególnie drugie, bo kiedy wszystkim jest wiadomym, że jestem ofiarą prześladowania Prusaków, jakże mam być ich szpiegiem. Odpowiadają mi, że ponieważ na rok skazany jestem, staram się im przypodobać, żeby mi podarowali karę. Co do fałszerstwa, to mnie zmusza nieodbieranie pieniędzy z domu.

Dowcipna ta ze strony Prusaków była kombinacja, bo chcąc mnie dostać w swoje ręce, trzeba było mnie wystawić jako zbrodniarza względem Prus, żeby zaś nakłonić rząd austriacki do wydania mnie, trzeba było mnie zrobić szpiegiem pruskim.

Następnie oświadczone mi, że rewizja odbędzie się w moim mieszkaniu i zawieziono mnie tam. Obszukawszy wszystko dokładnie, znaleziono owe maszyny do fałszowania banknotów, owinięte w papier, ale niemiły był zawód, widząc po rozwinięciu, rewolwer z przyrządami do niego. Zapytany o niego, odpowiadam, że jest mi przysłany przez tutejszego puszkarza dla wręczenia właścicielowi — panu Rogalińskiemu. Zabierają rewolwer, ponieważ nie mam kwitu pozwalającego mi posiadać broń i wracamy na policję.

Tam okazując niecierpliwość, że mnie tak długo w kancelarii policyjnej zatrzymują i żądając, aby mnie do Namiestnictwa⁶ zawieziono, czynią zadość mojemu żądaniu i siadam z dwoma stróżami porządku do dorożki. Zamiast jednak prosto na Rynek ze mną jechać, wyjeżdżamy na Plan-ty dokoła miasta, pod pretekstem, że tamtędy kazano jechać i w bliskości zamku zatrzymuje się dorożka. Czytam napis: „Więzienie”. Nie pomogły wszelkie protestacje, wprowadzają mnie do brudnego więzienia i zamykają.

Pod wieczór wchodzi sługa więzienny mówiąc. „Żle z panem!” Był tu jeden, który się pytał: „Gdzie to jest ten pan, którego jutro o szóstej z rana kolejną mam odstawić do Prus”. Widząc całe niebezpieczeństwo, które mi grozi, jeżeli się dostanę w ręce Prusaków, znanych mi jeszcze z roku 1848, bo mi się przypomniała i owa kielbaska w marchwi i rycerski czyn pod Łabiszynem i tyle innych zabójstw bezbronnych, poznałem konieczność pośpiechu z ratunkiem. Robię więc hałas i żądam, skoro wszedł dozorca, aby mi przysłano lekarza, dr. Harajewicza, bo jestem chory. Zaczyn ten mąż, którego i serce, i energię — potrzebne w takich położeniach — miałem już sposobność poznać, pospieszył do mnie, zapewnił, że mogę być spokojnym, bo obywatele Krakowa nie pozwolą na to, aby mi się krzywda zrobiła. Przybywa też niebawem znany poseł dr Zyplikiewicz i zażądał ode mnie spisu majątków, które posiadam, a ponieważ wtenczas jeszcze siedem majątków z arealem piętnaście tysięcy morgów posiadałem, było to dostatecznym dowodem, że nie potrzebuję się bawić fałszowaniem banknotów pruskich.

Staraniom tego zacnego męża winien jestem, że zebrawszy dwunastu najznacniejszych obywateli, poszedł z nimi do Namiestnictwa, gdzie złożyli zaręczenie, że tak niegodziwe zarzuty są fałszywe. Tym sposobem się stało, że po czwarty raz, ale tylko trzy dni, dla odmiany w austriackiej kozie siedziałem.

Biednych szpicłów krakowskich chybiła więc piękna nagroda, gdyby im się było udało wydać mnie w ręce Prusaków. Z ambarasów pieniężnych wydobyłem się przez przyjazd zięcia mego, od którego się dowiedziałem, że na pocztach pruskich był zakaz przepuszczać listy moje, upominające się o pieniądze, tak że sądzono, że pewnie szczęśliwie gram w preferansę i nie potrzebuję.

Zmieniając później dość często mieszkanie, dowiadywałem się, że jakieś szpiegi się kręcą po Krakowie, którzy mnie śle-

dzą. Przeprowadziwszy się do mieszkania na ulicy Floriańskiej, w którym dotąd stoję, zauważyłem, że służąca nic mi nie mówiąc, zamyka mnie na noc na klucz. Na moje zapytanie dlaczego, odpowiada: „Jakiś zbójcekiej miny człowiek już dziesięć dni zawsze około siódmej godziny rano wdziera się na schody mówiąc, że ma do pana interes, a że mu źle z oczu patrzyło, zamykałam drzwi na klucz. Jedenastego dnia innego człowieka, nie mniej podejrzanego, nie puściłam na górę, a kiedy z domu wychodził, widzę owego pierwszego stojącego na ulicy opodał, do którego ów drugi podchodzi; idę więc ku nim, słyszę po niemiecku ze sobą mówiących”.

Na różne więc sposoby Niemcy się biorą do mnie, żeby się mnie pozbyć. Jeszcze inną w tym celu próbę zrobili. Przybywa do Krakowa Niemiec, dawny wielki liberał i jako taki mnie znany z propozycją, czy nie chcę zamian zrobić mego majątku na wielką majątność w Stryjskiem, co mi, jako nadzwyczaj dla mnie korzystny interes, wystawia. Odpowiadam mu, że póki kawałek ziemi mi zostaje tam, gdzie się urodził, przy nim zostaną i mam nadzieję wrócić do niego, żeby się upomnieć o to, co mi wydartym zostało. Proszę tę moją odpowiedź zakomunikować tym, co pana przysłali.

Jaki prawdziwy był plan na mnie ułożony, a znowu się nie udał, nie wiem, ale zdaje mi się, że chciano mnie wydestać z Krakowa pod pozorem oglądania owego majątku.

Nastąpił wielkiej doniosłości wypadek polityczny: wojna Prus z Austrią i niestety w dziejach pokonanie tak wielkiego mocarstwa w siedmiu dniach⁷. Wojna duńska, która obydwóch serdecznych sprzymierzeńców od czasu rozbioru Polski do wspólnej akcji ku oderwaniu niemieckich części od Danii połączyła, zakończyła się zwycięsko i zabrano najpiękniejsze prowincje: Holsztyn, Szlezwig wraz z małym Księstwem Lauenburg. Szło więc o podział zdobyczy. Najprzód zapłaciły Prusy za Lauenburg 2 500 000 talarów Austrii, bardzo upragnione dla jej wycieńczonego skarbu. Nastąpiły targi o Księstwo Holsztyńskie. Prusy ofiarowały 50 000 000 talarów, ale niegodziwe gazety niemieckie, jak zaczęły trąbić o szacherce na kraje i ludy, przeszkodziły Austrii przystać na zapłatę i proponowano zamianę Holsztyna na kawał Szląska, na co się znowu Prusy nie zgadzały. Równocześnie ofiarowały Włochy za Wenecją 500 000 000 franków Austrii, ale ponieważ i na to Austria, uwzględniając opinię publiczną, oburzającą się w prasie na takie handle,

przystać nie chciała, Prusy podburzyły Włochy do wojny, same posuwając wojska swoje ku granicy austriackiej.

Austria nie przypuszczając możliwości wojny z Prusami, bo gazety potępiały takową jako bratobójczą, najlepsze siły swoje obróciła przeciw Włochom, pogroźki zaś Prusaków uważając tylko jako presję, żeby przystała na ofiarowaną zapłatę, nie przysposobione do wojny prawdziwej wojska posunęły przeciw Prusakom. Tym sposobem się stało, że Prusy, duchem bismarkowskim wiedzione, drwiąc sobie z opinii publicznej, wpadły do Austrii i w tak krótkim czasie rozbiły pierzchające wojska.

Zaczynają się więc sprawdzać przepowiednie Marii Terezy, kiedy została zniewoloną przystać na rozbiór Polski⁸. Mówiła bowiem: „Teraz musimy się starać być ze sobą w zgodzie, bo inaczej jedno państwo po drugim, z dzielących się Polską upadać będzie”.

I Austria zrobiła początek. Wyrzucona przez Prusy z Niemiec, 20 000 000 talarów kontrybucji zapłacić musiała. Tak ciężkie klęski zniewoliły Austrię, by nowe nabrać siły, do zmiany systemu meternichowskiego, tak zgubnego dla niej, pod hasłem: divide et impera. Stara się pogodzić i przywiązać do siebie wszystkie narodowości, przeważnie słowiańskie, ale Niemcy wiedzeni odwieczną nienawiścią do Słowian, oczy ku Prusom zwrócone i przez nie podburzane, silnie stawiają rządowi na tej drodze przeszkody. Toteż wszystkie usiłowania Austrii do skupienia się swoich nie udają się i przez to chyli się gwałtownie do swego upadku.

Nemezis historyczna odzywa się do Polski: „Będziesz zbawioną!” Prusy, przypomniawszy sobie, że są państwem z konieczności militarnym, o czym za rządów nieboszczyka króla zapomniały, zbudzone szatańskim duchem Bismarcka z letargu, przy pomocy króla, wojskowości całkiem oddanego, silnie zorganizowały się wojskowo i nie tylko Austrię pobiły, ale równocześnie i w Niemczech znaczne podboje zrobiwszy z węża cienkiego wijącego się przez środek Niemiec wyszły na grubego buldoga, zagrażającego resztę Niemczyzny pozjadać.

Bismarck znieawidzony, przedtem przez naród, po takich nadspodziewanych powodzeniach, stał się naraz jego bożyszczem. Przekonany, że Francja pragnie odzyskać Ren jako granicę, przyobiecany Napoleonowi podczas wojny z Austrią, a potem nie dotrzymany, starał się przygotować swoje zwycięstwami upojone wojska do walki z tak, w opinii publicz-

nej, potężnym nieprzyjacielem. Mając przekonanie, że w tej walce Prusy zwyciężonymi zostaną, skąd nadzieja dla Polski wyrośnie, niemiło mi było nie tylko tu w Krakowie, ale i podczas pobytu mego w Galicji słyszeć tyle głosów polskich wielkość Bismarcka podziwiających. Dla zbitcia więc tego dla Polski zgubnego entuzjazmu, podałem do „Kraju”³ następujący inserat:

„Panie Józefie nie uratujesz Bismarcka”

Zapytywany, jakiego Józefa zaczępiłem, odpowiadam, że kilku Józefów tu w Krakowie mogą sądzić, że to ich się tycze, ale prawdziwy, do którego na zakończenie dysputy tych słów użyłem, pewnie się odezwie. Nie omyliłem, się wkrótce zjawił się w tymże „Kraju” taki inserat:

„Odpowiadam, nie kapituluję!

Zacny panie Natalisie,
Przecie sprawy nie wygrałeś —
Ty się łudzisz — zdaje ci się,
Że Bismarcka pokonałeś!

Zawsześ gadał: »Już się chmurzy,
Chwila tylko — a grom huknie«.
Coś z Twej chmury nie ma burzy,
Nawet kijem nikt nie stuknie!

Bismarck ciągle tnie swą sztukę,
Bo ma hycel olej w głowie,
Dał on komuś już naukę
W Königrätzu i Sadowie.

Ty zaprzeczaj: »Ten, to, owo« —
A ja ci powtórzę:
»Rozum Panie, wielkie słowo!
A Prusacy — to nie tchórze«.

I choć chciałbym z całej duszy
Byś miał racją Natalisie,
Jednak Bismarck się nie ruszy,
Ta bestia nie da ci się.

Chcesz to słowo dam ci na to,
Żeś mąż stanu skromny wcale
Dziś ogłaszam inseratą:
»Bismarck ma się doskonale«.

Józef Mę.....”

Zabawiło mnie niemało, dowiedziawszy się, że po ukazaniu się mego inseratu zjawił się jakiś wysłannik, czy tylko wielbiciel Bismarcka, Niemiec, w redakcji zapytując się, jakie znaczenie ma ten inserat i czy jakie niebezpieczeństwo grozi Bismarckowi. Odebrawszy zaspakajającą odpowiedź, że to jest tylko objaw dwóch przeciwnych przekonań o nim, ucieszony zaprosił dwóch członków redakcji na wino.

Mnie zaś odpowiedź zaczepionego pana Józefa, ponieważ była wierszami, nie lada zaambarasowała, bo trzeba będzie tak samo odpowiedzieć, a dotąd jeszcze rymotwórczego mego talentu nie próbowałem. Zdobyłem się więc z niemałym kłopotem na następujący wiersz:

„POWINSZOWANIE IMIENIN
19 Marca ¹⁰

Choć Pegaza się dobrałeś,
Przecie Józiu nie wygrałeś.
Choć na moje pięć słóweczek
Sypniesz rymów pół kopeczek.

Rzekłeś: »To się do mnie napił!
Ale diable się poszkapił,
Oddam Helciu mu kułaka,
Będę śmiać się z nieboraka«.

»Daj mu pokój mój Józieczku
Rozum, dowcip masz koteczku,
Lecz ja Polka, serce prawi,
Że pan Bismarck nas nie zbawi.

Będą śmiali się z Waszeci
Gdy twój rycerz z konia zleci.
Może to ktoś inny — przecie
Więcej Józefów na świecie«.

»Palnę rymem! to nie snadnie,
Na Pegaza siędzie? — spadnie!«

Więc dawaj stępaka,
Polskiego rumaka
I hajże na pana Józefa!

Pytasz: gdzie są chmury, burze?
A Prusaki to nie tchórze! —
Toć rozpędza Bismarck, dmucha,
I odgrywa rolę zucha,
By ocalić Prusy swoje
Wszędzie wznieca niepokoje,
Intryguje swym zwyczajem
Het w Hiszpanii — nad Dunajem.
Bismarck górą? Toć Ci znana:
»Jeszcze partia nie wygrana«
(słowa Napoleona)

Bismarck ma się doskonale!
Ty tak twierdzisz, ale
Już „Czas” pisze: »Tego zucha
Napadają kurcze brzucha.
Twego rycerza — zmartwisz się —
Zamkną znów gdzieś *pour les messieurs*«¹¹.

Potrzeba Ci: ten, to, owo
Na cześć pruską pod Sadową
A czy nie wiesz, jak się stało,
Gdy się gracko tak udało?

Szczuli na bój polskie syny
By zdobywać im wawrzyny.
»Jezus, Maria!« — słychać krzyk
Niemiec mówi: »To *Bruderkrieg!*«¹²

Niech skowronek w śpiew zadzwoni,
Wnet usłyszysz szczęki broni.

»Jedźmy Helciu do Krakowa,
Uściskamy Tontoowa,
Skąd u licha on to wiedział
Że tak wszystko przepowiedział?

Teraz to ja tam do kata
Jestem skromny dyplomata«.

Będziesz, będziesz zwyciężony,
A drugi raz słuchaj żony."

Nie uspokoił się szanowny pan Józef, ale wkrótce ukazał się w „Kraju” następujący inserat:

„W twojej szanownej odpowiedzi
Tyle dla mnie nowej wieści,
Że się Bismarck z brzuchem biedzi,
Bo kurczowe ma boleści.

Nigdy też nie wychwalałem
Jego brzucha ani kości,
Lecz o rozum się spierałem —
Przypominam to Waszmości.

Bismarck chory — nie wiedziałem,
Bo ja „Czasu” nie czytuję
No, a w „Kraju” nie czytałem,
Że kanclerza kurcz morduje.

Widać źródeł najpewniejszych
Jak u „Czasu”, brak „Krajowi”.
Fakt! Doktorów najdzielniejszych
„Czas” wnet poszle Bismarckowi.

Lecz już dosyć. Proponuję:
»Dajmy pokój tej debacie,
Bo nas dużo już kosztuje
Taka sprzeczka w inseracie.

Ja w Krakowie wkrótce będę,
To się darmo nakłóciemy!
Spotkamy się i gawędę
Lecz bez stempla urządzimy.

A choć Twe proroctwa wieszczę
Nie wystrzelą w świat z gwintówki,
Pozwolę Ci czekać jeszcze —
I dam buzi z dubeltówki«.

Józef."

W istocie moją zaczepką zasłużyłem się nieco młodemu „Krajowi”, nie tylko przez nasze inseraty, ale znalazł się wkrótce w Krakowie jakiś pan Saturnin, który nie pojawił

szy serdecznego ducha naszej sprzeczki, wyrwał się jak Filip z konopi i usiłował następującym wierszem nas pogodzić:

Bój zacięty
Boże święty!
Mózgi suszy.
O Bismarcka
Mężów parka
Kopie kruszy.
Jeden prozą
Tnie jak łożą
Przeciwnika.
Drugi wierszem
Dłuższym, szerszym
Się spotyka.
O cóż idzie
Gdyśmy w biedzie
Precz poswarka!
Natalisie,
Waść chcesz w misie
Zjeść Bismarcka!
Adwersarza
To obraża,
Stąd ferwory!
Bismarck, ale
Nie dba wcale
O te spory.
Więc oreże
Zacni męże
Do rękawa.
Niech was raczej
Okulbaczy
Własna sprawa.

Saturnin.

Ponieważ szczęśliwy zwrot naszej sprawy, podług mego przekonania, nie w naszym ręku spoczywa, ale od wielkich wypadków politycznych zależy, a tymi wypadkami dziś Bismarck kieruje; idzie więc o to, czy on jak zaczął krwią i żelazem ubije ducha, którym ludzkość spod jarzma, które ją gniecie, oswobodzić się pragnie. Ale jak każdy szalony gracz, pomimo chwilowego szczęścia, ostatecznie się zgrywa, tak też Bismarck właśnie przez ten nadzwyczajny wzrost

państwa pruskiego takimi drogami przygotowuje jego upadek i to tylko nas zbawić może. Nie pojmowałem zatem uwielbienia nieledwie ogólnego u Polaków dla człowieka, który, gdyby mu szczęście sprzyjało do końca, pomyślałby o ostatecznej naszej zagładzie. Przez mój inserat chciałem zatem udowodnić, że kwestia pruska jest kwestią bytu naszego. Nie chciał tego zrozumieć pan Saturnin i znalazł zwolenników, bo „Gazeta Toruńska”¹⁸ tylko jego wierszyki powtórzyła. Są tam przecie jeszcze ludzie, którzy o mnie nie zapomnieli!

Czwarty rok już bawiąc w Krakowie miałem czas zastanawiać się nad przyczynami braku ducha patriotycznego młodzieży i przyszedłem do przekonania, że wina głównie leży w ostygniętych sercach Polek dla naszej świętej sprawy, co mnie tem bardziej zadziwiło, że zostawiłem w stronach moich największy patriotyzm w naszych zacnych kobietach, zagrzewających wiarą swoją w przyszłość ojczyzny do wytrwania w walce z wrogami naszymi mężów, braci i synów. A że tu tylko kilka szanownych wyjątków poznałem, którym tu cześć moją z uwielbieniem oddaję, odważyłem się zaczepić panie krakowskie z najdrażliwszej strony przez następujący inserat w „Kraju”:

„W młodości mojej często słyszałem przysłowie: piernik toruński, trzewik warszawski, krakowska panna. Toruń zwycięsko dotąd utrzymuje swoją sławę, ale Warszawa zdaje się, że z Krakowem zamianę zrobiła, bo warszawskie eleganki sprowadzają trzewiki z krakowskiej ulicy Floriańskiej, a słyszałem z ust kompetentnych, bo poważnej pani krakowskiej, patrząc wspólnie na przechodzące panie w ogródku: »To muszą być warszawianki, jakie piękne, jaki szyk!« Ze kiedyś panny krakowskie musiały zasługiwać na pierwszeństwo w piękności, świadczy o tem przysłowie, a dodam jeszcze, że dziadek mój często powtarzał, iż będąc w Krakowie, w młodości, dla odwiedzenia rodziny swojej, Mieroszewskich, ujrzał w kościele pannę, która takimi oczami spojrzała na niego, że mu się coś dziwnego zrobiło. Szukał jej potem, wnioskując, że musi być nabożna, po wszystkich kościołach, których wówczas było przeszło siedemdziesiąt, ale jej znaleźć nie mógł.

»Jak będziesz w Krakowie, powtarzał mi często, oglądaj się, może ją znajdziesz.« Toteż będąc tu już kilka lat, oglądam się, widzę wprawdzie niejedną pannę, na którą miło spojrzeć, ale takiej, co jak ona spojrzy, coś dziwnego się człowiekowi robi, nie widziałem.

Lubiąc badać przyczyny wszystkich nadzwyczajnych zdarzeń, zastanawiam się nad tem, skąd ta zamiana Warszawy z Krakowem nastąpiła? I oto przyszedłem do przekonania, że Polki, słynące z piękności za granicą, zawdzięczają to uznanie głównie patriotyzmowi, którym górują nad wszystkimi narodami, nie tylko samej urodzie.

Wyczytałem w jednym z dzienników niemieckich („Neue Freie Presse”¹⁴), nie grzeszącym przychylnością dla Polaków, jako najsilniejszy dowód, że Polska zginąć nie może, to, że niewiasta polska dzieci w miłości do ojczyzny i poświęceniu dla niej wychowuje.

Patriotyzm nie tylko ducha podnosi, ale i piękność ciała i duszy tworzy. Fizjologom zostawiam ściślejszy tego dowód. Odwołuję się tylko do J[ózefa] I[gnacego] Kraszewskiego, który mówi, że dziewczycy polskiej jeszcze żaden malarz nie odważył się oddać w obrazie. Ale czyby nasz Matejko nie znalazł w Warszawie, na Litwie, Podolu, Ukrainie wzoru do takiej polskiej dziewczycy?

Polki odznaczają się pobożnością i patriotyzmem. W Krakowie mam sposobność przekonać się o pierwszym. Świadczą o tym powozy codziennie przed kościołami stojące, ale skoro jest nabożeństwo za męczennika znakomitego, krakowskie panie z małymi wyjątkami świecą nieobecnością. To samo dzieje się z teatrem. Francuskie sztuczki najbardziej zapełniają łoże.

Zwyczajny tego byłem, że panie polskie mawiały do mnie: »Jakże to miło słyszeć pana tak przekonywująco dowodzącego, że musi być wkrótce Polska«. Tu kontent jestem, kiedy milczą, sądzę, że może się zgadzają ze mną, ale zdarzało się, że wpadłem w taką łapkę, iż powiedziano mi wprost: »Ale to jest śmiesznem, marzyć o czem, co jest niepodobnem«.

»Mężczyźni rządzą światem, a nami kobiety« — stare to przysłowie — kto więc winien, że taka obojętność dla braci waszych szukających kawałka chleba istnieje — kto winien, że co dzień skargi na brak współczucia słyszeć się dają? — Czemuż nie stajecie na czele stowarzyszeń bratniej pomocy? (W kilka lat dopiero później utworzono takie towarzystwo.)

Czas by był wielki, bo parno i duszno na świecie, nie wiadomo kiedy gromy uderzą. Może wkrótce staniemy przed sądem narodu.

Pewny jestem, zacne matki krakowskie, że pragniecie

mieć piękne córki, ale ponieważ nie pojmuję w Polsce piękności bez patriotyzmu, pytam się was, czy córki wasze umieją na pamięć piękny wiersz Krasickiego¹⁵, który pierwszy rozplomienił młode uczucia moje i który dotąd został w mojej pamięci:

»Święta miłości kochanej Ojczyzny
Czują cię tylko umysły pocziwe,
Dla ciebie zjadłe smakują trucizny,
Dla ciebie więzy, pęta nie zelżywe.
Byle cię tylko wspomóc, byle wspierać,
Nie żał żyć w nędzy, nie żał i umierać«.

Pragnę zgody z wami zacne Polki krakowskie. Zaczniecie uczyć małe córki wasze tych wierszy Krasickiego, a zaręczam, że nasz Matejko i w Krakowie znajdzie niedługo wzór do odmalowania polskiej dziewicy.

Jeden z byłych posłów niegalicyjskich.
Kraków we wrześniu 1869.»

W następnym roku zanosło się na wojnę Prus z Francją. Bismarck przekonany, że do tej wojny przyjść musi, bo Francja pragnie odzyskać Ren jako granicę, nabył przez agentów swoich, po całej Francji się kręcących przekonania, że trzeba się rozprawić z Francuzami póki Napoleon cesarzem, który przez dwudziestoletnie swoje panowanie zgangrenował dzielny ten naród, a armią w dezorganizację wprowadził. Zmiana w ministerium wojny, bo po śmierci sprężystego Niela, nastąpił Leboef, ożeniony z Prusaczką, zapewne dopomogła przebiegłemu Bismarckowi przyspieszyć zmierzenie się z Francją, w tem przekonaniu, że po śmierci Napoleona tylko republika jest możebną, a z tą trudniejsza będzie sprawa. Trzeba więc było wynaleźć zaczepkę, a tą była kandydatura Hohenzollerna na tron hiszpański. Napoleon musiał przeciw niej protestować przez swego ambasadora, którego podług instrukcji Bismarcka stary królewski uczeń z przyczyny zbytnej natrętności za drzwi wyprosił¹⁶. Za taką obrazę honoru musiał Napoleon wypowiedzieć wojnę. Przekonany byłem i tysiące ze mną, że Prusy zostaną pokonane, ale na szczęście przeciwnie się stało. Potomek największego wojownika oddaje się sam w niewolę, a Francja w najhaniebniejszy sposób zostaje pokonana. Nazywam to szczęściem, bo cóż by dobrego dla nas

nastąpiło, gdyby przeciwnie się stało. Napoleon upokorzyłby Prusy — Ren odebrał — Prusy zostałyby, czem były dawniej dla nas. Ale i dla Francji szczęście, że się tak stało. Pozbyła się bowiem, prawda — przez okropnie bolesną operację, wrzodu, który ją męczył, a tym wrzodem nie kto inny, tylko Napoleon, a Francja po tej szczęśliwej operacji jako republikańska rekonwalescentka powoli do sił dawnych powraca i do strasznego odwetu się sposobi.

Toteż przekonamy się niezadługo, że się sprawdzą przepowiednie, które przytoczyłem, bo wkrótce będą Prusy w tem położeniu, o którym mówi św. Jan à Capistrano:

*Tandem Brandenburgus tremens stabit*¹⁷ — albo drugie proroctwo, w drugim tomie *Pamiętników* umieszczone:

„Król pruski z wielkiego apetytu konstapacji dostanie, a cyrulicy zewsząd krew puszczać mu będą”.

Jacy to cyrulicy, czy to nieprzyjaciele, którymi Prusy dookoła są otoczeni, czy też sami Niemcy, zagrożeni odwetem za napaści, które pod przewodnictwem Prus dokonali na Francji, ogłoszeniem republiki będą chcieli ocalić, bliska przyszłość okaże. Zbratanie ludów, które potem nastąpi, zbawi Polskę. Wyczekując tu, w Krakowie, spokojnie tej katastrofy zakończę moje *Pamiętniki* krótką wzmianką dotyczącą się mojego majątku. Znamy tysiące ofiar barbarzyństwa Moskwy, tysiące rodzin polskich niedawno bogatych, dziś w nędzy ostatniej. Pod zaborem pruskim również znaleźć można takich, co nie mało ucierpieli przez prześladowanie rządu, ale gdzież szukać takich, co jak ja przyglądałem się tu z Krakowa, że właśnie rodacy pod pozorem opieki nad majątkiem moim, szarpali go tak, że mało co zostało. Kiedy już Niemcy dosyć się napastwili nade mną, tak że już się kontentowali tym, że już więcej im szkodzić nie mogłem, zostało mi jeszcze tyle majątku, że chociaż był obdłużony, co do obszaru, do pierwszych należał. Zmuszony oddać go pod opiekę dawnego przyjaciela mego, zapewniał mnie, że przy pomocy Banku Toruńskiego interesa wykieruje doskonale. Toteż tak kierowano, że po niejakiem czasie okazał mi list dyrektora tegoż Banku¹⁸, w którym ten pisze, że jeżeli nie dam zezwolenia na sprzedaż głównego majątku, Piątkowa, majątek jego własny jest narażony. Musiałem zezwolić. Ilustracją do tej koniecznej sprzedaży stanowią słowa podczas kontraktu przez pana dyrektora wyrzeczone, na zapytanie, dlaczego ten, a nie inny majątek się sprzedaje: „Trzeba go było upokorzyć”.

Opisałem więc siedemdziesięcioletnie życie moje, dla od-
dania siebie pod sąd rodaków, a ponieważ ten sąd dzisiaj
zdaje się na politowanie nad losem moim zakrawać, to mogę
was zapewnić, przyjaciele moi, że wcale mi tu dobrze w Kra-
kowie. Nie zazdroszczę tym, którzy w pięknych ekwipażach
się przejeżdżają, bo chociaż dawniej po dziesięć koni pięk-
nych miałem w stajni cugowej, to przy gospodarstwie roz-
ległem i przytykających folwarkach, najwięcej pieszo cho-
dziłem, a że teraz, w późniejszym wieku nóg ochraniać nie
mogę, to mam ten zysk, że się zabezpieczam od polskiej
choroby na nogi, przez zbytnie ich oszczędzanie weszłej w
przysłowie, a zdrowie przecie przede wszystkim! Nie psu-
ję sobie także żołądka przez wykwintne potrawy, bo takich
u mnie nigdy nie było i kontent jestem, że mnie stać na ta-
nią i zdrową kuchnię wesołego Florczyka.

Na przyjaciółach mi tu także nie zbywa i żegnam się z
nimi serdecznie, a mam przekonanie, że skoro wrócę na
oswobodzoną ziemię rodzinną, znajdą się dawni przyjacie-
le, z którymi zasiadłszy do uczyty wespół z chwilowymi nie-
przyjaciółmi na uroczysty obchód zbawienia Ojczyzny, za-
grzmi z ust wszystkich, ale już szczery staropolski toast:

„Kochajmy się!”

PRZYPISY

Wprowadzenie

¹ Natalis Sulerzyski otwiera swoje *Pamiętniki* rodzajem wprowadzenia, którego nie zatytułował. Wymienia w nim przede wszystkim te powody, dla których rzecz całą napisał i sumptem własnym, w Krakowie, wydaje.

² Kammergericht — najwyższy sąd apelacyjny pruski, rozpatrujący, tak jak w tym przypadku, również oskarżenia o zbrodnię zdrady stanu.

³ Sulerzyski ma tu na myśli przede wszystkim Mieczysława Łyskowskiego. Szerzej o tych konfliktach pisze w rozdziale XI i następnym.

⁴ Mowa jest tu o Piątkowie. Ta folwarczna wieś (obecnie PGR), wzmiankowana w dokumentach średniowiecznych po raz pierwszy w 1409 r. leży na północny wschód od Kowalewa (w prostej linii około 7 km), obecnie przy szosie łączącej wieś i stację kolejową Zieleń z drogą państwową nr 170 Toruń—Brodnica—Olsztyn.

Piątkowo zakupił w dwóch ratach, bodajże w 1787 r., dla syna Wincentego Franciszek Sulerzyski, z tym że formalnym właścicielem został on dopiero w dwu następnych latach. W drugiej połowie XIX w., majątność ta, wraz z folwarkami Dylewem i Klotyldowem (wydzielonym zdaje się już po wyjściu tych dóbr z rąk Sulerzyskiego), miała 925,66 ha ziemi, w tym gruntów ornych 768,03 ha, 20,69 ha pastwisk, 71,01 ha lasów, 40,37 ha wód, 25,06 ha nieużytków. W 1868 r. w Piątkowie było 243 mieszkańców-katolików (niewątpliwie Polaków), 16 dymów i 48 budynków. Gdy Natalis Sulerzyski odziedziczył ojcowiznę, całość szacowano na 35 tys. talarów, a gdy z musu sprzedawał ją w 1867 r. otrzymał za nią 185 tys. talarów.

Do moich Przyjaciół i Nieprzyjaciół

¹ Zwolennik koncepcji politycznych i działań Ludwika Mierosławskiego. Mierosławski, występujący publicznie nie bez pewnej demagogii i przesady, intrygujący namiętnie, uchodził w oczach zachowawczych kręgów społeczeństwa krajowego, a już zwłaszcza ziemiaństwa wielkopolskiego, za skrajnego terrorystę rewolucyjnego, jakim w istocie nie był. Wbrew swoim zaprzeczeniom Sulerzyski był jednak zwolennikiem Mierosławskiego i części jego koncepcji polityczno-wojskowych, pewnie zresztą dla-

tego, że poza epizodem w lutym 1863 r., nie stykał się z nim osobiście.

² (łac.) Zgoda buduje, niezgoda rujnuje.

Rozdział I

¹ Tutaj — uroczyste przyrzeczenie, ślubowanie.

² Karczewo — wieś folwarczna położona około 11 km na północny wschód od Golubia-Dobrzynia, przy drodze z Torunia do Brodnicy. Majątek ten dzierżawił już w XVIII w. dziad Natalisa, Franciszek Sulerzyski (kupił go zdaje się w 1790 r., ale wcześniej chyba dzierżawił). Od 1833 r. miał go Natalis, sprzedał w 1861 r. Ferdynandowi Chamskiemu za 43000 talarów.

³ Zajączkowo — wieś na Ziemi Chełmińskiej, istniejąca już w XII w., leży w prostej linii około 11 km na północny wschód od Chełmży. Folwark tamtejszy od 1834 r. był w posiadaniu rodziny Hertellów.

⁴ Zegartowice — wieś leżąca około 9 km na północny wschód od Chełmży. Gdy Sulerzyski spisywał swe *Pamiętniki*, majątek był w rękach niejakiego Bremera.

⁵ Dylewo — folwark i mała wieś leżące przy szosie Kowalewo (Toruń) — Brodnica, wzmiankowane od 1310 r. Wobec bliskości Piątkowa ziemie tych majątności traktowano przeważnie łącznie.

⁶ Mierzynek — por. przypis 3 do rozdziału XII.

⁷ Mowa o zwycięstwie Napoleona nad armią pruską pod Jeną i Auerstāt 14 października 1806 r. Do Torunia wojska francuskie wkroczyły już 7 grudnia tegoż roku.

⁸ Starej szkole chojnickiej, sięgającej tradycją 1623 r., przywrócono status gimnazjum 27 listopada 1815 r. Wśród jej polskich uczniów wielokrotnie zawiązywały się tajne stowarzyszenia patriotyczne.

⁹ Chodzi tu zapewne o pierwsze tomy *Weltgeschichte* (*Historii świata*) Karla Friedricha Beckera, t. 1—10 Berlin 1801—1809.

¹⁰ Bitwa pod Frydlandem (Friedlandem) w Prusach (obecnie Prawdinsk, w obwodzie kalingradzkim RFSSR) 14 czerwca 1807 r. zamknęła krwawą kampanię armii napoleońskiej przeciw wojskom pruskim i rosyjskim, prowadzoną od późnej jesieni 1806 r. na północnym Mazowszu, Pomorzu i w Prusach Wschodnich. W niecały miesiąc później Napoleon i cesarz Aleksander I podpisali traktat tyłżycki. Minęło jednak jeszcze sporo czasu, nim liczne kontyngenty wojsk francuskich odeszły na zachód.

Rozdział II

¹ W okresie Księstwa Warszawskiego toruńskie Gimnazjum Akademickie (założone w 1568 r.), które już w okresie rządów pruskich, po II rozbiorze Polski dalekie było od wszelkiej akademickości, zachowało nazwę Gimnazjum, choć zaliczone zostało tylko do szkół wydziałowych. Po umocnieniu się kadrowym Gimnazjum, w 1812 r. uprawnienia szkoły wydziałowej przeniesiono z zakładu bydgoskiego na toruński.

² Karol Wilhelm Schirmer (Szyrmer) — dokonał wiele dla podciągnięcia materialnego i personalno-dydaktycznego podupadłej szkoły toruńskiej. Przybył on do Torunia i objął obowiązki rektora we wrześniu 1809 r. Powiązany był z arystokracją polską z Wielkopolski. Był m.in. autorem podręcznika nauki języka polskiego dla Niemców. Od 1817 r., gdy upodabniano szkołę toruńską do innych gimnazjów pruskich, musiał odejść ze stanowiska rektora.

³ Paweł Czajkowski — wykładał w Gimnazjum Toruńskim od 1812 r., a już 1 stycznia 1814 r. musiał odejść z powodów finansowych. Był on zdolnym nauczycielem, historykiem literatury, poetą i tłumaczem. Po wyjeździe z Torunia od 1815 do 1833 r. wykładał w Akademii Krakowskiej.

⁴ Tomasz Dziekoński był jednym z wybitniejszych profesorów w Gimnazjum toruńskim w latach edukacji Natalisa Sulerzyskiego i jego braci. Uczył kolejno w wielkopolskiej Rydzynie i w Chełmnie. W latach 1814—1816 wykładał historię i literaturę polską w Toruniu; następnie przeniósł się do Warszawy, gdzie był najpierw profesorem w gimnazjum, a następnie dyrektorem szkół wojewódzkich.

⁵ Jan Alojzy Radomiński wykładał w Toruniu od sierpnia 1812 do 1816 r., gdzie zresztą jego nowoczesne koncepcje pedagogiczne i praktyka nie spotkały się z przychylnymi ocenami. Uczył geografii, fizyki, matematyki, a także języka polskiego. Przeszedł następnie do Warszawy.

⁶ Ks. Giełżewski — uczył w latach 1814—1816 w Gimnazjum w Toruniu przedmiotów ścisłych.

⁷ Ks. Walerian Dziembiński w szkole toruńskiej położył szczególne zasługi w nauczaniu języka polskiego w latach 1804—1806. Powrócił do Gimnazjum w 1810 r., uczył wówczas religii katolickiej, języka polskiego, łaciny, a przejściowo również geografii i arytmetyki.

⁸ Gen. Stanisław Wojczyński (Woyczyński) — w czasie insurekcji kościuszkowskiej walczył w szeregach legionów polskich we Włoszech, 15 maja 1809 r. nie dopuścił Austriaków do zdobycia mostu wiślanego w Toruniu, gdy podjęli taką próbę z brzegu kujawskiego. Walczył pod sztandarami polskimi w służbie Napoleona do 1814 r.

⁹ Przedstawione w *Pamiętnikach* okoliczności obrony Torunia przed Austriakami w maju 1809 r. rzecz całą upraszczają i czynią rodzajem „cudu”. Wysłana przez arcyksięcia Ferdynanda Karola d'Este brygada generała Mohra miała zdobyć nagłym atakiem miasto, którego fortyfikacje (w tym i przedmoście — okolica dzisiejszego dworca Toruń Główny) były dopiero w trakcie odnawiania i rozbudowy. Mohr, skoncentrowawszy swe siły koło kujawskiego miasteczka Służewo, podjął 15 maja o świcie atak na szaniec przedmostowy. Austriacy atakowali trzema batalionami, z tym że jeden z nich, dowodzony przez pułkownika Bruscha — szefa sztabu całego 7. korpusu księcia d'Este, miał zająć broniących się Polaków od strony Podgórze, czyli od zachodu i w ten sposób odciąć im drogę ucieczki przy moście na Kępę Bazarową, gdzie był następny szaniec. Tak się jednak nie stało. Bruscha, z nieznanych przyczyn, zaatakował na wprost. Idąc w pierwszych szeregach sam zginął, otrzymawszy z bliska strzał armatni kartaczem w piersi, co na chwilę wstrząsnęło i zatrzy-

mało Austriaków. Wprawdzie licząca ponad 1000 osób załoga szańca, złożona z rekrutów pierzchła na Kępę, ale kilku doświadczonych oficerów i podoficerów broniło go jeszcze przez pewien czas. Wkrótce jednak i oni musieli się wycofać. Następne bezpośrednie natarcie austriackie zatrzymano ogniem artylerii; część mostu wiślanego uległa w tym czasie uszkodzeniu. Weszła też do akcji ciężka artyleria forteczna, która przepędziła żołnierzy Mohra z brzegów rzeki. Bruschowi wystawiono później pomnik, który dotrwał do XX w.

¹⁰ Napoleon przebywał w Toruniu od 2 do 6 czerwca 1812 r. Mieszkał w Hotelu Warszawskim przy Rynku Staromiejskim (obecnie znajduje się tam gmach poczty).

¹¹ W istocie rzeczy Napoleonowi, jak i wszystkim odwiedzającym Toruń XIX w., pokazywano dom, a w nim nawet rzekomą izbę narodzin Mikołaja Kopernika, przy ul. św. Anny nr 40 (dzisiejszej ul. Kopernika), narożnik ul. Piekary, a nie właściwy pod nr 17. Kamienicy tej przywrócono pierwotny kształt fasady dopiero po 1960 r., a nazwisko jej rzeczywistych właścicieli z XV w. ustalono w 1881 r., choć długo nie było to akceptowane przez część lokalnych historyków niemieckich.

¹² Pierwsze patrole kozackie pokazały się w okolicach Torunia 22 stycznia 1813 r. 7 lutego rozpoczęło się ostrzeliwanie artyleryjskie ufortyfikowanego miasta, a 17 kwietnia, po zaciętej obronie, która spowodowała duże zniszczenia zabudowy, garnizon francuski i wojska sojusznicze oddały stary gród nad Wisłą. Okupacja rosyjska Torunia trwała do 27 września 1815 r.

¹³ (łac.) Morze Czarne.

¹⁴ Johann Karl Germar — filolog, absolwent Uniwersytetu w Halle, był wieloletnim (od 1783 r.) profesorem Gimnazjum Toruńskiego. Przeszedł na emeryturę w 1817 r.

¹⁵ Niemcewicz objąwszy obowiązki wizytatora szkół, przybył do Torunia, w połowie września 1812 r. Głównym celem jego trzydniowych odwiedzin była wizytacja miejscowego Gimnazjum. W swoich *Pamiętnikach* zanotował później: „Pierwszy raz przejeżdżałem przez Toruń [...]. Zwiedziłem tam szkołę, silnie zalecając uczącym i uczniom, by się pilnie uczyli języka polskiego, w mieście bowiem już panowała niemczyzna, lubo wokoło na wsiach nie tylko mowa, ale i duch polski przemagał [...]”.

Por. J. U. Niemcewicz: *Pamiętniki czasów moich* t. 2 Warszawa 1957, s. 276.

¹⁶ Johann Friedrich Bormann — rodem z Saksonii, uczył w Gimnazjum Toruńskim od 1800 do 1817 r. języków obcych i przedmiotów przyrodniczych.

¹⁷ Konstanty Kruszyński z Nawry — człowiek o dużych ambicjach kulturalnych, stanął na czele toruńskiego Dozoru Szkolnego. Dozór rozpoczął swą czteroletnią działalność wiosną 1809 r.

Ocena działalności rektora Schirmera dokonana przez Sulczyńskiego jest młodzieńcza i nie do końca sprawiedliwa. Nie uwzględnia ona trudnych warunków finansowych i kadrowych, w jakich musiał Gimnazjum prowadzić, ani faktu, że w 1810 r. nastąpiła w organizacji i działalności dydaktycznej tej szkoły wyraźna poprawa.

Por.: S. Salmonowicz: *Toruńskie Gimnazjum Akademickie w latach 1681—1817. Studium z dziejów nauki i oświaty* Warszawa—Poznań—Toruń 1973, s. 351—379.

¹⁸ Toruńskie Gimnazjum w kształcie, jaki mu nadały władze Księstwa Warszawskiego, stopniowo polonizujące się, ale świadomie tolerancyjne narodowo i religijnie, zakończyło swą działalność z początkiem 1817 r. Nowa organizacja, ujednociająca je ze wszystkimi gimnazjami w Królestwie Pruskim, obowiązywała od marca 1817 r. Kolejny rektor, Karol Brohm, objął swą funkcję 15 kwietnia tegoż roku i pełnił ją do 1834 r. Był to człowiek o humanistycznym nastawieniu. Dzięki niemu odbudowana została, zniszczona po wojnach napoleońskich, siedziba szkoły w dawnej bursie (zbudowanej w latach 1596—1601) przy ul. Piekary 49.

¹⁹ Smutne wydarzenia tzw. tumultu toruńskiego z 16 i 17 lipca 1724 r. przedstawia Sulerzyski w duchu tradycji Gimnazjum, tzn. protestanckim. Wyrok i ścięcie burmistrza Rösnera, jak i 9 bezpośrednich uczestników (ale nie radnych) szturmu na kolegium jezuickie i niszczenia przedmiotów kultu, były niewspółmiernie surowe do zamieszek, w których nikt w końcu nie zginął. Faktem jednak jest, że władze miejskie zachowywały się biernie, może i w części świadomie, w czasie tych zaburzeń. Wcale nie mniejszą, jeśli nie większą, nietolerancję religijną demonstrowała też w tamtej epoce część ludności protestanckiej miasta. Po wyroku sfery protestanckie Torunia rozwinęły na wielką skalę w Europie akcję oczerniania Rzeczypospolitej i wręcz nawoływania do interwencji obcej. Protestanckie Gimnazjum, którego uczniowie w tych i w innych wydarzeniach odgrywali pierwszorzędną rolę, było zagrożone likwidacją. Skończyło się na utracie gmachów pofranciszkańskich przy kościele Najświętszej Marii Panny i osłabieniu rytmu pracy szkoły. O sprawach tych pisali ostatnio: W. Gastpary: *Sprawa toruńska w roku 1724* Warszawa 1969 i, dyskutujący z nim, S. Salmonowicz: *O problematyce politycznej i prawnej tzw. Tumultu Toruńskiego z 1724 r.* „Czasopismo Prawno-Historyczne” 1972 R. 24 nr 1.

²⁰ Fryderyk Wilhelm IV Hohenzollern.

²¹ Jan Havelka w latach 1809—1810 lektor języka polskiego w Gimnazjum pochodził z Czech. Został on zwolniony przez rektora Schirmera ze względu na niedostateczne kwalifikacje.

²² Nauczyciel tańca.

²³ „Czas” — krakowski dziennik konserwatywny, wydawany od listopada 1848 r. do września 1939 r.

²⁴ Albrecht Thaer — wybitny agronom niemiecki, z wykształcenia lekarz, założył w rodzinnym Celle Instytut Agronomiczny, a w 1806 r. w Möglin pierwszą w Europie szkołę rolniczą. Autor m.in. czterotomowego podręcznika gospodarowania, którego skrócona wersja ukazała się w języku polskim już w 1819 r., jako *Zasady gospodarstwa rozumowanego*.

²⁵ Burszostwa (niem. Burschenschaften) — związki studentów, które rozwinęły się po 1815 r. na uniwersytetach niemieckich. Stawiały one początkowo przed sobą patriotyczne cele narodowe, a wobec odgórnego zwalczania tych dążeń ograniczały się do kultywowania studenckiego życia koleżeńsko-towarzyskiego.

²⁶ Order Czerwonego Orła (Roter Adlerorden) — odznaczenie pruskie, nadawane za zasługi dla państwa, ustanowione w 1705 r. Miał pięć klas, ojciec Natalisa otrzymał order III klasy.

²⁷ Wszystkimi siłami.

Rozdział III

¹ Trudno ustalić, o którego z Jabłonowskich tu chodzi. Wówczas żyło, podróżowało po Europie i było majątynymi kilku ludzi tego nazwiska.

² Kurlandczycy to mieszkańcy Kurlandii, dawnego lenna Rzeczypospolitej (dzisiaj południowo-zachodniej części Republiki Łotewskiej). Owi Kurlandczycy na studiach w Lipsku byli niewątpliwie niemieckiego pochodzenia i wyznania ewangelickiego.

³ Christian Gottlieb Haubold — wieloletni profesor prawa na Uniwersytecie w Lipsku. Szczególnie cenne były jego studia z prawa rzymskiego.

⁴ Wilhelm Traugott Krüge — kantysta, autor podręczników filozofii i publicystycznych wypowiedzi, pisanych z pozycji liberała. Pisał też o losie Polski.

⁵ Jędrzej Moraczewski — działacz konspiracji poznańskiej przed 1846 r. W 1848 r. wchodził w skład Komitetu Narodowego w Poznaniu. Bliski koncepcjom historiozoficznym Lelewela był autorem m.in. dziewięciotomowych *Dziejów Rzeczypospolitej Polskiej*.

⁶ Góry Kruszcowe to dosłownie tłumaczona z niemieckiego (Erzgebirge) nazwa Rudaw, pasma granicznego między Czechami a Królestwem Saksonii.

⁷ (niem.) Przekłeta podróż dla przyjemności.

⁸ Gra słów po niemiecku: Pan jest z pewnością drukarzem (dosłownie — ściskaczem)! — Tak, ale jestem ściskaczem dziewcząt.

⁹ Ks. Onufry Kopczyński był autorem *Gramatyki języka polskiego i łacińskiego dla szkół narodowych w trzech częściach napisanej z polecenia Komisji Edukacji Narodowej*, wydanej po raz pierwszy w latach 1778—1783.

¹⁰ Hala — spolszczona, używana często w XIX w., nazwa miasta uniwersyteckiego Halle, w Saksonii pruskiej.

¹¹ (niem.) Tchórzliwy łajdak.

¹² Landsmanschaft — tutaj w znaczeniu ziomkostwo, korporacja studentów z jednego kraju lub prowincji.

¹³ Lipsk, a więc i jego uniwersytet (założony w 1409 r.), pozostał po 1815 r. w granicach Królestwa Saskiego, a Heidelberg (uniwersytet założony w 1386 r.) w Wielkim Księstwie Badenii.

¹⁴ Hrabia Adam Gurowski — głośny działacz demokratyczny, uzyskawszy amnestię w 1835 r. powrócił z emigracji do kraju (za co uznano go renegatem), aby ponownie zbiec na Zachód w 1844 r. W czasie wojny secesyjnej w Stanach Zjednoczonych z całą pewnością „sprawie Rosji” nie służył. Do Heidelbergu Gurowski przybył też w 1823 r. po dwóch latach studiów w Berlinie. Nad Neckarem studiował prawo rzymskie i filologię klasyczną. Został stamtąd wydalony, podobno za udział w zajęciach studenckich w 1824 r.

¹⁵ Baden-Baden — uzdrowisko z cieplicami i stacja klimatyczna na skraju Schwarzwald. Słynne kasyno prowadził tu w XIX w. rzutki Francuz Jacques Bènazet.

¹⁶ Friedrich Christoph Schlosser — autor m.in. wydanej w latach 1843—1857: *Weltgeschichte für deutsches Volk*. Był on historykiem liberalizującym, z jego dzieł czerpał swą wiedzę historyczną Karol Marks.

¹⁷ Wiesbaden — miasto na prawym brzegu Renu, położone na przeciw Moguncji, wielki zespół źródeł termalnych, szczególnie zalecanych przy chorobach reumatycznych.

¹⁸ Franzensbad — niemiecka nazwa Františkovych Lazni — słynnego uzdrowiska w zachodnich Czechach, u podnóża Rudaw.

¹⁹ (niem.) Słone źródło, solanka.

²⁰ Homeopatia — system leczenia wprowadzony przez Samuela Hahnemanna, którego istotą jest dawanie choremu minimalnych ilości tych leków, które w większych dawkach wywołują objawy podobne dla typowych danej choroby.

²¹ (niem.) Okazja do Królewca.

²² (niem.) Marsz na wschód.

Rozdział IV

¹ Bezcenne — tu oznacza, odwrotnie niż dzisiaj, mające bardzo niską cenę, poniżej wartości rzeczywistej, nadzwyczaj tanie.

² Pastwiska dla koni.

³ Korzec berliński (miara pojemności ciał sypkich) pszenicy to prawie 55 litrów.

⁴ Złoty polski („pruski”) kursował w Prusach Zachodnich przynajmniej do końca lat dwudziestych XIX w. i równał się 4 „dobrym” groszom. W 1 talarze (moneta srebrna) było 6 złotych.

⁵ Siew jarzynny tzn. sianie zboża jarego.

⁶ Jan Wybicki w czasach Księstwa Warszawskiego stał, jako podprefekt, na czele administracji powiatu michałowskiego (brodnickiego) w ówczesnym departamencie bydgoskim. W 1815 r. władze pruskie zachowały go na stanowisku landrata brodnickiego. Pełnił tę funkcję lojalnie do 1839 r., kiedy, wobec narastających konfliktów między Polakami a władzami pruskimi, na własne życzenie przeszedł w stan spoczynku. W 1848 r. był zaangażowany w tworzenie Ligi Polskiej w Brodnickiem i został w tym powiecie jej przewodniczącym. Po nim landratami brodnickimi byli: Schlott (1840), Lauterbach (1841—1845), von Schrötter (1847—1849), Szczesny (1851—1858), Senft von Pilsach (1859—1861), von Young (1861—1864), Henning (1864—1876).

⁷ Włóka chełmińska to 30 morgów (179 550 m²).

⁸ (łac.) Śmiałym szczęście sprzyja.

⁹ (niem.) Z największą przyjemnością.

¹⁰ Chodzi tu o linię wielkopolską Sulerzyskich.

¹¹ Faktem jest, iż powstanie listopadowe znalazło na Pomorzu słabszy oddźwięk niż w Poznańskiem, ale Sulerzyski minimalizuje, z niewiedzy, tę sprawę. Wymienia on tylko czterech ochotników pomorskich. Otóż z samego gimnazjum chojnickiego poszło walczyć co najmniej 7, jeśli nie 11 uczniów (część z nich co prawda pochodziła z północnej Wielkopolski). Nad Wisłę udał się nawet landrat powiatu chojnickiego Hiacenty Kossowski. Por. W. Look: *Gimnazjum chojnickie w czasach zaboru pruskiego w XIX i na początku XX w.* W: *Księga pamiątkowa 400-lecia toruńskiego Gimnazjum Akademickiego* t. 3, Toruń 1974, s. 257.

¹² Jakub Wilkycycki, właściciel Ryńska, uczynił ze swego dworu punkt oparcia dla zbiegów politycznych. Cieszył się on dużym autorytetem, do czego przyczyniał się zapewne fakt, że je-

go brat Jan Jerzy, kanonik kapituły chełmińskiej, a w latach 1814—1824 administrator tej diecezji, był szczególnie szanowany przez niższe duchowieństwo parafialne, mające zawsze duży wpływ na kształtowanie opinii publicznej.

¹³ Przejście granicy pruskiej i internowanie resztek sił głównych armii powstańczej nastąpiło pod Brodnicą 5 października 1831 r.

¹⁴ Kalikst Borzewski — właściciel wsi Chojno na Ziemi Dobrzyńskiej, uczestnik powstania listopadowego, emigrant. We Francji został wciągnięty do sprzysiężenia pułkownika Józefa Zaliwskiego, przygotowującego akcję małych oddziałów partyzanckich w zaborze rosyjskim. Wyznaczono go okręgowym płocko-lipnowskim. Borzewski przybył jednak z opóźnieniem i dotarł na Ziemię Chełmińską gdzieś w pierwszym tygodniu kwietnia 1833 r. Tymczasem Artur Zawisza, wyznaczony okręgowym warszawsko-sochaczewskim był w Toruniu już w marcu i w przebraniu chłopskim wyprawił się za Drwęcę dla przekonania się o nastrojach społeczeństwa. Powrócił następnie około 10 kwietnia, przekonany o bezcelowości wznawiania walki. Przybyły właśnie Borzewski zaczął go jednak przekonywać o konieczności podjęcia działań partyzanckich. A gdy już przeszli Drwęcę i osaczeni, 13 maja rozproszyli się po zaprzyjaźnionych dworach, Borzewski, chroniący się u swego szwagra, Czermińskiego, załamał się, wrócił do zaboru pruskiego i udał się na emigrację.

¹⁵ Artur Zawisza — ochotnik powstania listopadowego, na emigracji członek Towarzystwa Demokratycznego. Należał do współorganizatorów wyprawy Zaliwskiego. 10 marca przybył do Turzyna pod Toruniem, gdzie podjął przygotowania do wyprawy partyzanckiej. Wyruszywszy wspólnie z Borzewskim, przejął faktycznie dowództwo nad małym oddziałem i po przeczekaniu obław rosyjskich, 27 maja zebrał go ponownie, przeprowił się przez Wisłę i ruszył ku Warszawie. 14 czerwca oddziałek ten Rosjanie otoczyli koło Krośniewic. Po zażartej walce część partyzantów, w tym i rannego Zawiszę, ujęto na miejscu, pozostałych wylapano później. Zawiszę powieszono w Warszawie, 15 listopada 1833 r. przy ówczesnej Rogatce Jerozolimskiej, dzisiejszym Placu Zawiszy. Do końca zachowywał się bohatersko.

¹⁶ Planowane przejście granicy zaboru rosyjskiego w różnych punktach przez oddziały ochotników z wyprawy pułkownika Józefa Zaliwskiego miało nastąpić w dniu jego imienin, tj. 19 marca. Manewr ten udało się przeprowadzić tylko częściowo.

¹⁷ Byli to żołnierze z internowanych na Powiślu, w okolicach Elbląga i Malborka, sił powstańczych, którzy opierali się przyjęciu amnestii rosyjskiej i powrotowi do Królestwa, Prusacy wzięli ich w twierdzach, przede wszystkim w Grudziądzu. Wśród nich było rzeczywiście wielu służących w słynnym 4. pułku piechoty liniowej. Po wysłaniu większości z nich morzem na Zachód, część siłą wyokrętowała się w Portsmouth w Anglii i dała początek Gromadzie Grudziądz Ludu Polskiego.

¹⁸ Chodzi tu najpewniej o emigranta Antoniego Kurellę, byłego porucznika 3. pułku piechoty liniowej, odznaczonego krzyżem *Virtuti Militari*. Po powrocie na emigrację opuścił on w ogóle Europę.

¹⁹ Oddziałek Borzewskiego i Zawiszy przeprowił się przez Drwęcę nocą z 1 na 2 maja 1833 r. Do starcia z patrolem kozac-

kim rzeczywiście doszło w pobliżu Radzik Małych. Zginęło i było rannych w nim kilku kozaków, ale i dwóch partyzantów — Kurella i Wojtkiewicz.

²⁰ (łac.) Zła marka, zła nota.

²¹ Fryderyk Wilhelm III zmarł 7 czerwca 1840 r.

Rozdział V

¹ Chodzi tu o popularne w swoim czasie dzieło Ignacego Krasickiego, wydane w 3 częściach między 1778 a 1803 r.

² Eichsfeld — wyżyna, wapienna kraina w centrum Niemiec na południowy zachód od Harzu. Główne miasto — Heiligenstadt, ludność przeważnie katolicka.

Rozdział VI

¹ Izabella Czapska — pierwsza żona Natalisa Sulerzyskiego, poślubiona przezeń w 1836 r., urodziła się 1 maja 1815 r., zmarła już 6 grudnia 1837 r.

² (niem.) Hodowla jednorodna.

³ Park dworski (a w nim niektóre drzewa sadzone jeszcze przez Natalisa Sulerzyskiego) zachował się we względnie dobrym stanie do chwili obecnej.

⁴ Gębice — wieś położona na wschód od Czarnkowa, odległa od Torunia około 150 km.

⁵ (niem.) Otóż i przybył on!

⁶ Niemiecka nazwa uzdrowiska Duszniki w Kotlinie Kłodzkiej.

⁷ Niemiecka nazwa uzdrowiska Lázne Jeseník, na północy Moraw, u podnóża Pradziada, leżącego powyżej miasteczka Jeseník. Uzdrowisko to założył w 1826 r. Vienzenz Priessnitz, twórca metody wodoleczniczej.

⁸ Chodzi tu zapewne o dzisiejszy Drogosław, miejscowość położoną w sąsiedztwie Nowej Rudy, na zachód od niej. Wodolecznictwo stosowano tam od 1837 r.

⁹ (łac.) O święta naiwności.

¹⁰ (łac.) Kołtun polski.

Rozdział VII

¹ Rzeczywiście Freudenfeldowie już w latach czterdziestych XIX w. zaliczali się do zamożniejszych rodzin wśród właścicieli ziemskich w powiecie brodnickim (mieli 3156 ha ziemi).

² W średniowieczu Ziemia Michałowska był to obszar położony na lewym brzegu Drwęcy, naprzeciw Brodnicy. Dalej na północny wschód rozciągały się tereny kolonizowanej przez ludność polską Ziemi Lubawskiej. Z czasem niezbyt trafnie nazwę Ziemi Michałowskiej zaczęto rozciągać na powiat brodnicki i w takim — mocno rozszerzonym — znaczeniu używa jej Sulerzyski.

³ Komorowo — majątek nad rzeką Pissą. W drugim ćwierćwieczu XIX stulecia należał do Jezierskich, od 1850 r. do Sulerzyskiego a od 1870 do Toruńskiego Banku Kredytowego Donimirski i Spółka.

⁴ „Ze szkoły chełmińskiej” — tzn. z gimnazjum w Chełmnie, założonego, a właściwie odnowionego w 1837 r. Szkoła ta w następnych kilkudziesięciu latach była żywym ośrodkiem ruchu patriotycznego młodzieży polskiej.

⁵ Münsterwalde czyli Minsterwald to niemiecka nazwa Opalenia, wsi i majątku położonego w dolinie wiślanej, niedaleko Kwidzyna.

⁶ Mowa tu o Józefie Czarnowskim.

Rozdział VIII

¹ Chodzi tutaj o rewolucyjny manifest krakowski z 22 lutego 1846 r.

Sulerzyski w pierwodruku swych *Pamiętników* (t. 1, s. 173—175) przytoczył pełny tekst tego ideowego dokumentu demokracji polskiej. W tym wydaniu opuszczono go, gdyż jest on łatwo dostępny w różnych wydawnictwach źródłowych, a bezpośrednio nie łączy się z narracją Sulerzyskiego o jego życiu.

² Seweryn Elżanowski a raczej Elzanowski (bo tak się podpisywał), pochodził z Królestwa, ale z rodziny wywodzącej się niewątpliwie z Ziemi Chełmińskiej (wieś Elzanowo). Zamieszany w działalność konspiracyjną w Królestwie zbiegł w 1844 r. na Pomorze i ukrywał się u ciotki Konstancji Jezewskiej i Stanisława Radkiewicza w Swieckiem. Zaangażowany w przygotowania powstańcze i w 1846 r. aresztowany, w procesie berlińskim skazany został na karę śmierci. W czasie Wiosny Ludów powrócił na Pomorze i, podobno, sformował w Borach Tucholskich kilkusetosobowy oddział partyzancki, z którym przeszedł w Poznania. Później działał na emigracji (z misją emisarską był na Pomorzu raz jeszcze w 1852 r.).

³ Tj. członków komisji śledczej.

⁴ Zawieszono uprawnienia i korzyści wynikające z pośredniczenia w rozdziale kredytów.

⁵ Król pruski już w 1815 r. zapowiadał powoływanie reprezentacji parlamentarnej dla całego państwa, przewidywała ją również ustawa z 1823 r. o powoływaniu reprezentacji prowincjonalnych. Jednak gdy minęły gorące lata schyłku epoki napoleońskiej, a władza znów się umocniła, nie spieszo się z powołaniem organu przedstawicielskiego. Dopiero w 1847 r. Fryderyk Wilhelm IV utworzył sejm połączony (vereinigter Landtag), nazwany tak dlatego, że w Berlinie zebrano wszystkich członków ośmiu reprezentacji prowincjonalnych (razem sześćset siedemnaście osób).

⁶ Słynna odezwa Fryderyka Wilhelma III *An mein Volk*, ogłoszona we Wrocławiu 17 marca 1813 r., wzywała do wojny narodowej przeciw Napoleonowi. Nie było w niej jednak sformułowanych jasno zobowiązań co do nadania Prusom konstytucji.

⁷ Przedstawiona tutaj przez Sulerzyskiego za Grewenitzem

wersja dramatycznych wydarzeń z lutego 1846 r. jest uproszczona i idealizująca Fryderyka Wilhelma IV. Do administracji i policji pruskiej docierały już od końca 1845 r. wieści o jakichś polskich przygotowaniach powstańczych. 13 stycznia 1846 r. król powołał nawet specjalną komisję śledczą, ale szczegółów sprzyśiężenia nie znano. Zasadnicze znaczenie miały zeznania hrabiego Henryka Ponińskiego, który uważając, że tym sposobem uchroni prowincję przed rozlewem krwi i wstrząsami rewolucyjnymi, zgłosił się 5 lutego do prezydenta policji poznańskiej Minutolego i złożył obszerne zeznania, w których odkrył plany spisku, nazwiska przywódców, szczegóły organizacyjne. W tej sytuacji władze pruskie wszczęły intensywne śledztwo i 12 lutego w Swinarach, w pobliżu Gniezna, aresztowano Ludwika Mierosławskiego, przy którym znaleziono mapy i spisy konspiratorów.

⁸ Następnie Sulerzyski w pierwodruku jego *Pamiętników* (t. 1, s. 185—203) przytoczył tekst słynnego przemówienia Ludwika Mierosławskiego, wygłoszonego na procesie berlińskim, w Moabicy 3 i 5 sierpnia 1847 r. Poprzedził on tę mowę następującą uwagą: „Dla miłośników patriotycznego krasomówstwa przypominam ich pamięci świetną mowę Mierosławskiego, z życzeniem zgody dla jego przeciwników”. W obecnym wydaniu mowa została pominięta z tych samych powodów co i wcześniej opuszczony tekst manifestu krakowskiego z 1846 r.

⁹ (niem.) Chcemy chłopaków na budę [czyli zamek] popchnąć.

¹⁰ (niem.) Hurra! Niech żyją Polacy!

¹¹ (niem.) Z mieniem i krwią (zdrowiem).

¹² A oto jak tę wizytę Sulerzyskiego i towarzyszy w Brodnicy widział jeden z niemieckich mieszkańców tego miasta: „Do miasta [...] wjechało pewnego dnia z odznakami narodowymi trzech polskich szlachciców: Sulerzyski [i], Jezierski i Kucharski, znani jako główni przewodnicy polskiego ruchu w Prusach Zachodnich. Przyjeżdżali oni z Golubia, gdzie zdjęli byli orły pruskie i proklamowali Rząd Narodowy. To samo chcieli oni uczynić i tutaj, ale temu oparła się ludność i to nie tylko niemiecka, ale i polska. W hotelu Dopatki miały miejsce ożywione debaty pomiędzy komitetem tudzież poważnymi brodnickimi obywatelami i niemieckimi właścicielami dóbr z powiatu brodnickiego z jednej, a onymi — jak się sami mianowali — delegatami Narodowego Rządu polskiego z drugiej strony. Na próżno starano się przekonać ich o całej bezsensowności ich przedsięwzięcia. Nie porzucali oni swego zamiaru. Tymczasem, atoli, wystąpiła pod broń straż obywatelska, a ludność brodnicka wobec delegatów zajęła tak głośną postawę, iż musieli oni w spiesznej ucieczce szukać ocalenia. Sulerzyski i Jezierski dopadli koni i uszli bez czapek. Kucharskiego niemieccy właściciele przez podwórze wyprowadzili na tylną ulicę. Tam jeden z nich, Freudfeld, wsadził go na swoją podwoję, zakutał w płaszcz i uwięził szczęśliwie”. Cyt. wg: *Brodnica między 1819 a 1863. Szkic kulturalno-historyczny według opowiadania żyjącego je-szcze świadka* [Niemca brodnickiego] spisał R. Łazęga [A. Chudziński] „Roczniki Towarzystwa Naukowego w Toruniu” 1898 R. 5, s. 88.

¹³ Aresztowanie to miało miejsce 4 kwietnia 1848 r., w przeddzień planowanego wielkiego zjazdu Polaków.

¹⁴ (łac.) każda trójka doskonała.

¹⁵ Owa „garść ziemi na Wasz święty pomnik” to najpewniej aluzja do sypania we Lwowie od 1869 r. kopca unii lubelskiej. Z tej okazji zapewne też odbywała się uroczystość, w której uczestniczył Sulerzyski.

Rozdział IX

¹ Rozdział IX otwiera w wydaniu krakowskim *Pamiętników Sulerzyskiego* tom drugi, ale pomyłono wówczas numerację rozdziałów. W rezultacie tego są dwa rozdziały ósme, raz, jako ostatni rozdział tomu pierwszego, dwa, jako pierwszy tomu drugiego. W obecnym wydaniu błąd ten poprawiono.

² Sulerzyski miał tu najpewniej na myśli umiarkowanie demokratyczny dziennik poznański „Gazetę Polską”, wydawaną przez Walentego Stefańskiego a redagowaną przez Hipolita Cegielskiego w okresie od 22 marca 1848 do 29 czerwca 1850 r.

³ Napad pod Łabiszynem na dwudziestu dwóch lub trzydziestu ochotników, jadących z płockiego, miał miejsce 5 kwietnia 1848 r.

⁴ Sulerzyski ma w tym miejscu na myśli wydarzenia z okresu od stycznia do czerwca 1807 r., kiedy to załoga twierdzy grudziądzkiej, dowodzona przez generała Courbière'a, należała do tych nielicznych obsad pruskich fortec, które nie poddały się wojskom napoleońskim po pierwszych strzałach i broniła się przez pół roku. Tę zasługę Courbière'a umniejsza jednak fakt, że aż do końca maja słabe siły francuskie twierdzę grudziądzką raczej blokowały, a nie, w sposób regularny, oblegały.

⁵ Mowa tu o kościele pojezuickim na Starym Rynku w Bydgoszczy, z którego rzeczywiście gwałtowny wicher, w czasie burzy 18 czerwca 1848 r. zerwał obite miedzianą blachą barokowe hełmy. Kościół ten, przed którym rozstrzeliwano Polaków we wrześniu 1939 r., w 1940 r. hitlerowcy zburzyli.

⁶ Ks. Karl Richter (Rychter) pochodził z Westfalii. W 1837 r. powołany na dyrektora nowo otwartego Gimnazjum w Chełmnie, następnie był prałatem i profesorem w Pelplinie. W czasie Wiosny Ludów głosami ludu polskiego został wybrany na posła z Pomorza do sejmiku pruskiego. Tam zaangażował się w obronę praw języka polskiego. Był też współzałożycielem Ligi Polskiej. Za więzioniami w Grudziądzu upominał się w sejmie berlińskim trzykrotnie, m.in. 11 i 13 października 1848 r.

⁷ W wyborach do sejmiku pruskiego, które odbyły się 5 lutego 1849 r., z Prus Zachodnich wybrano aż siedmiu (a nie czterech!) deputowanych reprezentujących polskie interesy. Byli to: księża: Antoni Skiba, Karl Richter, Antoni Klingenberg, Piotr Bartoszkiewicz, oraz ziemianie: Hiacenty Jackowski, Aleksander Kliński i Natalis Sulerzyski.

⁸ (łac.) tu w sensie — gorzkie słowo, zdanie.

⁹ „Nadwiślanin” — tygodnik wydawany w okresie od 1 października 1850 r. do 30 grudnia 1866 r. przez Józefa Gólkowskiego, a redagowany m.in. przez Ignacego Łyskowskiego, Ignacego Danielewskiego, Józefa Chociszewskiego. Pierwsze polskie

czasopismo społeczno-polityczne na Pomorzu Gdańskim w dobie zaborów. Od 1867 r. zastąpiła go „Gazeta Toruńska”.

¹⁰ Zdaje się, że część koni huzarów pruskich, po tej „sławetnej szarzy” potopiła się w owym torfowisku, gdyż wg relacji Anasztazego Gorzki, złożonej 4 sierpnia 1979 r. w Pluskowężach, gdy „parcelant” Franciszek Florek kopał, już po II wojnie światowej, torf przy drodze idącej z Pluskowęż na Kiełpin, to znajdował w nim dużo kości. Obecnie torfowisko to zarosło olszynami.

Rozdział X

¹ Homburg vor der Höhe (Bad) — uzdrowisko na skraju gór Taunus, w pobliżu Frankfurtu. Występują tam źródła żelazistych wód mineralnych bogatych w kwas węglowy. W latach 1840—1872 w uzdrowisku było czynne, głośnie wówczas, kasyno gry braci Blanc.

² Ekstyrpator, graczownik — narzędzie do wrywania chwastów, kruszenia i spulchniania gleby, wprowadzane pod koniec I połowy XIX w., głównie w unowocześniających się majątkach ziemiańskich.

³ (franc.) Trzydzieści i czterdzieści — hazardowa gra w karty.

⁴ Gleisweiler — wieś na południu Palatynatu bawarskiego, w pobliżu ruin zamku Scharfeneck.

⁵ Sulerzyski w swych *Pamiętnikach* „emigrantami” nazywa nie tylko osoby powracające z Zachodu z wygnania politycznego, ale także uciekinierów z zaboru rosyjskiego.

⁶ Ów Galle, budowniczy z Warszawy, to najprawdopodobniej Aleksander Galle, o którym wiadomo, że w 1835 r. wyjechał do Niemiec dla prowadzenia studiów nad architekturą górniczą.

⁷ W istocie rzeczy dwór, a raczej zameczek wzniesiony wg planów Galla w Piątkowie, swą historyzującą architekturą bliższy jest neogotykwowi, po części w duchu angielskim, niż neorenesansowi.

⁸ W Nawrze, majątku położonym około 8 km na zachód od Chełmży, szambelan Konstanty Kruszyński, zlecił Hilaremu Szpilowskiemu wzniesienie neoklasycznego zespołu pałacowego (1798—1805). Później znalazł się on w rękach rodziny Ślaskich, a w 1865 r. przeszedł w posiadanie Sczanieckich. W końcu lat trzydziestych XIX w. Karol Kalkstein organizował tam u swego zięcia, Władysława Kruszyńskiego, pierwsze polskie bale na Ziemi Chełmińskiej.

⁹ Majątek Radowiska Małe, obok wsi o tejże nazwie, położony jest około 10 km na południe od Wąbrzeźna. Sulerzyski kupił go w 1852 r., a jego syn Wacław odprzedał w 1868 r. Paulowi Dinerowi.

¹⁰ Prezes rządu to ściślej rzecz biorąc prezydent obwodu rejencyjnego. Był nim wówczas w Kwidzynie Jakob Freiherr von Nordenflycht.

¹¹ Naczelnym prezesem czyli nadprezydentem poznańskiej prowincji (Wielkiego Księstwa Poznańskiego) był w latach 1851—1860 Eugen von Puttkamer.

¹² „Wydanie do Polski” tzn. przekazanie do dyspozycji władz

Królestwa Polskiego. Wydawanie zbiegów z Kongresówki było powszechnie stosowane przez władze pruskie od 1838 r., w ramach porozumienia, zwanego wówczas kartelem i regulowane odpowiednimi umowami; zawieszono w latach czterdziestych, wznowiono w dobie reakcji, po zdławieniu rewolucji z lat 1848—1849.

¹³ Uckermark (Marchia Wkrzańska) — północna część Brandenburgii, na zachód od dolnego biegu Odry.

¹⁴ „Nationalzeitung” — dziennik berliński o orientacji narodowo-liberalnej, ukazujący się od 1 kwietnia 1848 r. aż do lat międzywojennych.

¹⁵ Sulerzyski, lub raczej drukarz, przekręca tu nazwisko wybitnego ideologa włoskiego ruchu republikańskiego i zjednoczeniowego Giuseppe Mazziniego. A owe „akcje” to zapewne „Akcje Sprawy Polskiej”, rodzaj anonimowej subskrypcji, ogłoszonej 10 sierpnia 1850 r. przez londyńską Centralizację Towarzystwa Demokratycznego Polskiego. Uzyskiwane tym sposobem fundusze szły na „propagandę ludową”, tzn. przede wszystkim na wydawanie czasopisma „Demokrata Polski” (1837—1863).

¹⁶ Tytus Działyński zaraz po upadku powstania listopadowego, gdzieś około 9 października 1831 r. wyruszył spod Krakowa do Paryża z misją polityczną, powierzoną mu przez księcia Adama Czartoryskiego, z której wkrótce zresztą powrócił do kraju.

¹⁷ Komisja Spraw Wewnętrznych na czele z dyrektorem głównym była, również pod koniec epoki Paskiewicza, jednym z relikwów dawnej autonomii Królestwa Polskiego sprzed 1832 r., ale równocześnie narzędziem realizacji polityki zaborecy w zakresie administracji krajem.

¹⁸ Chodzi tu o miasteczko Lidzbark, położone nad rzeką Wel o 30 km na wschód od Brodnicy.

¹⁹ Śrem.

²⁰ Radzyń — miasteczko położone w centrum Ziemi Chełmińskiej, w powiecie grudziądzkim. Znajduje się w nim, rujnowany aż do 1837 r., znakomitej klasy architektonicznej, zamek pokrzyżacki oraz gotycki kościół parafialny św. Anny z XIV w. o bogatym wyposażeniu.

²¹ Poprawnie prediger, czyli kaznodzieja, duchowny protektancki.

²² Rosyjska konna straż, strzegąca granic Królestwa Polskiego.

²³ Dobrzyń w XIX w. nazwano, leżące już na Ziemi Dobrzyńskiej, dawne przedmieście Golubia, które znalazło się od 1815 r. po drugiej stronie granicy, tzn. po stronie Królestwa, i które z czasem rozrosło się w spore miasteczko, żyjące zresztą w znacznej mierze z przemytu. Obecnie znów te dwie miejscowości zostały połączone i noszą nazwę Golub-Dobrzyń.

²⁴ (niem.) Jest to przekręcona odpowiedź wojskowa: *Zu Befehl, Herr Leutnant!* — „Wedle rozkazu, panie poruczniku!”

²⁵ „Szkólnik” albo i „szkolny” to stosowane dawniej na Pomorzu, gwarowe określenie nauczyciela, a także kierownika szkoły wiejskiej.

²⁶ Chodzi tu nie tyle o bliższe okolice Malborka, ile o Sztumskie, czyli południową część Powiśla.

²⁷ Towarzystwo Naukowej Pomocy zamierzano założyć na Ziemi Chełmińskiej i Pomorzu jeszcze przed Wiosną Ludów. Za

datę faktycznego jego zawiązania przyjąć należy dzień 30 października 1848 r., kiedy to w Chełmnie, w nowo założonej re-sursie polskiej, zebrały się pięćdziesiąt cztery osoby, głównie ziemianie i duchowni i powołały dziewięcioosobową dyrekcję. Prezesem honorowym został inicjator Mateusz Ślaski, a faktycznym Karol Kalkstein z Pluskowęs pod Chełmżą. Głównym zadaniem TNP było wspieranie stypendiami kształcenia polskiej inteligencji. Działo ono do 1939 r. O dziejach tego zasłużo-go stowarzyszenia pisze B. Osmólska-Piskorska: *Pomorskie To-warzystwo Pomocy Naukowej. Pół wieku istnienia i działalno-ści 1858—1898* Toruń 1948.

²⁸ „Pan R.” to Stanisław Radkiewicz. Służąc od 1822 r. w armii Królestwa Polskiego, doszedł w czasie powstania listopa-dowego do stopnia majora. Od 1833 r. gospodarował w Brzeźnie w Świeckiem. Naturalizowany w 1842 r., odegrał on poważną rolę w rozwijaniu organizacji narodowej w Prusach Zachodnich w czasie powstania styczniowego.

²⁹ Kalberg jest to niemiecka nazwa Łysicy, czyli obecnie Kry-nicy Morskiej, znanego kąpieliska na Mierzei Wiślanej. Już od 1841 r. utrzymywano z nim regularną komunikację wodną z Elbląga i Królewca.

³⁰ (niem.) Polscy durnie (dosłownie: polskie woły).

³¹ Mowa tu o kościele Św. Ducha, zborze ewangelickim, wznie-sionym w Toruniu przy Rynku Staromiejskim w latach 1753—1756, wg planów Andrzeja Bähra z Drezna, przez Efraima Schrögera. Od 1945 r. jest on świątynią katolicką oo jezuitów.

³² Pomnik początkowo zamierzano wznieść w 1843 r., tj. w trzechsetną rocznicę śmierci Kopernika. W czasach pruskich za-jęło się tym ponownie specjalnie powołane stowarzyszenie. Ofia-ry napływały jednak tak wolno, że trzeba było rzecz całą prze-sunąć o dziesięć lat. Kamień węgielny pod pomnik Kopernika położony został jeszcze w 1809 r., po odpowiedniej uchwale Ra-dy Stanu Księstwa Warszawskiego, zamówiono też posąg astro-noma u wielkiego rzeźbiarza duńskiego Bertela Thorvaldsena. Ostatecznie pomnik z warsztatu Christiana Tiecka przywieziono z Berlina do Torunia 16 lutego 1852 r.

³³ Studzienkę rozebrano w XX w. dla ułatwienia przeprowa-dzenia linii tramwajowej, skracającej w stronę ówczesnej ul. Chełmińskiej, obecnie Dzierżyńskiego.

³⁴ Ów napis łaciński, do dzisiaj widniejący na cokole toruń-skiego pomnika wielkiego uczonego, w tłumaczeniu na polski brzmi: „Mikołaj Kopernik, toruńczyk, ruszył ziemię, wstrzymał słońce i niebo, Urodzony roku 1473, zmarł roku 1543”. Autorem tego napisu był profesor Gimnazjum Toruńskiego, dr Karol Brohm.

Rozdział XI

¹ Świerczyny — wieś leżąca około 6 km na południowy wschód od Brodnicy, na obszarze historycznej Ziemi Michałowskiej. Właścicielem jej najpierw był Niemiec Keck, później Wybicy, następnie od 1858 r. Sulerzyski, a od 1885 Niemiec, Ernst Braun.

² Por. przypis 3 do rozdz. VII.

³ Tłumacz sądowy odwoływał się do pierwszego wydania *Słownika języka polskiego* Samuela Bogumiła Lindego, wydanego w Warszawie w latach 1807—1814.

⁴ Obecnie jest to odcinek drogi państwowej nr 170 Toruń—Olsztyn.

⁵ Pluskowęsy koło Kowalewa (odległe o około 4 km na północny wschód od tego miasteczka) — stara wieś, wzmiankowana już w 1258 r., siedziba proboszcza parafii obejmującej również Piątkowo należące do Sulerzyskich.

⁶ Milla pruska, obowiązująca od 1872 r. to 7532,5 m.

⁷ Być może ktoś o tym nazwisku, spokrewniony z nimi posłował już jako przedstawiciel Niemców toruńskich do parlamentu frankfurckiego w 1848 r. Radca von Henning z Kwidzyna jeszcze w 1819 r. nabył duży majątek Dębową Łąkę. W latach czterdziestych był on najbogatszym z właścicieli ziemskich, Niemców, w Brodnickiem. Jeden z jego dwóch synów był później posłem.

⁸ Kilka tych solidnie zbudowanych domów stoi w Piątkowie do dzisiaj.

⁹ Małe Pułkowo — położone ponad 10 km na północny wschód od Kowalewa, w 1822 r. odziedziczone zostało przez żonę Wysockiego — Amalię, po ojcu, Aleksandrze Orłowskim. W 1857 r. przejął je Aleksander Wysocki, a w 1860 zakupił Natalis Sulerzyski. Od 1875 weszło ono w posiadanie Ludwika Wierzbickiego.

¹⁰ Dulsk — wieś w Ziemi Dobrzyńskiej, odległa o 7 km na południowy wschód od Golubia-Dobrzynia, gniazdo rodowe Dulskich, w posiadaniu Wysockich od końca XVIII w.

¹¹ Te obawy rewolucji we Francji przeciw Napoleonowi III, które wstrząsnęły nawet giełdą i kredytodawcami berlińskimi, wiązały się zapewne z głośnym zamachem na parę cesarską, dokonanym w Paryżu 14 stycznia 1858 r. przez Włocha, Felice Orsiniego. Działał on bez powiązania z jakimś spiskiem francuskim, co nie przeszkodziło reżymowi II Cesarstwa podjąć szeroko zakrojone i głośne represje przeciw republikanom, a to z kolei musiało budzić w Europie wątpliwości co do trwałości rządów Napoleona III. Sulerzyski po pieniądze do Berlina pojechał w końcu zimy lub wczesną wiosną 1858 r.

¹² Tiergarten — obecnie park i dzielnica w Berlinie Zachodnim, przyległe do Berlina Wschodniego od strony Bramy Brandenburskiej. Nazwa Zwierzyniec dla tej części miasta pochodzi stąd, że od 1527 r. do XVII w. były tam tereny myśliwskie elektorów brandenburskich.

¹³ Mowa o Fryderyku Wilhelmie III, który rządził od 1797 r., a zmarł 7 czerwca 1840 r.

¹⁴ Fryderyk Wilhelm IV pod koniec swego panowania zapadł na chorobę umysłową, tak że od 9 października 1858 r. musiano ustanowić regencję jego brata, późniejszego króla Prus (od 1861 r.), i cesarza Niemiec Wilhelma I (od 1871).

¹⁵ (niem.) Dosłownie „wszystko republika”, czyli wszędzie ustrój republikański.

¹⁶ Zatwardzenie.

¹⁷ Druga żona Natalisa — Leonarda z Wybickich, zmarła 14 maja 1860 r. i została pochowana w grobie rodzinnym Sulerzyskich, umieszczonym na zewnątrz południowej ściany wieży kościoła parafialnego w Pluskowęsach. Upamiętnia ją prosty,

marmurowy krzyż ze stosownym napisem, podobny do starszego, postawionego po śmierci pierwszej żony Natalisa, Izabelli z Czapskich.

Rozdział XII

¹ To *curriculum vitae*, spisane po niemiecku, a podpisane przez Sulerzyskiego w Piątkowie 4 sierpnia 1860 r., zamieścił on *in extenso*, nie tłumacząc nawet na polski, jako rozdział XIII (t. 2) pierwodruku *Pamiętników*. Wobec tego, że opisane są w nim raz jeszcze, tyle że w skróconej formie, te same fakty, o których szerzej traktuje pierwszych jedenaście rozdziałów tych wspomnień, rozdział ten pominięto w obecnym wydaniu.

² Chodzi tu zapewne o Teodora Donimirskiego z rodziny ziemiańskiej, wywodzącej się z Kaszub, która jeszcze przed I rozbiorem przeniosła się na Powiśle i uległa częściowemu niemieczeniu. Teodor zrepolonizował się m.in. poprzez związki małżeńskie. Studiował prawo i administrację na uniwersytetach we Wrocławiu, Bonn i Berlinie, doszedł do wysokich godności w rejencji kwidzyńskiej.

³ Mierzynek — miejscowość wzmiankowana od początku XV w., od XVI w. nosząca obecną nazwę, położona na północno-wschodnim skraju Ziemi Chełmińskiej.

⁴ Owcześnie określenie licytacji czyli przymusowej wyprzedaży.

⁵ Sulerzyski w tekście *Pamiętników* z uporem miasto Wąbrzeźno nazywa Wąbrzyżnem.

⁶ (łac.) Niebezpieczeństwo w zwłoce, czyli wezwanie do szybkiej pomocy.

⁷ Franciszek Ksawery Dmochowski — czołowy jakobin polski, był też autorem *Sztuki rymotwórczej* i przekładał na język polski różne utwory poetyckie, w tym i satyryczne wiersze Horacego. Przytoczony w przekładzie na polski wiersz Horacego to dwie pierwsze strofy (wiersze 1-8) trzeciej pieśni z księgi III *Pieśni (Carmen)* wielkiego rzymskiego poety.

⁸ Por. przypis 26 do rozdz. II.

⁹ W lipcu 1861 r. wśród młodzieży napływającej do Francji, głównie z Królestwa Polskiego, po rozluźnieniu przepisów policyjnych w pierwszych latach panowania Aleksandra II, uformowało się Towarzystwo Młodzieży Polskiej. Początkowo pozostawało ono pod wpływem Ludwika Mierosławskiego. Organizacja ta przyczyniła się do wykształcenia spośród młodych przybyszów około dwustu przyszłych oficerów powstańczych, wyszkolonych w polskiej szkole wojskowej, działającej od października 1861 do lipca 1862 r. we Włoszech, najpierw w Genul, a później w Cuneo.

¹⁰ Sytuację w szkole wojskowej w Cuneo Sulerzyski naświetla tutaj wyraźnie z pozycji mierosławszczyka. Główną przyczyną wyłamania się większości młodzieży w Paryżu i Genul spod wpływu Mierosławskiego był nieznośny charakter i meandry polityczne ambitnego generała, które zraziły i postawiły w opozycji wobec niego wielu młodych. Józef Wysocki, drugi z demokratycznych generałów emigracyjnych, był współorganiza-

torem szkoły, a po usunięciu Mierosławskiego sam objął funkcję jej dyrektora w marcu 1862 r.

¹¹ Towarzystwo Agronomiczne w Brodnicy — pierwsza organizacja tego rodzaju na terenie całego Pomorza Nadwiślańskiego, założone zostało 13 września 1861 r. Początkowo liczyło czterdziestu sześciu członków, głównie ziemian. Z czasem liczba członków rosła i w 1868 r. doszła do dwustu trzydziestu trzech, w tym aż stu pięćdziesięciu trzech chłopów.

Rozdział XIII

¹ Autor pisze tu o znanych wydarzeniach warszawskich z 27 lutego 1861 r.

² Sulerzyski przedrukował dosłownie, tak zresztą jak to uczynił w kilku innych miejscach *Pamiętników*, wydany przez siebie druk ulotny pt.: *Mowa Natalisa Sulerzyskiego [!] z Piątkowa na pogrzebie ś.p. Karola Kalksteina, dnia 4 [poprawione piórem z 6] lutego 1862 roku w Pluskowęsach Chełmno 1862*. Egzemplarz tego druku ulotnego zachował się w zbiorach Książnicy Miejskiej w Toruniu, sygn. 3354.

³ (niem.) W sprawie śledztwa przeciw Panu.

⁴ (niem.) Chodzi tu o uznanie prawa do osobistego wymierzenia sobie sprawiedliwości.

⁵ *Wieczory pod lipą, czyli historia narodu polskiego opowiedana przez Grzegorza spod Raclawic*, po raz pierwszy wydane w 1845 r. w Poznaniu, to znana historia „dla ludu” napisana przez Lucjana Siemieńskiego.

⁶ Nie wiadomo, o czyjej siostrze tu mowa. Bo Władysław Jeska (Jeske), od 1862 r. zastępca członka Komitetu Centralnego Narodowego, wysłany do Paryża dla sprowadzenia Mierosławskiego, z którym się później związał i stanął w opozycji wobec Rządu Narodowego, nie był wywieziony na Syberię, a po powstaniu znalazł się na emigracji.

⁷ Trudno w sposób pewny ustalić, kim był ów emigrant, który, zapewne gdzieś jesienią 1862 r., przejeżdżał przez Piątkowo w drodze z Londynu do Warszawy. Mógł to być Cwerciakiewicz. Natomiast owe narady „pod prezydencją Mazziniego”, to zapewne echa rozmów polsko-rosyjskich w redakcji „Kołokoła”, na których wprawdzie wielkiego republikanina włoskiego nie było, ale tam właśnie radykałowie rosyjscy przestrzegali Polaków przed przedwczesnym wybuchem powstania.

Gościłą Cwerciakiewicza w Piątkowie potwierdzającą zeznania Romana Rogińskiego, który też bywał w tym gościnnym dworze. Wynika z nich, iż rola Piątkowa jako punktu oparcia i schronienia dla działaczy patriotycznych z kraju i emigracji była jeszcze większa niż to wynika ze wspomnień Sulerzyskiego.

Por.: R. Rogiński, *powstaniec 1863 r. Zeznania i wspomnienia* Warszawa 1983.

⁸ Radziki (Wielkie) Duże — wieś i majątek na Ziemi Dobrzyńskiej, położone około 15 km na północny wschód od Rypina, od połowy XVIII w. w posiadaniu Przeciszewskich, a od 1839 r. Franciszka Salezego Dmochowskiego.

⁹ Steinkelerska, czy raczej steinkellerka, był to rodzaj dyli-

żansu, wprowadzony w Królestwie przez bankiera warszawskiego, Piotra Steinkellera w latach czterdziestych XIX w. Zabierały one po dziesięciu pasażerów, siedzących na ławkach, wokół ścian, i odznaczały się stosunkowo dużą szybkością i sprawnością. Steinkellerki jeździły m.in. z Warszawy do Torunia.

¹⁰ Kocioł miedziany do pędzenia alkoholu.

Rozdział XIV

¹ W Brodnicy, poza murami miasta, wzniesiono w 1761 r. klasztor i kościół reformatów. Władze pruskie w 1831 r. skasowały dom zakonny, kościół zamieniono na kaplicę cmentarną, a klasztor na więzienie, o którym autor *Pamiętników* kilkakrotnie wspomina.

Suzin i towarzysze zostali aresztowani w trakcie organizowania przez nich na terenie powiatu lubawskiego, na początku lutego 1863 r., oddziału. Wedle pierwotnych planów miał on towarzyszyć dyktatorowi, Ludwikowi Mierosławskiemu, przy jego wkroczeniu do Królestwa. Suzina, po procesie, uwolniono w kwietniu, i już w tym samym miesiącu wyjechał walczyć na Litwę. Poległ tamże w czerwcu.

² Szkoła polska (gimnazjum), założona przez działaczy Wielkiej Emigracji w 1842 r., miała od 1844 r. swą siedzibę w położonej na północy miasta dzielnicy paryskiej, wcześniej przedmieściu — Batignolles. Szkoła ta istniała do XX w. Liczni jej uczniowie i wychowankowie brali udział w powstaniu styczniowym i wojnach toczonych przez Francję. Pisano o niej wiele. Nie tak dawno ukazała się *Księga Pamiątkowa wychowanków Polskiego Liceum w Paryżu z okazji 130 rocznicy powstania Szkoły Batiñolskiej* Warszawa 1972.

³ Aleksander Rogaliński rzeczywiście odniósł zwycięstwo w potyczce pod Ciołkowem 22 stycznia 1863 r., w której jednak został ranny. Następnie działał w Krakowskiem, a od czerwca do września tegoż roku był w Wydziale Wojny Rządu Narodowego.

⁴ Aleksander Śląski — emigrant, pochodził z Wołynia. Miał podobno polec w bitwie stoczonej 22 kwietnia 1863 r. pod folwarkiem Nietrzeba na Ziemi Dobrzyńskiej, przez stuosobowy oddział, dowodzony przez majora Szermentowskiego, idącego na spotkanie z Zygmuntem Padlewskim, o którego uwięzieniu jeszcze nie wiedział. O losach Ruszkowskiego brak danych.

⁵ Sulerzyski ma tu na myśli właśnie majora Szermentowskiego (używał on pseudonimu Henryk Łowiński) i klęskę w boju pod Nietrzebą. Oddział ten, liczący prawdopodobnie sto trzy osoby, zbierał się w kilku majątkach na Ziemi Chełmińskiej, m.in. w Piątkowie. Po skoncentrowaniu się w Lesie Józefackim koło Wielkiej Łąki, w nocy z 21 na 22 kwietnia 1863 r. przeszedł w bród Drwęcę niedaleko Golubia. Wkrótce później doszło do tragicznego dla powstańców, zaskakującego ataku sił rosyjskich. Trudno za to obciążać wyłącznie Szermentowskiego, zwłaszcza że najprawdopodobniej Rosjanie byli informowani ze strony pruskiej o przygotowaniach i ruchach oddziałów polskich.

⁶ (niem.) Naprzód!

⁷ Ludwik Mierosławski, po skomplikowanych rokowaniach z

wysłannikami Rządu Tymczasowego, podpisał 30 stycznia 1863 r. dokumenty, które obejmowały zobowiązania władzy powstańczej wobec niego, jako przyszłego dyktatora. Równocześnie zapewniał, że w ciągu trzech tygodni wkroczy do Królestwa. Zamierzał początkowo dokonać tego w Brodnickiem. Zmienił jednak decyzję na wieść o niepowodzeniu próby zdobycia Płocka, a być może też, gdy dowiedział się o aresztowaniach pruskich w okolicach Lidzbarka. Ostatecznie przekroczył granicę zaboru pruskiego i Królestwa koło wsi Konary na Kujawach nocą z 16 na 17 lutego i w południe zjawił się w Krzywosądku.

⁸ Bezstronna.

⁹ Prawdą jest, że na Mierosławskiego czekało na Kujawach niewiele, słabo uzbrojonych powstańców; prawdą też jest, że o ile ziemiaństwo, zwłaszcza wielkopolskie, odnosiło się doń z dużą nieufnością, to u włościan kujawskich zyskał on sympatię.

¹⁰ Lembarg — duża i bardzo stara wieś włościańska, w prostej linii odległa o około 16 km od Brodnicy, w kierunku północno-zachodnim.

¹¹ Sulerzyski ma tu na myśli założony 19 kwietnia 1866 r. w Toruniu Bank Kredytowy Donimirski i Spółka, który istniał do 1889 r.

¹² Akademiak — oznacza tu osobę, która studiowała na uniwersytetach.

¹³ Ignacy Łyskowski napisał pracę poświęconą gospodarowaniu na roli, zatytułowaną *Gospodarz Prus Zachodnich czyli poradnik gospodarski dla pomniejszych właścicieli rolniczych*. Od 1851 do 1906 r. ten swoisty samouczek dla chłopów-gospodarzy doczekał się dwunastu wydań i łącznego nakładu około stu tysięcy egzemplarzy!

¹⁴ Stolno — stara wieś, położona 7 km na południowy wschód od Chełmna, na skrzyżowaniu ważnych dróg, (obecnie m.in. E 16).

¹⁵ (niem.) W gwarze szwabskiej: Bracie Keck, czy to ty jesteś, czy to nie ty? Do pioruna! Jaki z ciebie (ważny) jest facet!

Rozdział XV

¹ Tj. około 3848 hektarów.

² Kammergerichtstrath — radca, także sędzia sądu kameralnego. Tu chodzi o sędziego śledczego. Berliński sąd kameralny był najwyższym pruskim sądem apelacyjnym, ale przed nim też wytaczano procesy o zdradę stanu.

³ (niem.) W prawo zwrot, marsz!

⁴ (niem.) Zgasić światło!

⁵ (niem.) Starszy lekarz sztabowy.

⁶ Niemiecka nazwa Gorzowa Wielkopolskiego.

⁷ Siedziba zarządcy więzienia; tu po prostu więzienie. Obecnie wspomnieniem po tym jest Hausvogteiplatz w centralnej, starej części wschodniego Berlina.

⁸ (niem.) Strażnik, ochraniający.

⁹ Kissingen (Bad) — uzdrowisko nad Saalą frankońską, w Ba-

warii. Występują tam źródła wód mineralnych stosowanych przy schorzeniach żołądka i wątroby, kąpiele termiczne.

¹⁰ Ostenda — słynne kąpielisko belgijskie nad Morzem Północnym, szczególnie modne przed I wojną światową.

¹¹ Dürkheim (Bad) — uzdrowisko w Palatynacie (dawnej Bawarskim), u stóp Gór Haardt, na zachód od Ludwigshafen, otoczone winnicami, w nim m.in. solanki i tężnie. Od Renu jest jednak odległe o ponad 20 km.

¹² Sulerzyskiego obrano deputowanym do izby drugiej sejmiku pruskiego z okręgu wyborczego lubawskiego. Była to ósma kadencja obejmująca okres od jesieni 1863 do końca 1865 r.

¹³ Koło Polskie uformowało się w sejmie pruskim jeszcze w czasie Wiosny Ludów. Było ono klubem poselskim deputowanych Polaków, ale i, jakby zastępczym, narodowym, organem przedstawicielskim dla zaboru pruskiego. Dominowali w Kole zachowawczo nastawieni posłowie z poznańskiego, do czasu powstania styczniowego i wywołanych przez nie represji lansowano w nim politykę wiernopoddaną wobec Hohenzollernów i państwa pruskiego.

¹⁴ Zygmunt Działowski — właściciel majątku Mgowo koło Wąbrzeźna, podjął studia na Uniwersytecie Jagiellońskim, przerwane wybuchem powstania styczniowego. Podczas niego działał jako kurier, a także brał bezpośredni udział w walce. Podróżnik i miłośnik starożytności polskich, starał się rozwinąć mecenat nad badaniami przeszłości dawnych Prus Królewskich. Był rzeczywistym inicjatorem utworzonego w 1875 r. Towarzystwa Naukowego w Toruniu, lecz go na pierwszego prezesa nie obrano ze względu na młody wiek i niedostatecznie zachowawcze poglądy polityczne.

¹⁵ Cieszkowski powitał trzech wypuszczonych z więzienia posłów, w tym i Sulerzyskiego, na posiedzeniu Koła Polskiego 19 stycznia 1861 r.

¹⁶ Osadę Moabit w pobliżu Tiergarten założyli w końcu XVII w. uciekinierzy z Francji — hugonoci. Miała to być biblijna *terre de moab*. W 1861 r. włączono Moabit do Berlina. Tam właśnie mieścił się sąd kryminalny i więzienie śledcze, w którym trzymano też Polaków w 1864 r.

Rozdział XVI

¹ Przypisy objaśniające do tego rozdziału będą wybiórcze, gdyż jeśli chceć objaśnić dokładniej przebieg procesu berlińskiego z 1864 r. i podać nawet skrótkowe biografie wszystkich oskarżonych, to należałoby napisać osobne studium. Przebieg procesu przedstawił Z. Grot: *Rok 1863 w zaborze pruskim. Udział społeczeństwa polskiego w powstaniu styczniowym* Poznań 1963, s. 174—200.

² Józef Rustejko pochodził z „Samogicji”, tzn. ze Żmudzi, (poprawna jej nazwa w jęz. łacińskim brzmi Samogitia).

³ Artylerzysta; tu rusznikarz.

⁴ Niemiecka nazwa Leszna.

⁵ Uczeń.

⁶ (niem.) Stara Huta.

⁷ Walery Sulerzyski z Górek Zagajnych w powlecie wągrowieckim należał do linii wielkopolskiej Sulerzyskich i nie był bliskim krewnym Natalisa.

⁸ Obok różnych relacji i wyciągów z wystąpień na tym gigantycznym procesie publikowanych w prasie, całość materiałów oskarżenia, jak i przebieg procesu, przedstawiają dwa ówczesne wydawnictwa dokumentacyjne. Są to: *Anklage — Schrift des Ober — Staats bei dem Königlichen Kammer-Gerichte gegen die Beteiligten bei dem Unternehmen welches darauf abzielt, zur Wiederherstellung eines polnischen Staats in den Grenzen desselben von dem Jahre 1772, einen Teil des Gebiets des Preussischen Staats vom Ganzen loszureissen wegen Hochverrats*. Berlin 1864 oraz *Der Polen-Prozess im Jahre 1864. Eine vollständige historische Darstellung desselben mit Zugrundelegung der unter Leitung des Dr Michaelis, Vorsteher des Stenographischen Bureaus im Herrenhause, aufgenommenen stenographischen Berichte* Berlin 1865.

⁹ Decydujące o zebraniu cennych materiałów dla pruskiego aparatu przemocy rewizje odbyły się u hrabiego Jana Działyńskiego i innych działaczy polskich w Poznaniu 28 kwietnia 1863 r. W ich wyniku przeszła fala aresztowań, która m.in. spowodowała upadek, a raczej likwidację komitetu Działyńskiego.

¹⁰ Sulerzyski dalej, aż do końca tego rozdziału, przytacza z małymi, później dopisanymi, wstawkami, całe fragmenty drukowanych materiałów procesowych, których tytuły podano w przypisie 8 do tego rozdziału.

¹¹ Kameraliny lub kameralia — studia administracyjne.

¹² Wzmiankowany „kalendarz z pieśniami narodowymi” to *Sjerp Polaczka Kalendarzyk Polsko-Katolicki*. Wydawał go Prejs w Toruniu u E. Lambecka w latach 1861—1877.

¹³ Prawdopodobnie chodzi tu o słuchacza polskiej szkoły wojskowej, Zygmunta Siemieńskiego, który poległ w Kosyminie 30 kwietnia 1863 r.

¹⁴ Jesienią 1860 r. we Włoszech czyniono pewne gesty pod polskim adresem, planowano np. powołanie legionu międzynarodowego, z odrębną formacją polską, chcąc wygrać dywersję polską przeciw Austrii i reakcyjnym monarchiom wschodnim. Z tej szansy, jak się miało okazać — pozornej, chciała skorzystać część polityków z obozu demokracji emigracyjnej, a przede wszystkim Ludwik Mierosławski. W listopadzie 1860 r. przybył on do Włoch, a po bezowocnych rozmowach w Turynie z Cavourem i królem Wiktorem Emanuelem, dotarł w grudniu do Garibaldięgo, przebywającego w odosobnieniu na wyspie Caprerie. Po tych odwiedzinach paryskie czasopismo „Przegląd Rzeczy Polskich” ogłosiło deklarację Garibaldięgo z 30 grudnia 1860 r. Była to w istocie rzeczy dosyć ogólnikowa deklaracja i trudno ją uznać za jakąś realną umowę w kwestii tworzenia nowego legionu polskiego w Italii.

¹⁵ Ow list księżny Czetwertyńskiej, będący relacją i rodzajem wizji, był wówczas popularny i doczekał się kilku przedruków wraz z innymi wypowiedziami i świadectwami. Znalazł się on m.in. w litografowanym zbiorze: *Dokumenta do ruchów warszawskich* Warszawa 1861 [poz.] 10, s. XI—XII.

¹⁶ Chodzi tu właśnie o wzmiankowany wyżej, litografowany zbiór różnych wystąpień i oświadczeń.

¹⁷ Najpewniej Sulerzyski tu się pomylił — chodziło tu oczywiście o Towarzystwo Agronomiczne Prus Zachodnich (Królewskich), a nie Prus Wschodnich.

¹⁸ Nielegalne czasopismo, organ Komitetu Centralnego, a następnie Rządu Narodowego. Ukazywało się ono od 5 lipca 1862 do 14 lipca 1863 r. (razem 17 numerów) a jego redaktorem był Agaton Giller.

¹⁹ Ów organ prasowy Centralizacji Towarzystwa Demokratycznego Polskiego, znaleziony przez Prusaków w Piątkowie był to „Demokrata Polski” (1837—1863). Chodzi tu o egzemplarze ostatniego numeru tego czasopisma z 20 stycznia 1863 r.

²⁰ Wspomniane w akcie oskarżenia regulaminy były to: [L. Mierosławski]: *Mustra kosynierska* Paryż 1861; [L. Mierosławski]: *Regulamin i służba obozowa* Paryż 1861; [L. Mierosławski]: *Regulamin piechoty, jazdy i artylerii i służba obozowa*. Paryż 1861.

²¹ Niejasna jest kwestia, o jakiej to wyprawie Demontowicza, wyznaczonej na 10 kwietnia 1863 r., myśleli autorzy aktu oskarżenia. Demontowicz przygotowywał wyprawę oddziału zbrojnego do Królestwa w lutym, miał to być oddział przyboczny Mierosławskiego. Natomiast w kwietniu, o ile wiadomo, nie wkraczał on do Królestwa.

²² Rogoźno — duża stara wieś w północnej części Ziemi Chełmińskiej. O 3 km od niej, u zbiegu Ossy i Jarzęgi, zachowały się ruiny krzyżackiego zamku Rogoźno.

²³ (łac.) Podstęp, oszustwo.

²⁴ (niem.) Dom zajezdny, oberża.

²⁵ (niem.) Mięso armatnie.

²⁶ W Paryżu, przy bulwarze Montparnasse 6, znajdowała się w tamtych czasach, założona po Wiośnie Ludów, Szkoła Wyższa Polska, której zadaniem było uzupełnianie przygotowania młodzieży polskiej, znajdującej się na emigracji, do studiów na wyższych uczelniach francuskich.

²⁷ Mowa tu o potyczce pod Ciołkowem 22 stycznia 1863 r.

²⁸ W cudzysłowie.

²⁹ Ćwiczenia (tu idzie o wojskowe).

³⁰ Lucjan Siemieński w latach 1843—1846 mieszkał w Wielkim Księstwie Poznańskim i wiele podróżował po okolicy.

³¹ Od tego miejsca opuszczono przedrukowane przez Sulerzyskiego w *Pamiętnikach* fragmenty zeznań współtowarzyszy z procesu: Teodora Jackowskiego, Edmunda Calliera, Bolesława Chotomskiego, Walentego Połczyńskiego (w wydaniu krakowskim są to strony 126—151). Zrezygnowano z tego materiału, gdyż nie wnosi on nic nowego dla poznania życia i działalności Sulerzyskiego.

³² Wystąpienia obroncze na procesie berlińskim profesora Rudolfa Gneista doczekały się oddzielnych publikacji, takich jak: *Polen-Prozess Verteidigungsrede des Defensors Gneist in der Sitzung des Staatsgerichts vom 17. Nov. [ember] 1864* Berlin 1864.

³³ Jabłonowo — miejscowość położona około 14 km na wschód od Radzyna Chełmińskiego. Pod koniec XIX w. z niewielkiej wsi rozrosła się w dużą osadę, dzięki temu, że zbiegło się w niej pięć linii kolejowych. Po rozbiorach Polski dobra jabłonowskie przeszły w posiadanie rodziny Narzymskich. Stefan Narzyski,

byli porucznik ułanów z powstania listopadowego, zbudował w 1853 r. wielki pałac wzorowany na średniowiecznym zamku w Miramare. Zdewastowały go wojska niemieckie w czasie I wojny światowej. Obecnie należy do zgromadzenia zakonnego.

⁸⁴ (niem.) Więzienie karne.

⁸⁵ Mowa tu o wojskach pruskich wracających ze zwycięskiej wojny z Danią, w sojuszu z Austrią, o Szlezwik i Holsztyn. Wojna ta, rozpoczęta 1 lutego 1864 r., zakończyła się traktatem wiedeńskim (30 października 1864 r.).

Rozdział XVII

¹ Por. przypis 18 do rozdz. III.

² Chodzi tu o krakowskie Planty.

³ Russo, czyli Jean Jacques Rousseau. Do jego rad dla Polaków nawiązuje Sulerzyski w oparciu o dzieło: *Uwagi o narodzie polskim*.

⁴ Szmeks to dawniej używana nazwa podtatrzeńskiego Smokowca, należącego wówczas, wraz z całą Słowacją, do Węgier.

⁵ Nie jest jasne, o którego tu Czyńskiego chodzi. Znany działacz emigracyjny, publicysta, pisarz Jan Czyński w ostatnich latach życia przebywał w Londynie, gdzie też zmarł 31 stycznia 1867 r. Inna jednak sprawa, że utrzymywał on wówczas kontakty z Galicją, gdyż był m.in. korespondentem lwowskiej „Gazety Narodowej”.

⁶ Namiestnik, czyli austriacki zarządca prowincji, a więc i Namiestnictwo dla Galicji zawsze było we Lwowie. Sulerzyski, pisząc o Namiestnictwie w Krakowie wymienia w istocie działającą tam, po raz ostatni w latach 1863—1867, komisję namiestniczą.

⁷ Rozważania te, mocno zresztą naiwne i rzecz całą sprowadzające do przetargów między Prusami i Austrią o ziemię i pieniądze, a nie o kwestię walki o przywództwo w Niemczech i koncepcje ich zjednoczenia, dotyczą wojny austriacko-pruskiej i austriacko-włoskiej w 1866 r. Po wcześniejszych działaniach w byłych księstwach duńskich i w innych krajach niemieckich armia pruska wkroczyła do Czech, 22 czerwca, zadając klęskę armii austriackiej. W związku z tym Austriacy musieli prosić o rozejm, a 23 sierpnia 1866 r. podpisano w Pradze pokój. W walkach w północnych Czechach, m.in. pod Jičinem odznaczyły się pruskie pułki z Poznańskiego, w znacznej mierze złożone z Polaków. Poniosły one jednak duże straty.

⁸ Powtarza tu Sulerzyski popularną w swoim czasie w Galicji legendę o rzekomym przymuszeniu cesarzowej Marii Teresy i jej monarchii do udziału w I rozbiórce Polski.

⁹ „Kraj” — gazeta krakowska, założona w lutym 1869 r. przez księcia Adama Sapiechę. Od października tegoż roku Ludwik Gumpłowicz nadał jej wyraźnie liberalno-demokratyczny kierunek. Toczyła ona polemiki z konserwatywnym „Czasem”. Przystała ukazywać się w lipcu 1874 r.

¹⁰ 19 marca, jak wiadomo, obchodzi się imieniny Józefa.

¹¹ (franc.) Dla panów.

¹² (niem.) Bratnia wojna, tzn. wojna między państwami niemieckimi — Prusami i Austrią.

¹³ „Gazeta Toruńska” — dziennik, będący kontynuacją chełmińskiego „Nadwiślanina”, ukazujący się w latach 1867—1921 o znaczeniu ponadlokalnym. Pierwszym wydawcą był Franciszek Tadeusz Rakowicz, a redaktorem Władysław Łebiński.

¹⁴ „Neue Freie Presse” — słynny, zwłaszcza na przełomie stuleci, liberalny dziennik wiedeński, założony w 1864 r. przez część redaktorów gazety „Die Presse”.

¹⁵ Fragment *Hymnu do miłości ojczyzny* Ignacego Krasickiego.

¹⁶ „Stary królewski uczeń” to król pruski Wilhelm I, późniejszy cesarz II Rzeszy, posłusznie realizujący zalecenia Bismarcka. Natomiast Sulcerzyski niezbyt ściśle przedstawia sprawę tzw. depeszy emskiej, która stała się bezpośrednim powodem wybuchu wojny prusko-francuskiej. To nie rzekome „wyproszenie za drzwi” ambasadora francuskiego, Benedettiego, było ostatecznym kamieniem obrazy dla Napoleona III, ale ogłoszenie w prasie, odpowiednio spreparowanego przez Bismarcka, tekstu depeszy tajnego radcy Abeckena, relacjonującego z uzdrowiska Ems o przebiegu rozmów króla Wilhelma I z ambasadorem francuskim w sprawie wycofania kandydatury księcia Leopolda Hohenzollern-Sigmaringen do opustoszałego tronu Hiszpanii.

¹⁷ (łac.) Wówczas Brandenburczyk zdrzy.

¹⁸ Dyrektorem Banku Toruńskiego był od 1872 r. Antoni Dominirski, od 1887 mieszkający w Królestwie. Nie jest jednak jasne, o który rok, a więc i o jakie osoby chodzi. Zapewne przede wszystkim o Mieczysława Łyskowskiego.

INDEKS NAZWISK *

- Abecken, tajny radca pruski 349
 Adelong, nadprokurator berliński 258, 262
 Aleksander I, car rosyjski 326
 Aleksander II, car rosyjski 341
 Aleksandrowicz, emigrant 243, 250—251
 Antoniewicz Bolesław 259
 Anz Heinrich von 23, 130, 133, 140, 142
 Arndt Jan 262
 Au Juliusz 262
 Auerswald Alfred 50
 August II Wettyn, elektor saski, król Polski 70
- Baczyński, jezuita, misjonarz 178, 181
 Bałucki Michał 40, 52
 Banaszak Józef 261
 Barclay de Tolly Michel 67
Barszczewska Alina 49
 Bartkiewicz, chłop 47
 Bartoszkiewicz Piotr 336
 Baunscheidt, lekarz 277
 Bähr Andrzej 339
 Bärensprung Friedrich 217, 220, 249
 Becker, sędzia 258
 Becker Karl Friedrich 62, 326
 Beethoven Ludwig van 9
 Behn Spile 202—203
 Bekowski Napoleon 260
 Bem Józef 96
 Bénazet Jacques 330
 Benedetti Vincent 349
 Berger Józef 261
 Beseler Marcin 270—271, 286
 Białoskórski Feliks 138
 Bismarck Otto 309, 314—318, 322, 349
- Blanc, bracia, właściciele kasyna gry w Bad Homburg vor der Höhe 337
 Bleszyński Bonawentura 261
 Błociszewski Stanisław 260
 Błociszewski Władysław 259
 Bniński Konstanty 261
 Bormann Johann 69, 328
 Borowski Marcell 262
 Borzewski Kalikst 16—17, 97, 274, 332
Böhning Peter 48, 49, 50, 51, 52
 Brachvogel, adwokat 262, 295
 Bratring, sędzia 258
 Braun Ernst 13, 209—210, 212, 339
 Braunek Tadeusz 260
 Bremer, właściciel ziemski 326
 Breza Tytus 77, 80—82
 Brodnicki Kazimierz 261
 Brodowski Karol 260
 Brohm Karol 8, 65, 70, 329, 339
 Bronikowski Bolesław 259
 Bruschi, pułkownik austriacki 66, 327—328
Bukowski Andrzej 49
 Büchtemann, sędzia 258
- Callier Edmund 44, 262, 305, 347
 Catilina (Katyliana) Sergius Lucius 54
 Cavour Camillo de 346
 Cegielski Hipolit 336
 Chamski Ferdynand 12, 326
 Charchowski, brat Tadeusza 68
 Charchowski Tadeusz 68
 Chełkowski Ildefons 260
 Chełmicki Kazimierz 262
 Chłapowski Dezydery 48, 111—112, 126
 Chłapowski Karol 261

* Kursywą wyróżniono nazwiska autorów występujących w przypisach.

- Chłędowska, żona Adama 160
 Chłędowski Adam 160
 Chmielecki Paweł 49
 Chmurski, mieszczanin krakowski 91
 Chociszewski Józef 336
 Chodacki Witold 260
 Chodecki Aleksander 265
 Chomętowski Bolesław 185
 Chotkowski Władysław 39—40, 52
 Chotomski (Dienheim) Bolesław Juliusz 44, 166, 207, 262, 305, 347
 Cichowski Wincenty 261
 Cienciąła, chłop spod Cieszyna 155—157
 Cieszkowski August 35, 252, 255, 345
 Cieślak Tadeusz 49
 Courbière Guillaume 148, 336
 Cromwell Oliver 183
 Czajkowski Paweł 65, 327
 Czapska Izabela zob. Sulerzyńska Izabela z Czapskich
 Czapska Matylda 295
 Czapski Antoni 269
 Czapski Bolesław 261
 Czapski Józef 132, 281, 293
 Czapski Piotr 70
 Czapski Tomasz 48, 131, 241
 Czarliński Emil 206
 Czarliński Leon 42
 Czarnecki Stanisław 260
 Czarnowski, pułkownik 265
 Czarnowski Józef 127, 334
 Czartoryski Adam 149, 338
 Czartoryski Roman Wilhelm 249, 259, 304
 Czermiński, ziemianin 332
 Czetwertyńska Janina 265, 346
 Czyński Jan 311, 348

 Cwierzakiewicz vel Cwiercia-kiewicz Józef 270, 285, 342

 Damaze, nauczyciel tańca 72
 Danielewski Ignacy 39, 336
 Dąbski Kazimierz 72—73
 Dąbski, mieszkaniec Kaczko-wa 23
 Dehnel Władysław 259
 Dembiński Henryk 175
 Demontowicz Józef 31, 32, 268, 270, 291, 347
 Deyks, adwokat 262
 Diener Paul 337
 Dietrich Karol 271
 Djakow Władimir 49
 Dmochowski Franciszek Ksa-wery 213, 341
 Dmochowski Franciszek Salezy 213, 217, 230—231, 342
 Donimirscy, rodzina 341
 Donimirski Antoni 206, 278, 334, 344, 349
 Donimirski Teodor 341
 Dopatka, właściciel hotelu 26, 335
 Drogand, sędzia 258
 Dulfus Adolf 265
 Dulscy, rodzina 340
 Dumas Alexandre 130, 133
 Dunin Jakub 70
 Dunin-Sulgustowski Marcin 135
 Duszyński Hipolit 261
 Działowscy, rodzina 16, 45
 Działowska Klotylda z Siera-kowskich 45
 Działowski Zygmunt 254, 261, 269
 Działyński Jan 70, 346
 Działyński Jan Kanty 259, 263, 269—270, 294, 304
 Działyński Tytus 158, 173, 241, 338
 Dziekoński Tomasz 65, 68, 69, 327
 Dziembińska Brygitta 65, 68
 Dziembiński Walerian 65, 68, 70, 72—73, 97
 Dzimińskie, siostry 72
 Dzikowski Józef 267, 291

 Eimbeck, sędzia 258
 Elminowski, chłop z Ziemi Chełmińskiej 27, 154
 Elven, adwokat 262, 263, 271, 282, 288, 292, 295, 297, 301—303, 306
 Elżanowski (Elzanowski) Sewe-ryn 20, 22, 24, 25, 28, 132—133, 138—142, 334
 Esman Tadeusz 49

 Fajus, ochotnik w powstaniu listopadowym 1831 r. 96

- Ferdynand Karl d'Este 327
 Fischer, asesor 150
 Florczyk Tomasz 324
 Florek Franciszek 337
 Flottwel Eduard 120, 122, 135, 274, 277
 Fourgeret, denuncjator 285, 294, 295
 Franciszka, służąca u Sulerzy-
 skich 293—294
 Freiherr von Nordenflycht Ja-
 kob zob. Nordenflycht Jakob
 Freudenfeld, właściciel ziemski
 335
 Freudenfeldowie, rodzina 120,
 333
 Friedrich, sędzia 258
 Fryderyk II Wielki Hohenzol-
 lern 135
 Fryderyk Wilhelm III Hohen-
 zollern 333, 334, 340
 Fryderyk Wilhelm IV Hohen-
 zollern 7, 15, 47, 200, 329, 334,
 335, 340
 Fugiński Klemens 269, 271
- Gabler, nauczyciel 61—62
 Gadomski Walery 90
 Gajewscy, rodzina 45, 46
 Gajewska Lucja Katarzyna An-
 tonina z Działowskich 45
 Gajewski, student 77, 83
 Galenus (Galen Claudius) 118
 Galle Aleksander 11—12, 160,
 184, 196, 337
 Gałęzowski Seweryn 158—159
 Garibaldi Giuseppe 264, 266,
 287, 346
Gastpar Waldemar 329
 Gejer, lekarz 222
 Germar Johann Karl 65, 69, 328
 Giełazewski Antoni 65, 68, 327
Gierszewski S. 50
 Giller Agaton 347
 Glajcar, chłop spod Cieszyna
 155—157
 Gneist Rudolf von 258, 262,
 295—298, 347
 Gniazdowski, rządca u Natali-
 sa 209
 Godebski, student 77, 83
 Goński Mikołaj 261
 Gorczakow Michaił 266
 Gorzka Anastazy 47
- Gosławski Henryk 262
 Gościcki Józef 262
 Görgey Artur 175—176
 Gólkowski Józef 219, 336
 Góra, lekarz 77, 81, 86
 Górski, mieszczanin z Bochni
 91
 Grabowski, emigrant 129
 Grabowski Ignacy 260
 Grąbczewscy, rodzina 230
 Grąbczewski, landrat 71
 Grąbczewski Ignacy 230—231
 Gregor, adwokat 71, 173
 Grewenitz, landrat 130, 132—
 —133, 135, 275, 334
 Gropius Martin 257
Grot Zbigniew 51, 52, 345
 Gudewicz, nauczyciel domowy
 60
 Guksch, kupcowa z Torunia
 137
 Gumpłowicz Ludwik 348
 Gurowski Adam 77, 83—84,
 330
 Gustaw II Adolf Waza 71
 Guttry Aleksander 42, 259, 304
 Gyziński Antoni 268
- Hackmann, nauczyciel 62
 Hahnemann Samuel 186, 331
 Happe, nauczyciel domowy 61
 Harajewicz, lekarz 312
 Haubold Krystian 9, 330
 Havelka Jan 72, 329
 Hegel Georg 73, 83
 Heinrich Ludwik 261
 Henning, poseł pruski 122
 Henning von, radca 120, 122,
 140, 195, 331, 340
 Henningowie, bracia 138—139,
 194, 208
 Hertell, rodzina 326
Heym Benno 50, 51
 Hindenburg, landrat 165
 Hipokrates 118
 Hippel Theodor 273
 Hoff, wytwórca ekstraktu sło-
 dowego 283
 Hoffmann Adolf 259
 Hohenzollern-Sigmaringen Leo-
 pold 349
 Hohenzollernowie, niemiecki
 ród książęcy 9, 21, 33, 47, 298
 Holthoff, adwokat 262

- Holzbrecher, żandarm pruski 268—269, 271
 Horacy 213, 272
 Hoszard, lekarz 90
 Howen, baronowie, bracia 81
 Hubert Józef 261
 Hulewicz Walery 260, 304
- Howiecki Józef 31, 261, 268
 Iwanowska z Gajewskich, pułkownikowa 46
- Jabłonowski, książę 77, 330
 Jackowski, radca 208
 Jackowski Antoni 261
 Jackowski Hiacenty 336
 Jackowski Hipolit 100—101, 190
 Jackowski Maksymilian 261
 Jackowski Teodor 44, 262, 304
 Jacoby Jan 256
 Jahn Friedrich 135
 Jakobi, malarz 68
 Jan à Capistrano, św. 59, 63, 323
 Janecki Emil 262
 Jaraczewski Tadeusz 259
 Jaraczewski Zygmunt 260, 304
 Jaroehowski Cyprian 260, 304
 Jaroczyński Marian 259
 Jarzębowski Adam 259
 Jaworski, działacz patriotyczny 270
 Jaworski Władysław 42—43
 Jasiński Maksymilian 261
 Jerzewski, radca 262, 335
 Jeska (Jeske), siostra Władysława 229, 342
 Jeska (Jeske) Władysław 342
 Jetta, gospodyni 91
 Jezierscy, rodzina 140, 334
 Jezierska z Wybickich 205
 Jezierski Konstanty 119, 123
 Jezierski Marian 140, 231
 Jeżewska Konstancja 334
 Johansson Friedrich 261
 Jonas, radca policyjny 99
 Jurska, sędzianka 72—73
- Kaczorowski, lekarz 204
 Kaczorowski Adolf 262
 Kalemka Sławomir 49, 52
- Kalisz, rządca 158, 161, 164—166
 Kalkstein Antoni 219
 Kalkstein Antonia ze Szczanieckich 219
 Kalkstein Edward 261, 305
 Kalkstein Karol 18, 30, 122, 138, 183, 213, 217, 218—219, 337, 339, 342, 344
 Kalnassy, druga żona Atanazego Sulerzyskiego 103
 Kamiński, jezuita, misjonarz 178
 Kaniewski Stanisław 259
 Karnowski Jan 49
 Karol Albert Sabaudzki, król Królestwa Sardynii 265
 Karwat, kasjer Towarzystwa Agronomicznego w Brodnicy 216
 Katz, restaurator poznański 268
 Kazimierz Wielki 90, 156
 Kczewska Barbara z Sumińskich zob. Wybicka Barbara
 Kczewski Jerzy 70
 Keck, brat Jana 241
 Keck Jan 62, 67, 241, 339, 344
 Kętrzyński-Winkler Wojciech 262, 270, 305
 Kieniewicz Stefan 49, 50, 51
 Kierski Józef 260
 Kierski Tadeusz 261
 Kiliński Jan 217
 Kitel, właściciel ziemski 155
 Klingenberg Antoni 336
 Kliński Aleksander 336
 Knast Ignacy 30
 Kobella, pensjonarka 72
 Koberdowa Irena 50
 Kocój Henryk 48
 Komierowski Roman 51
 Konarski Szymon 183
 Konkiel, tłumacz w procesie berlińskim 1864 r. 262
 Konstanty Pawłowicz Romanow 83, 97
 Kopczyński Onufry 80, 330
 Kopernik Mikołaj 65—66, 71, 158, 186—187, 339
 Korella, uczestnik wyprawy partyzanckiej z 1833 r. 98
 Korewa, major 24, 25, 27, 139, 147—148, 328
 Korn, demokrat 150
 Kornecki Wincenty 42—43

- Koronowicz Jan Nepomucen 262
 Kosiński Władysław 259, 263, 304
 Kossakowski Bronisław 270
 Kossowska, ziemianka 268, 291—293
 Kossowski Bolesław 281, 293
 Kossowski Hiacenty 331
 Kossowski Józef 21, 23, 134, 138, 140
 Koszutski Wacław 259, 304
 Kościelski Bolesław 260, 304
 Kościuszko Tadeusz 141, 156, 233, 308
 Kotzebue August von 135
 Krasicki Ignacy 10, 104, 196, 322, 333
 Krasicki Józef 261, 349
 Kraszewski Józef Ignacy 321
 Krańnicki Władysław 259
 Królikowscy, bracia 47
 Królikowski Leon 259, 270
 Krüge Wilhelm 78, 80, 330
 Kruszyński Konstanty 65, 69, 328, 337
 Kruszyński Władysław 18, 337
 Krüger, sędzia śledczy 245—247, 251, 253, 257, 284, 294, 299
Krzepela J. 45
 Krzyżanowski Adrian 71
 Kucharscy, bracia 96
 Kucharski, brat Jana 23
 Kucharski Jan 96, 113, 138, 335
 Kung Wilhelm 9
 Kunow Wojciech 260
 Kurella Antoni 332—333
 Kurantowski Włodzimierz 259, 304
 Kurzyna Jan 33, 232, 236
 Kuszowski Stanisław 265
 Kwiatkowski, nauczyciel domowy 61
 Kwilecki Mieczysław 260

 Lamartine Alfons de 21
 Lambeck Ernst 346
 Langeron Andraul de 67
Laubert Manfred 40
 Lauterbach, landrat brodnicki 19, 120, 126, 129, 130, 331
 Leboef Edmond 322
 Lelewel Joachim 47, 330
 Lenartowicz Teofil 154
 Lent, adwokat 262, 301—302, 306
 Leonhardt, sędzia 258
 Leski Stanisław 96
 Lewald, adwokat 262
 Libelt Karol 47, 174, 176
 Linde Samuel Bogumił 191, 340
 Lippe-Biesterfeld-Weissenfeld zur 253
 Lipski Wojciech 77, 80, 82, 152
 Lisiecki, adwokat 262
 Lisiecki, student 70
Lissowski Czesław 51
 Litychaur, hrabia 150
 Lizak, nauczyciel domowy 162
Look W. 48, 49, 331
 Loyola Ignacy, św. 177
 Lubomirski Jerzy 70
 Lutomski Bolesław 260, 304

Łazęga R. (A. Chudziński) 46, 47, 51, 335
 Łącki Władysław 260, 294
 Łączyński Adolf 262
 Lebiński Władysław 262, 349
 Łobodzki Józef 145—146
 „Łowiński Henryk” zob. Szeremętowski, major
 Łubieński Bogusław 261
 Łukaszewski Julian 51, 259, 304
 Lyskowski Euzebi 103
 Lyskowski Ignacy 24, 29, 30, 42, 50, 205—206, 211, 216, 228, 239, 336, 344
 Lyskowski Mieczysław 31, 210, 212, 217, 228, 232, 238, 239, 325, 344, 349

 Maciejewski Stanisław 261
Madejski Wacław (W. M.) 49
 Majewski Jan 260
 Malczewski Adolf 126
 Malczewski Zygmunt 261
 Manteuffel Otto von 153—154
Mańkowski Alfons 48
 Mańkowski Napoleon 259, 262—263, 304
 Marański Antoni 262
 Marcinkowski Karol 116, 182
 Marks Karl 330
 Martwell Leon (faktycznie Heil-

- pern) 31, 261, 267, 289, 290, 305
- Matecki Feliks 260
- Matejko Jan 36, 322
- Matuszewski Józef 259
- Mazzini Giuseppe 172, 229—230, 338, 342
- Meer, świadek w procesie berlińskim 299
- Melin Ksawery 268, 269, 271
- Mę[...] Józef, publicysta 306, 315—316, 318
- Michaelis, doktor 346
- Miełcki Józef 260, 304
- Mielżyński Seweryn 42, 138, 154
- Mierosławski Franciszek 261
- Mierosławski Ludwik 20, 29, 32, 44, 51, 120, 129, 133, 135, 136, 147, 150, 216, 232, 233, 236—237, 264, 266, 270, 275, 287, 289, 291, 292, 325, 335, 341—342, 343, 344, 346
- Mieroszewscy, rodzina 320
- Mieroszevska, babka Natalisa 10, 59
- Mieroszevska, cioteczna babka Natalisa 59
- Mieroszevska Anna zob. Sulezyska Anna z Mieroszevskich
- Mieroszevski, dziad Natalisa 59
- Mikołaj I, cesarz rosyjski 21
- Mikos Stanisław 48
- Milewski I. R. 45
- Milkoski, ochotnik w powstaniu listopadowym 96, 250
- Milkowski Kazimierz 296
- Minutoli Julius 129, 335
- Mittelstaedt, asesor 258, 262, 282, 290, 292, 297
- Mittelstaedt Julian 261, 305
- Mudzielewski Teofil 269, 271
- Mohr, generał austriacki 327
- Molinek Ferdynand 260
- Moniuszko Stanisław 29
- Moraczewski Jędrzej 9, 10, 47, 77, 79, 80, 82, 84, 174, 176, 330
- Morcinek Roch 48
- Moszczeński Bolesław 260, 304
- Motty Marceli 196, 222
- Mrowiński Walery 259
- Mroziński Kazimierz 261
- Müller, właściciel ziemski 194, 235, 240
- Myśliborski-Wołowski Stanisław 51
- Nagajew Aleksiej 49
- Napoleon I Bonaparte 57, 65—66, 134, 174, 199, 314, 317, 322, 326, 327, 328
- Napoleon III Bonaparte 265, 314, 317, 322, 323, 340, 349
- Narzymscy, rodzina 299, 347
- Narzymski Stefan 347
- Nesselrode, kanclerz moskiewski 149
- Nesselrode Karl 149
- Nidenfür, lekarz 116
- Niederstetter, radca policyjny 243—244, 283
- Niegolewski Władysław 24, 30, 259, 304
- Niegolewski Zygmunt 260
- Niel Adolphe 322
- Niemcewicz Julian Ursyn 65, 69, 328
- Niklewski Józef 259
- Niski, radca Komisji Rządowej Spraw Wewnętrznych w Warszawie 175, 177
- Nordenflycht Jakob von 50, 165, 337
- Nordenflycht, syn Jakoba 165
- Nowowiejski, pochodzący z Poznaniańskiego 74—75
- Oberfeld Dionizy 259
- Oelrichs Heinrich 273
- Oelrichs, sędzia 258
- Ohnstein Ludwik 259
- Oppen Władysław 259
- Orłowski Aleksander 109, 340
- Ort W. J. 50
- Orsini Felice 340
- Osmólska-Piskorska Bożena 339, 351
- Ostaszewski Ludwik 20
- Ostrzycki, kupiec z Wrocławia 267
- Otto, pastor 155
- Padlewski Zygmunt 343
- Paliszewski, brat Leopolda 96

- Paliszewski, ojciec 114
 Paliszewski Leopold 96, 112—
 —114, 116
 Parpart, pierwsza żona Atana-
 zego Sulerzyskiego 103
 Paruszewski Michał 261
 Paskiewicz Jan 338
 Pawłowscy, rodzina 45
 Pawłowski Andrzej 45, 99, 101
 Pawłowski Wincenty 45
 Persigny Jean 265
 Piątkowski Władysław 46
 Pilaski Roman 261
 Płaskowski Seweryn 70
Plehn Hans 46, 48, 50—51
 Pluciński Józef 260
 Podczaski Jakub 125
 Połczyński Walenty 44, 262,
 300, 347
 Poniatowski Józef 233
 Poniatowski Stanisław 71
 Poniński Adam 70
 Poniński Henryk 335
 Potocka Maria z Gajewskich
 45
 Potocki Oswald 45
 Praszalowicz, jezuita, misjo-
 narz 178
 Prądzyński Józef 260
 Prejs Julian (ps. „Sjerp Pola-
 czek”) 263—264, 282, 346
 Priessnitz Vienzenz, lekarz
 116—117, 333
 Przechadzki Michał 268
 Przeciszewscy, rodzina 342
 Pułtoracki, pułkownik rosyjski
 67
 Puttkammer Eugen von 337

 Raabe, właściciel ziemski 139
 Raczynski Stanisław 267
 Raczynski Władysław 217, 223,
 289, 290
 Radecki Szymon 260, 304
 Radkiewicz Stanisław 20, 182,
 334, 339
 Radomiński Jan 327
 Radoński, emigrant z zaboru
 pruskiego 84
 Radoński Anastazy 260
 Radoński Faustyn 260
 Radoński Seweryn 260
 Radziwiłł Maksymilian 260
 Radziwiłł Mikołaj Konstanty
 259, 295
 Rakowicz Franciszek 349
 Ratazzi Urban 265
 Reichstein Juliusz 262
 Rejtan Tadeusz 37
 Rekowski Artakserkses 260
 Retenfink, porucznik pruski
 244—245, 249, 283—284
 Rixin, guwernantka 66
 Richter Karol 27, 151, 336
 Riesenbeck, właściciel ziemski
 97
 Robespierre Maximilian 183
 Rogaliński Aleksander 232, 234,
 310, 343
 Rogiński Roman 342
 Roland, dowódca oddziału par-
 tyzanckiego 48
 Rostkowski Witold 259
 Rousseau Jean Jacques 309,
 348
 Röhr Jan 261
 Rösner Johann 70—71, 329
 Różycki Leopold 262
 Ruf, starosta 157
 Rust, lekarz 117
 Rustejko Józef 250, 259, 304,
 345
 Ruskowski, emigrant 234, 343
 Rutkowska, ziemianka 172
 Rutkowska Alodia z Sulerzy-
 skich 5, 12, 59, 92, 116
 Rutkowski Ignacy 5, 101, 103,
 115, 118
 Rutkowski Józef 199—200, 202
 Rybiński Leon 211
 Rybiński Maciej 48, 96
 Rybiński Zygmunt 70—71
 Rymarkiewicz Stanisław 259,
 304
 Rzepnikowski, ziemianin 163

 Sadowski Stanisław 148
Salmonowicz Stanisław 46, 328,
 329
 Samorzewski August 261
 Samplawski Julian 139, 142
 Sand Jerzy 135
 Sapięha Adam 348
 „Saturnin” (ps.), dziennikarz
 krakowski 318

- Schirmer (Szyrmer) Karol Wilhelm 8, 327, 328, 329
 Schlösser Fryderyk 9, 84, 330
 Schlott, landrat 331
 Schmerbauch, rodzina 105
 Schön Heinrich von 87, 122, 273—274
 Schönboen, kupiec 98
 Schönfeld, właściciel ziemski 194, 235
 Schönlein, lekarz 160
 Schröger Efraim 339
 Schrötter von, landrat 331
 Szanieccy, rodzina 337
 Szaniecka Emilia 258, 294
 Szaniecki Ludwik 259
 Szaniecki Stanisław 259, 304
 Senft von Pilsach, landrat 331
 Sergiejew, student uniwersytetu w Lipsku 77, 80
Serczykowa Barbara 51
 Seydewitz Theodor 261
 Seyfries Józef 261, 304
 Siegrist, demokrat 150
 Siemieński Dominik 70
 Siemieński Lucjan 287, 347
 Siemieński Zygmunt 264, 347
 Sikorski Bolesław 261
 Sikorski Kazimierz 268, 291
 „Sjerp Polaczek” zob. Prejs Julian
 Skiba Antoni 336
 Skoraczewski Filip 259, 304
 Skorzewski Andrzej 261
 Skrzydlewski Józef 261
 Skrzydlewski Mateusz 260
 Smiśniewicz Władysław 259
 Smitkowski Leon 260, 304
 Sohn, wróżbita z Berlina 188, 200, 202, 204, 214
 Sowiński, emigrant 161
 Stalmach Paweł 155
 Starorypiński Antoni 268
 Staszic Stanisław 174
 Staszyc (rzekomy), guwerner 158, 174—177
 Stefański Walenty 20, 336
 Steinkeller Piotr 343
 Sudorska, nauczycielka 175
 Sue Eugeniusz 130, 133
 Sulerzyscy, rodzina z Wielkopolski 331, 346
 Sulerzyska, pierwsza córka Natalisa 48, 110
 Sulerzyska Alodia zob. Rutkowska Alodia z Sulerzyskich
 Sulerzyska Anna z Mieroszewskich 5, 6, 12, 59
 Sulerzyska Anna z Szeliskich 5, 6
 Sulerzyska Elwira 103
 Sulerzyska Helena 13, 36, 48, 56
 Sulerzyska Izabela z Czapskich 48, 107, 333, 341
 Sulerzyska Leokadia zob. Wilczewska Leokadia z Sulerzyskich
 Sulerzyska Leonarda z Wybickich 48, 115, 341
 Sulerzyska Wanda 48, 205, 217, 223—224
 Sulerzyska Wiktoria 48, 139
 Sulerzyski, pierwszy syn Natalisa 48, 129
 Sulerzyski Aleksander 42
 Sulerzyski Artur 103
 Sulerzyski Atanazy 5, 8, 12, 59, 72, 73—74, 87, 88, 90, 92, 103
 Sulerzyski Franciszek 5, 6, 45, 325
 Sulerzyski Gustaw 5, 12, 59, 63, 92
 Sulerzyski Heliodor 5, 8, 10, 59, 70, 73, 78
 Sulerzyski Wacław 13, 33, 48, 56, 337
 Sulerzyski Walery 42, 261, 346
 Sulerzyski Wincenty 5, 6, 7, 45, 46, 329
 Sulerzyskie, siostry 107
 Sulgustowski Marcin zob. Dunin-Sulgustowski Marcin
 Suzin Paweł 32, 232—234, 267, 268, 290—291, 343
 Suzinowa, żona Pawła 232—234, 242
 Swinarski Ernest 260
 Sypniewscy, rodzina 229
 Sypniewski Julian wiceprezes Towarzystwa Agronomicznego 216
 Sypniewski Julian 261
 Syrokomla Władysław (właśc. Kondratowicz Ludwik) 151
 Szawelska Paulina 131
 Szawelski, ziemianin 127, 148
 Szczawiński Hipolit 260

- Szczesny, landrat 164, 167, 205, 331
 Szeliska Anna zob. Sulerzyska
 Anna z Szeliskich
 Szembek Krzysztof 70
 Szermętowski, (ps. „Henryk”
 Lowiński”), major 33, 343
 Szoldrski Wiktor 261
 Szpilowski Hilary 337
 Szultz (Szulc) Kazimierz 262,
 305
 Szuman Henryk 260
 Szuman Norbert 260
 Szwarz, właściciel ziemski 120,
 125—126
- Ślascy, rodzina 337
 Ślaski Aleksander 234, 267—
 —268, 290—291, 343
 Ślaski Mateusz 339
 Śmiałowski Józef 49
 Śmietanka, żołnierz polski z
 1831 r. 97
- Taczanowski Edmund 259, 304
 Thaer Albrecht 73—74, 87, 88,
 89, 248, 329
 Theremin, sędzia 258
 Thorvaldsen Bertel 339
 Tieck Christian 187, 339
 Toczek Adam 271
 Tokarski Józef 262
 Tourgeret, świadek w procesie
 berlińskim 258
 Treskow, właściciel ziemski 150
 Tułodziecki Jan 22, 24, 25, 26,
 132, 137, 138, 139, 140, 141,
 142, 145, 146, 149, 181, 307
 Tur Cezary 261
 Turno Hipolit 262
 Tworowska Ludwika z Jawu-
 nowskich 271, 286, 299
 Tyc, lekarz 80, 82, 87, 96—97
- Ulatowski Serafin 260, 305
- Vogel, sędzia 258
 Voigt Karol 223, 268, 291, 296
- Wachowski, emigrant 267, 289
 Wacław II Przemyślid, król
 czeski i król polski 71
- Waga, prowokator 128—129
 Waga Antoni 9, 77—79
 Walter Witalis 260
 Wantuchowie vel Wańtuchowie,
 ród 7
 Wedeke, pruski radca policyj-
 ny 99, 100, 101
 Weinert, młynarz 263
 Wesener, nauczyciel 23
 Wesse, lekarz 118
 Węclewski Kazimierz 260
 Węzyk Michał 70
 Wielogłowski Walery 42
 Wierzbicki Ludwik 187
 Wierzbiński Józef 260
 Wierzbiński Stanisław 261
 Wierzchosławski Szczepan 51,
 52
 Wiktor Emanuel II Sabaudzki,
 król Sardynii i zjednoczo-
 nych Włoch 265, 346
 Wilczewska Leokadia z Sule-
 rzyskich 5, 12, 59, 92, 116
 Wilczewski Tadeusz 5, 17, 98,
 100, 101, 103, 116, 123
 Wilhelm I Hohenzollern, król
 Prus 349
 Wilhelm IV Hohenzollern zob.
 Fryderyk Wilhelm IV
 Wilkoński Kazimierz 260
 Wilkxyccy, rodzina 96—97, 154
 Wilkxycka, ziemianka 101—102,
 154
 Wilkxycki Jakub 16, 20, 145,
 154, 183, 232, 331
 Wilkxycki Jan Jerzy, ksiądz 332
 Wilisen Wilhelm, generał 147
 Winert 282
 Winkler-Kętrzyński Wojciech,
 student z Królewca 262, 270,
 305
 Wiśniewski Piotr 100
 Wojczyński (Woyczyński) Sta-
 nisław 65—66, 327
 Wojnowski Franciszek 45
 Wojtkiewicz, emigrant 333
 Wojtowicz Jerzy 47
 Wolański Stanisław 47
 Wolniewicz Włodzimierz 263,
 304
 Wolski Włodzimierz 29, 218
 Wybicy, rodzina z Ziemi Mi-
 chałowskiej 339
 Wybicka Barbara, wcześniej

- Kczewska, z Sumińskich 119, 212
Wybicka Leonarda zob. Sule-
rzyska Leonarda z Wybickich
Wybicka Ludwika 90, 119
Wybicki, wojewoda 127
Wybicki Jan 7, 46—48, 89, 101,
115, 119, 126, 148, 158, 188,
331
Wybicki Michał 13, 48, 36,
244—245, 307
Wybicki Tomasz 119, 126—127
Wybicki Władysław 119, 188,
209—214
Wysoccy, rodzina 340
Wysocka Amalia z Orłowskich
108, 340
Wysocki Aleksander 28, 127,
136—137, 140, 147—148, 163,
198, 207, 211, 340
Wysocki Feliks 94, 95, 127, 340
Wysocki Józef 216, 341
Zablocki Erazm 253, 285, 304
Zablocki Józef 261
Zaborowski Alojzy 77, 83
Zakrocki Michał 24, 26, 139,
142, 148
Zakrzewska, kasztelanka 73
Zakrzewski Stefan 259
Zakrzewski Władysław 259, 304
Zaliwski Józef 16, 18, 49, 332
Załuski Stanisław 70—71
Zaplewski, parobek z Działowa
271
Zawadzki Władysław 262
Zawisza Artur 16, 17, 87, 97,
99
Zawisza Czarny Artur (rzeko-
my), 126—127, 129, 274, 332
Zboiński, pułkownik 101
Zimmermann, świadek w pro-
cesie berlińskim 299
Zwoliński, świadek w procesie
berlińskim 268
Zybkiewicz Mikołaj 312

Young von, landrat 33, 195, 205,
207, 210, 243, 269, 281, 331

Zernicki-Szeliga E. 45
Zórawski Józef 259, 304
Zychowski Marian 51

SPIS TREŚCI

Natalis Sulerzyski i jego <i>Pamiętniki</i>	5
Przypisy	45
Wprowadzenie	53
Wstęp	56
Do moich dzieci	56
Do moich przyjaciół i nieprzyjaciół	57
Rozdział I Od urodzenia do wejścia do szkół publicznych	59
Rozdział II Pobyt w szkołach toruńskich od 1810 do 1819	65
Rozdział III Pobyt mój na uniwersytecie w Lipsku i Heidelbergu od roku 1820 do 1823	77
Rozdział IV Moje gospodarstwo w Mierzynku i Karczewie od roku 1824 do 1834	87
Rozdział V Od kupna Piątkowa do ożenienia, 1834—1836	103
Rozdział VI Od pierwszego ożenienia do drugiego, od roku 1836 do 1840	107
Rozdział VII Od drugiego ożenienia do pierwszej kozy, 1840—1846	120
Rozdział VIII Od pierwszego więzienia do drugiego, 1846 do 1848	130
Rozdział IX Od drugiego uwięzienia mego do śmierci patriarchy naszego, Jakuba Wilkxyckiego z Ryńska, od roku 1848 do 1850	145
Rozdział X Do śmierci teścia mego, Jana Wybickiego w roku 1852	158
Rozdział XI Od śmierci teścia Wybickiego do śmierci żony. Od roku 1852 do roku 1860	188
Rozdział XII Od roku 1860 do wypadków warszawskich 1862	205
Rozdział XIII W przededniu powstania styczniowego	217
Rozdział XIV Od powstania 22 stycznia 1863 roku do uwięzienia mego na początku czerwca	232

Rozdział XV	Od uwięzienia do rozpoczęcia procesu . . .	243
Rozdział XVI	Proces od 7 lipca do 23 grudnia 1864 roku . . .	258
Rozdział XVII	Od 1 lipca 1865 do 3 maja 1872	306
Przypisy		325
Indeks nazwisk		350

Biblioteka Główna UMK



300002497682

W SERII „Z ZEGAREM”
UKAZAŁY SIĘ DOTYCHCZAS
NASTĘPUJĄCE TYTUŁY:

Karol Szymański

Z WARSZAWY I HEIDELBERGU (1967)

Józef Jaszowski

PAMIĘTNIK DOWÓDCY RAKIETNIKÓW KONNYCH (1968)

Jan Jakub Patz

Z OKIEN AMBASADY SASKIEJ (1969)

Aleksander Jełowicki

MOJE WSPOMNIENIA (1970)

Jacenty Grabowiecki

MOJE WSPOMNIENIA W EMIGRACJI (1970)

Stanisław Lubomirski

POD WODZĄ KSIĘCIA REPNINA (1971)

Zygmunt Mineyko

Z TAJGI POD AKROPOL (1971)

Leon Drownicki

ZA MOICH CZASÓW (1971)

Wojciech Kossak

WSPOMNIENIA (1971, 1973)

Jędrzej Rogoyski

PAMIĘTNIKI MOJE (1972)

Natalia Kicka

PAMIĘTNIKI (1972)

Anna z Działyńskich Potocka

MÓJ PAMIĘTNIK (1973)

Ignacy Domeyko

LISTY DO WŁADYSŁAWA LASKOWICZA (1976)

Kazimierz Lewandowski

PAMIĘTNIKI WYCHODZCA POLSKIEGO (1977)

Karol Libelt

LISTY (1978)

Kajetan Wojciechowski

PAMIĘTNIKI MOJE Z HISZPANII (1978)

Jan Antoni Chrapowicki

DIARIUSZ (1978)

Stanisław Poniatowski

PAMIĘTNIK SYNOWCA STANISŁAWA AUGUSTA (1979)

Aleksander Gołyński

PAMIĘTNIK PODOLSKIEGO POWSTANIA
1830—1931 ROKU (1979)

Hieronim Chrystian Holsten

PRZYGODY WOJENNE 1655—1666 (1981)

ZAPOMNIANE WSPOMNIENIA (1981)

Józef Trzaskowski

ZBIÓR RÓŻNYCH DROBNOSTEK... (1982)

Ludwig Buchholtz

POWSTANIE KOŚCIUSZKOWSKIE W ŚWIELE
KORESPONDENCJI POSŁA PRUSKIEGO
W WARSZAWIE (1983)

Marceli Motty

LISTY WOJTUSIA Z ZAWAD (1983)

Benedikt de Caché

POWSTANIE KOŚCIUSZKOWSKIE W ŚWIETLE
KORRESPONDENCJI POSŁA AUSTRIACKIEGO
W WARSZAWIE (1985)

W PRZYGOTOWANIU
ZNAJDUJĄ SIĘ NASTĘPUJĄCE TYTUŁY
Z SERII „Z ZEGAREM”

Józef Dembieński

RADOŚCI MAŁO — GORYCZY DUŻO

Sven Jonas Stille

PODRÓŻ DO POLSKI

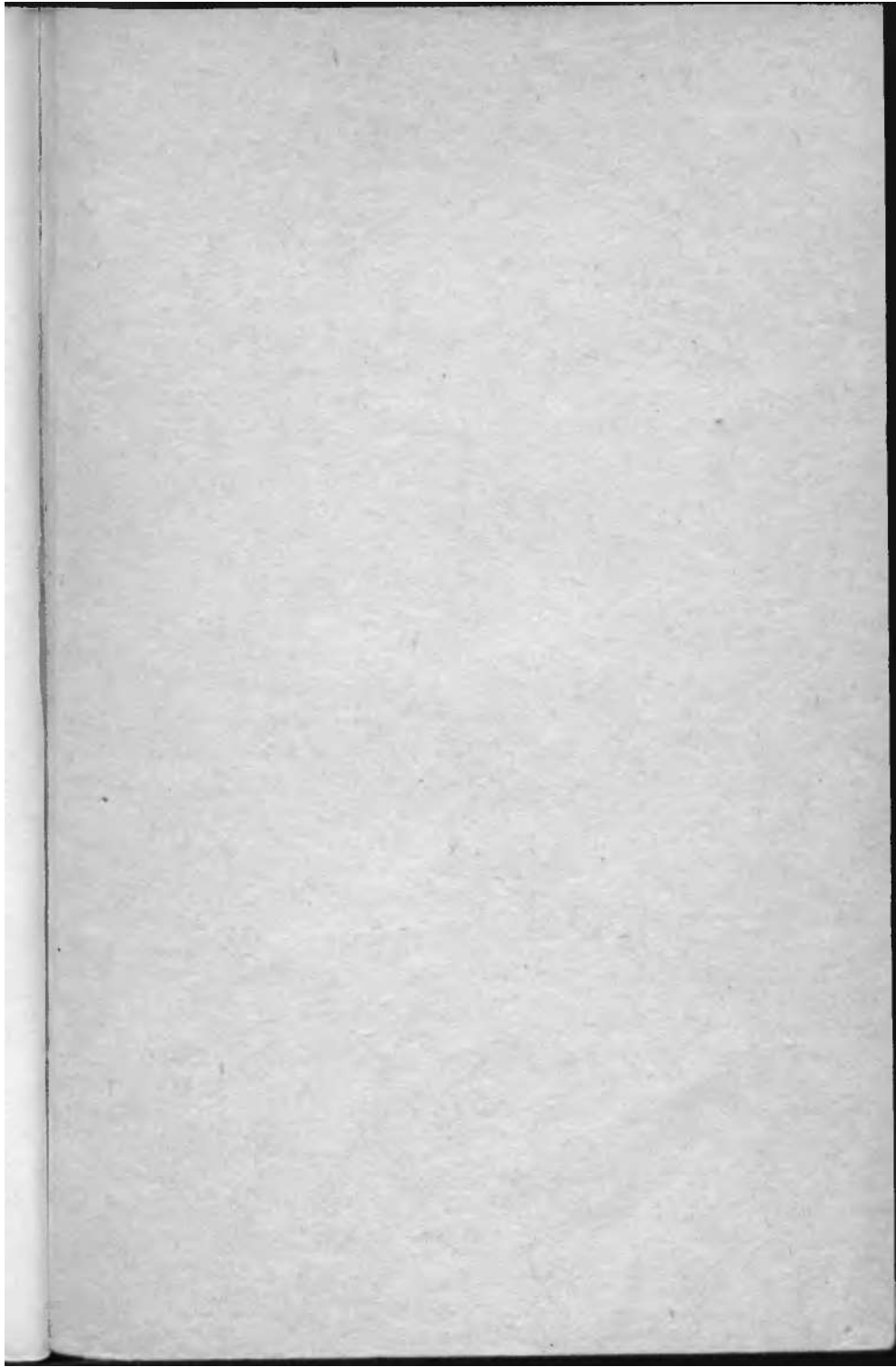
Adam Jerzy Czartoryski

PAMIĘTNIKI I MEMORIAŁY POLITYCZNE (1776—1809)

Zygmunt Szczęsny Feliński

PAMIĘTNIKI









Biblioteka
Główna
UMK Toruń

586859

Cena zł 350,—

ISBN 83-211-0569-9